

GEORGE R. R. MARTIN



DZIKIE KARTY

DZIKIE KARTY

I

Pod redakcją George'a R.R. Martina

Przełożyła
Krystyna Chodorowska

ZYSK I S-KA
WYDAWNICTWO

*Kenowi Kellerowi,
wychowanemu na tych samych czterech kolorach*

Od redaktora wydania oryginalnego

Dziki karty to zbiór utworów opisujących wymyśloną rzeczywistość, której historia rozwija się równoległe do naszej. Nazwiska i postacie pojawiające się na kartach niniejszej książki są fikcyjne lub osadzone w fikcyjnym kontekście. Wszelkie podobieństwo do rzeczywistych wydarzeń, miejsc lub postaci jest zupełnie przypadkowe. Eseje, artykuły i inne urywki dzieł cytowanych w niniejszej antologii są całkowicie fikcyjne. Nie było naszym zamiarem opisywanie istniejących twórców albo też sugerowanie, że taka osoba rzeczywiście istniała, publikowała lub przesyłała nam swoje eseje, artykuły lub inne dzieła cytowane w niniejszej antologii.

Prolog

za: *Dzikie czasy: opowieść o latach powojennych*,
Studs Terkel (Pantheon, 1979)

Herbert L. Cranston

Wiele lat później, gdy zobaczyłem, jak Michael Rennie wychodzi z latającego spodka w filmie *Dzień, w którym stanęła Ziemia*, nachyliłem się do żony i szepnąłem: „I właśnie tak powinien wyglądać emisariusz obcych”. Zawsze podejrzewałem, że zainspirowało ich przybycie Tachiona, lecz przecież wiadomo, jak Hollywood lubi zmieniać historie. Ale ja byłem tam osobiście, więc mogę wam powiedzieć, jak to naprawdę wyglądało. Po pierwsze, statek wylądował w White Sands, a nie w Waszyngtonie. Posłaniec nie miał robota i nikt go nie postrzelił. Chociaż, biorąc pod uwagę, co się stało później... może należało?

Jego statek... no cóż, nie był żadnym latającym spodkiem, nie przypominał przejętych przez nas V-2, ani nawet rakiet księżycowych na tablicach Wernera. Naruszał wszystkie znane prawa aerodynamiki i szczególną teorię względności.

Wylądował w nocy. Jego statek cały migotał światełkami, był to chyba najpiękniejszy widok, jaki widziałem w życiu. Usadowił się pośrodku strefy zasięgu, bez pomocy rakiet, śrub, rotorów i jakiegokolwiek widocznego napędu. Zewnętrzna powłoka trochę przypominała koral albo jakąś inną porowatą skałę, pokrytą wirami i ostrogami, jak formacja skalna w wapiennej jaskini albo na dnie morza.

Siedziałem w pierwszym samochodzie, który dotarł na miejsce. Nim wysiedliśmy, Tachion zdążył już wyjść ze statku. Michael Rennie przynajmniej wzbudzał respekt w tym srebrnym kombinezonie, ale ten tutaj? Wyglądał jak nieślubne dziecko trzech muszkieterów i artysty cyrkowego. Przyznam się uczciwie, że podczas jazdy wszyscy mieliśmy niezłego pietra, i raketowcy, i jajogłowi, i żołnierze. Przypomniałem sobie tę inscenizację Mercury Theater w trzydziestym dziewiątym roku, kiedy Orson Welles wmówił wszystkim, że Marsjanie najeżdżają New Jersey i przez chwilę pomyślałem, że teraz coś takiego dzieje się naprawdę. Ale potem, gdy Tach stanął w świetle reflektorów, na tle swojego statku, wszyscy odetchnęliśmy z ulgą. W ogóle nie wyglądał strasznie.

Był niski, miał metr sześćdziesiąt wzrostu, i szczerze mówiąc, zdawał się bardziej wystraszony od nas. Ubrany był w zielone rajtuzy, które w połowie łydek przechodziły w buty, i pomarańczową koszulę z frymuśnymi koronkami przy kołnierzu i nadgarstkach oraz jakąś srebrną brokatową kamizelkę, bardzo obcisłą. Na to wszystko narzucił kanarkowożółty płaszcz i zieloną pelerynę, która powiewała na wietrze i owijała mu się wokół kostek. Na głowę włożył kapelusz z szerokim rondem z zatkniętym czerwonym piórkiem i dopiero gdy podszedłem bliżej, zobaczyłem, że służy do pisania. Włosy opadały mu aż na ramiona i w pierwszej chwili pomyślałem, że to chyba kobieta. Te włosy też były zresztą dziwne, takie rude i błyszczące jak miedziany drucik.

Nie wiedziałem, co o nim myśleć, ale jeden z naszych Niemców szepnął, że wygląda

zupełnie jak Francuz.

Ledwie nadjechaliśmy, facet od razu podszedł do jeepa, zupełnie niezrażony. Brnął przez piach z wielką torbą pod pachą. Przedstawił się nam z imienia i nadal się przedstawiał, gdy nadjechały pozostałe cztery jeepy. Lepiej mówił po angielsku niż większość naszych Niemców, choć miał dziwny akcent. Chociaż trudno to było ocenić, bo pierwsze dziesięć minut spędził na wymawianiu własnego imienia.

Byłem pierwszym człowiekiem, który z nim rozmawiał. Przysięgam na Boga. Nieważne, co powiedzą inni, zaręczam, że to byłem ja. Wysiadłem z jeepa, wyciągnąłem rękę i powiedziałem:

— Witamy w Ameryce.

Zacząłem się przedstawiać, ale on mi przerwał.

— Herbert Cranston z Cape May w New Jersey. Specjalista od technologii raketowych. Doskonale. Ja też jestem naukowcem.

Nie przypominał żadnego z naukowców, jakich w życiu widziałem, ale uznałem, że przecież przybył z kosmosu. Bardziej zastanawiało mnie, skąd zna moje imię, więc zapytałem.

Zamachał koronkami, jakby zniecierpliwiony.

— Odczytałem pańskie myśli. To bez znaczenia. Panie Cranston, nie mamy wiele czasu. Ich statek się rozpadł. — W chwili gdy to mówił, zdawał się niemal chory — smutny i obolały, ale i wystraszony. A do tego bardzo, bardzo zmęczony. Potem zaczął nawijać o tej kuli. Tak, jasne, obcy przynieśli kulę wypełnioną wirusem dzikiej karty, teraz wszyscy to wiedzą, ale wtedy nie miałem pojęcia, o czym ten facet bredzi. Kula zginęła, a on musiał ją odzyskać i miał nadzieję, że nadal jest nieuszkodzona. Chciał rozmawiać z naszymi przywódcami. Pewnie wyciągnął te nazwiska z mojej głowy, bo wymienił Wenera i Einsteina, i prezydenta, tylko mówił o nim: „Ten wasz prezydent, Harry S. Truman”. Następnie wsiadł do jeepa i dodał: — Zaprowadźcie mnie do nich. Natychmiast.

Profesor Lyle Crawford Kent

W pewnym sensie to ja wymyśliłem mu przyzwisko. Jego prawdziwe imię ze wszystkimi patronimikami było nedorzecznie długie. Kilkoro z nas próbowało je trochę skrócić, używając tej lub innej części, ale na jego planecie, Takis, podobno uważano to za ciężkie naruszenie etykiety. Bez przerwy nas poprawiał, powiedziałbym, że dość arogancko, niczym jakiś starszy nauczyciel strofujący grupkę uczniów. No cóż, musieliśmy go jakoś nazywać, do licha. Najpierw wynikła kwestia tytułu. Mogliśmy mówić do niego „wasza wysokość”, bo podobno na swojej planecie był jakimś księciem, ale Amerykanie nigdy nie lubili się płaszczyć przed arystokracją. Wspomniał też, że jest lekarzem, choć nie w tym znaczeniu, jakiego tutaj używamy, ale tak czy inaczej dobrze znał się na genetyce i biochemii, w których podobno się specjalizował. Większość naszego zespołu miała tytuły naukowe i tak się do siebie zwracała. Dlatego dość szybko zaczęliśmy do niego mówić „doktorze”.

Technologowie raketowi dostali fioła na punkcie jego statku i snuli najróżniejsze teorie na temat tego, jaki napęd nadświetlny może wykorzystywać. Niestety, nasz takizjański gość bardzo chciał dotrzeć na Ziemię przed przybyciem swoich kuzynów i podróżował tak szybko, że przepalił swój napęd, a do tego odmawiał wpuszczenia kogokolwiek na pokład — zarówno wojskowych, jak i cywilów. Werner i jego Niemcy mogli tylko zadawać pytania, co czynili skwapliwie, może nawet kompulsywnie. Z tego, co zrozumiałem, fizyka teoretyczna

i technologia pojazdów kosmicznych nie były specjalnością naszego gościa, ale zrozumieliśmy z tego tyle, że napęd wykorzystuje nieznaną nam wcześniej cząstkę poruszającą się szybciej od światła.

Obcy podał nam jej takizjańską nazwę, równie niewymawialną jak jego własne imię. No cóż. Podobnie jak wszyscy wykształceni ludzie, znałem trochę klasycznej greki i miałem żyłkę do nazewnictwa. To ja wymyśliłem określenie „tachion”. Żołnierze trochę zamotali i zaczęli mówić o naszym kosmicie „ten cały tachion”. Fraza szybko się przyjęła i już tylko krok dzielił go od ostatecznego przezwiska „Doktor Tachion”, pod którym później zasłynął w prasie.

Pułkownik Edward Reid, wywiad wojskowy armii Stanów Zjednoczonych (emeryt.)

Chcecie, żebym się przyznał, tak? Każdy z tych przeklętych reporterów, z którym później rozmawiałem, tylko czekał, żebym powiedział to głośno. W porządku, powiem: popełniliśmy błąd. I słono za to zapłaciliśmy. Wiecie, że już po fakcie chcieli postawić cały zespół przesłuchujący przed sądem wojskowym? Tak było.

Sęk w tym, że nie mam pojęcia, co konkretnie mieliśmy zrobić inaczej. Byłem szefem tego zespołu i wiem, co mówię.

Co w zasadzie wiedzieliśmy na temat tego gościa? Nic, z wyjątkiem tego, co sam nam powiedział. Jajogłowi traktowali go, jakby był nowo narodzonym Jezusem, ale wojskowi muszą być ostrożniejsi. Żeby zrozumieć nasze postępowanie, postawcie się na naszym miejscu i przypomnijcie sobie, co to były za czasy. Historia, którą opowiedział nam ten facet, była całkowicie niedorzeczna, a w dodatku nie miał żadnych dowodów na jej potwierdzenie.

No dobra, przyleciał tym śmiesznym samolotem raketowym — który właściwie nie miał rakiet. To dość imponujące. Może ten samolot faktycznie przybył z kosmosu? A może nie. Może był to jeden z tych tajnych projektów, nad którymi naziści pracowali w czasie wojny. Pod koniec mieli przecież silniki odrzutowe i pociski V-2, i nawet zaczęli pracować nad bombą atomową. Może zmajstrowali go Rosjanie? Nie miałem pojęcia. Gdyby Tachion pozwolił nam obejrzeć statek, nasi chłopcy pewnie by się zorientowali, że nie pochodzi z Ziemi. Ale on nie wpuszczał nikogo do środka, co wydało mi się co najmniej podejrzane. Czyżby coś ukrywał?

Powiedział, że przybył z planety Takis. Nie wiem, jak wy, ale ja nigdy wcześniej nie słyszałem o żadnej Takis. Mars, Wenus, Jowisz, jasne. Nawet Mongo i Barsoom. Ale Takis? Zadzwoiłem do kilkunastu najlepszych astronomów w całym kraju, nawet do jednego gościa w Anglii. „Gdzie jest planeta Takis?”, zapytałem. „Nie ma takiej”, powiedzieli wszyscy.

Facet podobno był kosmitą, tak? Zbadaliśmy go. Kilka badań przedmiotowych, rentgeny, seria testów psychologicznych, cały zestaw. Okazało się, że to człowiek. Jakkolwiek byśmy go oglądali, zawsze wychodził nam zwykły człowiek. Żadnych dodatkowych organów, żadnej zielonej krwi, pięć palców u ręki, pięć u nogi, dwa jaja, jeden fiut. Ten skurwiel był dokładnie taki jak wy czy ja. Nawet mówił po angielsku, na Boga. Ale — zauważcie — mówił też po niemiecku. I po rosyjsku, i francusku, i jeszcze w paru językach, nie pamiętam jakich. Zrobiłem nagranie naszych sesji i odegrałem zawodowemu lingwiście, który powiedział, że facet mówi z akcentem środkowoeuropejskim.

A ci znachorzy od głowy? Rany, powinniście zobaczyć ich raporty. Klasyczna paranoja,

mówili. Megalomania. Schizofrenia. Wszystko naraz. I trudno się dziwić: facet twierdził, że jest księciem z kosmosu i ma jakieś pieprzone moce magiczne i że przybył tu, by ocalić naszą planetę. Czy to brzmi jak słowa kogoś normalnego?

I powiem wam jeszcze coś o tych jego mocach. Przyznam, że właśnie to nie dawało mi spokoju. Tachion nie tylko umiał odczytać myśli. Potrafił spojrzeć na kogoś z ukosa, a wtedy gość nagle wskakiwał na biurko i ściągał spodnie, obojętnie, czy tego chciał, czy nie. Spędzałem z nim codziennie kilka godzin i w końcu facet mnie przekonał. Problem w tym, że moje raporty nie przekonały dowództwa na wschodnim wybrzeżu. Uważali, że to jakieś oszustwo, że gość nas hipnotyzuje, czyta z mowy ciała, wykorzystuje jakieś triki psychologiczne, by wmówić nam, że naprawdę czyta w myślach. Zamierzali nam przysłać hipnotyzera, ale zanim tu dotarł, wszystko pieprznięło.

Nie zadawał prawie żadnych pytań. Bez przerwy powtarzał tylko, że musi porozmawiać z prezydentem, żeby zmobilizować całą amerykańską armię i rozpocząć poszukiwania rozbitego statku. Sam oczywiście dowodziłby całą akcją, nikt inny nie miał odpowiednich kwalifikacji. Nasi najlepsi naukowcy mogli mu posłużyć jako asystenci. Żądał, żeby dostarczyć mu radary, odrzutowce, psy gończe i jakieś dziwne maszyny, o których nikt w życiu nie słyszał. Żądał wszystkiego, co się dało. Aha, i nie chciał się z nikim konsultować. Facet wyglądał jak fryzjer gej, ale wydawał rozkazy takim tonem, jakby miał co najmniej trzy gwiazdki na rękawie.

I po co to wszystko? Wyjaśnienie było naprawdę przednie. Na tej jego planecie, Takis, mieszkało kilkadziesiąt potężnych rodzin, które wszystkim trzęsły, tacy arystokraci, tylko obdarzeni magiczną mocą. Większość czasu spędzali na ciągłych przepychankach, walcząc ze sobą jak Hatfieldowie i McCoyowie. Aż w końcu jego rodzina wynalazła tajną broń, nad którą pracowali już od kilku wieków. Sztucznie wyhodowany wirus dostosowujący się do organizmu nosiciela, zmieniający informację genetyczną. Tachion podobno należał do zespołu badawczego.

No dobrze, postanowiłem go podpuścić. Spytałem: „To co właściwie robi ten wirus?”. I teraz wyobraźcie sobie, co odpowiedział mi ten facet: „Wszystko”.

Potem wyjaśnił, że docelowo wynalazek miał wzmacniać ich moce umysłowe, może nawet wykształcić nowe zdolności, pomóc im ewoluować, zmienić ich jakby w bóstwa, co na pewno zapewniłoby im przewagę nad pozostałymi. Ale okazało się, że wirus nie zawsze działa zgodnie z planem. Czasem tak. Najczęściej po prostu zabijał ofiarę. Tachion godzinami rozwodził się nad tym, jakie to niebezpieczne, i przyznam, że ciarki mnie przeszły. „Jakie są symptomy infekcji?”, spytałem. Wtedy w czterdziestym szóstym wiedzieliśmy już co nieco o broni biologicznej. Chciałem wiedzieć, czego właściwie szukamy.

Nie potrafił podać konkretnych symptomów. „To sprawa indywidualna”, powiedział. Symptomy mogą być najróżniejsze. Słyszeliście kiedyś o takim wirusie? Bo ja nie.

Potem Tachion wspominał, że czasami nie zabija ludzi, tylko zmienia ich w dziwadła. „Jakie dziwadła?”, spytałem. „Najróżniejsze”, odpowiedział. Przyznałem, że brzmi to groźnie, i spytałem, czemu jego krewni nie użyli tego wynalazku przeciwko innym rodzinom. „Ponieważ — wyjaśnił Tachion — czasem wirus działa zgodnie z planem, przebudowuje genotyp ofiary i daje jej moce”. Jakie moce? Oczywiście najróżniejsze.

A zatem obcy mieli taką zabawkę. Nie chcieli użyć jej na swoich przeciwnikach, bo mogliby przez przypadek obdarzyć ich mocami. Nie chcieli użyć jej na sobie, bo mogliby wybić połowę rodziny. Ale nie zamierzali tego tak zostawić. Postanowili przetestować tę broń na nas. Dlaczego na nas? Ponieważ mamy identyczną genetykę — jedyny taki gatunek w znanym im

wszechświecie — a wirus został dostosowany do takizjańskiego genotypu. Jak do tego doszło? Niektórzy uważali, że to zasługa ewolucji równoległej, inni sądzili, że Ziemia to zaginiona takizjańska kolonia. Tachion nie wiedział i wcale go to nie interesowało.

Obchodził go sam eksperyment. Uważał, że to „niegodne”. Protestował, ale nikt z rodziny go nie słuchał. Statek wystartował. A wtedy Tachion postanowił powstrzymać ich, sam jeden. Podążył za nimi mniejszym statkiem i zarząnął swój napęd tachionowy, byle tylko ich wyprzedzić. Gdy zagroził im drogę, kazali mu spierdalać, chociaż był przecież ich krewnym, i wywiązała się z tego jakaś kosmiczna bitwa. Jego statek został uszkodzony, ich też i oba się rozbiły. Powiedział, że tamci prawdopodobnie spadli gdzieś na wschodzie. Nie mógł ich śledzić, bo instrumenty mu wysiadły, więc wylądował w White Sands i spróbował znaleźć pomoc.

Nagrałem całą historię na taśmę. Wywiad wojskowy skontaktował się potem z całą gromadą ekspertów: biochemików, lekarzy specjalistów od broni biologicznej, naprawdę wszystkich. Podobno istnieje jakiś kosmiczny wirus, powiedzieliśmy, symptomy są całkowicie losowe i nieprzewidywalne. „To niemożliwe”, odparli. To kompletny absurd. Jeden z nich nawet palnął mi wykład o tym, że ziemskie zarazki nie byłyby w stanie zainfekować Marsjan tak, jak to opisano w tej książce H.G. Wellsa, a marsjańskie mikroby nie byłyby w stanie zaatakować nas. Co mieliśmy zrobić? Wymieniliśmy parę żartów o marsjańskiej grypie i gorączce raketowej. Ktoś, nie wiem kto, określił rzekomą broń mianem „wirus-dzika karta” i szybko się przyjęło, choć żaden z nas ani przez chwilę w to nie wierzył.

Sytuacja już była napięta, a Tachion jeszcze ją pogorszył, próbując ucieczki. Prawie mu się udało, ale jak mówił mój starszy, „prawie” liczy się tylko przy rzucaniu podkówną i granatem. Pentagon przysłał swojego człowieka, żeby go przepętał, jakiegoś pułkownika nazwiskiem Wayne, a wtedy Tachionowi skończyła się cierpliwość. Przejął kontrolę nad pułkownikiem i obaj wymaszerowali z budynku. Gdy wartownik próbował ich zatrzymać, Wayne krzyknął, że mają ich przepuścić, a że był wyższy stopniem, wszyscy zeszli mu z drogi. Twierdził, że będzie eskortował Tachiona z powrotem do Waszyngtonu. Wzięli jeepa i dotarli aż do statku, ale tymczasem jeden ze strażników zadzwonił do mnie i moi ludzie już na nich czekali. Kazałem im zignorować wszystko, co tylko powie pułkownik Wayne. Wsadziliśmy Tachiona do aresztu i trzymaliśmy pod strażą. Wprowadzie miał te swoje magiczne moce, ale nie na wiele mu się przydały. Mógł omamić co najwyżej trzy– cztery osoby, ale nie wszystkich, a wtedy byliśmy już wyczuleni na jego sztuczki.

Może ta ucieczka to nie był dobry pomysł, ale po tym ktoś w końcu załatwił mu tę rozmowę z Einsteinem, o którą męczył nas od początku. Pentagon powtarzał, że facet jest najlepszym hipnotyzerem świata, ale nikt z nas już im nie wierzył, a powinniście usłyszeć, co myślał o tym pułkownik Wayne. Jajogłowi też się spietrali. Tak czy inaczej, Wayne i ja wynegocjowaliśmy więźniowi przelot do Princeton. Uznałem, że rozmowa z Einsteinem nie może w niczym zaszkodzić, a może się na coś przyda. Statek został skonfiskowany, a z pasażera wyciągnęliśmy już wszystko, co się dało. Mówiono, że Einstein to największy umysł naszej epoki — może on coś z tego zrozumie?

Do tej pory niektórzy twierdzą, że wojsko odpowiada za całą późniejszą katastrofę, ale to nieprawda. Każdy jest mądry po szkodzie, ale ja nadzorowałem tę sprawę od samego początku i nawet na łożu śmierci będę przysięgał, że zachowaliśmy najwyższą ostrożność.

Najbardziej dopieкло mi całe to gadanie, jak to nie zrobiliśmy nic, żeby wysledzić tę cholerną kulę z wirusami. Może popełniliśmy błąd, ale przecież nie byliśmy głupi i zrobiliśmy wszystko,

by zabezpieczyć tyły. Każda wojskowa instalacja obserwacyjna dostała wytyczne, żeby wypatrywać rozbitego statku podobnego do muszli i migającego światłami. Czy to, kurwa, moja wina, że nikt nie potraktował nas poważnie?

Przyznajcie mi chociaż jedno. Gdy już rozpętało się piekło, w ciągu dwóch godzin wsadziłem Tachiona na transport do Nowego Jorku. Siedziałem na fotelu za nim. Ten rudy mazgaj jęczał i chlipał przez pół drogi. Ja modliłem się za Śmiga.



Trzydzieści minut nad Broadwayem!

OSTATNIA PRZYGODA ŚMIGA

HOWARD WALDROP

Lotnisko firmy Bonham Transport Lotniczy nieopodal Shantak w New Jersey było zasnuwane szarością. Mały szperacz na wieży ledwie odpychał napierającą ciemność wirującej mgły.

Na mokrym chodniku przed hangarem 23 rozległ się zgrzyt hamujących opon. Ktoś otworzył drzwi i prawie natychmiast je zatrzasnął. Czyjeś kroki zbliżyły się do drzwi z napisem „Tylko dla pracowników”. Ktoś pchnął drzwi. Do środka wszedł Scoop Swanson, niosąc aparat Kodak Autograph Mark II, a w drugiej ręce torbę pełną lamp i rolek filmu.

Lincoln Traynor podniósł głowę znad silnika zapasowego P-40, którego właśnie szykował dla pewnego pilota — szczęśliwiec kupił go na aukcji telefonicznej za dwieście trzydzieści dziewięć dolarów. Sądząc z kształtu silnika, prawdopodobnie był używany przez Latające Tygrysy w latach czterdziestych. W radiu akurat leciał jakiś mecz. Linc przyciszył.

— Hej, Linc.

— Hej.

— Jakieś wiadomości?

— Nie sądzę. Wczoraj przesłał telegram, że przyleci dzisiaj. Jak dla mnie, to wystarczy.

Scoop wziął zapalniczkę z ławki, zaciągnął się camelem i wydmuchnął dym w stronę tabliczki z napisem „Całkowity zakaz palenia”.

— Hej, a to co? — spytał, obchodząc samolot. Z tyłu zobaczył dwa czerwone przedłużenia skrzydeł i dwa dodatkowe zbiorniki paliwa, wydłużone w kształcie łez i pomalowane na czerwono, każdy po tysiąc trzysta pięćdziesiąt litrów.

— Kiedy to przywieźli?

— Air Corps przysłała je wczoraj z San Francisco. Dziś znów przyszedł telegram do niego. Możesz przeczytać, w końcu to ty będziesz pisać z tego reportaż. — Podał Scoopowi rozkaz z Departamentu Wojny.

Do: Śmig (Tomlin, Robert, brak drugiego imienia)

Loco: Bonham Transport Lotniczy

Hangar 23

Shantak, New Jersey

1. Poczynając od tego dnia, od godziny 12:00, 12 sierpnia 1946 r., nie pozostaje pan w czynnej służbie Sił Powietrznych Armii Stanów Zjednoczonych (USAAF).

2. Pański statek powietrzny (model eksperymentalny) (seria nr JB-1) zostaje wycofany z czynnej służby w ramach Sił Powietrznych Armii Stanów Zjednoczonych i przekazany panu jako prywatny samolot. Od tej pory nie przysługuje panu wsparcie ze strony Sił Powietrznych ani Departamentu Wojny.

3. Zaświadczenia, listy polecające i nagrody zostaną przekazane osobno.
4. Z naszych akt wynika, że Tomlin, Robert (brak drugiego imienia) nie uzyskał licencji pilota. Proszę skontaktować się z CAB w celu ukończenia kursu i uzyskania certyfikacji.
5. Czystego nieba i pomyślnych wiatrów.

Arnold H.H.
szef sztabu, USAAF

cf. rozkaz wykonawczy nr 2, 08.12.1941

— Jak to „nie uzyskał licencji pilota”? — spytał dziennikarz. — Czytałem jego akta, mają chyba trzydzieści centymetrów grubości. Ten gość latał szybciej i dalej niż ktokolwiek inny — pięćset samolotów, pięćdziesiąt statków! I zrobił to bez licencji?!

Linc otarł smar z wąsów.

— Aha. W życiu nie widziałem dzieciaka, który miałby większego hopla na punkcie samolotów. W trzydziestym dziewiątym — miał pewnie ze dwanaście lat — usłyszał, że jest robota dla pilotów. Stawił się o czwartej rano — specjalnie zwiął z sierocińca. Oczywiście zaraz się po niego zjawili. Ale wtedy profesor Silverberg zdążył już zatrudnić go u siebie i jakoś to z nimi załatwił.

— Silverberg to ten, który uciekł przed nazistami? Zrobił pierwszy odrzutowiec?

— Aha. Prawdziwy geniusz, wyprzedzał wszystkich o całe lata, ale też straszny dziwak. Zrobiłem dla niego samolot, Bobby i ja złożyliśmy go własnymi rękami. Ale Silverberg skonstruował silnik odrzutowy, najbardziej niesamowity napęd, jaki widziałem w życiu. Naziści i Włosi, i ten Whittle w Anglii też zaczęli robić swoje. Ale Niemcy zorientowali się, że coś się tu święci.

— Skąd ten dzieciak nauczył się latać?

— Chyba zawsze umiał. — Lincoln wrzucił ramionami. — Któregoś dnia siedział tu koło mnie, pomagał mi wyginać blachę, a za chwilę siedział z profesorem w kokpicie i latali w kółko, sześćset pięćdziesiąt kilometrów na godzinę. W ciemności, z tymi wczesnymi silnikami.

— Jakim cudem zdołali utrzymać to w tajemnicy?

— Nie zdołali. Szpiedzy przyszli po Silverberga. Po niego i po ten samolot. Bobby akurat był w powietrzu. Chyba już podejrzewali z profesorem, że na coś się zanosi. Silverberg zaczął się stawiać i naziści go zabili. Był potem straszny smród dyplomatyczny. W tamtych czasach JB-1 miał tylko sześć działek kaliber .30. Nie mam pojęcia, skąd profesor je wytrzasnął. Ale chłopak zestrzelił tym samochód pełen szpiegów i tę motorówkę na Hudson River wiozącą ludzi z ambasady. Wszyscy mieli wizy dyplomatyczne. Zaraz, chwileczkę. — Linc przerwał. — Kończy się doubleheader na Cleveland. Na Blue Network. — Podkręcił głośność małego odbiornika Philco stojącego ponad stojakiem na narzędzia.

— ...*Sanders do Papenfussa, ten do Volstada, podwójny aut! Sox tracą dwa punkty, Cleveland na prowadzeniu. Za chwilę wrócimy...*

Linc wyłączył radio.

— No to miałem pięć doliców. Na czym stanęliśmy?

— Szkopy zabiły Silverberga, a Śmig się odegrał. Wyjechał potem do Kanady, prawda?

— Nieoficjalnie wstąpił do RCAF. Walczył w Bitwie o Anglię, potem poleciał do Chin walczyć z Tygrysami przeciw żółtkom, a potem jeszcze zdążył do Anglii, akurat na Pearl

Harbor.

— Roosevelt go mianował?

— Tak jakby. Wiesz, to jest najzabawniejsze w tej jego karierze. Facet walczył przez całą wojnę, od trzydziestego dziewiątego do czterdziestego piątego, dłużej niż jakikolwiek inny Amerykanin, a potem pod sam koniec przepadł gdzieś na Pacyfiku. Przez rok wszyscy myśleli, że zginął. Aż tu nagle miesiąc temu znaleźli go na jakiejś bezludnej wyspie i teraz wraca do domu.

Rozległo się wysokie, piskliwe zawodzenie, jakby nurkującego samolotu śmigłowego. Dochodził z mglistego nieba. Scoop zgasił trzeciego camela.

— Jakim cudem chce wylądować w tej zupie?

— Ma radar pokładowy. Zdjął go z nocnego myśliwca w czterdziestym trzecim. Mógłby wylądować tym cackiem w cyrkowym namiocie o północy.

Podeszli do drzwi. Światła lądowania przecięły skłębioną mgłę. Zbliżyły się do przeciwległego krańca pasa startowego, po czym zawróciły, sunąc naprzód po drodze kołowania.

W światłach pasa owianych sinym oparem mgły mignął czerwony kadłub. Dwusilnikowy górnopłat zawrócił w ich stronę, podtoczył się i zatrzymał.

Linc Traynor umieścił podstawki pod tylnymi kołami. Owiewka uniosła się i odsunęła w tył. Samolot wyposażono w cztery działka 20 mm zamontowane w nasadach skrzydeł i jedno działko 75 mm umieszczone poniżej i na lewo od skrajki kokpitu.

Samolot miał wysoki, wąski statecznik pionowy, a tylny ster wysokości przypominał kształtem ogon pstrąga. Spod wszystkich sterów wystawały lufy karabinów maszynowych. Jedyne oznaczenie stanowiły cztery niestandardowe gwiazdy USAAF otoczone czarną obwódką i numer seryjny JB-1 na wierzchu prawego i dole lewego skrzydła i pod statecznikiem.

Antena radarowa na nosie samolotu przypominała patyk do pieczenia kiełbasek.

Z kokpitu wyszedł chłopak w czerwonych spodniach, białej koszuli, niebieskim kasku i goglach. Mógł mieć dziewiętnaście, może dwadzieścia lat. Zszedł po drabince zrzuconej z lewej strony, po czym zdjął kask i gogle. Miał kręcone, ciemnoblond włosy, był niski i krępy.

— Cześć, Linc — powiedział i uściskał pucułowatego mężczyznę, poklepując go po plecach. Scoop pstryknął zdjęcie.

— Cieszę się, że cię widzę, Bobby — odparł Linc.

— Od dawna nikt mnie tak nie nazywał — stwierdził tamten. — Miło to znów usłyszeć.

— To jest Scoop Swanson — przedstawił kolegę Linc. — Dzięki niemu znów trafisz na szczyty sławy.

— Wolałbym do łóżka. — Pilot potrzęsnał ręką reportera. — Gdzie tu można zjeść jakieś jajka na szynce?



Motorówka wpłynęła do portu we mgle. Nieopodal jakiś statek właśnie kończył czyścić żęzy i zawracał, by popłynąć na południe.

Przy nabrzeżu stało trzech ludzi: Fred, Ed i Filmore. Z motorówki wysiadł mężczyzna z walizką w ręku. Filmore pochylił się i wręczył sternikowi Lincolna i dwa Jacksony. Potem podał rękę pasażerowi z walizką.

— Witamy z powrotem, doktorze Tod.

— Dzięki, Filmore. Miło wrócić do domu — odparł mężczyzna. Ubrany był w workowaty garnitur i długi płaszcz, chociaż był sierpień. Naciągnął kapelusz głęboko na oczy. Białe światła pobliskiego magazynu wyłapały błysk metalu.

— To jest Fred, a to Ed — ciągnął Filmore. — Przyjechali tylko na dziś wieczór.

— Bry — powiedział Fred.

— Bry — zawtórował Ed.

Razem wrócili do samochodu, mercedesa z czterdziestego szóstego, przypominającego kształtem okręt podwodny. Tod i Filmore usiedli w środku i obserwowali zamglone uliczki po bokach. Potem Fred usiadł za kierownicą, a Ed na siedzeniu pasażera. W ręku trzymał obrzyn, kaliber 0.77.

— Nikt się mnie nie spodziewa — powiedział doktor Tod. — Nikogo już nie obchodzę. Wszyscy, którzy coś do mnie mieli, albo nie żyją, albo zeszli na ucziwą drogę. Jestem stary i zmęczony. Jadę na wieś hodować pszczoły, grać na wyścigach i na giełdzie.

— Nic pan nie planuje, szefie?

— Absolutnie nic.

Odwrócił się, gdy mijali latarnię. Połowa twarzy zniknęła — od szczęki do rąbki kapelusza i od nosa do lewego ucha ciągnęła się gładka płytka.

— Przede wszystkim nie mogę już strzelać. Wycucie głębi już nie to co kiedyś.

— Jasne — odparł Filmore. — Słyszeliśmy, że coś się panu przytrafiło, jeszcze w czterdziestym trzecim.

— Wszedłem w pewną nieco zyskowną operację w Afryce, kiedy Afrika Korps zaczął się rozpadać. Przeprowadzałem ludzi tam i z powrotem przy użyciu technicznie neutralnej floty. Po samych obrzeżach. Ale potem wpadłem na tego szalonego lotnika.

— Kogo?

— Dzieciaka w odrzutowcu. Używał ich wcześniej niż Niemcy.

— Wie pan co, szefie? Nie za bardzo śledziłem wojnę. Nie interesują mnie konflikty terytorialne.

— Słusznie, sam powinienem tak zrobić — zgodził się doktor Tod. — Wylatywaliśmy właśnie z Tunezji. Wieźliśmy parę ważnych szych. Pilot krzyknął. Coś wybuchło. Gdy się ocknąłem, był już ranek następnego dnia, a ja i jeszcze jeden facet siedzieliśmy w pontonie pośrodku Morza Śródziemnego. Twarz mnie bolała. Podniosłem się, a wtedy coś upadło na dno tratwy. Moje lewe oko. Patrzyło na mnie. Wtedy już wiedziałem, że nie jest dobrze.

— Powiedział pan: „dzieciak w odrzutowcu”?

— Tak. Później dowiedzieliśmy się, że alianci złamali nasze szyfry, a ten smarkacz przeleciał dziewięćset siedemdziesiąt kilometrów tylko po to, żeby nas dopaść.

— Chce się pan odegrać? — spytał Filmore.

— Nie. To było dawno temu. Już prawie nie pamiętam tamtej połowy twarzy. Po prostu nauczyłem się większej ostrożności. Uznałem, że to dobre ćwiczenie charakteru.

— A zatem żadnych planów, hm?

— Ani jednego.

— To miła odmiana — stwierdził Filmore.

Patrzyli, jak mijają ich latarnie.



Zapukał do drzwi, czując się głupio i niezręcznie w nowym, trzyczęściowym garniturze.

— Otwarte! — zawołał kobiecy głos. — Zaraz będę gotowa — dodał ten sam głos, tym razem stłumiony.

Śmig otworzył dębowe drzwi w korytarzu i wszedł do środka. Minął szklano-ceglaną ściankę, oddzielającą pokój od przedsionka.

Pośrodku pokoju stała piękna kobieta, z sukienką na pól wciągniętą przez głowę. Miała na sobie halkę, pas i jedwabne pończochy. Wkładała sukienkę jedną ręką.

Śmig odwrócił się, zaczerwieniony i zakłopotany.

— Och! — wykrzyknęła kobieta. — Och! Kim pan...

— Belindo, to ja. Robert.

— Robert?

— Bobby. Bobby Tomlin.

Przez chwilę patrzyła na niego osłupiała, przyciskając dłonie do piersi, choć była już w pełni ubrana.

— Och, Bobby! — wykrzyknęła w końcu. Podbiegła i uściskała go mocno, a potem pocałowała prosto w usta.

Czekał na to przez sześć lat.

— Bobby, tak się cieszę. Nie spodziewałam się ciebie, myślałam, że to... koleżanki. Jak mnie znalazłeś?

— Nie było łatwo.

Odsunęła się o krok.

— Niech ci się przyjrzę.

On też na nią spojrzał. Gdy widział ją po raz ostatni, była chudym, czternastoletnim łobuziakiem. Trzy lata wcześniej sprąła go prawie do nieprzytomności. Był od niej o rok młodszy.

Niedługo później on uciekł, by pracować na lotnisku, a potem — walczyć dla Anglików przeciw Hitlerowi. Pisał do niej listy, gdy tylko mógł. Dowiedział się, że Belinda opuściła sierociniec i trafiła do rodziny zastępczej. W czterdziestym czwartym jeden z listów powrócił do niego z dopiskiem „Brak nowego adresu”. A potem on zniknął na cały rok.

— Zmieniłaś się — powiedział.

— Ty też.

— Mhm.

— Czytałam gazety przez całą wojnę. Próbowałam do ciebie pisać, ale listy chyba nie dotarły. Potem powiedzieli, że zaginałeś na morzu. Myślałam, że to koniec.

— Zaginałem, ale mnie znaleźli. A teraz wróciłem. Co u ciebie?

— Dobrze, odkąd uciekłam od rodziny zastępczej — odparła. Przez twarz przebiegł jej grymas bólu. — Nie masz pojęcia, jak się cieszę, że stamtąd zwiłam. Och, Bobby! — wykrzyknęła. — Tak mi przykro! — Rozpłakała się trochę.

— Hej! — Chłopak chwycił ją za ramiona. — Usiądź. Mam coś dla ciebie.

— Prezent?

— Aha. — Podał jej przybrudzoną, poplamioną smarem paczkę. — Nosilem ją przy sobie

przez ostatnie dwa lata. Była ze mną w samolocie, gdy się rozbiłem. Przepraszam, nie miałem czasu zmienić opakowania.

Rozdarła szary papier. W środku były dwie książki: *Chatka Puchatka* i *Królik srogi i zły*.

— Och — szepnęła Belinda. — Dziękuję.

Śmig przypomniał sobie, jak dawniej, ubrana w sieroce ogrodniczki, zmęczona i brudna, tuż po meczu bejsbolowym, kładła się na podłodze czytelnicy z książką o Puchatku.

— Zdobyłem dla ciebie autograf prawdziwego Krzysia... to znaczy Christophera Robina — dodał. — Był oficerem RAF-u w jednej z baz. Powiedział mi, że normalnie nie robi takich rzeczy, przecież jest tylko żołnierzem, tak jak wszyscy. Obiecałem nikomu nie mówić. Wiedział, że szukałem tej książki dosłownie wszędzie. Z tą drugą wiąże się jeszcze lepsza historia. Wracalem do bazy tuż przed zmrokiem, eskortując uszkodzonego B-17. Nagle zobaczyłem dwa niemieckie nocne myśliwce, pewnie wylatujące na patrol, próbujące złapać parę lancasterów, zanim przelecą nad kanał. Krótko mówiąc, zestrzeliłem je oba, ale kończyło mi się paliwo i musiałem wylądować. Zobaczyłem ładne pastwisko z jeziorkiem na końcu, więc dałem nura. Gdy wyszedłem z kokpitu, na skraju pola stała jakaś kobieta z psem pasterskim. W ręku trzymała strzelbę. Podeszła bliżej, aż w końcu odczytała oznaczenia i zawołała: „Dobry strzał, chłopcze! Wstąpisz do mnie na kolację? Możesz stąd zadzwonić do Fighter Command”. Patrzyliśmy, jak w oddali płoną dwa ME-110. „A zatem to ty jesteś ten słynny Śmig” — stwierdziła kobieta. „Śledziliśmy twoje dokonania w gazecie Sawrey. Jestem pani Heelis.” — Wyciągnęła rękę. Uścisnąłem ją. „Pani Williamowa Heelis?” — upewniłem się. „A to jest Sawrey?”. „Tak” — odparła. „Beatrix Potter!” — wykrzyknąłem. „To pani!”. „Na to wygląda” — odpowiedziała. Posłuchaj, to była starsza pani, krępa i przysadzista, w powyciąganym swetrze i znoszonej sukience. Ale przysięgam, że jej uśmiech mógłby rozjaśnić całą Anglię.

Belinda otworzyła książkę. Na pierwszej czystej stronie wypisano:

Belindzie, przyjaciółce Śmiga

od

pani Williamowej Heelis

(„Beatrix Potter”)

12 kwietnia 1943 r.

Belinda poczęstowała go kawą.

— Gdzie twoje koleżanki? — zapytał w końcu.

— Eee, właściwie powinny już tu być. Może pójde zatelefonować i przełożę spotkanie? Możemy posiedzieć i pogadać o dawnych czasach.

— Nie — odparł Śmig. — Wiesz co? Lepiej zadzwonię do ciebie w tygodniu. Umówimy się, gdy będziesz wolna. Byłoby miło.

— Jasne.

Śmig wstał.

— Dziękuję za książki, Bobby. Naprawdę wiele dla mnie znaczą.

— Dobrze było cię zobaczyć, Bee.

— Nikt mnie tak nie nazywał od czasu sierocińca. Zadzwoni niedługo, dobrze?

— Obiecuję. — Pochylił się i znów ją pocałował.

Schodząc po schodach, minął jakiegoś faceta w modnym garniturze — przykrótkie spodnie,

długa marynarka z watowanymi ramionami, łańcuszek od zegarka i mucha wielkości wieszaka. Włosy miał gładko zaczesane, pachniał brylantyną i Old Spice'em. Przeskakiwał po dwa stopnie, gwiżdżąc pod nosem *It Ain't the Meat, It's the Motion*.

Śmig usłyszał, jak puka do mieszkania Belindy.

Gdy wyszedł na zewnątrz, padał deszcz.

— Świetnie — stwierdził. — Zupełnie jak w filmach.



Kolejna noc była cicha jak grób.

Potem psy na całym Pine Barrens rozszczękały się równocześnie. Koty miauczały. Ptaki w panice zerwały się z drzew, zataczając kręgi w ciemnościach.

Trzask statyki popłynął z każdego radia w północno-wschodnich Stanach. Nowe odbiorniki telewizyjne zapłonęły jaskrawo, dźwięk buchnął z nich ze zdwojoną siłą. Ludzie zebrani wokół dwudziestodwucentymetrowych dumontów odskoczyli, zdumieni nagłym hałasem i blaskiem, oślepieni we własnych salonach, barach i na chodnikach przed sklepami z elektroniką na całym Wschodnim Wybrzeżu.

Ci, którzy byli akurat na zewnątrz, zobaczyli coś jeszcze lepszego. Cienka smuga światła, wysoko na niebie, płonąca coraz jaśniej i spadająca w dół. Potem rozrosła się, pojaśniała, zmieniając się w błękitnozielony meteor, na chwilę zastygła, a potem rozpadła się na snop iskier, który z wolna przygasł na ciemnym, gwiazdzistym niebie.

Niektórzy twierdzili, że kilka chwil później zobaczyli jeszcze inne, mniejsze światełko. Na chwilę zawisło w powietrzu, po czym popędziło na zachód, szybko przygasając. W gazetach przez całe lato pisano o „widmowych raketach” w Szwecji. W końcu był sezon ogórkowy.

Kilka telefonów do instytutu meteorologii i baz Sił Powietrznych Armii otrzymało uspokajające zapewnienia, że to prawdopodobnie zabłąkane okruchy z roju meteorów Delta Akwaryd.

W Pine Barrens był ktoś, kto wiedział, że jest inaczej, ale nie miał ochoty dzielić się tą wiedzą.



Śmig, ubrany w luźne spodnie, koszulę i brązową kurtkę pilotkę, wszedł do biura Blackwell Printing. Nad jednym z wejść widniał czerwono-niebieski napis Cosh Comics Company.

Zatrzymał się przy biurku recepcjonistki.

— Robert Tomlin do pana Farrella.

Sekretarka, szczupła blondynka w okularach z wygiętymi oprawkami, które upodabniały ją do nietoperza, spojrzała na niego zdziwiona.

— Pan Farrell zmarł zimą czterdziestego piątego. Był pan na wojnie czy coś?

— Coś takiego.

— Może chce pan pomówić z panem Lowboyem? Objął stanowisko po śmierci pana Farrella.

— Chciałbym mówić z kimś, kto zarządza publikacją komiksów „Przygody Śmiga”.

Cały pokój zadrżał, gdy na tyłach budynku uruchomiono prasę drukarską. Ściany pokrywały

barwne, krzykliwe okładki komiksów, zapewniające, że tylko one oferują najlepszą rozrywkę.

— Robert Tomlin do pana — powiedziała sekretarka przez interkom.

— *Zgrzyt piip* nie znam człowieka *piip*.

— Przepraszam, a w jakiej pan sprawie?

— Proszę powiedzieć, że Śmig chce z nim pomówić.

— Och! — wykrzyknęła. — Przepraszam. Nie poznałam pana.

— Nie pani jedna.



Lowboy wyglądał jak gnom, z którego ktoś wysał krew. Był blady jak Harry Langdon i przypominał chwast wyhodowany pod konopnym workiem.

— Pan Śmig! — wykrzyknął, wyciągając przed siebie dłoń przypominającą garść robaków na przynętę. — Myśleliśmy, że pan zginął, póki w zeszłym tygodniu nie przeczytaliśmy o panu w gazetach. Jest pan bohaterem narodowym, wie pan?

— Nie czuję się bohaterem.

— Co mogę dla pana zrobić? Oczywiście cieszę się, że postanowił pan nas odwiedzić, ale musi być ku temu jakiś powód. Domyślam się, że jest pan bardzo zajęтым człowiekiem.

— No cóż, przede wszystkim dowiedziałem się, że od zeszłego lata, gdy uznano mnie za zaginionego i prawdopodobnie zmarłego, na moje konto nie wpłynęły żadne tantiemy.

— Naprawdę? Dział prawny pewnie wpłacał je na rachunek powierniczy, póki ktoś się nie zgłosił. Zaraz ich zapytam.

— Cóż, zanim stąd wyjdę, chciałbym otrzymać czek na zaległą kwotę.

— Hę? Nie wiem, czy to możliwe. To... bardzo niespodziewane.

Śmig zmierzył go wzrokiem.

— Dobrze, dobrze. Zaraz zadzwonię do księgowości. — Lowboy wykrzyknął coś do słuchawki.

— Aha, jeszcze jedna rzecz. Kolega odkładał dla mnie stare numery. Sprawdziłem nakłady za ostatnie dwa lata. „Przygody Śmiga” sprzedają pół miliona egzemplarzy każdego wydania.

Lowboy nadal krzyczał do słuchawki. W końcu odłożył ją na widełki.

— To może im chwilę zająć. Coś jeszcze?

— Nie podoba mi się zawartość tych komiksów.

— Sprzedajemy ich pół miliona miesięcznie! Co tu się może nie podobać?

— Po pierwsze, samolot coraz bardziej przypomina pocisk. Rysownicy wygięli mu skrzydła do tyłu, na Boga!

— Mamy wiek atomu, chłopcze. W dzisiejszych czasach chłopcy nie chcą oglądać samolotów, które przypominają udziec jagnięcy z wbitym z przodu wieszakiem.

— Ale mój samolot zawsze tak wyglądał! I jeszcze jedna rzecz: dlaczego od trzech odcinków jest niebieski?

— To nie moja wina! Mnie się podobał czerwony. Ale pan Blackwell przesłał nam memorandum, że odtąd w komiksach ma nie być czerwieni, chyba że to krew. Jest zagorzałym legionistą.

— Proszę mu powiedzieć, że samolot ma wyglądać, jak należy, i ma mieć właściwy kolor.

Poza tym przesyłaliśmy raporty z walki. Gdy za tym biurkiem siedział pan Farrell, komiks opowiadał o lotach, o walce powietrznej i niszczeniu siatek szpiegowskich — prawdopodobne historie. I nigdy nie było więcej niż dwie dziesięciostronicowe przygody Śmiga w jednym numerze.

— Gdy pan Farrell siedział za tym biurkiem, sprzedawaliśmy tylko ćwierć miliona miesięcznie — odparł Lowboy.

Robert znów zmierzył go wzrokiem.

— Wiem, że wojna się skończyła i teraz wszyscy chcą mieć nowy dom i oddawać się rozrywkom — spróbował znowu. — Ale proszę zobaczyć, co znalazłem w wydaniach z ostatniego półtora roku... Nigdy nie walczyłem z żadnym Grabarzem na żadnej Górze Przeznaczenia! A to co? Czerwony Szkielet? Hrabia Czerw? Profesor Blooteaux? Skąd tu tyle czaszek i macek? Szaleni bliźniacy Sturm i Drang Hohenzollern? Stawonogi goryl z sześcioma parami łokci? Skąd wy to bierzecie?!

— Przecież nie ja to wymyślam, tylko scenarzyści. To wariaci, wiecznie ćpają benzedrynę. A poza tym dzieci to lubią!

— A gdzie artykuły o lotnictwie, sylwetki prawdziwych lotników? Przecież zastrzegłem w umowie, że w każdym numerze mają być przynajmniej dwa artykuły o prawdziwych wydarzeniach!

— Musimy to sprawdzić. Ale od razu panu powiem, że dzieci to nie interesuje. Chcą czytać o potworach, kosmitach, chcą strasznych historii, po których zmoczą się w nocy. Nie pamięta pan? Przecież sam pan był kiedyś dzieckiem.

Śmig podniósł ołówek leżący na biurku.

— Miałem trzynaście lat, kiedy wybuchła wojna, i piętnaście, kiedy zbombardowano Pearl Harbor. Spędziłem na wojnie sześć lat. Czasem mam wrażenie, że nigdy nie byłem dzieckiem.

Lowboy przez chwilę milczał.

— Zrobmy tak — powiedział w końcu. — Niech pan wypisze wszystko, co się panu nie podoba w tym komiksie, i prześle nam te uwagi. Poproszę dział prawny, by to przejrzał, i coś wymyślimy. Oczywiście najbliższe numery są już przygotowane, więc zmiany pojawią się dopiero w okolicach Święta Dziękczynienia. Może później.

Śmig westchnął.

— Rozumiem.

— Chciałbym, by był pan zadowolony, bo „Śmig” to mój ulubiony komiks. Mówię serio. Pozostałe to tylko praca. Mój Boże, i to jeszcze jaka: bez przerwy trzeba pilnować terminów, użerać się z pijakami, stać nad karkiem drukarzom. Sam się pan domyśla! Ale lubię pracować przy „Śmigu”. Ten komiks jest wyjątkowy.

— Cieszę się.

— Tak, tak. — Lowboy zabębnił palcami o blat biurka. — Ciekawe, czemu to trwa tak długo.

— Pewnie wyciągają drugi zestaw książek — mruknął Śmig.

— Och, nie! Jesteśmy uczciwą firmą! — Lowboy zerwał się na nogi.

— Żartowałem.

— Aha. Wie pan co? W gazetach pisali, że wylądował pan na bezludnej wyspie. Musiało być ciężko?

— Przed wszystkim samotnie. Łowienie ryb szybko mi się sprzykrzyło. Nudziłem się jak mops, a do tego przegapiłem prawie cały rok. Siedziałem tam od dwudziestego dziewiątego kwietnia czterdziestego piątego do zeszłego miesiąca. Czasem myślałem, że zwariuję z samotności. Gdy w końcu zobaczyłem statek USS „Reluctant” na kotwicy, niecałe półtora kilometra od brzegu, nie mogłem w to uwierzyć. Odpaliłem flarę i przypłynęli po mnie. Dopiero po miesiącu udało mi się naprawić samolot i polecieć do domu. Cieszę się, że wróciłem.

— Na pewno. Hej, czy na tej wyspie było dużo dzikich zwierząt? Lwów, tygrysów, takich tam?

Śmig wybuchnął śmiechem.

— Wysepka była szeroka na niecałe półtora kilometra i miała trochę ponad półtora kilometra długości. Żyły na niej ptaki, szczury i trochę jaszczurek.

— A te jaszczurki były duże? Jadowite?

— Nie. Małutkie. Chyba zjadłem połowę z nich, zanim mnie uratowali. Zrobiłem procę z wężyka maski tlenowej.

— Ha! No jasne.

Do gabinetu wszedł wysoki mężczyzna w koszuli poplamionej tuszem.

— To on? — spytał Lowboy.

— Widziałem go tylko raz, ale chyba tak.

— To wystarczy — stwierdził Lowboy.

— Mnie nie — odparł księgowy. — Proszę pokazać dowód tożsamości i podpisać tutaj.

Śmig westchnął i podpisał. Spojrzał na kwotę wypisaną na czeku. Miała stanowczo zbyt mało cyfr przed przecinkiem. Złożył kartkę na czworo i schował do kieszeni.

— Zostawię adres państwa sekretarce, żeby było wiadomo, gdzie wysłać następny czek. Prześlę też list ze wszystkimi uwagami, pewnie jeszcze przed końcem tygodnia.

— Proszę tak zrobić. Miło było pana poznać. Mam nadzieję na długą owocną współpracę.

— Dziękuję... chyba — odparł Śmig i razem z księgowym wyszedł z gabinetu.

Lowboy odchylił się na oparcie krzesła. Założył ręce za głowę i wbił wzrok w biblioteczkę.

Potem zerwał się gwałtownie, chwycił słuchawkę i wykręcił dziewiątkę, by wyjść na miasto.

Zadzwoił do głównego scenarzysty „Przygód Śmiga”.

Niewyraźny, skacowany głos odezwał się po dwunastym dzwonku.

— Słuchaj, człowieku, oczyść głowę z gówna, mówi Lowboy. Wyobraź sobie coś takiego: pięćdziesiąt dwie strony, numer specjalny. Gotów? A teraz tytuł: *Śmig na Wyspie Dinozaurów*. Czaisz? Mnóstwo jaskiniowców, jakaś babka i ten, jak mu tam? Król Rex. Co? Tak, tyranozaur. Może jeszcze cały oddział żółtków. Najlepiej samurajów. Kiedy? Zszedł z kursu i przeniósł się w czasie? Chryste! Rób, co chcesz. Wiesz, czego nam trzeba. Co tam mamy dzisiaj? Wtorek? Masz czas do piątej we czwartek. Przestań jęczeć. Zarobisz błyskawiczne sto pięćdziesiąt dolców. Jasne, do usłyszenia.

Lowboy odłożył słuchawkę. Potem zadzwonił do rysownika i powiedział, co ma być na okładce.



Ed i Fred wracali właśnie z dostawy do Pine Barrens.

Jechali ośmiometrową wywrotką. Na pace jeszcze przed chwilą wieźli sześć metrów sześciennych świeżo zastygłego betonu. Osiem godzin wcześniej beton składał się z pięciu i pół metra wody, piachu, żwiru, cementu — i tajemniczego składnika.

Tajemniczy składnik złamał trzy z pięciu Nienaruszalnych Zasad prowadzenia nieopodatkowanego przedsiębiorstwa w miejscowym stanie. Pozostali przedsiębiorcy zabrali go zatem do hurtowni materiałów budowlanych i z bliska zapoznali z działaniem betoniarki.

Ed i Fred, oczywiście, nie mieli z tym nic wspólnego. Wezwano ich godzinę temu i spytano, czy nie pojechaliby wywrotką do lasu za parę tysiąków.

W lesie panował kompletny mrok. W ogóle nie było widać, że znajdują się zaledwie o sto sześćdziesiąt kilometrów od miasta zamieszkanego przez ponad pół miliona ludzi.

Reflektory oświetliły rowy, w których walało się dosłownie wszystko: od starych samolotów, poprzez butle po kwasie siarkowym. Niektóre ze śmieci były bardzo świeże. Kilka z nich jeszcze się tliło. Pozostałe lśniły benzyną. W kałuży bulgotała jakaś metaliczna ciecz.

Wjechali z powrotem pomiędzy sosny, podskakując na wybojach.

— Hej! — zawołał Ed. — Stój!

Fred nadepnął na hamulce, gasząc silnik.

— Cholera! — zaklął. — Co się dzieje?

— Tam! Przed chwilą widziałem gościa, który toczył przed sobą szklaną kulkę wielkości Cleveland!

— Ja tam na pewno nie wrócę.

— Chodź! Takich rzeczy nie widuje się codziennie.

— Cholera, Ed. Któregoś dnia przez ciebie zginiemy.



To nie była szklana kulka. Nie musieli nawet zapalać latarek, by wiedzieć, że nie jest to mina magnetyczna. Był to zaokrąglony kanister świecący własnym światłem, pokryty smugami wirujących barw. Tak duży, że nie wiedzieli toczącego go człowieka.

— Wygląda jak skulony neonowy pancernik — stwierdził Fred, który kiedyś przejechał się na zachód.

Mężczyzna zamrugał, nie mogąc dojrzeć postaci stojących poza kręgiem światła. Był brudny, miał brodę poplamioną tytoniem i długie, zmierzwiłone włosy.

Podeszli bliżej.

— To moje! — wykrzyknął, zasłaniając sobą znalezisko.

— Spokojnie, staruszkule — powiedział pojednawczo Ed. — Co tam masz?

— Bilet do błyskawicznej forszy. Jesteście z lotnictwa?

— Nie, ani trochę. Rzućmy na to okiem.

Mężczyzna podniósł kamień.

— Nie zbliżać się! Znalazłem go we wraku samolotu. Wojsko dobrze zapłaci za zwrot tej bomby!

— Nie przypomina żadnej z tych bomb, jakie w życiu widziałem — stwierdził Fred. — Spójrz na ten napis, przecież to nawet nie po angielsku.

— Jasne, że nie. To tajna broń. Dlatego tak dziwnie ją opakowali.

— Oni? Czyli kto?

— Już i tak powiedziałem za dużo. Zejdźcie mi z drogi.

Fred obrzucił go uważnym spojrzeniem.

— To mnie zaciekawiło — stwierdził. — Proszę powiedzieć coś więcej.

— Zejdź mi z drogi, chłopcze! Kiedyś zabiłem człowieka za puszkę kukurydzy!

Fred sięgnął pod marynarkę. Wyciągnął rewolwer z lufą wielką jak wylot rynny.

— Samolot rozbił się wczoraj w nocy — wykrztusił starzec, tocząc wokół przerażonym wzrokiem. — Obudził mnie. Oświetlił całe niebo. Szukałem dziś cały dzień. Myślałem, że w lesie aż zaroi się od żołnierzy, ale nikt nie przyszedł. Znalazłem go dziś wieczorem, tuż przed zmrokiem. Rozpadł się na kawałki, całkiem odpadły mu skrzydła. Wokół leżeli dziwnie ubrani ludzie. Kobiety też. — Na chwilę zwiesił głowę, jakby się czegoś wstydził. — Wszyscy martwi. To musiał być odrzutowiec, bo nie zauważyłem turbin ani innych takich. A ta atomówka po prostu leżała we wraku. Pomyślałem, że wojsko dobrze za nią zapłaci. Mój kumpel odniósł im kiedyś balon meteorologiczny, dali mu dolara i ćwiartkę. Ta bomba na pewno jest milion razy ważniejsza.

Fred wybuchnął śmiechem.

— Dolara i dwadzieścia pięć centów? Posłuchaj, dam ci za to dziesięć dolców.

— Mogę dostać milion!

Fred odciągnął kurek.

— Pięćdziesiąt — zaproponował starzec.

— Dwadzieścia.

— To nieuczciwe. Ale zgoda.



— Co z tym teraz zrobisz? — spytał Ed.

— Zabiorę do doktora Toda — odparł Fred. — On będzie wiedział. To mózgowiec.

— A co jeśli to naprawdę atomówka?

— Bomby atomowe nie mają dysz do spryskiwania. Poza tym ten stary miał rację — gdyby wojsko straciło atomówkę, w lasach już dawno roiłoby się od trepów. Cholera, przecież użyto ich tylko pięć razy. Nie może być więcej niż kilkanaście takich bomb na całym świecie, a wywiad na pewno je śledzi.

— Na pewno nie jest to mina — ciągnął Ed. — Jak myślisz, co to?

— Nic mnie to nie obchodzi. Jeśli jest coś warta, Tod się z nami podzieli. To uczciwy facet.

— Jak na bandziora.

Zaśmiali się obaj. Tajemniczy ładunek grzechotał na pace wywrotki.



Żandarmi wprowadzili do jego gabinetu rudowłosego mężczyznę i przedstawili ich sobie nawzajem.

— Proszę usiąść, doktorze — zaproponował A.E. Zapalił fajkę.

Mężczyzna zdawał się nerwowy. Nic dziwnego, w końcu spędził dwa dni na przesłuchaniu przez wywiad wojskowy.

— Opowiedzieli mi, co się stało w White Sands. Wspomnieli, że nie chciał pan rozmawiać z nikim prócz mnie — ciągnął A.E. — Podobno podali panu tiopental, bez żadnych rezultatów?

— Upiłem się — odparł mężczyzna, którego włosy w tym świetle wyglądały na żółtopomarańczowe.

— Ale nic pan nie powiedział?

— Powiedziałem różne rzeczy, ale nie to, co chcieli usłyszeć.

— Bardzo nietypowe.

— Inna chemia krwi.

A.E. westchnął. Wyjrzał przez okno swojego gabinetu w Princeton.

— W porządku. Wysłucham zatem pańskiej historii. Nie mówię, że od razu panu uwierzę, ale wysłucham.

— W porządku — odparł mężczyzna, biorąc głęboki oddech. — A zatem tak...

Zaczął mówić, najpierw powoli, ostrożnie dobierając słowa, po czym z każdą chwilą nabierał pewności siebie. Im szybciej mówił, tym bardziej wyraźny stawał się jego akcent. A.E. nie potrafił go zidentyfikować. Rudowłosy gość mówił jak wyspiarz z Fidżi, który nauczył się angielskiego od jakiegoś Szweda. A.E. jeszcze trzykrotnie nabijał fajkę — za trzecim razem zostawił ją niezapaloną. Pochylił się lekko do przodu, kiwając lekko głową. W popołudniowym słońcu jego siwe włosy tworzyły jasną aureolę.

Mężczyzna skończył opowieść.

A.E. przypomniał sobie o fajce, znalazł zapałkę, zapalił. Splótł ręce pod głową. W jego swetrze była niewielka dziurka, tuż koło lewego łokcia.

— Nigdy w to nie uwierzą — stwierdził.

— Nie muszą wierzyć, niech tylko coś zrobią! — nalegał mężczyzna. — Muszę to odzyskać!

A.E. zmierzył go spojrzeniem.

— Gdyby panu uwierzyli, to implikacje tego faktu przyćmiłyby powód pańskiego przybycia. Nawet sam fakt pańskiego przybycia, jeśli wie pan, co mam na myśli.

— A co jeszcze mogę zrobić? Gdyby mój statek wciąż nadawał się do lotu, sam ruszyłbym na poszukiwania. Zrobiłem, co mogłem — wylądowałem w miejscu, w którym na pewno musieli mnie zauważyć. Poprosiłem o rozmowę z panem. Może inni naukowcy, inne placówki...

A.E. wybuchnął śmiechem.

— Proszę wybaczyć. Chyba nie zdaje pan sobie sprawy, jakie obowiązują tu procedury. Potrzebujemy wojska. Będziemy ich mieć na głowie niezależnie od tego, czy nam się to podoba, czy nie, więc lepiej być z nimi w dobrych stosunkach. Problem polega na tym, że trzeba wymyślić coś wiarygodnego, co zmobilizuje ich do poszukiwań.

Porozmawiam z dowództwem wojska, a potem zadzwonię do paru znajomych. Właśnie zakończyliśmy tu globalną wojnę. Sporo rzeczy zaginęło w tej zawierusze albo uszło naszej uwadze. Może coś z tego ukręcę.

Problem w tym, że trzeba to wszystko robić w budce telefonicznej. Żandarmi zaraz przyjdą, więc muszę mówić cicho. Proszę mi powiedzieć, doktorze — spytał, podnosząc kapelusz zawieszony na rogu zagraconej biblioteczki — czy lubi pan lody?

— Białka mleka i cukry zmieszane do postaci zawiesiny utrzymywanej poniżej punktu zamarzania?

— Zapewniam pana, że smakuje lepiej, niż się wydaje — zapewnił A.E. — Bardzo

orzeźwiający. — A potem wyszli razem z gabinetu.



Śmig poklepał burtę samolotu. Stał w hangarze 23. Linc wyszedł z kantorka, wycierając ręce w brudną szmatę.

— Hej, i jak poszło?

— Świetnie. Chcą wydać moje wspomnienia. Jeśli zdążę z terminem, książka będzie ich wiosennym hitem. A przynajmniej tak mówią.

— Nadal masz zamiar sprzedać ten samolot? — spytał mechanik. — Aż szkoda się z nim rozstawać.

— Cóż, tę przygodę mam już za sobą. Mam nadzieję, że już nigdy nie będę musiał latać, nawet jako pasażer rejsówki.

— Co mam zrobić?

Śmig obejrzał uważnie samolot.

— Wiesz co? Zamontuj z powrotem przedłużenia skrzydeł i dodatkowe zbiorniki paliwa. Będzie wyglądał na większy i bardziej efektowny. Pewnie kupi go jakieś muzeum. W każdym razie na początku będę go proponował muzeom. Jeśli się nie uda, dam ogłoszenie do gazet. Jeśli kupi go jakiś cywil, po prostu wymontujemy uzbrojenie. Sprawdź, czy wszystko dobrze się trzyma. Podczas lotu z San Fran nic nie powinno się zepsuć, a w Hickam Field zrobili mu całkiem niezły przegląd. Rób, co uważasz za stosowne.

— Jasne.

— Zadzwoń jutro, chyba że będzie coś pilnego.

HISTORYCZNY SAMOLOT NA SPRZEDAŻ: dwusilnikowy odrzutowiec Śmiga. 2 x silnik odrzutowy, ciężar 540 kg, prędkość 965 km/h na wys. 7600 m, zasięg 1046 km, 1609 z dodatk. zbiornikami (zbiorniki i przedłużenia skrzydeł dołącz.), dł. 9,5 m, szer. 10 m (15 m z dodatk.). Trzeba zobaczyć na żywo. Tylko poważne oferty. Do obejrzenia w hangarze 23, Bonham Transport Lotniczy, Shantak, New Jersey.

Śmig stał przed witryną księgarni, spoglądając na piramidy nowych tytułów. Widać było, że zniesiono racjonowanie papieru. W przyszłym roku będzie tu leżeć jego książka. Nie tylko zeszyt komiksowy, ale prawdziwa historia o jego przeżyciach z czasów wojny. Miał nadzieję, że okaże się na tyle dobra, by nie zaginąć w tym tłoku.

Jak już zauważył ktoś wcześniej, wyglądało na to, że absolutnie każdy przymusowo zaciągnięty fryzjer i pucybut napisał później książkę o tym, jak to sam osobiście wygrał drugą wojnę.

W witrynie stało sześć tomów różnych wspomnień napisanych przez wszelkiego rodzaju oficerów, od podpułkownika do generała dywizji. Może szeregowi fryzjerzy jednak nie pisali zbyt wielu książek?

A może umieszczono je w sąsiedniej witrynie.

Przy wejściu postawiono dwie książki, które prócz tego zajmowały całą witrynę i nie były to wspomnienia ani powieści wojenne. Pierwsza z nich nazywała się *Utyje szarańcza*, jej autorem był niejaki Abendsen (Hawthorne Abendsen — na pierwszy rzut oka było widać, że to

pseudonim). Druga, bardzo gruba, nosiła równie imponujący tytuł *Hodowla kwiatów przy świetle świec w pokoju hotelowym* — autorka była tak skromna, że podpisywała się jedynie „pani Charlesowa Fine Adams”. Uznał, że to prawdopodobnie tomik ckliwej poezji, który z jakichś niewyjaśnionych powodów przypadł do gustu publiczności. Trudno było przewidzieć, co im się spodoba.

Śmig wsadził ręce do kieszeni skórzanej kurtki i poszedł do najbliższego kina.



Tod patrzył, jak znad laboratorium unosi się dym, i czekał na dźwięk telefonu. Ludzie kłębili się wokół budynku stojącego o kilometr dalej, biegali w tę i z powrotem.

Od dwóch tygodni nie było żadnych rezultatów. Thorkeld, naukowiec, którego zatrudnił do testów, codziennie podsumowywał wyniki. Substancja nie działała na mały, psy, szczury, jaszczurki, węże, żaby, owady, ani na nawet na ryby. Doktor Thorkeld już zaczął podejrzewać, że ludzie Toda zapłacili dwadzieścia dolarów za obojętny gaz w ładnym opakowaniu.

Przed chwilą rozległ się wybuch. Teraz Tod czekał.

Telefon zadzwonił.

— Tod...? O Boże, tu Jones, dzwonię z laboratorium, to... — W słuchawce zatrzeszczało. — O słodki Jezu! Thorkeld, oni wszyscy... — Obok słuchawki coś zadudniło głucho. — O Boże...

— Uspokój się — polecił Tod. — Czy wszyscy na zewnątrz są bezpieczni?

— Tak, tak. Tylko... Oooooch. — W słuchawce rozległ się odgłos wymiotowania.

Tod czekał.

— Przepraszam, doktorze. Laboratorium jest wciąż odcięte. Pożar... pali się trawnik na zewnątrz. Ktoś rzucił niedopałek.

— Mów, co się stało.

— Wyszedłem na papierosa. Ktoś w środku musiał coś uszkodzić, może upuścić, nie wiem. Teraz... większość z nich nie żyje. Mam nadzieję. Nie wiem. Coś tu... Zaraz, chwilę. Coś jest w biurze. Widzę, jak się porusza, to...

Rozległ się klik, jakby ktoś inny podniósł słuchawkę.

— Tog, Tog — powiedziało coś trochę podobnego do ludzkiego głosu.

— Kto mówi?

— Torgk...

— Thorkeld?

— Ha. Fomohy... Phomo...

Rozległ się dźwięk, jakby ktoś rzucił worek ryb na skorodowany dach.

— Fomo...

Potem odgłos galarety wlewającej się do przepełnionej szuflady biurka.

— Za... zastrzelił się — wykrztusił Jones.

— Zaraz tam będę — odparł Tod.



Tod rozejrzył się po wysprzątanym biurze. Wcześniej nie wyglądało to ładnie. Kanister

wciąż był nienaruszony, wypadek musiała spowodować próbka. Zwierzętom nic się nie stało, ucierpieli tylko ludzie. Trzech nie żyło. Thorkeld popełnił samobójstwo. Dwóch pozostałych musieli dobić razem z Jonesem. Siódma osoba zniknęła, ale nie wyszła stąd przez okno ani drzwi.

Tod usiadł na krześle i myślał nad tym przez dłuższy czas. Potem wyciągnął rękę i wcisnął przycisk.

— Tak, doktorze? — spytał Filmore, wchodząc do pokoju z naręczem telegramów i zleceń maklerskich.

Doktor Tod otworzył sejf w biurku i zaczął odliczać banknoty.

— Filmore, jedź do Port Elizabeth w Karolinie Północnej i kup mi pięć balonów do sterowców ciśnieniowych. Powiedz, że jestem sprzedawcą samochodów. Załatw dwadzieścia osiem tysięcy trzysta metrów sześciennych helu z dostawą do magazynu na Pennsy. Zrób inwentaryzację sprzętu i dostarcz mi kompletną listę. Jeśli czegoś potrzeba, to dokup. Zadzwoń do kapitana Macka i sprawdź, czy nadal ma ten kuter towarowy. Potrzebne nam będą paszporty. Zadzwoń do Cholleya Sacksa — potrzebny mi kontakt w Szwajcarii. Znajdź jakiegoś pilota z licencją na aerostaty. Jakies kombinatory nurkowe i aparaty tlenowe. Balast, kilka ton. Celownik bombowy. Mapy morskie. I zrób mi kawę.

— Fred ma licencję na aerostaty — zauważył Filmore.

— Ci dwaj nigdy nie przestaną mnie zadziwiać.

— Myślałem, że skończyliśmy wykręcać te numery, szefie.

— Filmore — powiedział doktor Tod i spojrzął na człowieka, z którym przyjaźnił się od dwudziestu lat. — Niektóre numery po prostu trzeba wykręcić, czy się tego chce, czy nie.

*Mokra była woda w zatoce Manili,
Mokry był poranek, gdy się nasi bili,
Mokre miała oczy, gdy mówiła „tak”,
Czy kochamy się? I to jeszcze jak!*

Dzieci na podwórku bawiły się skakanką — zaczęły natychmiast po powrocie ze szkoły.

Z początku go to drażniło. Śmig wstał znad maszyny i podszedł do okna, ale zamiast wrzasnąć na dzieciaki, po prostu się przyglądał.

Pisanie i tak mu nie szło. To, co w czasie wojny zdawało mu się zwykłą relacją, na papierze wyglądało jak festiwal przechwałek.

Trzy samoloty, dwa ME-109 i TA-152 wynurzyły się zza chmur i zaatakowały ocalałego B-24. Został silnie uszkodzony ogniem przeciwlotniczym. Dwie turbiny były niesprawne, stracił też górną wieżyczkę.

Jeden z ME-109 zanurkował płytko, prawdopodobnie, by wykonać szybką beczkę i wystrzelić od dołu w kadłub bombowca.

Wykonałem długi skręt i wykonałem strzał z wyprzedzeniem, z odległości około siedmiuset jardów. Osiągnąłem trzy trafienia, potem 109 rozpadł się w powietrzu. TA-152 dostrzegł mój manewr i zanurkował, by mnie przechwycić. Gdy 109 eksplodował, zredukowałem dopływ paliwa i włączyłem hamulce aerodynamiczne. 152 minął mnie w odległości nie większej niż pięćdziesiąt metrów. Zobaczyłem zaskoczoną twarz pilota.

Oddałem jeden strzał z działka 20 mm. Wszystko, poczynając od osłony kokpitu w tył, rozpadło się w fontannie iskier.

Poderwałem dziób w górę. Ostatni 109 był teraz tuż za liberatorem, otworzył ogień z karabinów maszynowych i działka. Zdjął tylnego strzelca, a działko podkadłubowe bombowca nie było w stanie wymierzyć na tyle wysoko, by go trafić. Pilot zygzakował, żeby strzelcy boczni mogli namierzyć atakujący 109, ale zostało mu tylko lewe boczne działko. Byłem oddalony od nich o ponad półtora kilometra, ale skręciłem w prawo i w górę. Skierowałem dziób w dół i wystrzeliłem pocisk 75 mm, tuż zanim 109 znalazł się na celowniku. Cały środek myśliwca zniknął — widziałem przez niego Francję. Pamiętam, poczułem się, jakbym patrzył na szybko złożony parasol. Myśliwiec opadł w dół jak porwany łańcuch choinkowy.

Kilku strzelców z B-24 otworzyło do mnie ogień, bo nie rozpoznali mojego samolotu. Przesłałem swój kod IFF, ale chyba wysiadł im odbiornik.

W dole dostrzegłem dwa spadochrony. Piloci pierwszych dwóch myśliwców najwyraźniej zdołali wyskoczyć. Wróciłem do bazy. Podczas przeglądu odkryto, że brakuje jednego pocisku 75 mm i tylko dwunastu pocisków 20 mm. Zestrzeliłem tym trzy niemieckie samoloty.

Później dowiedziałem się, że tamten B-24 rozbił się nad kanałem. Nikogo nie uratowano.

Komu to potrzebne? — pomyślał Śmig. Wojna się skończyła. Czy w przyszłym roku naprawdę ktoś będzie chciał czytać Odrzutowego chłopca? Czy w ogóle ktoś poza kompletnymi bezmózgami czyta jeszcze „Przygody Śmiga”? Nie jestem już potrzebny. Co mogę teraz zrobić? Walczyć z przestępczością? Ostrzeliwać z samolotu gangsterów uciekających po obrabowaniu banku? To byłaby dopiero uczciwa walka. Występować w cyrku powietrznym? Ta tradycja chyba zmarła wraz z Hooverem, a poza tym nie chcę już latać. Tego lata więcej ludzi polecą samolotem na wakacje, niż poleciało ich gdziekolwiek w ciągu ostatnich czterdziestu lat w ogóle, wliczając w to pocztę lotniczą, opryskiwaczy zbóż i pilotów wojskowych.

Co mam robić? Walczyć z chciwymi kartelami? Oskarżać bankierów, którzy dorobili się na wojnie? To dopiero praca z perspektywami. Karać podłych staruszków, którzy okradają sierocińce, a do tego biją i głodzą wychowanków? To nie jest praca dla mnie, to robota dla Małych Łobuziaków.

*Kle, kle, boćku, kle, kle
Hitler siedzi w piekle,
Raz, i dwa, i trzy,
Mussolini w grobie tkwi!*

— wołały dzieci na podwórku, przechodząc do bardziej zaawansowanych kombinacji, dwie skakanki krążyły teraz w przeciwnych kierunkach. Dzieci mają za dużo energii — pomyślał. Przez chwilę kręciły jak szalone, potem znów zwolniły.

*Stary Hitler mocno śpi,
My się go boimy, na palcach chodzimy,
Stary Hitler mocno śpi!*

Śmig odwrócił się od okna. *Może znów powinienem pójść do kina.*

Od czasu spotkania z Belindą nie miał właściwie nic do roboty poza czytaniem, pisanem i oglądaniem filmów. Ostatni film, jaki widział przed powrotem do domu, oglądał w zatłoczonej sali we Francji w czterdziestym czwartym. Był to podwójny seans: *Hitlerny problem*, film United Artists z 1943 roku z Bobbym Watsonem w roli Hitlera i Frankiem Faylenem — jednym z ulubionych aktorów Śmiga — w roli drugoplanowej, okazał się lepszy. Drugi w kolejności poszedł tandetny niskobudżetowy film PRC z Dickiem Moore'em, *Jazzowy zaulek*, opowiadający o grupie jazzmanów stepujących w kawiarni.

Pierwsze, co zrobił po odebraniu pieniędzy i wynajęciu mieszkania, to poszedł do najbliższego kina, gdzie obejrzał *To morderstwo, powiedział* — czarną komedię o zwariowanej wiejskiej rodzinie, z Fredem McMurrayem, Marjorie Main i niejakim Porterem Hallem grającym dwóch morderczych bliźniaków imieniem Bert i Mert.

„Który jest który?” — spytał McMurray, a wtedy Marjorie Main podniosła trzonek toporka i walnęła jednego w plecy. Mężczyzna zwiśł bezwładnie od pasa w dół niczym ludzka harmonijka, ale wciąż stał na nogach.

„To Mert” — stwierdziła Main, rzucając trzonek na stertę drewna. „Ma problemy z kręgosłupem”.

Krew lała się strumieniami, a Śmig uznał, że to najzabawniejszy film, jaki widział w życiu.

Od tego czasu chodził do kina codziennie, czasem nawet do trzech różnych kin i oglądał od sześciu do ośmiu filmów dziennie. Przyzwyczajał się do cywilnego życia podobnie jak większość żołnierzy i marynarzy — oglądając filmy.

Obejrzał *Stracony weekend* z Rayem Millandem i Frankiem Faylenem, tym razem w roli pielęgniarza na oddziale psychiatrycznym; *Drzewko na Brooklynie*, *Chudy wraca do domu* z Williamem Powellem w najlepszej fazie jego choroby alkoholowej; *Gdzie te dziewczyny*, *Jak w banku* z Fredem Allenem, *Gorącą blondynkę*, *Żołnierzy* na podstawie Erniego Pyle'a (sam pojawił się w jednym z jego artykułów w 1943 roku); horror pod tytułem *Wyspa Śmierci* z Borisem Karloffem i dwa filmy włoskie w nowym stylu: *Rzym, miasto otwarte* i *Opętanie* według powieści *Listonosz zawsze dzwoni dwa razy*.

Były też inne filmy, Monogramu i PRC, westerny i kryminały, których fabułę zapominał dziesięć minut po wyjściu z kina. Brak słynnych nazwisk i twarze aktorów nieskażone żadną myślą często sprawiały, że dokładano je jako drugą część podwójnych seansów puszcanych w czasie wojny. Wszystkie trwały dokładnie pięćdziesiąt dziewięć minut.

Śmig westchnął. Tyle filmów, tyle rzeczy ominęło go w czasie tej wojny. Przegapił nawet Dzień Zwycięstwa nad Japonią i Dzień Zwycięstwa w Europie, bo siedział na tej przeklętej wyspie, nim uratował go USS „Reluctant”. Sądząc z opowieści marynarzy, oni także musieli przegapić sporo wojny i filmów.

Tej jesieni zapowiadało się dużo nowych, ciekawych filmów, a on zamierzał je obejrzeć zaraz po premierze, jak wtedy, gdy mieszkał w sierocińcu.

Znów usiadł do maszyny. *Jeśli nie będę pisał, w życiu tego nie skończę. Pójdę do kina wieczorem.*

Zaczął stukać w klawisze, opisując wszystkie ciekawe rzeczy, jakich dokonał 12 czerwca 1944 roku.

Na podwórko wyszły sąsiadki, wołając dzieci, by przyszły na obiad, bo ojcowie wrócili już

z pracy. Kilkoro maluchów wciąż skakało, ich głosiki niosły się piskliwie w popołudniowej ciszy:

*Hitler straszy gębą nas,
Mussolini gniew się w pas,
Sonja Henie mknie jak wiatr,
Betty Grable chybia tak!*

Sprzedawca galanterii zasiadający w Białym Domu miał dziś naprawdę zły dzień.

Wszystko zaczęło się od telefonu o szóstej rano — nerwusy z Departamentu Stanu usłyszeli jakieś gorące plotki z Turcji. Podobno Sowietci rozstawiali wojska przy granicy.

— No cóż — odpowiedział Prostolinijny Mieszkaniec Missouri. — Zadzwońcie, jak przekroczą tę granicę i ani chwili wcześniej.

A teraz jeszcze to.

Pierwszy Obywatel wpatrywał się w zamknięte drzwi. Ostatnią rzeczą, jaką tam zobaczył, był znikający but Einsteina. Przydałoby się go oddać do podzelowania.

Odchylił się na oparcie krzesła, uniósł ciężkie okulary i potarł mostek nosa. Potem złożył dłonie w wieżyczkę, opierając łokcie na biurku. Spojrzał na mały model pługą stojący na blacie (który zastąpił model M-1 Garand spoczywający tam od momentu objęcia stanowiska aż do Dnia Zwycięstwa). W rogu leżały trzy książki: Biblia, wielokrotnie przekartkowany słownik wyrazów bliskoznacznych i ilustrowana historia Stanów Zjednoczonych. Na biurku umieszczono też guziki wzywające różnych sekretarzy, ale nigdy z nich nie korzystał.

Teraz, gdy wreszcie mamy pokój, codziennie muszę walczyć, żeby wojna nie wybuchła w kolejnych dwudziestu miejscach, wszystkie branże grożą strajkami, a to niedopuszczalne, ludzie żądają więcej samochodów i lodówek, są już zmęczeni wojną i alarmami, tak samo jak ja.

Do tego znów muszę wsadzić kij w mrowisko i kazać wszystkim szukać jakiejś cholernej bomby biologicznej, która może zainfekować całe Stany i zabić połowę mieszkańców albo więcej.

Byłoby lepiej, gdybyśmy nadal toczyli wojny kijami i kamieniami.

Im szybciej wrócę do siebie, na 219 North Delaware w Independence, tym lepiej dla mnie i całego tego przeklętego kraju.

Chyba że ten sukinyś Dewey znów zechce kandydować. Jak powiedział Lincoln, prędzej zjem fotel bujany z jeleniego poroża, niż pozwolę temu gnojowi zostać prezydentem.

To jedyne, co zdoła mnie tu utrzymać, gdy już dokończę kadencję Roosevelta.

Im szybciej skończę to polowanie na bombę, tym szybciej zostawimy za sobą Wojnę Światową Numer Dwa.

Podniósł słuchawkę.

— Proszę z szefem personelu.

— Mówi major Truman.

— Majorze, mówi drugi Truman, pański szef. Proszę połączyć mnie z generałem Ostranderem, dobrze?

Czekając, wyjrzał przez okno, przy którym stał wentylator (nienawidził klimatyzacji) i spojrzał na drzewa. Niebo miało jasnoblękitny kolor, który latem tak szybko zmienia się w złoty.

Spojrzał na zegar. Dziesiąta dwadzieścia trzy, wschodni czas letni. Co za dzień. Co za rok. Co za kraj.

— Mówi generał Ostrander, sir.

— Generale, właśnie zrzucono na nas kolejną belę siana...



Kilka tygodni później nadeszła wiadomość.

Prześlijcie 20 milionów dolarów na rachunek 43Z21 Credite Suisse, Berno do 14 września, g. 23:00, albo straciecie duże miasto. Wiecie, co to za broń, wasi ludzie jej szukają. Za pierwszym razem użyję tylko połowy na jednym z dużych miast. Jeśli będę musiał jej użyć po raz drugi, cena wzrośnie do 30 milionów. Macie moje słowo, że jeśli otrzymam pieniądze na czas, do niczego nie dojdzie. Później prześlę instrukcje, gdzie możecie odebrać swoją broń.

Prostolinijny Mieszkaniec Missouri podniósł słuchawkę.

— Wprowadź wszystko na najwyższe obroty — zażądał. — Zwołaj gabinet i kolegium szefów sztabów. I jeszcze jedno... Ostrander?

— Tak, sir?

— Znajdź mi tego pilota, jak mu tam...

— Śmiga, sir? On już nie jest na służbie.

— No to znowu jest.

— Tak jest, sir.



Była czternasta dwadzieścia cztery we wtorek 15 września, 1946 roku, gdy cała konstrukcja po raz pierwszy pojawiła się na radarach.

O czternastej trzydzieści jeden z wolna sunęła się w stronę miasta na wysokości prawie osiemnastu kilometrów.

O czternastej czterdzieści jeden zawyły pierwsze syreny przeciwlotnicze, których nie słyszano w Nowym Jorku od kwietnia 1945 roku, gdy przeprowadzono ostatnie zaciemnienie próbne.

O czternastej czterdzieści osiem wybuchła panika.

Ktoś nacisnął niewłaściwy guzik. Odcięło zasilanie wszędzie oprócz szpitali, posterunków policji i straży pożarnej. Metro stanęło. Urządzenia stawały, sygnalizacja drogowa zgasła. Połowa sprzętu awaryjnego, niesprawdzanego od czasu wojny, nie zadziałała.

Ludzie wylegli na ulice. Policjanci w popłochu starali się kierować ruchem. Niektórzy spanikowali, gdy wydano im maski gazowe. Nie było łączności telefonicznej. Na skrzyżowaniach wybuchły walki, przechodnie tratowali się nawzajem przy wyjściu z metra i na schodach wieżowców.

Mosty zapchały się na amen.

Z góry zaczęły spływać sprzeczne rozkazy. „Zaprowadzić ludzi do schronów”. „Nie, ewakuować wyspę”. Dwóch policjantów na tym samym skrzyżowaniu wykrzykiwało zupełnie różne rzeczy. Większość ludzi po prostu stała i patrzyła.

Wkrótce ich uwagę przyciągnął dziwny obiekt nadciągający z południowego wschodu. Był mały i błyszczący.

W dole bezskutecznie zaterkotał ogień przeciwlotniczy.

Obiekt wciąż się zbliżał.

Gdy strzały rozległy się w Jersey, wybuchła prawdziwa panika.

Była godzina piętnasta.



— To naprawdę proste — powiedział doktor Tod, spoglądając na Manhattan rozciągający się przed nim niczym skrzynia skarbów. Odwrócił się do Filmore'a, unosząc długi cylindryczny pojemnik przypominający skrzyżowanie rurobomby i zamka szyfrowego. — Jeśli coś mi się stanie, po prostu włóż zapalnik do tej przegródki przy materiałach wybuchowych — wskazał na fragment doczepiony do otworu kanistra pokrytego dziwnymi zawijasami — ustaw na pięćset i pociągnij dźwignię — wskazał na dźwignię otwierającą luk bombowy. — Powinno spaść pod własnym ciężarem, poza tym myliłem się co do celowników. Nie zależy nam na szczególnej dokładności.

Spojrzał na Filmore'a poprzez kratkę hełmu nurkowego. Wszyscy mieli na sobie kombinezony podłączone do centralnego pojemnika z tlenem.

— Oczywiście najpierw dopilnuj, żeby wszyscy byli w kombinezonach i mieli założone hełmy. W tak rozrzedzonym powietrzu krew by wam zakipiała. A kombinezony muszą wytrzymać tylko kilka sekund, póki nie zamknie się luk bombowy.

— Nie spodziewam się żadnych kłopotów, szefie.

— Ja też nie. Po zbombardowaniu Nowego Jorku wracamy na statek, odcinamy balast, lądujemy i jedziemy do Europy. Tam nam zapłacą co do centa. Nie będą wiedzieli, że zużyliśmy tu całą bombę. Siedem milionów trupów powinno ich przekonać, że nie żartujemy.

— Spójrzcie na to! — zawołał Ed z siedzenia drugiego pilota. — Tam w dole! Ogień!

— Jaka wysokość? — spytał doktor Tod.

— Siedemnaście i pół kilometra — odparł Fred.

— Ile do celu?

Mężczyzna westchnął i spojrzał na mapę.

— Dwadzieścia sześć kilometrów prosto jak strzelił. Rzeczywiście, miał pan rację z tym wiatrem, doktorze.



Wysłali go na lotnisko nieopodal Waszyngtonu i kazali czekać. Powiedzieli, że stamtąd będzie miał blisko do większości dużych miast na Wschodnim Wybrzeżu.

Przez większość dnia czytał, spał albo rozmawiał o wojnie z innymi pilotami. Większość z nich była za młoda, żeby załapać się na coś więcej prócz samej końcówki.

Byli tam przede wszystkim piloci odrzutowców szkoleni na P-59 Airacomet albo P-80 Shooting Star, kilku należało do skrzydła P-51. Co jakiś czas zdarzały się drobne spięcia pomiędzy turbokowbojami a poskramiaczami mustangów.

Jednak wszyscy należeli do nowego gatunku. Krążyły plotki, że Truman zamierza w ciągu

najbliższego roku oddzielić Siły Powietrzne od armii, tworząc z nich po prostu Siły Powietrzne. Śmig miał dziewiętnaście lat i czuł, że coś go ominęło.

— Pracują nad czymś, co przełamie barierę dźwięku. Bell cały czas przy tym majstruje.

— Mój kumpel z Muroc mówi, że gdy dopracują Latające Skrzydło, to dopiero będzie coś. Zaczęli nawet pracować nad wersją odrzutową. Bombowiec, który robi osiemset kilometrów na godzinę na wysokości czterech kilometrów i może lecieć przez półtora dnia bez przerwy! — dodał inny.

— Ktoś coś wie o tym alarmie? — spytał jakiś bardzo młody, nerwowy chłopak z belką podporucznika na rękawie. — Co to w ogóle jest? Rosjanie?

— Słyszałem, że wyślą nas do Grecji — powiedział ktoś. — Mam nadzieję, że będzie tam ouzo, bo zamierzam wypić całą beczkę.

— Raczej czeska wódka z obierek. Będziemy mieć szczęście, jeśli dożyjemy Gwiazdki.

Śmig dopiero teraz zdał sobie sprawę, jak bardzo brakowało mu przekomarzań w szatni.

Interkom zasyczał, a potem zawył klakson. Śmig spojrzął na zegarek. Była czternasta dwadzieścia pięć.



A potem zrozumiał, że oprócz żołnierskich docinków brakowało mu jeszcze jednego: latania. Tęsknota wróciła do niego z całą siłą. Gdy leciał do Waszyngtonu, traktował to jak rutynowy lot.

Teraz było inaczej. Znowu czuł się jak na wojnie. Miał cel. Miał misję.

Miał także eksperymentalny kombinezon próżniowy T-2. Wyglądał jak marzenie producenta damskiej bielizny — wszędzie gumki i koronki, a do tego butle ciśnieniowe i prawdziwy hełm kosmiczny, jak w „Planecie komiksów”. Dobrali mu go wczoraj, gdy zobaczyli jego przedłużenia skrzydeł i dodatkowe zbiorniki.

— Lepiej przerobimy to na ciebie — powiedział starszy sierżant.

— Mam hermetyczną kabinę — zaprotestował Śmig.

— Przyda ci się, tak na wszelki wypadek.

Kombinezon wciąż wydawał się za ciasny, a jeszcze nie był napełniony. Ramiona uszyto jak dla goryla, a klatkę piersiową jak dla szympansa.

— Zobaczysz, docenisz ten luz, kiedy dojdzie do awaryjnego wypełnienia — stwierdził sierżant.

— Pan tu rządzi.

Pomalowali tors kombinezonu na biało, a nogi na czerwono, by pasował do jego stroju. Spod plastikowego bąbla wciąż było widać niebieski kask.

Wzbijając się w powietrze z resztą pilotów, cieszył się jednak, że ma ten strój. Jego zadaniem było towarzyszyć skrzydłu P-80 i angażować się w walkę jedynie w ostateczności. Nigdy nie był dobry w grze zespołowej.

Niebo przed nimi było błękitne jak na obrazie Bronzina *Alegoria z Wenus i Kupidynem*, pokryte chmurami w dwóch piątych na północy słońce miał ponad lewym ramieniem. Skrzydło ustawiło się w szyku, tworząc pudełko.

Bambam! Bambam! Bambam! zagrzmiały 20 mm działka.

Pociski smugowe z wielkokalibrowych karabinów maszynowych na P-80 pomknęły naprzód.

Zostawiły za sobą samoloty śmigłowe i wycelowały dziobami w Manhattan.



Wyglądały jak rój wściekłych pszczoł krążących w pobliżu jastrzębia.

Niebo było pełne odrzutowców i myśliwców śmigłowych nabierających wysokości jak ściana chmur wokół huraganu.

Ponad nimi na niebie unosił się duży, nieforemny kształt, z wolna posuwający się w stronę miasta. W miejscu, gdzie powinno być oko cyklonu, widać było strumień ognia przeciwlotniczego, silniejszy niż Śmig widział kiedykolwiek wcześniej, nawet w Europie czy Japonii.

Sięgał stanowczo za nisko, ledwie do wysokości najwyżej lecących myśliwców.

Usłyszał głos Fighter Control.

— Clark Gable Command do wszystkich jednostek. Namiar na cel — pięćdziesiąt pięć, powtarzam pięćdziesiąt pięć. Nieprzyjaciel porusza się z prędkością dwa przecinek pięć węzła. Ogień przeciwlotniczy nie sięga.

— Przerwijcie — oznajmił dowódca skrzydła. — Spróbujemy podlecieć na tyle blisko, by mieć szansę na trafienie. Skrzydło Hodiak, za mną.

Śmig znów spojrzał w błękit. Obiekt kontynuował swój powolny marsz.

— Co on tam ma? — spytał Clark Gable Command.

— Command do Śmiga. Powiedziano nam, że to bomba. To musi być jakiś aerostat, o pojemności przynajmniej czternaście tysięcy metrów sześciennych, inaczej nie osiągnęłyby takiej wysokości. Odbiór.

— Spróbuję wejść wyżej. Jeśli inne samoloty nie dadzą rady, proszę je też odwołać.

W eterze zapadła cisza.

— Rozumiem.

P-80 przesuwały mu się nad głową jak srebrne krzyże. Lekko skierował dziób w górę.

— Chodź, kochanie — stwierdził. — Teraz sobie polatamy.



P-80 zaczęły odpadać, nie dając rady utrzymać się w rozrzedzonym powietrzu. Śmig słyszał tylko własny, ciężki oddech i wysoki jęk silników.

— Dalej, dziewczynko! — ponaglał. — Dasz radę!

Obiekt w górze zrobił się w końcu wyraźniejszy. Była to jakaś hybryda zrobiona z pół tuzina sterowców ciśnieniowych z podwieszoną gondolą. Ona z kolei wyglądała jak kadłub kutra PT. Tylko tyle widział. Wyżej powietrze było fioletowe i zimne. Następny przystanek — kosmos.

Ostatnie P-80 ześlizgnęły się w dół po błękitnych schodkach nieba. Kilka z nich oddawało przypadkowe strzały. Inne zataczały beczki, jak to robiono w czasie wojny, by wystrzelić w podwozie bombowca. Wszystkie pociski spadły, nie sięgając balonów.

Pilot jednego z P-80 stracił kontrolę i spadł o trzy kilometry, nim zdołał wyrównać lot.

Odrzutowiec Śmiga zaprotestował jękiem. Trudno było sterować. Z trudem, powoli, znów skierował dziób w górę.

— Odsuńcie stąd wszystkich — polecił Clark Gable Command.

— Teraz zrobimy ci miejsce — powiedział do swojego samolotu i zwolnił odrzucane zbiorniki paliwa. Spadły w dół niczym bomby. Wcisnął przycisk działka. *Trata! Trata! Trata!*, zaterkotało raz za razem.

Pociski pomknęły w stronę celu, ale też odpadły. Wystrzelił jeszcze kilku razy, póki nie skończyła mu się amunicja. Potem odsłonił bliźniacze pięćdziesiątki, ale już za chwilę stracił wszystkie sto pocisków.

Poderwał dziób, a potem zanurkował płytko, jak łośność próbujący zerwać się z haczyka, nabierając prędkości. Po chwili znów poderwał JB-1, rozpoczynając powolną wspinaczkę.

— Teraz lepiej, co? — spytał.

Silniki miały powietrze. Samolot, pozbawiony dodatkowego obciążenia, pomknął naprzód.

W dole rozciągał się Manhattan zamieszany przez siedem milionów osób. Pewne stoją tam teraz na dole, wiedząc, że może to być ostatni widok w ich życiu. Może tak właśnie będą żyć ludzie w wieku atomu: ciągle spoglądać w górę, zastanawiając się: „Czy to już?”.

Wyciągnął nogę i popchnął dźwignię. 75 mm pocisk wsunął się do komory. Położył rękę na dźwigni automatycznego ładowania i mocniej pociągnął wolant.

Czerwony odrzutowiec ciął powietrze jak żyłotka.

Teraz był bliżej, znacznie bliżej niż pozostali, a jednak wciąż za daleko. Miał tylko pięć pocisków, by załatwić sprawę.

Odrzutowiec wspinał się coraz wyżej, zataczając się w rozrzedzonym powietrzu, jak rudowłose zwierzę wspinające się z wysiłkiem po długim, błękitnym gobelinie, który osuwał się odrobinę przy każdym drgnięciu.

Skierował dziób w górę.

Wszystko jakby znieruchomiało, zastygło w oczekiwaniu.

Długa smuga pocisków maszynowych sięgnęła ku niemu z gondoli jak ramię kochanki.

Uruchomił działko.

ZEZNANIE POSTERUNKOWEGO
FRANCISA V. O'HOOEYA ZW. „GLINIARZ GADUŁA”,
15 WRZEŚNIA 1946 R. 18:45

Staliśmy na ulicy niedaleko Szóstej Alei, próbowaliśmy opanować tłum, żeby ludzie się nie zdeptali. Trochę się uspokoili, gdy zaczęli oglądać walkę w górze.

Jakiś miłośnik ptaków miał lornetkę, więc mu ją skonfiskowałem i obejrzałem mniej więcej wszystko. Odrzutowce nie dawały rady, a ten ogień przeciwlotniczy z Bowery też nic nie zdziałał. Nadal uważam, że należałoby podać do sądu wojsko, bo ci goście z lotnictwa tak spanikowali, że zapomnieli ustawić odmierzanie czasu na ładunkach i kilka z nich spadło na Bronx, i wysadziło w powietrze całą przecznicę.

W każdym razie ten czerwony odrzutowiec — samolot Śmiga — leciał coraz wyżej. Wydawało się, że wystrzelił wszystkie pociski, ale żadnym nie uszkodził tego balonu.

Stałem na ulicy i nagle podjechał do mnie wóz strażacki na sygnale, cały posterunek i wszyscy ochotnicy, a dowódca zawołał do mnie, że mam wsiadać, bo musimy jechać do zachodniej dzielnicy zając się karambolem na drodze i spacyfikować zamieszki.

No to wskoczyłem do wozu, ale nadal starałem się patrzeć, co się dzieje w górze.

Zamieszki już się właściwie skończyły. Syreny przeciwlotnicze nadal wyły, ale wszyscy po prostu stali i patrzyli w górę.

Dowódca krzyknął, żeby zaprowadzić ludzi do budynków. Wepchnąłem paru do bram, a potem znów spojrzałem przez lornetkę.

I niech mnie diabli, jeśli Śmig nie zestrzelił paru z tych balonów (słyszałem, że użył granatnika). Teraz ten statek zdawał się większy, jakby tracił wysokość. Ale Śmig nie ma już pocisków, a do tego jest niżej od tamtych, i zaczyna zataczać kręgi.

Zapomniałem dodać, że ten sterowiec przez cały czas wali do niego z karabinów i wygląda jak sylwestrowy fajerwerk, a Śmig co chwila obrywa.

A potem zawraca samolot i wpada prosto na — jak to się nazywa? — na gondolę. Złączyli się w locie. Musiał lecieć wtedy bardzo wolno, resztką rozpędu i samolot po prostu przykleił się do statku.

A wtedy ten sterowiec zaczął się zniżać — nie za szybko, tylko trochę. Potem dowódca zabrał mi lornetkę, więc osłoniłem oczy ręką.

Potem był jakiś błysk. Myślałem, że toto całe wybuchło, więc schowałem się pod samochód. Ale kiedy spojrzałem w górę, sterowce nadal tam były.

— Uważajcie! Do środka! — zawołał dowódca. Wszyscy znów wpadli w panikę i wskakiwali pod samochody albo skakali z okien. Przez chwilę wyglądało to normalnie jak skecz Three Stooges.

Chwilę później na całą ulicę i na Hudson Terminal spadły resztki czerwonego samolotu...

Wszędzie pełno było pary i ognia. Kokpit pękł jak skorupka jaja, skrzydła zgięły się jak łopatki wentylatora. Śmig drgnął, gdy skafander próżniowy zaczął się wypełniać. Leżał zwinięty w kłębek i musiał wyglądać jak przerażony kot.

Burty gondoli rozerwały się jak zasłonka w miejscu, gdzie wbiły się skrzydła odrzutowca. Zgnieciony kokpit szybko pokryła warstewka szronu, w miarę jak z gondoli zaczął uchodzić tlen.

Szarpięciem wyrwał przewód tlenowy. Przenośna butla miała zapas powietrza na pięć minut. Szarpał się, odpychając dziób samolotu, jakby próbował zerwać stalowe kajdany z rąk i nóg. Tych kombinezonów nie stworzono do swobodnego poruszania — pilot miał tylko wyskoczyć i pociągnąć uchwyt spadochronu.

Samolot zakołysał się jak winda towarowa na zerwanym kablu. Śmig chwycił antenę radarową i poczuł, jak łamie mu się w rękę. Chwycił drugą.

Miasto rozciągało się dziesiętnaście kilometrów w dół, budynki sterczały z powierzchni wyspy, upodabniając ją do jeża. Lewy silnik, zmiażdżony i ciekący, oderwał się i runął w dół. Śmig patrzył, jak kurczy mu się w oczach.

Powietrze było fioletowe jak śliwka, poszycie sterowca — jaskrawe jak ogień, a burta gondoli — zgnieciona niczym tania tekturka.

Cała konstrukcja zadrżała jak wieloryb.

Ktoś przeleciał Śmigowi nad głową i wypadł przez dziurę w burcie, wlokąc za sobą przewody przypominające macki ośmiornicy. Jego śladem poleciały śmieci i kawałki statku poderwane podczas gwałtownej dekompresji.

Odrzutowiec zwisał niżej.

Śmig wsadził rękę w burtę gondoli, znalazł rozpórkę.

Poczuł, że linka spadochronu zaczepia o antenę radarową. Samolot przekreślił się w miejscu, poczuł jego ciężar.

Szarpnęła za uprząż. Plecak oderwał się z trzaskiem, wbijając mu paski w ramiona i krocze.

Samolot zgiął się wpół, jak wąż ze złamanym kręgosłupem, a potem opadł, skrzydła uniosły się i zetknęły ponad strzaskanym kokpitem jak u ptaka. Potem skręcił się na bok i rozpadł.

Niżej widniał mały punkcik — człowiek, który wypadł z gondoli, wirując niczym ogrodowy zraszacz, wciąż zmierzając w kierunku miasta.

Śmig patrzył, jak jego samolot spada w przepaść. Wisiał dziewiętnaście kilometrów nad ziemią, trzymając się jedną ręką.

Chwycił się lewą ręką za prawy nadgarstek, podciągnął się, aż oparł podbródek na krawędzi, a potem wpełził do środka.

Było tam tylko dwóch ludzi. Jeden siedział przy sterach, drugi stał pośrodku, obok dużego okrągłego przedmiotu. Właśnie wkładał do niego jakiś podłużny cylinder. Na burcie gondoli wznosiła się strzaskana wieżyczka strzelnicza.

Śmig sięgnął po rewolwer kaliber .38 trzymany w kaburze na piersi. Wydobycie broni okazało się potwornie bolesne, tak samo jak bieg w stronę człowieka z zapalnikiem.

Byli ubrani w wypełnione skafandry nurkowe. Wyglądali jak dziesięć piłek plażowych wepchniętych do jednoczęściowej bielizny. Poruszali się równie wolno jak on.

Dłoń Śmiga zacisnęła się na rękojeści rewolweru. Wyszarpnęła go z kabury.

Broń wypadła mu z ręki, odbiła się od sufitu i wyleciała przez dziurę, którą się wczołgał.

Mężczyzna przy sterach strzelił do niego. Śmig uchylił się i rzucił na drugiego, tego z zapalnikiem.

Chwycił go za nadgarstek w chwili, gdy tamten wpychał zapalnik do szczeliny w okrągłym kanistrze. Zobaczył, że całe urządzenie stoi na klapie w podłodze.

Mężczyzna miał tylko pół twarzy — spod kratki widać było półksiężyc gładkiego metalu.

Mężczyzna oburącz przykręcił zapalnik.

Poprzez rozerwany strop Śmig zobaczył, że kolejny balon traci powietrze. Poczuł, że spadają. Spadali na miasto.

Oburącz chwycił zapalnik. Statek zatoczył się, a ich hełmy stuknęły o siebie.

Kolejne szarpnięcie rzuciło ich w przeciwne strony. Mężczyzna z połową twarzy sięgnął do dźwigni otwierającej klapę, najszybciej jak mógł w nieporęcznym kombinezonie.

Śmig chwycił go za rękę.

Znów się zderzyli, wpadli na kanister, ręce zaplątane w skafandry, zaciśnięte na zapalniku.

Mężczyzna znów próbował sięgnąć do dźwigni, ale Śmig go odciągnął. Kanister przetoczył się jak wielka plażowa piłka.

Spojrzał prosto w oko okaleczonemu mężczyźnie. Przeciwnik stopami pchnął kanister z powrotem na klapę. Znów sięgnął do dźwigni.

Śmig przekreślił zapalnik w drugą stronę.

Mężczyzna w skafandrze sięgnął za siebie i wyjął colta 0.45. Poprawił zapalnik i wycelował broń w Śmiga.

— Giń, Śmigu! Giń! — zawołał.

Pociągnął za spust cztery razy.

ZEZNANIE POSTERUNKOWEGO
FRANCISA V. O'HOOEYA,
15 WRZEŚNIA 1946 R. 18:45 (CD.)

A zatem, kiedy zobaczyłem ten spadający złom, wszyscy wybiegliśmy, żeby popatrzeć.

Ujrzałem białą kropkę pod tą gondolą. Zabrałem dowódcy lornetkę.

Faktycznie, to był spadochron. Miałem nadzieję, że to Śmig wyskoczył.

Ja wprawdzie się na tym nie znam, ale wiem, że nie można otwierać spadochronu na takiej wysokości.

A potem wszystkie te sterowce wybuchły jednocześnie. Przez chwilę jeszcze leciały, potem był wybuch, a potem został tylko dym i te różne śmieci w powietrzu.

Ludzie wokół zaczęli wiwatować. Chłopak znów dał radę — wysadził w powietrze ten statek, zanim zdążył zrzucić atomówkę na Manhattan.

Dowódca kazał nam wsiadać do wozu — powiedział, że spróbujemy go odnaleźć.

Ruszyliśmy i wszyscy się zastanawialiśmy, gdzie wyląduje. Wszędzie stali ludzie, pośrodku karamboli na drodze, i ogni, i gruzu, i wszyscy wiwatowali temu spadochroniarzowi.

Po dziesięciu minutach zauważyłem smugę w powietrzu. Pozostałe samoloty, które wcześniej towarzyszyły Śmigowi, wszystkie te mustangi i thunderjugi. Wyglądało to jak regularny cyrk powietrzny.

Jakoś udało nam się dotrzeć do mostu przed wszystkimi. I bardzo dobrze, bo akurat zobaczyliśmy, jak facet wpada do wody, jakieś sześć metrów od brzegu. Był ubrany w skafander nurkowy, więc wskoczyliśmy do rzeki. Ja chwyciłem spadochron, a jakiś strażak przewody i wywlekliśmy go na brzeg.

No cóż, okazało się, że to nie był Śmig, tylko facet znany nam jako „Zręczny Eddie”. Edward Shiloh, drobny złodziejaszek.

Był w kiepskim stanie. Przynieśliśmy klucz hydrauliczny z wozu i zdjęliśmy hełm. Twarz miał purpurową jak burak. Zanim doleciał do ziemi, minęło dwadzieścia siedem minut. Oczywiście stracił przytomność — tam na górze nie było dość powietrza — i miał odmrożenia, więc musieli mu amputować stopę i wszystkie palce oprócz kciuka lewej ręki.

Ale wyskoczył z tego sterowca, zanim wszystko wybuchło. Znów spojrzeliśmy w górę, mieliśmy nadzieję, że zobaczymy spadochron Śmiga, ale nic, tylko ta wielka, rozmazana smuga i krążące wokół samoloty.

Zabraliśmy Shiloha do szpitala.

To koniec mojego raportu.

ZEZNANIE EDWARDA SHILOHA
ZW. „ZRĘCZNYM EDDIEM”,
16 WRZEŚNIA 1946 R. (FRAGMENTY)

...wszystkie pięć pocisków w balony. Potem uderzył w nas samolotem. Burta poszła. Fred i Filmore wypadli bez spadochronów.

Gdy ciśnienie spadło, ledwie mogłem się poruszać, kombinezon był strasznie ciasny. Próbowiałem przypiąć spadochron. Widziałem, że doktor Tod bierze zapalnik i idzie w stronę bomby.

Poczułem, że samolot odpada od gondoli. A potem się spostrzegłem, że w tej dziurze stoi Śmig.

Wyjąłem spluwę, gdy zobaczyłem, że koleś daje ognia. Ale wtedy on upuścił gnata i podszedł do Toda.

— Bierz go, bierz go! — wrzeszczał Tod przez radio. Udało mi się raz strzelić, ale chybiłem, a potem Śmig chwycił Toda i tę bombę. Wtedy uznałem, że moja robota skończyła się jakieś pięć minut temu i nie płacą mi za nadgodziny.

Wychodzę zza sterów i wciąż słyszę krzyki przez radio. Ci dwaj tarzają się po podłodze, aż w końcu Tod wyciąga swojego colta i pakuje w Śmiga cztery kule, a przysięgam, że stał bliżej niego niż ja teraz pana. Potem zwalili się na pokład, a ja wyskoczyłem przez dziurę w burcie.

Tylko głupio zrobiłem, wiem, za szybko pociągnąłem linkę i spadochron nie otworzył się jak należy, cały się poskręcał, a ja odpłynąłem. Tuż przed tym wybuchem.

A potem obudziłem się tutaj i zobaczyłem, że mam o jednego buta za dużo, wie pan?

...co mówili? Większości nie zrozumiałem. Najpierw Tod wołał: „Bierz go, bierz go”, więc strzeliłem. Potem pobiegłem do dziury. Obaj wrzeszczeli. Słyszałem Śmiga przez radio w skafandrze, gdy zetknęli się hełmami. Chyba co chwilę na siebie wpadali, bo słyszałem, jak obaj dyszą.

Potem Tod wyciągnął colta i strzelił cztery razy, krzycząc: „Giń, Śmigu! Giń!”, a wtedy aż podskoczyłem, a oni chyba mocowali się jeszcze przez chwilę, a potem usłyszałem, jak Śmig mówi: „Jeszcze nie mogę zginąć. Nie widziałem *Jolsona*”.



Od śmierci Thomasa Wolfe'a upłynęło osiem lat, ale to był dzień w jego stylu. W całej Ameryce i na półkuli północnej panowała wówczas chłodna, przejrzysta aura, jak zawsze, gdy lato w końcu ustępuje, a pogodę zaczynają kształtować fronty znad bieguna i Kanady, nie Zatoki i Pacyfiku.

W końcu zbudowali Śmigowi monument — „pomnik chłopca, który jeszcze nie mógł zginąć”. Zmęczony życiem dziewiętnastoletni weteran powstrzymał szaleńca przed wysadzeniem Manhattanu. Gdy opadły emocje, w końcu zdano sobie z tego sprawę.

Ale zaczęto o tym myśleć o wiele później, podobnie jak o innych rzeczach, jak powrót na studia albo kupno lodówki. Upłynęło dużo czasu, zanim ktokolwiek przypomniał sobie, jak wyglądało życie przed 15 września 1946 roku.

Gdy mieszkańcy Nowego Jorku spojrzeli w górę i zobaczyli wybuchający sterowiec, myśleli, że ich kłopoty dobiegły końca.

Oczywiście bardzo się mylili, tak bardzo jak wąż wypełzający na ośmiopasmową autostradę.

Daniel Deck

Godot jest moim drugim pilotem:
biografia Śmiga
Lippincott, 1963 r.

Z wysoka powoli opadała drobna mgiełka.

Część, niesiona wiatrem w prądach strumieniowych, popłynęła na wschód.

W dole mgła znów nabierała kształtu i zawisała niczym wirga, z wolna opadając na miasto, smugi rozwiewały się i znów formowały, pędząc jak lekkie obłoki przed burzą.

Opadając na ziemię, wydawały szemrzący dźwięk niczym delikatny, jesienny deszcz.



Śpioch

ROGER ZELAZNY

I. Długa droga do domu

Miał czternaście lat, gdy sen stał się jego największym wrogiem — wrogiem mrocznym i straszliwym, a on nauczył się go bać, tak jak inni bali się śmierci. Nie był to efekt nerwicy ani innych, bardziej tajemniczych dolegliwości. Nerwica zwykle karmi się irracjonalnym lękiem, podczas gdy jego strach miał źródło w bardzo określonym zjawisku i rozwijał się równie logicznie jak twierdzenie matematyczne.

Z drugiej strony, w jego życiu bynajmniej nie brakowało irracjonalnych elementów. Wprost przeciwnie. Jednak strach był tu skutkiem, nie przyczyną. A przynajmniej on tak to sobie tłumaczył.

Krótko mówiąc, sen był jego przekleństwem. Jego osobistym piekłem wydzielanym na raty.

Croyd Crenson ukończył osiem klas szkoły podstawowej i nie dotrwał do końca dziewiątej. Trzeba przy tym zaznaczyć, że nie z własnej winy. Nie był wprawdzie prymusem, ale też nie znajdował się na szarym końcu. Był zupełnie przeciętnym chłopcem o przeciętnej budowie ciała, piegowatej twarzy, niebieskich oczach i prostych ciemnoblonde włosach. Lubił bawić się z kolegami w wojnę, póki wojna się nie skończyła; wtedy coraz częściej bawili się w policjantów i złodziei. Podczas zabawy w wojnę czekał z napięciem — choć niezbyt cierpliwie — aż nadejdzie jego kolej, by zostać słynnym pilotem Śmigiem. Po wojnie, gdy zaczęli bawić się w policjantów, zwykle bywał złodziejem.

Poszedł do dziewiątej klasy, ale, podobnie jak wielu innych, nie dotrwał do końca pierwszego miesiąca nauki. To był wrzesień 1946 roku.



— Na co tak patrzycie?

Zapamiętał ton głosu panny Marston, ale nie jej wyraz twarzy, bo nie odwrócił głowy. Często zdarzało się, że uczniowie wyglądali przez okno w czasie lekcji, tym częściej, im bardziej zbliżała się trzecia po południu. Jednak właściwie nie zdarzało się, by upomniani przez nauczyciela nie odwrócili się pospiesznie, udając zainteresowanie lekcją aż do ostatniego dzwonka.

— Na sterowce — odpowiedział krótko.

Trzej inni chłopcy i dwie dziewczynki, którzy ze swoich miejsc też mieli dobry widok, podobnie jak on nie odrywali wzroku od okna, więc panna Marston sama się zaciekawiła. Podeszła i zatrzymała się w pół kroku.

Leciały wysoko — było ich pięć albo sześć — maleńkie punkciki na końcu wstęgi obłoku poruszały się, jakby były połączone. W pobliżu leciał też samolot, miotając się w prawo i w lewo. Croyd przypomniał sobie czarno-białe urywki wiadomości, wciąż świeże we

wspomnieniach. Wyglądało to tak, jakby samolot atakował srebrzyste kropki.

Panna Marston wpatrywała się w to przez chwilę, po czym odwróciła się do klasy.

— W porządku, kochani. To tylko...

Wtedy zawyły syreny. Nauczycielka odruchowo uniosła i napięła barki.

— Nalot! — krzyknęła dziewczynka imieniem Charlotte siedząca w pierwszej ławce.

— Nieprawda — odparł Jimmy Walker, błyskając kłamrami na zębach. — Już ich nie robią. Wojna się skończyła.

— Wiem, jak wygląda nalot — upierała się Charlotte. — Za każdym razem były syreny, a potem zaciemnienie...

— Ale wojna się skończyła — przypomniał Bobby Tremson.

— Dzieci, dość tego — ucięła panna Marston. — Może to próba alarmu.

Ale potem obejrzała się i zobaczyła na niebie rozbłysk ognia, nim chmura dymu zasłoniła jej widok na całe starcie.

— Zostańcie na swoich miejscach! — poleciała, gdy uczniowie zerwali się z ławek i podbiegli do okien. — Pójdę do sekretariatu i dowiem się, czy przeprowadzają dziś jakieś nieplanowane ćwiczenia. Możecie rozmawiać, ale róbcie to cicho.

Wyszła, trzaskając w pośpiechu drzwiami. Croyd zapatrzył się na zadymione niebo, czekając, aż dym się rozwieje.

— To Śmig — powiedział do Bobby'ego Tremsona z sąsiedniego rzędu.

— Daj spokój — zachnął się Bobby. — A co by tam niby robił? Wojna się skończyła.

— To był odrzutowiec. Widziałem je w wiadomościach i tak samo się poruszały. A on ma najlepszy odrzutowiec.

— Teraz już zmyślasz! — zawołała Liza z tyłu sali.

Croyd tylko wzruszył ramionami.

— Tam w górze są jacyś złoczyńcy i on z nimi walczy. Widziałem ogień. Strzelają do siebie.

Syreny wciąż wyły. Z ulicy doleciał pisk opon, potem klakson, a w końcu głuchy stukot zderzenia.

— Wypadek! — wrzasnął Bobby i wszyscy stłoczyli się przy oknach. Croyd wstał, nie chcąc, by mu zasłaniali, a ponieważ siedział blisko, znalazł sobie dobre miejsce.

— Wgniół mu tylny zderzak — ocenił Joe Sarzanno.

— Wgniół mu co? — spytała jakaś dziewczynka.

Po chwili Croydowi zdawało się, że usłyszał odległy wybuch. Nigdzie nie było już widać samolotu.

— Co to za dźwięk? — spytał Bobby.

— Obrona przeciwlotnicza — odparł Croyd.

— Pocięło cię!

— Próbują zestrzelić te statki, czymkolwiek są.

— Aha, jasne. Całkiem jak w filmie.

Chmury znów zaczęły się gromadzić w oddali. Ale w ostatniej chwili Croyd znów zobaczył odrzutowiec, idący na kurs kolizyjny ze sterowcami. Potem dym znów zasłonił wszystko.

— Cholera! — wykrzyknął. — Bierz ich, Śmig!

Bobby roześmiał się, a wtedy Croyd go popchnął. Mocno.

— Hej! Uważaj, gdzie się pchasz!

Chłopak odwrócił się czujnie, ale Bobby najwyraźniej nie chciał kontynuować sprzeczki. Teraz znów wyglądał przez okno i wskazywał na coś palcem.

— Dokąd ci ludzie biegną?

— Nie wiem!

— Zdarzył się jakiś wypadek?

— Nieee.

— Patrz! Tam jest jeszcze jeden!

Zza rogu wypadł niebieski studebaker, odbił w bok, by ominąć dwa nieruchome pojazdy, i potracił nadjeżdżającego fordą. Oba samochody zatrzymały się pod kątem do ruchu. Pozostali kierowcy zahamowali, by na nich nie wpaść. Kilku oparło się o klaksony. Stłumiony odgłos ognia przeciwlotniczego mieszał się z wyciem syren. Ludzie biegali teraz po ulicach jak szaleni, w ogóle nie zwracając uwagi na rozbite samochody.

— Myślicie, że znów wybuchła wojna? — spytała Charlotte.

— Nie wiem — odparł Leo.

Do ogólnego zgiełku dołączył nagle odgłos policyjnej syreny.

— O rany! Patrzcie, nadjeżdża następny!

Nim jeszcze skończył mówić, w tylny zderzak jednego z samochodów uderzył rozpędzony pontiac. Szóstka kierowców stanęła naprzeciw siebie, niektórzy wykrzykiwali coś ze złością, inni po prostu coś mówili, czasem wskazując na niebo. Po krótkiej chwili wszyscy pospiesznie odeszli.

— To nie są ćwiczenia — stwierdził Joe.

— Wiem — przytaknął Croyd, wpatrzony w miejsce, gdzie chmura aż poróżowiła od blasku ukrytego w środku ognia. — To chyba coś bardzo złego.

Odszedł od okna.

— Idę do domu.

— Będziesz miał kłopoty — ostrzegła Charlotte.

Croyd zerknął na zegar.

— Założę się, że panna Marston nie wróci przed dzwonkiem — odparł. — Jeśli natychmiast stąd nie wyjdę, to mogą nas później nie wypuścić, a ja nie chcę tu zostać.

— Ja też idę — odezwał się Joe.

— Obaj wpakujecie się w kłopoty.



Bez przeszkód przeszli korytarzem, ale gdy zbliżali się do frontowych drzwi, jakiś męski głos zawołał:

— Hej, wy dwaj! Wracajcie tutaj!

Croyd pobiegł naprzód, napał na drzwi barkiem i biegł dalej, nie zatrzymując się ani na chwilę. Joe podążył o krok za nim. Na ulicy pełno teraz było opuszczonych samochodów, ciągnących się w obu kierunkach. W każdym oknie, a nawet na dachach domów stali ludzie. Większość z nich patrzyła w górę.

Croyd wszedł na chodnik i skręcił w prawo. Mieszkał o sześć przecznic stąd, na południu, na

osiedlu szeregowców z lat osiemdziesiątych. Joe wracał do domu tą samą drogą, a w połowie odbijał na wschód.

Zanim dotarli do skrzyżowania, zatrzymała ich fala ludzi wypływająca z bocznej uliczki. Niektórzy zmierzali na północ i próbowali przepchnąć się przez tłum, inni zmierzali na południe. Gdzieś z przodu dobiegł ich odgłos przekleństw, a potem wybuchła bójka.

Joe wyciągnął rękę i szarpnął jakiegoś przechodnia za ubranie. Mężczyzna gwałtownie odsunął rękę, a potem spojrzął w dół.

— Co tu się dzieje? — wykrzyknął Joe.

— Chyba jakaś bomba — odparł tamten. — Śmig próbował powstrzymać tych, co chcieli ją zrzucić. Wszyscy wylecieli w powietrze, a teraz to świństwo może w każdej chwili wybuchnąć. Może to atomówka.

— A gdzie spadło? — spytał Croyd.

Mężczyzna wskazał na północny zachód.

— Tam.

Potem nieznajomy zniknął; dojrzał szczelinę w tłumie i szybko przepchnął się naprzód.

— Croyd, wiesz co? Może uda się nam dostać na drugą stronę, jeśli przejdziemy po masce tego wozu.

Croyd skinął głową i wspiął się na jeszcze ciepłą maskę szarego dodge'a. Kierowca zaklął, ale drzwi miał zablokowane przez napierające ciała, drzwi od strony pasażera otwierały się tylko na kilka centymetrów, potem opierały się o zderzak taksówki. Chłopcy obeszlili taksówkę i przeszli środkiem skrzyżowania, pokonując przy tym jeszcze dwie przeszkody.

Pośrodku sąsiedniej przecznicy ruch nieco zelżał i wyglądało na to, że z przodu jest już całkiem czysto. Chłopcy rzucili się biegiem, po czym stanęli jak wryci.

Na chodniku leżał mężczyzna wstrząsany konwulsjami. Ręce i głowę miał spuchnięte jak melony, a skórę ciemnoczerwoną, prawie fioletową. Po chwili krew pociekła mu z uszu, oczodołów i zza paznokci.

— Matko Boska! — wykrzyknął Joe, cofając się odruchowo. — Co mu się stało?

— Nie wiem — odparł Croyd. — Lepiej nie podchodzić. Przejdźmy po samochodach.

Dotarcie do kolejnej przecznicy zabrało im dziesięć minut. Gdzieś po drodze zauważyli, że od jakiegoś czasu już nie słychać strażaków, choć syreny przeciwlotnicze, policyjne i klaksony wciąż wyły ogłuszająco.

— Czuję dym — stwierdził Croyd.

— Ja też. Jeśli teraz wybuchnie pożar, żadna straż się do niego nie przebije.

— Całe miasto może spłonąć.

— Może nie wszędzie jest tak źle.

— Założę się, że jest.

Brnąc wciąż naprzód, zaryli się w tłumie, który wepchnął ich w boczną ulicę.

— Tędy nie przejdziemy! — krzyknął Croyd.

Ale za chwilę to już było bez znaczenia, bo otaczająca ich ludzka masa zastygła w miejscu.

— Myślisz, że zdołamy znów przejść po samochodach? — spytał Joe.

— Możemy spróbować.

Udało im się, tyle że tym razem, gdy szli z powrotem do skrzyżowania, poruszali się wolniej,

bo inni przechodnie zmięrzali w tę samą stronę. Croyd dostrzegł za szybą jakiś gadzi pysk i pokryte łuską dłonie zaciśnięte na kierownicy wyrwanej z kolumny. Kierowca z wolna osunął się na bok. Spoglądając w górę, zobaczył słup dymu bijący znad budynków na północnym wschodzie.

Gdy dotarli do skrzyżowania, nie było już dokąd iść. Ludzie stali w miejscu, kołysząc się i napierając na siebie. Od czasu do czasu ktoś krzyczał. Croyd miał ochotę się rozpłakać, ale wiedział, że to nic nie da. Zaciśnął zęby i zadrżał.

— Co zrobimy? — spytał Joego.

— Jeśli utkniemy tu na noc, możemy wybić szybę w pustym samochodzie i tam się przespać.

— Chcę do domu!

— Ja też. Zobaczymy, jak daleko da się dojść.

Prawie przez godzinę brnęli naprzód, ale udało im się pokonać tylko jedną przecnicę. Kierowcy wrzeszczeli i walili w okna, gdy chłopcy wspinali się na dachy ich pojazdów. Inne były puste. W kilku znajdowało się coś, na co starali się nie patrzeć. Ruch na chodniku wyglądał coraz groźniej. Teraz zrobił się szybki i głośny, rozbrzmiewający krzykami, pełen krótkich bójek i powalonych ciał, które spychano do bram albo na jezdnię. Gdy zamilkły syreny, nastąpiło krótkie wahanie. Ktoś zaczął krzyczeć przez megafon, ale stał za daleko i nie dało się nic usłyszeć, z wyjątkiem słowa „mosty”. Panika przybrała na sile.

Croyd zobaczył, jak jakaś kobieta spada z dachu budynku, i odwrócił wzrok, zanim uderzyła w ziemię. Wokół unosił się zapach dymu, ale nigdzie w okolicy nie widział żadnego ognia. Gdzieś z przodu tłum zatrzymał się gwałtownie, a potem cofnął, gdy jakaś sylwetka — nie widział, kobieta czy mężczyzna — wybuchła płomieniem. Croyd wślizgnął się na jezdnię pomiędzy dwa samochody i zaczekał na kolegę.

— Joe, boję się jak cholera — przyznał. — Może wczłogajmy się pod samochód i poczekajmy, aż to wszystko się skończy.

— Myślałem o tym — odpowiedział Joe. — Ale co będzie, jeśli jakiś płonący budynek zwali się na ten samochód?

— Jezu!

— Musimy iść dalej. Możesz pójść do mnie, może droga będzie łatwiejsza.

Croyd zobaczył, jak jeden z przechodniów drepcze w miejscu, jakby tańczył. Rwał na sobie ubranie. Potem zaczął zmieniać kształt. Ktoś z przodu zaczął wyć. Brzęknęło tłuczone szkło.

W ciągu kolejnej pół godziny ruch zelżał, osiągając natężenie, które w innych okolicznościach można by nazwać normalnym. Ludzie albo dotarli do celu, albo skierowali się w inne rejony miasta. Teraz trzeba było przebijać się między trupami. Twarze zza szyb zniknęły. Na dachach nie było już nikogo. Klaksony rozlegały się już tylko sporadycznie. Obaj chłopcy przystanęli na rogu. Od chwili wyjścia ze szkoły przebyli trzy skrzyżowania i przeszli przez ulicę.

— Ja tu odbijam — stwierdził Joe. — Chcesz iść ze mną czy idziesz dalej?

Croyd spojrział przed siebie.

— Teraz wygląda lepiej. Chyba dam sobie radę.

— To do zobaczenia.

— Aha, okej.

Joe pospiesznie skręcił w lewo. Croyd spojrział jego śladem i ruszył w swoją stronę. Gdzieś

daleko na przedzie jakiś człowiek wypadł z drzwi, krzycząc przeraźliwie. Zdawał się rosnąć w oczach, a jego ruchy stawały się coraz bardziej chaotyczne. Potem eksplodował. Croyd przyłgnął plecami do ściany i patrzył osłupiały. Serce waliło mu jak szalone. Znow usłyszał megafon, tym razem gdzieś z zachodu i tym razem brzmiało to wyraźniej:

— Mosty są zamknięte dla ruchu pieszego i samochodowego. Proszę nie korzystać z mostów. Proszę wrócić do domów. Powtarzam: mosty są zamknięte.

Croyd ruszył naprzód. Gdzieś na wschodzie wyła jedna, samotna syrena. Nad jego głową nisko przeleciał samolot; chłopak odwrócił wzrok i przyspieszył kroku. Zobaczył kłęby dymu unoszące się nad ulicą i zorientował się, że biją znad głowy kobiety siedzącej na progu domu, z twarzą ukrytą w dłoniach. Zdawała się kurczyć w oczach, a potem upadła z głośnym klekotem. Croyd zacisnął pięści i szedł dalej.

Z bocznej uliczki wyjechała wojskowa ciężarówka. Croyd natychmiast przypadł do szoferki. Z siedzenia pasażera wychyliła się głowa w hełmie.

— Co tu robisz, synu?

— Idę do domu.

— Czyli gdzie?

Pokazał ręką.

— Dwie przecznice w tamtą stronę.

— To wracaj prosto do domu.

— Co się dzieje, proszę pana?

— Mamy stan wojenny. Wszyscy mają wejść do budynków. I lepiej nie otwierać okien.

— Dlaczego?

— Chyba wybuchła jakaś bomba biologiczna. Nikt nie jest pewien.

— Czy to Śmig...?

— Śmig nie żyje. Próbowaliśmy ich powstrzymać.

Łzy napłynęły Croydowi do oczu.

— Idź prosto do domu, słyszysz?

Ciężarówka przejechała przez skrzyżowanie i ruszyła na zachód. Croyd pobiegł przed siebie, po czym zatrzymał się, gdy dotarł na chodnik. Wstrząsnął nim dreszcz. Nagle zdał sobie sprawę, jak bardzo bolą go obtarte kolana, które zadrapał, wspinając się na samochody. Przetarł oczy. Było mu potwornie zimno. Zatrzymał się w połowie drogi i ziewnął kilka razy. Czuł się taki zmęczony. Znow zaczął iść. Stopy miał cięższe niż kiedykolwiek. Odpoczął chwilę, oparty o drzewo. Wtedy usłyszał jęk.

Gdy spojrział w górę, zdał sobie sprawę, że to wcale nie drzewo. Było wysokie, brązowe, ukorzenione i wrzecionowate, ale blisko wierzchołka znajdowała się pociągła ludzka twarz i to stamtąd dobiegał jęk. Gdy odchodził, jedna z gałęzi uszczypnęła go w ramię, ale stwór był słaby i Croyd już po kilku krokach znalazł się poza jego zasięgiem. Sam jęknął. Skrzyżowanie zdawało się odległe o całe kilometry, a za nim było jeszcze jedno.

Teraz ziewał już bez przerwy, a przekształcony świat nagle przestał go zadziwiać. Co z tego, że jakiś facet przelatywał przez ściany budynków? Co z tego, że po prawej stronie rozlewała się kałuża z ludzką twarzą? Jeszcze więcej ciał... Przewrócony samochód... Sterta popiołu... Zerwane druty telefoniczne...

Dotarł do skrzyżowania, oparł się o latarnię i powoli osunął się na ziemię.

Miał ochotę zamknąć oczy, ale wytłumaczył sobie, że to głupie. Przecież mieszkał tuż obok, jeszcze kilka kroków i prześpi się we własnym łóżku.

Chwycił się latarni i podciągnął się w górę, znów stając na nogi. Jeszcze jedna przecznica...

Dotarł na swoją ulicę, świat kołysał mu się przed oczami. Już nawet widział drzwi do domu...

Usłyszał zgrzyt otwieranego okna, ktoś zawołał go po imieniu. Podniósł wzrok. Z góry spoglądała na niego Ellen, córka sąsiadów.

— Twój tata nie żyje! To okropne, tak mi przykro!

Miał ochotę się rozplakać, ale nie mógł — ziewanie kompletnie go wyczerpało. Oparł się o drzwi i zadzwonił. Klucz, który miał w kieszeni, zdawał się tak odległy...

Gdy jego brat Carl otworzył, Croyd upadł mu pod nogi i odkrył, że nie może wstać.

— Taki jestem zmęczony — powiedział i zamknął oczy.

II. Zabójca we śnie

Dzieciństwo Croyda skończyło się, gdy spał, pierwszego dnia epoki dzikich kart. Zanim się obudził, minęły prawie cztery tygodnie, a gdy się obudził, zdawał się równie odmieniony jak otaczający go świat. Był nie tylko o piętnaście centymetrów wyższy, silniejszy niż ktokolwiek, kogo wcześniej znał, ale i porośnięty drobnym, rudym włosiem. Gdy spoglądał na siebie w lustrze, odkrył, że nawet to włosie posiada niecodzienne właściwości. Z obrzydzeniem pomyślał o jego rudym kolorze, a ono natychmiast zaczęło się zmieniać, aż przybrało barwę jasny blond. Całe ciało przeszło mu przy tym przyjemne mrowienie.

Zaintrygowany, zażyczył sobie zieleni i tak się stało. Mrowienie przypominało teraz wibrującą falę. Pomyślał o czerni i poczerniał. Potem znów zbladł, ale tym razem nie zatrzymał się na jasnym blondzie. Bledszy, bledszy, kredowobiały, albinos. Jeszcze bledszy. Gdzie przebiegała granica? Zaczął znikać. Zobaczył kafelki pokrywające ścianę za jego plecami, w lustrze widniał jeszcze tylko lekki zarys sylwetki. Jeszcze bledszy...

Zniknął.

Uniósł ręce do twarzy i nie zobaczył niczego. Podniósł mokrą ściereczkę i przyłożył do piersi. Ona też zrobiła się przezrzysta, choć wciąż czuł jej wilgoć.

W końcu powrócił do jasnego blondu — uznał to za najbardziej akceptowalny kolor. Wbił się w swoje najluźniejsze dżinsy i zieloną flanelową koszulę, której nie mógł do końca zapiąć. Umierał z głodu. Na zegarze w korytarzu była trzecia w nocy. Zajrzał do pokoi matki i rodzeństwa, ale nie chciał ich budzić.

W pojemniku leżało pół bochenka chleba, który Croyd rozdarł gołymi rękami, pakując wielkie kawałki do ust i nawet nie żując ich porządnie. Trochę zwolnił dopiero, gdy ugryzł się w palec. W lodówce znalazł kawałek wędliny i trójkącik sera, i zjadł oba. Wypił też litr mleka. Na ladzie leżały dwa jabłka — schrupał oba, przeszukując szafki. Pudełko krakersów. Sześć ciasteczek. Pożarł wszystko. Pół słoika masła orzechowego. Wyjadł je łyżeczką.

To wszystko. Nie mógł znaleźć już nic więcej, a wciąż był straszliwie głodny.

Dopiero teraz uświadomił sobie ogrom tej uczy. W całym domu nie było już ani okruszka. A co, jeśli w mieście panował głód? Jeśli przywrócono racjonowanie? Właśnie pozbawił wszystkich domowników jedzenia.

Musiał zdobyć więcej, i dla nich, i dla siebie. Przeszedł do salonu i wyjrzał przez okno. Ulica była całkiem pusta. Przypomniawszy sobie, że żołnierz wspominał coś o stanie wojennym — czy on nadal obowiązywał? Ile właściwie spał? Miał wrażenie, że długo.

Otworzył drzwi i poczuł na skórze chłód nocy. Jedna z ocalałych latarni przeświecała przez nagie gałęzie pobliskiego drzewa. W dniu katastrofy na drzewach było jeszcze trochę liści. Croyd wyjął zapasowy klucz z szuflady stolika, wyszedł na zewnątrz i zamknął za sobą drzwi. Wiedział, że stopnie powinny być zimne, ale wcale tego nie czuł, choć był boso.

Wtedy się zatrzymał i wycofał w cień. Trochę przerażało go, że zupełnie nie wiedział, co się tam kryje.

Uniósł ręce do światła latarni.

— Bledszy, bledszy, bledszy...

Gdy zniknęły, popatrzył w dół. Wyglądało to tak, jakby nic z niego nie zostało, nie licząc charakterystycznego mrowienia.

Potem pospieszył ulicą, czując, jak wypełnia go potężna energia. Dziwna drzewopodobna istota, którą widział przy sąsiednim skrzyżowaniu, zniknęła. Ulice były już przejezdne, choć w rynsztokach walało się sporo śmieci, a prawie każdy samochód nosił ślady uszkodzeń. Zdawało się, że każdy budynek, jaki mijał po drodze, ma przynajmniej jedno okno zabite deskami lub przykryte tekturą. Z kilku drzew zostały tylko potrzaskane kikuty, a metalowy znak na sąsiednim skrzyżowaniu był wygięty pod kątem. Croyd przyspieszył kroku, zdziwiony, jak szybko mu się idzie. Zobaczył, że budynek szkoły jest zupełnie nieuszkodzony, nie licząc kilku rozbitych szyb. Poszedł dalej.

Odwiedził trzy sklepy spożywcze — wszystkie zaryglowane na głucho z tabliczką ZAMKNIĘTE DO ODWOŁANIA. Spróbował włamać się do trzeciego. Popchnięte ramieniem deski właściwie nie stawiały oporu. Odnalazł włącznik światła i rozejrzał się wokół. Sklep był jedną wielką ruiną, został też dokładnie splądrowany.

Ruszył w stronę centrum, mijając szkielety spalonych budynków. Z jednego z nich doleciały głosy — jeden mrukiwy, drugi wysoki i śpiewny. Za chwilę w środku zalśnił oślepiający błysk i rozległ się krzyk. Jednocześnie runęła część muru, cegły posypały się na chodnik za plecami Croyda. Nie widział powodu, by sprawdzać, co to było. Czasami miał też wrażenie, że słyszy głosy dobiegające spod kratek kanalizacyjnych.

Tej nocy przewędrował całe kilometry i aż do Times Square nie zdawał sobie sprawy, że ktoś go śledzi. Z początku miał wrażenie, że to tylko duży pies. Ale gdy zwierzę podeszło bliżej, zauważył, że jego pysk układa się w ludzkie rysy. Zatrzymał się i spojrzał mu w oczy. Zwierzę usiadło w odległości trzech metrów od niego i przyjrzało mu się uważnie.

— Jesteś jednym z nas — mruknął.

— Widzisz mnie?

— Nie. Wyczuwam.

— Czego szukasz?

— Jedzenia.

— Ja też.

— Pokażę ci, gdzie jest. Ale musisz mi odpalić działkę.

— W porządku. Prowadź.

Pies poprowadził go do obszaru odgrodzonego plastikową taśmą, gdzie zaparkowało kilka

wojskowych ciężarówek. Croyd naliczył ich dziesięć. Wokół nich uwijali się lub odpoczywali ludzie w mundurach.

— Co tu się dzieje?

— Później pogadamy. Paczki z żywnością są w czterech wozach po lewej.

Bez problemu przekroczyli granicę, obeszlą pojazd, wyjęli naręcze paczek i wycofali się w innym kierunku. Dwie przecznice dalej Croyd na powrót zrobił się widzialny, a potem wraz z pso-człowiekiem przystąpili do obżarstwa.

Jego nowy znajomy — przedstawił się jako Bentley — opowiedział mu, co się stało w ostatnich tygodniach po śmierci Śmiga, gdy Croyd pogrążony był we śnie. Chłopak dowiedział się o ucieczce do Jersey, o rozruchach, stanie wojennym, o Takizjanach i o dziesiątkach tysięcy ofiar wirusa. Bentley wspomniał także o transformacjach, jakie przechodzili ocaleni — szczęściarze i pechowcy.

— Ty jesteś szczęściarzem — zakończył.

— Wcale nie jestem zadowolony.

— Przynajmniej wyglądasz jak człowiek.

— Byłeś już z tym u doktora Tachiona?

— Nie. Jest zbyt zajęty. Ale kiedyś tam pójdę.

— Ja pewnie też powinienem.

— Może.

— Jak to „może”?

— A po co miałbyś się zmieniać? Wyciągnąłeś szczęśliwą kartę. Możesz sobie załatwić wszystko, co tylko chcesz.

— Kradzieżą?

— Mamy ciężkie czasy. Trzeba sobie radzić w życiu.

— Może.

— Pokażę ci, gdzie znaleźć jakieś ciuchy w twoim rozmiarze.

— Gdzie?

— Tuż za rogiem.

— Okej.

Croyd bez trudu włączył się do wskazanego sklepu z odzieżą. Potem znów zniknął i wrócił ukrącić jeszcze kilka paczek z jedzeniem. Bentley biegł koło niego przez całą drogę do domu.

— Masz coś przeciwko, że dotrzymam ci towarzystwa?

— Nie.

— Chciałbym wiedzieć, gdzie mieszkasz. Mogę dać ci cynk, gdy znajdę coś dobrego.

— Tak?

— Przydałby mi się kumpel, który potrafi mnie nakarmić. Myślisz, że możemy się tak umówić?

— Myślę, że tak.



W ciągu kilku kolejnych dni Croyd szybko został głównym żywicielem rodziny. Jego brat i siostra nie pytali, skąd ma jedzenie albo skąd biorą się pieniądze, które przynosi z nocnych

wycieczek. Jego matka, pogrążona w rozpacz po śmierci ich ojca, pytała jeszcze mniej. Bentley, który znalazł sobie legowisko gdzieś w okolicy, został jego przewodnikiem i mentorem. Croyd zaczął mu się zwierzać także z innych problemów.

— Może powinienem pójść do tego lekarza, o którym wcześniej wspomniałeś — stwierdził któregoś dnia, stawiając na ziemi zgrzewkę puszek i przysiadając na niej ciężko.

— Do Tachiona? — spytał Bentley, przeciągając się zupełnie nie po psiemu.

— Aha.

— A co się dzieje?

— Nie mogę spać. Minęło pięć dni, odkąd obudziłem się odmieniony, i od tego czasu w ogóle nie spałem.

— No i co? Co w tym złego? Więcej czasu do wykorzystania.

— Ale jestem już trochę zmęczony i mimo to nadal nie mogę spać.

— Z czasem ci to przejdzie. Nie ma sensu zawracać lekarzom głowy. A nawet jeśli Tachion cię przyjmie, to szanse na skuteczną kurację są jak jeden do trzech czy czterech.

— Skąd wiesz?

— Bo byłem u niego.

— Och?

Croyd ugryzł jabłko.

— Będziesz się leczył? — spytał po chwili.

— Jeśli się odważę — odparł Bentley. — Kto chciałby spędzić całe życie jako pies? Do tego wcale nie sprawdzam się w tej roli. O właśnie: jak będziemy przechodzić koło sklepu dla zwierząt, włam się do środka i ukradnij mi obrożę przeciwpchelną.

— Jasne. Wiesz, tak się zastanawiam... Jeśli w końcu zasnę, to czy będę spał tak długo jak poprzednio?

Bentley próbował wzruszyć ramionami, w końcu dał sobie spokój.

— Nie wiadomo.

— Kto się wtedy zajmie moją rodziną? Albo tobą?

— Hm, rozumiem, o co ci chodzi. Jeśli przestaniesz wychodzić w nocy, to odczekam jakiś czas, a potem pójde na leczenie. Lepiej zgromadź trochę oszczędności, tak na wszelki wypadek. Już niedługo ludzie się uspokoją, a pieniądze zawsze potrafią przemówić do rozsądku.

— Masz rację.

— Jesteś cholernie silny. Potrafiłbyś rozerwać sejf?

— Może? Nie wiem.

— Zróbmy eksperyment po drodze. Znam jedno dobre miejsce.

— Okej.

— ...i trochę proszku na pchły.



Zaczął się któregoś ranka. Akurat czytał coś przy śniadaniu, gdy nagle poczuł, że nie może opanować ziewania. Gdy wstał od stołu, kończyny miał dziwnie ciężkie. Wspiął się po schodach, wszedł do pokoju Carla i obudził go, potrząsając za ramię.

— Sosięsało, Croyd? — wybełkotał tamten.

— Chce mi się spać.
— To śpij.
— Minęło sporo czasu. Może tym razem też będę tak długo spał.
— Och.
— Masz tu trochę pieniędzy, żebyś mógł zadbać o wszystko. Wiesz, tak na wszelki wypadek. Otworzył górną szufladę szafki i wepchnął gruby plik banknotów pomiędzy skarpetki.
— Croyd... eee, skąd wzięłeś tyle pieniędzy?
— Nie twoja sprawa. Śpij dalej.
Potem wrócił do pokoju, rozebrał się i wczołgał do łóżka. Znowu było mu bardzo zimno.



Gdy się obudził, gałęzie drzew były pokryte szronem. Wyjrzał przez okno i zobaczył, że ziemię pokrywa gruba warstwa śniegu, rozciągająca się pod ołowianym niebem. Dłoń, którą oparł o parapet, była szeroka i śniada, z krótkimi, grubymi palcami.

Spoglądając w lustro, odkrył, że ma jakieś sto sześćdziesiąt pięć centymetrów wzrostu, jest potężnie zbudowany, ma ciemne oczy i włosy, a na nogach jakieś stwardniałe wyrostki, przypominające podłużne blizny. Podobne znamiona odkrył też na barkach, plecach i szyi. Po kwadransie zorientował się, że jest w stanie tak bardzo podnieść temperaturę własnego ciała, że ręcznik trzymany w dłoni zapala się ogniem. Zaledwie kilka minut wcześniej zorientował się, że może wywołać ciepło, teraz całe jego ciało lśniło żarem. Zrobiło mu się trochę głupio, gdy zobaczył odcisk stopy wytopiony w linoleum i dziurę wypaloną drugą nogą w dywaniku łazienkowym.

Tym razem w kuchni było mnóstwo produktów, jadł więc bez przerwy przez godzinę, zanim skurcze głodu trochę zelżały. Włożył spodnie i bluzę od dresu i pomyślał, że jeśli po każdym śnie jego wygląd będzie przechodził tak drastyczne zmiany, to będzie musiał skompletować sobie naprawdę duży zestaw ubrań.

Tym razem nie musiał kraść jedzenia. Śmiertelne zniwo zebrane przez tajemniczego wirusa spowodowało nadwyżki w magazynach. Sklepy znowu działały, a obieg towarów mniej więcej wrócił do normy.

Jego matka spędzała większość czasu w kościele, a Carl i Claudia wrócili do szkoły. Croyd wiedział, że sam nigdy nie dokończy nauki. Wciąż mieli dość pieniędzy, ale zauważył, że tym razem spał o dziewięć dni dłużej i uznał, że warto odłożyć zapasy gotówki. Był ciekaw, czy zdoła rozgrzać dłoń na tyle, by przepalić drzwi sejfów. Poprzednio strasznie się namęczył, rozdzierając go rękami — mało brakowało, a poddałby się przed końcem — a przecież Bentley zapewniał go wcześniej, że to „taka duża, aluminiowa puszka”. Wyszedł na zewnątrz, by poćwiczyć na galwanizowanej rurze.

Ostrożnie zaplanował swój skok, ale źle ocenił sytuację. Musiał otworzyć aż osiem sejfów, zanim zdobył sensowną ilość pieniędzy. W większości z nich leżały same papiery — obecnie bezwartościowe. Wiedział też, że uruchomił kilka alarmów, i to go trochę martwiło. Miał nadzieję, że we śnie zmieniły mu się też odciski palców. Poruszał się najszybciej, jak mógł, i trochę żałował, że nie ma z nim Bentleya. Podejrzewał, że pso-człowiek wiedziałby, co robić. Kilka razy zasugerował, że jego dawna profesja obejmowała rzeczy nie do końca legalne.

Dni mijały znacznie szybciej, niżby chciał. Kupił sobie cały zestaw luźnych, uniwersalnych

ciuchów. Nocami spacerował po mieście, obserwując postępujące prace porządkowe i usuwanie zniszczeń. Starał się zdobywać jak najwięcej wiadomości: o mieście, o świecie. Nietrudno było uwierzyć w opowieść o przybyszu z kosmosu, gdy wszędzie wokół widać było efekty działania wirusa. Zaczepił jakiegoś człowieka z błoną między palcami, w owalnym kloszu na głowie, i spytał, gdzie mógłby znaleźć doktora Tachiona. Nieznajomy podyktował mu adres i numer telefonu. Croyd schował kartkę do portfela, ale nie zadzwonił. A co, jeśli ten lekarz go zbada, powie, że to żaden problem, i wyleczy jego przypadłość? Nikt inny w rodzinie nie był teraz w stanie zarabiać na życie.

W końcu nadszedł dzień, gdy znowu wzrósł mu apetyt — podejrzewał, że jego ciało może się szykować na kolejną zmianę. Tym razem uważnie obserwował wszystkie symptomy. Dopiero następnego dnia chwyciły go dreszcze i poczuł nadciągającą senność. Zostawił liścik pozostałym domownikom, bo akurat nie było ich w domu. Tym razem zamknął drzwi na klucz, bo dowiedział się, że rodzina obserwowała go, gdy spał, kiedyś nawet przyprowadzili lekarkę. Po wysłuchaniu całej historii kobieta rozsądnie doradziła im, by po prostu pozwolili mu się wyspać. Zasugerowała też, by po przebudzeniu udał się do doktora Tachiona, ale jego matka zgubiła gdzieś kartkę, na której zapisała jego namiary. Pani Crenson bywała ostatnio coraz bardziej nieobecna duchem.

Znów przysnił mu się ten sam sen — tym razem zdał sobie sprawę, że to nie pierwszy raz, i zdołał go zapamiętać. We śnie przepełniał go gorączkowy lęk, jak tamtego dnia, gdy po raz ostatni wrócił ze szkoły do domu. Szedł pustą ulicą o zmierzchu. Coś poruszyło mu się za plecami, a wtedy odwrócił się i spojrzął. Zewsząd, z bram, samochodów i studzienek wychodzili ludzie i wszyscy gapili się na niego, podchodząc coraz bliżej. Ruszył naprzód, a wtedy rozległo się coś przypominające zbiorowe westchnienie. Gdy znowu się obejrzał, prześladowcy zmierzali w jego stronę, z twarzami wykrzywionymi złością. Rzucił się biegiem, pewien, że chcą go zamordować. Tłum podążał za nim...



Gdy się obudził, wyglądał obrzydliwie i nie miał żadnych specjalnych mocy. Był łysy, miał ciało pokryte szarozieloną łuską i wydłużony pysk. Jego palce były długie i zaopatrzone w dodatkowe stawy, oczy — żółte i przecięte pionowymi źrenicami. Jeśli zbyt długo stał wyprostowany, bolały go uda i krzyż. Zdecydowanie łatwiej było mu chodzić na czworakach. Gdy krzyknął, przerażony swoim wyglądem, z ust wydobyło się syczenie.

Dopiero wczesnym wieczorem usłyszał głosy na parterze. Otworzył drzwi i zawołał głośno. Claudia i Carl natychmiast przybiegli. Croyd przymknął drzwi tak, by została tylko wąska szczelina.

— Croyd? Wszystko w porządku? — spytał Carl.

— Tak i nie — syknął. — Wszystko będzie dobrze, ale umieram z głodu. Przynieście coś do jedzenia. Dużo!

— Co się stało? — dopytywała się Claudia. — Czemu nie chcesz wyjść?

— Później! Pogadamy później! Teraz dajcie jeść!

Potem odmówił opuszczenia pokoju. Rodzeństwo przynosiło mu posiłki, gazety i czasopisma. Croyd słuchał radia i przemierzał pokój na czworakach. Tym razem sen zdawał mu się wybawieniem. Dużo leżał na plecach, mając nadzieję, że w ten sposób go przyspieszy, ale

zachował przytomność przez większość tygodnia.

Gdy znów się obudził, miał ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, ciemne włosy i całkiem przystojne rysy. Był równie silny jak przedtem, ale wyglądało na to, że poza tym nie miał żadnych szczególnych mocy. A przynajmniej sądził tak aż do momentu, gdy poślizgnął się na schodach w biegu do kuchni i uniknął upadku, lewitując w powietrzu.

Jakiś czas później dostrzegł kartkę wypisaną pismem Claudii i przypiętą do drzwi jego pokoju. Był to numer telefonu podpisany „Bentley”. Croyd schował kartkę do portfela. Najpierw musiał wykonać inny telefon.



Doktor Tachion spojrzał mu w oczy i uśmiechnął się lekko.

— Mogło być gorzej.

Prawie rozbawiła go ta diagnoza.

— Gorzej, to znaczy jak?

— No cóż, mogłeś wyciągnąć dzokera.

— A co ja wyciągnąłem, doktorze?

— Jesteś jednym z najciekawszych przypadków, jakie widziałem do tej pory. U wszystkich innych pacjentów mutacja po prostu dobiega końca i albo zabija chorego, albo go zmienia — na lepsze lub na gorsze. W twoim przypadku... najlepszą analogią stanowiłaby chyba ziemską choroba, którą nazywacie malarią. Wirus przyczajony w twoim organizmie co jakiś czas doprowadza do ponownej infekcji.

— Raz już wyciągnąłem dzokera...

— Tak, i to może się powtórzyć. Ale w przeciwieństwie do pozostałych możesz to przeczekać. Wystarczy, że się prześpisz.

— Nie chcę już nigdy zmienić się w potwora. Mógłby mi pan zapewnić chociaż tyle?

— Obawiam się, że nie. To część objawów tej choroby. Mogę zlikwidować tylko całość.

— A szanse na wyleczenie są jak jeden do trzech czy czterech?

— Kto ci to powiedział?

— Dżoker imieniem Bentley. Przypominał psa.

— Kuracja Bentleya to jeden z moich sukcesów. Teraz wygląda już normalnie. Właściwie to wyszedł stąd całkiem niedawno.

— Naprawdę? Dobrze wiedzieć, że komuś się udało.

Tachion odwrócił wzrok.

— Tak — odpowiedział po dłuższej chwili.

— Mogę pana o coś zapytać?

— Tak?

— Jeśli zmieniam się tylko we śnie, to czy zdołam trochę odwlec przemianę, jeśli zachowam przytomność?

— Hm, rozumiem, do czego zmierzasz. Tak, jakiś stymulant na pewno by ją opóźnił. Jeśli poczujesz senność gdzieś na zewnątrz, kilka filiżanek kawy pewnie pozwoli ci dotrzeć do domu.

— Nie ma czegoś mocniejszego? Coś, co pozwoliłoby ją odłożyć na dłuższy czas?

— Oczywiście, istnieją silniejsze stymulanty, na przykład amfetamina. Ale mogą być

niebezpieczne dla zdrowia, jeśli będziesz je stosować za długo albo weźmiesz za dużo naraz.

— W jakim sensie niebezpieczne?

— Mogą powodować nerwowość, irytację albo agresję. Później może nastąpić psychoza toksyczna, halucynacje i ataki paranoi.

— Można zwariować?

— Tak.

— Ale przecież mogę odstawić prochy, zanim do tego dojdzie, prawda?

— To chyba nie takie łatwe.

— Nie chciałbym znów zostać potworem albo... Wprawdzie nie mówił pan nic takiego, ale czy mogę po prostu umrzeć we śnie?

— Jest taka możliwość. To straszny wirus. Ale przeżyłeś już kilka ataków, co sugeruje, że twoje ciało już nauczyło się, co robić. Nie martwiłbym się tym bez potrzeby...

— Najbardziej martwią mnie te dzokery.

— Obawiam się, że niestety musisz żyć z tą świadomością.

— Jasne. Dziękuję, doktorze.

— Wolałbym, żebyś następnym razem przyszedł do Szpitala Mount Sinai, gdy tylko poczujesz nadchodzącą przemianę. Chętnie obejrzałbym, jak rozwija się ten proces.

— Wolałbym nie.

Tachion skinął głową.

— To może po przebudzeniu?

— Może — zgodził się Croyd i uściśnił dłoń lekarzowi. — Aha, jeszcze jedno. Panie doktorze, jak się nazywał ten stymulant?



Po drodze zajrzał do rodziny Sarzanno, bo nie widział Joego od czasu tamtego popołudnia w sierpniu, gdy wracali razem ze szkoły. Konieczność zaopatrzenia rodziny bardzo ograniczyła jego wolny czas.

Pani Sarzanno uchyliła lekko drzwi i zmierzyła go nieufnym wzrokiem. Nawet gdy się przedstawił i wyjaśnił, dlaczego tak wygląda, nadal nie chciała wpuścić go do środka.

— Joe też się zmienił — powiedziała w końcu.

— Tak? W jaki sposób?

— Zmienił się. Po prostu. Odejdź.

Zamknęła drzwi bez pożegnania.

Croyd znów zapukał, ale nie było odpowiedzi.

W końcu odszedł, wszedł do baru i zjadł trzy steki, bo nie mógł zrobić nic innego.



Croyd przyjrzał się Bentleyowi — drobnemu mężczyźnie o lisiej twarzy i rozbieganych oczkach — i stwierdził, że transformacja jednak zachowała pewną spójność z jego wcześniejszym wyglądem. Tamten też zagapił się otwarcie, po czym spytał:

— To naprawdę ty, Croyd?

— Aha.

— Wejdz, usiadz. Wez sobie piwo. Mamy duzo do omowienia.

Odszedl na bok, wpuszczajac Croyda do przestronnego, jasno umeblowanego mieszkania.

— Wyleczyłem się i wróciłem do interesów. Kiepsko idą. A co u ciebie?

Croyd opowiedział mu o swoich przemianach i mocach, powtórzył też swoją rozmowę z Tachionem. Nie zdradził tylko swojego prawdziwego wieku — wszystkie jego dotychczasowe postaci wyglądały dorośle. Bał się, że Bentley straci do niego zaufanie, gdy dowie się, że jest tylko nastolatkiem.

— Zle się zabrałeś do tej roboty — stwierdził drobny człowieczek. Zapalił papierosa, zaciągnął się i rozkaszał. — Włazenie na ślepo to nie jest metoda. Za każdym razem musisz najpierw ułożyć plan dostosowany do swojej umiejętności. Mówisz, że tym razem potrafisz latać?

— Tak.

— Dobra. W wieżowcach na wyższych piętrach jest dużo miejsc, które wydają się całkiem bezpieczne. Tym razem weźmiemy się do nich. Masz rewelacyjne warunki. Nawet jeśli ktoś cię zobaczy, to i tak bez znaczenia. Następnym razem będziesz już wyglądał inaczej.

— A ty załatwisz mi tę amfetaminę?

— Ile tylko chcesz. Wróc jutro o tej samej porze, na tym samym przystanku. Może załatwię nam jakąś robotę. Przyniosę ci też prochy.

— Dzięki, Bentley.

— Chociaż tyle mogę dla ciebie zrobić. Zobaczysz, jeśli będziemy się trzymać razem, zbijemy majątek.



Bentley dobrze zaplanował akcję i trzy dni później Croyd przyniósł do domu więcej pieniędzy niż kiedykolwiek. Większość z tego oddał Carlowi, który zarządzał teraz domowymi finansami.

— Przejdźmy się, co? — zaproponował brat, chowając plik banknotów za książkami i spojrzał wymownie w stronę salonu, gdzie siedziała ich matka.

Croyd skinął głową.

— Jasne.

— Od jakiegoś czasu wydaje mi się, że jesteś dużo starszy — powiedział Carl, który sam miał prawie osiemnaście lat, gdy tylko wyszli na ulicę.

— Czuję się dużo starszy.

— Nie wiem, skąd bierzesz te pieniądze...

— Lepiej, żebyś nie wiedział.

— W porządku. Nie bardzo mogę narzekać, w końcu sam też z tego żyję. Ale muszę ci powiedzieć coś o mamie. Od czasu śmierci taty... zaczęła odpływać. Nie widziałeś jeszcze, jak bardzo jest z nią źle, akurat przespałeś najgorsze. Już trzy razy zdarzyło się, że po prostu wstała w nocy i wyszła na zewnątrz w samej koszuli, i do tego boso. W lutym, rozumiesz? Zaczęła chodzić po okolicy, jakby szukała taty. Na szczęście za każdym razem ktoś z sąsiadów ją wypatrzył i przyprowadził z powrotem. Ciągle pytała panią Brandt, czy nie widziała taty.

Rozmawiałem już z paroma lekarzami. Uważają, że powinniśmy ją na jakiś czas oddać do domu opieki. Claudia też się z tym zgadza. Nie zdołamy pilnować jej bez przerwy, a nie możemy jej zostawić samej, bo jeszcze zrobi sobie krzywdę. Poradzimy sobie z Claudią we dwójkę. Ale to będzie drogo kosztowało.

— Zdobędę więcej pieniędzy — obiecał Croyd.



Gdy w końcu odnalazł Bentleya i powiedział, że niedługo trzeba będzie zrobić następny skok, mały człowieczek wydawał się zadowolony. Poprzednio Croyd raczej wzbraniał się przed kolejnymi akcjami.

— Daj mi kilka dni, żeby coś wyhaczyć i ogarnąć temat — powiedział. — Zgłoszę się do ciebie.

— Aha, jasne.

Następnego dnia Croyd odkrył, że apetyt mu wzrósł, od czasu do czasu ziewał. Wziął jedną pastylkę.

Zadziałała lepiej, niż się spodziewał. Ogarnęło go bardzo przyjemne uczucie. Nie mógł sobie przypomnieć, kiedy ostatnio był taki szczęśliwy. Nagle wszystko zaczęło się układać jak należy. Wszystkie jego ruchy zdawały się płynne i pełne wdzięku. Był bardziej czujny, bardziej spostrzegawczy niż kiedykolwiek. A co najważniejsze — wcale nie był senny.

Dopiero wieczorem to wrażenie zaczęło ustępować, więc wziął kolejną pastylkę. Gdy zadziałała, poczuł się tak cudownie, że wyszedł na zewnątrz, by polewitować w chłodnym marcowym powietrzu pomiędzy jasnymi konstelacjami miejskich świateł i tych w górze, czując się, jakby nagle posiadał klucz do prawdziwego sensu istnienia. Przez chwilę pomyślał o powietrznej bitwie Śmiga i podleciał nad ruiny Hudson Terminal, który spłonął doszczętnie, gdy runął na niego samolot. Jakiś czas temu przeczytał, że mają tam wznieść monument na cześć dzielnego lotnika. Czy tak właśnie się czuł, kiedy spadał?

Zniżył lot, nurkując pomiędzy budynkami. Czasem przysiadł na dachu, skakał i wzbijał się w powietrze w ostatniej chwili. Za którymś razem dostrzegł dwóch ludzi przyglądających mu się z otwartych drzwi. Z jakiegoś powodu, którego do końca nie rozumiał, nagle go to zirytowało. Wrócił do domu i wziął się do sprzątanía. Poukładał stare czasopisma w stosy i związał sznurkiem, opróżnił kosze, pozamiatał i umył podłogę, umył też wszystkie naczynia w zlewie. Czterokrotnie brał później torby ze śmieciami i leciał nad East River, by wrzucić je do wody (opróżnianie śmietników nie odbywało się wtedy zbyt regularnie). Odkurzył półki, a o świcie wziął się do polerowania sreber. Potem przerzucił się na mycie okien.

Zupełnie niespodziewanie poczuł się nagle bardzo słaby i znów dostał dreszczy. Wiedział, co to oznacza, więc wziął kolejną tabletkę i nastawił ekspres przelewowy. Mijały kolejne minuty. Trudno mu było usiąść wygodnie. Zaniepokoiło go mrowienie w rękach. Umył je kilkakrotnie, ale bez skutku. W końcu wziął kolejną pastylkę. Wpatrywał się w tarczę zegara, słuchając ciurkania ekspresu. Gdy kawa była gotowa, dreszcze i mrowienie nagle ustąpiły. Poczuł się znacznie lepiej. Gdy pił kawę, znów pomyślał o tych ludziach stojących w wejściu. Co oni tam robili? Czyżby się z niego śmiali? Poczuł nagły przypływ gniewu, choć nawet nie widział ich twarzy. Patrzyli na niego! Gdyby mieli więcej czasu, mogliby rzucić kamieniem...

Potrząsnął głową. Nie, to idiotyczne. Przecież to tylko dwóch facetów. Poczuł, że ma ochotę

wyjsć, pochodzić po mieście, może nawet znowu polatać. Ale gdyby wyszedł, mógłby przegapić telefon od Bentleya. Zaczął przechadzać się po pokoju. Próbował czytać, ale tym razem nie mógł się skupić. W końcu sam zadzwonił.

— Masz już coś? — zapytał.

— Jeszcze nie. A czemu ci tak spieszo?

— Zaczynam być senny. Wiesz, co to znaczy?

— Eee... tak. Brałeś już dragi?

— Mhm. Nie dało się inaczej.

— W porządku. Słuchaj, oszczędzaj je, jak tylko możesz, dobra? Rozpracowuję parę tropów. Spróbuję zorganizować coś na jutro. Jeśli się nie uda, to przestań brać i idź spać. Zrobimy to innym razem. Jasne?

— Chcę to zrobić jak najszybciej.

— Pogadamy jutro. Uważaj na siebie.

Croyd wyszedł z domu. Dzień był pochmurny, na ziemi widać było płaty śniegu i zamrożone kałuże. Zdał sobie sprawę, że od wczoraj nic nie jadł. Uznał, że to chyba niedobrze, biorąc pod uwagę, jaki miał zwykle apetyt. *To pewnie te pastylki* — pomyślał. Znalazł jakiś bar i postanowił, że wmusi w siebie choć trochę jedzenia. Ale potem odkrył, że wcale nie ma ochoty siadać w miejscu pełnym ludzi. Sama myśl o takim tłumie była niepokojąca. Nie, lepiej wziąć coś na wynos...

Gdy zmierzał w stronę baru, z pobliskiej bramy doleciał jakiś głos. Odwrócił się tak szybko, że nieznajomy cofnął się odruchowo i uniósł dłonie.

— Spokojnie... — wykrztusił.

Croyd sam się cofnął.

— Przepraszam.

Mężczyzna miał na sobie brązowy płaszcz z postawionym kołnierzem. Na głowę włożył kapelusz i nasunął go tak nisko, jak tylko mógł, nie zasłaniając całkiem oczu. Stał z pochyloną głową, a jednak Croyd zauważył, że ma zakrzywiony dziób zamiast nosa i nienaturalnie lśniąca cerę.

— Czy mógłby mi pan pomóc? — spytał, starannie wymawiając słowa.

— Co panu potrzeba?

— Jedzenia.

Croyd odruchowo sięgnął do kieszeni.

— Nie, nie. Zle mnie pan zrozumiał. Mam pieniądze. Ale z takim wyglądem nie mogę po prostu wejść do środka, nikt mnie nie obsłuży. Dam panu pieniądze i niech pan kupi mi kilka hamburgerów, dobrze?

— W porządku, i tak miałem tam wejść.

Zjedli je potem, siedząc we dwóch na ławce. Croyd był zafascynowany dzokerami, zwłaszcza odkąd dowiedział się, że sam ma z nimi coś wspólnego. Zaczął się zastanawiać, co sam będzie jadł, jeśli któregoś dnia obudzi się w jakiejś obrzydliwej postaci, a w domu nikogo nie będzie.

— Rzadko oddalam się tak bardzo od centrum — przyznał nieznajomy. — Ale miałem tu sprawę do załatwienia.

— A gdzie pan zwykle przebywa?

— Na Bowery jest nas sporo. Tam nikt nas nie zaczepia. Nieważne, jak wyglądasz, zawsze obsłużą cię we wszystkich lokalach. Nikogo to nie obchodzi.

— Chce pan powiedzieć, że ludzie... próbują pana pobić?

Mężczyzna zaśmiał się krótko, piskliwie.

— Wiesz, młody, ludzie wcale nie są mili. Sam zobaczysz, jak już ich lepiej poznasz.

— Odprowadzę pana.

— Możesz sam oberwać.

— Zaryzykuję.

Trzech mężczyzn siedzących na ławce obejrzało się za nimi, gdy przechodzili. Dwie przecznice wcześniej Croyd połknął kolejne dwie pastylki (dwie przecznice? Tak niedawno?). Nie chciał, by podczas spaceru z nowym znajomym — nazywał się John, a przynajmniej tak kazał na siebie mówić — znów złapały go dreszcze, więc na wszelki wypadek wziął jeszcze dwie, żeby złagodzić nadejście kolejnego dołka. Gdy tylko dostrzegł dwójkę ludzi podążających za nimi, wiedział, że knują coś złego, i mięśnie barków napięły mu się same. Zaciśnął pięści w kieszeniach.

— Kukuryku! — zawołał jeden. Croyd zaczął się odwracać, ale John dotknął jego ramienia.

— Chodź.

Szli dalej. Natręci podążali za nimi.

— Ćwir, ćwir, ćwir! — wykrzyknął któryś z nich.

— Kwa, kwa! — dodał drugi.

Za chwilę niedopałek papierosa przeleciał Croydowi nad głową i wylądował przed nim na chodniku.

— Hej, ty! Ty tam, z tym cudakiem!

Ciężka dłoń opadła mu na ramię.

Croyd sięgnął, chwycił dłoń i ścisnął. Kości wydały serię cichych trzasków, a mężczyzna zaczął krzyczeć. Krzyk ucichł gwałtownie, gdy Croyd puścił rękę i uderzył napastnika w twarz, powalając go na ulicę. Drugi wymierzył mu cios w głowę, który Croyd zbił ruchem ręki, jednocześnie odwracając przeciwnika twarzą do siebie. Wtedy sięgnął lewą ręką, chwycił mężczyznę za kłapy kurtki, owinął materiał wokół pięści i uniósł go w górę na dwie stopy. Walnął plecami przeciwnika o ceglany mur, po czym uwolnił go z uścisku. Mężczyzna osunął się na ziemię i tak już został.

Ostatni z nich dobył noża, miotając przekleństwa przez zaciśnięte zęby. Croyd odczekał, aż podejdzie bliżej, po czym uniósł się o ponad metr i kopnął go w twarz. Przeciwnik runął plecami na chodnik. Croyd przeleciał do przodu i z rozmachem wylądował mu na brzuchu. Kopnął porzucony nóż do rynsztoka, a potem odwrócił się i odszedł.

— Jesteś asem — stwierdził po dłuższej chwili John.

— Nie zawsze — odparł Croyd. — Czasem jestem dzokerem. Zmieniam się po każdym przebudzeniu.

— Nie musiałeś bić ich tak mocno.

— Racja. Mogłem jeszcze mocniej. Jeśli odtąd nasze życie ma tak wyglądać, to powinniśmy sobie pomagać.

— Aha. Dzięki.

— Słuchaj, chciałbym, żebyś pokazał mi to miejsce na Bowery, tam gdzie nikt nas nie

zaczepi. Może kiedyś się tam przejdę.

— Jasne. Bardzo chętnie.

— Jestem Croyd Crenson. C-r-e-n-s-o-n. Zapamiętaj, dobrze? Jeśli przy następnym spotkaniu będę wyglądał inaczej, to już wiesz dlaczego.

— Zapamiętam.

John zabrał go do paru barów, pokazał mu miejscówki dzokerów. Przedstawił go sześciu swoim znajomym, wszyscy byli okrutnie zdeformowani. Croyd dobrze pamiętał swoją jaszczurzą fazę i ucisnął wszystkie podsunięte kończyny. Spytał, czy czegoś im potrzeba, ale oni tylko potrząsali głowami. Wiedział, że jego wygląd przemawia przeciwko niemu.

— Dobranoc — powiedział jeszcze i odleciał.



Strach, że ocaleni mieszkańcy przyglądają mu się z ukrycia, jeszcze się nasiliło, gdy leciał wzdłuż East River. Nawet w tej chwili ktoś mógł do niego mierzyć z karabinka z celownikiem optycznym...

Przyspieszył lotu. W pewnym stopniu zdawał sobie sprawę, że jego strach jest irracjonalny, ale był zbyt silny, by go łatwo opanować. Wylądował na rogu, pędem rzucił się do drzwi i wbiegł do środka. Pokonał schody prowadzące na piętro i zamknął się na klucz w swoim pokoju.

Spojrzał na łóżko. Miał wielką ochotę, by się na nim wyciągnąć, ale co, jeśli zaśnie? Wtedy koniec. Włączył radio i zaczął nerwowo spacerować. Zapowiadała się długa noc...

Gdy następnego dnia zadzwonił Bentley i powiedział, że ma zamiary na gorący towar, ale rzecz jest trochę ryzykowna, Croyd natychmiast powiedział, że nie ma sprawy. Miał przynieść materiały wybuchowe — co oznaczało, że musiał się jeszcze nauczyć, jak ich używać — ponieważ sejf był zbyt mocny nawet jak na jego nadludzką siłę. Istniało też niebezpieczeństwo, że w pobliżu będzie uzbrojony strażnik...



Nie chciał zabić tego człowieka, ale naprawdę się przestraszył, gdy strażnik zaczął zmierzać w jego stronę z wycelowaną bronią. I chyba źle dobrał zapalnik, bo wszystko wybuchło za wcześnie, a odłamek metalu uciął mu dwa palce u lewej dłoni. Szybko owinął rękę chusteczką, wziął pieniądze i uciekł.

Mgliście przypominał sobie, jak Bentley krzyczy: „Na litość boską, młody! Idź do domu i idź spać!”, tuż po tym, jak podzielili się łupem. Croyd uniósł się w górę i zaczął zmierzać z powrotem, ale po drodze wylądował przy piekarni, włamał się do środka i zjadł trzy bochenki chleba, zanim przestało mu się kręcić w głowie. W kieszeni miał jeszcze kilka tabletek, ale na samą myśl o prochach żołądek skręcał mu się w supeł.

Wślizgnął się do pokoju przez okno, które specjalnie zostawił otwarte i wczołgał się do środka. Zataczając się, poszedł do pokoju Carla i rzucił worek z pieniędzmi na łóżko brata. Wstrząsany dreszczami, wrócił do siebie i zamknął drzwi. Włączył radio. Chciał jeszcze przemyć zranioną rękę w łazience, ale nie był w stanie pójść tak daleko. Padł na łóżko i już tak został.

▲

Szedł pustą ulicą o zmierzchu. Coś poruszyło mu się za plecami, a wtedy odwrócił się i spojrzał. Zewsząd, z bram, samochodów i studzienek wychodzili ludzie i wszyscy gapili się na niego, podchodząc coraz bliżej. Ruszył naprzód, a wtedy rozległo się coś przypominające zbiorowe westchnienie. Gdy znów się obejrzał, prześladowcy zmierzali w jego stronę, z twarzami wykrzywionymi złością. Odwrócił się, chwycił pierwszego z brzegu za gardło. Reszta prześladowców zatrzymała się w miejscu, cofnęła o krok. Rozwalił głowę kolejnemu. Napastnicy rozpierzchli się na boki. Popędził za nimi...

III. Dzień gargulca

Gdy obudził się w czerwcu, odkrył, że jego matka siedzi w sanatorium, jego brat ukończył szkołę, jego siostra jest zaręczona, a on sam zdobył tym razem umiejętność modulacji głosu tak, że mógł roztrzaskać cokolwiek, dobierając odpowiednią częstotliwość fali głosowej i regulując rezonowanie strun głosowych. Nie potrafił wyjaśnić mechaniki tego zjawiska. Poza tym był wysoki, chudy i ciemnowłosy, miał ziemistą cerę i jakimś cudem wyhodował sobie brakujące palce.

Przeczuwając, że już niedługo może zostać sam w domu, znów porozmawiał z Bentleyem, by zorganizował mu jakąś dużą akcję, którą mógłby zakończyć przed następnym snem. Postanowił, że nie będzie już więcej brał pastylek — aż się wzdrygnął, przypominając sobie ostatnie dni przed zaśnięciem.

Tym razem jeszcze bardziej przykładał się do planu i zadawał coraz lepsze pytania, podczas gdy Bentley odpalał jednego papierosa od drugiego, dopracowując szczegóły. Utrata obojga rodziców i zbliżający się ślub siostry uświadomiły mu nietrwałość relacji międzyludzkich i zdał sobie sprawę, że Bentley też nie będzie mu towarzyszył wiecznie.

Zdołał przerwać system alarmowy i uszkodzić drzwi do skrytki na tyle, by wejść do środka, choć nie podejrzewał, że potłucze wszystkie szyby w promieniu trzech przecznic, próbując znaleźć właściwą częstotliwość. Tak czy inaczej, udało mu się uciec bezpiecznie, unosząc sporą ilość pieniędzy. Tym razem wynajął sobie skrytkę w banku w innej części miasta, gdzie zdeponował większość łupu. Trochę zirytowało go, że jego brat najwyraźniej jeździł teraz nowym samochodem.

Wynajął kilka pokoi w różnych dzielnicach: Village, Midtown, Morningside Heights, Upper East Side oraz na Bowery i opłacił czynsz za cały rok z góry. Klucze zawiesił na łańcuszku na szyi wraz z kluczykiem do skrytki. Potrzebował bezpiecznych kryjówek, do których mógłby dotrzeć niezależnie od tego, kiedy ogarnie go senność. Dwa pokoje były umeblowane, w pozostałych czterech umieścił tylko materac i radio. Spieszył się i uznał, że o inne wygody może zatroszczyć się później. Gdy się obudził, miał świadomość kilku wydarzeń, które zaszły, gdy był pogrążony we śnie. Domyślił się, że najprawdopodobniej nieświadomie przyswoił sobie treść komunikatów dobiegających z radia, które zostawił włączone. Uznał, że warto kontynuować ten zwyczaj.

Wyszukanie, wynajęcie i wyposażenie nowych miejscówek zabrało mu trzy dni. Po przygotowaniu mieszkania na Bowery odnalazł Johna i umówił się z nim na obiad. Opowieści

o wyczynach gangu antydżokerowego strasznie go przygnębiły, więc gdy wieczorem poczuł głód i senność, wziął pastylkę i wyszedł patrolować okolicę. Uznał, że jedna czy dwie dawki nie mogą zaszkodzić.

Tego wieczoru nie znalazł ani śladu bandytów, ale Croyd coraz bardziej niepokoił się, że tym razem może obudzić się jako dżoker. Przy śniadaniu wziął jeszcze dwie pastylki, by trochę odwlec przemianę i postanowił wykorzystać przyływ energii, aby umeblować swoje nowe lokum. Wieczorem wziął kolejne trzy pastylki i wyszedł na ostatni obchód po mieście. Idąc Czterdziestą Drugą Ulicą, śpiewał na wysokich tonach, a na całej trasie pękały szyby i wyły psy, obudził też dwóch dżokerów i jego asa obdarzonego zdolnością słyszenia fal ultrakrótkich. Brannigan-Gacek (który dwa tygodnie później zginął, przygnieciony spadającym posągiem rzuconym przez Vincenziego-Osiłka, jeszcze tego samego dnia zastrzelonego przez policję) poszedł jego tropem, by spuścić mu łomot za przerwany sen i ból głowy, ale ostatecznie postawił Croydowi kilka kolejek i zażyczył sobie cichego ultrakrótkofalowego wykonania *Galway Bay*.

Następnego dnia po południu jakiś taksówkarz na Broadwayu obrzucił go mięsem. Croyd w odpowiedzi wprawił jego samochód w wibracje, aż rozpadł się na kawałki. A potem skoro już zaczął, wziął się za tych wszystkich, którzy okazali mu wrogość, naciskając klaksony. Dopiero kiedy ogłuszający zgiełk przypomniał mu tamten dzień, gdy wracał ze szkoły, pierwszy dzień dzikiej karty, odwrócił się i uciekł w popłochu.

Obudził się na początku sierpnia w mieszkaniu na Morningside Heights i bardzo powoli przypomniał sobie, jak się tam znalazł. Obiecał sobie, że tym razem nie będzie brał już więcej pastylek. Gdy spojrzął na swoje powykęcane ramię i pokrywające je narośle, uznał, że tym razem łatwo mu będzie dotrzymać obietnicy. Miał ochotę jak najszybciej zasnąć. Wyjrzał przez okno i z ulgą zauważył, że zapadł już zmrok, bo do Bowery było dość daleko.



W środę, w połowie września, obudził się jako ciemny blondyn średniego wzrostu i budowy, o gładkiej cerze, bez jakichkolwiek objawów syndromu dzikiej karty. Przeprowadził serię prostych testów, które zwykle ujawniały ukryte zdolności. Tym razem nie wykrył niczego szczególnego.

Zaskoczony, ubrał się w jak najlepiej dopasowane ubrania i wyszedł na śniadanie. Po drodze kupił też kilka gazet i przeczytał je nad talerzem jajecznicy, wafli i grzanek. Gdy wychodził z domu, był chłodny poranek. Wychodząc z baru, około dziesiątej, poczuł, że zrobiło się już ciepło i parno.

Podjechał metrem do miasta, gdzie wszedł do pierwszego napotkanego sklepu odzieżowego i dobrał sobie nową garderobę. Kupił też kilka hot dogów od ulicznego sprzedawcy i zjadł je po drodze na stację.

Wysiadł z metra, poszedł do najbliższych delikatesów i zjadł dwie kanapki z wołowiną i placki ziemniaczane. Na co właściwie czekał? Wiedział, że spokojnie mógłby tu przesiedzieć cały dzień. Czuł, jak jego żołądek trawi pokarm, miał wrażenie, że gdzieś w środku brzucha płonie mu piec hutniczy.

Wstał, zapłacił i wyszedł. Uznał, że resztę drogi przejdzie piechotą. *Ciekawe, ile miesięcy minęło?* — pomyślał. I potarł czoło. Czas sprawdzić, jak radzi sobie mama. I zobaczyć, czy rodzeństwu nie potrzeba więcej pieniędzy.



Podszedł do drzwi frontowych z kluczem w wyciągniętej dłoni i nagle się zawahał. Schował klucz do kieszeni i zastukał. Po chwili otworzył mu Carl.

— W czym mogę pomóc?

— To ja, Croyd.

— Croyd? Jezu! Wejź! Nie poznałem cię. Ile czasu minęło?

— Całkiem sporo.

Croyd wszedł do środka.

— Jak się miewacie?

— Z mamą wszystko bez zmian. Pamiętasz chyba, lekarze mówili, że mamy nie robić sobie zbyt wielkich nadziei.

— Aha. Potrzeba wam pieniędzy na opłacenie sanatorium?

— Dopiero w przyszłym miesiącu. Ale parę kawałków pewnie by się przydało.

Croyd podał mu kopertę.

— Może lepiej nie będę do niej zaglądał. Z takim wyglądem tylko bym ją zdezorientował.

Carl potrząsnął głową.

— Byłaby zdezorientowana, choćbyś wyglądał tak samo jak przedtem.

— Och.

— Chcesz coś do jedzenia?

— Pewnie.

Brat poprowadził go do kuchni.

— Mamą sporo pieczeni wołowej. Dobre do kanapek.

— Mogą być kanapki. A jak idzie interes?

— Och, coraz lepiej. Na początku było trochę ciężko.

— To dobrze. A Claudia?

— Dobrze, że się zjawiłeś, bo nie wiedziała, na jaki adres wysłać zaproszenie.

— Jakie zaproszenie?

— W sobotę bierze ślub.

— Z tym chłopakiem z Jersey?

— Aha, z Samem. Ten sam, z którym się ostatnio zaręczyła. Prowadzi rodzinny interes i chyba całkiem nieźle zarabia.

— Gdzie będzie ceremonia?

— W Ridgewood. Może chcesz się ze mną zabrać? Będę jechał samochodem.

— Jasne. Zastanawiam się, co im kupić w prezencie.

— Zrobili listę. Zaraz jej poszukam.

— Okej.



Po południu Croyd poszedł do sklepu i kupił odbiornik telewizyjny Dumont z szesnastocalowym ekranem, zapłacił gotówką i umówił się na dostawę do Ridgewood. Odwiedził Bentleya, ale odmówił udziału w — na oko — dość ryzykownej robocie z uwagi na

brak specjalnych zdolności. Właściwie był nawet zadowolony, że ma taką dobrą wymówkę. Nie miał ochoty ryzykować skoku i dać się złapać — policji lub chorobie — tuż przed samym weselem.

Zjedli obiad we włoskiej knajpce, a potem przez kilka godzin rozmawiali o pracy. Bentley próbował mu wyjaśnić pojęcie wypłacalności długoterminowej — wyglądało na to, że jeszcze nie opanował tej sztuki.

Croyd spacerował potem przez większość nocy, oglądając budynki, starając się znaleźć ich słabe punkty i myśląc o swojej odmienionej rodzinie. Po północy, akurat gdy przechodził koło zachodniej części Central Parku, zaczęła go swędzieć skóra na piersi, a potem nieprzyjemne uczucie rozprzestrzeniło się po całym ciele. Już po chwili musiał się zatrzymać i podrapać z całej siły. O tej porze roku alergie zwykle wchodziły w modę, zastanawiał się więc, czy jego nowe wcielenie nie okazało się nadmiernie wrażliwe na jakąś substancję w parku.

Przy pierwszej sposobności skręcił na zachód i oddalił się od drzew tak szybko, jak to możliwe. Po jakichś dziesięciu minutach swędzenie ustało, a po półgodzinie zniknęło całkowicie. Skóra na rękach i twarzy była podrażniona, jakby spierzchnięta.

Około czwartej nad ranem zatrzymał się w całonocnym barze nieopodal Times Square, gdzie zamówił posiłek i zjadł go, czytając egzemplarz „Time”, który ktoś zostawił na stoliku. W dziale medycznym znalazł przygnębiający artykuł o samobójstwach wśród dzokerów. Cytowane wypowiedzi przypomniały mu wypowiedzi jego znajomych. Zaczął się zastanawiać, czy niektórzy z nich nie wypowiadali się dla artykułu. Bardzo dobrze ich rozumiał, choć nie mógł uważać się za jednego z nich. Miał przecież świadomość, że już niedługo wyciągnie nową kartę i że prawdopodobnie tym razem będzie to as.

Stawy zatrzeszczały, gdy wstał od stolika, a między łopatkami odezwał się ból. Poza tym miał wrażenie, że całe ciało zrobiło się opuchnięte.

Wrócił do domu przed świtem, rozpalony, jakby miał gorączkę. W łazience zmoczył szmatkę pod kranem i przyłożył do czoła. Zauważył w lustrze, że twarz ma jakby nalaną. Usiadł w fotelu i wstał dopiero, gdy usłyszał, że Carl i Claudia zaczęli krzątać się na dole. Gdy podniósł się, by zjeść z nimi śniadanie, kończyny miał jak z ołowiu, a stawy znów mu chrupnęły, kiedy schodził po schodach.

Claudia, szczupła blondynka, teraz już prawie dorosła, objęła go, gdy wszedł do kuchni.

— Wyglądasz na zmęczonego.

— Nie mów tak — odparł. — Nie mogę się tak szybko męczyć. Do ślubu zostały dwa dni, więc muszę jakoś wytrzymać.

— Ale możesz odpoczywać bez snu, prawda?

Skinął głową.

— A zatem dbaj o siebie. Wiem, że to na pewno trudne... Chodź, zjedzmy coś.

Gdy pili kawę, Carl spytał:

— Chcesz przejść się ze mną do biura, zobaczyć, jak wszystko urządziłem?

— Może innym razem. Mam trochę spraw do załatwienia.

— Jasne. Może jutro.

— Może.

Carl zjadł i szybko wyszedł. Claudia dołała Croydowi kawy.

— Prawie cię ostatnio nie widzimy — powiedziała.

— To prawda. Wiesz, jak to jest. Dużo śpię, czasem przez całe miesiące. A kiedy się budzę, nie zawsze wyglądam normalnie. A jeśli tak, to dużo czasu zabiera mi praca.

— Doceniamy to — powiedziała pospiesznie. — Ale ciężko to wszystko ogarnąć. Jesteś najmłodszy z nas, ale wyglądasz jak dorosły. Tak też się zachowujesz. Chyba nie wykorzystałeś całego dzieciństwa.

Uśmiechnął się.

— A ty? Mówisz, jakbyś była staruszką. Masz dopiero siedemnaście lat, a już wychodzisz za mąż.

Siostra odpowiedziała uśmiechem.

— Sam jest dobrym człowiekiem. Wiem, że będziemy razem bardzo szczęśliwi.

— Mam nadzieję. Posłuchaj, jeśli kiedyś będziesz chciała się ze mną skontaktować, dam ci namiary na miejsce, gdzie zawsze możesz mi zostawić wiadomość. Ale nie obiecuję, że przeczytam ją natychmiast.

— Rozumiem. Czym się właściwie zajmujesz?

— Chwytałem się różnych zajęć. Teraz właściwie jestem w trakcie zmiany pracy. Trochę odpuściłem, żeby móc przyjść na twój ślub. Jaki on właściwie jest? Ten twój przyszły mąż?

— Och, bardzo porządny i poukładany. Studiował w Princeton. Był w wojsku, ma stopień kapitana.

— Gdzie był? W Europie? Na Pacyfiku?

— W Waszyngtonie.

— Aha. Czyli ma koneksje.

Przytaknęła.

— Stara rodzina z tradycjami.

— No cóż... to dobrze. Wiesz, że życzę wam szczęścia.

Siostra wstała z krzesła i znów go objęła.

— Tęskniłam za tobą — powiedziała.

— Ja za tobą też.

— Muszę wyjść, załatwić parę spraw. Zobaczymy się później.

— Dobrze.

— Uważaj na siebie.

Gdy wyszła, rozłożył ręce jak najszerzej, próbując pozbyć się bólu w ramionach. Gdy je naprężył, pękła mu koszula na plecach. Spojrzał na siebie w lustrze. Jego barki były dziś szersze niż wczoraj, właściwie całe ciało zdawało się szersze, potężniejsze. Wrócił do domu i rozebrał się do naga. Większość torsu pokrywała czerwona wysypka. Na sam widok miał ochotę znów się podrapać, ale jakoś to opanował. Napełnił wannę i porządnie się wymoczył. Nim z niej wyszedł, poziom wody opadł zauważalnie. Oglądając się w lustrze, miał wrażenie, że stał się jeszcze większy. Czyżby ciało pochłonęło część wody przez skórę? Tak czy inaczej, podrażnienie nieco ustąpiło, choć skóra wciąż była lekko różowa.

Włożył ubrania z czasów poprzednich przemian, gdy był większy. Pojechał metrem do sklepu odzieżowego, który odwiedził poprzedniego dnia. Nakupował nowych ubrań i wrócił, walcząc z atakiem lekkich mdłości, gdy wagon metra kolebał się na zakrętach. Zauważył, że dłonie ma suche i spierzchnięte. Gdy potarł je o siebie, drobne płatki skóry posypały się niczym łupież.

Po wyjściu z metra poszedł piechotą do mieszkania Joego. Kobieta, która otworzyła drzwi, nie przypominała jego matki.

— Czego pan szuka?

— Chciałem odwiedzić Joego Sarzanno.

— Nie mieszka tu nikt taki. Pewnie wyprowadzili się, zanim tu przyjechaliśmy.

— Nie wie pani, dokąd pojechali?

— Nie. Proszę zapytać gospodarza domu. On na pewno wie.

Zamknęła drzwi.

Croyd próbował zapukać do gospodarza, ale nikt nie otwierał. Pojechał do domu, czując, że jest ciężki i opuchnięty. Gdy ziewnął po raz drugi, nagle zdjął go strach. Było stanowczo za wcześnie, by znowu zasypiać. Tym razem jego transformacja przebiegała jeszcze dziwniej niż zwykle.

Nastawił dzbanek kawy i przechadzał się po kuchni, czekając, aż się zaparzy. Wprawdzie nie miał pewności, że za każdym razem obudzi się z jakąś nową mocą, ale jedynym stałym elementem jego choroby były ciągłe zmiany. Pomyślał o wszystkich tych przemianach, które przeszedł od czasu infekcji. Wyglądało na to, że tym razem nie jest ani asem, ani dzokerem, ale po prostu normalnym człowiekiem. Mimo wszystko...

Gdy kawa była już gotowa, nalał jej do filiżanki, usiadł przy stole i zdał sobie sprawę, że bezwiednie drapie się po prawym udzie. Zatarł ręce i zobaczył odpadające płatki skóry. Znow pomyślał o swojej powiększonej sylwetce, o skrzypiących stawach, zmęczeniu. Było jasne, że tym razem także nie jest całkiem normalny, ale na czym właściwie polegała jego nienormalność? Czy doktor Tachion mógłby coś na to poradzić? A przynajmniej wyjaśnić mu, co się dzieje?

Wykręcił numer lekarza, którego ostatnio nauczył się na pamięć. Jakaś kobieta poinformowała go radośnie, że doktor Tachion wyszedł, ale wróci po południu. Zapisała nazwisko Croyda — chyba je rozpoznała — i kazała mu przyjść o trzeciej.

Dokończył dzbanek kawy. Gdy pił ostatnią filiżankę, swędzenie przybrało na sile. Pobiegł na górę i znow nalał wody do wanny. Czekając, aż wanna się napełni, obejrzał uważnie swoje ciało. Cała skóra była teraz sucha i złuszcząca, tak jak wcześniej na rękach. Wystarczyło się otrzepać, by wzbić chmurę białych drobinek.

Moczył się bardzo długo. Wilgoć i ciepło wydały mu się bardzo przyjemne. Po chwili odchylił głowę i zamknął oczy. Tak, bardzo przyjemne...

Poderwał się gwałtownie. O mały włos nie zasnął. Chwycił gąbkę i zaczął trzeć się energicznie, nie tylko po to, by usunąć martwy naskórek. Gdy skończył, wytarł się szybko i pobiegł do pokoju. Zlokalizował tabletki i połknął dwie naraz. Nie wiedział, co dokładnie wyprawia jego ciało, ale sen był teraz jego wrogiem.

Wrócił do łazienki, wymył wannę i ubrał się. Miał wielką ochotę wyciągnąć się na łóżku i odpocząć, tak jak radziła Claudia. Ale wiedział, że nie może.



Tachion wziął próbkę krwi i włożył do swojej maszyny. Przy pierwszej próbie igła wbiła się tylko do połowy i zatrzymała. Dopiero trzecia, wbita energicznym ciosem, przebiła tkankę podskórną.

Czekając na wyniki, Tachion przeprowadził ogólne badanie.

- Od kiedy masz tak długie siekacze? Od przebudzenia?
- Gdy myłem zęby, wyglądały normalnie — odparł Croyd. — A co? Urosły?
- Spójrz sam.

Tachion uniósł małe lusterko. Croyd popatrzył na siebie z niedowierzaniem. Jego zęby miały dwa i pół centymetra długości i wyglądały na ostre.

- To chyba nowa zmiana — wykrztusił. — Nie wiem, kiedy to się stało.

Tachion wykręcił mu lewą rękę na plecy, jakby zakładał chwyt policyjny, i wepchnął palce pod łopatkę. Croyd wrzasnął.

- Aż tak źle?
- Boże! — wydyszał Croyd. — Co tam jest? Coś się złamało?

Lekarz potrząsnął głową. Obejrzał pod mikroskopem płatki złuszczonej skóry. Potem przyjrzał się stopom Croyda.

- Czy od początku były takie szerokie?
- Nie. Panie doktorze, co się dzieje?
- Zaczekajmy na wyniki analizy krwi. Byłeś tu już wcześniej ze trzy-cztery razy...
- Tak.

— Na szczęście, raz przyszedłeś tuż po przebudzeniu, a innym razem po sześciu godzinach. Za pierwszym razem miałeś we krwi wysoki poziom pewnego hormonu, który może być powiązany z procesem zmiany. Za drugim razem wykryłem tylko jego śladowe ilości. W innych przypadkach analiza w ogóle go nie stwierdziła.

- A zatem?
- Badanie krwi ma za zadanie ustalić poziom tego hormonu. Aha! Chyba już gotowe. Na ekranie urządzenia rozbłysł rząd dziwnych symboli.

— Tak, jest tak, jak podejrzewałem — mruknął Tachion. — Bardzo wysoki poziom, nawet wyższy niż wtedy po przebudzeniu. Hmm. A do tego brałeś amfetaminę.

— Musiałem. Zacząłem się robić senny, a muszę dotrzeć do soboty. Proszę opisać mi w prostych słowach, jak działa ten cholerny hormon.

— Oznacza to, że zmiana wciąż trwa. Z jakiegoś powodu tym razem obudziłeś się przed końcem przemiany.

- Dlaczego?

Tachion wzruszył ramionami. Wyglądało na to, że przyswoił sobie ten gest od czasu ich ostatniego spotkania.

— Mogą być różne powody, cały szereg reakcji biochemicznych wywołanych samą przemianą. Prawdopodobnie jest to wynik stymulacji mózgu, efekt uboczny jakichś innych procesów, który akurat zbiegł się w czasie ze zwiększoną aktywnością umysłu. Sama ta zmiana — czymkolwiek była — dobiegła końca, ale cała reszta jeszcze nie. A zatem twoje ciało próbuje cię uśpić, by dokończyć cykl.

- Krótko mówiąc, obudziłem się za wcześnie?
- Tak.
- Co mam zrobić?
- Natychmiast odstaw stymulanty. Śpij. Niech przemiana dokończy się sama.
- Nie mogę. Muszę być na chodzie jeszcze przez dwa dni. Półtora dnia właściwie

wystarczy.

— Podejrzewam, że twoje ciało będzie się opierać, a wygląda na to, że wie, co robi. Powiedziałbym, że bardzo ryzykujesz.

— Czym właściwie ryzykuję? Ma pan na myśli, że może mnie to zabić czy tylko sprawić jakieś dolegliwości?

— Nie wiem, Croyd. Twój przypadek jest wyjątkowy. Każda zmiana przebiega inaczej. Możemy zaufać tylko naturalnym mechanizmom obronnym twojego ciała, który przystosował się do działania wirusa — to on spowodował, że jak dotąd każda infekcja kończyła się pomyślnie. Próbując zachować przytomność, będziesz z tym walczył.

— Już wiele razy opóźniałem zasypianie.

— Tak, ale wtedy jedynie odwlekałeś rozpoczęcie procesu, który zazwyczaj rozpoczyna się dopiero wtedy, gdy chemia twojego mózgu zacznie sygnalizować sen. Ale tym razem zmiana już się zaczęła, a obecność hormonu zdradza, że transformacja cały czas postępuje. Nie wiem, co się stanie. Być może nieświadomie zmienisz fazę asa w fazę dzokera. Możesz zapaść w długą śpiączkę. Nie potrafię tego stwierdzić.

— Powiem panu, jak już się dowiem.



Po wyjściu od lekarza Croyd nie miał ochoty na spacer, więc znów pojechał metrem. Młodości powróciły i tym razem towarzyszył im ból głowy. Barki i ramiona znów bolały, zajrzał więc do sklepu koło stacji i kupił aspirynę.

Po drodze zatrzymał się koło bloku, gdzie kiedyś mieszkali Sarzannowie i tym razem zastał gospodarza u siebie. Mężczyzna nie potrafił mu jednak pomóc, bo rodzina Joego nie zostawiła mu nowego adresu. Croyd zerknął do lusterka wiszącego koło drzwi i z przerażeniem spojrzął na swoje opuchnięte, mocno podkrążone oczy. Poczuł, że one też go bolą.

Wrócił do domu. Obiecał Carlowi i Claudii, że wieczorem zabierze ich na kolację do dobrej restauracji, i chciał być w jak najlepszej formie. Wszedł do łazienki i znów się rozebrał. Całe ciało miał twarde i spęczniałe. Dopiero teraz uświadomił sobie, że w natłoku innych symptomów zapomniał powiedzieć lekarzowi, że od przebudzenia nie korzystał z toalety. Jego ciało musiało gdzieś magazynować wszystko, co zjadł i wypił. Wszedł na wagę, ale skala sięgała tylko do trzystu funtów, a on ważył więcej. Wziął trzy aspiryny, mając nadzieję, że już niedługo zaczną działać. Podrapał się po rękę, a wtedy odszedł z niej długi pasek skóry, zupełnie bezboleśnie i bez kropli krwi. Podrapał się po innych miejscach, znacznie delikatniej, ale skóra wciąż odchodziła. Gdy przystąpił do czesania, włosy zaczęły wychodzić całymi garściami. Upuścił grzebień. Przez chwilę miał ochotę się rozplakać, ale przerwał mu napad ziewania. Poszedł do pokoju i wziął jeszcze dwie pastylki amfetaminy. Potem przypomniał sobie, że dawkę leku należy obliczać proporcjonalnie do wagi, więc wziął jeszcze jedną, tak na wszelki wypadek.



Znalazł jakąś restaurację, gdzie panował półmrok, i wsunął kelnerowi banknot w rękę, by posadził ich przy stoliku w głębi sali, z dala od innych klientów.

— Croyd... wyglądasz naprawdę kiepsko — martwiła się Claudia.

— Wiem — odparł. — Byłem dzisiaj u lekarza.

— I co powiedział?

— Że powinienem iść spać, natychmiast po ślubie.

— Jeśli chcesz zrezygnować, to przecież rozumiem. Twoje zdrowie jest dla nas najważniejsze.

— Nie chcę rezygnować. Wszystko będzie dobrze.

Jak mógł to wyjaśnić, skoro sam za dobrze tego nie zrozumiał? Że to coś więcej niż tylko ślub ukochanej siostry — że ta ceremonia symbolizuje ostateczny koniec jego rodzinnego domu i że najprawdopodobniej nie będzie już miał innego? Że to koniec pewnego etapu życia i początek wielkiej niewiadomej?

Nie potrafił tego ująć w słowa, więc skupił się na jedzeniu. Apetyt wciąż miał olbrzymi, a jedzenie było naprawdę znakomite. Carl, który już skończył swoje danie, z fascynacją podglądacza patrzył, jak Croyd pożera dwa kolejne zestawy dla dwojga, przerywając tylko na chwilę, by poprosić o kolejny koszyk z pieczywem.

Gdy w końcu wstali, Croydowi znów zatrzeszczały stawy.

Gdy wieczorem usiadł na łóżku, był sztywny i obolały. Aspiryna nie pomagała. Zdjął ubranie, bo wszystkie ciuchy były zbyt obcisłe. Ilekroć się drapał, skóra na ciele nie tylko się łuszczyła. Odchodziła wielkimi płatami, które zdawały się suche i blade, bez śladu krwi. *Nic dziwnego, że wyglądam tak blado* — pomyślał. W głębi wyjątkowo dużej rany na piersi zauważył coś szarego. Nie wiedział, co to może być, ale sam widok naprawdę go przeraził.

W końcu, mimo późnej godziny, zadzwonił do Bentleya. Musiał porozmawiać z kimś, kto znał prawdę o jego chorobie, a Bentley zwykle dawał dobre rady.

Po wielu sygnałach mężczyzna w końcu podniósł słuchawkę, a Croyd opowiedział mu o wszystkim.

— Wiesz co, młody? — powiedział w końcu Bentley. — Chyba powinieneś posłuchać lekarza. Prześpij to.

— Nie mogę. Jeszcze tylko jeden dzień. Wytrzymam bez snu, ale wszystko mnie boli, a do tego wyglądam jak...

— W porządku. Posłuchaj: zrobimy tak. Zajrzyj do mnie koło dziesiątej. Teraz w niczym ci nie pomogę, ale z samego rana pogadam z jednym gościem i załatwimy ci silny środek przeciwbólowy. A poza tym muszę cię obejrzeć. Może jakoś uda się zamaskować ten wygląd.

— Okej. Dzięki, Bentley.

— Nie ma sprawy. Doskonale cię rozumiem. Ja też kiepsko się czułem jako pies. Dobranoc.

— Branoc.



Dwie godziny później Croyd dostał potwornych skurczy, a potem biegunki. Czuł też, że pęcherz zaraz mu pęknie, i tak było przez całą noc. Gdy wszedł na wagę o wpół do czwartej, ważył sto dwadzieścia pięć kilo. O szóstej już tylko sto dziesięć. Bez przerwy bulgotało mu w brzuchu. Jedyną zaletą całej sytuacji było to, że na jakiś czas przestał myśleć o swędzeniu i bolących stawach, a do tego zachowywał przytomność bez pomocy amfetaminy.

O ósmej rano ważył już tylko dziewięćdziesiąt osiem kilo, a gdy Carl zawołał go na śniadanie, zdał sobie sprawę, że nagle stracił apetyt. Co dziwniejsze, objętość całego ciała wcale się nie zmniejszyła. Sylwetka pozostała bez zmian, chociaż był teraz bladej, niemal jak albinos,

co w połączeniu z wystającymi zębami upodabniało go do grubego wampira.

O dziewiątej rano zadzwonił do Bentleya, bo problem nie ustąpił i co chwila musiał latać do kibla. Powiedział, że w nocy dostał sraczkę i nie może przyjść po swoje lekarstwo. Bentley obiecał, że sam mu je przyniesie. Carl i Claudia już wyszli. Croyd unikał ich od rana, tłumacząc, że ma kłopoty z żołądkiem. Teraz ważył już niecałe dziewięćdziesiąt kilo.

Bentley zjawił się przed jedenastą. Croyd stracił kolejne dziesięć kilo i zdrapał sobie z brzucha kolejny płat skóry. Odsłonięta tkanka była szara i łuskowata.

— Boże! — wykrzyknął Bentley na jego widok.

— Aha.

— Masz wielkie łysiny.

— Wiem.

— Załatwię ci perukę. Pogadam też z jedną wizażystką — trzeba cię natrzeć jakimś kremem, żebyś nabrał normalnego koloru. Lepiej załóż też ciemne okulary. Powiedz gościom na weselu, że masz zapalenie spojówek. O rany, a do tego robi ci się garb! Kiedy to się stało?

— Nawet nie zauważyłem. Miałem... inne problemy.

Bentley poklepał guz wystający spomiędzy łopatek, a Croyd wrzasnął.

— Wybacz. Może lepiej od razu weź pigułkę.

— Aha.

— Będzie ci potrzebny duży prochowiec. Jaki nosisz rozmiar?

— Teraz? Nie mam pojęcia.

— Nic nie szkodzi, znam gościa, który prowadzi magazyn. Przyślemy ci kilka.

— Przepraszam, Bentley, znowu muszę do kibla.

— Aha, jasne. Weź lekarstwo i spróbuj odpocząć.

O drugiej po południu Croyd ważył siedemdziesiąt. Lek przeciwbólowy zadziałał i po raz pierwszy od dawna nie uskarżał się na swoje barki. Niestety, efektem ubocznym była senność, więc znów musiał wziąć amfetaminę. Z drugiej strony, połączone działanie proszków zapewniło mu najlepsze samopoczucie od czasu przebudzenia, choć wiedział, że to tylko chwilowe.

O wpół do czwartej, gdy nadeszła dostawa płaszczy, zszedł do sześćdziesięciu kilo i czuł się bardzo lekki. Miał wrażenie, że krew w nim wrze. Znalazł prochowiec, który pasował idealnie, i wziął go do pokoju, zostawiając resztę na kanapie. Wizażystka — wysoka, natapirowana blondynka żująca gumę — przyszła o czwartej. Wyczesła mu resztę włosów i dopasowała peruczkę. Potem zajęła się twarzą, instruując go, jak używać kolejnych kosmetyków. Poradziła też, by starał się za bardzo nie otwierać ust przy mówieniu, by nie eksponować kłów. Croyd był bardzo zadowolony z efektu i dał jej sto dolarów. Kobieta zauważyła wtedy, że może mu zaproponować także inne usługi, ale on znów poczuł bulgotanie w brzuchu i szybko się pożegnał.

O szóstej po południu jego wnętrzości jakby trochę się uspokoiły. Zszedł do pięćdziesięciu trzech kilo i wciąż czuł się nieźle. Swędzenie także ustało, choć w tym czasie zdrapał sobie skórę z mostka, przedramion i ud.

— Co tu robią te wszystkie płaszcze?! — wykrzyknął Carl, gdy wrócił do domu.

— Długa historia — odparł Croyd. — Jeśli chcesz, możesz je zatrzymać.

— Hej, są kaszmirowe!

— Aha.

- Ten jest w moim rozmiarze.
- To go sobie weź.
- Jak się czujesz?
- Lepiej, dzięki.

Tego wieczoru poczuł, że wracają mu siły, i postanowił wyruszyć na długi spacer. Spróbował unieść zderzak zaparkowanego samochodu i podniósł go wysoko. Tak, zdecydowanie wracał do zdrowia. Ucharakteryzowany, ubrany w perukę, wyglądał po prostu jak zwykły grubas. Gdyby miał więcej czasu, znalazłby jakiegoś dentystę, żeby pomógł mu rozwiązać problem kłów. Tamtego wieczoru ani później rano już niczego nie jadł. Miał wrażenie, że czuje dziwny ucisk na skroniach, ale wziął pigułkę i nacisk nie przeszedł w migrenę.



Zanim wyruszyli z Carlem do Ridgewood, Croyd zafundował sobie kolejną kąpiel. Odpadły mu kolejne płyty skóry, ale już się tym nie martwił. Ubranie miało to wszystko przykryć. Ostrożnie nałożył makijaż i poprawił perukę. Ubrany i umalowany, włożył okulary przeciwsłoneczne i uznał, że wygląda całkiem do przyjęcia. Gruby płaszcz trochę maskował garb na plecach.

Ranek był chłodny i pochmurny. Problem szalejących wnętrzności zdawał się rozwiązany. Wziął jeszcze jedną pigułkę, tak na wszelki wypadek, nie wiedząc, czy znów przyjdzie mu walczyć z atakiem bólu. To oczywiście wymagało przyjęcia kolejnej porcji amfetaminy. Ale poza tym czuł się dobrze, choć może nieco nerwowo.

Gdy jechali przez tunel, odkrył, że pociera rękę. Ku jego zakłopotaniu z grzbietu ręki odszedł duży fragment skóry. Na szczęście pamiętał, by zabrać rękawiczki.

Nie wiedział, czy to efekt jazdy tunelem, ale w głowie znów zaczęło mu pulsować. Właściwie nie był to ból, jedynie mocny ucisk w uszach i na skroniach. Poczł coś podobnego w górze pleców, a potem coś jakby poruszyło się pod płaszczem. Przygryzł wargę, a wtedy odpadł z niej kawałek ciała. Croyd zaklął.

- Co się stało? — spytał Carl.
- Nic takiego.

Przynajmniej nie było krwi.

— Jeśli źle się czujesz, mogę cię zabrać z powrotem. Nie chcę cię zmuszać, żebyś siedział chory na ślubie. Zwłaszcza wśród takich sztywniaków jak rodzina Sama.

- Nic mi nie będzie.

Croyd czuł, że całe ciało ma bardzo lekkie, a jednocześnie coś naciskało na wiele punktów jednocześnie. Poczucie siły płynące z działania narkotyku zmieszało się z jego prawdziwą siłą. Wszystko szło idealnie. Zanucił coś i zabębnił palcami o kolano.

— Te płaszcze muszą być sporo warte — powiedział niespodziewanie Carl. — Wszystkie są zupełnie nowe.

- To sprzedaj je i zatrzymaj pieniądze — odparł Croyd.
- To gorący towar?
- Prawdopodobnie.
- Zajmujesz się rekietem?

— Nie, ale znam różnych ludzi.

— Nie powiem ani słowa.

— To dobrze.

— Nawet wyglądasz na takiego, wiesz? W tym czarnym płaszczu i ciemnych okularach...

Croyd nie odpowiedział. Był zajęty nasłuchiowaniem własnego ciała, które próbowało mu powiedzieć, że w plecach coś się oblużowało. Potarł plecami o siedzenie i poczuł się trochę lepiej.

Carl przedstawił go rodzicom Sama, Williamowi i Marcii Kendallom. Ojciec pana młodego był siwowłosym mężczyzną o kanciastych rysach i nieco otyłym, a jego żona doskonale zadbaną blondynką. Croyd pamiętał, że ma się uśmiechać, nie pokazując zębów, i jak najmniej otwierać usta przy mówieniu. Kendallowie przyglądali mu się uważnie i miał wrażenie, że chętnie powiedzieliby coś więcej, gdyby nie musieli przywitać się z innymi gośćmi.

— Chciałbym porozmawiać z tobą na weselu — powiedział na pożegnanie William.

Croyd westchnął i odszedł na bok. Zdał egzamin. Nie miał zamiaru iść na wesele. Tuż po ceremonii ślubnej zamierzał wziąć taksówkę do domu i natychmiast iść spać. Podejrzewał, że gdy się obudzi, Sam i Claudia będą już na Bahamach.

Zobaczył swojego kuzyna Michaela z Newark i prawie do niego podszedł. Do diabła z tym. Musiałby wyjaśniać, dlaczego tak wygląda, a nie miał na to ochoty. Wszedł do kościoła i usiadł we wskazanej ławce, z samego przodu, po prawej stronie. Carl miał prowadzić Claudię do ołtarza. Przynajmniej obudził się na tyle późno, że już nie mogli go zrobić świadkiem. Jednak miał niezłe wyczucie czasu.

Czekając na rozpoczęcie ceremonii, przyglądał się witrażowym oknom i ozdobom z kwiatów. Kościół powoli zapełniał się ludźmi. Nikt poza nim nie miał płaszcza. Zastanawiał się, czy uznają to za dziwactwo. Potem zaczął się bać, czy makijaż nie spłynie z potem. Rozpiął płaszcz i lekko rozchylił poły.

Pot wciąż ściekał mu po twarzy, a stopy zaczęły pobolewać. W końcu pochylił się i rozluźnił sznurówki. W tej samej chwili usłyszał trzask rozdieranej koszuli. Znów coś się oblużowało na plecach — podejrzewał, że to kolejny płat skóry. Gdy się prostował, jego plecy przeszył ostry ból. Garb na plecach jeszcze urósł i źle znosił wszelki ucisk. Nie był w stanie wesprzeć się na oparciu ławki, pochylił się więc w przód, jakby do modlitwy. Zagrały organy. Do środka wchodzili kolejni goście. Świadek poprowadził do sąsiedniej ławki jakieś starsze małżeństwo, obrzucił Croyda dziwnym spojrzeniem.

W końcu wszyscy zajęli swoje miejsca. Croyd pocił się jak mysz. Pot spływał mu po brzuchu i po nogach, wsiąkał w ubranie, które szybko pokryło się ciemnymi plamami. Uznał, że będzie mu chłodniej, jeśli wyjmie dłonie z rękawów i po prostu zarzuci płaszcz na ramiona. To był błąd — gdy próbował zdjąć okrycie, materiał rozdarł się w paru kolejnych miejscach. Napięta skóra w bucie pękła, a spod niej ukazały się szarawe palce. Kilka osób spojrzało w kierunku tych dziwnych odgłosów. Croyd podziękował losowi, że w tej postaci nie może się zaczerwienić.

Nie wiedział, czy sprawiło to gorąco, czy jakiś efekt psychologiczny, ale znów poczuł swędzenie. Miał w kieszeniach proszki przeciwbólowe i amfetaminę, ale nic na podrażnienie skóry. Splótł ręce i zacisnął mocno, by powstrzymać się od drapania — chociaż na wszelki wypadek zmówił też modlitwę, bo okoliczności były bardzo sprzyjające. Nie pomogło.

Poprzez zroszone potem rzęsy zobaczył wchodzącego księdza. Zastanawiał się, dlaczego

mężczyzna tak się na niego gapi. Może nie lubił, gdy ludzie niebędący wyznania anglikańskiego pocili mu się w kościele. Croyd zacisnął zęby. Gdyby tylko miał moc znikania. Zniknąłby na parę minut, podrapał się jak szalony i znów usiadł spokojnie.

Siłą woli wytrzymał bez ruchu podczas całego marsza Mendelssohna. Nie mógł się skupić na słowach księdza, ale wiedział już, że nie wytrzyma całej ceremonii. Zastanawiał się, co się stanie, jeśli wyjdzie wcześniej. Czy nie wpakuje Claudii w głupią sytuację? Z drugiej strony, był właściwie pewien, że jeśli zostanie, będzie jeszcze gorzej. Z pewnością jego chorobliwy wygląd trochę go usprawiedliwiał. Ale czy ludzie nie będą potem plotkować o tym przez całe lata? („Jej brat wyszedł przed końcem ślubu...”). Postanowił wytrzymać jeszcze trochę dłużej.

Coś się poruszyło na plecach, czuł, że ociera się o materiał płaszcza. Kilka kobiet głośno chwyciło powietrze. Teraz bał się nawet ruszyć, ale...

Swędzenie stało się nieznośne. Rozplótł dłonie, by się podrapać, ale ostatnim wysiłkiem woli złapał za oparcie pierwszej ławki. Ku jego przerażeniu rozległ się głośny trzask, a drewno rozpadło mu się w rękach.

Zapadła długa cisza.

Ksiądz patrzył prosto na niego. Claudia i Sam także odwrócili się od ołtarza, by spojrzeć na Croyda, który trzymał w ręku dwumetrowy fragment połamanej ławki i wiedział, że nie może się nawet uśmiechnąć, bo obnażyły kły.

Upuścił kawałek drewna i objął się ciasno rękami. Z tyłu rozległy się okrzyki. Croyd z całej siły wbił palce w ramiona i podrapał się po barkach.

Usłyszał trzask dartych ubrań i poczuł, że skóra rozdziera mu się na pół od czubka głowy. Peruczka spadła na podłogę. Zrzucił ubranie i wyliniała skórę i znów się podrapał, z całej siły. Usłyszał wrzask gdzieś z tyłu i wiedział, że nigdy nie zapomni wyrazu twarzy Claudii. Ale już nie mógł tego zatrzymać. Wielkie nietoperzowe skrzydła rozpostarły się na całą szerokość, spiczaste uszy rozwinęły, a resztki ubrań opadły z jego ciemnej, łuskowatej sylwetki.

Ksiądz znów przemówił i tym razem brzmiało to jak egzorcyzmy. W całym kościele rozbrzmiały krzyk i tupot biegnących stóp. Croyd wiedział, że nie może wyjść drzwiami, do których przepychali się wszyscy zgromadzeni, więc skoczył w powietrze, zrobił kilka okrążeń, by przyzwyczaić się do nowego ciała, a potem osłonił oczy lewym przedramieniem i przebił witrażowe okno po prawej.

Lecąc w stronę Manhattanu, wiedział, że upłynie dużo czasu, zanim znów zobaczy tych teściów. Miał nadzieję, że Carl nie będzie się żenił za szybko. Zastanawiał się, czy sam kiedyś spotka właściwą kobietę...

Złapał prąd powietrzny i poszybował w górę, czując bryzę wiejącą znad rzeki. Gdy spojrział w dół, kościół przypominał rozkopane mrowisko. Poleciał dalej.



Świadek

WALTER JON WILLIAMS

Tamtego dnia, gdy zginął Śmig, akurat oglądałem poranny seans *Jolsona*. Chciałem zobaczyć Larry'ego Parksa — wszyscy mówili, że był w tej roli znakomity. Przyglądałem mu się uważnie, zapamiętując różne techniki.

Młodzi aktorzy często tak robią.

Film się skończył, ale było mi dobrze w kinie i nie miałem żadnych planów, więc postanowiłem jeszcze raz obejrzeć Larry'ego Parksa. Zasnąłem w połowie, a gdy się obudziłem, na ekranie przesuwają się napisy końcowe. Byłem sam na sali.

Gdy wszedłem do holu, bileterki zniknęły, a drzwi były zamknięte. Wszyscy uciekli i zapomnieli o tym powiedzieć operatorom projektora. Wyszedłem na zewnątrz w jasne, przyjemne, jesienne popołudnie i zobaczyłem, że Druga Aleja opustoszała.

To się nigdy nie zdarza.

Kioski były pozamykane. Nieliczne samochody stały na chodnikach. Neon kinowy zgaszono. W oddali rozbrzmiewało wściekle trąbienie, ledwie słyszalne wśród warkotu silników samolotowych. Coś nieprzyjemnie pachniało.

Atmosfera w mieście zupełnie przypominała moment nalotu — opuszczone ulice, nerwowe oczekiwanie w powietrzu. W czasie wojny brałem udział w nalotach, głównie jako strona nalatywana i wcale nie podobało mi się to uczucie. Ruszyłem w stronę mieszkania, zaledwie półtorej przecznicy dalej.

Już po przejściu stu kroków zobaczyłem, co wydziela ten okropny zapach. Unosił się znad czerwonoróżowej kałuży, która wyglądała, jakby kilka litrów lodów truskawkowych stopniało na chodniku i teraz spływało do ścieku.

Przyjrzałem się uważnie. W kałuży leżało kilka kości. Ludzka żuchwa, kawałek piszczela, oczodół. Rozpuszczały się, tworząc lekką, różową pianę.

Pod nimi w kałuży leżało jakieś ubranie. Uniform bileterki. Jej latarka potoczyła się do rynsztoka, a metalowe części rozpuszczały się wraz z kośćmi.

Żołądek wykręcił mi się gwałtownie, a jednocześnie poczułem kopniak adrenaliny. Rzuciłem się biegiem.

Zanim dotarłem do mieszkania, domyśliłem się, że pewnie doszło do jakiejś katastrofy, więc po przybyciu natychmiast włączyłem radio. Czekając, aż nagrzej się odbiornik, przejrzałem zapas puszek w szafce. Znalazłem tylko kilka zupek Campbell's. Ręce tak mi się trzęsły, że przypadkiem strąciłem jedną z puszek na podłogę. Poturlała się pod lodówkę. Naparłem na nią, żeby wyjąć spod niej puszkę, i odniosłem wrażenie, że nagle światło w pokoju się zmieniło, a lodówka przeleciała przez cały pokój, i prawie przebiła ścianę. Kuweta, którą postawiłem pod spód, żeby zbierała skapującą wodę, przewróciła się i wylała.

Podniosłem puszkę zupy. Ręce wciąż mi drżały. Przesunąłem lodówkę, która zdawała się lekka jak piórko. Światło znów dawało dziwne efekty. Mogłem nawet podnieść lodówkę jedną ręką.

Radio w końcu się nagrzało i dopiero wtedy dowiedziałem się o wirusie. Komunikat podkreślał, że wszyscy z objawami choroby mają się zgłosić do namiotów rozbitych przez Gwardię Narodową. Jeden znajdował się w Parku Waszyngtona, niedaleko mojego mieszkania.

Nie czułem się chory, ale z drugiej strony byłem w stanie żonglować lodówką, co nie wyglądało na normalne zachowanie. Poszedłem do parku. Wszędzie widać było rannych — niektórzy po prostu dogorywali na ulicy. Nie mogłem na to patrzeć, wyglądało gorzej niż cokolwiek, co widziałem podczas wojny. Wiedziałem, że zapiszą mnie na końcu listy, bo w końcu na oko byłem zdrowy i poruszałem się o własnych siłach, i mogą minąć całe dni, zanim ktoś mnie przyjmie. Dlatego po prostu podszedłem do jednego z dowódców akcji, powiedziałem, że byłem w wojsku, i spytałem, w czym mogę pomóc. Pomyślałem, że dzięki temu, nawet jeśli nagle zacznę umierać, to przynajmniej będę blisko szpitala.

Lekarze poprosili, żebym pomógł rozstawić kuchnię. Ludzie krzyczeli, zmieniali się i umierali na naszych oczach, a medycy nie mogli im w niczym pomóc. Mogli ich tylko karmić.

Podszedłem do zaparkowanego obok M35 Gwardii Narodowej i zacząłem zdejmować z niego skrzynki z jedzeniem. Każda z nich ważyła jakieś dwadzieścia trzy kilo, a ja ustawiłem ich sześć, jedna na drugiej, i zdjąłem je z paki jedną ręką. Zauważyłem, że znów zmienia mi się postrzeganie światła. Opróżniłem ciężarówkę w jakieś dwie minuty. Druga ugrzęzła w błocie, gdy jechała przez park, więc podniosłem cały pojazd i przenieśliśmy go na wyznaczone miejsce, wypakowałem wszystko i zapytałem, czy mam zrobić coś jeszcze.

Otoczał mnie dziwny blask. Ludzie twierdzili, że ilekroć wykonywałem swoje akrobacje, moje ciało wydzielало złotą aurę. Spoglądałem na świat poprzez ten kokon i to dlatego miałem wrażenie, że światło się zmienia.

Nie zastanawiałem się nad tym. Wokół mnie szalał kataklizm i trwał jeszcze przez wiele dni. Ludzie wyciągali z talii czarną damę albo dzokera i zmieniali się w potwory, transformowali, umierali. Potem przyszedł stan wojenny — rzeczywiście czułem się zupełnie jak na wojnie. Po pierwszych zamieszkach na mostach nie wybuchły już żadne rozruchy. Przez cztery lata miasto przyzwyczało się już do zaciemnień, patroli i godzin policyjnych, a teraz mieszkańcy z łatwością przestawili się w tryb wojenny. Po okolicy krążyły najróżniejsze pogłoski, czasem zupełnie szalone: atak kosmitów, wyciek trującego gazu, tajna broń biologiczna Hitlera lub Stalina. A do tego kilka tysięcy ludzi przysięgało, że widzieli ducha Śmiga lecącego bez samolotu ponad Manhattanem. Znalazłem sobie pracę w szpitalu, przenosiłem ciężkie rzeczy. Tam właśnie poznałem Tachiona.

Przyszedł dostarczyć jakieś eksperymentalne serum, które — podobno — mogło złagodzić pewne symptomy i przyznaję, że w pierwszej chwili pomyślałem sobie: *O rany, przyszedł kolejny świrus z dekoktem od cioci Nelly*. Tachion był niski i chudy, miał metalicznie rude włosy, dłuższe niż do ramion, i od razu było widać, że nie jest to naturalny kolor. Ubierał się, jakby wszystkie ciuchy kupował w lumpeksach w dzielnicy teatralnej — pomarańczowa kurtka, jak od jakiegoś piosenkarza, czerwony sweterek w serek, zielony kapelutek z piórkiem, pumpy, skarpetki w romby i dwukolorowe oksfordki, w których wyglądał jak alfons. Chodził od łóżka do łóżka z tacą pełną fiolek, oglądał każdego pacjenta i czasem wbijał im igły w ramiona. Postawiłem na podłodze rentgen, który akurat niosłem do gabinetu, i postanowiłem go wyprosić, zanim narobi szkody.

Dopiero wtedy zobaczyłem, że jego śladem idzie cały korowód ludzi, w tym generał z trzema gwiazdkami, pułkownik Gwardii Narodowej, który był naczelnikiem szpitala, i pan Archibald

Holmes ze starej ekipy prezydenta Roosevelta, którego natychmiast rozpoznałem. Po wojnie przez jakiś czas kierował agencją do spraw pomocy humanitarnej dla Europy, ale gdy tylko wybuchła zaraza, Truman wysłał go do Nowego Jorku. Podszedłem do jednej z pielęgniarek i zapytałem, co tu się dzieje.

— To jakaś nowa terapia. Doktor Tachion sam ją opracował.

— Sam?

— No tak — odparła, marszcząc brwi. — Przybył z innej planety.

Spojrzałem na jego pumpy i kapelusik jak u Robin Hooda.

— Jasne — mruknąłem.

— Nie, to prawda.

Z bliska można było dostrzec ciemne obwódki pod jego dziwnymi, fioletowymi oczami i ściągnięte rysy twarzy. Od czasu katastrofy pracował prawie non stop i robił bokami, jak zresztą wszyscy lekarze w okolicy — wszyscy oprócz mnie. Czuję się pełen energii, choć codziennie spałem nie więcej niż kilka godzin.

Jakby na sygnał, pułkownik z Gwardii Narodowej spojrzał w moją stronę.

— A tutaj mamy kolejny przypadek — oznajmił. — To jest Jack Braun.

Tachion uniósł wzrok.

— Jakie ma pan symptomy? — zapytał. Miał przyjemny głęboki głos i nieokreślony, jakby wschodnioeuropejski akcent.

— Jestem bardzo silny. Potrafię podnieść ciężarówkę i zaczynam przy tym lśnić złotym światłem.

Tachion wyraźnie się tym zainteresował.

— Biologiczne pole siłowe. Ciekawe. Chętnie bym pana później zbadał. Gdy już obecny... — przez jego twarz przemknął grymas niesmaku — ...obecny kryzys dobiegnie końca.

— Jasne, doktorze. Jak pan chce.

Tachion podszedł do kolejnego łóżka. Archibald Holmes, spec od pomocy humanitarnej, nie poszedł za nim. Stał tylko i patrzył na mnie, bawiąc się fiką.

Zatknąłem kciuki za pasek i próbowałem wyglądać użytecznie.

— Czy mogę w czymś pomóc, panie Holmes?

Zdawał się lekko zaskoczony.

— Skąd zna pan moje nazwisko?

— Pamiętam, jak przyjechał pan do Fayette w Dakocie Północnej w trzydziestym trzecim — odparłem. — Wtedy pracował pan w rolnictwie.

— Tak, to było dawno temu. Co pan robi w Nowym Jorku, panie Braun?

— Byłem aktorem, póki nie pozamykały się teatry.

— Aha — przytaknął tamten. — Już niedługo się otworzą. Doktor Tachion twierdzi, że ten wirus nie jest zaraźliwy.

— To na pewno uspokoi parę osób.

Spojrzał na wejście do namiotu.

— Może wyjdziemy na papierosa?

— Chętnie.

Na zewnątrz otrzepałem ręce z kurzu i przyjąłem papierosa, którym Holmes mnie

poczęstował, wyglądał na ręcznie skręcany. Przypalił nam obu i spojrzął na mnie ponad płomieniem zapalki.

— Jak już skończy się kryzys, chciałbym przeprowadzić na panu parę testów — oznajmił. — Przekonać się, co pan potrafi.

Wzruszyłem ramionami.

— Nie ma problemu. W jakimś konkretnym celu?

— Niewykluczone, że mógłbym panu znaleźć pracę — odparł. — Cały świat byłby pańską sceną.

Coś przesunęło się po tarczy słońca. Uniosłem wzrok i poczułem, że zimna dłoń muska mnie po szyi.

Duch Śmiga znów sunął po niebie, biały szalik pilota łopotał na wietrze.



Urodziłem się w Dakocie Północnej, w 1924 roku, w bardzo ciężkich czasach. Wszyscy mieli wtedy kłopoty z bankami i z nadwyżkami żywności, przez które ceny tak spadały. Gdy nadszedł Kryzys, sprawy zmieniły się ze złych na gorsze. Zboże potaniało tak bardzo, że farmerzy musieli dopłacać klientom, byle tylko wywieźli je w diabły. Właściwie co tydzień licytowano czyjś dom — farmy warte po pięćdziesiąt tysięcy dolarów teraz sprzedawano za kilkaset. Na głównej ulicy połowa budynków miała okna zabite deskami.

Stowarzyszenie Rolników nawoływało wszystkich, by robili sobie „wakacje” — wstrzymywali sprzedaż zboża, póki ceny nie podskoczą. Pamiętam, że wstawałem w nocy, by zanieść kawę i jedzenie mojemu ojcu i kuzynom, którzy patrolowali okoliczne drogi, pilnując, żeby nikt nie sprzedawał ziarna za ich plecami. Jeśli ktoś nadjechał ze zbożem, zatrzymywali samochód i wyrzucali ładunek; jeśli jechał wozem, zabijali bydło i rzucali ścierwo do rowu, by tam zgniło. Miejscowe szychy, które dorobiły się fortuny, skupując tanie zboże, wysłały Legion Amerykański, by rozprawił się ze strajkiem rolników. Przybyli z toporami, ubrani w te swoje małe kapelusiki — a wtedy cały okrąg zerwał się do walki i złomotał legionistów jak nigdy w życiu, aż uciekli do miasta z podkulonym ogonem.

Konserwatywni niemieccy farmerzy nagle zaczęli się zachowywać i wyrażać jak banda radykałów. Franklin Delano Roosevelt był pierwszym demokratą, na jakiego zagłosowała moja rodzina.

Miałem jedenaście lat, gdy po raz pierwszy zobaczyłem Archibalda Holmesa. Pracował jako członek sztabu kryzysowego dla Henry'ego Wallace'a w Departamencie Rolnictwa i przyjechał do Fayette, żeby porozmawiać o czymś z rolnikami — może chodziło o kontrolę cen, a może produkcji żywności, a może oszczędności, w każdym razie był to jeden z tych elementów Nowego Porządku, który ocalił naszą farmę przed zlicytowaniem. Wygłosił krótką przemowę na schodach budynku sądu i z jakiegoś powodu zapamiętałem ją co do słowa.

Nawet wtedy robił na wszystkich duże wrażenie. Był dobrze ubrany, posiwiasty, choć nie miał nawet czterdziestki i palił papierosy w fifce jak FDR. Mówił z akcentem z Virginii, który w naszych uszach brzmiał bardzo dziwnie, tak jakby dźwięczne wymawianie „r” było czymś nieprzyzwoitym. Niedługo po jego wizycie sprawy zaczęły zmierzać ku lepszemu.

Wiele lat później, gdy już poznaliśmy się lepiej, nadal mówiłem mu „panie Holmes”. Nie byłbym w stanie zwrócić się do niego po imieniu.

Możliwe, że swój głód włóczęgi zawdzięczam właśnie jego wizycie. Od dawna czułem, że gdzieś musi istnieć jakiś świat poza Fayette, musi być jakiś styl życia choć trochę różny od naszego. Rodzina od zawsze uważała, że gdy dorosnę, założę własną farmę, ożenię się z miejscową dziewczyną, napłodzę dużo dzieci, w niedzielę pójdę posłuchać, jak pastor straszy nas piekłem, a przez resztę tygodnia będę pracował w polu, by zarobić pieniądze dla banku.

Nie dopuszczałem do siebie myśli, że to jedyne, co można w życiu osiągnąć. Przeczuwałem, choć może tylko instynktownie, że gdzieś na świecie musi istnieć inne życie, i chciałem go spróbować.

Jako świeżo upieczony dorosły byłem wysoki, szeroki w barkach, miałem jasne włosy i duże dłonie, w których swobodnie mieściła się futbolówka i odznaczałem się czymś, co mój agent określił później jako „surową urodę”. Grałem w futbol, co szło mi nawet nieźle, i przysypiałem na lekcjach, a w długie zimowe popołudnia grywałem w miejscowym teatrze. Był całkiem duży popyt na amatorskie sztuki po angielsku i niemiecku, a ja mówiłem w obu tych językach. Były to głównie wiktoriańskie melodramaty i sztuki historyczne. Zdobywałem nawet nieźle recenzje.

Miałem powodzenie u dziewczyn. Byłem przystojny, a przy tym robiłem wrażenie zwykłego faceta i każda myślała, że to ja okażę się tym właściwym farmerem. Bardzo uważałem, żeby nigdy za bardzo się nie zaangażować. Zawsze nosiłem w kieszeni gumki i zwykle spotykałem się z trzema lub czterema dziewczynami równolegle. Obiecałem sobie, że nie dam się złapać w pułapkę, którą zastawiła na mnie rodzina.

Wszyscy byliśmy patriotami. To dość naturalne w tej części świata: ta bezwarunkowa miłość do kraju o surowym klimacie. Nie robiliśmy z tego wielkiej sprawy, patriotyzm był po prostu częścią naszego życia, tak jak wszystko inne.

Miejscowa drużyna futbolowa osiągnęła dobre wyniki i w końcu zacząłem wyjeżdżać z Dakoty Północnej. Pod koniec ostatniego roku zaproponowano mi stypendium na Uniwersytecie w Minnesocie.

Nie dotarłem na te studia. Nazajutrz po zakończeniu roku szkolnego w maju 1942 roku pomaszerowałem prosto do biura werbunkowego i zgłosiłem się do piechoty.

Żaden problem. Wszyscy koledzy z klasy poszli razem ze mną.

Przydzielono mnie do Piątej Dywizji we Włoszech i tam stoczyłem okropną wojnę piechociarza. Przez cały czas padało, nigdzie nie było porządnego schronienia, z każdym ruchem wystawialiśmy się na strzał niewidzialnych Niemców siedzących na sąsiednim wzgórzu z lornetkami Zeissa przyklejonymi do oczu, a potem rozlegał się ten straszny szum junkersa pikującego w dół... Przez cały czas się bałem. Czasem robiłem coś bohaterskiego, ale przez większość czasu po prostu leżałem z twarzą w piachu, słuchając, jak wokół padają bomby i po paru miesiącach wiedziałem już, że nie wrócę do domu w całości, a może nawet wcale. Nie było ciągłej wymiany jak w Wietnamie — strzelec po prostu zostawał na stanowisku, póki wojna się nie skończyła albo sam nie zginął, a przynajmniej nie oberwał tak mocno, żeby już nie móc tu wrócić. Przyjąłem to do wiadomości i robiłem, co musiałem. W końcu awansowałem na sierżanta, a potem dostałem Brązową Gwiazdę i trzy Purpurowe Serca, ale tak naprawdę oddałbym wszystkie medale i awanse za parę suchych skarpetek.

Jeden z moich kolegów nazywał się Martin Kozokowski, jego ojciec był drobnym producentem teatralnym w Nowym Jorku. Któregoś wieczoru popijaliśmy obrzydliwe czerwone wino i paliliśmy papierosy (nauczyłem się tego w wojsku) i wspominałem coś o swoich występach teatralnych w Dakocie Północnej. Wtedy Martin, w przypiływie pijackiej życzliwości,

zapropował:

— Wiesz co, chłopie? Przyjedź po wojnie do Nowego Jorku, a razem z tatą załatwimy ci występ na scenie.

Była to tylko bezsensowna fantazja, bo żaden z nas nie spodziewał się wrócić do domu, ale utkwiała mi w głowie i kiedyś znów do tego wróciliśmy, aż w końcu, jak to z niektórymi marzeniami bywa, fantazja stała się rzeczywistością.

Po obchodach Dnia Zwycięstwa pojechałem do Nowego Jorku i Kozokowski senior rzeczywiście załatwił mi parę drobnych ról. By zarobić na życie, chwytalem się różnych prac dorywczych, które w porównaniu do życia na farmie wydawały mi się bardzo łatwe. W teatrach pełno było poważnych, inteligentnych dziewczyn, które nie malowały ust — podobno było to dość odważne — i jeśli tylko cierpliwie słuchałem ich wywodów o Anouilhu albo Pirandellu, albo psychoanalizie, to czasem zabierały mnie ze sobą do domu, a najbardziej podobało mi się to, że wcale nie chciały wychodzić za mąż i rodzić małych farmerów. Powoli wracały mi odruchy z czasu pokoju. Wspomnienia Dakoty Północnej zaczęły się zacierać i czasem zastanawiałem się, czy wojna nie ma przypadkiem swoich zalet.

Oczywiście było to złudzenie. Czasem w nocy budziłem się zlany potem, słysząc szum Ju 88, czując, jak wnętrzości skręca mi strach, a stara rana na łydce szarpie bólem. Przypominałem sobie, jak leżałem w leju po bombie, czując, jak błoto ścieka mi po szyi, czekając, aż morfina zacznie działać, patrzyłem w niebo i widziałem eskadrę srebrnych thunderboltów, patrzyłem, jak promienie słońca lśnią na ich krótkich, przysadzistych skrzydłach. Samoloty przeskakiwały ponad górami z większą łatwością, niż ja wyskoczyłbym z jeepa. Pamiętałem, jak leżałem tam, wściekły, że ci cholerni lotnicy, tam w górze, lecą sobie zupełnie beztrąsco, podczas gdy ja leżę w błocie, wykrwawiam się w opatrunek, czekając na morfinę, i myślałem, że jeśli kiedyś dorwę któregoś z tych gnojków na ziemi, to mu dopiero pokażę...



Gdy pan Holmes przeprowadził swoje testy, dowiedziałem się w końcu, jak bardzo jestem silny — silniejszy niż ktokolwiek. Przy odpowiednim przygotowaniu potrafiłem unieść czterdzieści ton. Pociski z karabinu maszynowego rozpląszczały mi się na piersi. Pociski z działek przeciwpancernych 20 mm potrafiły mnie przewrócić, ale nie robiły mi żadnej krzywdy.

Nie mieli odwagi przetestować niczego większego niż 20 mm, ja zresztą też. Podejrzewam, że gdyby strzelili do mnie z prawdziwego działa, zamiast z dużego karabinu maszynowego, to zostałyby ze mnie miazga.

Miałem swoje ograniczenia. Po kilku godzinach zaczynałem się męczyć. Opuszczały mnie siły. Uderzenia pocisków bolały. Musiałem odpocząć.

Tachion miał rację z tym biologicznym polem. Gdy korzystałem ze swych mocy, otaczało mnie niczym złota aureola. Nie byłem w stanie jej kontrolować — gdyby ktoś bez uprzedzenia strzelił mi w plecy, pole uruchomiłoby się samo. Gdy zaczynałem się męczyć, pole bladło.

Nigdy nie byłem tak zmęczony, by zgasło całkowicie, gdy go akurat potrzebowałem. Trochę się obawiałem, co mogłoby się wtedy stać, pilnowałem więc, by odpoczywać regularnie.

Gdy nadeszły wyniki badań, pan Holmes wezwał mnie do swojego mieszkania na Południowej Alei Parkowej. Miał bardzo duży apartament, zajmował całe piąte piętro, ale wiele

pokoi miało zapach nowości, tak jakby nigdy nikt tam nie mieszkał. Jego żona zmarła na raka trzustki w czterdziestym roku i od tego czasu pan Holmes właściwie zrezygnował z życia towarzyskiego. Ich córka wyjechała na studia.

Poczęstował mnie drinkiem i papierosem, a potem spytał, co sądzę o faszyzmie i co mógłbym w tej sprawie zrobić. Przypomniałem sobie tych wszystkich esesmanów i spadochroniarzy Luftwaffe i zastanowiłem się, co mógłbym zrobić jako najsilniejszy człowiek na Ziemi.

— Przypuszczam, że byłbym dobrym żołnierzem — powiedziałem w końcu.

Pan Holmes uśmiechnął się lekko.

— A czy chciałby pan znów zostać żołnierzem, panie Braun?

Od razu zrozumiałem, do czego zmierza. Wciąż mieliśmy kryzys. W różnych miejscach na świecie nadal czaiło się zło. A teraz zwrócił się do mnie człowiek, który kiedyś zasiadał po prawicy Roosevelta, który z kolei — przynajmniej w moim pojęciu — zasiadał po prawicy samego Boga i pytał, co ja mógłbym z tym zrobić.

Oczywiście, że zgłosiłem się na ochotnika. Zajęło mi to chyba ze trzy sekundy.

Pan Holmes uściśnął mi rękę. A potem zadał kolejne pytanie:

— Co pan sądzi o pracy z osobą czarnoskórą?

Wzruszyłem ramionami. Holmes odpowiedział uśmiechem.

— Doskonale. W takim razie przedstawię panu ducha Śmiga.

Chyba wytrzeszczyłem oczy, bo uśmiech Holmesa trochę się poszerzył.

— Nazywa się Earl Sanderson. Dość barwna postać.

Co ciekawe, słyszałem już wcześniej to nazwisko.

— Sanderson, który grał w drużynie Rutgers? Cholernie dobry zawodnik.

Pan Holmes zdawał się zaskoczony. Może nie śledził rozgrywek sportowych.

— Chyba już wkrótce przekona się pan, że to nie wszystko.



Earl Sanderson junior przyszedł na świat w zupełnie innych okolicznościach niż ja — w dzielnicy Harlem, w Nowym Jorku. Był ode mnie starszy o jedenaście lat i możliwe, że nigdy do niego nie dorosłem.

Earl Sanderson senior, z zawodu bagażowy, był samoukiem, bardzo inteligentnym człowiekiem i wielkim zwolennikiem Fredericka Douglassa i Du Bois. Był członkiem sygnatariuszem Ruchu Niagara — który z czasem ewoluował w Narodowe Stowarzyszenie na rzecz Awansu Ludności Kolorowej — a później Bractwa Pracowników Wagonów Sypialnych. Twardy, bystry facet, który doskonale czuł się na tej beczce prochu, w jaką zmienił się ówczesny Harlem.

Earl junior był bystrym dzieckiem, a jego ojciec bardzo zachęcał go do nauki, by nie zaprzepaścił tych zdolności. W szkole średniej zdobywał świetne wyniki w nauce i w sporcie, a gdy śladami Paula Robesona w 1930 roku trafił na Uniwersytet Rutgers w New Jersey, mógł do woli przebierać w stypendiach.

Po dwóch latach nauki wstąpił do Partii Komunistycznej. Gdy rozmawialiśmy o tym później, twierdził, że wydawało się to najsensowniejszą drogą.

— Kryzys robił się coraz gorszy — tłumaczył. — Gliniarze strzelali do związkowców w całym kraju, a biali Amerykanie nagle się dowiedzieli, jak to jest być tak biednym jak kolorowi. Z Rosji cały czas napływały do nas zdjęcia fabryk pracujących pełną parą, podczas gdy tu, w Stanach, fabryki zamykano, a robotników wyrzucano na ulicę. Uznałem, że to tylko kwestia czasu, zanim wybuchnie tu rewolucja. PK jako jedyna wspierała związkowców i równość wszystkich obywateli. Mieli nawet taki slogan: „Biali czy czarni — zawsze solidarni”. Pomyślałem, że to dobrze brzmi. Nie obchodziło ich, jak wyglądasz — zawsze patrzyli ci prosto w oczy i mówili do ciebie „towarzyszu”. Nikt mnie wcześniej tak nie potraktował.

Tak czy inaczej, miał mnóstwo sensownych powodów, by w 1931 roku zapisać się do PK. Już kilka lat później wszystkie te sensowne powody miały zniszczyć nas na amen.

Nie jestem pewien, czemu właściwie Earl poślubił Lillian, ale doskonale rozumiałem, dlaczego Lillian uganiała się za nim przez te wszystkie lata.

— Jack — wyznała mi kiedyś — on po prostu lśnił!

Lillian Abbott poznała Earla jeszcze w pierwszej klasie szkoły średniej. Po tym pierwszym spotkaniu starała się spędzać z nim każdą wolną chwilę. Kupowała mu gazety i bilety do kina, chodziła na zebrania radykalnych organizacji. Kibicowała mu na meczach. Zapisała się do PK miesiąc po nim. A gdy ukończył Rutgers z najwyższym wyróżnieniem summa cum laude, wyszła za niego za mąż.

— Nie zostawiłam mu wyboru — powiedziała ze śmiechem. — Wiedział, że to jedyny sposób, żebym wreszcie dała mu spokój.

Żadne z nich nie przeczuwało, w co właściwie się pakują. Earl był po uszy pogrążony w sprawach wielokrotnie ważniejszych niż on sam, zajęty rzekomo nadchodzącą rewolucją, i może uznał, że Lillian zasługuje na odrobinę szczęścia w tych gorzkich czasach. Decyzja o małżeństwie nic go nie kosztowała.

Ale Lillian kosztowała właściwie wszystko.

Dwa miesiące po ślubie Earl znalazł się na statku płynącym do Związku Sowieckiego, gdzie miał studiować na Uniwersytecie Lenina i szkolić się na prawdziwego agenta Kominternu. Lillian została w domu, pomagała matce w sklepie i chodziła na zebrania partii, które bez Earla wydawały się jej trochę bezbarwne. Bez większego entuzjazmu uczyła się, jak być żoną rewolucjonisty.

Po roku nauki w Rosji Earl pojechał na uniwersytet Columbia, gdzie zrobił dyplom z prawa. Lillian wspierała go ze wszystkich sił, aż w końcu się obronił i rozpoczął pracę dla A. Philipa Randolpha i Bractwa Pracowników Wagonów Sypialnych, jednego z najbardziej radykalnych związków w Stanach. Earl senior musiał być dumny z syna.

Gdy w końcu minął Kryzys, Earl zaczął coraz mniej angażować się w działania PK — może uznał, że rewolucja jednak nie nadejdzie. Sprawa strajku w General Motors została rozstrzygnięta na korzyść Kongresu Organizacji Przemysłowych, podczas gdy Earl siedział w Rosji i uczył się na rewolucjonistę. Bractwo zostało w końcu uznane przez Pullman Company w 1938 roku, a Randolph wreszcie zaczął pobierać pensję — przez te wszystkie lata pracował za darmo. Związki i praca dla Randolpha zabierały Earlowi mnóstwo czasu i coraz rzadziej bywał na partyjnych zebraniach.

Gdy podpisano pakt Ribbentrop–Mołotow, Earl w proteście zrezygnował z członkostwa w PK. Twierdził, że układanie się z faszystami to nie w jego stylu.

Kiedyś powiedział mi, że dla białych Kryzys skończył się po ataku na Pearl Harbor, bo

fabryki zbrojeniowe zaczęły znów zatrudniać, ale niewielu czarnoskórych dostało w nich pracę. Randolph i jego ludzie stracili cierpliwość. Zagrozili strajkiem kolejowym — w samym środku wojny! — i marszem protestacyjnym na Waszyngton. Roosevelt wysłał do nich swojego specja krzysowego, Archibalda Holmesa, żeby wynegocjował kompromis. Ostatecznie skończyło się wydaniem zarządzenia wykonawczego numer 8802, na mocy którego zleceniobiorcom realizującym kontrakty rządowe zabroniono dyskryminować pracowników ze względu na kolor skóry. Był to kamień milowy w historii praw obywatelskich i jeden z największych sukcesów Earla. Zawsze podkreślał, że to jedno z jego największych osiągnięć.

Tydzień po wydaniu zarządzenia numer 8802 zmieniono Earlowi kategorię wojskową na 1-A. Praca na kolei już go nie chroniła. Rząd postanowił się zemścić.

Earl postanowił zgłosić się na ochotnika do korpusu powietrznego. Zawsze marzył o lataniu.

Był trochę za stary na pilota, ale miał doskonałe wyniki w sporcie i przeszedł badanie lekarskie. Jego teczkę oznaczono jako WAF, czyli „wczesny antyfaszysta”, co stanowiło oficjalne określenie każdego, kto był na tyle niestabilny, by nie lubić Hitlera jeszcze przed czterdziestym pierwszym.

Przydzielono go do 332 Grupy Myśliwskiej, złożonej wyłącznie z czarnoskórych. Proces weryfikacji był tak surowy, że w jednostce znalazło się mnóstwo profesorów, lekarzy, pastorów i prawników — wszyscy ci inteligentni ludzie mieli także pierwszorzędne odruchy pilota. Ale ponieważ żadna z grup działających za granicą nie chciała u siebie czarnych pilotów, batalion pozostał w Tuskegee przez wiele miesięcy, zajęty wyłącznie trenowaniem. Pod koniec mieli na koncie trzy razy więcej ćwiczeń niż przeciętna grupa. W końcu przeniesiono ich do bazy we Włoszech, a wtedy grupa zwana „Samotne Orły” wreszcie eksplodowała ponad europejskim teatrem.

Latali swoimi thunderboltami wszędzie, nawet nad Niemcami i krajami bałkańskimi, biorąc nawet najtrudniejsze cele. Zrobili ponad piętnaście tysięcy lotów i przez cały ten czas ani jeden ochraniający przez nich bombowiec nie został strącony przez Luftwaffe. Gdy wieści się rozeszły, piloci bombowców zaczęli prosić, by ochraniała ich właśnie 332 Grupa.

Jednym z ich najlepszych lotników był Earl Sanderson, który pod koniec wojny miał na koncie pięćdziesiąt trzy „niepotwierdzone” zestrzelenia. Niepotwierdzone — bo dla czarnych oddziałów nie prowadzono statystyk; wojsko obawiało się, że czarnoskórzy piloci mogliby osiągnąć lepsze wyniki niż biali. Ich obawy były uzasadnione. Taki wynik sytuował Earla na samej górze rankingu, znalazł się wyżej niż jakikolwiek inny pilot poza Śmigiem, który także stanowił wyjątek od niejednej reguły.

W dniu jego śmierci Earl wrócił z pracy i położył się, przekonany, że złapał poważną gripę. Następnego dnia obudził się jako czarny as.

Potrafił latać, najwyraźniej unoszony samą siłą woli, i osiągnąć prędkość do ośmiuset kilometrów na godzinę. Tachion nazywał to „ukierunkowaną telekinezą”.

Był też dość odporny, choć nie aż tak jak ja. Zwykłe naboje odbijały się od niego, ale pociski z działka mogły mu zrobić krzywdę. Wiem też, że bardzo bał się zderzyć w powietrzu z samolotem.

Potrafił także wytworzyć przed sobą ruchomy mur, coś w rodzaju fali uderzeniowej, zmiatającej wszystko, co stało mu na drodze. Ludzi, pojazdy i ściany. Słyszeli tylko potężny huk, jakby grzmotu, a potem odlatywali w tył na kilkadziesiąt metrów.

Earl spędził kilka tygodni, testując swoje nowe umiejętności, a potem zaprezentował się

światu, lecąc ponad miastem w hełmie pilota, czarnej, skórzanej kurtce i butach. Pan Holmes zadzwonił do niego pierwszy.



Poznałem Earla nazajutrz po rozmowie z panem Holmesem. Zdążyłem się już wtedy wprowadzić do jednego z wolnych pokoi w jego apartamentach. Dostałem nawet własny klucz. Naprawdę awansowałem społecznie.

Rozpoznałem go od razu.

— Earl Sanderson, prawda? — wykrzyknąłem, zanim pan Holmes zdążył nas sobie przedstawić. — Pamiętam. Czytałem o panu w gazetach, gdy grał pan w Rutgersach.

Earl wcale się nie zmieszał.

— Ma pan dobrą pamięć — powiedział tylko.

Potem usiedliśmy razem, a pan Holmes oficjalnie wyjaśnił, czego oczekuje zarówno od nas, jak i od późniejszych rekrutów. Earl bardzo nie lubił słowa „as”, którym określano osobę obdarzoną użytecznymi zdolnościami. Na drugim końcu drabiny znajdował się „dżoker” — osoba poważnie zniekształcona przez działanie wirusa. Uważał, że takie określenia wprowadzają system klasowy pośród graczy dzikiej karty, i nie chciał, żeby ustawiano nas na szczycie jakiejś piramidy. Pan Holmes oficjalnie nazwał naszą grupę „Egzotyczni Demokraci”. Mieliśmy stać się symbolem powojennej Ameryki i nadać odpowiednią rangę jej wysiłkom dyplomatycznym, by odbudować pokój w Europie i Azji, wciąż walcząc z faszyzmem i nietolerancją.

Stany Zjednoczone miały zapoczątkować powojenny Złoty Wiek i podzielić się nim z resztą świata. A my mieliśmy stać się symbolem tej epoki.

Brzmiało fantastycznie. Wszedłem w to natychmiast.

Earlowi decyzja przyszła nieco trudniej. Holmes rozmawiał z nim już wcześniej i zaproponował mu ten sam warunek, który Branch Rickey przedłożył później Jackiemu Robinsonowi: miał się nie mieszać do polityki zewnętrznej. Miał publicznie oświadczyć, że zerwał ze stalinizmem i marksizmem i od tej pory zamierza się poświęcić jedynie pokojowym działaniom. Kazano mu panować nad sobą, cierpliwie znosić złość, rasistowskie przytyki i pogardę i robić to bez zająknięcia.

Earl powiedział mi później, jak długo ze sobą walczył. W tamtym czasie znał już skalę swoich możliwości i wiedział, że mógłby wiele zmienić samą swoją obecnością. Policjanci na Południu nie byliby w stanie rozpedzić zebrań ruchu integracyjnego, jeśli jeden z uczestników potrafiłby powalić całe oddziały. Łamistrajki pierzchałyby przed jego falą uderzeniową. Gdyby postanowił wejść do restauracji tylko dla białych, nawet oddział marines nie byłby w stanie go usunąć — w każdym razie nie niszcząc przy tym budynku.

Jednak pan Holmes zauważył, że gdyby wykorzystał w ten sposób swoje moce, to nie on, Earl Sanderson, zapłaciłby za to cenę. Gdyby zbyt gwałtownie zareagował na rasistowską prowokację, w całym kraju niewinni czarnoskórzy mieszkańcy zawiśliby na suchych gałęziach.

Earl zapewnił pana Holmesa, że będzie przestrzegał jego warunków. Już nazajutrz obaj wzięliśmy się do pracy, by stworzyć dużo historii.



Grupa ED nigdy nie była oficjalnie częścią rządu. Pan Holmes konsultował się

z Departamentem Stanu, ale płacił Earlowi i mnie z własnej kieszeni, pozwalał mi też mieszkać u siebie w domu.

Na początek kazali nam rozprawić się z Perónem. Został wybrany prezydentem Argentyny w sfałszowanych wyborach i coraz bardziej przypominał południowoamerykańską wersję Mussoliniego. Argentyna stała się azylem dla faszystów i zbrodniarzy wojennych. Egzotyczni Demokraci polecili na południe, by zobaczyć, co da się z tym zrobić.

Teraz, gdy wspominam tamte czasy, nie mogę uwierzyć, jak beztrzesko do tego podeszliśmy. Zamierzaliśmy obalić legalny rząd obcego państwa i w ogóle nie robiło to na nas wrażenia... Nawet Earl poszedł na to bez większego namysłu. W końcu spędziliśmy parę lat, bijąc faszystów w Europie — pobicie ich na południu nie wydawało się nam niczym nowym.

Gdy wylatywaliśmy, okazało się, że w samolocie siedzi z nami jeszcze jeden człowiek — wyglądało to tak, jakby po prostu przekonał obsługę, że mają go wpuścić. David Harstein wyglądał jak typowy żydowski cwaniak z Brooklynu — młody chłopak, z kręconą czupryną, nawijający jak katarynka. Co chwila widywaliśmy takich w mieście, gdy próbowali nam sprzedać ubezpieczenie od powodzi albo używane opony, albo garnitury na miarę uszyte z jakiejś cudownej tkaniny, jeszcze lepszej od kaszmiru, a teraz taki gość siedział z nami w samolocie, był członkiem ED i zachowywał się, jakby on tu dowodził. Odruchowo poczuliśmy do niego sympatię. Odruchowo zgadzaliśmy się ze wszystkim, co mówił.

On też był egzotyczny. Wydzielał feromony wzbudzające sympatię, tworzące życzliwą i sugestywną atmosferę. Potrafił namówić albańskiego stalinistę, żeby stanął na głowie i odśpiewał *Gwiazdzisty sztandar*, przynajmniej dopóki przebywał z nim w jednym pokoju. Po jego wyjściu albański stalinista prawdopodobnie odzyskałby zmysły, złożył samokrytykę i został rozstrzelany przez kolegów.

Postanowiliśmy zachować tę informację w tajemnicy. Rozpuściliśmy pogłoski, że David to jakiś wyjątkowo zręczny superbohater, w stylu Cienia z audycji radiowych i że jest naszym zwiadowcą. Tak naprawdę tylko chodził z nami na konferencje i zmuszał ludzi, żeby nam przytakiwali. Zadziałało doskonale.

Perón nie zdołał jeszcze skonsolidować władzy, bo sprawował urząd prezydenta niespełna cztery miesiące. Zorganizowanie przewrotu zabrało nam dwa tygodnie. Harstein i pan Holmes chodzili na mityngi z dowódcami armii i jeszcze przed końcem spotkania pułkownicy zaczęli przysięgać, że podadzą im głowę Peróna na srebrnej tacy i nawet, gdy później zaczęli mieć wątpliwości, ich poczucie honoru nie pozwalało im złamać tych obietnic.

Któregoś ranka przed samym przewrotem postanowiłem przetestować swoje możliwości. Parę lat wcześniej w wojsku wpadły mi w ręce komiksy z Supermanem i pamiętam, że ilekroć złoczyńcy próbowali uciec samochodem, Superman zawsze stawał im na drodze i samochód odbijał się od niego.

Spróbowałem to zrobić w Argentynie. Był tam jeden major peronista, którego należało zatrzymać, zanim dotrze na posterunek, więc skoczyłem na ulicę i stanąłem na drodze pędzącego mercedesa. Sekundę później przeleciałem jakieś sto metrów i zatrzymałem się dopiero, gdy rąbnąłem plecami o posąg samego Juana P.

Wszystko przez to, że byłem lżejszy od tego samochodu. Podczas zderzenia dwóch obiektów zawsze ustępuje ten o mniejszym momencie pędu, a masa jest składową tego momentu. Nie ma znaczenia, jak silny jest lżejszy obiekt.

Potem byłem już mądrzejszy. Strąciłem posąg Peróna z postumentu i rzuciłem w samochód.

To załatwiło sprawę.

W pracy asa było też kilka innych rzeczy, których nie dało się nauczyć z komiksów. Pamiętam, że superb bohaterowie często chwyтали za lufy czołgów i zawiązywali je w ósemki.

Technicznie rzecz biorąc, jest to możliwe, ale trzeba mieć właściwe oparcie. Należy najpierw oprzeć stopy na czymś twardym, żeby móc się zaprzeć. Znacznie łatwiej było mi po prostu zanurkować pod korpus czołgu i zepchnąć go z gąsienic. Potem biegłem na drugą stronę, obejmowałem lufę ramionami, wsadzałem pod nią bark i ciągnąłem z całej siły w dół. Wykorzystywałem ramię jako punkt podparcia dźwigni i po prostu owijałem lufę wokół siebie.

To był najszybszy sposób. Jeśli miałem więcej czasu, przebijałem pięścią pancierz czołgu od dołu i rozrywałem go od środka.

Ale odbiegam od tematu. Wróćmy do Peróna.

Należało zrobić kilka podstawowych rzeczy. Niektórych lojalnych peronistów nie dało się przekonać, a jeden z nich był dowódcą uzbrojonego batalionu stacjonującego w ogrodzonej jednostce na przedmieściach Buenos Aires. W noc przewrotu podniosłem jeden z czołgów i położyłem na boku tuż przed bramą. Potem już tylko oparłem się o niego barkiem i trzymałem mocno, podczas gdy inne czołgi rozpadły się na kawałki, próbując go usunąć.

Earl zajął się flotą powietrzną Peróna. Po prostu podlatywał do samolotów na pasie startowym i odrywał stateczniki.

Demokracja zwyciężyła. Perón i jego blond lafirynda zwiali do Portugalii.

Przyznałem sobie krótki urlop. Gdy triumfująca klasa średnia wyległa na ulice, by świętować, ja leżałem w pokoju hotelowym z córką francuskiego ambasadora. Nasłuchując skandowania tłumów, czując na języku smak Nicolette i szampana, pomyślałem, że to jeszcze lepsze niż latanie.

Podczas tej kampanii uformował się nasz oficjalny wizerunek. Ja zwykle nosiłem stary mundur polowy, więc tak mnie zapamiętano. Earl nosił jasnobrązowy mundur sił powietrznych bez oznak stopnia, a do tego buty, hełm, gogle, szalik i starą, skórzaną kurtkę pilotkę z naszywką 332 Grupy na ramieniu. Gdy lądował, zdejmował hełm i zamieniał go na stary, czarny beret, który zawsze nosił w kieszeni na biodrze. Ilekroć mieliśmy występować publicznie, proszono nas, żebyśmy włożyli mundury, w ten sposób publiczność od razu nas rozpoznawała. Chyba nie zdawali sobie sprawy, że przez większość czasu ubieraliśmy się jak wszyscy, w garnitury i krawaty.



Earl i ja większość czasu spędzaliśmy w walce i choćby dlatego zostaliśmy dobrymi przyjaciółmi... w warunkach zagrożenia ludzie zaprzyjaźniają się szybko. Opowiadałem mu o swoim życiu, o wojnie i o dziewczynach. On był bardziej zachowawczy — może nie był pewien, jak przyjąłbym jego opowieści o przygodach z białymi kobietami, ale w końcu, pewnej nocy w północnych Włoszech, gdzie szukaliśmy Bormanna, dowiedziałem się o Orlenie Goldoni.

— Rano zawsze malowałem jej nogi — powiedział. — Nakładałem na nie makijaż, żeby wyglądała jak ubrana w jedwabne pończochy. Szew na łydce malowałem tuszem do rzęs. — Uśmiechnął się. — Kto by pomyślał, że taki ze mnie artysta.

— Czemu po prostu nie kupiłeś jej pończoch? — To nie było trudne, wielu żołnierzy pisało

do rodziny i przyjaciół w Stanach, prosząc o różne przesyłki.

— Kupiłem jej mnóstwo. — Earl wzruszył ramionami. — Ale Lena wszystkie oddawała towarzyszkom.

Nie miał żadnego zdjęcia — obawiał się, że Lillian mogłaby je znaleźć — ale wkrótce potem zobaczyłem ją na plakatach. Reklamowano ją jako „europejską Veronicę Lake”. Jasne włosy rozrzucone w nieładzie, szerokie ramiona, gardłowy głos. Lake pielęgnowała wizerunek chłodnej piękności, a Goldoni była gorąca jak ogień. W filmach miała prawdziwe pończochy i jeszcze prawdziwsze nogi, a reżyserowie pokazywali je tak często i obficie, jak tylko pozwalała im na to cenzura. Pamiętam, że pomyślałem wtedy, ile radości musiało dawać Earlowi to poranne malowanie.

Gdy się poznali, była piosenkarką kabaretową w Neapolu, w jednym z nielicznych klubów, gdzie wpuszczano czarnoskórych żołnierzy. Miała osiemnaście lat, była handlarką na czarnym rynku i kurierką Włoskiej Partii Komunistycznej. Earl spojrzął na nią raz i zapomniał o wszelkiej ostrożności. Chyba po raz pierwszy w życiu zrobił coś tylko dla siebie. Co noc wymykał się z koszar, kluczył pomiędzy patrolami, byle tylko z nią być, a potem wracał ukradkiem o świcie, by rankiem stawić się na pasie startowym i lecieć do Bukaresztu albo Ploeshti...

— Wiedzieliśmy, że to nie potrwa wiecznie — przyznał w końcu. — Wiedzieliśmy, że wojna kiedyś się skończy. — W jego oczach pojawił się wyraz zapatrzenia w dal, wspomnienie czegoś bolesnego i zrozumiałem, ile musiała go kosztować ta decyzja. — Postąpiliśmy jak dorośli — westchnął. — Pożegnaliśmy się, zostałem zwolniony z wojska i poszedłem pracować dla związku. Od tego czasu się nie widzieliśmy. — Potrząsnął głową. — A teraz ona gra w filmach. Nie obejrzałem ani jednego.

Następnego dnia dorwaliśmy Bormanna. Złapałem go za kołnierz habitu i potrząsnąłem, aż zadzwoniły mu zęby. Przekazaliśmy go przedstawicielom Międzynarodowego Trybunału do spraw Zbrodni Wojennych i udaliśmy się na dobrze zasłużony urlop.

Earl zachowywał się dziwnie nerwowo. Co chwila znikał, by gdzieś zadzwonić. Dziennikarze zawsze deptali nam po piętach, a on aż podskakiwał za każdym razem, gdy błysnęła lampa. Tej nocy nie wrócił do hotelu i nie widziałem go przez trzy dni.

Zwykle to ja wycinałem takie numery, wiecznie wymykałem się Earlowi, żeby spędzić czas z jakąś kobietą. Jego zachowanie kompletnie mnie zaskoczyło.

Okazało się, że spędził weekend z Leną w hotelu na północ od Rzymu. W poniedziałek rano zobaczyłem ich zdjęcia we włoskiej gazecie — dziennikarze jednak zdołali ich wytropić. Zastanawiałem się, czy Lillian już o tym wie i co teraz czuje. Earl, skrzywiony i zły, zjawił się koło południa, w samą porę, by zdążyć na lot do Indii. Lecił do Kalkuty na spotkanie z Gandhim. W ostatniej chwili znalazł się pomiędzy Mahatmą a serią pocisków, które jakiś fanatyk wystrzelił w niego na schodach świątyni, i nagle gazety pisały już tylko o Indiach, zupełnie zapominając o tym, co się stało w Rzymie. Nie wiem, jak Earl wyjaśnił tę sprawę Lillian.

Niezależnie od tego, co powiedział, podejrzewam, że mu uwierzyła. Zawsze mu wierzyła.



To były nasze złote czasy. Po odcięciu ostatniej drogi ucieczki do Ameryki Południowej nasiści musieli zostać w Europie, gdzie łatwiej ich było namierzyć. Wraz z Earlem

wyciągnęliśmy Bormanna z klasztoru, wywlekliśmy Mengelego ze strychu wiejskiego domu na farmie w Bawarii, a w Austrii podeszliśmy tak blisko Eichmanna, że spanikował i wybiegł na ulicę prosto w objęcia sowieckiego patrolu, a Rosjanie zastrzelili go na miejscu. David Harstein wszedł do Escorialu na paszporcie dyplomatycznym i namówił generała Franco, by wygłosił przez radio odezwę do narodu, w której zrzekł się stanowiska i obiecał rozpisanie ponownych wyborów, a potem David wszedł z nim na pokład samolotu i towarzyszył mu przez całą drogę do Szwajcarii. W Portugalii natychmiast zorganizowano wybory. Perón musiał wyjechać i znalazł sobie nowy dom w Nanking, gdzie został wojskowym doradcą generalissimusa. Naziści całymi dziesiątkami uciekali z Półwyspu Iberyjskiego, a łowcy nazistów schwytyli większość uciekinierów.

Zarabiałem wtedy mnóstwo pieniędzy. Pan Holmes nie płacił mi wprawdzie wysokiej pensji, ale nieźle zarobiłem na reklamie chesterfieldów i na wywiadach dla „Life”. Miałem też sporo płatnych wystąpień — pan Holmes zatrudnił mi ghostwritera. Nie płaciłem czynszu za pokój, nie musiałem też nigdy płacić za posiłek, jeśli akurat nie miałem na to ochoty. Dostawałem wysokie honoraria za artykuły napisane w moim imieniu, *Dlaczego wierzę w tolerancję*, *Czym jest dla mnie Ameryka* i *Dlaczego potrzebujemy ONZ*. Agenci z Hollywood składali mi niewiarygodne oferty za długoterminowy kontrakt, ale nie byłem tym jeszcze zainteresowany. Chciałem zobaczyć świat.

Odwiedzało mnie wtedy tyle dziewczyn, że rada mieszkańców zaczęła wspominać coś o zamontowaniu obrotowych drzwi.

Gazety nadały Earlowi przezwisko „Czarny Orzeł”, nawiązując do starej nazwy 332 — „Samotne Orły”. Nie był z tego zbyt zadowolony. David Harstein zdobył sobie przezwisko „Posłaniec”, przynajmniej wśród tych, którzy wiedzieli o jego zdolnościach. Mnie nazywano „Złoty Chłopiec”. Nie miałem nic przeciwko.

Po jakimś czasie grupa ED zdobyła nowego uczestnika — Blythe Stanhope van Renssaeler, której gazety nadały przezwisko „Lokata”. Drobna, dobrze ułożona bostońska dama z wyższych sfer, nerwowa jak klacz czystej krwi; wyszła za mąż za obrzydliwego drania, który był teraz kongresmenem w Nowym Jorku, i doczekała się z nim trójki dzieci. Miała niezwykłą urodę, taką, którą mężczyzna zauważa dopiero po dłuższym czasie i potem nie może zrozumieć, jakim cudem wcześniej tego nie dostrzegął. Chyba sama nie zdawała sobie sprawy, jaka jest piękna.

Potrafiła wysysać umysły. Wspomnienia, zdolności, wszystko.

Była ode mnie starsza o jakieś dziesięć lat, ale wcale mnie to nie obeszło i natychmiast zacząłem z nią flirtować. Miałem wtedy mnóstwo romansów i nie robiłem z tego tajemnicy, więc jeśli wiedziała cokolwiek na mój temat — a może nie wiedziała, może mój umysł nie był na tyle ważny, by go wysysać — to miała podstawy, by nie brać mnie poważnie.

W końcu ten drań Henry wyrzucił ją z domu, a wtedy przyszła do nas, pytając, czy może się tu zatrzymać. Pana Holmesa akurat nie było, a ja, po kilku szklaneczkach jego dwudziestoletniej brandy, czułem się tak beztrosko, że bez problemu zaproponowałem jej nocleg w naszym mieszkaniu, a konkretnie w moim łóżku. Obrzuciła mnie wyzwiskami, na które w pełni zasługiwałem, i wybiegła.

Cholera, przecież nie próbowałem sugerować, że ma ze mną sypiać regularnie. Powinna była wiedzieć lepiej.

Ja chyba także. Wtedy, w czterdziestym siódmym, większość ludzi wolała raczej żyć w małżeństwie niż płonąć, ja stanowiłem wyjątek od reguły. A Blythe była zbyt znerwicowana,

by myśleć o przygodach — przez większość czasu żyła na skraju załamania nerwowego, próbując ogarnąć tę całą wiedzę, i ostatnią rzeczą, jakiej potrzebowała, był jakiś wieśniak z Dakoty startujący do niej z łapami tego samego wieczoru, gdy rozpadło się jej małżeństwo.

Niedługo później Blythe i Tachion zostali parą. Moje poczucie własnej wartości trochę ucierpiało, gdy zrozumiałem, że puściła mnie kantem dla przybysza z kosmosu, ale do tego czasu zdążyłem już poznać Tachiona całkiem nieźle i uznałem, że gość jest w porządku, nawet jeśli ubiera się w brokaty i koronki. Jeśli Blythe było z nim dobrze, to nie miałem zastrzeżeń. Uznałem, że facet musiał mieć coś w sobie, jeśli zdołał przekonać taką damę jak Blythe, żeby żyła z nim w grzechu.

Określenie „as” spopularyzowało się zaraz po przybyciu Blythe, więc nagle zaczęto nas określać jako „Czwórkę Asów”. Pan Holmes był naszym Asem w Rękawie albo Piątym Asem. Walczyliśmy w służbie dobra i wszyscy o tym wiedzieli.

Darżono nas wtedy naprawdę niewiarygodnym uwielbieniem. Opinia publiczna po prostu nie dopuszczała możliwości, że moglibyśmy zrobić coś nie tak. Nawet najbardziej zatwardziali rasiści mówili o Earlu Sandersonie: „Nasz kolorowy lotnik”. Gdy mówił coś o zniesieniu segregacji, ludzie naprawdę go słuchali.

Myślę, że Earl świadomie manipulował swoim wizerunkiem. Był inteligentnym człowiekiem i wiedział, jak działa prasowa machina. Obietnica, którą z takim trudem złożył panu Holmesowi, zwróciła mu się stokrotnie. Świadomie stylizował się na czarnego bohatera, nieskalanego bohatera, symbol aspiracji. Doskonały atleta, wzorowy uczeń, bohater wojenny, przykładny mąż i as. Był pierwszym czarnoskórym człowiekiem na okładce magazynu „Time”, a potem „Life”. Prześcignął Robesona jako najpopularniejszego czarnego idola, co Robeson skomentował potem zgryźliwie: „Może i nie umiem latać, ale Earl Sanderson nie umie śpiewać”.

Tak na marginesie — Robeson się mylił.

Earl latał wtedy wyżej niż kiedykolwiek. Nie zdawał sobie sprawy, co spotyka gigantów, gdy ludzie dowiedzą się o ich glinianych nogach.



Upadek Czwórki Asów nastąpił rok później w 1948. Gdy komuniści mieli już-już zająć Czechosłowację, poleciliśmy pospiesznie do Niemiec, ale w ostatniej chwili odwołano akcję. Ktoś w Departamencie Stanu uznał, że sytuacja jest zbyt skomplikowana i nie powinniśmy interweniować. Później usłyszałem też, że rząd zaczął rekrutować własny zespół asów do pracy terenowej i że to oni coś schrzanili. Nie wiem, czy to prawda.

A potem, dwa miesiące po tej wtopie w Czechosłowacji, wysłano nas do Chin, by ocalić miliard ludzkich istnień w imię demokracji.

W tamtej chwili nie wyglądało to do końca jasno, ale nasza sprawa była od początku przegrana. Na papierze wszystko wyglądało obiecująco. Generalissimus Kuomintangu wciąż miał w rękach większe miasta i dobrze wyposażoną armię — zwłaszcza w porównaniu do sił Mao — w dodatku wszyscy wiedzieli, że to militarny geniusz. W przeciwnym razie „Times” chyba nie wybrałby go człowiekiem roku, i do tego dwa razy?

Z drugiej strony, komuniści maszerowali na południe równym tempem, trzydzieści osiem kilometrów dziennie, słońce czy deszcz, lato czy zima, po drodze rozdając chłopom ziemię. Nikt nie był w stanie ich zatrzymać, a już na pewno nie generalissimus.

Zanim dotarliśmy na miejsce, zdążył już podać się do dymisji — robił to od czasu do czasu, by udowodnić wszystkim, że naprawdę jest niezastąpiony. A zatem Czwórka Asów spotkała się z nowym przewodniczącym partii, człowiekiem imieniem Chen, który co chwila oglądał się przez ramię, by sprawdzić, czy jego wielki poprzednik przypadkiem nie powraca, by znów ocalić kraj od zguby.

W tamtej chwili Stany Zjednoczone były już gotowe spisać na straty północne Chiny i Mandzurię, które Kuomintang i tak utracił, nie licząc dużych miast. Plan nakazywał ocalić południe dla generalissimusa, przeprowadzając podział kraju. Kuomintang miałyby wtedy okazję przegrupować się i umocnić na południu, szykując się do ostatecznego rewanzu, a komuniści opanowaliby północne miasta bez walki.

Wszyscy tam byliśmy, Czwórka Asów i Holmes. Blythe pojechała w charakterze doradcy naukowego i wygłaszała przemówienia na temat standardów sanitarnych, irygacji i szczepień ochronnych. Był tam Mao i Zhou Enlai, i prezydent Chen. Generalissimus siedział w swoim namiocie w Guangdong, obrażony na cały świat, a Armia Ludowo-Wyzwoleńcza oblegała Mukden w Mandzurii, a poza tym pod dowództwem Lina Biao maszerowała ciągle naprzód, wciąż przebywając trzydzieści osiem kilometrów dziennie.

Earl i ja nie mieliśmy wiele do roboty. Przyjechaliśmy tu jako obserwatorzy i obserwowaliśmy głównie delegatów. Członkowie Kuomintangu byli uprzedząco grzeczni i dobrze ubrani i mieli umundurowanych służących, którzy nieustannie uwijali się po okolicy, załatwiając jakieś sprawy. Ich spotkania wyglądały, jakby tańczyli menueta.

Członkowie Armii Wyzwoleńczej wyglądali jak żołnierze. Bystrzy, dumni i po żołniersku zdyscyplinowani, bez całej tej pretensjonalnej oficjalności. Ta armia stoczyła wojnę i nie dopuszczała myśli o porażce. Zrozumiałem to na pierwszy rzut oka.

Był to dla mnie niezły szok. Wcześniej niewiele wiedziałem o Chinach, oprócz tego, co wyczytałem w książkach Pearl Buck, i plotek o rzekomym geniuszu generalissimusa.

— Ci goście walczą z tymi? — spytałem z niedowierzaniem.

— Nie. Ci goście — Earl wskazał na członków Kuomintangu — nie walczą z nikim, tylko uciekają w panice. I częściowo na tym polega problem.

— Nie podoba mi się to — powiedziałem. Earl jakby posmutniał.

— Mnie też. — Splunął na ziemię. — Oficjele Kuomintangu zabrali chłopom ziemię. Komuniści ją teraz oddają i dzięki temu mają poparcie społeczeństwa. Ale gdy już wygrają wojnę, z powrotem wszystko zabiorą, tak jak to zrobił Stalin.

Earl znał historię. Ja tylko czytałem gazety.

W ciągu dwóch tygodni pan Holmes opracował jakiś plan negocjacji, a potem do sali wszedł David Harstein i już wkrótce Chen i Mao szczerzyli się do siebie jak dwaj koledzy ze szkolnej ławy na spotkaniu po latach. Podczas długiej sesji, jaka później nastąpiła, wynegocjowano oficjalny podział Chin. Kuomintang i Armia Wyzwoleńcza miały złożyć broń i zacząć żyć w przyjaźni.

Wszystko rozpadło się w ciągu kilku dni. Generalissimus, który z pewnością dowiedział się o naszej perfidii od byłego pułkownika Peróna, ogłosił, że odrzuca to porozumienie i powrócił, by ocalić kraj. Lin Biao ani na chwilę nie przerwał marszu na południe. Po serii gwałtownych bitew rzekomy geniusz znalazł się na wysepce strzeżonej przez amerykańską flotę, wraz z Juanem Perónem i jego blond lałą, którzy znów musieli uciekać.

Pan Holmes powiedział mi potem, że gdy leciał przez Pacyfik z umową o podziale Chin w kieszeni, wiedząc, że wynegocjowany układ rozpada mu się za plecami, a wiwatujące tłumy w Hongkongu, Manili, Oahu i San Francisco topniały coraz bardziej, przypomniał sobie Neville'a Chamberlaina i jego własny smętny papierek. Jego „pokój w Europie” skończył się spektakularną klęską, a on sam został błaznem historii — smutnym przykładem człowieka, który chciał dobrze, lecz miał zbyt wiele nadziei i za bardzo zaufał ludziom biegleszym w oszustwie.

Pan Holmes był taki sam. Żyjąc i pracując wciąż w imię tych samych ideałów, demokracji i liberalizmu, sprawiedliwości i integracji, nie zauważył, że świat wokół niego się zmienia i już wkrótce zetrze go na pył.

W tamtej chwili opinia publiczna wciąż jeszcze nam sprzyjała, ale zapamiętała sobie, że już raz ich zawiedliśmy. Entuzjazm nieco osłabł.

Może po prostu czas superbohaterów minął. Ujęto największych zbrodniarzy wojennych, faszyzm został rozgromiony, a w Chinach i Czechosłowacji odkryliśmy granicę naszych możliwości.

Gdy Stalin wprowadził blokadę Berlina, znów poleciliśmy z Earlem do Niemiec, ja w swoich drelichach, on w kurtce lotnika. Latał ponad radziecką blokadą, prowadząc patrole, a wojsko przydzieliło mi jeepa z kierowcą. W końcu Stalin się wycofał.

Ale każde z nas coraz bardziej poświęcało się prywatnym sprawom. Blythe latała na konferencje naukowe, a resztę czasu spędzała z Tachionem. Earl maszerował w pochodach, żądając równych praw, i wygłaszał odczyty w całym kraju. Pan Holmes i David Harstein pracowali w sztabie wyborczym Henry'ego Wallace'a.

Przemawiałem na wiecach Ligi Miejskiej u boku Earla, pomagałem też panu Holmesowi. Dostałem sporo pieniędzy za to, że trochę pojeździłem najnowszym modelem chryslera i powiedziałem parę słów o Ameryce.

Po wyborach wyjechałem do Hollywood pracować dla Louisa Mayera. Wynagrodzenie było wprost niewiarygodne, miałem więcej pieniędzy, niż kiedykolwiek marzyłem, i w końcu znudziło mi się pomieszkiwanie w apartamencie pana Holmesa. Zostawiłem u niego większość rzeczy, podejrzewając, że i tak niedługo wrócę.

Zarabiałem wtedy dziesięć tysięcy tygodniowo, wynająłem sobie więc agenta, księgowego, sekretarkę do odbierania telefonów i menedżera dbającego o wizerunek; ja sam musiałem tylko brać lekcje tańca i gry aktorskiej. Właściwie nie miałem jeszcze nic do roboty, bo był jakiś problem ze scenariuszem. Nigdy wcześniej nie mieli jasnowłosego supermana.

Scenariusz, który mi w końcu przedstawili, był luźno oparty na naszych przygodach w Argentynie — film, oczywiście, miał się nazywać *Złoty chłopiec*. Zapłacili Cliffordowi Odetsowi ciężką forszę za prawo do użycia tego tytułu i, biorąc pod uwagę, co spotkało później Odetsa i mnie, tkwiła w tym pewna ironia losu.

Scenariusz niespecjalnie mnie zachwycił. Byłem głównym bohaterem, co mi oczywiście odpowiadało, chociaż nazywałem się „John Brown”. Ale David Harstein miał być synem pastora z Montany, a Archibald Holmes z polityka z Virginii stał się agentem FBI. Najgorszy los spotkał Earla Sandersona — został moim czarnoskórym pomocnikiem, epizodyczną postacią, która pojawia się tylko w kilku scenach, by wysłuchać rozkazów Johna Browna i odpowiedzieć krótkim „Tak jest, sir”. Zadzwoiłem do studia, żeby to wyjaśnić.

— Nie możemy nakręcić z nim za dużo scen — powiedział producent. — Inaczej nie zdołamy go wyciąć w wersji południowej.

Spytałem, co to ma, u licha, znaczyć.

— Jeśli chcemy wyświetlać ten film na Południu, to nie może być w nim żadnych kolorowych, inaczej kina go nie kupią. Specjalnie tak piszemy scenariusze, żeby w razie czego wyciąć wszystkie sceny z czarnuchami.

Byłem w szoku. Nie miałem pojęcia, że to tak działa.

— Proszę posłuchać — powiedziałem surowo. — Wygłaszałem przemówienia na wiecach NAACP i Ligi Miejskiej. Wystąpiłem w Newsweeku obok Mary McLeod Bethune. Nie przyłożę do tego ręki.

Głos w słuchawce zrobił się bardzo nieprzyjemny.

— Proszę uważnie przeczytać umowę, panie Braun. Nie ma pan prawa autoryzacji scenariusza.

— Nie chcę niczego autoryzować. Chciałbym tylko zobaczyć scenariusz, który wiernie przedstawia pewne fakty z mojego życia. Jeśli zrealizujemy go w tej postaci, stracę wszelką wiarygodność. Spieprzycie mi cały wizerunek!

Potem rozmowa zrobiła się agresywna. Rzuciłem parę gróźb, a producent odpowiedział swoimi. Zadzwoił do mnie księgowy, by opowiedzieć mi, co się stanie, gdy te dziesięć kawałków przestanie spływać, a mój agent dodał, że nie mam prawa protestować przeciwko tym zmianom.

W końcu zadzwonił Earl i zapytał, co się dzieje.

— Ile ci za to płacą? — zapytał jeszcze raz.

Powtórzyłem.

— Posłuchaj — powiedział po chwili. — To, co robisz w Hollywood, to twój biznes. Ale jesteś tam nowy. To dobrze, że próbujesz walczyć w słusznej sprawie, ale jeśli teraz zerwą z tobą umowę, to nikomu nic nie pomoże. Zostań tam, gdzie jesteś, wyrób sobie pozycję i wykorzystaj ją później. A jeśli masz poczucie winy, to pomyśl, że NAACP chętnie przytuli jakiś procent z tych dziesięciu kawałków.

A zatem na tym stanęło. Mój agent renegotjował umowę ze studiem, nakazując im konsultować wszystkie zmiany w scenariuszu. Udało mi się wywalić agenta FBI — Holmes nie miał teraz żadnych wyraźnych powiązań z rządem — próbowałem też dodać trochę kolorytu postaci Sandersona.

Zobaczyłem próbne ujęcia i bardzo mi się spodobały. Moja gra wypadła całkiem niezłe — w każdym razie wyglądała naturalnie — a do tego udało się nakręcić scenę, w której własną pierśią zatrzymuję rozpedzonego mercedesa (użyto efektów specjalnych).

Film trafił do kasetki, a ja wypłem do lunchu trzy martini, a potem poszedłem na galę finałową, nie trzeźwiejąc ani na moment. Trzy dni później obudziłem się w Tijuanie z potwornym bólem głowy i niejasnym podejrzeniem, że zrobiłem coś głupiego. Śliczna, drobna blondynka leżąca obok w łóżku szybko to potwierdziła. Właśnie wzięliśmy ślub. Gdy poszła się wykapać, spojrzałem na akt ślubu, z którego wynikało, że dziewczyna nazywa się Kim Wolfe. Była mało znaną aktoreczką z Georgii i od sześciu lat bezskutecznie kręciła się po Hollywoodzie.

Po paru aspirynach i kilku lufach tequili małżeństwo zaczęło mi się wydawać całkiem niegłupim pomysłem. Może na tym etapie kariery czas już się ustatkować?

Kupiłem stary dom RONALDA COLMANA zbudowany w stylu angielskiej prowincji na Summit

Drive w Beverly Hills i wprowadziłem się tam razem z Kim, naszymi sekretarkami, fryzjerką Kim, dwoma szoferami i dwiema pokojówkami... i nagle miałem na garnuszku mnóstwo ludzi i nie byłem nawet pewien, skąd się wszyscy wzięli.

Następny film nazywał się *Historia Rickenbackera*. Victor Fleming reżyserował, Fredric March miał wystąpić jako Pershing, a June Allyson jako pielęgniarka, w której się zakochuję. Dewey Martin — akurat on! — miał zagrać Richthofena, a ja miałem napakować jego teutońską pierś amerykańskim ołowiem i nikogo nie obchodziło, że prawdziwego Richthofena zastrzelił ktoś zupełnie inny.

Większość scen zamierzano nakręcić w Irlandii, przewidziano ogromny budżet i mnóstwo statystów. Od początku nalegałem, że muszę się nauczyć latać, żeby móc samemu wykonywać niektóre ujęcia. Zadzwoniłem do Earla międzymiastową.

— Hej — przywitałem się. — W końcu nauczyłem się latać.

— Najwyraźniej przy odrobinie pracy da się tego nauczyć nawet farmerka.

— Victor Fleming zrobił ze mnie asa.

— Jack — powiedział z rozbawieniem. — Ty już jesteś asem.

To mnie trochę zbiło z tropu, bo w tym całym zamieszaniu zapomniałem, że to nie wytwórnia MGM zrobiła ze mnie gwiazdę.

— Masz rację, stary — przyznałem.

— Powinieneś częściej zaglądać do Nowego Jorku — dodał Earl. — Posłuchać wieści ze świata.

— Aha, dam znać, jak będę w pobliżu. Pogadamy o lataniu.

— Pogadamy.

Zatrzymałem się u niego w drodze do Irlandii. Kim została w domu — załatwiłem jej rolę w filmie Warner Bros. Poza tym wychowała się na południu i gdy przedstawiałem ją Earlowi, zdawała się bardzo skrępowana, więc jej nieobecność wcale mi nie przeszkadzała.

Spędziłem w Irlandii siedem miesięcy. Pogoda była obrzydliwa, a zdjęcia trwały wieczność. Dwa razy spotkałem się z Kim w Londynie i za każdy razem spędziliśmy ze sobą tydzień, ale przez resztę czasu byłem zdany na siebie. Na swój sposób dochowywałem jej wierności, co oznaczało tyle, że nigdy nie spałem z tą samą kobietą więcej niż dwa razy z rzędu. Nauczyłem się latać naprawdę nieźle i kaskaderzy parę razy gratulowali mi dobrze wykonanych manewrów.

Po powrocie do Kalifornii spędziłem dwa tygodnie w Palm Springs razem z Kim. Za dwa miesiące miała nastąpić premiera *Złotego chłopca*. Ostatniego dnia urlopu, akurat gdy wychodziłem z basenu, podszedł do mnie urzędnik kongresowy, w krawacie i garniturze, cały spocony, i podał mi różowy pasek papieru.

To było wezwanie. Miałem stawić się przed Komisją do spraw Działalności Antyamerykańskiej we wtorek z samego rana. Nazajutrz.



Byłem raczej zły niż zdenerwowany. Uznałem, że pewnie chodzi o jakiegoś innego Jacka Brauna. Zadzwoniłem do wytwórni i poprosiłem o połączenie z kimś z działu prawnego. — Ach, tak — powiedział tamten, kompletnie zbijając mnie z tropu. — Zastanawialiśmy się, kiedy dostanie pan wezwanie.

— Zaraz, zaraz — przerwałem. — A skąd pan o tym wie?

Po drugiej stronie zapadła krępująca cisza.

— Nasza polityka zakłada pełną współpracę ze służbami bezpieczeństwa. Nasi prawnicy spotkają się z panem w Waszyngtonie. Niech pan odpowie na wszystkie pytania komisji, a już za tydzień będzie pan z powrotem w Kalifornii.

— A co mają do tego służby bezpieczeństwa? I dlaczego mnie o tym nie powiadomiono? O co właściwie podejrzewa mnie ten komitet?

— Chyba chodzi o Chiny — odparł tamten. — W każdym razie o to nas pytali.

Trzasnąłem słuchawką i zadzwoniłem do pana Holmesa. On, Earl i David dostali swoje wezwania rano i od tego czasu próbowali się do mnie dodzwonić, ale byłem w Palm Springs.

— Próbują rozbić naszą paczkę, farmerku — stwierdził Earl. — Wsiadaj w pierwszy samolot na wschód. Musimy pogadać.

Właśnie kończyłem robić rezerwację, gdy do domu weszła Kim ubrana w biały strój, prosto z lekcji tenisa. Nigdy nie spotkałem kobiety, która tak dobrze wyglądałaby spocona.

— Co się stało? — spytała. Bez słowa wskazałem na różowy pasek.

Zareagowała błyskawicznie.

— Nie popełnij tego błędu, co Dziesięciu — ostrzegła. — Skonsultowali się ze sobą i wszyscy odmówili zeznań. Żaden z nich nie wrócił już do pracy. — Sięgnęła po telefon. — Zadzwonię do studia. Znajdziemy ci adwokata.

Patrzyłem, jak wykręca numer, i czułem, że jakaś zimna dłoń przesuwana mi się po karku.

— Chciałbym wiedzieć, co tu się dzieje — powiedziałem.

Ale przecież wiedziałem, nawet wtedy wiedziałem, i to z przerażającą jasnością. Przez cały czas myślałem tylko o tym, że właściwie wolałbym, aby mój dylemat nie był tak przeraźliwie jasny.



Strach nadszedł później. HUAC, czyli Komisja do spraw Działalności Antyamerykańskiej, po raz pierwszy wzięła Hollywood na cel w czterdziestym siódmym. Wtedy zaczęła się słynna sprawa Dziesięciu. Komitet badał rzekomą infiltrację komunistów w przemyśle filmowym — sam ten pomysł był całkiem absurdalny, ponieważ żaden komunista nie zdołałby umieścić w filmie treści propagandowych bez zgody takich ludzi jak pan Mayer i Bracia Warner. Wszyscy z Dziesięciu mieli mniejsze lub większe powiązania z ruchem komunistycznym i uznali, że przed komisją należy powołać się na pierwszą poprawkę do Konstytucji gwarantującą wolność słowa.

Komisja stratowała ich jak stado pędzących bawołów przepuszczonych przez grządkę stokrotek. Zarzucono im brak współpracy, oskarżono o obrazę Kongresu i gdy skończyły się apelacje, wielu z nich wylądowało w więzieniu.

Wszyscy podejrzani z listy Dziesięciu liczyli, że pierwsza poprawka ich ochroni, a sąd oddali zarzuty obrazę Kongresu najdalej po tygodniu. Tymczasem apelacje ciągnęły się latami, Dziesięciu znalazło się w niełasce i przez cały ten czas żaden z nich nie mógł znaleźć pracy.

Powstała czarna lista. Moi dawni znajomi z Legionu Amerykańskiego, którzy od czasu nieudanej pacyfikacji Stowarzyszenia Rolników nauczyli się bardziej subtelnych metod, opublikowali listę faktycznych lub rzekomych komunistów, tak żeby żaden pracodawca nie odważył się zatrudnić nikogo z listy. Jeśli tak zrobił, sam stawał się podejrzany, a jego nazwisko dodawano do listy.

Nikt z osób wezwanych przez HUAC nigdy nie popełnił żadnego przestępstwa w świetle prawa. Nie przesłuchiowano ich zresztą w sprawie przestępstw, lecz prywatnych znajomości. HUAC nie miała żadnego konstytucyjnego umocowania dla swojej działalności, czarna lista była publikowana nielegalnie, dowody przedstawiane na posiedzeniach komisji składały się głównie z pogłosek i informacji, których nie uznałby żaden sąd... i nie miało to żadnego znaczenia. Komisja działała w najlepsze.

Przez jakiś czas siedzieli cicho, głównie dlatego, że ich przewodniczący, Parnell, trafił do pudła za defraudację, trochę też dlatego, że nadal trwały apelacje Dziesięciu. Ale w końcu zatęsknili za uwagą mediów, z czasów, gdy wzięli się za Hollywood, a opinia publiczna z wypiekami śledziła proces Rosenbergow i sprawę Algiera Hissa, uznali więc, że czas na kolejną pokazową sprawę.

Nowy przewodniczący HUAC, John S. Wood z Georgii, postanowił zaatakować najsławniejszych ludzi na świecie.

Nas.



Prawnik z MGM czekał na mnie na lotnisku w Waszyngtonie.

— Stanowczo odradzam panu kontaktowanie się z panem Holmesem i panem Sandersonem — powiedział od razu.

— Chyba pan żartuje.

— Będą pana namawiać, żebyście wszyscy trzej powołali się na piątą poprawkę — wyjaśnił prawnik. — Ta linia obrony się nie sprawdzi. Upadła we wszystkich apelacjach Dziesięciu. Piątą poprawką to forma obrony przed samooskarżaniem, a jeśli nie zrobił pan nic złego, to nie powinien pan z niej korzystać. Chyba że chce pan od razu wyglądać podejrzanie.

— To się nie uda, Jack — dodała Kim. — Metro nie wyda twoich filmów, bo Legion Amerykański zacznie pikietować kina w całym kraju.

— A skąd mam wiedzieć, że odpowiadanie na pytania w czymkolwiek mi pomoże? Na litość boską, przecież wszyscy wiedzą, jak łatwo trafić na czarną listę — wystarczy, że ktoś do mnie zadzwoni.

— Pan Mayer polecił mi przekazać panu, że pozostanie pan jego pracownikiem, jeśli zdecyduje się pan współpracować z komisją.

Potrząsnąłem głową.

— Porozmawiam dziś z panem Holmesem — oznajmiłem i wyszczerzyłem zęby. — W końcu jesteśmy Czwórką Asów, prawda? Jeśli nie zdołamy pokonać jakiegoś wieśniaka z Georgii, to nie zasługujemy na to miano.

A zatem spotkałem się w Statlerze z panem Holmesem, Earlem i Davidem. Kim powiedziała, że postępuję nierozsądnie, i nie chciała ze mną pójść.

Od początku się pokłóciliśmy. Earl twierdził, że komisja nie miała prawa nas wzywać i powinniśmy po prostu odmówić wszelkich zeznań. Pan Holmes argumentował, że nie możemy tak po prostu oddać pola — w końcu nie zrobiliśmy nic złego i powinniśmy się bronić. Earl odpowiedział, że sąd kapturowy to nie jest miejsce na sensowną obronę. David po prostu chciał tam wejść i potraktować komisję feromonami.

— Niech to diabli — rzekłem w końcu. — Powołam się na pierwszą. Wolność słowa

i zrzeszania się to niepodważalne prawo każdego Amerykanina.

Tak naprawdę nie wierzyłem w to ani przez chwilę. Po prostu pomyślałem, że warto by powiedzieć coś optymistycznego.

Pierwszego dnia nie zostałem wezwany. Włączyłem się po korytarzu z Davidem i Earlem, gryząc paznokcie, podczas gdy pan Holmes odgrywał Kanuta Wielkiego i smagał słowami toksyczne, żrące fale, by nie rozpuściły mu kości. David próbował zagadać ze strażnikami, ale bezskutecznie — ci na zewnątrz byli skłonni go wpuścić, ale ci w środku byli poza zasięgiem feromonów.

Dziennikarzy, oczywiście, wpuszczono. HUAC bardzo lubiła paradować przed kamerami, a stacje dawały temu cyrkowi nieograniczony czas antenowy.

Nie wiedziałem, co się dzieje, póki pan Holmes nie wyszedł na korytarz. Wyglądał jak po zawale i bardzo ostrożnie stawiał nogi, jedna za drugą. Twarz mu poszarzała, ręce drżały i ciężko wspierał się na ramieniu swojego obrońcy. Wyglądał, jakby w ciągu kilku godzin przybyło mu dwadzieścia lat. Earl i David natychmiast podbiegli, ale ja byłem w stanie tylko patrzeć, jak pomagają mu wyjść z budynku.

Strach chwycił mnie za gardło.



Earl i David pomogli panu Holmesowi wsiąść do samochodu, a potem Earl zczekał, aż podjechała limuzyna MGM, i wsiadł razem z nami do tyłu. Kim wydeła wargi, wcisnęła się w kąt, żeby jej przypadkiem nie dotknął, i nawet się nie przywitała.

— Czyli miałem rację — powiedział. — Nie da się współpracować z tymi draniami.

Nadal nie mogłem wyjść z oszołomienia.

— Nie rozumiem, czemu to robią.

Earl zmierzył mnie rozbawionym spojrzeniem.

— Ech, ci chłopcy z farmy — westchnął z rezygnacją i potrząsnął głową. — Trzeba ich rąbnąć szpadlem w łeb, żeby zauważyli, co się dzieje.

Kim pociągnęła nosem z dezaprobatą. Earl w ogóle nie zareagował.

— Pęd do władzy, rozumiesz? Cała ta klika przez całe lata nie mogła się do niej dostać, bo przeszkadzali im Roosevelt i Truman. A teraz próbują ją odzyskać i specjalnie podkrecają histerię. Spójrz na Czwórkę Asów i co widzisz? Murzyna komunistę, żydowskiego liberała, wyborcę Roosevelta i kobietę żyjącą w grzechu. A do tego jeszcze Tachion — kosmita, który majstruje nie tylko przy rządzie, ale i naszych chromosomach. Są pewnie też inni, równie potężni, którzy jeszcze się nie ujawnili. Wiadomo tylko, że wszyscy mają nieludzkie moce i kto wie, do czego zamierzają to wykorzystać? Nie są pod kontrolą rządu, tylko realizują jakiś liberalny program polityczny, co zagraża władzy większości ludzi z tej komisji.

Podejrzewam, że do tej pory rząd dorobił się już własnych asów. A to oznacza tyle, że mogą się nas pozbyć. Jesteśmy zbyt niezależni i politycznie niepewni. Chiny, Czechosłowacja, nazwiska innych asów — to pretekst. Cała rzecz w tym, że jeśli zdołają nas publicznie złamać, to udowodnią, że potrafią złamać każdego. Zaczną się rządy terroru, które potrwają całe pokolenie. Nikt się przed tym nie uchowa, nawet prezydent.

Potrząsnąłem głową. Słyszałem słowa, ale mój mózg odmawiał zrozumienia.

— Co możemy zrobić? — spytałem w końcu.

Earl spojrział mi prosto w oczy.
— Absolutnie nic, farmerku.
Odwrociłem wzrok.



Wieczorem mój prawnik z MGM odtworzył mi nagranie z przesłuchania Holmesa. Pan Holmes i jego obrońca, przyjaciel jego rodziny z Virginii, człowiek imieniem Cranmer, byli przyzwyczajeni do waszyngtońskiego protokołu i do procedur prawnych. Spodziewali się porządnego przesłuchania, gdzie dżentelmeni z komisji zadają grzeczne pytania dżentelmenowi siedzącemu na miejscu świadka.

Rzeczywistość okazała się inna. Komisja ledwie dopuściła pana Holmesa do głosu. Przez większość czasu krzyczeli jeden przez drugiego, wygłaszając wściekłe tyrady, pełne oszczerstw i pomówień, nie pozwalając mu odpowiedzieć.

Dostałem kopię transkryptu. Wyglądało to mniej więcej tak:

P. RANKIN: Gdy patrzę na tego człowieka siedzącego przede mną, tego obrzydliwego wyznawcę Nowego Ładu, jego gładkie maniery i garnitur z Bond Street, jego arystokratyczne gesty i papierosy w fifce, aż wzdragam się z obrzydzenia jako chrześcijanin i Amerykanin! Zwolennik Nowego Ładu! Ten Nowy Ład przeżera go niczym rak. Mam ochotę krzyknąć: „Ty ponosisz winę za wszelkie nieszczęścia, które spotykają dzisiaj Amerykę! Wracaj do czerwonych Chin, gdzie twoje miejsce, ty socjalistyczna zarazo! W Chinach powitają cię z otwartymi ramionami, zdrajco!”.

PRZEWODNICZĄCY: Czas wypowiedzi naszego szanownego kolegi dobiegł końca.

P. RANKIN: Dziękuję, panie przewodniczący. PRZEWODNICZĄCY: Panie Nixon?

P. NIXON: Proszę podać nazwiska ludzi w Departamencie Stanu, z którymi konsultował się pan przed wyjazdem do Chin.

ŚWIADEK: Chciałabym najpierw przypomnieć komisji, że osoby, z którymi się kontaktowałem, były urzędnikami państwowymi, działającymi w dobrej wierze...

P. NIXON: Komisji nie interesują ich życiorysy. Tylko nazwiska.

Transkrypt zajmował w sumie osiemdziesiąt stron. Wynikało z nich, że pan Holmes wbił generalissimusowi nóż w plecy, przez co utracił Chiny na rzecz Czerwonych. Zarzucono mu, że zbyt łagodnie traktował komunistów, podobnie jak ten różowy salonowiec Henry Wallace, którego kandydaturę popierał. John Rankin z Missisipi — prawdopodobnie największa osobliwość w tej komisji — zarzucił panu Holmesowi, że jest częścią żydowsko-lewackiego spisku, który ukrzyżował naszego Zbawiciela. Richard Nixon z Kalifornii wciąż domagał się od niego nazwisk osób z Departamentu Stanu, żeby móc ich potraktować tak jak wcześniej Algera Hissa. Pan Holmes nie podał żadnych nazwisk i powołał się na pierwszą poprawkę. Wtedy dopiero komisja osiągnęła wyżyny słusznego oburzenia: maglowali go przez kilka godzin, a następnego dnia oskarżyli o obrazę Kongresu.

Pan Holmes miał trafić do więzienia, choć nie popełnił żadnego przestępstwa.



- Jezu Chryste. Muszę pomówić z Earlem i Davidem.
- Już raz to panu odradzałem, panie Braun.
- Mam to gdzieś. Musimy coś zaplanować.
- Lepiej posłuchaj prawnika, kochanie.
- Do diabła z tym. — Brzęk butelki o szkło. — Musi być jakieś wyjście.



Gdy dotarłem do apartamentu pana Holmesa, okazało się, że podali mu już coś na uspokojenie i położyli go do łóżka. Earl powiedział, że Blythe i Tachion też dostali wezwanie i przyjadą nazajutrz. Nie wiedzieliśmy, po co to wszystko. Blythe nie podejmowała żadnych decyzji politycznych, a Tachion w ogóle nie miał nic wspólnego z Chinami.

Następnego dnia wezwali Davida. Wszedł do środka z szerokim uśmiechem. Powiedział, że odegra się za nas wszystkich.

P. RANKIN: Chciałbym zapewnić tego żydowskiego dżentelmena z Nowego Jorku, że może się nie obawiać z naszej strony jakiegokolwiek dyskryminacji ze względu na przynależność etniczną. Każdy człowiek wyznający fundamentalne zasady chrześcijaństwa i stosujący je w życiu, zasługuje na mój szacunek, niezależnie od tego, czy jest katolikiem, czy protestantem.

ŚWIADEK: Czy mógłbym zaznaczyć, że protestuję przeciwko określeniu „żydowski dżentelmen”?

P. RANKIN: Protestuje pan przeciwko określeniu „żydowski” czy „dżentelmen”? O co właściwie chodzi?

Po tym burzliwym otwarciu feromony Davida zaczęły rozchodzić się po sali. Nie zdołał wprawdzie zmusić komisji, by zatańczyła w kółko, śpiewając *Hava nagila*, ale poza tym sprawił, że zgodzili się odwołać wezwania, zakończyć przesłuchania, podpisać rezolucję chwalejącą Czwórkę Asów za zasługi dla kraju, wysłać list z przeprosinami do pana Holmesa, wycofać oskarżenie o obrazę Kongresu wobec Dziesięciu, i ogólnie wygłupiali się przed kamerami przez dobrych parę godzin. John Rankin nazwał Davida „małym żydowskim sprzymierzeńcem Stanów”, co w jego ustach stanowiło chyba najwyższy komplement. David wyszedł z sali tanecznym krokiem, uśmiechnięty od ucha do ucha. Zbiegliśmy się, by poklepać go po plecach, a potem poszliśmy świętować do Statlera.

Otwieraliśmy właśnie trzecią butelkę szampana, gdy portier hotelowy otworzył drzwi, a urzędnicy kongresowi dostarczyli nam nową porcję wezwań. Włączyliśmy radio, gdzie przewodniczący John Wood rozwodził się akurat nad tym, jak to David użył na nich „metod kontroli umysłu opracowanych przez instytut Pawłowa w Związku Sowieckim”, i dodał, że ta zdradziecka forma ataku zostanie w pełni zbadana.

Usiadłem na łóżku wpatrzony w pękające bąbelki szampana.
Strach powrócić.



Blythe weszła do sali nazajutrz. David próbował wejść za nią, ale zawrócili go strażnicy

w maskach przeciwgazowych. Przed wejściem zaparkowano ciężarówkę z symbolem broni chemicznej na burtach. Później dowiedziałem się, że gdybyśmy próbowali walczyć, zamierzali potraktować nas fosgenem.

W sali przesłuchań zbudowali specjalną szklaną kabinę. David miał usiąść w środku i zeznawać przez mikrofon, którego wyłącznik znajdował się na biurku przewodniczącego.

HUAC najwyraźniej była równie roztrzęsiona jak my, bo pytania brzmiały trochę chaotycznie. Pytali Blythe o Chiny, a ponieważ pojechała tam jako naukowiec, nie potrafiła nic powiedzieć o decyzjach politycznych. Potem spytali, jak działa jej moc, w jaki sposób absorbuje umysły i co z nimi później robi. Zachowywali się dość uprzejmie. Henry van Rensselaer wciąż był kongresmenem i zawodowa grzeczność nakazywała unikać sugestii, że to jego żona przez cały czas pociągała za sznurki.

W końcu wypuścili Blythe i wezwali Tachiona. Przyszedł ubrany w pomarańczowy płaszcz i heskie buty z frędzlami. Od początku ignorował rady swojego prawnika — wszedł tam z manierą arystokraty, który z najwyższą niechęcią podjął się obowiązku naprostowania ciemnej tłuszczy.

Kompletnie nie docenił przeciwnika i komisja rozdarła go na strzępy. Zarzucili mu, że jest nielegalnym migrantem, oskarżyli o uwolnienie wirusa dzikiej karty, a na koniec zażądali nazwisk wszystkich asów, jakich kiedykolwiek leczył, na wypadek, gdyby niektórzy z nich okazali się szpiegami zatruwającymi umysły Amerykanów na zlecenie wujaszka Stalina. Tachion odmówił.

A wtedy go deportowali.



Następnego dnia wszedł Harstein w asyście oddziału marines ubranych w kombinezony przeciwwskazeniowe. Gdy znalazł się w szklanej kabinie, roztratowali go, tak jak poprzednio pana Holmesa. John Wood trzymał palec na przycisku i nie uruchomił mikrofonu świadka, nawet wtedy, gdy Rankin publicznie nazwał go „oślizgłym żydkiem”. Gdy w końcu pozwolono mu dojść do głosu, David nazwał komisję bandą nazistów. Przewodniczący Wood uznał to za obrazę Kongresu.

David też miał trafić do więzienia.

Posiedzenia przerwano na weekend, więc Earl i ja mieliśmy zeznawać dopiero w poniedziałek.



Siedzieliśmy w apartamencie pana Holmesa i słuchaliśmy radia. Gdziekolwiek by spojrzeć, wszędzie było źle. Legion Amerykański organizował demonstracje popierające działalność komisji. W całym kraju wysłano wezwania do ludzi przejawiających zdolności asów — żadnych zdeformowanych dzokerów, którzy źle by wypadli w telewizji. Mój agent zadzwonił i zostawił wiadomość, że Chrysler żąda zwrotu samochodu i że producent chesterfieldów jest zaniepokojony.

Wypiliśmy butelkę szkockiej. Blythe i Tachion gdzieś się zaszyli. David i pan Holmes siedzieli w kącie niczym zombie, z zapadniętymi oczami, skupieni na swojej własnej rozpacz. Nikt się nie odezwał, oprócz Earla, który oznajmił:

— Powołam się na pierwszą poprawkę i niech ich wszyscy diabli. Jeśli mnie wsadzą, to polecę do Szwajcarii.

Zapatrzyłem się w swojego drinka.

— Ja nie umiem latać.

— Jasne, że umiesz, farmerku. Sam mi to mówiłeś.

— Nie umiem latać, do cholery! Daj mi spokój.

Nie mogłem tego dłużej wytrzymać. Wziąłem drugą butelkę i poszedłem do łóżka. Po jakimś czasie przyszła Kim i chciała ze mną rozmawiać, ale odwróciłem się plecami i udałem, że śpię.



— Tak, panie Mayer?

— Jack? Jest źle, bardzo źle.

— Wiem. To zimni dranie, panie Mayer, zniszczą nas wszystkich.

— Po prostu słuchaj swojego prawnika, Jack. Wszystko będzie dobrze. Postąp odważnie.

— Odważnie? — Wybuchnąłem śmiechem. — Odważnie?!

— Tak trzeba, Jack. Jesteś bohaterem. Nie mogą cię tknąć. Po prostu powiedz im to, co chcą usłyszeć, a Ameryka cię pokocha.

— Chce pan, żebym postąpił jak tchórz.

— Jack, proszę cię, nie używaj takich słów. To twój obowiązek jako patrioty. To właściwa droga. Chcę, żebyś został bohaterem. I chcę, żebyś wiedział, że w Metro zawsze znajdzie się miejsce dla bohatera.

— Ile osób kupi bilety, żeby oglądać tchórze, panie Mayer?

— Daj mi adwokata, Jack. Bądź grzecznym chłopcem i zrób to, o co cię prosi.

— Niech mnie diabli, jeśli usłucham.

— Jack, drogi chłopcze. Co ja mam z tobą zrobić? Daj mi adwokata.



Earl unosił się w powietrzu tuż naprzeciw mojego okna. Na szklach gogli lśniły krople deszczu. Kim zgromiła go wzrokiem i wyszła z pokoju. Wstałem i otworzyłem okna. Wleciał do środka, stanął w butach na dywanie i zapalił papierosa.

— Kiepsko wyglądasz, Jack.

— Mam kaca, Earl.

Wyciągnął z kieszeni najnowszy numer „Washington Star”.

— Mam tu coś, co się otrzeźwi. Czytałeś dzisiejsze gazety?

— Nie. Nic nie wiem.

Rozłożył gazetę. Na pierwszej stronie zamieszczono nagłówek: STALIN OGŁASZA POPARCIE DLA ASÓW.

Usiadłem na łóżku i sięgnąłem po butelkę.

— Jezu Chryste.

Earl cisnął gazetę na podłogę.

— Chce nas pogrążyć. W końcu wykurzyliśmy go z Berlina, nie? Nie ma powodu, żeby nas

lubić. A u siebie sam prześladowuje swoich asów.

— Co za drań, co za drań — szepnąłem i zamknąłem oczy. Kolorowe plamy zapulsowały mi pod powiekami. — Masz szluga?

Podał mi papierosa i przypalił swoją zippo, jeszcze z czasów wojny. Położyłem się na plecach, potarłem szczecinę na brodzie.

— Na moje wyczucie, to zapowiada się dziesięć bardzo chudych lat — stwierdził Earl. — Może nawet trzeba będzie wyjechać z kraju. — Potrząsnął głową. — Potem znów będziemy bohaterami. Ale musi minąć przynajmniej tyle czasu.

— Ty to umiesz pocieszyć.

Zaśmiał się. Papieros smakował ohydnie. Zmyłem smak łykiem szkockiej.

Uśmiech zniknął z twarzy Earla.

— Najbardziej szkoda mi ludzi, którzy przyjdą po nas. W tym kraju jeszcze przez wiele lat będzie trwać polowanie na czarownice. — Potrząsnął głową. — NAACP wynajęło mi adwokata. Niewykluczone, że z tego zrezygnuję. Nie chcę, żeby łączono ze mną jakąkolwiek organizację. Będą z tego tylko kłopoty.

— Zadzwoił do mnie Mayer.

— Mayer. — Earl skrzywił się z niesmakiem. — Gdyby któryś z tych producentów powiedział choć słowo, kiedy Dziesięciu wzywano przed komisję... Gdyby pokazali trochę jaj, nie doszłoby do czegoś takiego. — Spojrzał na mnie uważnie. — Lepiej weź sobie innego adwokata. — Zmarszczył brwi. — Chyba że powołasz się na piątą. Piąta poprawka jest szybsza. Pytają cię, jak się nazywasz, mówisz, że nie odpowiesz, i po wszystkim.

— Skoro tak, to po co mi w ogóle adwokat?

— Masz rację. — Uśmiechnął się z goryczą. — To nie ma większego znaczenia, prawda? Komisja i tak zrobi, co chce.

— Aha. Już po wszystkim. To koniec.

Jego grymas powoli zmienił się w łagodny uśmiech i przez chwilę zobaczyłem ten blask, o którym mówiła Lillian. Lada chwila miał utracić wszystko, o co walczył przez całe życie, wykorzystany jako broń do okaleczenia ruchu na rzecz praw obywatelskich i praw pracowniczych, i antyfaszyzmu, i antyimperializmu, i wszystkiego, na czym mu zależało. Wiedział, że już wkrótce samo jego nazwisko stanie się anatema, że wszyscy, z którymi się w życiu kontaktował, już wkrótce podzielą ten sam los... i jakoś to wszystko zaakceptował, smutny i rozgoryczony, ale wciąż pogodzony ze sobą. Strach nawet go nie dotknął. Ten człowiek nie bał się ani komisji, ani publicznego potępienia, ani utraty pozycji. Nie żałował niczego.

— To koniec? — spytał i w jego oczach zapalił się płomień. — Do diabła, Jack! — roześmiał się. — To nie koniec. Jedno przesłuchanie to jeszcze nie wojna. Jesteśmy asami. Tego nam nie zabiorą, prawda?

— Aha. Chyba nie.

— Lepiej już pójde, a ty niańcz tego kaca — stwierdził i podszedł do okna. — A ja pójde sobie na konstytucyjnie zagwarantowany spacer.

— Do zobaczenia.

Pokazał uniesiony kciuk i przerzucił nogi przez parapet.

— Uważaj na siebie, farmerku.

— Ty też.

Wstałem z łóżka, by zamknąć okno, akurat gdy mżawka zmieniała się w ulewę. Wyrząłem na zewnątrz. Ludzie biegali po ulicach, szukając schronienia.



— Earl naprawdę był komunistą, Jack — przypominała Kim. — Przez całe lata należał do partii, nawet pojechał studiować do Moskwy. Posłuchaj, kochanie — jej ton stał się błagalny — nie zdołasz mu pomóc. Cokolwiek byś zrobił, oni i tak go ukrzyżują.

— Mogę sprawić, że nie będzie na krzyżu sam.

— Świetnie. Po prostu super. Poślubiłam męczennika. Jak sądzisz, w czym pomożesz swoim kolegom, jeśli powołasz się na piątą? Nie przywrócą Holmesa do pracy. David sam się wpakował do pudła, Tachiona deportowali, a Earl i tak jest bez szans. Nie możesz nawet ponieść za nich krzyża.

— Ależ skąd ten sarkazm?

Zaczęła krzyczeć.

— Odstaw tę cholerną butelkę i posłuchaj! Twój kraj cię potrzebuje! To twój obowiązek!

Nie mogłem tego wytrzymać, więc poszedłem na spacer w zimne lutowe popołudnie. Przez cały dzień nic nie jadłem, a wypilem aż butelkę whisky, samochody mijają mnie w pędzie, obryzgując mi twarz, ochlapując moją lekką, kalifornijską kurtkę, a ja nawet tego nie zauważałem. Przez cały czas miałem przed oczyma te twarze, Wood i Rankin, i Francis Case, ich nienawistne gęby i oczy, a w uszach słyszałem ciągły strumień obelg i nagle rzuciłem się biegiem w stronę Kapitolu. Pomyślałem, że wkroczę na posiedzenie komisji i rozwalę to wszystko, rozwalę im łby, sprawię, że będą bełkotać ze strachu. W końcu zaprowadziłem demokrację w Argentynie, na litość boską, równie dobrze mogę ją zaprowadzić w Waszyngtonie.

Okna Kapitolu były ciemne, krople deszczu lśniły zimno na marmurze. Nie było nikogo. Przez chwilę krążyłem wokół, szukając jakiegoś wejścia, aż w końcu rozwalilem boczne drzwi i poszedłem prosto do sali przesłuchań. Szarpnięciem otworzyłem drzwi i wszedłem do środka.

Oczywiście w środku było pusto. Nie wiem, dlaczego tak mnie to zaskoczyło. Kabina Davida skrzyła się w przyćmionym świetle jak drogocenny kryształ. Kamery i sprzęt radiowy były na swoich miejscach. Młotek przewodniczącego błyszczał polerowaną miedzią. Stałem w tej milczącej sali, czując się jak głupek i nagle wyparowała ze mnie cała złość.

Usiadłem na jednym z krzeseł, próbując sobie przypomnieć, co właściwie robię. Było jasne, że los Czwórki Asów jest przypieczętowany. Musieliśmy działać w granicach prawa i ludzkiej przyzwoitości, co komisji wcale nie krępowało. Jedyne sposoby, by z nimi walczyć, to pokonać ich tą samą bronią i wyjść poza granice prawa, zbuntować się na ich oczach i roznieść salę na strzępy, śmiejąc się triumfalnie, patrząc, jak kongresmeni chowają się pod stołami. Gdybyśmy to zrobili, stalibyśmy się właśnie tym, z czym całe życie walczyliśmy — bezprawną siłą w służbie terroru i przemocy. Stalibyśmy się dokładnie tacy, jakimi próbowała przedstawić nas komisja. A to tylko pogorszyłoby sprawę.

Czwórka Asów musiała upaść i nikt nie mógł temu zapobiec.

Schodząc po schodach Kapitolu, czułem się zupełnie trzeźwy. Nieważne, ile wypilem wcześniej, żadna ilość alkoholu nie mogła mi odebrać tej wiedzy, tego obrazu sytuacji w całej swej okropnej, przeraźliwej jasności.

Wiedziałem to już wcześniej, może nawet od początku, i nie mogłem już udawać, że jest inaczej.



Wszedłem do holu następnego dnia rano, wraz z Kim i moim adwokatem. Earl już tam był, Lillian stała obok, ściskając torebkę.

Nie mogłem spojrzeć im w oczy. Minąłem ich, a marines w maskach otworzyli drzwi do sali. Wszedłem do środka i oświadczyłem, że będę zeznawać jako „sprzyjający świadek”.



Komisja opracowała później oficjalne procedury traktowania sprzyjającego świadka. Na początku odbywała się sesja zamknięta, coś w rodzaju próby kostiumowej, żeby wszyscy wiedzieli, o czym będą mówić i jakie informacje się pojawią, żeby później podczas sesji publicznej nie było żadnych zgrzytów. Gdy ja zeznawałem, procedur jeszcze nie było, więc poszło trochę niezręcznie.

Pociłem się w świetle reflektorów i byłem tak przerażony, że ledwie mogłem mówić. Widziałem tylko te dziewięć par małych, złośliwych oczek wpatrzonych we mnie z drugiego krańca sali i słyszałem ich głosy, huczące na mnie z głośników niczym głos samego Boga.

Na początku Wood zadał mi kilka podstawowych pytań: kim jestem, gdzie mieszkam, jak zarabiam na życie, a w końcu przeszedł do moich kontaktów, zaczynając od Earla. Potem skończył mu się czas, więc przekazał pałeczkę Kearneyowi.

— Czy zdaje pan sobie sprawę, że pan Sanderson był kiedyś członkiem Partii Komunistycznej?

Nie dosłyszałem pytania i musiał je powtórzyć.

— Hm? Ach, tak. Wspominał o tym.

— Czy wie pan coś o tym, jakoby nadal był jej członkiem?

— Wydaje mi się, że odszedł po tamtym pakcie Sowietów z nazistami.

— W 1939 roku?

— Jeśli wtedy go podpisali, to tak, w trzydziestym dziewiątym. — Nagle straciłem wszystkie zdolności aktorskie. Nerwowo szarpałem krawat, bełkotałem do mikrofonu i strasznie się pociłem. Próbowałem nie patrzeć w te dziewięć par oczu.

— Czy wiadomo panu o jakichkolwiek powiązaniach pana Sandersona z ruchem komunistycznym, które miałyby miejsce po podpisaniu paktu Ribbentrop–Mołotow?

— Nie.

Wtedy przeszli do rzeczy.

— Czy wspominał nazwiska jakichś działaczy grup komunistycznych lub sympatyzujących z tym ruchem?

Powiedziałem pierwszą rzecz, jaka przyszła mi do głowy. Nawet się nad tym nie zastanowiłem.

— Była jakaś kobieta, we Włoszech. Poznali się w czasie wojny. Nazywała się Lena Goldoni. Teraz jest aktorką.

Dziewięć par oczu nawet nie mrugnęło. Ale na twarze wypęły triumfalne uśmiešky. Kątem

oka zobaczyłem, że dziennikarze skwapliwie pochylają się nad notesikami.

— Czy mógłby pan przeliterować to nazwisko?



A zatem to był gwóźdź do trumny Earla. Cokolwiek się wcześniej stało, zawsze można było powiedzieć, że przynajmniej dochował wierności swoim przekonaniom. Zdrada małżeńska sugerowała, że mógł zdradzić także w innych sprawach, być może nawet wagi państwowej. Zniszczyłem go tym jednym zdaniem i nawet nie zdawałem sobie sprawy, co robię.

Paplałem dalej. Pchany desperacją, byle tylko mieć to za sobą, plotłem, co tylko mi ślina na język przyniosła. Powtarzałem, że bardzo kocham swój kraj i że wsparłem Henry'ego Wallace'a tylko przez grzeczność wobec pana Holmesa i teraz rozumiem, że było to nierozsądne. Nie chciałem zmieniać południowych tradycji, południowe tradycje są piękne. Widziałem *Przeminęło z wiatrem*, i to aż dwa razy. To wspaniały film. Pani Bethune była koleżanką Earla, i to on namówił mnie, żebym się z nią sfotografował. Velde przejął pałeczkę.

— Czy zna pan nazwiska tak zwanych asów, którzy mogą obecnie działać na terenie naszego kraju?

— Nie. To znaczy żadnych prócz tych, którzy zostali już wezwani przez komisję.

— Czy pan Earl Sanderson może znać ich nazwiska?

— Nie sądzę.

— Nie wspominał o tym w rozmowach z panem?

Napiłem się wody. Ile razy można powtarzać to samo.

— Jeśli zna nazwiska innych asów, to nie wymienił ich w mojej obecności.

— Czy pan Harstein może znać ich nazwiska?

I tak dalej, i tak dalej.

— Nie.

— Czy doktor Tachion może znać ich nazwiska?

Przerabiali to wszystko wcześniej, ja miałem tylko potwierdzić to, co już wiedzieli.

— Leczył wiele osób zakażonych wirusem, zakładam, że zna ich nazwiska. Ale nigdy mi ich nie podał.

— Czy pani van Renssaeler może znać nazwiska innych asów?

Potrząsnąłem głową, ale wtedy coś mnie tknęło i zająknąłem się w pół zdania.

— Nie... sama z siebie na pewno nie.

Velde napierał dalej.

— Czy pan Holmes może... — Ale Nixon wyczuł jakąś zmianę w moim głosie i spytał Velde'a, czy może mu przerwać. Ten człowiek był naprawdę bystry. Jego młoda twarz z wydatnymi policzkami, jak u chomika, spojrzała na mnie wyczekująco ponad mikrofonem.

— Czy mogę prosić świadka, by doprecyzował tę wypowiedź?

Byłem przerażony. Znów napiłem się wody, próbując znaleźć jakąś drogę ucieczki. Nie zdołałem. Poprosiłem Nixona, by powtórzył pytanie, i odpowiedziałem, zanim skończył.

— Pani van Renssaeler wchłonęła umysł doktora Tachiona. Zna te same nazwiska co on.

Najdziwniejsze było to, że komisja aż do tej chwili nie domyślała się, co łączy tych dwoje. Musiał im to wyjaśnić tępy osiłek z Dakoty.

Powinienem był natychmiast po wyjściu wziąć pistolet i zastrzelić Blythe. Poszłoby znacznie szybciej.



Pod koniec John Wood podziękował mi za zeznania. Jeśli przewodniczący HUAC mówił „dziękuję”, oznaczało to tyle, że nic do ciebie nie mają, i odtąd ludzie mogą z tobą rozmawiać, nie obawiając się o własne życie. Oznaczało to, że możesz dostać pracę w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej.

Wyszedłem z sali przesłuchań wraz z Kim i moim adwokatem. Nie spojrziałem kolegom w oczy. Za niecałą godzinę siedziałem już w samolocie z powrotem do Kalifornii.

Dom na Summit pełen był bukietów i listów od znajomych z branży filmowej. Z całego kraju nadeszły telegramy gratulujące mi odwagi i patriotycznego zaangażowania. Legion Amerykański był w nich silnie reprezentowany.

Tymczasem w Waszyngtonie Earl powoływał się na piątą poprawkę.



Mylił się — nie wypuścili go, gdy odmówił odpowiedzi na pierwsze pytanie. Zadawali mu kolejne, jedno bardziej obraźliwe od drugiego, a on na każde odpowiadał piątą poprawką. Czy jest pan komunistą? Piąta poprawka. Czy jest pan agentem Sowietów? Piąta poprawka. Czy ma pan powiązania z sowieckimi szpiegami? Piąta poprawka. Czy zna pan Lenę Goldoni? Piąta poprawka. Czy Lena Goldoni była pańską kochanką? Piąta poprawka. Czy Lena Goldoni była sowiecką agentką? Piąta poprawka.

Lillian siedziała na krześle tuż za nim, ściskając torebkę, słuchając, jak komisja raz za razem wymienia imię Leny.

Earl w końcu miał dość. Pochylił się z twarzą ściągniętą złością.

— Mam lepsze rzeczy do roboty niż siedzieć tu i składać samokrytykę przed bandą faszystów! — warknął, a wtedy uznano, że najwyraźniej zrezygnował z odmowy zeznań, bo odezwał się nieproszony i znów zadali mu te same pytania. Gdy, drżąc z wściekłości, odpowiedział, że po prostu parafrazował treść piątej poprawki i nie zamierza odpowiedzieć na żadne pytanie, oskarżyli go o obrazę Kongresu.

Teraz miał trafić do więzienia, śladem Davida i pana Holmesa.

Aktywiści NAACP przyszli do niego wieczorem i powiedzieli, żeby odciął się od ruchu na rzecz równych praw obywatelskich. Przez niego sytuacja cofnęła się do stanu sprzed pięćdziesięciu lat. Na przyszłość miał się nie mieszać do ich spraw.

Idol runął. Earl kreował się na supermana, na bohatera bez skazy, a gdy wymieniłem imię Leny, opinia publiczna nagle zdała sobie sprawę, że Earl Sanderson też jest człowiekiem. Obwinili go za wszystko, za własną naiwność i za tę nagłą utratę wiary. W dawnych czasach mogliby go ukamienować albo powiesić na gałęzi jabłoni, ale tym razem zrobili coś gorszego.

Pozwolili mu żyć.

Earl wiedział, że jest skończony, że wręczył swoim wrogom broń, którą mogli zniszczyć jego i wszystkie jego wysiłki, że zniszczył heroiczny wizerunek, nad którym tak długo pracował, że zawiódł wszystkich, którzy w niego wierzyli... Miał zabrać tę świadomość do grobu i to go kompletnie sparaliżowało. Wciąż był młody, ale okaleczony, i już nigdy w życiu nie poleciał tak

wysoko ani tak daleko.

Następnego dnia HUAC wezwała Blythe. Nie chcę nawet myśleć, co się tam działo.



Złoty chłopiec wszedł do kin dwa miesiące po przesłuchaniu. Siedziałem na premierze w pierwszym rzędzie koło Kim i gdy tylko poleciały pierwsze sceny, zrozumiałem, że stało się coś bardzo złego.

Postać Earla zniknęła, kompletnie wycięta z filmu. Bohater wzorowany na Archibaldzie Holmesie nie był agentem FBI, ale nie był też niezależny, należał do nowej organizacji CIA. Ktoś nakręcił dużo nowych ujęć. Faszystowski reżim w Ameryce Południowej został zmieniony na „komunistyczny reżim w Europie Wschodniej”, odgrywany przez grupę śniadych ludzi mówiących z hiszpańskim akcentem. Za każdym razem, gdy ktoś mówił „faszysta”, w dubbingu rozlegało się „komuch”. Dubbing był głośny, źle zrobiony i nieprzekonujący.

Poszedłem na bankiet kompletnie oszołomiony. Wszyscy powtarzali, że jestem świetnym aktorem i że zrobiliśmy znakomity film. Na plakacie filmowym umieszczono hasło: *Jack Braun — bohater, któremu Ameryka może zaufać!* Zrobiło mi się niedobrze.

Wyszedłem jak najszybciej i położyłem się od razu spać.

Nadal zarabiałem dziesięć kawałków tygodniowo, a *Złoty chłopiec* okazał się hitem. W wytwórni powiedzieli mi, że *Historia Rickenbackera* też zapowiada się na kasowy przebój, ale mają problem ze scenariuszem do następnego filmu. Pierwsi dwaj scenarzyści zostali wezwani przed komisję i wylądowali na czarnej liście, bo nie podali żadnych nazwisk. Miałem ochotę się rozpłakać.

Gdy skończyły się apelacje Dziesięciu, wezwano kolejnego aktora — Larry'ego Parksa, którego oglądałem, gdy wirus zaatakował Nowy Jork. Podał nazwiska, ale zrobił to dopiero pod przymusem, i musiał pożegnać się ze swoją pracą.

Cokolwiek zrobiłem, nie mogłem uciec od tej sprawy. Zdarzało się, że ludzie nie chcieli ze mną rozmawiać na bankietach. Czasem słyszałem strzępy rozmów: „sprzedajny as”, „złoty szcurek”. Albo najczęściej: „sprzyjający świadek”, używano tego jak imienia lub tytułu.

Na pocieszenie kupiłem sobie jaguara.

Tymczasem północni Koreańczycy przekroczyli trzydziesty ósmy równoleżnik i rozbili amerykańskie wojska stacjonujące w Daejeonie. Nie miałem nic do roboty prócz lekcji gry aktorskiej kilka razy w tygodniu.

Zadzwoiłem bezpośrednio do Waszyngtonu. Nadali mi stopień podpułkownika i wysłali mnie do Korei specjalnym samolotem.

Wytwórnia uznała, że to świetnie wpłynie na mój wizerunek.

Przydzielili mi specjalny helikopter, jeden z tych wczesnych modeli bellów, i pilota z bagien Luizjany, który zdecydowanie przejawiał skłonności samobójcze. Na burcie wymalowano graffiti z moją podobizną, z podkuloną nogą i wyciągniętą ręką, jakby był lecącym Supermanem.

Wychodziłem z helikoptera na tyłach wroga i tam spuszczałem mu łomot. Wszystko było bardzo proste.

Rozwalałem całe kolumny czołgów. Wszystkie działa namierzone przez nasze wojska zmieniłem w precelki. Wziąłem do niewoli czterech północnokoreańskich generałów i uratowałem z rąk Koreańczyków generała Deana. Spychałem ze zboczy całe konwoje

zaopatrzeniowe. Byłem ponury, zacięty i zdeterminowany. Ratowałem Amerykanom życie i byłem w tym dobry.

Znów pojawiłem się na okładce „Life”. Stoję wyprostowany, uśmiechając się zaciśniętymi wargami, jak Clint Eastwood, trzymając nad głową T-34. Z wieżyczki wygląda bardzo zaskoczony północny Koreańczyk. Lśnię jak meteor. Zdjęcie podpisano „Gwiazdor Pusanu”. Słowo „gwiazdor” pojawiło się dopiero niedawno.

Byłem bardzo dumny ze swojej pracy.

Tymczasem *Historia Rickenbackera* weszła na ekrany w Stanach. Nie okazał się tak wielkim hitem, jak oczekiwano, ale zarobił sporo pieniędzy. Publiczność zareagowała trochę ambiwalentnie. Pomimo tej okładki w „Life” niektórzy wciąż nie mogli zobaczyć we mnie bohatera.

Metro powtórnie wypuściło *Złotego chłopca*. Tym razem zrobił klapę.

Nie przejąłem się tym specjalnie. W pojedynkę utrzymywałem Strefę Pusanu. Ramię w ramię z żołnierzami, ciągle pod ostrzałem, spałem w namiocie, jadłem konserwy prosto z puszek i wyglądałem jak postać z komiksu Billa Mauldina. Myślę, że było to dość nietypowe zachowanie jak na podpułkownika. Pozostali oficerowie serdecznie mnie nienawidzili, ale generał Dean mnie wspierał — w pewnym momencie sam zaczął strzelać do czołgów z bazooki — a szeregowi żołnierze po prostu mnie uwielbiali.

Zawieźli mnie na Wake Island, żeby Truman mógł osobiście przyznać mi Medal Honoru. MacArthur przyleciał tym samym samolotem. Cały czas sprawiał wrażenie bardzo zajętego i nie zamienił ze mną ani słowa. Wyglądał strasznie staro, jakby ledwie trzymał się na nogach, i chyba mnie nie lubił.

Tydzień później wyrwaliśmy się z Pusanu, a MacArthur wylądował z Dziesiątym Korpusem w Inchon. Północni Koreańczycy podali tyły.

Pięć dni później byłem znowu w Kalifornii. Dowództwo w krótkich żołnierskich słowach oznajmiło mi, że moje usługi nie są już potrzebne. Byłem prawie pewien, że to sprawa MacArthura. Sam chciał zostać gwiazdorem wojny w Korei i nie zamierzał się dzielić sławą. Poza tym mieli pewnie do dyspozycji innych asów — grzecznych, cichych i anonimowych.

Nie chciałem odejść. Przez jakiś czas, zwłaszcza gdy MacArthur został rozjechany przez Chińczyków, regularnie dzwoniłem do Waszyngtonu, podsuwając nowe pomysły. Mógłbym zaatakować te lotniska w Mandżurii, przez które mieliśmy tyle kłopotu. Albo mógłbym poprowadzić szturm. Władze odpowiadały bardzo grzecznie, ale widać było, że chcą mnie spławić.

Za to odezwało się do mnie CIA. Po bitwie pod Dien Bien Phu postanowili wysłać mnie do Indochin, żeby pozbyć się Bao Dai. Plan był zupełnie wariacki — nie mieli pojęcia, kogo chcieliby umieścić na jego miejscu, oczekiwali, że „miejscowy ruch antykomunistyczny” ujawni się i przejmie przywództwo. Facet, który dowodził tą operacją, co chwila wpadał w żargon z Madison Avenue, by ukryć fakt, że nie wie nic ani o Wietnamie, ani o tych działaczach, z którymi rzekomo chciał współpracować.

Odmówiłem. Potem moje kontakty z rządem federalnym ograniczyły się do płacenia podatków raz do roku w kwietniu.



Gdy byłem w Korei, apelacje Dziesięciu dobiegły końca. David i pan Holmes wylądowali w więzieniu. David odsiedział trzy lata, pan Holmes tylko sześć miesięcy, potem zwolniono go z powodu złego stanu zdrowia. Wszyscy wiedzą, co się stało z Blythe.

Earl poleciał do Europy i ujawnił się w Szwajcarii, gdzie rzekł się amerykańskiego obywatelstwa i został obywatelem świata. Miesiąc później zamieszkał z Orloną Goldoni w jej apartamencie w Paryżu. Wtedy była już naprawdę wielką gwiazdą. Najwyraźniej uznał, że skoro nie muszą już ukrywać swojego związku, to równie dobrze mogą się z nim obnosić.

Lillian została w Nowym Jorku. Nie wiem, czy Earl przysyłał jej pieniądze.



Perón ze swoją tlenioną laleczką wrócił do Argentyny w 1950 roku. Strach ruszył na południe.

Wciąż występowałem w filmach, ale żaden z nich nie odniósł spodziewanego sukcesu. Metro przebąkiwało coś o „problemach wizerunkowych”.

Ludzie nie wierzyli, że naprawdę jestem bohaterem. Sam w to nie wierzyłem, co pewnie odbijało się na mojej grze. W *Historii Rickenbackera* grałem z przekonaniem. Potem już go nie odzyskałem.

Kim miała teraz własną karierę i prawie jej nie widywałem. Jej detektyw zrobił mi w końcu zdjęcie, jak leżę w łóżku z jej makijażystką, a wtedy Kim dostała dom na Summit Drive, wraz z pokojówkami, ogrodnikiem i szoferem, i większość moich oszczędności. Zostałem sam w małym domku na plaży w Malibu z jaguarem w garażu. Wyprawiałem imprezy, które czasami trwały tygodniami.

Potem ożeniłem się jeszcze dwa razy — najdłuższe z tych małżeństw trwało osiem miesięcy i kosztowało mnie resztę majątku. Filmy robiły się coraz gorsze. Nakręciłem ten sam western chyba ze sześć razy.

W końcu sięgnąłem dna. Moja kariera filmowa była skończona i zostałem bez grosza. Poszedłem do NBC sprzedać im pomysł na serial.

„Tarzan wśród małp” ciągnął się przez cztery lata. Byłem producentem, a moja gra aktorska oscylowała na poziomie pomiędzy szympansem a bananem. Byłem pierwszym i jedynym blond Tarzanem w historii. Serial ustawił mnie na całe lata.

Potem zrobiłem to, co każdy były hollywoodzki aktor — poszedłem w nieruchomości. Przez chwilę sprzedawałem domy aktorów w Kalifornii, potem założyłem firmę i zacząłem budować apartamentowce i centra handlowe. Zawsze za pieniądze kogoś innego. Nie zamierzałem znów ryzykować bankructwa. Wybudowałem sklepy w połowie małych miasteczek na Środkowym Zachodzie.

Zbiłem na tym fortunę. Nawet gdy miałem już dość pieniędzy, nadal zarabiałem. Nie miałem nic innego do roboty.

Gdy Nixon wygrał wybory prezydenckie, zrobiło mi się niedobrze. Nie rozumiałem, jak ludzie mogą głosować na tego drania.

Po wyjściu z więzienia pan Holmes zaczął pracować jako redaktor dla „New Republic”. Zmarł w pięćdziesiątym piątym na raka płuc. Jego córka odziedziczyła wszystkie pieniądze. Podejrzewam, że moje stare ubrania nadal wisiały u niego w szafie.

Dwa tygodnie po ucieczce Earla Paul Robeson i W.E.B. Du Bois zapisali się do Partii

Komunistycznej i odebrali legitymacje podczas publicznej ceremonii na Herald Square. Powiedzieli, że protestują przeciwko skandalicznemu potraktowaniu Earla przez komisję.

HUAC wezwała na przesłuchanie wielu czarnoskórych. Nawet Jackie Robinson pojawił się, by zeznawać jako sprzyjający świadek. W przeciwieństwie do białych oni nie musieli podawać żadnych nazwisk. HUAC nie chciała kreować kolejnych czarnych męczenników. Proszono świadków tylko o to, by odcięli się od poglądów Sandersona, Robesona i Du Boisa. Większość się zgadzała.

Przez kolejne dziesięć lat trudno było wyczuć, co porabia Earl. Mieszkał z Leną Goldoni w Paryżu albo w Rzymie. Goldoni była wielką gwiazdą, bardzo aktywną politycznie, ale Earl siedział cicho.

Nie sądzę, by próbował się chować. Raczej nie chciał się rzucać w oczy. To duża różnica.

Ale krążyły różne pogłoski. Że widziano go w Afryce podczas różnych wojen o niepodległość. Że walczył w Algierii przeciw Francuzom i Organizacji Tajnej Armii. Gdy go o to pytano, Earl ani nie potwierdzał, ani nie zaprzeczał. Chyba, podobnie jak ja, nie chciał, by go znów wykorzystano, a jednocześnie nie chciał wyrządzić nikomu szkody samym powiązaniem z jego osobą.

W końcu, zgodnie z przewidywaniami Earla, rządy terroru dobiegły końca. Gdy ja huśtałem się na lianach jako blondwłosy Tarzan, John i Robert Kennedy uwalili czarną listę, przedzierając się przez pikietę Legionu Amerykańskiego, by obejrzeć *Spartakusa*, film, do którego scenariusz napisał jeden z Dziesięciu.

Asowie zaczęli wychodzić z ukrycia i pojawiać się w życiu publicznym. Ale teraz nosili maski i używali dziwnych pseudonimów, zupełnie jak w tych komiksach, które czytałem w wojsku i myślałem, że są strasznie idiotyczne. Ale tym razem było inaczej. Ludzie nie chcieli ryzykować. Strach mógł powrócić lada chwila.

Napisano o nas książki. Czasem zadawano mi publicznie jakieś pytania, a wtedy po prostu spoglądałem zimno i odpowiadałem: „Na tym etapie nie chcę o tym rozmawiać”. Moja własna piąta poprawka.

W latach sześćdziesiątych, gdy ruch na rzecz równych praw obywatelskich wybuchł z całą siłą, Earl przyleciał do Toronto i przyczaił się na granicy. Spotkał się z przywódcami ruchu czarnoskórych i z dziennikarzami, ale mówił tylko o prawach obywatelskich.

Jednak sam nie odgrywał już w tym czasie większej roli. Nowe pokolenie przywódców odwoływało się do jego dorobku i cytowało jego przemówienia, Czarne Pantery naśladowały jego sposób ubierania — skórzane kurtki, wojskowe buty i berety — ale jego ciągła obecność, jako człowieka, nie jako symbolu, była dla nich trochę niewygodna. Ruch emancypacyjny wolałby martwego męczennika, którego dałoby się wykorzystać w dowolny sposób, nie żywego, pełnego pasji człowieka, który sam wypowiadał się głośno i wyraźnie.

Może wyczuł to, gdy poproszono go o przylot na południe. Urząd imigracyjny pewnie by się na to zgodził. Ale wahał się zbyt długo, a tymczasem Nixon został prezydentem. Earl nie mógł wjechać do kraju rządzonego przez byłego członka HUAC.

Pod koniec lat sześćdziesiątych Earl na stałe wprowadził się do mieszkania Leny w Paryżu. Odszczepieńcy Czarnych Panter w rodzaju Cleavera próbowali z nim współpracować, ale bezskutecznie.

Lena zginęła w 1975 roku w katastrofie kolejowej. Zapisała Earlowi swój majątek.

Czasem udzielał wywiadów. Czytałem wszystkie, które udało mi się namierzyć. Według jednego z dziennikarzy Earl zgodził się na wywiad tylko pod warunkiem, że nie będą go pytać o mnie. Może uważał, że pewne wspomnienia powinny umrzeć śmiercią naturalną. Miałem ochotę mu podziękować.

Istnieje pewna historia, niemal legenda, rozprowadzana przez uczestników marszu do Selmy w 1965 roku, podczas walki o prawo głosu. Mówiono, że gdy policjanci natarli na protestujących, uzbrojeni w pałki, psy i miotacze gazu i protest zaczął się łamać pod naporem białych funkcjonariuszy, niektórzy z maszerujących przysięgali, że spojrzeli wtedy w niebo i zobaczyli samotną postać — czarną sylwetkę lotnika w kurtce i kasku. Ale był tam tylko przez chwilę, a potem zniknął, nie wiedząc, czy jego pomoc nie obróciłaby się potem przeciwko demonstrantom. Magia superherosa nie powróciła, nawet w tak ważnym momencie, a potem nie czekało go już w życiu nic prócz krzesła w kawiarni, fajki, gazety i tętniaka w mózgu, który w końcu zabrał go wyżej w niebo niż kiedykolwiek przedtem.



Czasem zastanawiam się, czy jest już po wszystkim, czy ludzie rzeczywiście o nas zapomnieli. Ale asowie są teraz częścią codziennego życia, a cały świat rośnie wychowany na ich mitologii, na historii Czwórki Asów i ich zdrajcy. Wszyscy znają Asa Judasza i wiedzą, jak wygląda.

Kiedyś, w bardziej optymistycznym nastroju, wybrałem się służbowo do Nowego Jorku. Poszedłem do „Wieży Asów”, restauracji w Empire State Building, w której zbierała się nowa śmietanka dzikich kart. W drzwiach powitał mnie Hiram — działał pod pseudonimem „Grubas”, póki nie odkryto jego tożsamości. Od razu wiedziałem, że mnie rozpoznał i że popełniam wielki błąd.

Potraktował mnie z profesjonalną grzecznością, chociaż widać było, że ten uśmiech kosztuje go dużo wysiłku. Posadził mnie przy stoliku w kącie, słabo widocznym z sali. Zamówiłem drinka i stek z łososia.

Gdy w końcu dostałem talerz, stek był otoczony wianuszkiem dziesięciocentówek. Policzyłem. Trzydzieści srebrników.

Wstałem i wyszedłem, czując na plecach wzrok Hirma. Nigdy tam nie wróciłem.

Nie mam do niego żalu.



Gdy kręciłem Tarzana, ludzie mówili, że „dobrze się trzymam”. Gdy handlowałem nieruchomościami, wszyscy powtarzali, że praca mi służy, bo tak młodo wyglądam.

Gdybym spojrział teraz w lustro, zobaczyłbym tego samego faceta, który przemykał się ulicami Nowego Jorku, chodząc na przesłuchania do teatrów. Przez wszystkie te lata nie dorobiłem się ani jednej zmarszczki, nie zmieniłem się fizycznie. Mam pięćdziesiąt pięć lat, a wyglądam na dwadzieścia dwa. Może nigdy się nie zestarzeję.

Wciąż czuję się jak szczur. Ale w końcu zrobiłem tylko to, czego żądał ode mnie mój kraj.

Może już do końca życia będę Asem Judaszem.

Czasem mam ochotę znów zostać asem, włożyć maskę i kostium, tak by nikt mnie nie rozpoznał. Przedstawiłbym się jako Pan Siłacz albo Plażowy Ratownik, albo Blond Olbrzym.

Mógłbym znów wkroczyć do akcji i ocalić świat, a przynajmniej jego małą część.

Ale potem myślę sobie: nie. Miałem swoje pięć minut, a teraz jest już po wszystkim. W gruncie rzeczy nie potrafiłem ocalić nawet własnej uczciwości. Ani Earla. Ani nikogo innego.

Powinienem być zabrać te dziesiątki. W końcu zasłużyłem na nie.



Procedura łamania

MELINDA M. SNODGRASS

Niesiona podmuchem strona gazety przetoczyła się poprzez wynędzniały trawnik w małym parku w Neuilly, aż w końcu oparła się o brązowy posąg admirała D'Estainga. Przez chwilę trzepotała nerwowo jak wyczerpane zwierzę, z trudem łapiące oddech, a potem lodowaty grudniowy wiatr znów chwycił ją w szpony i cisnął gdzieś dalej.

Mężczyzna skulony na żelaznej ławce pośrodku parku spojrzął na nadlatującą gazetę z miną człowieka stojącego przed kluczową decyzją. Potem powoli, ostrożnym ruchem długoletniego pijaka, wyciągnął stopę i chwycił stronicę.

Gdy pochylał się, by sięgnąć po wymięty papier, z butelki, którą trzymał między nogami, poląła się struga czerwonego wina. Mężczyzna bluznął potokiem przekleństw w kilku europejskich językach, od czasu do czasu przerywanych obcym, śpiewnym słowem. Zakręcił butelkę i wytarł plamę wielką, fioletową chustką, po czym rozprostował gazetę — paryskie wydanie „Herald Tribune” i zaczął czytać. Jego bladofioletowe oczy przeskakiwały z łamu na łam.

J. Robert Oppenheimer został oskarżony o komunistyczne sympatie, grożą mu też zarzuty zdrady stanu. Źródła powiązane z Komisją Energii Atomowej potwierdzają, że podjęto kroki dążące do odebrania mu klauzuli bezpieczeństwa i pozbawienia go stanowiska przewodniczącego komisji.

Mężczyzna konwulsyjnym ruchem zmiął gazetę, oparł się o ławkę i zamknął oczy.

— Niech ich szlag. Niech szlag trafi ich wszystkich! — szepnął po angielsku.

Jakby w odpowiedzi, jego żołądek zaburczał głośno. Zmarszczył brwi i pociągnął długi łyk taniego wina. Kwaśny trunek spłynął po języku i eksplodował ciepłem w pustym brzuchu. Burczenie ustało, a mężczyzna westchnął.

Na ramiona zarzucił obszerny płaszcz w kolorze bladobrzoskwiniowym, ozdobiony wielkimi mosiężnymi guzikami. Okrył się nim, jakby to była peleryna. Pod spodem widać było błękitną marynarkę i obcisłe niebieskie spodnie wpuszczone w wysokie skórzane buty. Kamizelka była ciemniejsza niż spodnie i marynarka, haftowana w skomplikowane wzory złotą i srebrną nicią. Wszystkie jego ubrania wyglądały na pogniecione i poplamione, biała, jedwabna koszula była połatana. Obok na ławce leżały skrzypce i smyczek, a futerał (demonstracyjnie otwarty) stał u jego stóp na ziemi. Pod ławkę wciśnięto podniszczoną walizkę i czerwoną torbę na ramię z wygrawerowanym złotym liściem, dwoma księżycami i gwiazdą otaczającymi smukły skalpel.

Wiatr znów zadął, szarpiąc gałęziami drzewa i rozwiewając zmierzwioną czuprynę bezdomnego. Jego włosy i brwi były metalicznie rude, a zarost okrywający podbródek i policzki miał identyczny odcień. Stronica gazety zatrzepotała mu w rękach, a wtedy mężczyzna otworzył oczy. Ciekawość zwyciężyła z wściekłością i zaczął czytać dalej.

ŚMIERĆ LOKATY

Blythe van Renssaeler, znana pod pseudonimem „Lokata”, zmarła wczoraj w sanatorium Wittier. Członkini niestawnej grupy „Czwórka Asów” została zapisana do sanatorium przez swego męża Henry'ego van Renssaelera niedługo po przesłuchaniu przez Komisję ds. Działalności Antyamerykańskiej...

Litery rozmyły mu się przed oczami. Łzy zbierały się powoli, aż w końcu jedna kropla spłynęła mu po długim, wąskim nosie. Przez chwilę wisiała zabawnie na koniuszku, ale mężczyzna nawet nie próbował jej otrzeć. Siedział jak sparaliżowany, pogrążony w straszliwym zastoju, który nie miał nic wspólnego z bólem. To miało nadejść dopiero później, teraz była tylko pustka.

Powinienem był wiedzieć, wyczuć — pomyślał. Położył gazetę na kolanie i lekko pogładził artykuł smukłym palcem, niczym człowiek pieszczący policzek kochanki. Odruchowo zauważył, że w gazecie piszą też coś o Chinach, Archibaldzie Holmesie, Czwórce Asów i o wirusie.

I wszystko to bzdury — pomyślał ze złością, a dłoń znów zacisnęła się na gazecie.

Szybko ją rozprostował i znów pogładził artykuł o Blythe. Zastanawiał się, czy za bardzo nie cierpiała. Czy wypuścili ją z tej brudnej klatki i zabrali do szpitala...



Pokój śmierdzał potem, strachem i odchodami. W powietrzu unosił się słodkawy odór rozkładu i ostry smród środków dezynfekujących. Większość potu i strachu wydzielala trójka młodych pensjonariuszy skulonych jak owce pośrodku sali. Przy południowej ścianie ustawiono parawan osłaniający łóżko, który w żaden sposób nie tłumił nieludzkich pomruków dobiegających zza tej cienkiej bariery.

Kobieta w średnim wieku pochylona nad brewiarzem czytała treść nabożeństwa na nieszpory. Z jej palców zwisał perłowy różaniec, na stronice książki co jakiś czas spadały krople krwi. Za każdym razem odmawiała krótką modlitwę i szybko wycierała krew. Gdyby jej ciągłe krwawienie ograniczało się do stygmatów, pewnie została kanonizowana, ale ona krwawiła ze wszystkich otworów ciała. Krew spływała z uszu, zlepiając włosy, plamiąc ramiona i szpitalną koszulę, kapała z nosa, oczu, odbytu... zewsząd. Jakiś lekarz nadał jej przezwisko Siostra Krwawa Mary, a wesołość personelu, jaką tym wywołał, można było wytłumaczyć tylko śmiertelnym zmęczeniem. Każdy lekarz na Manhattanie pracował prawie non stop od Dnia Dzikiej Karty, 15 września 1946 roku, i pięć miesięcy ciągłej pracy zaczynało zbierać żniwo.

Obok leżał czarnoskóry mężczyzna, prawdopodobnie niegdyś przystojny, zanurzony w solance. Przed dwoma dniami znów zaczął zrzucać skórę, aż zostały z niej tylko strzępy. Mięśnie błyszczały czerwienią, odsłonięte i zainfekowane. Tachion kazał go leczyć jak ofiarę poparzeń. Pacjent przeżył już jedną wylinkę, ale podejrzewano, że kolejna go zabije.

Tachion poprowadził ponurą procesję lekarzy w stronę łóżka za parawanem.

— Dołączycie do nas, panowie? — spytał miękkiem, głębokim głosem z lekkim zaśpiewem, przywodzącym na myśl Europę Środkową lub Skandynawię. Personel zbliżył się niechętnie.

Pielęgniarka obojętnie odsunęła parawan, odsłaniając starego, wychudzonego mężczyznę. Pacjent spoglądał na nich desperacko, z jego ust dobiegały ohydne, stłumione dźwięki.

— Interesujący przypadek — stwierdził doktor Mandel, unosząc kartę choroby. — Z jakiegoś powodu wirus powoduje zarastanie wszystkich otworów w jego ciele. Już za kilka dni

nie będzie w stanie wciągnąć powietrza do płuc, uniemożliwiona zostanie też praca serca.

— A zatem czemu nie możemy tego skrócić? — spytał Tachion, ujmując ręką dłoń pacjenta, który ścisnął ją, jakby na potwierdzenie.

— Co pan sugeruje? — doktor Mandel zniżył głos do ostrzegawczego syku.

— Nie możemy mu pomóc. — Tachion wymówił każde słowo głośno i wyraźnie. — Czy nie byłoby lepiej oszczędzić mu tej okrutnej śmierci?

— Nie wiem, co w pańskim świecie uchodzi za medycynę. A może trochę się domyślam, sądząc po działaniu tego piekielnego wirusa, ale tutaj nie mamy zwyczaju mordować swoich pacjentów.

Tachion poczuł, że szczęki zaciskają mu się z wściekłości.

— Dobijacie chore psy albo koty, ale ludziom odmawiacie jedynego leku, który na zawsze złagodziłby ich cierpienia, i skazujecie ich na straszliwą śmierć. Och... Niech was szlag trafi!

Rozpiął biały kitel, odsłaniając barokowy kostium lśniący złotym brokatem, i usiadł na brzegu łóżka. Mężczyzna desperacko wyciągnął dłonie, a Tachion ujął je mocno. Z łatwością wkroczył do jego umysłu.

Pozwól mi umrzeć — błagał tamten, a jego myśli pełne były strachu i bólu, ale pobrzmiwała w nich spokojna pewność.

Nie mogę. Nie pozwolą mi na to, ale mogę ci dać sny. Zadziałał szybko, blokując ośrodki bólu i logicznego myślenia. Zwizualizował sobie mur z błyszczących, srebrzystobiałych bloków mocy. Doładował ośrodki przyjemności, pozwalając, by chory pogrzyżył się we własnych marzeniach. Cała konstrukcja była czysto prowizoryczna, miała przetrwać zaledwie kilka dni, ale wiedział, że to wystarczy — do tego czasu dzoker umrze.

Wstał i spojrzął w spokojną twarz śpiącego.

— Co pan zrobił?! — spytał ostro doktor Mandel. Tachion zmierzył go władcym wzrokiem.

— Takizjańska magia piekielna.

Skinął głową pozostałym i wyszedł z sali. Na korytarzu pod ścianami także stały łóżka, a sanitariusze przeciskali się pomiędzy nimi ostrożnie. Shirley Dashette przyzwała go gestem do stanowiska pielęgniarek. Kiedyś spędzili kilka przyjemnych wieczorów, badając różnice i podobieństwo pomiędzy ludzkim i takizjańskim aktem miłosnym, ale dzisiaj zdobył się tylko na uśmiech. Ten brak fizycznej reakcji zupełnie go zaskoczył. Może powinien odpocząć.

— Tak?

— Doktor Bonners chce z panem porozmawiać. Pacjentka jest w szoku i czasem wpada w histerię, ale fizycznie nic jej nie dolega. Doktor uznał, że to może...

— ...że to jedna z moich — dokończył. *O Boże, spraw, żeby to nie był kolejny dzoker* — jęknął w duchu. *Nie zniosę kolejnej potworności.* — Gdzie ona jest?

— W sali 223.

Poczuł, że dreszcz wyczerpania szarpie mu mięśnie, liże zakończenia nerwowe. A tuż za wyczerpaniem nadeszła rozpacz i żal nad sobą. Zaklął pod nosem i walnął pięścią w blat. Shirley odskoczyła.

— Tach? Co się dzieje? — Położyła mu chłodną dłoń na policzku.

— Nic. Już idę. — Zmusił się, by wyprostować plecy i energicznym krokiem ruszył w głąb korytarza.

Gdy otworzył drzwi, Bonners rozmawiał właśnie z innym lekarzem. Zmarszczył brwi na

widok przybysza, ale bez oporu pozwolił mu podejść do łóżka, gdy leżąca na nim kobieta wrzasnęła przeraźliwie i zaszamotała się w pasach. Tachion jednym skokiem znalazł się u jej boku, położył chłodną dłoń na czole i połączył się z jej umysłem.

O BOŻE! Wyniki wyborów, czy Riley przejdzie dalej? Zapłacił dostatecznie dużo. Zapewnił sobie zwycięstwo, ale nie miażdżącą przewagę... Mamo, tak się boję... Chłód poranka, syk łyżwy tnącej powierzchnię lodu... Ręka ściskająca jej dłoń... To nie ta ręka. Gdzie jest Henry? Tak ją zostawić... Ile jeszcze godzin... Powinien tu być... Znów skurcze. NIE. Nie słyszała tego. Mamo... Henry... BÓL!

Tachion zatoczył się w tył, ciężko dysząc, wsparł się o szafę.

— Dobry Boże! Doktorze Tachionie, wszystko w porządku? — Bonners dotknął jego ramienia.

— Nie... tak... na wielki Ideał! — Wyprostował się ostrożnie. Całe ciało wciąż go bolało na wspomnienie bolesnego porodu tamtej kobiety. Ale skąd wzięła się ta druga osobowość, ten zimny, cyniczny mężczyzna?

Strącił dłoń Bonnersa, wrócił do łóżka i przysiadł na skraju. Tym razem zaczął ostrożniej i wykonał kilka ćwiczeń uspokajających, nim zadziałała pełna psioniką. Jej kruche zapory padły pod atakiem i zanim zdołała go porwać w swój wir mentalny, z całej siły chwycił jej umysł.

Jak płatek kwiatu, delikatny aksamit drżący na wietrze, z odrobiną...

Zmusił się, by wyjść z tego zmysłowego połączenia i skupić się na zadaniu. Przejął kontrolę i szybko przejrzał myśli kobiety. Jego znalezisko stanowiło zupełnie nowy rozdział w sadze dzikiej karty.

W pierwszych dniach zarazy widywał głównie śmierć. Na samym Manhattanie zginęło prawie dwadzieścia tysięcy osób. Dziesięć tysięcy od zakażenia wirusem, a kolejne dziesięć — na skutek kradzieży, rozruchów i działań Gwardii Narodowej. Potem zjawili się dzokerzy — ohydne monstra stworzone z połączenia wirusa i własnych konstruktów mentalnych. A wreszcie — asowie. Widział ich w życiu około trzydzieścioro. Fascynujący ludzie obdarzeni egzotycznymi mocami — żywy dowód na to, że eksperyment okazał się sukcesem. Pomimo straszliwego śmiertelnego żniwa udało im się stworzyć nadistoty. A on właśnie znalazł kolejną, obdarzoną potężną mocą, wyjątkową nawet wśród asów.

Wycofał się, pozostawiając jedynie cienką nić kontroli, niczym wodze w dłoniach doświadczonego jeźdźca.

— Tak, miał pan rację, doktorze. To jedna z moich pacjentek.

Bonners wykonał nieokreślony gest.

— Ale jak... To znaczy... Zwykle chyba wykonuje pan testy? — spytał niezręcznie.

Tachion odprężył się i uśmiechnął, widząc zmieszanie kolegi.

— Tak, właśnie skończyłem. I odkryłem rzecz niezwykłą. Ta kobieta jakimś cudem zdołała wchłonąć wszystkie wspomnienia swojego męża. — Uśmiech zamarł mu na ustach, gdy dodał: — Może powinniśmy wysłać kogoś do nich, żeby sprawdzić, czy pan Henry nie jest przypadkiem bezmyślnym golemem snującym się po domu. Niewykluczone, że wysłała go do cna. Metaforycznie rzecz biorąc, oczywiście.

Bonners skrzywił się, jakby poczuł mdłości, i szybko wyszedł wraz z drugim lekarzem.

Tachion zapomniał na chwilę o nich i o Henrym van Renssaelerze, i całkowicie skupił się na pacjentce leżącej w łóżku. Jej umysł i psychika były popękane jak topniejący lód. Należało

dokonać szybkiej naprawy, by cała osobowość nie załamała się od stresu i nie popadła w szaleństwo. Uznał, że później może wznieść coś bardziej stabilnego, ale teraz należy po prostu szybko łątać. Jego ojciec zrobiłby to doskonale — miał zdolność uzdrawiania uszkodzonych umysłów. Ale teraz był daleko stąd, na Takis, i Tachion musiał polegać na własnych, mniej imponujących zdolnościach.

— Już dobrze, kochana, już dobrze — wymruczał, po czym zaczął rozwiązywać zasupłaną pościel, którą przymocowano kobietę do łóżka. — Połóż się wygodnie, a potem nauczę cię paru mentalnych sztuczek, żebyś całkiem nie zwariowała.

Znów nawiązał pełne połączenie. Jej umysł trzepotał, zdezorientowany, nie rozumiejąc, skąd bierze się ta nagła zmiana.

Oszalałam... To niemożliwe... Zwariowałam...

Nie, to ten wirus...

On tu jest... Nie wytrzymam tego.

Nie musisz. Spójrz tu i tu, przekieruj te wspomnienia i zepchnij go w głąb.

NIE! Zabierz go stąd!

Niestety, to niemożliwe. Musisz nauczyć się kontroli.

Bariera zapłonęła niczym opalizujący ogień i nakreśliła skomplikowaną klatkę wokół „Henry'ego”.

Wypełniło ją uczucie zdziwienia i spokoju, ale Tachion wiedział, że to dopiero połowa drogi. Bariera została wzniesiona jego mocą, bez udziału pacjentki. Jeśli miała zachować zdrowie, musiała się nauczyć, jak robić to samodzielnie.

Wycofał się. Ciało kobiety rozluźniło się wyraźnie, zaczęła oddychać bardziej miarowo. Tachion znów zabrał się do rozplątywania więzów, pogwizdując przez zęby jakąś taneczną melodię.

Po raz pierwszy, odkąd wszedł do tej sali, uważnie przyjrzał się pacjentce. Jej umysł go zachwyił, a widok jej ciała sprawił, że puls mu przyspieszył. Kruczoczarne włosy rozsypały się po poduszce i na piersiach, pięknie kontrastowały z cienką koszulką barwy szampana i alabastrową bielą policzków. Długie, jedwabiste rzęsy zadrgały, a potem uniosły się, odsłaniając oczy granatowe jak nocne niebo.

Przez chwilę mierzyła go wzrokiem, po czym spytała:

— Znam cię, prawda? Nie znam twojej twarzy, ale... wyczuwam cię. — Znów zamknęła oczy, jakby nie mogła znieść tej dezorientacji.

Odgarnął jej włosy z czoła.

— Jestem doktor Tachion. To prawda, znasz mnie. Połączyliśmy umysły.

— Umysły... Dotknęłam umysłu Henry'ego, ale to było straszne, okropne! — Poderwała się, drżąc jak małe, przerażone zwierzątko. — On zrobił naprawdę straszne, podłe rzeczy, nie miałam pojęcia, myślałam, że jest... — Przygryzła wargi, by powstrzymać potok słów. — A teraz muszę z nim mieszkać. Nigdy się nie uwolnię. Ludzie powinni bardziej ostrożnie wybierać... Lepiej nie wiedzieć, co się kryje w ich głowach.

Zamknęła oczy, marszcząc brwi. Nagle rzęsy uniosły się zdecydowanie, a paznokcie wbiły się w biceps lekarza.

— Twój umysł mi się podoba — oznajmiła.

— Dziękuję. Mogę z pewnym przekonaniem stwierdzić, że istotnie posiadam wyjątkowy

umysł. Najlepszy, jaki masz szansę spotkać.

Kobieta zaśmiała się w odpowiedzi. Był to głęboki, gardłowy śmiech, dziwnie niepasujący do jej subtelnej urody. Zawtórował jej i z zadowoleniem spostrzegł, że na policzki chorej wracają rumieńce.

— Jedyne, jaki mam szansę spotkać. Czy ktoś ci kiedyś mówił, że jesteś próżny? — spytała bardziej konwersacyjnym tonem i oparła się o poduszki.

— Próżny — nie. Arogancki — tak, apodyktyczny — również. Ale nigdy „próżny”. Widzisz, wygląd mojej twarzy nie daje ku temu podstaw.

— Sama nie wiem. — Kobieta wyciągnęła rękę i delikatnie przejechała mu palcem po policzku. — To bardzo miła twarz. — Tachion odsunął się na rozsądną odległość, chociaż kosztowało go to sporo wysiłku. Kobieta wyglądała na dotkniętą i skuliła się ciałniej.

— Posłuchaj, Blythe, wysłałem kogoś, żeby sprawdził, co się dzieje z twoim mężem. — Odwróciła się gwałtownie, wtulając twarz w poduszkę. — Wiem, że czujesz się zbrukana tym wszystkim, co odkryłaś, ale musimy się upewnić, że wszystko z nim w porządku. — Wstał z łóżka, a wtedy kobieta wyciągnęła do niego ręce. Złapał je, ich palce splotły się ze sobą.

— Nie mogę tam wrócić! Nie mogę!

— Lepiej zaczekaj z decyzją do rana — powiedział uspokajająco. — Teraz musisz wypocząć.

— Ocaliłeś mnie od obłądu.

— Cała przyjemność po mojej stronie. — Skłonił się, jak umiał najlepiej, podniósł rękę kobiety i przycisnął wewnętrzną stronę nadgarstka do ust. Postępował nierozsądnie, ale był bardzo dumny ze swej samokontroli.

— Proszę, wróć jutro.

— Przyniosę ci śniadanie do łóżka i osobiście nakarmię cię tym świństwem, które w tej placówce nazywają owsianką. A ty opowiesz mi coś więcej o moim wspaniałym umyśle i miłej twarzy.

— Pod warunkiem, że odwzajemnisz się tym samym.

— Nie masz się czego obawiać.



Dryfowali po srebrzystobiałym morzu, złączeni najłżejszym mentalnym dotykiem. Morze było ciepłe, macierzyńskie i zmysłowe jednocześnie, a on niejasno zdawał sobie sprawę, że jego ciało odruchowo odpowiada na pierwsze złączenie umysłów, jakiego doświadczył od wielu miesięcy. Zmusił się, by powrócić do sesji. Tarcza unosiła się pomiędzy nimi niczym wędrujący świetlik.

Jeszcze raz.

Nie mogę. To za trudne.

Ale konieczne. Jeszcze raz.

Świetlik znów podjął swą chaotyczną wędrówkę, kreśląc zawiłe linie i wir mentalnej tarczy. Nagle pośrodku pojawił się ciemny guz, jak fala nadciągającego błota, i mur runął. Tachion wrócił do własnego ciała w samą porę, by złapać Blythe, która runęła twarzą naprzód, na betonowy taras.

Umysł bolał go z wysiłku.

— Musisz go utrzymać.

— Nie mogę. Ten człowiek mnie nienawidzi, chce mnie zniszczyć — wyrzuciła z siebie pomiędzy szlochami.

— Spróbujemy jeszcze raz.

— Nie!

Chwycił ją, jedną ręką objął za ramiona, w drugą ujął jej smukłe dłonie.

— Będę przy tobie. Nie pozwolę, by cię skrzywdził.

Kobieta odetchnęła i nerwowo skinęła głową.

— W porządku, jestem gotowa.

Znów przystąpili do dzieła i tym razem pozostali w bliższym kontakcie. Nagle Tachion zdał sobie sprawę, że jakiś wir mocy wsysa jego umysł, jego tożsamość, coraz dalej w głąb kobiety. Uczucie zbrukania, gwałtu, krzywdy. Zerwał kontakt i zatoczył się po dachu. Gdy odzyskał świadomość, zobaczył, że wisi w objęciach karłowatej wierzby smutno zwisającej z betonowej doniczki. Blythe płakała, chowając twarz w dłoniach.

Wyglądała teraz absurdalnie młodo w czarnym, wełnianym płaszczu od Diora z futrzanym kołnierzem. Ciemny, ostry kolor wydobywał bladość skóry. Wyglądała jak zaginiona rosyjska księżniczka. Uczucie zbrukania ustąpiło w obliczu jej ewidentnej rozpacz.

— Przepraszam, tak mi przykro! Nie zamierzałam... Chciałam tylko być bliżej ciebie.

— Nic się nie stało — zapewnił. Delikatnie całował ją w policzek, raz za razem. — Jesteśmy już zmęczeni. Spróbujemy jutro.

A zatem spróbowali, ćwicząc dzień po dniu, aż w końcu pod koniec tygodnia Blythe uzyskała stabilną kontrolę nad swoim niechcianym pasażerem. Prawdziwy Henry van Renssaeler ani razu nie pojawił się w szpitalu, zamiast niego przybyła jedynie dyskretna czarnoskóra pokojówka, niosąc ubrania dla Blythe. Tachionowi to również odpowiadało. Ucieszył się, że mąż Blythe nie doznał szkody podczas manifestacji mocy u jego żony, ale bliski kontakt z kopią jego umysłu nie należał do przyjemnych. Tachion miał prawo do Blythe, jej umysłu, ciała i duszy, a Tachion pożądał tego wszystkiego. Chętnie uczyniłby ją swoją *genamiri*, traktował z szacunkiem i miłością i dbałby o jej bezpieczeństwo, ale te marzenia były zupełnie jałowe. Należała do innego mężczyzny.

Któregoś dnia przyszedł do niej późnym wieczorem, gdy leżała już w łóżku, czytając książkę. W rękach trzymał trzydzieści różowych róż na długich łądźkach. Kobieta śmiała się, kiedy zaczął zasypywać ją świeżymi płatkami. Gdy kwiatowa pierzynka była już gotowa, wyciągnął się na łóżku koło niej.

— Ty diable! Jeśli ukłujesz mnie kolcami...

— Nie ukłuję. Wszystkie urwałem.

— Zwariowałaś. Jak długo to trwało?

— Kilka godzin.

— Nie miałaś nic lepszego do roboty?

Odwrócił się do niej, by objąć ją ramieniem.

— Przysięgam, że nie zaniedbałem przez to swoich pacjentów. Zrobiłem to po powrocie, o godzinie dziwnej w nocy. — Musnął wargami jej ucho, a gdy go nie odepchnęła, powędrował do ust. Ich wargi przesuwaly się wolno, czując smak słodczy i wolności, a potem przeszedł go dreszcz, gdy kobieta zaplotła mu ramiona na szyi. — Czy chcesz się ze mną kochać? — spytał,

nie odrywając ust.

— Składasz taką propozycję wszystkim dziewczynom?

— Nie — wykrzyknął, urażony jej żartobliwym tonem. Usiadł na posłaniu i strzepnął płatki z płaszcza koloru bladego różu.

Blythe oderwała płatki z kilku kwiatów.

— Chyba wiesz, że wyrobiłeś sobie reputację kobieciarza. Doktor Bonners twierdzi, że spałeś z każdą pielęgniarką na tym piętrze.

— Bonners to wścibski plotkarz, a poza tym niektóre z nich nie są wystarczająco ładne.

— A zatem przyznajesz? — Wycelowwała w niego oskubaną łodyżkę.

— Przyznaję, że lubię spać z kobietami, ale z tobą to co innego.

Blythe położyła się na plecach, przysłaniając ręką oczy.

— Boże, oszczędź mi tych komunałów. Już to gdzieś słyszałam.

— Gdzie? — spytał zaciekawiony, bo miał wrażenie, że tym razem nie mówi o Henrym.

— Na Riwierze. Gdy byłam dużo młodsza i znacznie głupsza.

Przytulił się do niej.

— Opowiedz.

Pacnęła go różą w nos.

— Nie. Lepiej ty mi opowiedz o rytuale zalotów na Takis.

— Wolę flirtować podczas tańca.

— Dlaczego tańca?

— Bo to bardzo romantyczne.

Blythe odrzuciła przykrycie i narzuciła na siebie pomarańczowy peniuar.

— Pokaż mi — zażądała, rozkładając ręce.

Objął ją w pasie i ujął lewą ręką za prawą.

— Nauczę cię Pokusy. To bardzo ładny walc.

— Zasługuje na swoją nazwę?

— Spróbujemy, a potem ty mi powiesz.

Na zmianę nucił melodię wysokim barytonem i wykrzykiwał instrukcje, pokazując kolejne figury tańca.

— Ojejku! Czy wszystkie wasze tańce są tak skomplikowane?

— Tak. Dzięki temu możemy pokazać, jacy jesteśmy mądrzy i pełni wdzięku.

— Zróbmy to jeszcze raz, tym razem tylko nuć. Chyba opanowałam podstawowe kroki. Jeśli coś pomylę, możesz mnie szturchnąć.

— Zamierzam cię prowadzić, jak przystoi mężczyźnie tańczącemu z damą.

Obracał ją właśnie pod uniesionym ramieniem, spoglądając w jej roześmiane błękitne oczy, gdy ciszę przerwało zirytowane:

— Ekhem!

Blythe chwyciła powietrze, jakby nagle zrozumiała, jak skandalicznie musiało to wyglądać: ona, z bosymi stopami, włosami opadającymi na ramiona, w cienkim peniuarze odsłaniającym stanowczo zbyt wiele dekoltu. Wskoczyła do łóżka i podciągnęła kołdrę pod brodę.

— Witaj, Archibaldzie — wykrztusiła.

— Dobry wieczór, panie Holmes — zawtórował Tachion. Szybko odzyskał rezon

i wyciągnął rękę.

Polityk zignorował ten gest i wciąż wpatrywał się w obcego spod zmarszczonych brwi. Prezydent Truman nakazał mu osobiście koordynować akcję antykrzysową na Manhattanie, kilka razy stali razem na podium podczas gorączkowych konferencji prasowych tuż po katastrofie. Teraz wyglądał znacznie mniej przyjaźnie.

Podszedł do łóżka i po ojcowsku pocałował Blythe w czoło.

— Musiałem wyjechać z miasta, a po powrocie dowiedziałem się, że jesteś chora. Mam nadzieję, że to nic poważnego?

— Nie — zaśmiała się kobieta, nieco zbyt piskliwie i nerwowo. — Zostałam asem. Niewiarygodne, prawda?

— Asem! A jakie zdolności... — Urwał gwałtownie i spojrzał na Tachiona. — Czy mógłbym pomówić z moją chrześnicą na osobności?

— Oczywiście. Do widzenia, Blythe. Zobaczymy się rano.



Gdy po siedmiu godzinach wrócił, Blythe już nie było.

Zapytał o nią w recepcji, dowiedział się, że stary przyjaciel jej rodziny, Archibald Holmes, zabrał ją do domu jakąś godzinę wcześniej. Przez chwilę rozważał, czy nie zatrzymać się przy jej apartamencie, ale uznał, że będą z tego tylko kłopoty. Blythe była żoną Henry'ego Renssaelera i żadna choroba nie mogła tego zmienić. Próbował przekonywać się, że to bez znaczenia, i wznowił zaloty do młodej pielęgniarki z oddziału położniczego.

Próbował zapomnieć o Blythe, ale w najdziwniejszych momentach przypominał sobie dotyk jej palców na policzku, głęboki błękit jej oczu, zapach perfum, a przede wszystkim — jej umysł. Wspomnienie tego piękna i łagodności nawiedzało go bezustannie — wśród istot pozbawionych zdolności psionicznych czuł się przejmująco samotny. Nawet Takizjanie nie łączyli umysłów z przypadkowymi osobami, a kontakt z Blythe był dla niego pierwszym prawdziwym kontaktem od czasu przybycia na Ziemię. Westchnął, marząc o tym, by znów ją zobaczyć.



Wynajął mieszkanie w przerobionej kamienicy nieopodal Central Parku. Było upalne niedzielne popołudnie sierpnia 1947 roku, a on przechadzał się po pokoju w jedwabnej koszulce i bokserkach. Wszystkie okna były otwarte na oścież w oczekiwaniu na najłżejszy powiew, czajnik gwizdał przeraźliwie na kuchence, a z fonografu wylewały się dźwięki *Traviaty*. Wysoki poziom decybeli był wymuszony zachowaniem sąsiada piętro niżej, uzależnionego od albumów Binga Crosby'ego, który raz po raz słuchał *Moonlight Becomes You*. Tachion żałował, że Jerry nie poznał swej obecnej dziewczyny, na przykład, w słoneczny dzień na Coney Island — jego dobór muzyki najwyraźniej zależał od miejsca i pory dnia, w którym spotkał swoją aktualną miłość.

Podniósł gardenię, zastanawiając się, jak ułożyć ją w szklanym wazonie, gdy ktoś zapukał do drzwi.

— Dobrze, już dobrze! — ryknął. — Przyciszę, ale pod warunkiem, że dasz spokój Bingowi. Może zawrzyjmy rozejm i puśćmy coś instrumentalnego? Glenna Millera czy coś takiego. Tylko nie każ mi więcej słuchać tego sepleniącego pajaca!

Szarpięciem otworzył drzwi i szczęka mu opadła.

— Chyba rzeczywiście powinieneś to przyciszyć — powiedziała Blythe van Renssaeler.

Przez dłuższą chwilę gapił się na nią oszołomiony, a potem sięgnął za plecy i dyskretnie pociągnął za rąbek koszuli. Blythe uśmiechnęła się lekko i zauważył, że ma dołeczki w policzkach. Jakim cudem przegapił to wcześniej? Myślał, że obraz jej twarzy utrwalił mu się w mózgu na zawsze. Kobieta uniosła rękę i zamachała mu palcami przed twarzą.

— Hej? Pamiętasz mnie? — Mówiła lekko, ale w jej głosie słychać było lęk.

— Oczywiście... oczywiście. Wejdz.

Nie poruszyła się.

— Przyniosłam walizkę.

— Widzę.

— Wyrzucił mnie z domu.

— Możesz wejść... razem z walizką.

— Nie chcę, żebyś czuł się... postawiony pod ścianą.

Zatknął jej gardenię za ucho, wyjął walizkę z rąk i wciągnął ją do środka. Plisy jej jasnej spódnicy koloru brzoskwini otarły się o jego skórę, aż włoski na nogach stanęły mu na sztorc, zelektryzowane kontaktem. Damska moda stanowiła jego drobne hobby, więc zauważył, że sukienka to model od Diora, a spódnica do kostek spoczywa na kilku warstwach szyfonowych halek. Talia Blythe miała szerokość jego złączonych dłoni. Gorset sukni trzymał się na dwóch wąskich ramiączkach, większość pleców była odsłonięta. Z zachwytem patrzył, jak jej łopatki poruszają się pod bladą skórą. W bokserkach zauważył aprobujące drgnięcie.

Zażenowany odwrócił się w kierunku szafy.

— Poczekaj, włożę spodnie. Zagotowałem wodę na herbatę. Przy okazji możesz ściszyć tę płytę.

— Z czym pijesz herbatę? Z mlekiem czy z cytryną?

— Z lodem. Zaraz umrę. — Przeszedł przez pokój, wpychając koszulę w spodnie.

— Mamy piękną pogodę.

— Piękną, upalną pogodę. Na mojej planecie jest znacznie chłodniej.

Uciekła wzrokiem w bok, odruchowo chwyciła pasemko włosów.

— Wiem, że jesteś kosmitą, ale strasznie dziwnie się o tym rozmawia.

— A zatem nie będziemy. — Zajął się przygotowaniem herbaty, kątem oka popatrując na swojego gościa. — Jesteś bardzo spokojna jak na kogoś wyrzuconego z domu.

— Popłakałam już sobie w taksówce. — Uśmiechnęła się smutno. — Ten biedny taryfiarz chyba myślał, że wiezie jakąś wariatkę. Zwłaszcza że... — Urwała i wzięła od niego filiżankę, wykorzystując ten pretekst, żeby umknąć przed jego badawczym wzrokiem.

— Nie żebym narzekał, ale dlaczego postanowiłaś... eee...

— Przyjść do ciebie? — Przeszła przez pokój i ściszyła fonograf. — To bardzo smutna scena.

Wszłuchał się w muzykę i zdał sobie sprawę, że to pożegnanie Violetty i Alfreda.

— Ahem... tak, to prawda.

Blythe odwróciła się na pięcie. Wzrok miała dziki, udręczony.

— Przyszłam do ciebie, bo Earl jest zbyt zajęty swoimi sprawami, demonstracjami

i strajkami, a David, ten biedny młodzieniec, pewnie spanikowałby na widok starszej, rozhisteryzowanej kobiety. Archibald przekonywałby mnie, że powinnam pogodzić się z Henrym. Na szczęście, nie było go w domu, ale za to wpadłam na Jacka, a on namawiał mnie, żebym została... o wiele zbyt gorliwie.

Potrząsnął głową jak koń dręczony przez gzy.

— Blythe, o czym ty mówisz? Co to za ludzie?

— Jak to możliwe, że jesteś tak niedoinformowany? — zdziwiła się żartobliwie i przybrała teatralną pozę, tak dramatyczną, że jej słowa zabrzmiały groteskowo: — Jesteśmy Czwórką Asów! — Nagle zaczęła się trząść, aż herbata chlusnęła na spodek.

Tachion podszedł do niej, odstawił filiżankę na bok i przyciągnął kobietę do siebie. Jej łyzy utworzyły mu na koszuli ciepłą, wilgotną plamę. Próbował sięgnąć jej umysłu, ale ona odgadła, do czego dąży, i odepchnęła go gwałtownie.

— Nie! Najpierw wyjaśnię, co zrobiłam! Inaczej możesz przeżyć szok. — Odczekał, aż wyjęła z torebki haftowaną chusteczkę, otarła oczy i wydmuchała nos. Gdy znów uniosła głowę, była zupełnie spokojna. Był pod wrażeniem jej samokontroli. — Pewnie wyglądam jak typowa roztrzepana panusia. No cóż, nie będę cię nudzić dłużej. Zacznę od początku i opowiem wszystko po kolei.

— Odeszłaś bez pożegnania — wtrącił.

— Archibald uznał, że tak będzie najlepiej, a ja nigdy nie umiałam mu odmówić, gdy jest taki władczy i ojcowski. — Szczęki jej zadrgały. — W żadnej sprawie. Powiedział, że mam wielki dar. Że mogę pomóc ocalić bezcenną wiedzę. Namówił mnie, żebym dołączyła do jego ekipy.

Strzelił palcami.

— Earl Sanderson i Jack Braun?

— Tak.

Tachion zerwał się i zaczął spacerować po pokoju.

— Wiem, że kombinowali coś w Argentynie i schwytali paru nazistów — Mengelego i Eichmanna, ale... czwórka?

— David Harstein, znany jako Posłaniec...

— Znam go. Leczyłem go zaledwie kilka... Nieważne, mów dalej.

— I ja. — Uśmiechnęła się zakłopotana jak mała dziewczynka. — Lokata.

Oszołomiony usiadł na kanapie.

— Co on ci... co właściwie zrobiłaś?

— Wykorzystałam swój talent, tak jak radził mi Archibald. Chcesz zapytać mnie o coś z dziedziny technologii rakietowych, fizyki jądrowej, biochemii albo teorii względności?

— Wysłał cię w podróż po całym kraju, żebyś wchłaniała umysły — zrozumiał Tachion. A potem wybuchnął. — Kogo właściwie masz teraz w głowie?

Usiadła obok niego.

— Einsteina, Salka, von Brauna, Oppenheimera, Tellera... i oczywiście Henry'ego, ale o tym wolałabym zapomnieć. — Uśmiechnęła się. — I na tym polega sedno problemu. Henry nie był szczęśliwy, że jego żona ma w głowie paru noblistów, a co gorsza, wie o wszystkich jego ciemnych sprawkach, więc dziś rano po prostu wyrzucił mnie na ulicę. Nie miałabym nic przeciwko, gdyby nie dzieci... Nie wiem, co im powiedział i czy... O cholera! — szepnęła,

uderzając pięściami w kolana. — Nie, nie będę znowu płakać. W każdym razie wsiadłam do taksówki i zastanawiałam się, co robić. Właśnie wymknęłam się z rąk Jacka i ryczałam w taksówce, gdy nagle pomyślałam o tobie.

Tachion zdał sobie sprawę, że kobieta mówi teraz po niemiecku. Zagryzł zęby i przycisnął język do podniebienia, by powstrzymać mdłości.

— To głupie, ale w pewien sposób jesteś mi bliższy niż ktokolwiek na tym świecie. Dziwne, bo przecież nawet nie pochodzisz z tego świata.

Jej uśmiech przywodził na myśl uwodzicielskie syreny i Monę Lisę, ale Tachion nie zareagował, był zbyt wściekły.

— Czasem w ogóle was nie rozumiem, ludzie! Nie macie pojęcia, jakie zagrożenie niesie za sobą ten wirus?

— Nie, skąd mam to wiedzieć? — przerwała. — Henry zabrał nas wszystkich i wyjechaliśmy z miasta w ciągu kilku godzin od wybuchu i wróciliśmy dopiero, gdy było po wszystkim.

— Ale chyba widać, że nie poskutkowało!

— Tak, ale czy to moja wina?

— Nie mówię, że twoja!

— A zatem, na kogo się tak złościś?

— Na Holmesa — przyznał w końcu. — Mówisz, że traktuje cię po ojcowsku, ale gdyby rzeczywiście pragnął twojego dobra, nigdy nie namówiłby cię do tego szaleństwa.

— Co w tym szalonego? Jestem młoda, a ci naukowcy starzy. Pomagam zachować bezcenną wiedzę.

— Kosztem własnego zdrowia!

— Nauczyłeś mnie, jak...

— Jesteś człowiekiem! Nie nauczono cię wytrzymywać obciążenia wysokopoziomowej mentatyki! Techniki, których nauczyłem cię w szpitalu, miały ci pomóc odgrodzić się od twojego męża. W tej sytuacji są zupełnie nieadekwatne, o wiele za słabe!

— A zatem naucz mnie tego, co powinnam wiedzieć. Albo mnie wylecz.

Wyzwanie dźwięczące w jej głosie trochę go otrzeźwiło.

— Nie mogę... a w każdym razie jeszcze nie teraz. Wirus jest piekielnie skomplikowany, opracowanie szczepu, który zniweluje... — Wzruszył ramionami. — Powiedzmy tak: wynalezienie atutu, który przebije dziką kartę, zajmie całe lata. A do tego muszę pracować sam.

— W takim razie wrócę do Jacka. — Blythe podniosła walizkę i ruszyła w stronę drzwi. Jej krok był pełen godności, a jednocześnie groteskowy. Ciężki bagaż przeszkadzał utrzymać równowagę. — A jeśli oszaleję, to Archibald może znajdzie mi dobrego psychiatrę. W końcu jestem Czwartym Asem.

— Poczekaj... nie możesz tak po prostu odejść.

— A zatem nauczysz mnie?

Tachion wbił kciuk i środkowy palec w kąciaki oczu i mocno ścisnął mostek nosa.

— Postaram się.

Walizka ze stukotem upadła na podłogę. Blythe powoli podeszła w jego stronę. Wyciągnął rękę, jakby próbując ją zatrzymać.

— Jeszcze jedna rzecz. Nie jestem świętym ani jednym z tych waszych mnichów. —

Wskazał na alkowę za przepierzeniem, gdzie stało jego łóżko. — Kiedyś w końcu cię zapragnę.

— A czemu nie teraz? — Odsunęła jego rękę i przyłgnęła do niego całym ciałem. Nie było to szczególnie piękne ciało. Właściwie można je było opisać jako przeciętne, ale wszelkie zastrzeżenia uleciały mu z głowy, gdy ujęła jego twarz w dłonie i przyciągnęła, by pocałować go w usta.



— Wspaniały dzień. — Tachion westchnął z satysfakcją, przetarł twarz dłonią, po czym zdjął skarpetki i bieliznę.

Blythe uśmiechnęła się do niego sprzed łazienkowego lustra, gdzie nakładała krem na twarz.

— Ziemsy mężczyźni pewnie uznaliby, że zwariowałeś. Dzień spędzony w towarzystwie ośmiolatka, pięciolatka i trzylatki nie zostałyby uznany za szczególną atrakcję.

— Ziemsy mężczyźni są głupi — odparł. Zapatrzył się w przestrzeń i przez chwilę przypomniał sobie stadko młodszych kuzynów, dotyk lepkich rączek, gmerających mu po kieszeniach w poszukiwaniu słodczy, dotyk miękkiego, dzieciennego policzka, gdy obiecywał, że „już niedługo wróci się z nimi pobawić”.

Odepchnął od siebie te wspomnienia i zobaczył, że Blythe spogląda na niego uważnie.

— Tęsknisz za domem?

— Rozmyślam.

— Czyli tęsknisz.

— Dzieci to wielka radość — powiedział pospiesznie, zanim jego towarzyszka zdąży podjąć ich nieustający spór. Podniósł szczotkę i przeciągnął po długich włosach. — Czasem zastanawiam się, czy twoje nie są przypadkiem podrzutkami albo czy od początku nie przyprawiałaś Henry'emu rogów.

Pół roku wcześniej po wyrzuceniu Blythe z domu jej mąż nakazał służącym, by pod żadnym pozorem nie wpuszczali jej z powrotem, tym samym uniemożliwiając jej kontakt z dziećmi. Tachion szybko naprawił ten problem. Co tydzień, gdy gospodarza nie było, szli do apartamentowca, gdzie Tachion przejmował kontrolę nad umysłami służących, a potem przez kilka godzin bawili się z Henrym Juniorem, Brandonem i Fleur. Potem nakazywał opiekunce i gosposi zapomnieć o całej wizycie. Wyczynianie takich numerów pod samym nosem Henry'ego dawało mu sporo satysfakcji, choć dla osiągnięcia pełni zemsty należałoby go o nich poinformować.

Odłożył szczotkę, chwycił wieczorną gazetę i wczołgał się do łóżka. Na pierwszej stronie umieszczono zdjęcie Earla odbierającego medal za uratowanie Gandhiego. Jack i Holmes stali z tyłu, starszy mężczyzna zdawał się bardzo zadowolony z siebie, a Jack — zakłopotany.

— To zdjęcie z dzisiejszego bankietu — dodał. — Ale nie rozumiem, po co ten cały szum. Przecież to tylko nieudana próba.

— My, ludzie, nie podzielamy waszego cynicznego podejścia do skrytobójstwa. — Głos Blythe był lekko stłumiony przez materiał flanelowej koszuli, którą wkładała przez głowę.

— Wiem i wciąż nie przestaje mnie to dziwić. — Tachion przewrócił się na bok i oparł na łokciu. — Wiesz, że do czasu, gdy przybyłem na Ziemię, nigdy nie ruszałem się na krok bez ochroniarzy?

Stare łóżko zaskrzypiało, gdy Blythe położyła się obok.

— To straszne.

— Jesteśmy przyzwyczajeni. Skrytobójstwo to u nas styl życia. Wpływowe rodziny właśnie tak zdobywają władzę. Zanim skończyłem dwadzieścia lat, straciłem czternaścioro najbliższych krewnych, zabitych rękami skrytobójców.

— Najbliższych, czyli kogo?

— Moją matkę. Miałem cztery lata, gdy znaleziono ją martwą u podnóża schodów przy wejściu do komnat kobiecych. Zawsze podejrzewałem, że stała za tym moja ciotka Sabina, ale nie było dowodu.

— Biedny chłopiec. — Blythe położyła mu dłoń na policzku. — Czy ty ją w ogóle pamiętasz?

— Krótkie przebłyski. Szelest jedwabiów i zapach jej perfum. I jej włosy, niczym złota chmura.

Kobieta przewróciła się na drugi bok i przysunęła bliżej, przyciskając pośladki do jego krocza.

— Co jeszcze zaskoczyło cię na Ziemi?

Ewidentnie próbowała skierować rozmowę na inne tory, a Tachion był jej za to wdzięczny. Wspomnienia rodziny, którą zostawił na Takis, zawsze powodowały smutek i tęsknotę.

— Na przykład kobiety.

— Jesteśmy lepsze czy gorsze?

— Po prostu inne. Chodźcie swobodnie, gdzie tylko chcecie, nawet po osiągnięciu wieku rozrodczego. Nigdy nie pozwolilibyśmy na takie ryzyko. Skuteczny atak na ciężarną kobietę mógłby zniweczyć lata ostrożnego planowania.

— To też okropne.

— Poza tym nie uważamy seksu za grzech. Grzechem jest dla nas jedynie bezmyślna reprodukcja, która mogłaby zaburzyć plan rodziny. Ale seks dla przyjemności to co innego. Często przyjmujemy na nauki atrakcyjnych osobników z klas niższych — osoby bez zdolności psionicznych — i uczymy ich, jak zadowalać kobiety i mężczyzn z wielkich domów.

— Nigdy nie widujecie kobiet ze swojej klasy?

— Oczywiście, że tak. Do trzydziestego roku życia wychowujemy się razem, trenujemy i chodzimy na nauki. Dopiero gdy kobiety wchodzi w wiek prokreacyjny, zamyka się je w odosobnieniu dla ich bezpieczeństwa. A nawet wtedy wciąż spotykamy się na imprezach rodzinnych: balach, polowaniach i piknikach, ale wszystko w granicach rodzinnej posiadłości.

— Jak długo chłopcy pozostają pod opieką matki?

— Wszystkie dzieci mieszkają w skrzydle dla kobiet do trzynastego roku życia.

— A potem? Wolno im się widywać z matką?

— Oczywiście! Przecież to ich matka!

— Nie denerwuj się tak. Po prostu to wszystko wydaje mi się zupełnie obce.

— Można tak powiedzieć — odparł, podciągając koszulę i przesuwając palcem po jej udzie.

— A zatem macie sekszabaweczki — mruknęła, gdy dłonie mężczyzny błędziły po jej ciele. Ujęła sztywniejącego penisa. — Brzmi intrygująco.

— Chcesz być moją sekszabaweczką?

— Myślałam, że już nią jestem.



Obudził go chłód. Usiadł na łóżku i zobaczył, że Blythe zniknęła, a odrzucona kołdra leży na podłodze. Potem zdał sobie sprawę, że zza paciorkowej zasłony dochodzą jakieś głosy. W budynku panował przeciąg, wiatr z jęklwym wyciem przeciskał się przez szpary w oknach. Włoski na karku stanęły mu na sztorc, ale bynajmniej nie z zimna. Zza zasłony dobiegały niskie, gardłowe głosy, przywodząc na myśl dziecięce opowieści o duchach, o niespokojnych przodkach opętujących ciała żywych potomków. Zadrżał i przeszedł przez zasłonę. Paciorki zadźwięczały za jego plecami i zobaczył, że na środku pokoju stoi Blythe, pogrążona w dyskusji z samą sobą.

— Po raz kolejny powtarzam ci, Oppie, że należy opracować...

— Nie! Już to przerabialiśmy — urządzenie ma priorytet. Nie możemy teraz zawracać sobie głowy bombą wodorową.

Przez długą chwilę stał sparaliżowany strachem. Takie rzeczy zdarzały się już wcześniej, ilekroć była zestresowana, ale nigdy do takiego stopnia. Wiedział, że musi szybko znaleźć Blythe, żeby nie zaginęła na dobre, i zmusił się do czynu. W dwóch krokach znalazł się u jej boku, przyciągnął do siebie i poszukał jej umysłu. I w pierwszej chwili prawie odskoczył z przerażenia, ponieważ wewnątrz szalał koszmarny wir skłóconych osobowości, walczących o przewagę, podczas gdy Blythe kręciła się bezradnie w środku. Rzucił się w jej stronę, ale na drodze stanął mu Henry. Odepchnął go na bok i otoczył Blythe własną tarczą ochronną. Pozostałe sześć osobowości krążyły wokół, napierając na tarczę. Siła Blythe dołączyła do niego, razem wypchnęli Tellera do jego przegródki, a Oppenheimera do sąsiedniej. Einstein wycofał się, pomrukując pod nosem, a Salk tylko przyglądał się temu z rozbawieniem.

Blythe osunęła się, zwiotczała, a Tachion poczuł, że nie utrzyma jej ciężaru. Ugięły się pod nim kolana i usiadł ciężko na drewnianych klepkach, opierając o siebie ukochaną. Z ulicy słychać było głos mleczarza rozwożącego butelki, a wtedy zdał sobie sprawę, że przywrócenie Blythe do równowagi zajęło mu kilka godzin.

— Niech cię diabli, Archibaldzie — mruknął, ale przekleństwo wydało mu się równie nieadekwatne jak udzielona pomoc.



— Nie, to zły pomysł — mruknął David Harstein. Ręka Tachiona zamarała. — Lepiej przestaw konia. — Takizjanin skinął głową i szybko przestawił figurę. Popatrzył na planszę i szczęka mu opadła.

— Ty oszuście! Ty żalosny oszuście!

Harstein rozłożył ręce w pojednawczym geście.

— To tylko taka sugestia. — Ton jego głosu był łagodny i zasmucony, ale ciemne, brązowe oczy lśniły rozbawieniem.

Tachion mruknął coś w odpowiedzi i odchylił się, aż znalazł oparcie sofy.

— To dość niepokojące, że osoba w twojej sytuacji zniża się do wykorzystania swoich zdolności w tak niskim celu. Powinieneś dawać przykład innym asom.

David wyszczerzył zęby i sięgnął po drinka.

— To tak tylko na pokaz. W rozmowie z moim stwórcą mogę chyba pozwolić sobie na powrót do mych leniwych, cyganeryjnych zwyczajów?

— Nie.

Zapadła niezręczna cisza, gdy Tachion zmagał się z napływającymi do głowy obrazami, scenami, o których wolałyby zapomnieć, a David, z najwyższym skupieniem, zdołał przesunąć planszę kieszonkowych szachów o włos na lewo.

— Przepraszam.

— W porządku. — Tachion uśmiechnął się pojednawczo. — Grajmy dalej.

David skinął głową i pochylił się nad planszą. Tachion pociągnął łyk kawy po irlandzku i przez chwilę rozkoszował się ciepłym napojem w ustach, zanim przełknął. Wstydził się, że tak gwałtownie zareagował na żartobliwą uwagę. Chłopak na pewno nie chciał go urazić.

Poznał Davida w szpitalu w 1947 roku. W Dniu Dzikiej Karty Harstein grał w szachy w ogródku kawiarni. Z początku nie było żadnych objawów, ale kilka miesięcy później przywieziono go do szpitala w konwulsjach. Tachion obawiał się, że ten przystojny, pełen życia młody człowiek okaże się kolejną anonimową ofiarą, ale wbrew wszelkim oczekiwaniom wyzdrowiał. Potem przeprowadzili testy: ciało Davida wydzielalo potężne feromony, które sprawiały, że ciężko było mu się oprzeć w jakimkolwiek sensie. Został zrekrutowany przez Archibalda Holmesa, a przez zafascynowanych dziennikarzy przezwany Posłańcem. Uzbrojony w swoją zdolność, ruszył, by uspokajać strajki, negocjować traktaty i mediować z przywódcami najpotężniejszych krajów świata.

Był ulubionym asem Tachiona, nie licząc Blythe. Kosmita nauczył się od niego grać w szachy. To, że uciekł się do pomocy swoich zdolności, by zyskać przewagę, było świadectwem zarówno jego talentów nauczycielskich, jak i coraz większej biegłości doktora. Obcy uśmiechnął się pod nosem i postanowił odplacić pięknym za nadobne.

Ostrożnie wysłał sondę zwiadowczą, wślizgnął się pod osłony Davida i patrzył, jak jego giętki umysł waży i ocenia poszczególne ruchy. Podjął już decyzję, ale zanim zdążył ją zrealizować, Tachion pociągnął mocno, wymazując tę konkluzję i podstawiając na jej miejsce własną.

— Szach.

David spojrział na planszę, a potem z rykiem zrzucił ją na podłogę, Tachion tymczasem padł na sofę i wybuchnął śmiechem.

— I ty masz czelność nazywać mnie oszustem? Wiesz, że nie kontroluję swoich mocy, ale ty? Żeby tak włączyć komuś do głowy i...

W zamku zazgrzytał klucz.

— Spokój, dzieci — wykrzyknęła Blythe. — O co znów się kłóćcie?

— On oszukuje — zawołali jednocześnie, wytykając się palcami.

Tachion wstał i objął wchodzącą kobietę.

— Strasznie zmarzałaś. Zrobię ci herbaty. Jak było na konferencji?

— Nieźle. — Zdjęła futrzaną czapkę i otrząsnęła ze śniegu. — Werner zachorował na krup, więc mój wkład bardzo się przydał. — Pochyliła się i pocałowała Davida w nieogolony policzek. — Witaj, kochany. Jak było w Rosji?

— Ponuro — odparł, zbierając rozrzucone figury. — Wiecie co? Mam wrażenie, że to nieuczciwe.

— Co takiego? — Blythe rzuciła płaszcz na sofę, ściągnęła zabłocone botki i zwinęła się w kłębek, chowając stopy pod srebrnego lisa.

— Earl ściga Bormanna po Włoszech i ratuje Gandhiego przed zamachem, a tobie każą siedzieć na nudnych konferencjach i mieszkać w obskurnym motelu.

— Ci, którzy tylko siedzą i dyskutują, też mogą przysłużyć się dobrej sprawie — przypomniała. — Sam powinienes to wiedzieć najlepiej. Poza tym też załapałeś się na światło reflektorów. Pamiętasz Argentynę?

— To było ponad rok temu, poza tym ja tylko gadałem z peronistami, podczas gdy Earl i Jack tłukli bojówkarzy na ulicach. Jak myślisz, kim zainteresowali się dziennikarze? Nami? Bez żartów. W tej branży trzeba być przede wszystkim efektywnym.

— A co to właściwie za branża? — spytał Tachion, podając Blythe kubek parującej herbaty.

David pochylił się, głowa wystawała mu pomiędzy zgarbionych ramion jak u ciekawskiego ptaka.

— Kontrola zniszczeń. Wykorzystanie naszych mocy do poprawy losu ludzkości.

— Tak się zaczyna, ale na czym się skończy? Moje doświadczenia z superrasami — a coś o tym wiem, w końcu sam do takiej należę — wskazują, że mamy zwyczaj brać to, na czym nam zależy, i niech szlag trafi wszystko inne. Gdy część ludzi na Takis przypadkiem wykształciła sobie mentalne moce, zaczęli krzyżować się ze sobą, by dopilnować, żeby nikt inny nie osiągnął takich zdolności. Dzięki temu przejęliśmy władzę nad całą planetą, a jest nas tylko osiem procent.

— My będziemy inni — odparł Harstein i jakby wbrew sobie zaśmiał się z przekąsem.

— Mam nadzieję. Ale bardziej uspokaja mnie świadomość, że jest was tylko kilkadziesiąt osób, a Archibald nie przekuł was jeszcze w jeden wielki taran w służbie demokracji. — Jego cienkie wargi skrzywiły się przy ostatnim słowie.

Blythe wyciągnęła rękę i odgarnęła mu włosy z twarzy.

— Nie pochwalasz tego?

— Martwię się.

— Czemu?

— Ty i David powinniście być wdzięczni, że tak mało rzucacie się w oczy. Wrogość nieposiadających wobec posiadaczy to brzydka rzecz, a wasza rasa nigdy nie była tolerancyjna w obliczu inności. A asowie to najdziwniejsze, co ludzkość dotąd widziała. Jak mówi ta święta księga? „Nie pozwolisz żyć czarownicy”?

— Ale przecież jesteśmy tylko ludźmi.

— Nie jesteście... a pozostali wam tego nie zapomną. Wiem o istnieniu trzydziestu siedmiu asów, niewykluczone, że jest ich więcej. W przeciwieństwie do dzokerów jesteście niewykrywalni. Narodowa histeria to bardzo odporny i szybko rosnący chwast. Ludzie wszędzie teraz widzą komunistów i prawdopodobnie już niedługo skierują tę niechęć na inne mniejszości, na przykład na niewidoczną, tajną i bardzo potężną grupę ludzi.

— Chyba przesadzasz.

— Czyżby? Weź choćby te przesłuchania HUAC. — Wskazał na stertę gazet. — Nie dalej niż dwa dni temu sąd federalny uznał Algera Hissa za winnego krzywoprzysięstwa. To nie wygląda na działania rozsądnych i zdrowych psychicznie ludzi. I pomyśleć, że właśnie świętujecie miesiąc radości i odrodzenia.

— Nie, to Wielkanoc. Teraz świętujemy dopiero pierwsze narodzenie. — Słaby żart Davida rozplynał się w ciężkiej ciszy, jaka zapadła w pokoju, zakłócana jedynie szumem wiatru i śniegu

uderzającego w okna.

W końcu westchnął i przeciągnął się ostentacyjnie.

— Ale z nas banda ponuraków. Może pójdziemy gdzieś na kolację, a później na koncert? Satchmo ma zagrać dziś na mieście.

Tachion potrząsnął głową.

— Muszę wracać do szpitala.

— Teraz? — jęknęła Blythe.

— Muszę, kochanie.

— Pójdę z tobą.

— Nie, to nie ma sensu. Lepiej idź z Davidem na kolację.

— Nie. — Z uporem zacisnęła usta. — Jeśli nie pozwolisz mi pomóc, to przynajmniej dotrzymam ci towarzystwa.

— Uparta dama — stwierdził David spod stołu, gdzie wpełzł w poszukiwaniu rozrzuconych figur. — Wszyscy przekonaliśmy się, że lepiej się z nią nie kłócić.

— Spróbowałbyś z nią pomieszkać.

Futrzany toczek wykręcił się, zmięty w zaciśniętej pięści.

— Uwierz, możemy szybko rozwiązać ten problem.

— Tylko nie zaczynaj — uciął ostrzegawczo Tachion.

— I nie przybieraj tego ojcowskiego tonu! Nie jestem dzieckiem ani jedną z waszych takizjańskich damulek.

— Gdybyś była, to prezentowałabyś lepsze maniery, a co do drugiego, to zdecydowanie zachowujesz się jak dziecko, i to rozpieszczone. Już kiedyś dyskutowaliśmy na ten temat i powiedziałem wyraźnie, że nie zamierzam spełnić tej prośby.

— Wcale nie dyskutowaliśmy — tylko mnie zbywałeś, zmieniałeś temat albo odmawiałeś odpowiedzi...

— Muszę iść do szpitala.

— Widzisz? — wykrzyknęła Blythe, odwracając się do Harsteina. — Spławił mnie, czyż nie?

Mężczyzna wzruszył ramionami i wsunął zestaw szachowy do kieszeni sztruksowej marynarki. Tym razem wyjątkowo nie wiedział, co powiedzieć.

— David, bądź tak miły i zabierz moją *genamiri* na kolację. I postaraj się przyprowadzić ją w nieco lepszym nastroju.

Blythe spojrzała na Harsteina błagalnie, podczas gdy Tachion z królewską pogardą wpatrywał się w przeciwległą ścianę.

— Hej, wiecie co? Myślę, że powinniście wybrać się na miły, romantyczny spacer po śniegu. Obgadać to między sobą, pójść na kolację, pójść do łóżka i przestać się kłócić. Nie wiem, o co wam poszło, ale przecież nie może to być tak wielki problem.

— Masz rację — mruknęła Blythe. Jej sztywna poza natychmiast rozluźniła się pod wpływem feromonów.

David położył Tachionowi dłoń na plecach i delikatnie skierował go w stronę drzwi. Potem ujął rękę Blythe, włożył ją w dłoń obcego i wykonał nad nimi nieokreślony gest błogosławieństwa.

— A teraz idźcie, dzieci, i nie grzeszcie już więcej.

Zszedł za nimi schodami i na ulicę, a potem pognął do metra, by zdążyć, zanim jego moce całkiem przestaną działać.



— Teraz już rozumiesz, dlaczego nie chcę, żebyś ze mną pracowała?

Księżyc wyjrzał zza zasłony chmur i w jego bladym, srebrzystym świetle miasto wydawało się niemal czyste. Stali na skraju Central Parku, z ust wzbijały się białe obłoczki.

— Wiem, że próbujesz mnie chronić, ale nie sądzę, żeby to było konieczne. A po dzisiejszym dniu... — Zawahała się, próbując jakoś złagodzić kolejne słowa. — Myślę, że mogłabym się nimi zająć lepiej niż ty. Wiem, że dbasz o swoich pacjentów, Tach, ale ich zniekształcenia i szaleństwo... No cóż, budzą w tobie obrzydzenie.

Mężczyzna drgnął.

— Blythe, tak bardzo się wstydzę. Myślisz, że oni o tym wiedzą?

— Nie, kochany. — Poglądziła jego włosy, próbując go uspokoić, jakby był jednym z jej dzieci. — Ja to dostrzegam, ale tylko dlatego, że jesteśmy sobie bliscy. Oni widzą jedynie współczucie.

— Ideał jeden wie, jak bardzo próbuję z tym walczyć, ale jeszcze nigdy w życiu nie widziałem takich potworności. — Wyślizgnął się z jej troskliwych objęć i ruszył przed siebie. — U nas na Takis nie toleruje się kalectwa. W wielkich domach zniekształcone dzieci eliminuje się tuż po urodzeniu. — Blythe wydała zdławiony dźwięk, a gdy się odwrócił, zobaczył, że przyciska dłoń do ust, jej oczy były jak ciemne, lśniące stawy w światłach latarni. — A teraz już wiesz, że jestem potworem.

— To twoja kultura jest potworna. Każde dziecko jest bezcenne, niezależnie od swego kalectwa.

— Moja siostra też tak uważała, a wtedy nasza potworna kultura zniszczyła także ją.

— Opowiedz mi.

Zaczął kreślić chaotyczne wzory na przysypanej śniegiem ławce.

— Była najstarsza z nas, starsza ode mnie o trzydzieści lat, ale byliśmy sobie bliscy. Wyszła za męża za kogoś spoza rodziny, musiał to być rzadki moment sojuszu. Jej pierwsze dziecko okazało się ułomne i zostało wyeliminowane. Jadlan nigdy się z tym nie pogodziła i popełniła samobójstwo kilka miesięcy później. — Przesunął ręką po ławce, wymazując wzory. — Wtedy zacząłem się zastanawiać nad porządkiem naszego społeczeństwa. A potem podjęto decyzję, by przetestować eksperymentalny wirus na Ziemi i to był koniec. Nie mogłem tego dłużej tolerować.

— Twoja siostra musiała być wyjątkowa, tak samo jak ty.

— Mój kuzyn twierdzi, że to przez domieszkę sennariańskiej krwi. To gen recesywny, który — jego zdaniem — powinien był wyginąć dawno temu... Ale chyba strasznie cię zanudzam tym wykładem o dziedziczeniu. W duchu szcękasz zębami z zimna. Chodźmy do domu.

— Nie, najpierw to wyjaśnijmy. — Tym razem nie udawał, że nie rozumie. — Mogę ci pomóc i nalegam, byś pozwolił mi dzielić swoje życie. Daj mi swój umysł.

— Nie, to w sumie byłoby aż osiem tożsamości. To za dużo.

— Ja to ocenię. Jak dotąd doskonale radzę sobie z siedmioma.

Tachion prychnął lekceważąco, a Blythe aż zeszywniała z oburzenia.

— Tak, doskonale poradziłaś sobie z nimi w lutym, gdy Teller i Oppenheimer w najlepsze kłócili się o bombę wodorową, a ty tkwiłaś jak zombie pośrodku pokoju?

— Tym razem będzie inaczej. Ty mnie kochasz, twój umysł mnie nie skrzywdzi. A po pracy... Gdy będę знаła twoje wspomnienia, to nie będziesz już czuł się samotny.

— Nie byłem samotny, odkąd cię poznałem.

— Kłamczuch. Wiem, jak czasem wpatrujesz się w przestrzeń i jakie smutne tony wyciągasz na skrzypcach, gdy myślisz, że nie słyszę. Pozwól, żebym zapewniła ci namiastkę domu. — Położyła mu palec na ustach. — Nie kłóć się.

A zatem ustąpił, bardziej z miłości niż z rzeczywistego uznania dla jej argumentów. Tej nocy, gdy jej nogi zacisnęły się wokół niego, a paznokcie orały spocone plecy, w tej samej chwili, gdy on dochodził, ona sięgnęła szybko i wessała jego umysł.

Przez chwilę powróciło to straszne uczucie gwałtu, kradzieży, krzywdy, a potem było już po wszystkim i z lustra jej umysłu spjrzały na niego dwie twarze. Ukochany, miękki i kobiecy dotyk — Blythe, a obok niego przerażająco znajomy, równie ukochany obraz — jego samego.



— Niech ich wszystkich szlag! — Tachion miotał się po przedsionku, co jakiś czas celując w Prescottta Quinna wyciągniętym palcem. — To oburzające, nieprawdopodobne, by wzywać nas w taki sposób. Jak oni śmiać? Jakim prawem wyciągają nas z domu i wzywają do Waszyngtonu z dwugodzinnym wyprzedzeniem?

Quinn głośno pociągnął z fajki.

— Prawem zwyczaju. To członkowie Kongresu, a Komisja ma prawo wzywać i przesłuchiwać świadków. — Był starszym, krępy męczyzną z imponującym brzuchem, mocno napinającym czarną kamizelkę i łańcuszek od zegarka, do którego przyczepiony był kluczyk — symbol Towarzystwa Phi Beta Kappa.

— W takim razie niech nas wezwą, przesłuchają i dadzą nam spokój! Przylecieliśmy tu wczoraj, tylko po to, by się dowiedzieć, że posiedzenie zostało odroczone, a teraz każą nam czekać trzy godziny!

Quinn burknął coś pod nosem i potarł białe, krzaczaste brwi.

— Młody człowieku, jeśli uważa pan to za długie oczekiwanie, to musi się pan jeszcze wiele dowiedzieć na temat federalnego rządu.

— Tach, usiądź i napij się kawy — mruknęła Blythe. Miała na sobie czarną szydełkową suknię, kapelusz z woalką i rękawiczki. Była blada, ale opanowana.

Do przedsionka wszedł David Harstein, a dwóch marines stojących na straży obrzuciło go podejrzliwym spojrzeniem.

— Dzięki Bogu, jakiś rozsądny umysł w tej paszczy szaleństwa.

— David, kochanie. — Blythe gorączkowo chwyciła go za ramiona. — Wszystko w porządku? Jak było wczoraj?

— W porządku... nie licząc faktu, że ten nazista Rankin bez przerwy mówił o mnie per „żydowski dżentelmen z Nowego Jorku”. Pytali mnie o Chiny, powiedziałem, że zrobiłem, co tylko mogłem, żeby wynegocjować porozumienie między Mao i Chiangiem. Oczywiście przytaknął. Potem zasugerowałem, żeby zakończyli te przesłuchania, na co też się zgodzili, przy

dźwiękach wiwatów i oklasków...

— A potem wyszedłeś z sali — przerwał Tachion.

— Tak. — David zwiesił ciemną czuprynę i wpatrzył się w splecione dłonie. — Teraz budują dla mnie szklaną kabinę i planują mnie wezwać ponownie. Niech ich jasna cholera!

Jakiś wyniosły urzędnik zawołał, że komisja pragnie teraz przesłuchać panią Blythe van Renssaeler. Kobieta podskoczyła nerwowo, torebka upadła na podłogę. Tachion podniósł ją i przycisnął policzek do policzka Blythe.

— Uspokój się, kochana. Żaden z nich nie jest dla ciebie godnym przeciwnikiem. I nie zapominaj, że jestem z tobą. — Uśmiechnęła się lekko. Quinn wziął ją pod ramię i odprowadził do sali. Przez ułamek sekundy zobaczyli plecy dziennikarzy, kamery i ostry blask reflektorów. Potem drzwi zamknęły się z głuchym stukotem.

— Partyjkę? — zaproponował David.

— Czemu nie.

— Nie przeszkadzam? Może wolałbyś układać swoje zeznanie?

— Jakie zeznanie? Ja nie wiem nic o Chinach.

— Kiedy cię wezwali?

— Wczoraj po południu, koło pierwszej.

— To wszystko jeden wielki szwindel — warknął Posłaniec, okazując kompletny brak dyplomacji i gwałtownie przesunął pionka królowej na D4.

Wciąż jeszcze rozgrywali partię, gdy Blythe i Quinn wrócili z sali. Plansza poleciała na bok, gdy Tachion zerwał się na nogi, ale David nawet go nie zganił. Blythe była blada jak śmierć i chwiała się na nogach.

— Co oni ci zrobili? — spytał ostro Tachion.

Kobieta nie odpowiedziała, po prostu drżała w jego objęciach jak zranione zwierzę.

— Doktorze, to trochę wykracza poza sprawę Chin. Musimy pomówić.

— Za chwilę. — Pochylił się nad Blythe i przycisnął jej usta do skroni. Czuł, jak łomocze jej puls. Szybko wślizgnął się pod jej osłonę i wysłał uspokajającą falę. Zadrżała po raz ostatni i zluzowała uścisk dłoni, w których trzymała klapy jego brzaskwiniowego płaszcza.

— Usiądź z Davidem, kochanie. Muszę pomówić z panem Quinnem. — Wiedział, że traktuje ją z góry, ale stres mógł zniszczyć tę delikatną konstrukcję, którą wzniosła, by oddzielić od siebie konkurujące osobowości, a nawet podczas tego krótkiego kontaktu zauważył, że budowla się wali.

Prawnik odciągnął go na bok.

— Chiny to tylko pretekst — oznajmił. — Teraz chodzi im przede wszystkim o wirusa. Komisja chyba wbiła sobie do głowy, że asowie to sabotażyści. Ich stosunek do asów może wpłynąć na ogólną percepcję społeczną.

— Doktor Tachion! — zawołał urzędnik. Quinn uciszył go machnięciem ręki.

— To absurd!

— A jednak teraz wreszcie rozumiem, co tu robimy. Doradzam, by powołał się pan na piątą poprawkę.

— Co to oznacza?

— Że odmawia pan odpowiedzi na jakiegokolwiek pytania. Włącznie z pytaniem o imię. Przedstawienie się bywało już interpretowane jako zrzeczenie się ochrony piątej poprawki.

Tachion wyprostował się na pełną, niezbyt imponującą, wysokość.

— Nie boję się tych ludzi, panie Quinn, i nie zamierzam oczerniać się milczeniem. Położymy kres tej farsie!

Sala stanowiła prawdziwy tor przeszkód złożony z reflektorów, krzeseł, stołów, ludzi i pełzających kabli. W pewnej chwili potknął się o przewód i zaklął pod nosem. Na moment Kapitol zniknął, a przed oczami ukazała się olbrzymia sala balowa Ilkazamów oświetlona żyrandolami, usłyszał głosy rodziny i przyjaciół, a sam stał na parkiecie, w samym środku układu Zdziwionej Księżniczki. Z powodu jego błędu cały korowód tancerzy musiał się zatrzymać, a poprzez muzykę usłyszał nosowy głos swojego kuzyna Zabba, tłumaczącego mu bardzo szczegółowo, w którym kroku się pomylił. Krew uderzyła mu do twarzy, pot wystąpił nad wargą. Wyjął z kieszeni chustkę i otarł twarz, po czym spostrzegł, że nie jest to tylko efekt złych wspomnień, bo w całej sali było potwornie gorąco.

Siadając na twardym, drewnianym krześle, zauważył obok szklaną kabinę wybudowaną dla Davida. Wznosiła się nad nim złowróźnie, niczym na wpół wykończona szubienica. Szybko przeniósł wzrok na tych dziewięciu mężczyzn, którzy mieli czelność osądzać jego i jego *genamiri*. Wyróżniały ich jedynie ponure, zacięte miny, poza tym przypominali po prostu grupkę mężczyzn, starszych lub w średnim wieku, ubranych w ciemne, źle dobrane garnitury. Przybrał minę królewskiej pogardy i odchylił się na krześle, by samą postawą zadać kłam ich wszechwładzy.

— Naprawdę żałuję, że nie posłuchał mnie pan w kwestii ubioru — mruknął Quinn, otwierając teczkę.

— Powiedział pan, żebym ubrał się elegancko. Tak zrobiłem.

Quinn zmierzył wzrokiem płaszcz i spodnie w kolorze bladobrzoskwiniowym, kamizelkę haftowaną zielenią i złotem i wysokie buty ze złotymi frędzlami.

— Czerni byłaby lepsza.

— Nie jestem robotnikiem!

— Proszę podać nazwisko — oznajmił przewodniczący Wood, nie podnosząc wzroku znad papierów.

Obcy pochylił się do mikrofonu.

— Na tym świecie jestem znany jako doktor Tachion.

— Prawdziwe nazwisko w pełnym brzmieniu.

— Na pewno tego pan chce?

— Czy w przeciwnym razie zadałbym to pytanie? — burknął Wood z irytacją.

— Jak pan sobie życzy. — Z lekkim uśmiechem Tachion zaczął recytować swoją genealogię: — Tisianne brant Ts'ara sek Halima sek Ragnar sek Omian. Na tym kończy się linia mojej matki. Omian to nowy nabytek klanu Ilkazam, przez nią spowinowaceni jesteśmy z klanem Zaghoul. Moim dziadkiem ze strony matki był Taj brant Parada sek Amurath sek Ledaa sek Shahriar sek Naxina. Jego z kolei spłodził Bakonur brant Sennari...

— Dziękuję. — Przerwał pospiesznie Wood. Spojrzał na swoich kolegów. — Może dla potrzeb tego przesłuchania możemy posługiwać się jego kryptonimem?

— Pseudonimem — poprawił słodko Tachion i z przyjemnością spojrzał na zaczerwienioną twarz przewodniczącego.

Potem nastąpiło kilka pokrętnych i bezsensownych pytań o to, gdzie mieszka i gdzie pracuje,

a następnie pałeczkę przejął John Rankin z Missisipi.

— Z tego, co rozumiem, doktorze, nie jest pan obywatelem Stanów Zjednoczonych Ameryki.

Tachion z niedowierzaniem zerknął na Quinna. Wśród zebranych dziennikarzy rozległy się szmery.

— Nie.

— A zatem jest pan obcym.

— Nie da się ukryć — wycedził Tachion. Odchylił się na oparcie i zaczął bawić się krawatem.

Wystąpił kongresmen z Dakoty Południowej.

— Czy dostał się pan na teren kraju w sposób nielegalny?

— W White Sands nie było żadnego urzędu imigracyjnego, zresztą miałem wtedy bardziej naglące sprawy na głowie.

— Ale czy w ciągu kolejnych lat nie wystąpił pan o nadanie obywatelstwa amerykańskiego?

Krzesło zazgrzytało po podłodze, gdy Tachion zerwał się na nogi.

— Ideale, daj mi cierpliwość! To absurd. Nie mam zamiaru starać się o obywatelstwo waszego kraju. Podoba mi się wasz świat i nawet gdyby mój statek był gotów do podróży hiperprzestrzennej, pozostałbym tu przez dłuższy czas, ponieważ mam pacjentów, którzy potrzebują opieki. Ale nie mam czasu ani ochoty pogrążyć się ku uciesze tego żalostnego trybunału. Proszę kontynuować swoje gierki, ale beze mnie...

Quinn siłą ściągnął go na krzesło i przykrył mikrofon ręką.

— Rób tak dalej, a obejrzysz sobie nasz świat zza granic więzienia federalnego! — syknął.

— Pogódź się z tym, ci ludzie mają nad tobą władzę i są gotowi jej użyć. A teraz przeprosz za swoje zachowanie i zobaczymy, co da się z tego uratować.

Tachion przeprosił, ale nie wypadło to przekonująco. Przesłuchanie kontynuowano, aż w końcu Richard Nixon przeszedł do sedna sprawy.

— Z tego, co rozumiem, doktorze, pańska rodzina opracowała szczep wirusa, który pozbawił życia tak wielu naszych obywateli. Czy mam rację?

— Tak.

— Słucham?

Tachion odkaslnął i powtórzył, tym razem wyraźniej.

— Tak.

— A zatem przybył pan...

— Żeby zapobiec uwolnieniu go w atmosferze.

— Jakie ma pan dowody na potwierdzenie tych słów? — spytał Rankin.

— Logi mojego statku zawierające zapis rozmowy z załogą drugiego statku.

— Czy może pan dostarczyć te logi?

— Są na pokładzie statku.

Na podwyższenie pospiesznie wbiegł urzędnik i nastąpiła krótka narada.

— Według raportów pański statek okazał się odporny na wszystkie próby otwarcia.

— Taki otrzymał rozkaz.

— Czy wyda pan rozkaz otwarcia, by funkcjonariusze Sił Powietrznych mogli wydobyć z niego logi?

— Nie. — Przez chwilę patrzyli sobie w oczy. — Czy otrzymam swój statek z powrotem, żebym sam mógł przynieść te logi?

— Nie.

Tachion znów odchylił się w tył i wzruszył ramionami.

— I tak niewiele byłoby z nich pożytku, nie rozmawialiśmy po angielsku.

— A ci inni obcy? Czy możemy ich przesłuchać? — Rankin skrzywił się, jakby patrzył na coś szczególnie śliskiego i nieprzyjemnego.

— Obawiam się, że nie żyją. — Głos załamał mu się lekko, gdy zmagął się z poczuciem winy, które wciąż wywoływały te wspomnienia. — Nie doceniłem ich uporu. Próbowali walczyć z wiązką przechwytną, ich statek rozpadł się w atmosferze.

— Bardzo wygodnie się składa. Tak bardzo, iż można się nawet zastanawiać, czy przypadkiem nie zostało to tak zaplanowane.

— To porażka Śmiga doprowadziła do uwolnienia wirusa.

— Nie waż się oczerniać imienia naszego bohatera! — wykrzyknął Rankin, natychmiast wchodząc w swój tryb kaznodziejski. — Oświadczam przed tą komisją, na oczach tego narodu, że przybyłeś na naszą planetę, by studiować wyniki waszego nikczemnego eksperymentu. Pozostali kosmici mieli odegrać rolę kamikaze, gotowych zginąć, żebyś ty mógł odegrać rolę bohatera, żyć pośród nas i cieszyć się szacunkiem. Tymczasem w tajemnicy próbujesz sabotować nasz kraj, wykorzystując niebezpieczny element...

— Nie! — Tachion zerwał się na nogi i wsparł rękami o stół. — Nie ma na świecie nikogo, kto bardziej ode mnie żałowałby tego, co się stało we wrześnie czterdziestego szóstego. Tak, poniosłem klęskę... Nie powstrzymałem statku moich krewnych, nie odnalazłem kuli, nie przekonałem władz o skali zagrożenia, nie pomogłem Śmigowi i muszę żyć z tą porażką! Teraz mogę tylko zaoferować siebie... moje talenty i doświadczenie, by odwrócić to, co się stało... Tak mi przykro... tak bardzo mi przykro... — Przerwał, bo głos zamarł mu w gardle i z wdzięcznością napił się wody podsunętej przez Quinna.

Ciepło i zaduch panujące w sali zdawały się żywą istotą, wijącą się wokół niego, odbierającą oddech, aż kręciło mu się w głowie. Siłą woli nakazał sobie spokój, postanowił, że nie zasłabnie. Wyjął z kieszeni chusteczkę i przetarł oczy, a wtedy zorientował się, że popełnił kolejny błąd. Mężczyźni w tej kulturze musieli ukrywać emocje. Właśnie naruszył kolejne tabu. Zgarbił się na krześle.

— Jeśli rzeczywiście żałuje pan tego, co się stało, proszę dowieść tego przed komisją. Proszę podać pełną listę tak zwanych „asów”, których leczył pan osobiście albo tylko słyszał o ich istnieniu. Nazwiska, a w miarę możliwości także adresy i...

— Nie.

— Przysłużyłby się pan w ten sposób swojemu krajowi.

— To nie jest mój kraj i nie zamierzam pomagać w tej nagonce.

— Przebywa pan w tym kraju nielegalnie. Niewykłuczone, że w interesie naszych obywateli powinniśmy pana deportować. A zatem na pana miejscu przemyślałbym swoją odpowiedź bardzo dokładnie.

— Nie muszę się nad tym zastanawiać... Nie mogę złamać tajemnicy lekarskiej.

— Komisja nie ma więcej pytań.



Przy wejściu do Kapitolu czekał na nich blady mężczyzna o ostrych rysach twarzy.

Blythe jęknęła cicho i uczepliła się ramienia Tachiona.

— Witaj, Henry — mruknął Quinn, a obcy zdał sobie sprawę, że oto stoi przed nim mąż kobiety, z którą dzielił łożę od dwóch i pół roku.

Wyglądał znajomo. Tachion widywał go za każdym razem, gdy łączył się z Blythe telepatycznie lub fizycznie. To prawda, zamknęli go w nieużywanym kącie umysłu, jak niepotrzebny grat na zakurzonym strychu, ale jego umysł mimo wszystko wciąż znajdował się w pobliżu i nie był to zbyt przyjemny umysł.

— Witaj, Blythe.

— Henry...

Mężczyzna zmierzył Tachiona lodowatym wzrokiem.

— Jeśli pan pozwoli, chciałbym porozmawiać z żoną.

— Nie, proszę, nie zostawiaj mnie! — Blythe czepiała się płaszcza Tachiona, a on delikatnie rozwarł palce dłoni, nim zdołała całkiem pognieść materiał, i ujął jej dłoń.

— Nie, chyba nie pozwolę.

Kongresmen chwycił go za ramię i odepchnął brutalnie. Popęłnił błąd. Tachion nie był wysoki, ale szkolił się u jednego z najlepszych nauczycieli samoobrony na Takis i jego reakcja była bardziej odruchowa niż świadoma. Nie zawracał sobie głowy zawiłościami sztuk walki, po prostu wyrzucił w górę kolano, uderzając van Renssaelera w jądra, a gdy przeciwnik zgiął się wpół, obcy walnął go pięścią w twarz. Kongresmen zwałił się na chodnik, a Tachion posażł kostki palców.

Blythe patrzyła wokół rozbieganym wzrokiem, a Quinn marszczył brwi niczym białowłosy Zeus. Kilka osób podbiegło, by pomóc kongresmenowi. Prawnik pierwszy otrząsnął się z szoku i szybko sprowadził ich ze schodów.

— To był cios poniżej pasa — burknął, zatrzymując taksówkę. — To niesportowe kopać kogoś w jaja.

— Nie interesuje mnie sport. Walczy się po to, żeby wygrać.

— Jeśli tak postępuje się na waszej planecie, to musi być dziwny świat. — Quinn znów burknął pod nosem. — A gdybyśmy jeszcze mieli za mało kłopotów, to Henry na pewno pozwie pana o czynną napaść i uszkodzenie ciała.

— A zatem uznajmy, że nadal będziemy korzystać z twoich usług, Prescott. — Blythe uniosła rękę z ramienia Tachiona. Siedziała na tylnym fotelu, wciśnięta pomiędzy obu mężczyzn, a Tachion czuł, że wciąż drży na całym ciele.

— Może powinnaś złożyć podanie o rozwód. Nie wiem, czemu jeszcze tego nie zrobiłaś.

— Ze względu na dzieci. Wiedziałam, że jeśli rozwiodę się z Henrym, już nigdy ich nie zobaczę.

— Ale teraz to przemyśl.

— Dokąd jedziemy?

— Do Mayflower. Ładny hotel, na pewno wam się spodoba.

— Lepiej jedźmy na dworzec. Wracamy do domu.

— Odradzam. Przeczucie mówi mi, że to jeszcze nie koniec, a ono rzadko się myli.

— Przecież już złożyliśmy zeznania.

— Ale teraz mają przesłuchać jeszcze Earla i Jacka, a Harstein musi złożyć powtórne zeznania. Niewykluczone, że wezwą was ponownie, żeby coś doprecyzować. Zaczekajmy na oficjalny koniec. Jeśli się nie mylę, to oszczędzicie sobie jeżdżenia w tę i z powrotem.

Tachion niechętnie przyznał mu rację. Oparł się na fotelu i zapatrzył w okno.

W niedzielę wieczorem miał już serdecznie dość Waszyngtonu, dość hotelu i dość ponurych przewidywań Quinna. Blythe próbowała udawać, że przyjechali tu na romantyczne wakacje i ciągała go za sobą po całym mieście, by oglądać marmurowe budynki i jakieś posągi, ale jej fantazja rozpadła się na kawałki w piątek wieczorem, gdy David został oskarżony o obrazę Kongresu, a jego sprawę przekazano do rozpatrzenia wielkiej ławie przysięgłych.

Chłopak siedział w ich apartamencie, miotając się pomiędzy wiarą we własną niewinność a strachem, że zostanie skazany. Druga możliwość zdawała się bardziej prawdopodobna, ponieważ za drugim razem potwornie obraził komisję, porównując ich do hitlerowskiej kliki. Klimat polityczny nie był obecnie zbyt łagodny. Tachion na zmianę pacyfikował Davida i jego mordercze plany wobec komisji i uspokajał Blythe, która właściwie straciła znajomość angielskiego i mówiła wyłącznie po niemiecku.

W dodatku ich apartament przeżywał prawdziwe oblężenie. Zewsząd dobijali się dziennikarze, których nie odstraszył nawet drastyczny los kolegi, którego Blythe oblała gorącą kawą, gdy próbował wejść do środka, udając pracownika obsługi hotelowej. Tylko Quinn miał prawo wstępu do tej fortecy, a emanował takim pesymizmem, że Tachion miał ochotę wypchnąć go przez okno.

Teraz, gdy na wschodzie zaczynał różowieć świt, leżał, nasłuchując równego bicia serca Blythe i cichego oddechu, gdy leżała przytulona do niego. Tej nocy kochali się długo i gorączkowo, jakby obawiała się, że go traci. On też się zaniepokoił, ponieważ odkrył przy tym poważny przeciek pomiędzy poszczególnymi osobowościami. Próbował namówić Blythe, by zbudowała nową osłonę, ale była na to zbyt roztrzęsiona. Tylko odpoczynek i spokój mogły ją przywrócić do równowagi, Tachion przysiągł więc, że niezależnie od poczynań komitetu jeszcze tego dnia wyjadą z Waszyngtonu.

O pierwszej w nocy wyrwało go z łóżka łomotanie do drzwi. Oszołomiony, nie pomyślał nawet, by poszukać szlafroka, po prostu owinał się narzutą i podszedł do drzwi. Stał tam Quinn, a wyraz jego twarzy sprawił, że Tachion natychmiast otrząsnął się z senności.

— Co się stało?

— Najgorsze? Braun was sprzedał.

— Hę?

— Sprzyjający świadek. Rzucił was na pożarcie wilkom, byle tylko ratować siebie. — Tachion opadł na krzesło. — To nie wszystko. Znow chcą przesłuchać Blythe.

— Kiedy? Po co?

— Jutro, zaraz po Earlu. Jack bardzo skrupulatnie odnotował, że oprócz von Brauna i Einsteina, i reszty tych jajogłowych, wchłonęła także twoje wspomnienia. Chcą poznać nazwiska innych asów, a jeśli nie będą mogli ich wydobyć od ciebie, to wezmą się za nią.

— Nic im nie powie.

— Może pójść do więzienia.

— Nie... to niemożliwe... przecież jest kobietą.

Adwokat tylko potrząsnął głową.

— Zrób coś. Ty tu jesteś prawnikiem. To ja odmówiłem zeznań, niech mnie zamkną.

— Jest jeszcze jedna możliwość.

— Jaka?

— Powiedz im to, co chcą usłyszeć.

— Nie ma takiej możliwości. Nie dopuść do tego, by ją tam wezwali.

Starszy mężczyzna westchnął przeciągle i podrapał się po głowie, aż białe włosy stanęły mu na sztorc, niczym kolce rozzłoszczonego jeżozwierza.

— Zobaczę, co da się zrobić.



Nie dało się zrobić nic i we wtorek rano byli z powrotem na Kapitolu. Earl wmaszerował do środka, powołał się na piątą poprawkę i wymaszerował z miną pełną głębokiej pogardy. Po komisji pełnej białych ludzi nie spodziewał się niczego dobrego i nie był zaskoczony. Potem nadeszła kolej na Blythe. Tachion wszedł wraz z nią. Dwóch strażników przy drzwiach próbowało go zatrzymać. Wiedział, że postępuje niesprawiedliwie, odgrywając się na niewłaściwych osobach, ale próba rozdzielenia go z Blythe kompletnie zburzyła jego samokontrolę. Brutalnie chwycił ich umysły i kazał im zasnąć — obaj zachrapali, jeszcze zanim upadli na podłogę. Ten pokaz mocy zrobił silne wrażenie na kilku obserwatorach i szybko znaleźli mu miejsce z tyłu sali pomiędzy dziennikarzami. Próbował usiąść obok Blythe, ale tym razem zainterweniował Quinn.

— Nie, twoja obecność zadziałałaby jak czerwona płachta na byka. Zajmę się nią.

— Nie chodzi tylko o te kwestie prawne. Jej umysł... jest teraz bardzo kruchy. — Wskazał głową na Rankina. — Nie pozwól mu nią pomiatać.

— Spróbuję.

— Kochana. — Położył jej dłonie na ramionach. Wydały mu się kościste i chude, a gdy uniosła twarz, jej oczy wyglądały jak dwa ciemne sińce w bladej twarzy. — Pamiętaj, ich wolność i bezpieczeństwo zależy od ciebie. Nic im nie mów, proszę.

— Nie martw się, nie powiem — odparła z mocą, jakby wrócił jej cień dawnej siły. — To także moi pacjenci.

Patrzył, jak Blythe odchodzi, wspierając się lekko na ramieniu Quinna, i nagle chwycił go strach. Chciał pobiec za nią, objąć ją raz jeszcze. Zastanawiał się, czy była to manifestacja jego chaotycznych zdolności prekognicyjnych, czy tylko wpływ jej rozdygotanego umysłu?

— Pani van Renssaeler, na początek chcielibyśmy ustalić chronologię wydarzeń — oznajmił Rankin.

— Dobrze.

— Kiedy odkryła pani, że posiada nadnaturalne moce?

— W lutym 1947 roku.

— A kiedy opuściła pani swojego męża, kongresmena Henry'ego van Renssaelera? — Z naciskiem wymówił słowo „kongresmena”, zerkając przy tym na swoich kolegów, by zobaczyć ich reakcję.

— Nie opuściłam, to on wyrzucił mnie z domu.

— Cóż, może dlatego, że romansowała pani z innym mężczyzną, który w dodatku nie jest nawet człowiekiem?

— To nieprawda! — wykrzyknęła Blythe.

— Protestuję! — zawołał w tej samej chwili Quinn. — To nie sprawa rozwodowa...

— Nie ma pan żadnych podstaw, by protestować, panie Quinn. Pozwolę też przypomnieć panu, że nasza komisja uznaje czasem za stosowne zbadać także historię obrońców. Ktoś mógłby się zastanawiać, dlaczego postanowił pan reprezentować wrogów naszego narodu.

— Ponieważ prawo anglosaskie przewiduje wyraźnie, iż oskarżony może korzystać z pomocy kogoś, kto ochroni go przed straszliwą potęgą rządu federalnego...

— Dziękuję, panie Quinn, ale nie potrzeba nam tu wykładu z filozofii prawa — przerwał przewodniczący Wood. — Panie Rankin, proszę kontynuować.

— Dziękuję, panie przewodniczący. Zostawmy to na razie. Kiedy została pani członkinią tak zwanej „Czwórki Asów”?

— Chyba w marcu.

— Czterdziestego siódmego?

— Tak. Archibald wyjaśnił mi, że mogłabym wykorzystać swoją moc, by zachować bezcenną wiedzę, i skontaktował się z kilkoma uczonymi. Zaczęłam...

— Wysłysać im umysły.

— To nie działa w ten sposób.

— Czyż to nie obrzydliwe, tak pożerać czyjąś wiedzę i zdolności niczym jakiś wampir? Poza tym to oszustwo. Natura nie obdarzyła pani wybitnym umysłem, nie osiągnęła pani swojej wiedzy za pomocą nauki i pracy. Pani po prostu okrada innych.

— Wszyscy ci ludzie dobrowolnie wyrazili zgodę. Nigdy nie zrobiłabym tego bez pozwolenia.

— A czy kongresmen van Renssaeler udzielił pani pozwolenia?

Tachion usłyszał, że głos kobiety robi się niższy, jakby mówiła przez ściśnięte gardło.

— To co innego. Wtedy jeszcze nie umiałam tego kontrolować...

Schowała twarz w dłoniach.

— A zatem przejdźmy dalej. Doszliśmy do momentu, gdy opuściła pani swego męża i dzieci — dodał konwersacyjnym tonem, jakby przez wzgląd na innych członków komisji. — Uważam to za skandaliczne, by kobieta w ten sposób wyrzekała się swej naturalnej roli. Ale to oczywiście na marginesie...

— Nie opuściłam swojej rodziny — przerwała Blythe.

— Semantyka. — Rankin zbył ją lekceważąco. — Kiedy to było?

Blythe zgarbiła się w krześle.

— Dwudziestego trzeciego sierpnia 1947 roku.

— A gdzie mieszkała pani od tego czasu? — Blythe milczała. — Proszę odpowiedzieć. Zgodziła się pani odpowiadać na pytania komisji. Nie może się pani teraz wycofać.

— Przy Central Park West, pod numerem sto siedemnastym.

— A do kogo należy do mieszkanie?

— Do doktora Tachiona — szepnęła. Wśród dziennikarzy poniósł się szmer — Blythe i Tachion bardzo kryli się ze swoim związkim. Tylko pozostała trójka asów i Archibald Holmes

wiedzieli o ich sytuacji.

— A zatem po kradzieży umysłu swego męża opuściła go pani i zamieszkała z obcym z innej planety, na której stworzono wirus, dzięki któremu zyskała pani te moce. Wszystko układa się w spójny obrazek. — Kongresmen pochylił się i ryknął: — Proszę słuchać uważnie i odpowiadać na pytania, bo pani sytuacja jest nie do pozazdroszczenia! Czy wchłonęła pani umysł i wspomnienia doktora Tachiona.

— T-tak...

— I pracowała pani z nim?

— Tak. — Jej odpowiedzi były ledwie słyszalne.

— I przyznaje pani, że Archibald Holmes stworzył zespół Czwórki Asów jako grupę sabotażystów, której zadaniem było podkopywać pozycję lojalnych sojuszników Stanów Zjednoczonych?

Blythe obróciła się na krzesło. Dłonie zacisnęły się gorączkowo wokół oparcia, wzrok desperacko wędrował po zatłoczonej sali. Jej twarz wykrzywiła się konwulsyjnie, jakby próbując przybrać inne rysy, jej umysł emitował biały szum. Tachion poczuł, że wwierca mu się w mózg, i szybko podniósł osłony.

— Czy pani mnie słucha? Lepiej, żeby tak było. Zaczynam podejrzewać, że pani wampirze moce stanowią zagrożenie dla naszego kraju. Może lepiej będzie wsadzić panią do więzienia, zanim sprzeda pani skradzioną wiedzę wrogom naszego narodu.

Blythe trzęsa się tak gwałtownie, że ledwie mogła usiedzieć na krzesle, łzy spływały jej po twarzy. Tachion zerwał się na nogi i zaczął przeciskać się przez tłum oddzielający go od świadka.

— Nie, proszę... Zostawcie mnie! — Kobieta objęła się rękami i zaczęła kołysać się rytmicznie.

— Proszę podać nazwiska!

— Dobrze... dobrze — wykrztusiła. Rankin usiadł z powrotem na krzesle, wystukując długopisem krótki, triumfalny rytm. — Po pierwsze, Croyd...

Tachion miał wrażenie, że czas zwolnił, rozciągnął się w nieskończoność, prawie że stanął. Od Blythe wciąż dzieliło go kilka rzędów ludzi, a on podjął decyzję w tej nieskończonej długiej sekundzie. Jego umysł wystrzelił naprzód, przygważdżając umysł Blythe jak motyla. Kobieta zamilkła gwałtownie, zakrztusiła się, jakby próbując chwycić oddech. Miał wrażenie, że trzyma płatek śniegu albo jakąś delikatną szklaną rzeźbę. Poczuł, jak cała konstrukcja umysłu rozpada się niczym domek z kart, a potem Blythe runęła gdzieś w dół, w jakąś ciemną i straszliwą studnię. Pozostałe osobowości, wreszcie uwolnione z niewoli, wpadły w amok. Chichotały, paplały, pozowały, wygłaszały wykłady, zdawało się, że mkną po jej nerwach centralnych, aż całe ciało kobiety zadrgało jak oszalała pacynka. Wylały się z niej potoki słów, matematyczne formuлки, wykłady po niemiecku, stare spory pomiędzy Tellerem i Oppenheimerem, przemowy na wiecach wyborczych i takizjańskie frazy, wszystko wymieszane w jednym kipiącym kotle.

Gdy tylko poczuł, że osłona się rozpada, wypuścił Blythe, ale było już za późno. Odpychał na boki krzesła i ludzi, aż w końcu przypadł do niej i złapał ją w objęcia. W sali zapanował chaos. Wood walił młotkiem w stół, reporterzy krzyczeli i przepychali się naprzód, a Blythe wciąż trajkotała. Tachion sięgnął ku niej i siłą woli odebrał jej przytomność. Bezwładnie zwisała w jego ramionach, a w sali zapadła upiorna cisza.

— Zakładam, że komisja nie ma więcej pytań? — Jego głos zabrzmiał chrapliwie, bijąca z niego nienawiść była prawie namacalna.

Dziewięciu mężczyzn poruszyło się niespokojnie. W końcu Nixon ledwie słyszalnym głosem wymamrotał:

— Nie ma więcej pytań.



Kilka godzin później siedział w mieszkaniu, kołysząc Blythe w ramionach i mrużąc uspokajająco, jakby przemawiał do któregoś ze swych najmłodszych kuzynów. Umysł miał obolały od ciągłych wysiłków, by przywrócić jej zdrowie, żadna próba nie zakończyła się choćby najmniejszym sukcesem. Czuł się młody i bezradny, miał ochotę walić piętami w podłogę i wrzeszczeć jak czterolatek. W wyobraźni pojawiły się szydercze wspomnienia ojca: wielkiego, wysokiego i potężnego. On miał zarówno odpowiednie umiejętności, jak i naturalny talent, by leczyć takie przypadłości. Ale on znajdował się teraz o setki lat świetlnych stąd i nie wiedział nawet, gdzie podział się jego syn marnotrawny i spadkobierca. Rozległo się pukanie do drzwi. Tachion oparł bezwładny ciężar na lewym ramieniu i powlókł się do drzwi. Cofnął się odruchowo, gdy dostrzegł za drzwiami dwójkę policjantów i postać okutaną płaszczem. Henry van Renssaeler uniósł posiniaczoną twarz i spojrzał na Tachiona.

— Przyszedłem, by zabrać moją żonę do szpitala. Mam tu nakaz sądowy. Proszę nam ją wydać.

— Nie, nie... nie rozumiecie. Teraz tylko ja mogę jej pomóc. Nie odbudowałem jeszcze konstrukcji, ale dam radę. Potrzeba tylko trochę czasu.

Potężnie zbudowani funkcjonariusze wystąpili naprzód i delikatnie, lecz nieustępliwie wyrwali Blythe z jego objęć. Potykając się, ruszył za nimi po schodach. Blythe zwiślała bezwładnie w ramionach policjanta. Van Renssaeler nie próbował jej nawet dotknąć.

— Tylko trochę czasu! — Tachion płakał. — Proszę, dajcie mi trochę czasu.

W końcu padł na kolana, czepiając się barierki, gdy przybysze zniknęli za drzwiami do budynku.



Odkąd zamknęli ją w szpitalu, widział ją tylko raz. Apelacja dotycząca deportowania grzęzła w kolejnych sądach, aż w końcu, widząc, że zbliża się koniec, Tachion pojechał do prywatnego sanatorium na północ od Nowego Jorku.

Nie wpuścili go do pokoju. Mógł co prawda zmienić ich decyzję, manipulując umysłami, ale od czasu tamtego straszego dnia nie był w stanie używać swoich mocy. A zatem tylko zajrzał przez niewielkie okienko wycięte w ciężkich drzwiach i spojrzał na kobietę, której już nie poznawał. Włosy opadały jej w strąkach na wykrzywioną spazmami twarz, a ona chodziła w kółko po małym pokoiku, wciąż wygłaszając wykłady. Głos miała niski i ochryply, najwyraźniej struny głosowe zostały uszkodzone ciągłym obniżaniem głosu do męskiego tembru.

Nie mogąc się powstrzymać, sięgnął telepatycznie, ale chaos jej umysłu zepchnął go z powrotem. Co gorsza, na jedno krótkie mgnienie zobaczył tam Blythe, wołającą o pomoc z jakiejś ukrytej głębi. Zalało go tak straszliwe poczucie winy, że przez kilka minut wymiotował

w łazience, tak jakby torsje mogły oczyścić jego duszę.

Pięć tygodni później znalazł się na pokładzie statku płynącego do Liverpoolu.



— *Le pauvre* — powiedziała jakaś pulchna kobieta, spacerująca po parku z dwiema dziewczynkami. Zatrzymała się przed zgarbioną postacią, pogrzebała w torebce i wyjęła monetę, która z głuchym stukotem wpadła do futerału. Potem wzięła dzieci za ręce i ruszyła w drogę. Tachion podniósł monetę brudnymi palcami. Nie była warta zbyt wiele, ale mógł za to kupić kolejną butelkę wina i kolejną noc zapomnienia.

Wstał, schował instrument, podniósł lekarską torbę i wsunął gazetę pod płaszcz. Tej nocy mógł ją wykorzystać jako okrycie. Postawił kilka chwiejnych kroków, a potem znów się zatrzymał. Przełożył oba bagaże do jednej ręki i po raz ostatni spojrzął na nagłówek. Zimny, wschodni wiatr bezlitośnie szarpał papier. Tachion puścił gazetę, która z szelestem poleciała w tył. Ruszył przed siebie, nie patrząc, gdzie się zatrzymała, trzepocząc samotnie, zaczepona o żelazne nogi ławeczki. Może i było zimno, ale miał nadzieję, że wino mu pomoże.



Interludium nr 1

za: *Czerwone asy, czarne lata*,
„New Republic”, maj 1977

ELIZABETH H. CROFTON

Od tamtej pamiętnej chwili w 1950 roku, gdy podczas słynnej przemowy w Wheeling senator Joseph R. McCarthy oznajmił: „Mam w ręku listę pięćdziesięciu siedmiu dzikich kart, które w tajemnicy żyją i działają dziś w Stanach Zjednoczonych Ameryki”, nie było wątpliwości, że senator z Wisconsin na dobre zastąpił anonimową komisję HUAC jako główna twarz antykartowej hysterii, która wstrząsnęła krajem w latach pięćdziesiątych.

HUAC mogła sobie przypisać główne zasługi w zdyskredytowaniu i zniszczeniu grupy „Egzotycznych Demokratów”, zwanych też „Czwórką Asów”, najważniejszego symbolu działania wirusa (oczywiście, na każdego asa przypadało dziesięciu dzokerów, ale, podobnie jak czarnoskórzy, homoseksualiści i wariaci, należeli oni do grupy niewidzialnych ludzi, konsekwentnie ignorowanych przez społeczeństwo, które wołałoby o nich zapomnieć). Gdy rozbito Czwórkę Asów, wiele osób uważało, że cyrk dobiegł końca. Mylili się. Przedstawienie miało się dopiero zacząć, a Joe McCarthy był dyrektorem tego cyrku.

Polowanie na „Czerwonych Asów” nie przyniosło żadnych spektakularnych sukcesów na miarę odkryć HUAC, jednak działania McCarthy'ego dotknęły znacznie więcej ludzi i w przeciwieństwie do efemerycznego zwycięstwa HUAC miały długofalowe skutki. Senacka Komisja do spraw Asów i Zasobów Analogicznych (SKAZA) przyszła na świat w 1952 roku jako owoc mccarthowskich polowań, ale ostatecznie weszła na stałe w struktury Senatu. Po pewnym czasie SKAZA, podobnie jak HUAC, stała się cieniem samej siebie i kilka dekad później, pod przewodnictwem takich ludzi jak Hubert Humphrey, Joseph Montoya i Gregg Hartmann wyewoluowała w zupełnie inne zwierzę legislacyjne, jednak SKAZA pod przewodnictwem McCarthy'ego była dokładnie tym, co sugerowała jej nazwa. W latach 1952-1956 ponad dwieście osób otrzymało wezwania na przesłuchanie, często tylko na podstawie doniesień anonimowych informatorów mówiących o rzekomych demonstracjach umiejętności asowych.

Było to prawdziwe współczesne polowanie na czarownice, a świadkowie, których Joe „Tylny Strzelec” wezwał do stawienia się przed swoim obliczem za sam fakt bycia asem, podobnie jak ich duchowi przodkowie osądzani w Salem, nie mieli szans udowodnić swojej niewinności. Jak można dowieść, że nie umie się latać? Żadna z ofiar SKAZA nie zdołała udzielić satysfakcjonującej odpowiedzi na zadawane pytania. A czarna lista zawsze była otwarta dla tych, których zeznania pozostawiały coś do życzenia.

Najtragiczniejszy los spotkał tych, którzy rzeczywiście byli ofiarami dzikiej karty i otwarcie przyznali się do tego przed komisją. Najbardziej przejmująca z nich była chyba sprawa Timothy'ego Wigginsa, czy też Pana Tęczy, ponieważ pod takim pseudonimem występował na scenie.

„Jeśli ja jestem asem, to nie chciałbym zobaczyć dwójki”, powiedział Wiggins przed komisją w 1953 roku i od tego czasu słowo „dwójka” weszło do powszechnego użycia jako określenie asa, którego moce były absurdalne lub bezużyteczne. Z pewnością stało się tak w przypadku Wigginsa — pulchnego, krótkowzrocznego, niespełna pięćdziesięcioletniego kabareciarza. Nieszkodliwa moc pozwalająca zmieniać kolor skóry wywindowała jego nazwisko na drugie miejsce na plakatach reklamujących wieczory kabaretowe w małych resortach narciarskich w Catskill, gdzie grał na ukulele i chwiejnym falsetem śpiewał popularne szlagiery jak *Red, Red Robin, Yellow Rose of Texas* czy *Wild Card Blues*, przy każdym z nich odpowiednio zmieniając barwę. As czy dwójka, komisji było wszystko jedno, Pan Tęcza nie mógł liczyć na litość ze strony McCarthy'ego ani SKAZA. Wpisany na czarną listę, nie mogąc dostać angażu, Wiggins powiesił się w mieszkaniu swojej córki w Bronxie, niecałe czternaście miesięcy po złożeniu zeznania.

Inne ofiary komisji spotkał równie ponury los — po wpisie na czarną listę stracili pracę i dobrze zapowiadające się kariery, odeszli od nich przyjaciele i małżonkowie, często stracili też prawa do opieki nad dziećmi w coraz częstszych sprawach rozwodowych. W szczytowej fazie działania SKAZA odkryto przynajmniej dwudziestu dwóch asów (sam McCarthy chwalił się liczbą dwukrotnie większą, ale wliczał w to wiele spraw, gdzie rzekome „moce” stwierdzono jedynie na podstawie pogłosek, bez choćby cienia dowodu), w tym tak niebezpieczne przypadki jak gospodyni domowa z Queens, która lewitowała podczas snu, marynarz, który potrafił zagotować wodę w wannie, wkładając do niej ręce, i nauczycielka z Filadelfii zmutowana w istotę ziemnowodną (kobieta ukrywała skrzela pod ubraniem aż do dnia, gdy zdradziła swoje zdolności, wskakując do wody, by uratować tonące dziecko), a nawet przypadek włoskiego sprzedawcy warzyw, który posiadał zadziwiającą zdolność wydłużania włosów siłą woli.

Tak energiczne tasowanie kart doprowadziło w końcu do wykrycia kilku asów w pełni zasługujących na to miano, w tym Lawrence'a Hague'a, maklera o zdolnościach telepatycznych, którego zeznania wywołały panikę na Wall Street, albo tak zwanej „kobiety-pantery” z Weehawken, której metamorfoza przed kamerami przeraziła kinomanów w całym kraju. A nawet wszystko to bladło w porównaniu z przypadkiem tajemniczego mężczyzny zatrzymanego podczas okradania centrum diamentów w Nowym Jorku; przestępca miał kieszenie wypchane klejnotami i amfetaminą. Nieznany as wykazał się refleksem czterokrotnie szybszym niż u normalnego człowieka, a także niezwykłą siłą i odpornością na pociski z broni krótkiej. Broniąc się przed aresztowaniem, cisnął policyjny radiowóz na odległość przecznicy, raniąc kilkanaście osób, aż w końcu został obezwładniony gazem łzawiącym. SKAZA natychmiast wydała wezwanie, ale niezidentyfikowany mężczyzna zapadł w głęboki sen, podobny do śpiączki, zanim zdążono go przesłuchać. Ku wielkiemu niezadowoleniu McCarthy'ego nie dało się go obudzić przez osiem miesięcy, aż w końcu któregoś dnia rano okazało się, że jego specjalnie wzmocniona, pilnie strzeżona cela jest pusta. Jeden z więźniów przysięgał, że widział człowieka przechodzącego przez ścianę, ale opis zupełnie nie pokrywał się z opisem aresztowanego.

Największym osiągnięciem McCarthy'ego, jeśli można to określić jako „osiągnięcie”, była tak zwana *Ustawa o dzikich kartach*. Zaczęło się od *Ustawy o kontroli egzotycznych mocy* w 1954 roku. Na mocy tej ustawy każda osoba, która odkryła u siebie moce dzikiej karty, musiała się niezwłocznie zarejestrować u władz federalnych. Nieprzestrzeżenie tego obowiązku było zagrożone karą pozbawienia wolności do lat dziesięciu. Następnie uchwalono *Ustawę*

o powołaniu w sytuacjach wyjątkowych, pozwalając dowództwu wojska powoływać zarejestrowanych asów do służby na czas nieokreślony. Plotki głosiły, że pod koniec lat pięćdziesiątych wielu asów, postępując zgodnie z nowymi regulacjami, zostało zwerbowanych do wojska, FBI i tajnych służb, ale nawet jeśli to prawda, agencje korzystające z ich usług utrzymywały ich nazwiska, moce i samo ich istnienie w najściślejszej tajemnicy.

W ciągu dwudziestu dwóch lat obowiązywania ustawy o powołaniu na podstawie jej przepisów zatrudniono oficjalnie tylko dwie osoby: Lawrence'a Hague'a — który zniknął w strukturach rządu tuż po oddaleniu zarzutów o wykorzystanie informacji poufnych w obrocie papierami wartościowymi — i innego, jeszcze sławniejszego asa, którego dokonania śledził kiedyś z zapalem cały naród. David Posłaniec Harstein dostał powołanie niecały rok po wyjściu z więzienia, gdzie HUAC wtrąciła go za obrazę Kongresu. Harstein nigdy nie stawiał się przed komisją poborową. Kompletnie zniknął z powierzchni Ziemi w początkach 1955 roku i nawet ogólnokrajowa obława FBI nie znalazła ani śladu człowieka, którego McCarthy ochrzcił mianem „najgroźniejszego różowego komunisty w Ameryce”.

Ustawy o dzikich kartach stanowiły triumf McCarthy'ego, ale, jak na ironię, stały się zarzewiem własnego zniszczenia. Gdy w końcu podpisano te szeroko nagłaśniane dokumenty, nastrój opinii publicznej nagle się odwrócił. McCarthy raz po raz powtarzał, że ustawy mają rozwiązać problem asów sabotujących wysiłki amerykańskiego narodu. Dobra, odpowiedział naród, ustawy przeszły, problem rozwiązany, mamy tego już dosyć.

Rok później McCarthy złożył projekt *Ustawy o zapobieganiu kosmicznym chorobom*, przewidujący obowiązkową sterylizację wszystkich ofiar dzikiej karty, zarówno asów, jak i dzokerów. Tego już było za wiele, nawet jak dla jego najzagorzalszych zwolenników. Projekt przepadł z hukiem, zarówno w Izbie Reprezentantów, jak i w Senacie. Próbując znów trafić na czołówki gazet, McCarthy rozpętał kampanię w sprawie lustracji wojska, by, jak to określił, „wykurzyć asów z nory”. W szeregach armii mieli rzekomo kryć się zakonspirowani asowie, zwerbowani jeszcze przed ustawą o powołaniu. Jednak podczas przesłuchań wojskowych karta się odwróciła i akcja McCarthy'ego zakończyła się oficjalnym potępieniem jej przez Senat.

W początkach 1955 roku wiele osób uważało, że McCarthy ma dostatecznie silną pozycję, by w wyborach prezydenckich w 1956 roku odebrać republikańską nominację Eisenhowerowi. Jednak do czasu wyborów klimat polityczny zmienił się tak bardzo, że przewodniczący komisji nie odgrywał już większej roli.

28 kwietnia 1957 roku przyjęto go do Centrum Medycznego Marynarki Wojennej w Bethesda, w Maryland. Starszy, kompletnie załamany mężczyzna przez cały czas powtarzał, że został zdradzony przez wszystkich. Do końca upierał się, że jego upadek to wszystko wina Harsteina, że Posłaniec krąży po kraju, zatruwając ludzkie umysły swoją kosmiczną manipulacją.

Joe McCarthy zmarł 2 maja, a cały naród wzruszył ramionami. A jednak jego dzieła go przeżyły: SKAZA, *Ustawa o dzikich kartach*, atmosfera strachu i zaszczucia. Jeśli Harstein rzeczywiście miał z tym coś wspólnego, to nie ujawnił się, by zatriumfować. Podobnie jak wielu innych asów, pozostał w ukryciu.



Kapitan Katoda i tajemniczy as

MICHAEL CASSUTT

W STRATO-ODRZUTOWCU:

Silniki DUDNIĄ, gdy Dżoker Wilk wprowadza strato-odrzutowiec w OSTRY ZAKRĘT. Katoda ma związane ręce. Słychać WALENIE w drzwi słuzy.

Marty (głos)

Kapitanie! Kończy się powietrze!

Dżoker Wilk odwraca się znad sterów i uśmiecha szyderczo.

Dżoker Wilk

Wybieraj, kapitanie. Podaj kod dostępu albo twoi przyjaciele zginą uduszeni!

Katoda

Ty też zginiesz, dżokerze!

Dżoker Wilk

Skieruję strato-odrzutowiec w górę, a sam się katapultuję.

Katoda

Wiedziałem. Wszyscy dżokerzy to tchórze.

Dżoker Wilk

Co to za obelgi, kapitanie? Jakież to bezcelowe... W dodatku nieprawdziwe.

Dżoker Wilk zrywa z twarzy maskę. Spod niej ukazuje się wykrzywiona uśmiechem, wąsata twarz ROWANA MERCADO, odwiecznego takizjańskiego wroga Katody.

Katoda

Mercado! Powinienem był się domyślić!

Karl von Kampen zamknął maszynopis scenariusza i odłożył go na biurko. Był sierpień 1956 roku, poniedziałek, wcześniej rano. Temperatura na zewnątrz studia filmowego Republic Studio, gdzie kręcono „Kapitana Katodę” — niedaleko gór Santa Monica w Dolinie San Fernando — sięgała już trzydziestu dwóch stopni, a mogła dojść nawet do czterdziestu. Terkoczący klimatyzator obiecywał więcej chłodu, niż dostarczał.

A jednak Karl poczuł dreszcz.

Scenariusz „Kapitana Katody” nie musiał sięgać poziomu *Makbeta*. Nie musiał być tak subtelny koncepcyjnie jak dzieła H.G. Wellsa ani tak zabawny jak *Jędze z marynarki*.

Ale ten stary numer z przebrany złoczyńcą? Willy Ley napisał to na serio?

Karl wstał z krzesła i przeciągnął się, nie tylko by odreagować napięcie, ale także zmienić geometrię pomieszczenia. Jego biuro urządzone oszczędnie i prosto, by (idealnie) odzwierciedlać jego stan umysłu: krzesło i biurko, maszyna do zapisywania pierwszych uwag na temat scenariuszy, stojak, na którym umieszczono scenariusze sześciu tygodni „Kapitana Katody”. Nic dodać, nic ująć.

Karl był niskim mężczyzną o jasnych, białawych włosach i niebieskich oczach, mógłby posłużyć za wzorzec aryjskiej urody, gdyby nie zaokrąglone ramiona — nigdy nie był typem sportowca — i kulejąca noga, pamiątka po zbombardowaniu Peenemünde podczas wojny.

Z ulgą powitał dzwonek telefonu.

— Dzwonili z planu — oznajmiła jego asystentka Abigail, a Karl już wiedział, co teraz powie. — Brant znów się spóźnia.

Brant Brewer. Kapitan Katoda we własnej osobie.

Karl sięgnął do szuflady po jedną z licznych par przeciwsłonecznych okularów i pochylił się nad Abigail, jeszcze zanim odłożyła słuchawkę na widełki.

— Zadzwoń do Saula Greene'a i powiedz, że pan von Kampen jest niezadowolony.

Greene był agentem Brewera. Karl wiedział, że zadanie jest prawdopodobnie bezcelowe — właściwie nigdy nie widywano agenta bez jego klienta przy boku. Ale Brewerowi przyda się drobne ostrzeżenie.

— A będzie jeszcze mniej zadowolony, gdy dowie się, że Harold Dann z Kellogg's zapowiedział się na planie o dziewiątej. — Kellogg's, producent płatków śniadaniowych, próbował zapewnić sobie pełen sponsoring „Kapitana Katody”, co miało podwoić budżet serialu... i przynieść Karlowi nieprawdopodobne zyski.

— Spróbuj to opóźnić — odparł Karl. Wściekły, podniósł z biurka Abigail poranne wydanie „Herald”. Jego uwagę natychmiast przykuł artykuł o skamieniałym ciele znalezionym koło Obserwatorium Griffith.

— Ach tak, Bazyliszek znów atakuje. — Seria morderstw ciągnęła się już od trzech miesięcy. Wszystkie ofiary były dzokerami, wszystkie zamieniono w kamień. — A słońce weszło dziś rano na wschodzie.

— Karl, jesteś złym człowiekiem.

— Mówi się „cynicznym”. — Lubił udawać, że zna angielski lepiej od Abigail. Dziewczyna miała nawet dyplom z filologii jakiejś uczelni na wschodzie.

— Powiedziałam „złym” i tego będę się trzymać.

Abigail miała dwadzieścia pięć lat, była szczupła, ciemnowłosa i łatwo było wyobrazić ją sobie w roli wyszczekanej reporterki, jedynej kobiety w sali pełnej facetów. Karl uwielbiał jej głos i odświeżające lekceważenie dla obowiązujących zwyczajów zabraniających sekretarce mówić szefowi po imieniu.

— Jak zwykle ktoś morduje dzokerów, jedyna różnica polega na tym, że tym razem ofiarą padają mężczyźni, a nie młode kobiety.

— Założę się, że to aktorzy — mruknął z przekąsem Karl. — Zamordowani przez producentów. — Uśmiechnął się do Abigail na pożegnanie i włożył okulary. — Jak mówiłaś... jestem złym człowiekiem.



Karl był niesprawiedliwy wobec siebie. Zawsze uważał, że ma proste, niemieckie poczucie humoru, wyostrzone przez brutalne doświadczenia wojny, ale współczuł każdemu, kto był słaby lub bezbronny.

Każdemu, kto wyciągnął dziką kartę. Karl wymyślił nawet określenie na swoją przypadłość: „fokus”, z niemiecką pisownią. Była to zdolność wyostrowania wizji, robienia zbliżeń na dowolny element w zasięgu wzroku. Nie była to wyłącznie fizyczna zdolność — pociągała za sobą specyficzny stan umysłu, chwilę, gdy czas rozciągał się w nieskończoność.

Wciąż jej w pełni nie kontrolował.

Przechodząc po rozgrzanym asfalcie, Karl spojrzął na białą kopułę wielkiego reflektora. Odłaziła z niego farba. Mrugnął oczami, spojrzął na wieżę stacji KNX Radio... Jedno z czerwonych świateł ostrzegawczych chyba się przepaliło.

Korzystanie z fokusu pociągało za sobą głęboką, niemal erotyczną satysfakcję. Oczywiście mógł się nią cieszyć tylko w najgłębszej tajemnicy — warunek był łatwy do spełnienia, jako że uruchomienie fokusu wymagało pewnych określonych okoliczności, na przykład obecności atrakcyjnego celu.

Zdolność fokusowania niczym nie wyróżniałaby go z tłumu, gdyby nie jeden drobny szczegół — kiedy z niej korzystał, oczy lśniły mu czerwienią. Stąd jego zamiłowanie do ciemnych okularów, które zawsze miał pod ręką, niezależnie od docinków znajomych wytykających mu pretensjonalność.

Ciemne okulary były jego znakiem rozpoznawczym, tak samo jak niemiecki akcent. Czasem się zastanawiał, co we współczesnym Hollywood mieliby mu bardziej za złe: czy to, że był asem, czy że walczył dla Hitlera?



Wejście do hali zdjęciowej przypominało wkroczenie do ciemnej, zapraszającej jaskini. Na chwilę zapomniał o ciągłych zmartwieniach, braku pieniędzy i naciskach ze strony szefa, Fredericka Ziva.

Mógł zdjąć okulary.

Najpierw zobaczył Eugene'a Olkewitza, grubego naturala, często pozostającego pod wpływem, który grał w serialu psogłowego dzokera Turka, pomocnika kapitana.

— Nadchodzi Führer! *Wie gehts?* — zawołał, klepiąc Karla po plecach.

— Właśnie przyszedłem się tego dowiedzieć. — Karl nie lubił Olkewitza, choć w porównaniu do Brewera Eugene był profesjonalistą w każdym calu. Zawsze przychodził na czas, nigdy nie mylił scen ani nie zapominał kwestii, ale traktował swoją drobną rolę stanowczo zbyt serio, a charakteryzatorka twierdziła, że podobno zabierał psią maskę ze sobą do domu. Twierdził, że musi wczuć się w rolę podczas powtarzania, ale...

— Zaczęliśmy pierwszą scenę bez Branta — dodał Olkewitz. — Nakręciliśmy swoje kwestie, prawda, dziecinko?

Ostatnie zdanie skierowane było do aktorki grającej Norę, Dotty Doyle — posągowej, niebieskookiej piękności, której nogi wspaniale prezentowały się w mundurze załogi strato-odrzutowca. Karl znów przypomniał sobie, że musi pogratulować projektantowi kostiumów,

który doskonale rozumiał, że serial dla dzieci może sobie pozwolić na znacznie krótsze spódniczki, które zapewne wywołałyby skandal w filmie dla dorosłych.

— Nie jestem twoją dzieciną, Gene. — Dotty nawet nie odwróciła głowy. — Posłuchaj, Karl, w ten sposób nic nie zdziałamy.

Cała Dotty — kompetentna, chłodna i rzeczowa, prawdziwa nordycka księżniczka. Rodzice Karla z radością powitaliby ją jako synową.

Karl przeszedł się po planie. Reflektory wyłączono, podczas gdy technicy usuwali przedni panel strato-odrzutowca.

— Dotty ma rację, Karl — dodał znękany głosem reżyser, Marshall Korshak. — Przez resztę dnia mamy kręcić sceny z Katodą.

Korshak zachowywał się nerwowo, nawet gdy wszystko szło dobrze. Przyszedł do Katody prosto z planu *Cassidy Włóczęga*. Karl zmusił się do uśmiechu.

— Mogłoby być gorzej. Pomyśl, co by było, gdybyśmy kręcili z końmi.

— Konie zawsze zjawiają się na czas. A nawet jeśli nie, to można zaangażować nowe i nikt nie zauważy różnicy.

W tej samej chwili biegiem minął ich asystent produkcji.

— Już przyszedł! — zawołał, nie zwalniając kroku i podążając dalej, by uniknąć eksplozji. Korshak, pchnięty tym samym instynktem samozachowawczym, ogłosił, że idzie się odlać.

Karl napiął barki, gotując się do konfrontacji. Ale gdy już oczy przyzwyczyły mu się do światła, odkrył, że to nie Brant Brewer. Nie Kapitan Katoda. Stał przed nim Harold Dann z firmy Kellogg's.

Dann miał około czterdziestki, był krępy i łysiejący. Miał też najbielsze zęby, jakie Karl kiedykolwiek widział u człowieka, który nie był aktorem. W dodatku uśmiechał się po każdym zdaniu, jakby płacili mu za olśniewanie klientów.

Karl przedstawił mu Olkewitza i Dotty. Dann aż wytrzeszczył oczy na widok towarzyszy serialowego kapitana.

— Chyba to panią powinniśmy umieszczać na pudełkach.

— Jeśli nogi i majtki pomogą wam sprzedawać płatki, to czemu nie?

Zanim przekomarzanka zdążyła się nakręcić, Karl usłyszał charakterystyczny głos:

— Hej, ludzie, co się dzieje? Nie wiecie, że kręcimy tu telewizyjny klasyk?

Brant Brewer, znany milionom Amerykanów jako Kapitan Katoda, postrach Takizjan i sprzymierzonych z nimi dzokerów, wyszedł z cienia i stanął pośrodku planu z rękami na biodrach. Istny wzorzec siły, sprawiedliwości i innych amerykańskich wartości. Miał na sobie niebieski trykot, ozdobiony na piersi literą „K” i symbolem błyskawicy. Za każdym razem, gdy Karl widział go w kostiumie, nieważne, jak bardzo był zły, odruchowo żałował, że nie mogą tego pokazać w kolorze.

Albo że fokus nie pozwala strzelać laserami z oczu.

— Brant, spóźniłeś się dwie godziny.

— Charakteryzatorka nie chciała mnie wypuścić z przyczepy. — Uśmiech Brewera był równie oślepiający jak Danna, ale całkowicie naturalny. Karl nie miał wątpliwości, że charakteryzatorka podkochiwała się w gwiazdorze — podobnie jak większość kobiet z ekipy, a nawet paru mężczyzn.

— Codziennie się spóźniasz. To niedopuszczalne.

— Przecież kręcicie inne sceny.

— Tak, wycinamy cię, gdzie tylko można, byle zdążyć na czas! Nigdy nie wychodzi tak dobrze, jak powinno.

Brewer potrząsnął scenariuszem.

— Jakim cudem to ma wyjść dobre? Jestem facetem w kostiumie, który ściga zamaskowanych idiotów. Nie mogę do nich strzelić. Nie mogę ich wypchnąć przez właz. Mogę co najwyżej przemówić do nich ostrym tonem i powiedzieć, że mają wcinać szpinaczkę! — Im bardziej się irtował, tym wyraźniej rozbrzmiewał jego cajuński akcent, tak samo jak głos Karla stawał się bardziej teutoński. To cud, że w ogóle się rozumieli.

— Nasz serial jest przeznaczony dla dzieci. Nie możemy epatować przemocą, one mają jej w życiu dosyć.

— Dzieci nie kupią takiego gówna. Czy ty w ogóle czytasz te scenariusze? — Wyraz twarzy Branta przeszedł od wyzywającego do zatroskanego. — Zostawmy te dramatyczne... uproszczenia. Czy takie wizerunki asów i dzokerów naprawdę przysłużą się wychowaniu dzieci? Dlaczego zatrudniamy Gene'a Olkewitza w psiej masce, zamiast prawdziwego...

— Przestań! — Karl zauważył, że Brewer jak zawsze stara się skierować rozmowę z własnych grzeszków na tchórzostwo Hollywood i jego strusią politykę w kwestii dzikich kart. — Wiesz, że nie możemy zatrudniać prawdziwych dzokerów. Ile razy muszę ci to powtarzać? Serial jest, jaki jest, a ty stanowisz jego część. Ale jeśli nadal będziesz się tak spóźniał, możemy zrezygnować z twoich usług.

— Naprawdę chcesz przejść do historii jako człowiek, który wywalił Kapitana Katodę?

Karl pstryknął go w pierś palcami.

— Kapitanem jest ten, kto nosi kostium kapitana.

Twarz Brewera znów się zmieniła, emanując ciepłem i przyjaźnią.

— W porządku, ty jesteś szefem. — Rozejrzał się, jakby szukając sojuszników i dostrzegł Korshaka. — Kręcimy ten serial czy nie?

Karl wciąż był tak rozdygotany, że dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że ktoś klaszcze w dłonie. Dann.

— Siedzi pan na stercie złota, panie von Kampen.

— Serial ma niezłą oglądalność.

— I bardzo dobrze, ale duże pieniądze nie biorą się z tego, że młode oczka będą śledzić swojego bohatera każdego popołudnia. Spłyną dopiero wtedy, gdy ci młodzi ludzie zmuszą rodziców do kupienia naszych produktów. Komiksy z Katodą, zabawki... piżamy, kaski rowerowe, modele strato-odrzutowców, figurki...

— I płatki śniadaniowe.

— Lepiej niech pan zapanuje nad swoim aktorem. — Już się nie uśmiechał.



Przed podjęciem dalszych kroków Karl musiał przecierpieć sesję nagraniową odcinków „Kapitana Katody” na kolejne pięć tygodni.

Nazwanie tego sesją nagraniową było trochę na wyrost. Każdy fragment muzyczny pochodził z magazynu z wcześniej nagranych ścieżek. Przydzielanie odbywało się mechanicznie, każde pojawienie się złoczyńcy albo fałszywy punkt kulminacyjny okraszano tym samym

melodramatycznym kawałkiem. Dla Karla te powtórki były jak ukąszenia owadów: drobne, ale częste i irytujące.

Gdy zszedł ze sceny nagraniowej, zobaczył człowieka, którego właśnie szukał.

— Jack!

Jack Braun, zwany Asem Judaszem, a od niedawna gwiazdor serialu „Tarzan wśród małp”, ubrany w spodnie khaki i białą koszulę, wyglądał niewiarygodnie młodo. Oczywiście, zawdzięczał to swojej dzikiej karcie.

— Witaj, Karl. Jak tam twój Kapitan?

Uśmiezek Brauna zdradzał, że dobrze wie o ekscesach Branta. No cóż, Braun wciąż miał sporo przyjaciół w obozie republikanów.

— Właśnie o tym chciałem porozmawiać, Jack.

Mężczyzna zmrużył oczy.

— Byłbyś szaleńcem, gdybyś mnie zatrudnił, Karl. Ten mój as to nadal szkarłatna litera, że pozwolę tak sobie mieszać kilka metafor.

— Wiem. Zresztą zmiana głównego aktora na tym etapie byłaby zbyt kosztowna i ryzykowna. Chcę tylko wiedzieć, dlaczego Brant Brewer ciągle spóźnia się na plan.

— Mam za dużo roboty z Tarzanem, żeby jeszcze go śledzić.

— Wiesz o wszystkim, co się tu dzieje!

— Tak, bo to jedyny sposób, żeby przetrwać! Uwierz mi, słono zapłaciłem za tę naukę!

— To teraz naucz mnie.

— Nieźle sobie radzisz samodzielnie.

Karl tylko skrzyżował ramiona. Miał wystarczająco dużo do czynienia z aktorami, by umieć rozpoznać, kiedy odgrywają rolę. Braun obsadził się dziś w roli „niechętnego trybika w maszynie Hollywood”.

Nie trwało to długo. W końcu wyjął wizytówkę.

— W porządku. Facet, z którym powinieneś pogadać, nazywa się Edison Hill. Znajdziesz go tutaj codziennie po drugiej.

Karl przeczytał nazwisko po drugiej stronie wizytówki.

— „Menażeria”, Nabrzeże Santa Monica. Ten Hill to pijak czy gej? — Nabrzeże należało do ulubionych spotkań homoseksualistów i miejscowej populacji dzokerów.

— Ani jedno, ani drugie. Nie przywali ci w nos, jeśli kupisz mu drinka, ale to po prostu taki gość, który wie różne rzeczy albo wie, gdzie ich szukać. „Menażeria” to jego biuro.

Karl przytaknął. Za każdym razem, gdy rozmawiał z Braunem, miał ochotę przyznać się, że też jest asem — ale natychmiast zdawał sobie sprawę, jak bezcelowy byłby taki gest.

— Wiesz, Jack, któregoś dnia całe to szaleństwo wreszcie się skończy. Powinniśmy się trzymać razem.

Uśmiech Brauna był naprawdę życzliwy, ale zaprawiony sporą dawką sceptycyzmu.

— Miło pomarzyć, co nie?



Z trudem odnalazł „Menażerię”. Budynek był częściowo zburzony, wciśnięty pomiędzy niesławną karuzelę nabrzeżną, ze wszystkich stron otoczony straganami z grami, jedzeniem

i pokazami dziwadeł; prawie wszystkie były obsadzone przez dzokerów. Klub okazał się słabo oświetlony i ciasny, pachniał zwietrzałym piwem i zeszlými trocinami. Na maleńkiej scenie tańczyła jakaś dzokerka, kręcąc palcami frędzle zwisające z cekinowego biustonosza i kręcąc biodrami do muzyki.

— Przychodzę tu od wielu lat — stwierdził Hill. — Mam słabość do surowego piękna. — Był wysoki, szczupły, przystojny, w stylu drugorzędnego aktora z filmu klasy B. Miał nawet wąsiki jak Dick Powell, ale jego akcent zdradzał, że wychował się daleko na wschód od Los Angeles.

— Przychodzą tu... niesamowici ludzie — wykrztusił Karl.

— Żeby to docenić, trzeba mieć wyrobiony gust — stwierdził Hill. Był środek popołudnia. Zdecydowanie nie godzina szczytu, klub świecił pustkami. Tancerka na scenie była jednak prawdziwą pięknoscią, według dowolnych standardów, choć gdy zrzuciła stanik, Karl zobaczył maleńkie usta otwierające się w miejscu sutków. Nie chciał nawet myśleć o tym, co może znajdować się pod stringami.

— A czym się zajmujesz, gdy nie siedzisz tutaj? — spytał raczej z zawodowej ciekawości niż z grzeczności.

— Można powiedzieć, że jestem tajniakiem — odparł Hill, a potem dodał: — Pracuję jako ghostwriter. Różne projekty, przemówienia. To i owo. Czasem nawet opowiadania kryminalne do pulpowych pisemek.

— Da się z tego wyżyć?

— Pulpowe pisma dobrze płacą. Ale przed wojną byłem w marynarce. Potem wykryli u mnie cień na płucu i wysłali mnie na ląd.

— Nie wróciłeś do służby w czasie wojny?

— Próbowałem. Nie chcieli mnie. — Hill odstawił drinka i splótł palce. — To w czym mogę pomóc?

Karl szybko zreferował, na czym polega problem z Brantem Brewerem.

— Myślisz, że to czerwony?

— Wątpię. — Karl znał prawdziwych komunistów z Hollywood; Brant Brewer w ogóle ich nie przypominał.

— Może gej?

Karl rozłożył ręce.

— Jest aktorem, prawda? — odrzekł tylko, co oznaczało, że zawsze pozostaje taka opcja.

— Dobra, będę to mieć na uwadze. — Hill zerknął w prawo i lewo. Gdy znów się odezwał, Karl ledwo go słyszał. — Zostaje jeszcze dzika karta...

— Nie ma żadnych oznak, ale...

— Biorę dwadzieścia dolarów dziennie plus wydatki. Czterdzieści z góry. Normalnie byłaby połowa tego, ale jeśli w grę wchodzi karty... — Hill wskazał na bywalców „Menażerii”.

— Niech będzie. — Karl ostrożnie odliczył cztery dziesiątki.

— Dostaniesz pełen raport. Gdzie mieszka ten Brewer, jak spędza czas, co robi... i z kim. Spodoba ci się styl... nawet jeśli zawartość nieco mniej.

Ustalili, że spotkają się w kawiarni na rogu ulicy Franklina i Zachodniej następnego ranka o ósmej. Gdyby Hill chciał skontaktować się z Karlem natychmiast, miał zadzwonić do biura i przedstawić się jako „pan Edwards”. Gdyby Karl chciał się skontaktować z Hillem, miał

zadzwoić na jego automatyczną sekretarkę.

Hill sięgnął po kapelusz i zsunął się ze stołka, poprawił mankiety, kołnierzyk i fedorę. Odchodząc, zasalutował klientowi dwoma palcami.



Zdjęcia zakończyły się o siódmej, godzinę po czasie — podwójna płaca za nadgodziny dla całej ekipy, dzięki kolejnemu spóźnieniu Brewera. Ale pamiętając, że Dann od Kellogg's może zjawić się w każdej chwili, Karl postanowił unikać konfrontacji i poprosił Abigail, żeby zamówiła mu taksówkę.

Mieszkał w bliźniaku w dzielnicy Hills ponad Hollywood. Jego gospodynią była aktorka niemego kina imienia Estelle Blair, zmuszona do odejścia na emeryturę po wynalezieniu dźwięku. Jej karierę ostatecznie zniszczył wirus dzikiej karty, który zmienił ją w niewidzialną kobietę — widmo o dziewczęcym głosiku, widoczne tylko dzięki unoszącemu się w powietrzu szlafrokowi i parze kapci.

Karl widział zdjęcia Estelli z czasów jej świetności. Była blondynką o pięknych nogach i wydatnych ustach. Zastanawiał się, jak wygląda teraz, gdy jest już po pięćdziesiątce.

Czy sama to wiedziała?

Trudno było się z nią dogadać. Karl był chyba jedynym, który to potrafił. Gospodyni, a raczej jej szlafrok czekał na niego przy drzwiach, gdy wysiadał.

— Za dużo pracujesz — skarciła go. — Jadłeś obiad?

— Tak, w studiu — odparł. Zawsze tak mówił, nawet jeśli było inaczej. Nie miał ochoty przyjmować zaproszenia na obiad i znów zastanawiać się, kiedy właściwie kęsy jedzenia połykane przez Estellę przestają być widzialne.

Odebrał pocztę, którą kobieta najwyraźniej wyciągnęła z nicości, i wszedł do środka.

Umeblowanie było równie spartańskie jak w jego biurze koło studia. Kanapa, niski stolik, kilka krzesel. Sypialnia i kuchnia były równie puste.

Nie licząc dwóch kursów taksówką dziennie, jedyną oznaką statusu Karla jako producenta popularnego serialu był największy model telewizora na rynku: siedemnastocalowy Zenith X2552. Jednak zawsze pilnował, by oglądać ostateczne wersje „Kapitana Katody” na ekranie podobnych rozmiarów — albo nawet mniejszym — niż używany przez odbiorców serialu.

Zwykle włączał zenitha od razu po wejściu do domu... To pudło stanowiło teraz nie tylko źródło utrzymania, ale również jego jedyne towarzystwo.

Ale zanim zdołał pstryknąć włącznik, dostrzegł list od Herba Cranstona. Były szef operacji w White Sands, pierwszy człowiek, który nawiązał kontakt z doktorem Tachionem, był dziś w okolicy i zapraszał go na kolację w „Musso” o ósmej wieczorem.

Karl spojrzął na zegarek. Ósma trzydzieści, ale „Musso” była tuż za rogiem.

Wezwał taksówkę.



— Ach, *Herr Kampen*.

Karl wszedł do „Musso” tylnym wejściem i właśnie szukał wzrokiem Herba Cranstona — niełatwe zadanie, biorąc pod uwagę, że większość sali zajmowały łóżka. Okazało się, że

naukowiec siedział przy barze. Przed nim na blacie stały resztki sporej pieczeni rzymskiej i puste szklanki po paru koktajlach.

— Dopiero dostałem twoją wiadomość.

— Jadłeś już obiad?

— Tak.

— No cóż. Wprawdzie bardzo podoba mi się atmosfera tego miejsca, ale przyznam, że wiele słyszałem o dzokerach z Santa Monica.

— Powinni zbudować tam napis DŻOKERLANDIA.

Dopiero po dłuższej chwili zorientował się, że Cranston naprawdę ma ochotę przejść się na nabrzeże i popatrzeć na życie szemranej dzielnicy. Normalnie zareagowałby obrzydzeniem. Kilka razy przeszedł się po tamtej okolicy i to mu wystarczyło. Dzokerki prostytutki jeżdżące na karuzeli, zaczepiające przechodzących mężczyzn. Koszmarne twarze w głębi straganów, zdeformowani sprzedawcy oferujący tanie pamiątki i smażone przekąski. Walki na noże pomiędzy gangami. Desperacja, deprawacja i narkotyczne oszołomienie zmieszane z zapachem słonej wody, smaru i gnijących ryb.

Ale dzisiaj stało się coś wyjątkowego. Naprawdę chciał porozmawiać z Cranstonem... i znał klub dla dzokerów.



Znow trafił do „Menażerii”. Normalnie nie odwiedziłby takiego lokalu nawet dwa razy w życiu, nie mówiąc już o jednym dniu.

Nabrzeże Santa Monica w nocy wyglądało bardziej stylowo: barwne oświetlenie i muzyka płynąca z karuzeli. Tłumy naturali zmieszane z dzokerami, przechodnie zjadający lody i hot dogi, przechadzając się pomiędzy stoiskami gier, barami i spektaklami.

Tancerki prezentując się w „Menażerii”, zdawały się teraz atrakcyjniejsze, a może po prostu było ich więcej i były bardziej różnorodne.

— To nadaje zupełnie nowe znaczenie określeniu „egzotyczna tancerka”, prawda? — stwierdził Cranston. Uwielbiał gry słów. Podczas pobytu w White Sands Karl za słabo mówił po angielsku, by zrozumieć większość z nich. Teraz już nie miał tej wymówki.

Jak na dzień roboczy, panował spory tłok. A przynajmniej tak się zdawało Karlowi — niewiele wiedział na temat nabrzeża i jego życia nocnego.

Gdy na scenę wyszła trójka kobiet — zespół nazywał się „Amerykanki”, ich skąpe kostiumy stylistyką nawiązujące do flagi narodowej, odsłaniały skórę tancerek barwy czerwonej, białej i niebieskiej — do stolika Karla i Cranstona podeszła efektowna kocica, pokryta cętkowaną sierścią i wymachująca puszystym ogonem.

— Macie ochotę na towarzystwo?

Cranston odprawił ją machnięciem ręki i przeszedł do rzeczy.

— W Tomlinie wreszcie zaczyna się dziać.

— Wciąż próbujecie rozgryźć sekrety Tachiona? Odtworzyć działanie jego statku?

— Cholera, gdzie tam! Wright Field nie ma nic lepszego do roboty... niech się męczą! — Ośmielony alkoholem Cranston właściwie wykrzyczał ostatnie zdanie. Potem, jakby zawstydzony, dodał już ciszej: — Karl, teraz wróciliśmy do własnych projektów. Spoglądaj w niebo. Już niedługo zobaczysz tam coś latającego, co stworzono na Ziemi. — Popił drinka

i uśmiechnął się. — Coś jak ten twój strato-odrzutowiec.

— Gratulacje.

— Są u nas niektórzy twoi kumple z White Sands. Nawet Willy Ley. — Ley uciekł z Niemiec tuż przed wojną i został autorem popularnego periodyku o technikach raketowych — właśnie dlatego Karl odszukał go później, by pracował przy „Kapitanie Katodzie”. — Ale tak naprawdę potrzebny nam jesteś ty. Byłeś najbardziej obiecujący z całej paczki.

— Mój drogi przyjacielu, jesteś równie niedokładny co pijany. W skład tej „paczki” wchodził von Braun, Rudolf, Dornberger i tylu innych...

— Nie chodzi mi o twoje dokonania. Wszyscy wiemy, że trafiłeś do Peenemünde prosto ze szkoły. A poza tym, cholera, w White Sands wszyscy byliśmy jeszcze w dołkach startowych, gdy pokazała się Maleńka.

Cranston i von Braun oraz garstka niemieckich inżynierów miała wyjść na spotkanie Tachiona i jego takizjańskiego statku, gdy obcy wylądował w White Sands. Jednak Karl i reszta mieli trzymać się z daleka, zajęci kalisteniką, niekończącym się pisaniem raportów i lekcjami angielskiego.

— Willy cię na mnie napuścił?

Cranston wzruszył ramionami.

— Powiedział tylko, żebym spytał.

— Powinien był porozmawiać najpierw ze mną.

— Wtedy nie zdołałbym cię zaskoczyć! — uśmiechnął się Cranston. Był już tak pijany, że robił się sentymentalny. Karl pamiętał, że jego kolega lubił dawać w gaz. — Obaj mieliśmy szczęście... Dzika karta nas ominęła.

— Tak.

Karla, oczywiście, nic nie ominęło. W 1947 roku pojechał z Walterem Dornbergerem do Bell Aircraft w Buffalo i ugrzązł w projekcie bombowca, który prawdopodobnie nigdy nie miał polecieć, gdy złapał — na oko — ciężką gripę. Po kilku dniach gorączkowania w delirium poczuł się lepiej i odkrył, że coś stało się z jego wzrokiem. Kiedyś cierpiał na krótkowzroczność, prawie na pograniczu ślepoty, teraz jego wzrok dorównywał precyzją mikroskopom... albo najlepszym teleskopom optycznym.

Zyskał fokus.

Był jednak pewien efekt uboczny: przez kilka minut po użyciu fokusu jego oczy lśniły demoniczną czerwienią. Z początku myślał, że to przejściowe, ale po kilku tygodniach, gdy już opanował swój nowy „talent”, zdał sobie sprawę, że to raczej stała cecha, znak jego nowego statusu asa. Wtedy zaczął nosić ciemne okulary.

Ponieważ nienawidził pracy w Bell, a Buffalo jeszcze bardziej, w końcu postanowił spełnić marzenie swego życia. Napisał do słynnego reżysera Fritza Langa, twórcy pierwszego filmu o kosmosie, *Kobieta na księżycu*. Lang przyjaźnił się z Dornbergerem i miał słabość do porzuconych niemieckich techników raketowych w rodzaju von Kampena. Reżyser obiecał udzielić Karlowi rekomendacji, jeśli kiedykolwiek przyjechałby do Los Angeles...

Karl spakował manatki i już tydzień później przeprowadził się do Hollywood. Jego zdolność fokusowania uczyniła go wielkim atutem każdego zespołu kamerzystów. Ze stanowiska asystenta awansował na operatora, a potem — na producenta „Kapitana Katody”.

Zanim Karl zdążył ocenić, jak przyjęto jego kłamstwo, kocica powróciła.

— I co? Przełamaliśmy pierwsze lody? — spytała, wślizgując mu się na kolana.

Cranston rzeczywiście zdawał się przyjaźniejszy.

— Jesteś bardzo konsekwentna, co?

— To strasznie długie słowo. — Dziewczyna skubnęła go w ucho, ku jego nieskrywanej radości. — A ja lubię długie rzeczy.

Karl odkrył, że też z przyjemnością patrzy na jej figle. Szybko zauważyła jego zainteresowanie.

— Jesteś za ładny, żeby tak siedzieć samotnie, przystojniaku. Widzisz tu może kogoś, z kim miałbyś ochotę się zapoznać?

— Nie w tej chwili, ale dziękuję.

Dżokerka zamruczała ze śmiechem.

— Ależ jesteś nieśmiały. Czym się na co dzień zajmujecie?

— On jest technikiem raketowym — powiedział Karl, próbując zwrócić uwagę kocicy z powrotem na Cranstona. Kolega postanowił odpowiedzieć pięknym za nadobne.

— A Karl jest producentem „Kapitana Katody”.

Karl miał ochotę go zabić. Co innego zajrzeć do klubu dla dżokerów, a co innego dać się tam rozpoznać. Jednak kocica zareagowała przychylnie.

— Ach, więc pewnie znasz Branta i Gene'a!

— Całkiem niezłe — odparł Karl, próbując ukryć zaskoczenie. — A ty?

— Oczywiście! Gene powiedział, że spróbuje mnie zaangażować do filmu. Turkowi przyda się jakaś partnerka, prawda? Kot i pies — dzieciakom powinno się spodobać. I proszę pomyśleć, ile zaoszczędzilibyście na charakteryzacji! — Zaśmiała się gardłowo. — Tak właściwie przychodzę tu tylko po to, by zarobić na czynsz. Tak naprawdę jestem aktorką.

Oczywiście. Karl domyślał się nawet, w jakiego rodzaju filmach grywała. Słyszał, że jest coraz większy popyt na porno z dżokerami.

— Nie wiedziałem, że Brant i Gene należą do stałych bywalców — powiedział tylko. — Jak często tu przychodzą?

Sfokusował wzrok na jej ładnej kociej twarzy... Zauważył lśniące kropelki na wąsach, uniesione brwi... lekko otwarte usta. U naturalki byłyby to oznaki wahania.

Albo strachu.

Kocica powiedziała za wiele i nagle zdała sobie z tego sprawę.

— Nie powiedziałabym, że są „bywalcami”. Po prostu... kiedyś ich tu spotkałam. Przepraszam. — Ześlizgnęła się Cranstonowi z kolan i zniknęła w tłumie.

Naukowiec wyglądał, jakby wcale tego nie żałował.

— Droga do Mojave będzie długa — stwierdził.

— W tym stanie będziesz miał szczęście, jeśli dojedziesz choć do Lankershim.

Karl pomógł Cranstonowi dotrzeć do końca nabrzeża, gdzie czekał rząd taksówek. Wysadził kolegę przy Roosevelt Hotel, a potem kazał taksówkarzowi jechać Bulwarem Hollywood aż do Gower. Stamtąd poszedł piechotą. Od Gower do Scenic, a potem kilka przecznic do Beachwood — w sumie niecałe półtora kilometra. Chciał trochę wytrzeźwieć po drodze. Trochę pomyśleć.

Mógł dalej robić to, co robił, i do końca życia tłuc kolejne epizody serialu dla dzieci. Jeszcze jeden, i jeszcze jeden. I tak do końca życia lub jeszcze gorzej — aż do końca mody. Wtedy

mógłby sprzedać akcje „Kapitana Katody” Kellogg's i wykorzystać te pieniądze, by wygodnie się urządzić. I już nigdy więcej nie czytać historyjek o zdradzieckich asach przechytzonych przez durnia w błękitnym trykocie.

Mógł też przyjąć ofertę Cranstona i wrócić do dawnej pracy.

Jego gwiazdor przychodził do spelunki dla dzokerów — to mogłoby wyjaśniać te ciągłe ranne spóźnienia. Ale co robił tam Olkewitz? O ile Karl wiedział, ci dwaj byli tylko kolegami z pracy. A Olkewitz nigdy się nie spóźniał...

Na rogu ulic Gowera i Franklina zatrzymał się przy automacie. Wykręcił numer i zostawił pilną wiadomość dla Edisona Hilla.



Następnego dnia o ósmej trzydzieści Karl wciąż siedział w kawiarni na rogu Franklina i Zachodniej. Ośmielony wieczornym spacerem — i licząc na to, że słońce pomoże mu zwalczyć kaca — przyszedł piechotą, by posłuchać, czego dowiedział się jego detektyw.

Ale Edison Hill się nie zjawił.

Karl nie miał tu nic do roboty, mógł tylko czekać i przeglądać numer „Heralda”, pełen artykułów o Bazyliżku. W ciągu ostatnich dwudziestu miesięcy zdarzyło się wiele podobnych morderstw. Wszystkie ofiary były dzokerami płci męskiej, w wieku od dwudziestu pięciu do pięćdziesięciu lat. Żaden z nich nie pasował do typowego profilu ofiar: żadnych lumpów, pijaczków i prostytutek. Byli tak porządnymi obywatelami, jak to tylko u dzokerów możliwe: weterani, prawnicy, księgowi, urzędnicy, mechanicy, właściciel stacji benzynowej w Glendale, były strażak i nawet kilku byłych nauczycieli, którzy stracili pracę, gdy karta się odwróciła (nikt z rodziców nie zostawiłby swoich dzieci pod opieką dzokera).

Żadna z tych rzeczy nie wydała się Karlowi szczególnie istotna. Chciał się dowiedzieć czegoś o tajemniczym, czarującym Brancie Brewerze... człowieku, który trzymał klucz do jego przyszłości.

O dziewiątej dał sobie spokój z czekaniem, rzucił dolara na ladę i wezwał taksówkę. Tylko pomyśleć, że dał aż czterdzieści dolarów facetowi spotkanemu w barze dla dzokerów! Będzie musiał zamienić parę ostrych słów z Jackiem Braunem.

Karl von Kampen czuł się idiotycznie.



Jak zwykle wysiadł przed główną bramą. Ze zdziwieniem zobaczył, że Abigail czeka na niego na parkingu. Spojrzał na nią przez okulary.

— Dlaczego nie jesteś w biurze?

— Bo tam czeka na ciebie Saul Greene.

— Niech zgadnę...

— Brant znów się spóźnia.

Karl poczuł nadchodzący ból głowy i tym razem nie mógł tego zwalić na alkohol.

— Poproszę jakieś lepsze wiadomości.

— Znaleźli kolejną ofiarę... Jakiś facet utopiony w jeziorze Silver Lake. Skamieniały.

— Jeśli Sam Greene będzie mi wchodził w paradę, to sam wyląduje w jeziorze. Powiedz, że

spotkamy się na planie.

Karl nie miał ochoty rozmawiać z agentem Brewera w swoim biurze, a przy tym musiał jeszcze zapewnić nerwowego reżysera, że nie będą go obwiniać za opóźnienia.

Miejsce parkingowe Brewera było puste, ale obok niego stał lśniący, czarny dwudrzwiowy hudson hollywood, dokładnie taki samochód, jaki kupiłby sobie Karl... gdyby kupił samochód. Należał do Saula Greene'a.

Który jakimś cudem dotarł do sceny dźwiękowej jednocześnie z Karlem.

— Dziś znów będzie gorąco — powiedział.

Karl nawet w najlepszych chwilach nie miał cierpliwości do Greene'a i jego gadek o niczym.

— Dlaczego nie ma tu twojego klienta?

— Brant ma problemy osobiste. Problemy zdrowotne.

— A zatem jest w szpitalu?

— Jeszcze nie. Jego życie nie jest zagrożone...

— Tylko jego kariera.

Greene chwycił Karla za łokieć i wziął go na stronę.

— Posłuchaj, Karl. Wiem, że nigdy nie byliśmy dobrymi przyjaciółmi...

— Ściśle rzecz biorąc, jesteśmy o krok wyżej niż śmiertelni wrogowie.

— A jednak ta branża opiera się na przyjaźniach, czasem dość nieprawdopodobnych.

— Chcesz zostać moim przyjacielem, Saul? O to chodzi?

— Ja nie. Ale... jak dobrze rozumiesz aktorów, Karl?

— Dużo im płacę, żeby przychodzili na czas i mówili swoje kwestie. Powinienem wiedzieć coś jeszcze?

Potężny mężczyzna potrząsnął głową, jakby chciał poprawić dziecko.

— Najlepsi z nich mają w środku pustkę. Przez to tak łatwo padają ofiarą namiętności albo mody, albo wszystkiego, co ich dopadnie. I właśnie dlatego są tacy dobrzy w swojej pracy — w naśladowaniu innych ludzi.

— A zatem Brant Brewer znalazł się pod wpływem kogoś, kto jest niepoprawnie spóźnialski?

— Nie. Chciałem tylko powiedzieć, że potrzebuje... trochę zrozumienia. Elastyczności.

— Saul, codziennie zmieniamy kolejność zdjęć, żeby się do niego dopasować. Próbowalesz podzielić się tą teorią z Haroldem Dannem? Podejrzewam, że nasz nowy sponsor nie będzie zbyt wyrozumiały w stosunku do seriali, które powstaną za późno albo nie powstaną w ogóle!

— Nie mieszaj w to Kellogg's. Ich obchodzą tylko pieniądze.

— A ty co? Jesteś altruistą?

— Jestem przyjacielem Branta. I proszę cię, jako ktoś, kto mógłby być również twoim przyjacielem: odpuść. — Greene nachylił się do Karla. W jego zachowaniu nie było ani śladu życzliwości. — Przestań wysyłać ludzi, żeby go śledzili!

— Skończyliśmy, Saul — uciał Karl i sięgnął do klamki. Tylko czerwona lampka informująca go, że kamera wciąż nakręca, powstrzymała go przed otwarciem drzwi.

— Przemyśl to, Karl. Chyba zgodzisz się, że to kiepski moment, by wyciągać na światło dzienne pewne... fakty z twojej przeszłości? Zdajesz sobie sprawę, jak to wpłynie na twoją karierę?

Karl spojrział na agenta z wściekłością.

— Nie próbuj mi grozić.

Greene uśmiechnął się i rozłożył ręce.

— Daję ci tylko przyjacielską radę. — Odwrócił się, ale potem rzucił jeszcze przez ramię. — Dobry pomysł z tymi okularami. Taki stylowy.

Karl uciekł do swojej kryjówki na planie, czując, że ręce mu drżą, a w gardle wzbiera kwaśny smak.

Saul Greene znał jego tajemnicę.



Zanim Brewer zjawił się na planie, tuż przed lunchem, Karl zdążył już wycofać się do biura, rozkazując, by nikt mu nie przeszkadzał. W powietrzu unosił się dym, najwyraźniej z jakiegoś pożaru na wzgórzach. W oddali wyły syreny. Wszystko to wyglądało niepokojąco.

Z jakiegoś powodu zaczął nieco życzliwiej traktować w myślach Edisona Hilla — już nie podejrzewał go o oszustwo. Jack Braun na pewno nie poleciłby mu kogoś takiego.

Wiedziony impulsem, kazał Abigail znaleźć adres i telefon Hilla. Nie lubił czekać.

Próbował zająć czymś myśli, czytając kolejne scenariusze „Kapitana Katody”. Ale wszystkie jego zmartwienia, Brewer i Greene — i Kellogg's — w połączeniu z porażającą banalnością najnowszej historii i kłopotami klimatyzacji sprawiały, że czuł się coraz bardziej nieszczęśliwy.

Pomyślał o swoich relacjach z Brantem Brewerem. Zawsze postrzegał go tylko jako twarz, przystojną i dobrze prezentującą się na lśniąącym papierze dwadzieścia na dwadzieścia siedem centymetrów, wraz z krótką listą ról, od drugorzędnych ról na Broadwayu, aż po programy na żywo i role w kilku innych serialach Ziva. Ciemnowłosa, niebieskooki... Brewer wyglądał jak prawdziwy bohater, a podczas przesłuchania udowodnił też, że potrafi go odgrywać.

Saul Greene wynegocjował umowę, jeszcze zanim Karl zdążył w ogóle porozmawiać z Brewerem. A sztywna dyscyplina, jakiej wymagała produkcja stu piętnastominutowych, niskobudżetowych odcinków na sezon, sprawiła, że nigdy nie wyszli poza początkową relację. Nigdy nie byli kolegami — nie zjedli razem obiadu ani nie wypili drinka. Poza pracą spotykali się tylko podczas imprez świątecznych.

O reszcie obsady wiedział jeszcze mniej. Olkewitz też był klientem Greene'a i, o ile Karl pamiętał, już na przesłuchaniu zjawił się w psiej masce.

Nie miałyby nic przeciwko temu, by lepiej poznać Dotty Doyle, ale jego zdolności asa trochę komplikowały życie erotyczne. Fokus zmieniał normalny pociąg seksualny w specyficzną formę podglądactwa. Poza tym Karl czuł obrzydzenie na samą myśl, że miałyby wykorzystywać pracownicę.

W końcu zdał sobie sprawę, że zbliża się piąta, a on jeszcze nic nie jadł. Wyszedł z gabinetu do zewnętrznego biura, gdzie było już pusto, nie licząc kartki z adresem Edisona Hilla, numerem telefonu i dopiskiem: „Dzwoniłam, numer nie działa”.

Trochę zirytowała go nieobecność Abigail, póki nie przypomniał sobie dwóch rzeczy. Po pierwsze, sam pozwolił jej wyjść dziś wcześniej, bo miała umówioną wizytę u lekarza. A po drugie: tak naprawdę irytowała go sprawa Edisona Hilla.

Zgodnie z najlepszą niemiecką tradycją, postanowił przejść do działania.



Hill mieszkał przy Lookout Mountain 8777. Zabawny zbieg okoliczności: gdy po raz pierwszy odwiedził Fritza Langa, on też mieszkał przy Lookout Mountain. Jego dom znajdował się niecałe osiem kilometrów od studia „Kapitana Katody”.

Ale dotarcie tam zabrało Karlowi ponad godzinę. Trasa południowa przez Laurel Canyon została zablokowana przez wozy strażackie na Mulholland Drive.

Taksówkarz zaproponował alternatywną trasę prowadzącą wokół placu, ulicą Woodrowa Wilsona, potem przez sąsiedni kanion i z powrotem na Laurel od północy.

Na skrzyżowaniu Laurel Canyon i Lookout Mountain zaparkowało więcej wozów, ale można było je minąć.

Jednak po kilku zakrętach taksówka natknęła się na ostateczną przeszkodę: trzy jednostki policyjne.

— Dalej nie pojedziecie — oznajmił funkcjonariusz.

— Ja tu mieszkam — odparł Karl. Nie chciał kłamać, ale musiał dotrzeć do domu Hilla.

— Przyjacielu, to niech pan lepiej zadzwoni do swojego agenta ubezpieczeniowego. Spaliły się cztery domy i jeszcze nie opanowaliśmy pożaru.

Karl zdjął okulary i spojrzał w górę ulicy. Kilka dziwnych budowli — pionowe konstrukcje przypominające domki nadrzewne — zniknęły lub częściowo runęły. Drzewa na wzgórzach zamieniły się w dymiące kikuty. Nawet znak drogowy był umazany sadzą.

— Ale wozy strażackie stoją przy Laurel.

Policjant spojrzał na Karla.

— Lepiej niech pan zawróci. Dym szkodzi na oczy.

Karl próbował negocjować, ale taksówkarz się zniecierpliwiał. Z trudem zawrócił pod czujnym okiem policjantów i ruszył z powrotem.

— Tutaj! — zawołał Karl, gdy zniknęli patrolowi z oczu.

Zapłacił kierowcy i ruszył w stronę resztek domu Edisona Hilla.

Klucząc bocznymi uliczkami, udało mu się ominąć policyjną blokadę i wspiąć się w górę równoległe do Lookout Mountain. W końcu wyszedł spomiędzy niespalonych drzew i spojrzał w dół na pożar.

Na poczerniałym stoku, ponad dawnym adresem 8777 leżał dziwny przedmiot... duży głaz, który oglądany w fokusie przypominał posąg mężczyzny skulonego ze strachu. Mężczyzny z cienkim wąsikiem.



Droga powrotna przez Laurel i Hollywood Boulevard (przy którym na tym odcinku stały już tylko domy) była długa, duszna i mozolna. Na Sunset Boulevard zadzwonił po taksówkę.

Jadąc na wschód, w stronę domu, zastanawiał się, czy nie powiedzieć kierowcy, żeby skręcił na północ w stronę Bazy Sił Powietrznych Tomlin.

Karl von Kampen miał już dość Hollywood.

Wchodząc po schodach do swojego bliźniaka, poczuł kwiatową woń jaśminu, co stanowiło miłą odmianę po zapachu dymu i popiołu w Laurel Canyon. Chłodne powietrze przywróciło mu siły. Zatrzymał się i obejrzał za siebie. Jego wzrok, nieproszony, uruchomił fokus, a wtedy

zawsząd napłynęła kaskada obrazów. Rudzik na drucie telefonicznym. Piłka kopnięta przez dziecko sąsiada, zatrzymana w szczytowym punkcie łuku. Obłoczek dymu z papierosa na Beachwood. Chmara ciem wokół latarni. Jakiś przyczajony kojot na zboczu wzgórza. Wszystko to połączone wstęgami spękanego betonu, rur, liści i smugami pędzących samochodów.

Nawet jeśli Saul Greene albo Brant Brewer miałyby się okazać Bazyliszkiem, to Karl radził już sobie z większymi wyzwaniem. Budował rakiety. Przetrwał nalot Brytyjczyków. Przeżył dzień dzikiej karty. Został producentem w Hollywood!

Z pewnością znajdzie jakiś sposób, by zapanować nad Brantem Brewerem.

W połowie drogi do drzwi ktoś go chwycił. Poczłł uścisk ręki tuż nad łokciem. Niewidzialnej ręki.

— Zawróć — powiedziała Estelle Blair.

To dopiero było wyzwanie — obrócić się spokojnie, jednocześnie wypatrując potencjalnego napastnika. Karl nie był pewien, czy mu się udało, póki nie zszedł na chodnik, nie czując ukłucia noża ani naboju wpakowanego w plecy.

— Estelle... — zaczął.

— Tuż za tobą.

— Co się dzieje?

— Dwóch facetów, na oko nieprzyjemnych i za ciepło ubranych. Zaczęli się tu skradać jakąś godzinę temu. Usłyszałam ich i zniknęłam im z oczu, jeśli wiesz, co mam na myśli.

Karl szedł powoli ku Beachwood w stronę sklepiku na rogu, gdzie mogło być więcej świadków.

— Chyba chcieli wejść za tobą do środka. Jeden z nich ma broń.

Gdzieś z tyłu ruszył samochód. Już za chwilę ulicą Karla przetoczył się hudson hollywood i szybko skręcił w Beachwood.

W środku siedziało dwóch mężczyzn w kapeluszach i długich płaszczach. Potężna sylwetka jednego z nich spokojnie pasowała do Saula Greene'a.

— Wpakowałeś się w jakieś kłopoty? — spytała gospodyni.

— Najwyraźniej. — Poczłł mdłości na samo wspomnienie spalonego domu Edisona Hilla... a potem zalał go czysty strach. Morderca Hilla najwyraźniej powiązał ich ze sobą.

— Może kiepsko widzisz w tych okularach.

— Możliwe. — Dopiero teraz przyszło mu do głowy, że Estelle też może znać jego tajemnicę. Może nawet szpiegowała go przez ostatnie trzy lata. Jakie to głupie — wybrać sobie na gospodynię jedyną osobę, której nie miał się fokus.

— No cóż. Mój świętej pamięci ojciec z Iowy wiedział, jak sobie radzić z kłopotliwymi ludźmi. Czyń drugiemu, co on zamierza uczynić tobie.

— Estelle — odparł Karl. — Nawet nie wiesz, jak bardzo się z tobą zgadzam.



Brent Brewer mieszkał przy Drexel Avenue, niedaleko Farmer's Market i GilmoreField, na północ od WilshireMiracleMile.

Taksówka zatrzymała się koło Gilmore Field, gdzie gwiazdy Hollywood rozgrywały mecz bejsbolowy w ramach małej ligi. Karl zamierzał przejść piechotą cztery ostatnie przecznice

dzielące go od domu Brewera. Uznał, że zdobędzie tym samym trochę czasu, by rozważyć swoje coraz bardziej ograniczone możliwości.

Słońce zachodziło, obiecując wytchnienie po dokuczliwym upale, choć opary w powietrzu miały się unosić jeszcze przez wiele dni. Karl cieszył się, że przynajmniej nie ma księżycy — tamtej strasznej nocy w Peenemünde wzeszedł księżyc w pełni, żeby dodatkowo ułatwić zadanie brytyjskim bombowcom.

Dom Brewera, choć piętrowy, nie okazał się wcale duży. Stał pośrodku sporej działki, ogrodzonej parkanem, częściowo ukryty przed wzrokiem przechodniów.

Karl przyłgnął do płotu, spojrzął fokusem przez pręty i krzaki. Na półkolistym podjeździe zaparkowany był hollywood Greene'a i kilka innych pojazdów. Skierował fokus na ślady odłóżanej farby, na świeższa z wysiłkiem pokonującego szczelinę w chodniku.

Żadnych widocznych pułapek. Ale też żadnych widocznych broni.

Karl miał plan i był to plan godzin samego „Kapitana Katody”. Miał nadzieję, że przeżyje dostatecznie długo, by opowiedzieć o nim Willy'emu Leyowi.

Po raz ostatni rozejrzał się po cichej okolicy, a potem otworzył bramę i podszedł do frontowych drzwi. Ze środka dobiegały śmiechy i dźwięk muzyki. Karl pomyślał, że może jeszcze przerwać tę misję... Zależnie od tego, czy kolejne pół godziny odbędzie się zgodnie ze scenariuszem, ci ludzie mogli znaleźć się w niebezpieczeństwie.

Poza tym odczuwał pewną pokusę, by po prostu dać sobie spokój. Podpisać umowę z Kellogg's i umyć ręce. Niech producenci płatków martwią się dyscyplinowaniem Brewera.

Nie. Brewer nie tylko wprowadził chaos w jego życie — on i Saul Greene prawie na pewno zabili Edisona Hilla i Bóg wie ilu innych ludzi. Byli potworami — prawdziwymi odpowiednikami karykaturalnych złoczyńców z „Kapitana Katody”. Należało ich powstrzymać.

Karl zapukał. Chwilę później otworzył mu bardzo zdziwiony Gene Olkewitz. A raczej Turek. Olkewitz miał na twarzy psią maskę.

Karl trochę się tego spodziewał, ale wciąż był zszokowany, widząc, że pomocnik kapitana odgrywa swoją rolę nie tylko przed kamerą.

— Mam powiedzieć *guten Abend*? — spytał Karl. — Czy zaszczekać? Co ty w ogóle tu robisz? Po co ci ta maska?

— Dżokerska cipka — odparł Olkewitz, rozciągając usta w gumowym uśmiechu. — Dżokerskie dziewczyny są szalone, *mein Führer*. I takie wdzięczne. — Aktor odwrócił się, jakby wzywając pomoc. Przez tłum przepchnął się rozwścieczony Saul Greene.

— Oszalałeś?

— Chciałeś się ze mną widzieć, Saul. Nawet przyszedłeś do mojego domu! — Karl uśmiechnął się, by pokazać, że podobnie jak wszyscy w Hollywood zna ten stary dowcip.

Greene tylko krzyknął:

— Brant!

Brewer przeciskał się przez tłum gości, byli tam tylko dżokerzy. Cóż za zbieranina! Kobieta-jaszczurka. Przysadzisty łuskowaty stwór z ludzkimi stopami. Mężczyzna o zupełnie normalnej sylwetce, nie licząc pary czuzków. Karl dostrzegł nawet kocicę z „Menażerii”, wijącą się na kolanach grubego mężczyzny o twarzy jakby wyrzeźbionej z dębu.

Było ich jeszcze z pół tuzina. Całkowite przeciwieństwo arki Noego — żaden z dżokerów nie miał idealnego odpowiednika. Karl poczuł się, jakby wrócił do „Menażerii”, brakowało tylko

smrodu frytek i metalicznej muzyki z pobliskiej karuzeli. Zamiast tego dostrzegał haftowane dywaniki, brokatowe kanapy, malowidła na ścianach i victrolę.

— Nie widzę żadnego telewizora — stwierdził Karl, gdy podszedł do niego gospodarz. — Gdzie się oglądasz?

— Uwierzysz, jeśli powiem, że nigdy nie widziałem ani jednego odcinka?

Ze wszystkich niewiarygodnych rzeczy, jakie Karl ostatnio słyszał, ta zszokowała go chyba najbardziej. Który z aktorów dobrowolnie zrezygnowałby z oglądania samego siebie?

— Po co mi czarno-biały telewizor, skoro mogę mieć w domu taki barwny tłum? — spytał Brewer. W tej samej chwili Karl dostrzegł Norę... nie — Dotty, w obcisłej różowej sukni, z włosami upiętymi w złoty wieniec, z ustami koloru krwi, oczami błękitnymi jak tropikalne morze. Nigdy nie wyglądała tak kusząco, nawet w jego najskrytszych fantazjach.

Skinęła Karlowi głowę, a potem wskazała miejsce w kącie salonu, gdzie siedział Harold Dann. Uśmiechnął się do Karla i uniósł szklanekę z drinkiem. Producent już od kilku dni nie widział przedstawiciela Kellogg's. Obok niego siedziały dwie tancerki z zespołu „Amerykanki”, niebieska po lewej, czerwona po prawej.

Karl odwrócił się do Brewera i Greene'a.

— Rozumiem, że coś świętujecie? — Czyżby się pomylił i wziął typową hollywoodzką machinację — agent i aktor dogadali się za jego plecami, by przejąć od niego serial — za morderstwo?

Zanim Brewer zdążył odpowiedzieć, Greene i Olkewitz złapali Karla pod rękę.

— Może porozmawiamy na osobności?

Gdy prowadzili go przez tłum, Karl zdążył spojrzeć Dotty w oczy.

— Wyprowadź ich stąd — powiedział. — Wyprowadź stąd wszystkich. Powiedz im... powiedz, że idzie policja. Będzie nalot!

— Ach! — wykrzyknęła.



Znaleźli się w pokoju, za zamkniętymi drzwiami, tylko we trójkę. Olkewitz stanął na straży.

— Jesteś albo szaleńcem albo najodważniejszym człowiekiem na świecie — powiedział Greene.

— A nie mogę być jednym i drugim?

Brewer odwrócił się do agenta.

— Saul...

— Zamknij się, Brant! — wykrzyknął Greene. — Nie, raczej jesteś głupcem, Karl. Przynajmniej jak na naukowca.

— Nie wiedziałem, że za głupotę dostaje się w Hollywood wyrok śmierci. Ulice byłyby całkiem puste...

Greene uderzył go na odlew w twarz, a brutalność tego ruchu zaskoczyła go nawet bardziej, niż zabolęła.

— Myślisz, że robimy to z wyboru? Ty masz szczęście! Twój as ci pomaga!

— Wystarczy, Saul.

Brant zdawał się autentycznie zakłopotany. Położył Greene'owi rękę na ramieniu i delikatnie

odsunął potężnego mężczyznę na bok.

— Kim wy jesteście? — Karl przełknął krew i dotknął językiem obłuzowanego zęba. — Jakąś bandą?

Brewer nie był dostatecznie dobrym aktorem, by ukryć reakcję.

— Potrzebujemy się nawzajem. Saul ich paraliżuje, a wtedy ja się pożywiam. — Odwrócił się do swojego ponurego partnera. — Dobrze, że go znalazłem.

— Brant... — Twarz Greene'a była mokra od potu.

— On zasługuje, żeby to wiedzieć, Saul! — Brewer wyglądał, jakby wyznanie sprawiło mu ulgę. — Dzięki niemu zarobiliśmy dużo pieniędzy!

— Niezła drużyna, gwiazdor filmów dla dzieci i czwartorzędny agent. — Karl nie mógł sobie odmówić sarkazmu. Odwrócił się do Greene'a. — A ty, co z tego masz? Dziesięć procent tego, co twój kumpel wysysa ze swoich ofiar?

Greene uniósł rękę do kolejnego ciosu, ale Brewer go powstrzymał.

— Przestań, Saul. — Stanął pomiędzy agentem a Karlem. — Słyszałeś kiedyś o narkomanach i demonie, którego noszą na ramieniu? Gdybym mógł zamienić ten nałóg na heroinę, zrobiłbym to w każdej chwili. — Przesunął ręką po czole, ścierając pot. — W tym upale robi się jeszcze gorzej.

— Ale co z nich wysysasz? Krew, kości?

Teraz to Greene się roześmiał.

— No, dalej, powiedz mu!

Co dziwne, Brant zdawał się zawstydzony, jakby nie mógł znaleźć słów.

— Saul przemienia ich ciała, a ja zabieram dusze. Ich... osobowość. Nie mogę być bohaterem — nie mogę zagrać człowieka — póki go nie wchłonę.

Gdyby nie paraliżujący go strach, Karl chyba by się roześmiał. A zatem Brant Brewer był prawdziwym asem aktorem — prawdziwym pustym naczyniem. Przez chwilę żał mu było ich wszystkich, nawet Greene'a. Wszyscy na świecie twierdzili, że znają fizyczną cenę, jaką trzeba zapłacić za noszenie dzikiej karty, ale co ze zmianami w psychice? Jakie tortury musiał znosić ludzki umysł pod działaniem takizjańskiego wirusa?

Potem Saul Greene chwycił Karla od tyłu, zakleszczając go w niedźwiedzim uścisku, z którego nie miał szans się wyrwać.

— Twój kumpel Hill był bohaterem. A teraz ty też postanowiłeś nim zostać? — Karl poczuł, że jego ciało staje się coraz cięższe, jakby gęstsze. Zamieniał się w kamień? — Jak mówiłem, głupiec z ciebie.

Karl wepchnął rękę do kieszeni.

— Powąchaj! — wykrztusił z trudem. — To gaz i już wypełnił cały dom. Teraz wystarczy iskra, żeby wszystko poleciało w kosmos — dodał, wyciągając z kieszeni zapalniczkę.

Brant zdawał się zaniepokojony.

— Saul, pilnuj go...

Ale Greene tylko się uśmiechnął i zawołał:

— Gene!

Drzwi otworzyły się i do pokoju wszedł Olkewitz, niosąc wijącą się postać owiniętą w koc. Rzucił tobolek na podłogę, po czym usiadł na nim.

Greene nie zwolnił uścisku.

— Wprawdzie nie mogliśmy wypatrzeć twojej niewidzialnej przyjaciółki, ale Gene, jak na natola, ma świetny węch. Wywęszył ją.

Tobołek na podłodze miotał się gorączkowo. Brant Brewer ostrożnie wyjął Karlowi zapalniczkę z zeszywniałej dłoni.

— Już dobrze, Estelle — zawołał Karl. *A zatem złapali ją. To koniec...*

Brant spoglądał na niego z niedowierzaniem.

— Na tym polegał twój plan? Wejść tu i wszystkich nas wysadzić?

— Mój plan... — odparł Karl, szamocząc się w uścisku Greene'a — ...polegał na tym, żeby przemówić wam do rozsądku! Możecie mnie zabić, tak jak pozostałych, ale tym razem nie będzie to zwykłe morderstwo dzokera. Jestem Niemcem! Jestem twoim producentem! Jestem asem! A kto mnie zastąpi? Ktoś silniejszy i twardszy. A gdy do tego dojdzie, to jak myślicie, jak długo uda wam się przetrwać? Nie lepiej... zawrzeć rozejm?

Miał wrażenie, że mówi sam do siebie. Czuł się przygwożdżony do miejsca, robił się coraz cięższy, skóra mu twardniała. Próbował użyć fokusu i nie zdołał.

Teraz mógł tylko zamknąć oczy i umrzeć...

Ktoś otworzył drzwi. Zrobiło się zamieszanie, usłyszał, jak Greene krzyczy:

— Brant!

Karl otworzył oczy i zobaczył, że zostali z Estelle sami. Odrzucony koc leżał na podłodze.

— Możesz chodzić?

— Tak — odparł Karl, choć podejrzewał, że nie będzie łatwo. Czuł się, jakby przez kilka godzin siedział w tej samej pozycji. Zdrętwiały mu stopy, nogi, a nawet biodra.

— Trzeba się stąd wynosić.

Obolały, wyciągnął rękę. Wspierając się na ramieniu Estelle, niskiej i drobnej, i w dodatku niewidzialnej, pokuśtykał korytarzem aż do salonu.

Dolly, Dann i dzokerzy posłuchali jego rady i już dawno zniknęli. Teraz w salonie dostrzegł tylko Branta Brewera, Saula Greene'a i Eugene'a Olkewitza. Brewer stał na schodach, wysoko unosząc zapalniczkę. Greene bezskutecznie próbował go osiągnąć. Przybrał nawet tę samą heroiczną pozę, którą prezentował w każdym odcinku „Kapitana Katody”.

— Odłóż to, Brant!

Olkewitz stał pomiędzy nimi, wciąż ubrany w psią maskę.

— Cofnij się, Saul!

Karl pospiesznie pokuśtykał do frontowych drzwi i wypadł na zewnątrz, w upalną sierpniową noc, desperacko próbując oddalić się od domu. Gdy dotarł do pracy, rozległ się trzask, jakby złamano gnijące drewno...

Cały dom buchnął płomieniem. Olbrzymia, gorąca łapa walnęła Karla na odlew, rzucając nim o zaparkowany samochód.

Ogłuszony wybuchem, z otartymi rękami i kolanami, mężczyzna skulił się na ziemi, a w górze rozkwitła olbrzymia kula ognia.

W końcu wstał, zmuszając się, by spojrzeć wokół, choć miał wrażenie, że nawet powietrze płonie.

— Estelle! — zawołał.

— Tu jestem, kochanie! — odparł głos tuż za nim. — Chyba trochę mi sła...

Usłyszał szelest i głuchy odgłos, gdy coś upadło na trawnik. Teraz musiał wziąć na ręce niewidzialną kobietę.

Za nimi cały dom Branta Brewera stanął w ogniu. Trząsł się w posadach tak gwałtownie, że pierwsze piętro już runęło. Żadna ekipa strażacka nie zdołałaby tego uratować.

Zanim zdążyli przyjechać, pozostał tylko popiół.



Dwa tygodnie później, jadąc do Bazy Sił Powietrznych Tomlin, autobus wiozący Karla von Kampena zatrzymał się po północnej stronie Palmdale, by zatankować.

Prostując nogi — wciąż zeszywniałe od dotyku Bazyliszka — Karl spojrzął na nagłówek gazety czytanej przez stewarda.

ZIV T.V. prezentuje nowego Katodę George'a Reevesa,
znanego z *Przeminęło z wiatrem*
i *Stąd do wieczności*

Oferta Kellogg's zmarła wraz z Brantem Brewerem. I całe szczęście. Harold Dann wsiadł w pierwszy samolot do Michigan, prawdopodobnie by uniknąć niewygodnych pytań — na przykład, co właściwie robił na tej imprezie.

Karl w ogóle się tym nie przejmował. Chciał raz na zawsze skończyć z Hollywood, nawet oddał swojego nowego zenitha Estelle. Był jej winien znacznie więcej — nie tylko ocaliła mu życie, ale także pomogła zrozumieć, dlaczego Brant Brewer postanowił się zabić.

— Życie dzokera samo w sobie jest wystarczająco straszne — powiedziała. — Wskaźnik samobójstw jest zatrważający. Ale aktorzy to specyficzni ludzie, wiecznie niepewni siebie. Sami nie wiedzą, dlaczego są tak popularni — przynajmniej do czasu. Brant Brewer chyba przeczuwał, że Kapitan Katoda to szczyt jego możliwości, a gdy odkryłeś jego sekret, było już po wszystkim.

Karl von Kampen włożył ciemne okulary i spojrzął w przyszłość.



Powers

DAVID D. LEVINE

O dziewiątej trzydzieści pięć rano, w poniedziałek, drugiego maja 1960 roku, ktoś niespodziewanie zastukał do drzwi Franciszka Majewskiego. Biurko Franka stało najbliżej drzwi, zgasił więc papierosa i przygotował się na przyjęcie gościa.

— Chwileczkę! — zawołał.

Większość dokumentów została już schowana do folderów o odpowiednich barwach, zgodnie z przypisaną klasyfikacją, wszystkie wyrównane do krawędzi biurka. Odłożył papiery do teczki, a potem zerknął na kolegów, by upewnić się, że zrobili to samo. Było jeszcze wcześnie rano, ale w pozbawionym okien biurze zdążyło się już zrobić gorąco i duszno. Ostre, fluorescencyjne świetlówki szumiały w górze ponad szafkami pozostałymi jeszcze z wojennych zapasów. Podłogę pokrywało porysowane biało-zielone linoleum, na którym ustawiono biurka, szare niczym kadłuby okrętów wojennych, poprzypalane papierosami od kilku dziesięcioleci. Cztery sejfy w głębi pomieszczenia zostały oznaczone zielonymi kartami oznaczającymi „otwarte”. Ich drzwi w ciągu dnia były zamknięte, ale nie zaryglowane.

Frank właśnie pracował nad analizą oceniającą wydajność produkcji bombowców przez Związek Sowiecki. Miał przed sobą teczkę zawierającą dokumenty po rosyjsku, niemiecku, polsku i angielsku: artykuły prasowe, przechwycone telegramy, raporty z terenu. Te ostatnie, choć najświeższe i najbardziej ekscytujące, były także najbardziej podejrzane... nawet jeśli prezentowane tam fakty nie stanowiły celowej dezinformacji, mogły zawierać pomyłki, zbyt daleko idące wnioski albo kompletne konfabulacje stworzone przez agentów spragnionych dreszczyku lub pieniędzy. W tej branży nic nie mogło być pewne — właśnie dlatego nazywano to „szacunkami” — ale badając korelację dostępnych danych, bystry analityk mógł próbować domyślić się prawdy.

Człowiekiem stojącym za drzwiami okazał się Robert Amory Junior — przełożony Franka był wysoki, szczupły i, w przeciwieństwie do podwładnego, wciąż miał włosy na głowie.

— Co za miła niespodzianka! — wykrzyknął Frank, ujmując jego dłoń. Mężczyzna, który zrekrutował go do CIA, został niedawno promowany na zastępcę wicedyrektora służb wywiadowczych. W rękę trzymał czerwoną teczkę z nalepką ŚCIŚLE TAJNE.

— Muszę z tobą pomówić, Frank — oznajmił. — Na osobności. Chodź ze mną.

Frank przełknął ślinę. Zdjął druciane okulary i przetarł je chusteczką, by ukryć zdenerwowanie.

Idąc korytarzem, słuchając odgłosu kroków na posadzce, poczuł, że oblewa go pot, znacznie bardziej, niż wynikałoby to z otaczającej temperatury. Każde zakłócenie codziennej rutyny było czymś niepokojącym, a zainteresowanie ze strony przełożonego było podwójnie niepokojące. Czyżby nadszedł dzień, którego obawiał się już od tylu lat?

Robert zaprowadził Franka do pokoju, którego nigdy wcześniej nie widział, zamykając za sobą dźwiękoszczelne drzwi. Gdy usiedli przy małym stoliku wypełniającym większość przedsionka, Robert poczęstował podwładnego papierosem. Palił marlboro, które Frank uważał

za zbyt ostre w smaku, ale teraz skwapliwie wziął jednego, żeby uspokoić nerwy.

Robert postukał papierosem w ciężką szklaną popielniczkę ze wzorem pieczęci CIA, po czym wyjął z teczki kartkę.

— Podpisz tu.

— Co... co to? — Frank poczuł, że puls mu przyspiesza, skóra zadrgała na szyi pod zapiętym kołnierzykiem.

— Muszę wprowadzić cię do nowego działu.

„Wprowadzeniem” nazywano autoryzację pracownika, by mógł uzyskać dostęp do pewnego zestawu zastrzeżonych informacji. Dokument zawierał krótki opis projektu — prowadzenie zwiadów za pomocą przelotów na dużej wysokości ponad terytorium Związku Sowieckiego — i standardową formułkę, że nieautoryzowane ujawnienie wszelkich informacji na temat projektu podlega karze więzienia z dożywociem łącznie. Robert wpisał już imię i nazwisko Franka, datę urodzenia i numer ubezpieczenia. Frank podpisał z uczuciem ulgi.

Nie wiedział jeszcze, dlaczego podnoszą mu klauzulę dostępu, ale niezależnie od powodów wiedział przynajmniej, że jego tajemnica nadal jest bezpieczna.

Robert podpisał się w rubryce dla zwierzchnika, po czym wyjął z szuflady kolejną teczkę.

— Witaj w AQUATONE.

Każdy dział był opisany kryptonimem zaczynającym się od dwucyfrowego prefiksu oznaczającego położenie geograficzne lub funkcjonalne. Prefiks AQUATONE — AQ oznaczał zasoby techniczne.

Robert wyjął z teczki lśniące zdjęcie w formacie dwadzieścia na dwadzieścia pięć centymetrów i przesunął je po stole.

— Ta informacja pod żadnym pozorem nie może wyjść poza ten pokój. AQUATONE to jedna z naszych najczarniejszych operacji. — Zdjęcie ostemplowane pieczęcią AQUATONE: ŚCIŚLE TAJNE ukazywało samolot... bardzo nietypowy samolot. Skrzydła były niewiarygodnie długie, a kadłub smukły niczym cygaro. Można by go wziąć za szybowiec, gdyby nie wylot napędu odrzutowego z tyłu. Był pomalowany całkiem na czarno i pozbawiony wszelkich oznaczeń.

— To jest Lockheed U-2 — powiedział Robert. — Może osiągnąć wysokość ponad dwudziestu jeden kilometrów i prędkość pięciuset dziesięciu węzłów i pozostać w powietrzu przez osiem godzin bez tankowania. Od prawie pięciu lat wysyłamy go nad terytorium Związku Sowieckiego.

Frank zdał sobie sprawę, że popiół z papierosa zaraz spadnie na stół, i postukał nim o popielniczkę.

— Czy z takiej wysokości da się w ogóle coś dostrzec? — spytał. — Dwadzieścia kilometrów to właściwie poza atmosferą.

Robert uśmiechnął się ponuro.

— Da się, i to bardzo wyraźnie. A Sowieci nie są w stanie temu zapobiec. — Spojrzał Frankowi w oczy. — A przynajmniej tak sądziliśmy. Ale w niedzielę jeden z naszych U-2 nie wrócił do bazy.

Podał teczkę Frankowi.

Mężczyzna odłożył papierosa i przejrzał dokumenty, wszystkie ostemplowane jako AQUATONE: ŚCIŚLE TAJNE. Samolot wystartował z Peszawaru w Pakistanie, by przelecieć

ponad Stalingradem, Archangielskiem i Murmańskiem, szukając dowodów na budowę wyrzutni balistycznych pocisków międzykontynentalnych, zachowując całkowitą ciszę radiową. Ale w tej chwili upłynęły ponad dwadzieścia cztery godziny od planowanego czasu lądowania w Bodø, w Norwegii. Wyglądało na to, że samolot zaginął.

— Co się stało?

— Nie wiemy. To bardzo kapryśna maszyna, mogło dojść do awarii urządzeń albo błędu pilota. — Ostatnim dokumentem w teczce okazało się zdjęcie pewnego siebie mężczyzny w sznurowanym kombinezonie pilota, przypominającym staromodny gorset.

— To właśnie pilot, Francis Gary Powers. Jeden z naszych. Wszyscy piloci i członkowie personelu są pracownikami Agencji.

Pilot miał mocno zarysowaną szczękę i ciemne oczy. Wydawał się nieco starszy niż syn Franka, miał około trzydziestki.

— Wiemy, że samolot spadł gdzieś na terytorium Związku Sowieckiego. Chcę, żebyś wybadał, co o tym wiedzą Sowieci. Czy go zestrzelili? Czy choćby wiedzą o jego istnieniu? Czy znaleźli wrak, a jeśli tak, to co z niego wyczytali? Samolot jest, oczywiście, wyposażony w mechanizm samozniszczenia, ale on także mógł ulec awarii.

— A pilot?

Twarde nieustępliwe spojrzenie.

— Otrzymał igłę z kurarą. — Robert odruchowo wciągnął dym, wypuścił go nosem. — Ale, Frank, samolot, który jest w stanie wzbić się na taką wysokość... Zrobiono go właściwie z papieru toaletowego. Jeśli spadnie, szanse przeżycia są jak jedna na milion.

Frank podniósł swój papieros. Nie dotykał go tak długo, że tytoń wypalił się prawie do filtra. Wziął ostatniego, długiego sztacha, po czym zgniótł niedopałek.

— Dlaczego ja?

Tętno zwolniło mu wprawdzie, gdy odkrył, że jego osobista tajemnica nie stanowi powodu tej wizyty, mimo wszystko nie był do końca zadowolony — takie zadanie z pewnością miało ściągnąć na niego uwagę przełożonych.

— Bo cię znam, Frank. Dobrze mówisz po rosyjsku, jesteś bystry i ufam twojemu osądowi. Jeśli wywiążesz się z tego należycie, to może być przełomowy moment w twojej karierze. — Robert mrugnął konspiracyjnie.

— Dzięki. — Frank spróbował się uśmiechnąć.



Wrócił do domu o dwudziestej trzeciej dziesiątej. Wsunął klucz do zamka i wślizgnął się do środka, najciszej jak potrafił. Jednak okazało się, że Sophia nie śpi — w szlafroku i kapciach stała przy oknie, przygryzając paznokcie ze zdenerwowania. Odwróciła się, gdy tylko wszedł. Na jej okrągłej twarzy pojawił się wyraz ulgi, którą natychmiast zastąpiła złość.

— Gdzie byłeś? — spytała zduszonym głosem.

— Przepraszam, że tak się spóźniłem, kochanie — powiedział i pocałował ją w policzek. — Dostałem dziś nowe zadanie. Miałem tyle pracy, że zapomniałem zadzwonić.

Tak naprawdę spędził większość dnia w skrytce AQUATONE, gdzie nie sięgały linie telefoniczne.

Uściskała go mocno.

— Tak się martwiłam, serduszek — szepnęła. — Bałam się, że to SKAZA cię dorwała.

— Nie, kochanie — odparł, gładząc jej włosy. — Jeszcze nie dzisiaj. Nasz sekret jest bezpieczny, przynajmniej na razie.

Frank doskonale pamiętał tamten dzień, gdy sekret w końcu się ujawnił. Był piękny wiosenny dzień 1952 roku. Przechodził właśnie przez ulicę na zielonym świetle, gdy spoglądając w lewo, zobaczył zielonego packarda mknącego w jego stronę. Za kilka sekund miał się zmienić w krwawy naleśnik rozplaszczony na ulicy. W jego głowie zabrzmiał szum i czas jakby zwolnił.

Cofnął się. Miał wrażenie, że brodzi w kleju, nie mógł złapać tchu. Chwilę później o włos minął go rozpędzony samochód. Frank stał na ulicy, drżąc ze strachu, zastanawiając się, co właśnie zaszło. Przetarł ręką czoło i zobaczył, że do spoconych palców przyłgnęła mu garść włosów. Zawsze wiedział, że prędzej czy później wyłysieje, podobnie jak jego ojciec, ale nie sądził, że dojdzie do tego tak szybko.

Kolejny wypadek miał miejsce kilka miesięcy później, gdy ze stołu spadł ulubiony wazon Sophii, a następny — miesiąc później, gdy jedną z jego siostrzenic zaatakował agresywny pies. Frank nie na darmo był uważany za zdolnego analityka: nie miał w zwyczaju ignorować danych, jakkolwiek dziwnych czy niespodziewanych, i już wkrótce doszedł do wniosku, że jest w tym coś więcej niż tylko działanie adrenaliny. Wykształcił paranormalną umiejętność.

Został asem.

Jednak Joe „Tylny Strzelec” McCarthy właśnie rozpoczął swoje przesłuchania, twierdząc, że rząd jest infiltrowany przez wrogich asów. Opinia publiczna zaczęła postrzegać ich bardzo negatywnie. Przewidywanie trendów w polityce stanowiło część pracy Majewskiego, a zatem szybko zorientował się, że życie asów pracujących w agencjach rządowych już wkrótce stanie się bardzo nieprzyjemne. Miał zaledwie osiem lat, gdy bolszewicy dokonali przewrotu w Rosji, a jego rodzice — zamożni ziemianie polskiego pochodzenia — uciekli do Stanów, a zatem doskonale wiedział, jak niebezpiecznie jest się wyróżniać z tłumu podczas politycznego kryzysu.

Z początku nie powiedział o swoich zdolnościach nikomu, nawet żonie. Jednak Sophia była bystrą kobietą i po jakimś czasie zauważyła, że w podbramkowych sytuacjach jej mąż zaczyna dziwnie wyglądać, jakby pojawiał się i znikał, aż w końcu był zmuszony się przyznać. Co zabawne, do dzisiaj nie dowiedziała się, że Frank pracuje dla wywiadu.

Przesłuchania McCarthy'ego dobiegły końca, ale strach i nieufność wobec asów pozostały. Każdy, kto odkrył u siebie nietypowe moce, miał prawny obowiązek zgłosić się do SKAZA, a komisja miała przydzielić mu odpowiednią pracę, w ramach której jego umiejętności można by wykorzystać dla dobra państwa. Jednak SKAZA oficjalnie uznała tylko dwa takie przypadki: Lawrence'a Hague'a, maklera telepatę i Davida Harsteina, zwanego Posłańcem. Żadnego z nich nigdy więcej nie widziano publicznie.

Sophia pociągnęła nosem i wytarła oczy rękawem szlafroka.

— Przepraszam, że na ciebie krzyczałam — powiedziała. — Za każdym razem, gdy wracasz tak późno, umieram ze strachu. Bałam się, że cię zabrali, no wiesz... do Nevady.

Jedna z bardziej szokujących teorii głosiła, że asów internowanych przez SKAZA transportowano do tajnej placówki mieszczącej się na pustyni w Nevadzie, której nie wolno im było opuszczać, nie licząc wykonywania obowiązków służbowych.

— Przecież wiesz, że to tylko plotka.

Ale wiedział też, że sowieckie gułagi naprawdę istnieją, mimo że rząd starał się ukryć ich

istnienie przed resztą obywateli. Rząd Stanów Zjednoczonych chyba nie zrobiłby nic podobnego... prawda?



Ulicą przejechał kolejnym samochód, światła reflektorów omiotły weneckie żaluzje, rzucając na sufit łuki światła. Frank westchnął i usiadł na posłaniu. Pomimo wyczerpania i późnej pory jakoś nie mógł spać.

Sophia pochrapywała cicho w sąsiednim łóżku. Frank narzucił szlafrok, włożył pantofle i skierował się do pokoju dzieciennego. Jasny pokoik był wyłożony drewnianą boazerią, a na kloszu lampy wciąż widniały sylwetki wymalowanych samolocików. Ale Jenna, jego najmłodsza córka, wyszła za męża i wyprowadziła się od rodziców trzy lata temu.

Usiadł przy szachownicy i otworzył podręcznik Botwinnika *Sto wybranych partii szachowych* na stronie z zakładką, gra numer osiemdziesiąt dziewięć. Tołusz przeciwko Botwinnikowi, 1945 rok. Szybko rozstawił planszę, a potem zaczął rozgrywać. Zatrzymał się przy dziesiątym ruchu białych, rozważając alternatywy zaproponowane przez Botwinnika. Próbował po prostu czytać, rozgrywając partię w myślach, ale gdy trzymał figury w ręku, strategię i ataki obu graczy zdawały się znacznie klarowniejsze.

Sens rozgrywek był jasny. Nawet jeśli strategię graczy pozostawały ukryte, to wszyscy znali reguły, a ruchy wykonywano otwarcie — nawet szach należało zakomunikować głośno. Jednak w prawdziwym życiu aż roiło się od ukrytych pułapek. Frank pomyślał, że jeśli SKAZA obserwuje go z ukrycia, to pewnie nie dowie się o tym, aż do ostatniej chwili.

Kiedy już rozegrał partię, ziewnął, odłożył figury do futerału, odstawił książkę na półkę i wrócił do sypialni. Gdy mijał lustro w korytarzu, światła kolejnego samochodu przez chwilę oświetliły jego odbicie, chude kończyny i rosnący brzusek.

Przez pewien czas, tuż po odkryciu swoich możliwości, rozważał, czy nie zameldować się do SKAZA. Zabawiał się młodzieńczymi fantazjami, w których widział siebie jako brawurowego agenta o efektownym pseudonimie, przeżywającego niezwykle przygody. Ale nawet wtedy był już za stary i zbyt przyzwyczajony do stabilnego życia. Człowiek, który patrzył teraz na niego z lustra, miał pięćdziesiąt jeden lat, a wyglądał na sześćdziesiąt.

Potrząsnął z politowaniem głową i zamknął drzwi do sypialni.



Zawsze golił się brzytwą, używając mydła, kubka i pędzla z borsuczego włosia, tak jak jego ojciec. Nawet jego balwierz używał golarki gillette i kremu do golenia w spreju — mówił, że to łatwiejsze, czystsze i bezpieczniejsze — ale Frank lubił mieć poczucie kontroli, jakie dawało korzystanie z brzytwy. Stare metody były najlepsze, a już na pewno najtańsze.

Ale o ósmej piętnaście, 5 maja, Frank nagle pożałował tego nawyku, gdy z łazienkowego radia rozległ się głos Nikity Chruszczowa mówiącego coś o „zestrzelonym bandyckim lotniku”. Głos pierwszego sekretarza szybko zagłuszył angielski tłumacz, ale Frank usłyszał już dość. Może nawet za wiele.

Pocierając skaleczenie wacikiem, Frank klął pod nosem po rosyjsku, polsku i angielsku. We środę pracował nad tym ponad czternaście godzin, ale żadna informacja w przeanalizowanych źródłach nie sugerowała, że Sowieci choćby nawet wiedzą o istnieniu zaginionego U-2, i to

właśnie napisał w raporcie złożonym wczoraj o dwudziestej pierwszej.

Poniósł porażkę.

W mózgu kłębiły mu się różne domysły, gdy zawiązywał krawat na nieogolonej szyi, wciąż wilgotnej od mydlin. Co mu umknęło? Pamiętał, że pewna informacja przez chwilę przyciągnęła jego uwagę — coś o zwiększeniu liczebności sił porządkowych we Włodzimierzu — ale choć nie dawało mu to spokoju, nie potrafił skorelować tego faktu z niczym innym i w końcu nie uwzględnił go w raporcie. Może powinien był to zbadać dokładniej.

Z odbiornika wciąż płynął głos Chruszczowa, zarzucającego Amerykanom „agresywną inwazję”, „zabawy z ogniem” i skandaliczne próby „storpedowania” nadchodzącego szczytu w Paryżu. Frank zacisnął węzeł i przełączył na inną stację.

Akurat śpiewał tam ten troglodyta Elvis Presley, grożąc, że uściska kogoś „mocniej niż niedźwiedź grizzly”.

Frank nie był pewien, kto stanowi większe zagrożenie dla bezpieczeństwa Ameryki: Chruszczow czy Presley. Z obrzydzeniem wyłączył radio.



Zanim zdążył choćby zdjąć kapelusz, jego kolega z pokoju, Galen, poinformował go, że Robert Amory chciał go widzieć, gdy tylko przyjdzie do biura. Sekretarz Roberta wprowadził go do zatłoczonej sali konferencyjnej. Powietrze było aż sine od dymu. Frank nie rozpoznawał połowy obecnych osób.

Jednak nie mógł nie rozpoznać Allena W. Dullesa, dyrektora Centralnej Agencji Wywiadowczej. Siwe włosy i wąsy, okulary bez oprawek i staromodny kołnierzyk upodabniały go raczej do bankiera niż do szpiega. Teraz spoglądał na Franka z ponurą miną, mocno zaciskając zęby na ustniku fajki.

— Cieszę się, że już jesteś, Frank — powiedział Robert, gdy już przedstawił go wszystkim obecnym. — Musimy poinformować o wszystkim prezydenta za — zerknął na zegarek — dwadzieścia pięć minut i chciałbym, żebyś przy tym był.

Mężczyzna poczuł, że zaschło mu w ustach.

— Tak mi przykro, naprawdę nie spodziewałem się...

Robert uciszył go machnięciem ręki.

— Potem porozmawiamy o tym, gdzie popełniono błąd. Teraz musimy stanąć na nogi.



Sala konferencyjna w zachodnim skrzydle, z kolonialnymi tapetami i olejnymi płótnami przedstawiającymi sceny z czasów wojny o niepodległość, zawsze przypominała Frankowi poczekalnię u dentysty. Ale gdy do środka wszedł prezydent Eisenhower, poczuł, jakby przebiegł go prąd elektryczny. To się działo naprawdę. Tu tworzyła się historia.

Jeszcze nigdy wcześniej nie przebywał z prezydentem w jednym pomieszczeniu. Znajoma twarz spoglądająca spod okrągłej łysin wyglądała na zmęczoną, mężczyzna lekko kulał, ale oczy skryte za szklami okularów w grubych, plastikowych oprawkach wciąż patrzyły bystro.

— No cóż, panowie — zwrócił się do całego zgromadzenia. — Chyba mamy tu pewien problem.

Podstawowe pytanie brzmiało: czy lepiej „puścić farbę”, jak to ujął prezydent — czyli przyznać, że utracony samolot wyruszył z misją szpiegowską — czy trzymać się przygotowanej wcześniej wersji, mówiącej, że U-2 to samolot badawczy NASA, który przypadkiem znalazł się nad terytorium Rosji. Pracownicy CIA optowali za drugą wersją. „To jasne, że wszyscy szpiegują, tylko nikt się do tego nie przyznaje”, argumentował Dulles. Jednak Thomas Gates, sekretarz obrony, martwił się, że jeśli Chruszczow zdobędzie fizyczne dowody na prowadzenie obserwacji szpiegowskich, wówczas rząd Stanów Zjednoczonych zostanie przyłapany na kłamstwie.

— Nie chcemy jechać do Paryża tylko po to, by obrzucili nas jajami — stwierdził.

Jednak prezydent najwyraźniej nie słuchał.

— Przede wszystkim chciałbym wiedzieć: co z pilotem? Czy mógł to przeżyć? — Frank ze zdziwieniem odkrył, że dowódca setek tysięcy ludzi nagle martwi się o jednego agenta.

Pierwszy odpowiedział Kelly Johnson z Lockheed, blady mężczyzna o zaczerwienionych policzkach.

— No cóż, sir. — Inżynier otarł czoło chustką. — Samolot wyposażony jest w katapultę i zestaw ratunkowy... ale szczerze mówiąc, umieszczamy je tam głównie po to, by zapewnić pilotowi poczucie bezpieczeństwa. — Twarz Eisenhowera spochmurniała. — Z powodów bezpieczeństwa cały przelot nad terytorium Rosji musi odbywać się na najwyższej możliwej wysokości, czyli dwudziestu jeden kilometrów. Jeszcze nikt nigdy nie przeżył katapultowania na takiej wysokości.

Prezydent zamknął oczy i na chwilę zwiesił głowę. Gdy znów ją podniósł, wyglądał, jakby przybyło mu dziesięć lat.

— W porządku — oznajmił, wodząc wzrokiem po wszystkich obecnych. — Jeśli tak, będziemy się trzymać spreparowanej wersji. Dziękuję za poświęcony czas, panowie.

Gdy wszyscy wstawali z miejsc, szurając krzesłami po linoleum, Eisenhower potrząsnął głową i mruknął:

— Niech Bóg ma nas w opiece.

Gdyby Frank stał półtora metra dalej, pewnie nic by nie usłyszał. Po raz kolejny niespodziewanie dostrzegł ludzkie oblicze prezydenta i był tym wzruszony.



W piątek zdawało się, że przełożeni Franka wybaczyli mu jego porażkę, chociaż on nie wybaczył sam sobie i przez cały dzień próbował ustalić, co Sowieci właściwie wiedzą na temat U-2. Zdjęcia wraku zostały opublikowane w „Prawdzie”, a minister obrony Andriej Grieczeko wygłosił przemowę przed Radą Najwyższą, w której deklarował, że „amerykański pirat powietrzny” został „zestrzelony”, ale nic nie wskazywało na to, że Rosjanie wiedzą cokolwiek na temat misji lub możliwości U-2.

Ale jedna informacja, a raczej brak informacji, nie dawały mu spokoju. Pewien ambitny, szybko awansujący funkcjonariusz KGB, człowiek o kryptonimie SOPEL, najwyraźniej zniknął z powierzchni Ziemi tego samego dnia, gdy przepadł U-2. Na tym etapie Frank nie potrafił w żaden sposób połączyć tego człowieka ze sprawą zaginionego samolotu, nie licząc niejasnych przeczuć. Zaryglował papiery w sejfie i obiecał sobie, że w poniedziałek pokopie głębiej.



W sobotę, 7 maja, Frank był akurat na podwórku, zajęty myciem swojego ukochanego ramblera z 1956 roku, gdy Sophia wyjrzała przez okno w sypialni.

— Frank, dzwoni jakiś pan Robert. Mówi, że to bardzo pilne.

Analitik wrzucił gąbkę do wiaderka i wbiegł na górę, przeskakując po dwa stopnie. Zdyszany, z rękami wciąż ociekającymi pianą, odebrał telefon w pokoju szachowym.

— Frank, przyjdź jak najszybciej do biura. — Sądząc po głosie, Robert nie był zadowolony.

— Tak, sir. — Nie było sensu pytać o szczegóły na niezabezpieczonej linii.



Gdy stawiał się w biurze Roberta, wicedyrektor bez słowa podał mu plik żółtych kartek z telefaksu. Był to transkrypt przemowy Chruszczowa wygłoszonej przed kilkoma godzinami na posiedzeniu Rady Najwyższej.

— Towarzysze — zaczął pierwszy sekretarz. — Muszę zdradzić wam pewną tajemnicę. Układając swój raport, celowo zataiłem informację, że zdobyliśmy szczątki samolotu i że pilot przeżył.

Frank podniósł wzrok, czując, że krew odpływa mu z twarzy.

— Czytaj dalej — ponaglił Robert.

— Uczyniliśmy to celowo — ciągnął dalej Chruszczow — ponieważ gdybyśmy ujawnili wszystko, Amerykanie wymyśliliby inną wersję wydarzeń. Pilot jest cały i zdrowy. Przebywa obecnie w Moskwie. Nazywa się Francis G. Powers. Według jego zeznania jest porucznikiem Sił Powietrznych, w których służył do 1956 roku, kiedy przeniesiono go do Centralnej Agencji Wywiadowczej...

Było tego znacznie więcej. Nazwiska, daty, plany lotów, wszystko zgodne z prawdą. Zdjęcia z kamer samolotu, które Chruszczow określił jako „całkiem niezłe”. Zdobyli nawet zatrutą igłę, za pomocą której Powers miał popełnić samobójstwo. Oficjalna wersja o samolocie meteorologicznym, który przypadkiem zboczył z kursu, została rozniesiona na strzępy.

Powers miał zostać osądzony jako szpieg. W przypadku uznania za winnego — a Sowieci nie słynęli z nadmiernej łagodności — czekał go pluton egzekucyjny.

Frank upuścił kartki na biurku i pomasował skronie. Desperacko pragnął zapalić, ale w pośpiechu nie zabrał z domu papierosów. W tej samej chwili trzasnęły otwierane drzwi i do pokoju wszedł Allen Dulles, z fajką w zębach. Już miał coś powiedzieć, gdy nagle dostrzegł obecność Franka.

— Co on tu robi?!

Frank siedział jak sparaliżowany.

— Frank Majewski jest jednym z naszych najlepszych analityków do spraw Związku Sowieckiego... — zaprotestował Robert.

Dulles nie dał mu dokończyć. Wyjął fajkę z ust i wskazał na podwładnego ustnikiem.

— Kompletnie nie zauważył, że Chruszczow ma naszego U-2, nie mówiąc już o pilocie! Odsuń go od tego! Przydziel tu kogoś, kto będzie wiedział, co się dzieje! — Obrzucił Franka miażdżącym spojrzeniem i wyszedł.

Przez chwilę trwała pełna osłupienia cisza, a potem Robert zgarbił się ciężko na krześle.

— Jeszcze nigdy nie widziałem, żeby był tak wściekły — przyznał. — Nigdy.

Frank zacisnął dłonie na krawędzi biurka.

— Zrobiłem, co mogłem, mając do dyspozycji taką ilość danych — powiedział. Był tak zaskoczony, że głos mu nawet nie zadrżał.

Robert wyciągnął z szuflady paczkę marlboro. Frank z ulgą przyjął poczęstunek.

— Nie chodzi tylko o ciebie, Frank. — Robert przypalił papierosa i zaciągnął się głęboko. — Dzieje się tu coś jeszcze i nawet ja nie mam pojęcia, o co chodzi. — Wydmuchnął pióropusz dymu. — Przykro mi, Frank. Naprawdę się postarałeś. Po prostu przypadkiem wszedłeś Allenowi w drogę.

Frank też się zaciągnął, jednak tym razem nie pomogło. Puls mu się uspokoił, ale wciąż był boleśnie świadom, że właśnie zrujnował swoją karierę i może także Roberta.

— Przepraszam — powiedział.

No cóż — dodał w myślach. Teraz przynajmniej nie będę przyciągał uwagi.



W ciągu kolejnych kilku dni kryzys jeszcze się pogłębił. Biały Dom wystosował oświadczenie, obwiniając Rosjan o „ukrywanie ważnych informacji”, przez co loty U-2 stały się konieczne, a także oskarżając ich o „atak na nieuzbrojony cywilny statek powietrzny”. Chruszczow odciął się Eisenhowerowi, twierdząc, że jest pieskiem „wojskowych z Pentagonu” i sprzymierzonych z nimi „monopolistów”, którzy dzierżą faktyczną władzę w państwie.

Tymczasem w Waszyngtonie demokraci wykorzystali okazję, by zaatakować osłabionego republikańskiego prezydenta, twierdząc, że to „niewiarygodna głupota” wysyłać samolot szpiegowski nad terytorium Rosji tuż przed szczytem w Paryżu. Jeden z senatorów oskarżył nawet prezydenta o bycie sowieckim agentem, na co prezydent wydał natychmiastowe, osobiste oświadczenie, w którym wszystkiemu zaprzeczył.

Przez cały czas Departament Stanu prowadził negocjacje z rządem sowieckim, próbując uwolnić Powersa. Ale Sowietci doskonale zdawali sobie sprawę, że to oni rozdają karty — odmawiali wszelkich negocjacji i coraz bardziej przyspieszali proces Powersa.

Minister obrony, Rodion Malinowski, zagroził nawet, że bazy udostępniane przez „wspólników” Stanów Zjednoczonych w celu umożliwienia lotów U-2 można łatwo „zmieść z powierzchni Ziemi”. Sekretarz Departamentu Obrony, ostrożnie dobierając słowa, odpowiedział, że Stany Zjednoczone w razie ataku zamierzają „bronić swych sprzymierzeńców”.

Ostatecznie, prezydent Eisenhower złożył oświadczenie przed kamerami, mrugając w ostrym świetle reflektorów.

— Z ciężkim sercem muszę oznajmić, że Stany Zjednoczone wycofują się z planowanego szczytu Czterech Potęg w Paryżu. Biorąc pod uwagę obecną sytuację, szanse na zawarcie pokoju wydają się zbyt odległe.

W tym samym czasie dowództwo strategicznych sił powietrznych po cichu podniosło stopień gotowości bojowej do DEFCON 3.



We wtorek wieczorem, 10 maja, a może we środę wczesnym rankiem, Frank wpatrywał się

w swoją planszę, paląc papierosa i kontemplując zakończenie gry Botwinnika numer dziewięćdziesiąt, „Romanowski przeciw Botwinnikowi”, 1945 rok. Frank trochę współczuł Romanowskiemu, który wykonał dość prosty błąd w dziesiątym posunięciu, a potem dołożył do niego kolejne, zaskoczony kolejnymi niespodziankami ze strony mistrza. Gdyby tylko zachował przytomność umysłu... ale nie zdołał. Romanowski stracił koncentrację i Botwinnik został mistrzem Związku Sowieckiego, a trzy lata później — mistrzem świata.

Skrzypienie drzwi wyrwało go z zamyślenia. Sophia zamrugała w świetle ozdobionej samolocikami lampy.

— Chodź spać, serduszko — powiedziała. — Już późno.

Frank westchnął i zgasił niedopałek, po czym zaczął odkładać figury do pudełka.

— Przepraszam, kochanie. Wciąż martwię się o tego pilota.

Wprawdzie odsunięto go od projektu U-2, jednak Frank nie potrafił odpuścić sprawy Powersa. Gdzie go trzymali? Czego się dowiedzieli? Czy naprawdę zamierzali go rozstrzelać za szpiegostwo? Tajemniczy funkcjonariusz KGB, zaginiony SOPEL, nie dawał Frankowi spokoju, myśl o nim męczyła go jak dziura po wyrwanym zębie. Nie znalazł żadnych nowych faktów, a jednak nie mógł opanować wrażenia, że SOPEL i Powers byli ze sobą jakoś powiązani.

— Może weź coś na uspokojenie?

Frank potrząsnął głową.

— Biedny chłopak. Jest tylko trochę starszy od naszego syna.

— Nie możesz mu pomóc.

— No cóż... — Frank ścisnął w dłoni ostatniego białego piona. — Zastanawiałem się nad tym.

— Frank! — W głosie Sophii zabrzmiała taka zgroza, że Frank odwrócił się odruchowo. Twarz żony ściągnęła się z gniewu i przerażenia. — Chyba nie zamierzasz sam zgłosić się do SKAZA!

— Mam wyjątkową umiejętność, kochanie. Może nadszedł czas, by ją wykorzystać? Dla dobra kraju? — Wyciągnął do niej rękę.

— To szaleństwo! — Wyślizgnęła mu się z objęć i przeszła po pokoju z rękami splecionymi ciasno na piersi. — Nie jesteś Złotym Chłopcem, Frank, jesteś dziadkiem! Podstarzałym, łysiejącym urzędnikiem! Nawet nie sypiesz pieprzu do jajecznicy! — Zobaczył, że po jej twarzy zaczynają spływać łzy. — Pomyśl o naszych dzieciach! Co ludzie pomyślą, gdy się dowiedzą, że ich ojciec... jest jednym z *tamtych*?

Frank spojrzał na ostatniego piona, którego wciąż trzymał w ręce i na jego przegródkę w wyłożonym aksamitem futerale. Każda figura miała swoje miejsce, a pion nie mógł zająć miejsca hetmana. Westchnął.

— Oczywiście, masz rację.

Papucie Sophii zaszurały po podłodze, a potem poczuł jej ciepło, gdy przytuliła się do niego z tyłu. Odłożył piona i odwrócił się, by objąć żonę. Przez chwilę stali w miejscu, kołysząc się lekko w swoich ramionach.

— A teraz wracaj do łóżka — powiedziała w końcu Sophia.

Frank zgasił światło, zostawiając pionka w ciemności, na stoliku, obok pustej planszy.



W piątek, 13 maja, Frank siedział sam w biurze, obok na blacie leżało pudełko z zimną i na wpół dojedzoną kiełbaską kupioną od ulicznego sprzedawcy. Już od dwóch tygodni nie zjadł porządnego lunchu, każdą chwilę w pracy spędzał na badaniu sprawy Powersa.

W ostatnich dniach napięta sytuacja uległa dalszemu pogorszeniu. Sowieckie bombowce zaczęły pokazywać się na granicy Alaski i Kanady. Zauważono też wzmożoną aktywność w bazach raketowych zawierających pociski średniego zasięgu wymierzone w Turcję i Pakistan. Jednak Frank zajmował się przede wszystkim nieuchwytnym SOPLEM. Nie było to zresztą jedyne nagłe zniknięcie. Porównując te informacje z ostatnimi danymi na temat budżetu wydziałów transportu i bezpieczeństwa, Frank zdołał namierzyć ośrodek tych tajemniczych działań: Włodzimierska Centrala, więzienie o zastrzyżonym rygorze.

To tam musiał znajdować się Powers.

Frank był niemal gotów zaprezentować to odkrycie swoim przełożonym, potrzebował jedynie kilku drobnych faktów, by poprzec to przecucie. Dulles pewnie nie będzie zadowolony, gdy dowie się, że analityk wciąż pracował nad sprawą Powersa, ale jeśli raport okaże się dostatecznie rzetelny, będzie musiał przyjąć jego wnioski. Czy postanowi postąpić zgodnie z nimi — to już inna sprawa, ale Frank nie miał na to wpływu.

Przetasował cienkie kartki, różowe, beżowe i żółte, ostemplowane znakami TAJNE i ŚCIŚLE TAJNE, szukając niezbitego dowodu. Były to najnowsze dane wywiadowcze... Frank od jakiegoś czasu męczył o nie ludzi z działu kontroli dokumentów, aż w końcu zaczęli oddawać mu wszystko, byle tylko się go pozbyć. Niewykluczone, że był pierwszą osobą, która zobaczyła te dane.

A zatem gdy przeczytał raport agenta zadekowanego na sennym moskiewskim przedmieściu, z którego wynikało, że prokurator generalny Roman Andriejewicz Rudenko wsiadł wraz z trójką generałów — Borisoglebskim, Worobiewem i Zacharowem — do prywatnego wagonu w pociągu jadącym na wschód, poczuł, że zasycha mu w ustach.

Rudenko był prokuratorem generalnym, Borisoglebski, Worobiew i Zacharow byli członkami wojskowego składu Sądu Najwyższego. A Noginsk leżał na trasie z Moskwy do Włodzimierza.

Procesy o szpiegostwo w Związku Sowieckim były tajne. Jeśli ta czwórka znalazła się we Włodzimierzu, to być może już w tej chwili wydawano wyrok na Powersa. A Frank mógł być jedyną osobą, która o tym wie.

Ale agent w Noginsku przesłał wcześniej bardzo niewiele raportów. Frank nie był w stanie ocenić, w jakim stopniu ten jest wiarygodny. Potrzebował więcej danych. Szybko przerzucał stosy papierów, lustrując je wzrokiem i odrzucając jak najszybciej. Już wkrótce na podłodze po biurkiem zebrał się ich cały stos.

Nagle coś przyciągnęło jego uwagę, w chwili gdy już rozwierał palce, by upuścić kartkę. Pochylił się, by znów ją odnaleźć, w pośpiechu mnąc i rozdzierając inne papiery. Podniósł zaginiony świstek do światła. Był to przechwycony telegram z Biura Więziennictwa do komendanta Chóru Armii Czerwonej.

Z PRZYKROŚCIĄ ODWOŁUJEMY WASZ WYSTĘP 17 MAJA 1960 R. W WIĘZIENIU WŁODZIMIERZ, głośiły cyrylicie znaki. GŁÓWNY PLAC NIEDOSTĘPNY.

Włodzimierska Centrala. Sąd Najwyższy. Prokurator generalny. Tajny proces. Główny plac. Egzekucja przez rozstrzelanie.

Był to niezwykle słaby i pokrętny dowód. Ale Frank już raz zignorował wcześniej głos intuicji i zapłacił za to porażką i upokorzeniem. Jego zawodowa specjalność — całe jego życie — polegała na dostrzeganiu wzorców w pozornie niezwiązanych faktach i rzadko bywał tak pewien jakiegokolwiek wniosku.

Do wyznaczonej daty pozostały jeszcze cztery dni. Trzy dni, mając na uwadze różnicę czasu między Waszyngtonem a Moskwą. Aby ocalić Powersa, jego zwierzchnicy musieli zareagować natychmiast.

Frank zebrał papiery potrzebne do zaprezentowania wniosków i wypadł z biura. Nie zabrał nawet kapelusza.



Robert siedział akurat w samolocie, zmierzając na spotkanie NATO w Genewie, a zatem Frank, przełknąwszy nerwowo ślinę, udał się do Dullesa.

— Dyrektor jest na spotkaniu w Białym Domu — powiedział sekretarz. — Wróci dopiero jutro.

W zachodnim skrzydle zatrzymał go strażnik.

— Przykro mi, proszę pana, dyrektor Dulles jest na spotkaniu z prezydentem. Proszę poczekać tutaj.

— Ile to potrwa? — Frank ścisnął w dłoniach teczkę, jakby był to ster jego własnego losu.

— Nie mogę powiedzieć.

Frank usiadł na wskazanym krześle, ale tylko na chwilę. Potem zerwał się i zaczął spacerować.

Spojrzał na zegar. Szesnasta piętnaście — czyli dwudziesta trzecia piętnaście w Moskwie. Za czterdzieści pięć minut będzie tam sobota. Jeśli Frank się nie mylił, egzekucję Powersa zaplanowano na wtorek prawdopodobnie o świcie. Zostało jakieś osiemdziesiąt godzin.

Gdyby tylko mógł cofnąć czas...

Frank zatrzymał się w pół kroku.

— Przepraszam — zwrócił się do strażnika. — Nie mogę czekać. Muszę znaleźć inny sposób.

Odwrócił się i zniknął za rogiem. Stał tu kolejny strażnik, ale patrzył na zewnątrz, a Frank stanął mu za plecami.

To było szaleństwo. Jeśli rzeczywiście zrobi to, co właśnie rozważał, jego życie zmieni się na zawsze. Może już nigdy nie zobaczy swojej żony i dzieci. I w imię czego? Powers to tylko jeden człowiek, który wsiadając na pokład U-2, doskonale wiedział, że może nie powrócić z tej misji.

Jednak Frank złożył przysięgę, by chronić Stany Zjednoczone przed wszelkimi wrogami, w kraju i poza jego granicami. Powers był jeden... ale jego życie symbolizowało coś więcej, a ocalenie go mogło zapobiec znacznie gorszej konfrontacji. Frank wiedział, że jego żona tego nie zrozumie. Ale wszystko, co robił dla kraju, robił też dla niej i dla dzieci.

Ścisnął teczkę w rękach i skupił się mocno.

Nagły szum, niczym silny wiatr, zabrzmiął mu w uszach, zagłuszając tykanie zegara i wszystkie pozostałe dźwięki. Flaga powiewająca za oknem zastygła, pofałdowana.

Frank przeciskał się przez gęste, galaretowate powietrze, mijając strażnika z zachodniego skrzydła, który siedział za biurkiem z szeroko otwartymi oczami. Drzwi zdawały się ciężkie jak

z ołowiu, ale za nimi ciągnął się długi, prosty korytarz, zupełnie pusty, nie licząc dwóch marines stojących na baczność przy trzech drzwiach po lewej stronie.

Za drzwiami znajdował się mały, słabo oświetlony pokój konferencyjny, gdzie siedziało trzech mężczyzn nieruchomo wpatrzonych w ekran projektora. W świetle urządzenia Frank rozpoznał Dullesa i Eisenhowera. Trzeci zdawał mu się dziwnie znajomy, ale nie pamiętał jego nazwiska.

Spojrzał na prezydenta, który siedział zastygły bez ruchu, oświetlony ekran odbijał się w jego okularach. Wiedział, że gdy się ujawni, jego cywilne życie dobiegnie końca.

Mógłby teraz zawrócić i nikt by się nie dowiedział.

Nikt — nie licząc jego samego.

Zaczerpnął powietrza, a szum w uszach zniknął, zastąpiony łagodniejszym terkotaniem projektora. Obok rozległ się zdumiony okrzyk — najwyraźniej Dulles zauważył jego nagłe przybycie.

— Co u diabła! — wykrzyknął i skoczył, by zasłonić soczewkę projektora.

Niespodziewany ruch przyciągnął uwagę Franka. Zanim Dulles przykrył wiązkę ręką, zdążył jeszcze zobaczyć słowa AQUATONE, SCHWYTANY, RAMPART i PILOT.

Nazwa AQUATONE stanowiła kryptonim U-2. „RA” to prefiks stosowany w kryptonimach projektów związanych z wirusem dzikiej karty. Jeśli kryptonim schwytanego pilota brzmiał RAMPART, znaczyło to...

— Mamy problem — oznajmił trzeci z obecnych, włączając światło. — Ten człowiek wie, kim jest RAMPART.

Nagle Frank przypomniał sobie, skąd zna tego człowieka. Lawrence Hague, makler telepata, pierwszy as zrekrutowany przez SKAZA. Był o pięć lat starszy niż w wiadomościach, gdzie Frank widział go po raz ostatni, ale wciąż można go było poznać po bystrych oczach i wysokim czole. Całe szczęście, że Frank wszedł do tej sali z zamiarem ujawnienia.

— Tak, z informacji na tym slajdzie domyśliłem się, że Francis Gary Powers jest asem. — Ku jego zdumieniu, głos miał zupełnie opanowany. — Przyszedłem tu, by powiedzieć, że już został osądzony i skazany za śmierć.

Eisenhower zmierzył go ponurym wzrokiem.

— Jak pan tu wszedł?

— Też jestem asem. — I już, po wszystkim. Teraz nie mógł zawrócić.

— Ładny mi as... — warknął Dulles, ale Eisenhower wstał z miejsca.

— Skąd wie pan o wyroku na Powersa?

Frank szybko streścił zawartość dokumentów i swoją interpretację.

Dulles spoglądała na niego z otwartym niedowierzaniem.

— Ten osioł nie potrafiłby znaleźć własnego tyłka, nawet gdyby dać mu mapę i latarkę.

— Wiem, że moja analiza dokonuje wielu daleko idących założeń — odparł Frank. — Ale powodem mojej wcześniejszej porażki stało się niedocenianie własnej intuicji. — Spojrzał na Eisenhowera, zwracając się bezpośrednio do niego. — Panie prezydencie, urodziłem się w Rosji przed rewolucją. Obserwowałem bolszewików od samego początku. Wiem, jak działają, jak myślą i przez całe życie studiowałem ich politykę i metody rządzenia. Musi mi pan uwierzyć, gdy mówię, że Powers lada chwila zostanie osądzony — jeśli jeszcze do tego nie doszło — i skazany na śmierć przez rozstrzelanie na placu głównym więzienia Włodzimierska Centrala we

wtorek 17 maja.

— Na tym polega pana moc? — upewnił się Eisenhower. — Jakaś zdolność superdedukcji?

— Nie, panie prezydencie. To moja praca. Moja moc pozwala zatrzymywać czas. Z mojego punktu widzenia wszystko prócz mnie zatrzymuje się w miejscu, z punktu widzenia innych to ja poruszam się błyskawicznie. — Ćwiczył tę przemowę już tysiące razy. — Pozwoli mi pan zademonstrować?

Dulles przewrócił oczami, ale Eisenhower spojrział na Hague'a, który skinął głową.

Frank znów się skoncentrował. W uszach zaryczał wiatr, a trzech mężczyźni zastygli w miejscu. Przedzierając się przez ciężkie powietrze, podszedł do każdego z nich i wyjął im portfele z wewnętrznych kieszeni marynarek. Potem odszedł na bok, nim przywrócił czasowi normalny bieg.

— Tutaj! — zawołał. Wszyscy trzech odwrócili się na pięcie, jednocześnie poklepując się po kieszeniach, coraz bardziej nerwowo. Frank podniósł do góry trzy portfele. Hague wolno pokiwał głową.

Czekał na tę chwilę pięć lat. Miał ochotę smakować triumf... ale tak naprawdę czuł tylko zmęczenie, aż do szpiku kości. Odnosił wrażenie, jakby przybyło mu dziesięć lat. Ledwo trzymał się na nogach.

— Panie prezydencie — powiedział zachrypłym głosem: — Widziałem, jak wiele znaczy dla pana Gary Powers. Proszę mi uwierzyć, chciałbym wykorzystać to, co wiem, co potrafię. Proszę mi na to pozwolić.

Dulles otrząsnął się pierwszy.

— Sir, to po prostu skandal! — wykrzyknął.

Ale prezydent nie zwracał uwagi na szefa wywiadu.

— Czy ten człowiek mówi prawdę? — odwrócił się do Hague'a.

— W każdym razie wierzy w to, co mówi.

— Ma jakieś plamy w życiorysie? — To pytanie było skierowane do Dullesa.

— Nie zorientował się, że Sowieci schwytali Powersa.

— Cóż, nie on jeden. Coś jeszcze?

Dulles spiorunował podwładnego wzrokiem.

— O ile mi wiadomo, nie.

Eisenhower przez dłuższą chwilę spoglądał Frankowi w oczy i pomimo własnego zmęczenia analityk zrozumiał, że ten człowiek naprawdę nosi na barkach ciężar całego świata od prawie ośmiu lat.

— W porządku — powiedział w końcu prezydent. — Pan... Mazurski, dobrze pamiętam?

— Majewski, sir.

Eisenhower wyprostował plecy.

— Panie Majewski, na mocy *Ustawy o kontroli egzotycznych mocy* i *Ustawy o powołaniu w sytuacjach wyjątkowych* oddaję pana do dyspozycji Senackiej Komisji do spraw Asów i Zasobów Analogicznych ze skutkiem natychmiastowym. Czy zna pan swoje prawa i obowiązki przewidziane w ustawie?

— Tak, sir.

— Pan Hague jest dyrektorem SKAZA i od tej pory będzie pan podlegał bezpośrednio jemu. Larry, proszę wprowadzić pana Majewskiego do projektu RAMPART.

Hague wyciągnął z teczki jakiś formularz, kazał Frankowi przeliterować nazwisko, a potem podać datę urodzenia i numer ubezpieczenia. Dokument miał w nagłówku logo SKAZA i przypominał formularz CIA, tyle że zamiast opisu projektu widniała na nim tylko odręczna notatka „Francis Gary Powers, historia i zdolności” — tusz był jeszcze wilgotny — a zwyczajowa formułka o nieautoryzowanym ujawnianiu informacji zawierała frazę „ujawnienie jakichkolwiek informacji oznacza zdradę stanu” i „natychmiastowa egzekucja bez procesu”. Frank przełknął ślinę i podpisał dokument, który parafowali po nim także Hague, Dulles i sam Eisenhower.

Następnie Hague wyjaśnił mu, że Gary Powers — pilot o znaku wywoławczym Sokole Oko — rzeczywiście jest asem, i do tego jednym z najcenniejszych atutów amerykańskiego wywiadu.

— Jego moce obejmują zdolność niezwykle dalekiego widzenia — dodał. — Jest lepsza niż nasze kamery teleskopowe. Przeszedł wieloletnie szkolenia, by nauczyć się rozumieć, co widzi. Powers jest nie do zastąpienia i musi powrócić cały.

Eisenhower podziękował Hague'owi za prezentację, po czym sam wyszedł na środek.

— To spotkanie zostało zwołane, by rozważyć atuty alternatywne wobec Sokolego Oka i opracować strategię kontroli zniszczeń po jego utracie. Jednak mam wrażenie, że teraz, z pańską pomocą, możemy pomyśleć o jego uwolnieniu. Połączenie pańskiej wiedzy na temat Rosji, przeszkolenia w CIA i pańskich mocy wydaje się błogosławieństwem. Czy dobrze pamiętam, że rosyjski jest pana rodzimym językiem?

— *Da* — odparł Frank. Serce waliło mu jak młotem na samą myśl o tym, co prezydent miał właśnie zasugerować.

Jednak Dulles, dotąd milczący, teraz zerwał się z miejsca.

— Panie prezydencie! — wybuchnął. — Chyba nie zamierza pan wysłać tego człowieka na terytorium Rosji! Frank Majewski nie jest agentem, jest analitykiem! Nie przeszedł szkolenia w sztuce podstępu, ucieczki, wytrzymywania przesłuchań...

— Allen — przerwał Eisenhower — zamknij się.

Ton rozkazu dźwięczący w jego głosie sprawił, że szef wywiadu zamilkł w pół zdania.

— Sprawa Sokolego Oka jest tak ważna dla bezpieczeństwa kraju, że aby go odzyskać, jestem gotów zaryzykować utratę naszego najnowszego zasobu — Frank poczuł w żołądku lodowatą kulę, gdy zorientował się, że prezydent mówi o nim — i wszelkie straty uboczne. Tak czy inaczej, pan Majewski nie jest już pańskim podwładnym. — Odwrócił się od Dullesa, co Frank uznał za celowy afront.

— Panie Majewski — ciągnął prezydent, tym razem zwracając się do Franka. — Przykro mi, że muszę obciążyć pana tak wielką odpowiedzialnością i narazić pana na niebezpieczeństwo, jednak, jak pan zapewne wie, pański kraj bardzo potrzebuje teraz pana niecodziennych zdolności. Pan Hague zapewni panu niezbędne przeszkolenie i udzieli wszelkich potrzebnych wskazówek, nim uda się pan na misję.

Frank otworzył usta, ale nie mógł wydobyć głosu. Po kilku nieudanych próbach po prostu skinął głową.

Pion, który dotrze do ostatniego pola, zostaje hetmanem, pomyślał.



Hague zabrał go do biura na ulicy F., rzekomo biura prawnego agenta nieruchomości,

a w rzeczywistości kwatery głównej SKAZA. Tam poddano go serii testów przeprowadzanych grzecznie, lecz fachowo przez personel medyczny, w tym doktora Thatchera, krępego, bezwłosego mężczyznę wzrostu stu dwudziestu centymetrów, o żabim brzuchu, żółtych oczach z pionowymi źrenicami i wystających kłach, który pobrał od Franka próbkę krwi, a potem posmakował ją językiem i napisał coś pismem stenograficznym. Frank jeszcze nigdy nie był w jednym pomieszczeniu z dzokerem, ale próbował zachować spokój.

Zaraz potem przeszli do testów mających określić granice jego mocy. Ze stoperem w dłoni — wszystko, co dotykało jego skóry, wraz z nim znajdowało się poza czasem — mierzył, na jak długo jest w stanie zatrzymać bieg wydarzeń. Okazało się, że około jedenastu minut, choć sam miał wrażenie, że trwa to znacznie dłużej. Zatrzymywał czas, a potem biegał w kółko albo podnosił ciężary, do trzynastu kilo. Zrobił także coś, czego wcześniej nawet nie rozważał — zabrał ze sobą poza czas innego ochotnika, który szedł powoli, prowadzony przez Franka za rękę. Powiedział potem, że było to dziwne i niepokojące doświadczenie — deliryczny, na wpół świadomy trans, przypominający jazdę pełnym gazem we śnie — ale potem nie zauważył żadnych negatywnych objawów. Gdy dołączył do nich drugi ochotnik, Frank odkrył, że nie ma siły zrobić nawet kroku.

Po zakończeniu tych eksperymentów ponownie przeszedł testy medyczne. Nikt nie podzielił się z nim wynikami badań. Potem pozwolili mu zadzwonić do żony, ale wciąż pozostawał pod ścisłą obserwacją i mógł jej tylko powiedzieć, że otrzymał zadanie specjalne i nie będzie mógł wrócić do domu jeszcze przez kilka dni.

Dochodziła druga w nocy. Budynek SKAZA miał kilka małych sypialni, pozbawionych okien i skąpo umeblowanych, ale dość wygodnych. Drzwi do pokoiów nie zamykały się w ogóle, ani od wewnątrz, ani od zewnątrz. Frank zdjął krawat i buty, a potem wyciągnął się na łóżku, choć był pewien, że z nadmiaru wrażeń tej nocy w ogóle nie zaśnie.

Za chwilę poczuł, że jeden z sekretarzy potrząsa go za ramię, mówiąc, że już szósta rano. Wręczył mu dużą, znoszoną walizkę z wygrawerowanymi cyrylicznymi znakami Б и А. W środku znajdowało się kilka zmian odzieży — ciężkie, kiepsko uszyte i niepasujące ubrania z rosyjskimi metkami — buty, chusteczki i inne przybory. W kieszonce umieszczono dokument do złudzenia przypominający prawdziwy rosyjski paszport ze zdjęciem Franka, wystawiony na nazwisko Jacek Grabowski.

Goląc się tępą i wyszczerbioną rosyjską żyletką i ziarnistym mydłem, Frank pomyślał, że dobrze zrobił, nie słuchając balwierza, który namawiał go na korzystanie z gładkiego kremu w aerozolu.

Gdy tylko wyszedł z łazienki, natychmiast zaprowadzono go na spotkanie z Hague'em i kilkoma innymi, bardzo poważnymi oficjelnymi, którzy wręczyli mu plik papierów: był to szczegółowy plan operacji ratunkowej. Aby wszystko się udało, musiał już za godzinę wyruszyć do Bazy Sił Powietrznych Andrews. Czy miał jakieś pytania?

Frank przeczytał plan operacji, popijając z kubka obrzydliwą kawę i przegryzając czerstwą drożdżówką. Najwyraźniej w SKAZA wzięli pod uwagę wszystko, czego zdołali dowiedzieć się o jego zdolnościach poprzedniego dnia... i pociągnąć to do maksimum. Plan mógł się udać, pod warunkiem że nie wydarzyłoby się nic nieprzewidzianego, a Frank zdołałby przez cały czas utrzymać szczytową formę.

Jednak z jedną częścią planu absolutnie nie potrafił się zgodzić. Miał udać się na miejsce w towarzystwie doświadczonego agenta terenowego, który pomógłby mu w dotarciu na miejsce

i uwolnieniu więźnia, jednak plan zakładał, że Frank zabierze więźnia ze sobą, korzystając ze zdolności dzikiej karty, podczas gdy jego towarzysz wydostanie się stamtąd na własną rękę.

— Mam jechać do Rosji, by ocalić człowieka z więzienia, z którego nie da się uciec — oznajmił, uderzając palcem w mapę ośrodka. — Nie zostawię tam nikogo.

Hague złożył dłonie na stole.

— Na tym polega jego praca, Frank. A twoja praca polega na wykonywaniu moich rozkazów.

Frank spojrział dyrektorowi w oczy.

— Nie zgadzam się.

Przez dłuższy czas mierzyli się wzrokiem. Frank czuł, że pot spływa mu po plecach pod ciężką, rosyjską marynarką. Ale to Hague pierwszy odwrócił spojrzenie.

— Niech będzie — powiedział i odwrócił się do jednego ze strategów. — Wykorzystamy plan alternatywny, ten, w którym Frank sam wchodzi i wychodzi z ośrodka.

Frank był nieco zaskoczony, że zwierzchnik tak szybko ustąpił.

— Czemu się dziwisz? — spytał tamten, choć Majewski nie powiedział ani słowa. — Przecież dobrze widzę, gdzie nie zamierzasz ustąpić. — Wstał i wyciągnął rękę. — Jesteś sentymentalnym głupcem, ale życzę ci powodzenia. — Stratedzy też wstali.

Frank chwycił się stołu. Kolana drżały mu tak, że ledwie zdołał ustać prosto, ale jakoś dał radę.

— Dziękuję panu, sir. Zrobię, co tylko w mojej mocy.



Samolot, który podstawiono, okazał się wielkim C-130 Hercules, a Frank był jego jedynym pasażerem.

— To wszystko dla mnie? — spytał, zwracając się do pilota, szczupłego, żylastego marine o bładoniebieskich oczach. Naszywka na piersi głosiła A. DEARBORN.

— Lecę tam, gdzie mi każą. — Mężczyzna wzruszył ramionami.

Start był nieco burzliwy, przedział ładowni klekotał, a olbrzymie silniki ryczały jak trąby powietrzne, ale już wkrótce lot przeszedł w rutynową procedurę.

— Do Helsinek zostało piętnaście godzin — powiedział Dearborn. — W tym postój i tankowanie w Keflavíku.

Frank przez jakiś czas spał, ale pomimo wyczerpania i ciepłego, wełnianego garnituru hałas i chłód obudziły go już po kilku godzinach. Znów przeczytał plan operacji, aż w końcu był już pewien, że zapamiętał każdy szczegół. Sprawdził zawartość walizki i policzył guziki przy koszuli. Gdy Dearborn przekazał stery drugiemu pilotowi, Frank zdążył już zaliczyć cały szereg emocji: od przerażenia, poprzez nudę, aż po desperację.

— Pewnie nie trzymacie na pokładzie szachów?

— Ma pan szczęście. — Dearborn sięgnął do drelichowej torby i wyciągnął miniaturowy zestaw. Drewniane figury miały u dołu bolce przeznaczone do wtykania w otwory na planszy. — Podczas długich przelotów zawsze dobrze mieć partnera do gry. — Dearborn rozstawił planszę. — Jaki ma pan ranking?

— Nie... nie wiem. Zwykle nie grywam z żywymi ludźmi.

— Aha. Szachy korespondencyjne? — Dearborn wybrał białe i przesunął piona hetmana.

— Nie, ja tylko... eee, studiuje rozgrywki mistrzów. Rozgrywam je na planszy. Analizuję. — Przyznanie się do tego hobby przyszło mu z niespodziewanym trudem. Wiedział, że szachy to nie tylko rozrywka intelektualna, to także forma interakcji społecznej, ale ten aspekt jakoś nigdy go nie interesował. — Nie rozegrałem normalnej partii... chyba od dziesięciu lat. — Przetawił własnego piona hetmana.

— A zatem nie traćmy czasu. — Dearborn poruszył piona gońca od strony hetmana, rozpoczynając klasyczny gambit hetmański.

W tym momencie Frank mógł odrzucić ofiarę przeciwnika, przesuwając piona króla i zachowując kontrolę nad centrum planszy, albo ją przyjąć, zbijając przesuniętego piona i zdobywając większą swobodę w kolejnych posunięciach.

Nie mógł się zdecydować.

Wyciągnął rękę i natychmiast cofnął. I jeszcze raz. Drżał z niepewności.

Po tylu latach analizowania największych partii szachowych w historii, grając ze zwykłym, ludzkim przeciwnikiem, nie potrafił nawet wykonać klasycznego otwarcia w nic nieznaczącej towarzyskiej grze.

Dulles miał rację. Frank był analitykiem, nie agentem terenowym. Na Boga, co on tu właściwie robił?

— Hej? — zaniepokoił się Dearborn. — Wszystko w porządku?

— Tak, tak — skłamał Frank i wydmuchał nos, by ukryć łzy. Rosyjska chusteczka była sztywna i szorstka. Złożył ją, włożył do kieszeni, odetchnął głęboko i zbił piona.

Już i tak utracił kontrolę nad tyloma rzeczami. Czemu nie oddać także centrum planszy? Mogłoby mu się to przydać w końcówce.

Gra toczyła się dalej. Dearborn był ostrożnym, konserwatywnym graczem, ewidentnie nie przewidywał dalej niż kilka ruchów naprzód, ale jakimś cudem zawsze znajdował się we właściwym miejscu, by zatrzymać ataki Franka.

— Chyba mam szczęście — mruknął, zbijając skoczka.

— W szachach nie ma szczęścia. — Frank przesunął jedyne ocalałego skoczka. — Szach.

— Może. Ale ja po prostu mam szczęście w życiu. To ja mógłbym tam siedzieć zamiast Francisa Powersa. — Zbił skoczka gońcem.

— Och? — Frank przesunął hetmana o jedno pole, by zagrozić gońcowi.

— Aha. Przyjęli mnie do programu U-2, przeszedłem wszystkie testy, dostałem klauzulę tajności, wszystko. Ale potem zachorowałem na świnkę — na świnkę, wyobraża pan sobie? — i nie załapałem się na szkolenie. Gdy znów mogłem latać, nie było już żadnych miejsc. — Przesunął zagrożonego gońca po planszy, ale gdy tylko cofnął rękę, mina mu zrzedła. — O rany, chciałem postawić gdzie indziej. A niech to. — Zmarszczył brwi, wpatrując się w planszę, po czym wyprostował się uradowany. — Hej. Szach i mat!

Frank miał nadzieję, że nie jest to zły omen.



W Helsinkach wyszedł po Franka wysoki, potężny mężczyzna o ponurej twarzy, który przedstawił się po rosyjsku jako Piotr Andriejewicz Malinow. Wziął od Franka walizkę i zaniósł ją do szarego volvo sedana. Frank sądził, że to po prostu kierowca, dopóki nie usiedli w środku

i nieznajomy nie podał kodu identyfikacyjnego. Był to agent terenowy Franka, wieloletni agent CIA, często współpracujący ze SKAZA.

— Jaki ma pan alias? — spytał Frank. — Jak mam się do pana zwracać?

— Piotrze Andriejewiczu. Jeśli nie pozna pan mojego prawdziwego imienia, nie będzie ryzyka, że przypadkiem się panu wymknie. A pan, jeśli o mnie chodzi, nazywa się Jacek Grabowski i jest pan lekko opóźnionym kuzynem mojej żony, którego w ramach rodzinnej przysługi odwożę do Moskwy na targi rolnicze. Jeśli zaczną nam zadawać jakieś niewygodne pytania, proszę udawać głupiego — dorzucił pobłaźliwie, jakby uważał, że Amerykaninowi przyjdzie to naturalnie.

Frank już miał zaprotestować — był przecież analitykiem CIA, miał dyplom z ekonomii i stosunków międzynarodowych — ale ostatecznie nie odezwał się. Musiał zaufać temu człowiekowi, by przeżyć, a agent na pewno znał się na swojej pracy. Nie było sensu go rozdrażniać.

„Malinow” właściwie nie odzywał się do Franka przez całą drogę na dworzec, a gdy usiedli w swoim przedziale drugiej klasy, natychmiast naciągnął kapelusz na oczy i zasnął. *To ma być mój ochroniarz?* — pomyślał Frank, ale sam był śmiertelnie zmęczony i pomimo twardych foteli i kłębiących się wątpliwości szybko zamknął oczy.

Gdy już zasypiał, usłyszał cichy głos Malinowa:

— Dobranoc.

Może jego towarzysz jednak nie spał.

Ocknął się gwałtownie, obudzony szturchnięciem w żebra. Korytarzem szło czterech rosyjskich pograniczników w długich, zielonych płaszczach i stalowych hełmach, z karabinami na plecach.

— Paszport! — syknął Malinow.

Ale paszportu Franka nie było w kieszeni płaszcza. Szybko przeszukał kieszenie spodni, potem zajrzał pod fotel.

— Nie wiem... nie wiem, co się z nim stało.

— Znajdź go! — mruknął agent.

Już po chwili podeszło do nich dwóch funkcjonariuszy.

— Paszporty — oznajmił krótko jeden z nich.

Malinow podał własny dokument.

— Przepraszam, towarzysze — powiedział — ale mój kuzyn chyba zapodział gdzieś papiery. — Zakreślił kółko przy skroni i wyszczerzył zęby. — To Polak.

Frank nie sądził, że mógłby teraz poczuć cokolwiek prócz przerażenia, ale poklepując kolejne kieszenie, ze zdziwieniem odkrył, że wzbiera w nim złość na te ksenofobiczne żarty. Malinow i pogranicznicy pożartowali z niego jeszcze przez chwilę, a potem wybuchnęli śmiechem, gdy zagubiony dokument odnalazł się w kieszeni koszuli.

Strażnik spojrzał na fałszywy paszport.

— Proszę potwierdzić datę urodzenia.

Frank poczuł, że serce mu zamiera. Nie mógł sobie przypomnieć, jaką datę tam wpisano. Jego własną? A jeśli nie, to jaką? Sekundy wlokły się nieznośnie... ale tym razem to on zastygł, a reszta świata mknęła naprzód.

— No tak, Polak — westchnął Malinow i wzruszył ramionami i tym razem roześmiał się

nawet pasażer w sąsiednim rzędzie. Pogranicznik oddał Frankowi paszport i ruszył dalej.

— Nie musiał mnie pan obrażać — mruknął Frank, gdy strażnicy przeszli do sąsiedniego wagonu. Serce trochę mu się uspokoiło i teraz biło już tylko dwa razy szybciej niż normalnie.

— Żart zawsze pomaga rozładować sytuację — odparł Malinow — a poza tym wyciągnąłem pana z tej kabały. — Wzruszył ramionami. — Co innego miałem zrobić?



Dopiero później Frank zdał sobie sprawę, że mógł wykorzystać swoją moc, by poszukać paszportu albo podejrzeć datę urodzenia, gdy strażnik już trzymał go w ręku. Ale nie pomyślał o tym. Osiem lat ukrywania tych zdolności sprawiło, że w kluczowych momentach zupełnie o nich zapominał.

Jak to możliwe, że zgodził się podjąć tej misji?

Może Dulles rzeczywiście miał rację.



We wtorek, 17 maja, o trzeciej w nocy czasu moskiewskiego Frank stanął przed więzieniem Włodzimierska Centrala. Drżał na deszczu i czuł się bardzo mały.

Ściany więzienia były wysokie i ponure. Krople deszczu spadały na twarz, tworząc aureole wokół lamp zamontowanych na murze. Pomiędzy murami a budynkiem spacerowały uzbrojone patrole strażników z psami. Wnętrze stanowiło istny labirynt zdalnie sterowanych drzwi, mających uniemożliwić ucieczkę. Było to najlepiej strzeżone więzienie w Rosji.

Frank miał tam wejść i wyjść razem z Powersem.

Nawet przy jego zdolnościach operacja mogła się udać tylko dzięki pomocy kreta pracującego w więzieniu. Szczegółowa mapa dostarczona przez wtyczkę zawierała kilka miejsc, gdzie Frank mógłby odpocząć z dala od czujnych oczu, gdy wyczerpie się czas działania jego mocy. Mężczyzna zacisnął w dłoni listę punktów kontrolnych z precyzyjnie wyznaczonymi godzinami i schował rękę głęboko do kieszeni. Przechodząc przez nie o wyznaczonej porze, będzie mógł bezpiecznie dostać się do środka.

Pierwsze przejście wypadło o trzeciej pięć. Jeszcze pięć minut. Frank co chwila spoglądał na zegarek, ale nawet jego moc nie była w stanie popchnąć naprzód dłuższej wskazówki.

Deszcz miał smak betonu i siarki.

W końcu nadeszła trzecia piętnaście. Frank wziął głęboki wdech.

Szum zatrzymanego czasu wdarł się w zmęczone uszy. Drobinki deszczu zastygły w locie, każda z nich wyglądała teraz jak nieregularny dysk i wcale nie przypominały kropli. Frank przeciskał się przez lepkie powietrze, a zawieszony w powietrzu krople prześlizgiwały mu się po twarzy albo wsiąkały w płaszcz.

Przeszedł przez zewnętrzną bramę i pasiasty szlaban, gdzie stali dwaj uzbrojeni strażnicy, zastygli w swoich pelerynach. Drzwi do budynku nie były zamknięte; ani te, ani dwoje następnych, a strażnicy nie stanowili problemu. Ale otwieranie i zamykanie drzwi wymagało sporo wysiłku. Były cięższe niż drzwi w biurowcu. Frank miał wrażenie, jakby każde z nich ważyło przynajmniej pięćdziesiąt kilo. Zmagał się z czasem.

Otarł pot z czoła i wszedł w głąb więzienia.

Przed nim wyrosła pierwsza poważna przeszkoda: śluza powietrzna wyposażona z obu stron w ciężkie stalowo-szklane drzwi, zamykane bolcem, który można było zwolnić, jedynie naciskając guzik przy służbówce pomiędzy drzwiami. Kret obiecał jednak, że otworzy oboje drzwi na jedną minutę, od trzeciej pięć do trzeciej sześć i nikt nie zauważy.

Frank instynktownie zerknął na zegarek — pokazywał trzecią trzynaście. Ale mechanizm odmierzał, oczywiście, osobisty czas Franka. Napał na drzwi, a one powoli, niechętnie stanęły otworem. Drugie także były otwarte, ale przejście przez nie wymagało jeszcze więcej wysiłku.

Zamknawszy drugie drzwi, Frank oparł się o zimną, betonową ścianę i chwycił kilka szybkich oddechów. Ale w tym miejscu poza czasem nie było mowy o odpoczynku, nawet oddychanie przychodziło mu z trudem. Musiał znaleźć jakąś kryjówkę, nim całkiem opadnie z sił.

Ostre światło w strefie bezpieczeństwa raziło oczy, gdy brnął przez gęste, stawiające opór powietrze w stronę małego składziku. Zanim tam dotarł, korytarz zaczął wirować mu przed oczami i ledwie zdołał otworzyć zasuwkę i drzwi. Zamknął je, pogrążając się w błogosławionej ciemności, i przywrócił bieg czasu. Drżąc na całym ciele, osunął się w dół, aż w końcu usiadł na podłodze, starając się oddychać jak najciszej. Składzik był ciemny, chłodny i pachniał chlorem, ale i tak było to lepsze niż nieziemski szum i bezruch zastygłego świata poza czasem.

Kolejny ruch przypadał na trzecią piętnaście. Dziesięć minut odpoczynku po takim wysiłku to za mało. Dziesięć minut siedzenia w ciemnej szafie i drżenia ze strachu za każdym razem, gdy ktoś przechodzi obok korytarzem, to było zdecydowanie za dużo.

Wyobraził sobie, że drzwi otwierają się gwałtownie, do środka wpada ostre światło, słysząc zaskoczone okrzyki. Gdyby do tego doszło, mógłby zatrzymać czas i uciec, ale wtedy ktoś mógłby podnieść alarm. I gdzie miałyby się schować do czasu następnego ruchu?

W końcu fosforyzujące wskazówki pokazały trzecią piętnaście. Frank był zadowolony, że wreszcie może opuścić cuchnącą szafę, choć jednocześnie przerażała go kolejna konfrontacja z zastygłym światem. Skoncentrował się i zatrzymał czas.

Musiał użyć wszystkich sił, by otworzyć skamieniałe drzwi.

Nigdy wcześniej nie był aż tak długo poza czasem. Każdy krok był jak wspinaczka pod górę, każde drzwi otwierał z wysiłkiem, jakby toczył głaz Syzyfa.

STREFA NAJWYŻSZEGO BEZPIECZEŃSTWA — głosił napis na drzwiach, gdzie miał się znaleźć na kolejnym etapie. Te tutaj były przesuwne, elektryczne i choć były otwarte, tak jak obiecał kret, Frank nie potrafił ich otworzyć. W kącie znalazł stalową pałkę i podważył krawędź drzwi na tyle, by się przez nie przecisnąć. Musiał później odstawić pałkę na swoje miejsce. Do licha, który koniec był zwrócony w górę? Coraz trudniej było myśleć jasno.

Po drugiej stronie odwrócił się... i nagle spojrzał prosto w śniadą, wykrzywioną twarz. Cofnął się, uderzając głową o stalowe drzwi, nim rozsądek pozwolił mu opanować panikę. Umięśniony mężczyzna w mundurze pułkownika Armii Czerwonej — napis na naszywce głosił: POLIAKOW — był zastygły w bezruchu, podobnie jak wszystko w więzieniu. Znieruchomiały w pół kroku, ewidentnie zmierzając w stronę drzwi, z których właśnie wyszedł Frank. Analityk oparł się o drzwi, pocierając obolałą głowę, przeklinając w duchu swoją głupotę.

Zaraz. Poliakow? To nazwisko brzmiało znajomo.

Był to jeden z oficerów KGB, którzy według CIA mogli kryć się pod kryptonimem SOPEL. A teraz znalazł się tutaj, we Włodzimierskiej Centrali, w strefie najwyższego bezpieczeństwa, gdzie trzymano Powersa. A zatem Frank się nie mylił — teraz poznał nawet nazwisko swojego

przeciwnika.

Pozwolił sobie na chwilę triumfu i strzelił palcami tuż pod nosem kagebisty, po czym minął go i podążył korytarzem. Cela Powersa miała numer trzydzieści siedem, była pierwsza po prawej, nad drzwiami kredą wypisano jego nazwisko.

Teraz już nic nie stało pomiędzy Frankiem a celem jego misji.

Ale drzwi nie chciały się otworzyć.

Frank znów spróbował, z całej siły naciskając zardzewiałą klamkę. Skrzydło ani drgnęło.

Kret miał otworzyć je na pół godziny, od trzeciej dziesięć do trzeciej czterdzieści. Wszystko poza tym poszło zgodnie z planem.

Frank znów szarpnął za klamkę. Bez rezultatu.

Rozejrzał się, zastanawiając, jak można by je otworzyć, ale drzwi były ciężkie, z litej stali, a mechanizm zamka i zawiasów — dobrze zabezpieczony. W betonowym korytarzu i tak nie było niczego, czego można by użyć jako narzędzia. Co za ironia: dotrzeć tak daleko, tylko po to, by polec w starciu ze zwykłym zamkiem!

Nie, zaraz — pomyślał. Klucz. Poliakov, zastygły w pół kroku, odchodzący od celi Powersa, musiał mieć klucz.

Frank dotarł do nieruchomego funkcjonariusza, brnąc przez powietrze, które zdawało się coraz gęstsze. Już po chwili wymacał klucze w kieszeni mężczyzny, ale pozycja zastygłej nogi i ręki uniemożliwiła mu sięgnięcie do środka. Mógł odsunąć rękę siłą albo rozciąć kieszeń szczyrykiem, ale obie te czynności mogłyby zaalarmować właściciela. A Frank miał już tylko dziesięć minut do kolejnego kroku.

Musiał zdobyć ten klucz, nie zwracając niczyjej uwagi.

Stał za Poliakovem tak, by nie zobaczył go nikt z przodu. Drzwi otwierały się o dwadzieścia dwa i pół centymetra... Poliakov patrzył w dół... musiał zaryzykować.

Puścił czas.

— ...tego idiotę, który zostawił otwarte... — mruknął oficer, postępując naprzód.

Ponowne zatrzymanie czasu przypominało zatrzymanie strumienia moczu przy pełnym pęcherzu, ale Frank jakoś dał radę. Wciągnął do płuc szumiące, lepkie powietrze i wyszedł zza pleców Poliakowa. Kieszeń była teraz odsłonięta — dzięki Bogu! Wyłowił z niej klucze, mając nadzieję, że mężczyzna nie zauważy kradzieży, i powlókł się z powrotem do celi Powersa. Klucz podpisany numerem trzydzieści siedem pasował do zamka, choć przekręcenie go i otwarcie drzwi przypominało ciągnięcie wagonu pod górę.

Powers leżał na prycy. Wyglądał strasznie, oczy miał zapadnięte, a usta zaciśnięte w desperackim grymasie, ale na pewno to był on.

Serce Franka waliło jak oszalałe, obraz zaczął się rozmazywać przed oczami. Szum w uszach przypominał teraz dźwięk nadjeżdżającej lokomotywy. Rozpaczliwie potrzebował odpoczynku.

Ale mając za plecami dwoje otwartych drzwi, a w ręku klucze, nie odważył się na to. Wycofał się, idąc tyłem i ciągnąc za sobą niestawiającego oporu pilota. Minął zastygniętego Poliakowa i wyszedł przez odsuwane drzwi. Potem wrócił, zamknął celę i umieścił klucz z powrotem w kieszeni agenta.

— Chciałbym zobaczyć twoją minę — wydyszał, napierając z całej siły na krawędź drzwi — gdy w końcu zobaczysz, że Powers zniknął z zamkniętej celi.

Miał zaprowadzić pilota z powrotem do składziku, w którym odpoczął, idąc mu na ratunek,

ale wiedział już, że nie da rady dotrzeć tak daleko. Już teraz musiał się wspierać na Powersie, jednocześnie prowadząc go korytarzem. Przed oczami miał mroczki, kroki robiły się coraz bardziej chwiejne.

Doszedł do łazienki. Będzie musiało wystarczyć.

Wprowadził Powersa do środka, ledwie pamiętając o tym, że musi dostroić zegarek do zegara w korytarzu, nim zarygluje za sobą drzwi.

Tak bardzo zmęczony...

Nie. Nie mógł się jeszcze odprężyć.

Położył Powersa na podłodze, niczym sztywną marionetkę. Oparł się o pierś mężczyzny, drugą rękę położył mu na ustach.

I wypuścił czas.

— Mmmfff! — wrzasnął tamten, próbując wyślizgnąć się z uścisku. Prawdopodobnie pamiętał tylko tyle, że ktoś wyciągnął go z celi przy akompaniamencie straszliwego szumu, a teraz nagle leżał na podłodze, a jakiś obcy próbował go zadusić. Nawet po siedemnastu dniach w sowieckiej niewoli nadal był silniejszy od Franka.

— Leż spokojnie! — syknął Frank po angielsku. — Przyszedłem cię ratować!

Powers przestał się szarpać, choć wszystkie mięśnie aż drżały mu z napięcia.

— Mmf?

— Przysyła mnie SKAZA — szepnął. — Lawrence Hague. Zostałem wprowadzony do projektów AQUATONE i RAMPART. Wciąż jesteśmy w więzieniu i jeśli ktoś nas tu znajdzie, obaj zginiemy. Rozumiesz?

Więzień powoli skinął głową. Jego oczy widoczne tuż nad krawędzią dłoni były szeroko otwarte.

Frank puścił go i osunął się po ścianie, pozwalając opaść powiekom. Czuł się, jakby przybyło mu milion lat.

— Jesteś asem? — szepnął Powers. Mówił z charakterystycznym zaśpiewem z Virginii.

— Tak. Potrafię zatrzymać czas. Ale tylko na chwilę...

— To znaczy przydatniejsze niż być Panem Podglądaczem. — W głosie Powersa zabrzmiała gorycz. — Eee, jak się nazywasz?

— Franciszek Majewski. Franciszek po angielsku to Francis, więc chyba nazywamy się tak samo.

Powers przewrócił oczami.

— Proszę mi mówić Gary. Tylko mama i tata mówią na mnie Francis.

— Ja jestem Frank.

Uścisnęli sobie dłonie.



W piątek, 20 maja, o godzinie jedenastej rano Frank wszedł do Gabinetu Owalnego, a prezydent wstał zza biurka, by się z nim przywitać. Dulles i Hague wciąż stali na swoich miejscach. Frank był wprawdzie zaszczycony tym gestem, zauważył jednak, że prezydent nie podał mu ręki.

— W porządku, panie prezydencie — powiedział. — Proszę się nie bać. Moce asowe nie są

zaraźliwe.

Wiedział, że wygląda strasznie. Mimo że przespał większość drogi powrotnej, w tym jazdę limuzyną z Bazy Sił Powietrznych Andrews, wciąż czuł się słaby, stracił większość pozostałych włosów i chodził jak staruszek, szurając nogami po ziemi.

Miał nadzieję, że kilkudniowy — a może kilkutygodniowy — odpoczynek przywróci mu siły, ale w głębi ducha obawiał się, że to nie wystarczy. Korzystanie z mocy asa zawsze postarzało go nienaturalnie, a bezprecedensowy wysiłek, jaki włożył w ocalenie Powersa, słono kosztował. Podejrzał, że tej jednej piekielnej nocy stracił przynajmniej pięć lat życia.

— Witaj w Ameryce, Frank. — Eisenhower zaprowadził go do jednego z foteli koło kominka. — Jesteśmy naprawdę dumni z tego, co zdołałeś zrobić dla swojego kraju. — Mówiąc to, zerknął na Dullesa i Hague'a. Hague uśmiechnął się i z satysfakcją skinął głową. Dulles z wściekłością wpatrywał się w poręczę fotela.

Eisenhower odkasznął znacząco.

— Allen?

Dulles dopiero po dłuższej chwili spojrział Frankowi w oczy.

— Dobrze się spisałeś — powiedział.

— Dziękuję... — wykrztusił Frank, przyjmując filiżankę kawy z rąk samego prezydenta. — Czy były jakieś... reperkusje po ucieczce Powersa?

Pytanie to dręczyło go przez całą drogę do domu. Czy Chruszczow, rozwścieczony odkryciem samolotu szpiegowskiego na swoim terytorium, nie postanowi odegrać się za oczywistą prowokację — wyprowadzenie pilota z najlepiej strzeżonego więzienia? Czy jego misja jedynie popchnęła do przodu wskazówki zegara zagłady?

Eisenhower potrząsnął głową.

— Przyznają, że stracili Powersa — po jego konferencji prasowej w Helsinkach nie bardzo mogli temu zaprzeczyć — ale publicznie nie powiedzieli ani słowa na temat tego, jak dokładnie uciekł. Nawet w rozmowach prywatnych są bardzo powściągliwi.

Hague usiadł na fotelu naprzeciwko Franka.

— Pewnie domyślają się, że jakiś as pomógł Powersowi w ucieczce, ale nie mogą publicznie przyznać, że mamy lepszych asów. Muszą schować dumę do kieszeni i siedzieć cicho.

Dulles był mniej zadowolony.

— Pamiętaj, że milczeli też przez pięć lat lotów U-2.

Eisenhower zgromił go spojrzeniem.

— Allen, przyhamuj trochę z tym swoim pesymizmem. To okazja do świętowania! — Wyciągnął z kieszeni złożony arkusz papieru i podał Frankowi. Była to oficjalna pochwała, wystawiona na papierze SKAZA, podpisana przez prezydenta i zabezpieczona czerwoną wstążką. — To pójdzie do twoich akt, Frank. Chętnie wręczyłbym ci medal, ale... — Wzruszył ramionami. — Wiesz, jak jest — dodał i wyciągnął rękę.

Po chwili Frank zrozumiał, co oznacza ten gest, i oddał dokument. Oczywiście, nie mógł go zatrzymać. Jako agent SKAZA oficjalnie nie istniał.

— Wiem, że nie może pan publicznie uznać mojej pracy, ale... — zaczął, przerwał i dopiero po chwili odzyskał panowanie nad sobą. Prezydent czekał cierpliwie. — Proszę tylko o jedno — zaczął znowu. — Czy mógłby pan powiadomić moją żonę, że zginąłem bohatersko w służbie dla kraju? — Miał nadzieję, że w tajnej bazie na pustyni w Nowadzie jest chociaż klimatyzacja.

Hague zamrugał zdziwiony.

— Myślałeś, że wyślemy cię do Strefy 51? — Uśmiechnął się krzywo, a Frank dopiero teraz przypomniał sobie, że agent zna jego myśli. — Nie, Frank, to tylko plotka. — Wymienili spojrzenia z Dullesem. — No, w każdym razie nie więzimy tam asów. Nie zamierzamy cię porwać. Możesz iść do domu zaraz po odprawie.

— Będziesz nadal pracował dla CIA — oznajmił Dulles, choć było jasne, że nie podoba mu się ten pomysł — w ramach przykrywki. Od czasu do czasu, w miarę potrzeby, będziesz wykonywać zadania dla SKAZA. Prawdopodobnie będziesz nocował w domu równie często jak dotychczas. Może nawet częściej.

— Będziesz szpiegiem we własnym kraju — ciągnął Hague. — Przynajmniej wiemy, że umiesz dotrzymać tajemnicy.

Pion, który dotrze do końca planszy, zostaje hetmanem — pomyślał Frank. Ale nawet hetman mógł polec w walce... albo umrzeć za kilka lat ze starości. Wszystko zależało od tego, jak gracz postanowi rozegrać partię. Ale na razie mógł wrócić do domu, zejść z szachownicy i wpasować się w uformowaną dla niego przegródkę.

— Dziękuję, sir — powiedział.

— Nie, to ja dziękuję — odparł Eisenhower i tym razem wyciągnął rękę, by ująć dłoń Franka. — Witamy w SKAZA, Agencie Stoper.



Chwile w życiu żółwia

GEORGE R.R. MARTIN

Gdy we wrześniu Thomas Tudbury przeprowadził się do akademika, natychmiast powiesił na ścianie dwie rzeczy: zdjęcie z autografem prezydenta Kennedy'ego i sfatygowaną okładkę „Timesa” z czterdziestego dziewiątego przedstawiającą Śmiga jako Człowieka Roku.

W listopadzie zdjęcie Kennedy'ego było już całkiem podziurawione strzałkami Rodneya, który okleił swoją część pokoju konfederackimi flagami i rozkładówkami „Playboya”. Współlokator Toma szczerze nienawidził Żydów, czarnuchów, dzokerów i Kennedy'ego, nie przepadał też za samym Tomem. Przez cały zimowy semestr urządzał mu najróżniejsze psikusy: smarował łóżko kremem do golenia, wkładał prześcieradło pod materac, chował okulary albo wrzucał psie kupy do szuflady biurka.

W dniu gdy Kennedy zginął zastrzelony w Dallas, Tom wrócił do pokoju, próbując powstrzymać łzy, i zobaczył, że Rodney zostawił mu prezent wykonany czerwonym flamastrem. Głowa Kennedy'ego ociekała teraz krwią, na czole namalowano krzyżyk. Język zwisał bezwładnie, wywalony z kącika ust.

Thomas Tudbury przyglądał się temu przez dłuższą chwilę. Nie płakał, nie pozwolił sobie na to. Zaczął pakować walizki.

Parking dla pierwszorocznych był na drugim końcu kampusu. Jego mercury monterey z 1954 roku miał zepsuty zamek bagażnika, Tom wrzucił więc bagaże na tylne siedzenie. Włączył silnik i przez chwilę po prostu siedział w środku, pozwalając, by samochód się nagrzał. Podejrzewał, że wygląda żałośnie: niski chłopaczek z nadwagą, w okularach z rogową oprawką, ostrzyżony na jeża, z głową wspartą na kierownicy, jakby było mu niedobrze.

Wyjeżdżając z parkingu, dostrzegł wóz Rodneya: lśniącego, nowiutkiego oldsmobila cutlassa.

Wrzucił luz i przez chwilę oceniał sytuację. Rozejrzał się. W pobliżu nie było nikogo, wszyscy oglądali wiadomości. Nerwowo oblizał usta, po czym znów spojrzął na oldsmobila. Wbił w niego wzrok, zmarszczył brwi i nacisnął.

Szyby ustąpiły pierwsze, powoli uginając się do środka. Reflektory eksplodowały z cichym trzaskiem. Chromowane listwy spadły z klekotem na ziemię, a w końcu pękła tylna szyba, syjąc wokół odłamkami szkła. Błotniki wygięły się i pękły; metal aż jęknął w proteście. Tylne opony strzeliły jednocześnie, boczne szyby wgniotły się do środka, a potem ich śladem poszła maska; przednia szyba pękła w drobny mak. Skrzynia korbowa ustąpiła pod naporem, a potem poszły ściany baku. Pod wozem zebrała się kałuża oleju, benzyny i płynu do przekładni. Tom z każdą chwilą czuł się pewniej, a zadanie stawało się coraz łatwiejsze. Wyobraził sobie, że oldsmobila chwytą olbrzymia pięść — pięść siłacza — i ścisnął jeszcze mocniej. Na parkingu rozległ się trzask pękającego szkła i jęk udręczonego metalu, ale nikt go nie słyszał. Tom metodycznie przerobił oldsmobila na kulkę zgniecionej blachy.

Gdy było już po wszystkim, wrzucił bieg i wyjechał na zawsze, zostawiając za sobą studia, Rodneya i całe swoje dzieciństwo.



Gdzieś płakał olbrzym.

Tachion zerwał się z łóżka, chory i zdezorientowany, skacowana głowa pulsowała mu w rytm głośniego łkania. Kształty wypełniające ciemny pokój były dziwne i nieznane. Czyżby znów nadeszli skrytobójcy? Czy ktoś zaatakował rodzinę? Trzeba znaleźć ojca. Z trudem dźwignął się na nogi i wsparł o ścianę, bo świat zawirował mu przed oczami.

Ściana była za blisko. To nie była jego komnata, wszystko było nie tak, a do tego ten zapach... A potem wróciły wspomnienia. Chyba jednak wołałyby skrytobójców.

Zdał sobie sprawę, że znów śnił o Takis. Bolała go głowa, w gardle miał całkiem sucho. W ciemnościach wymacał sznurek zapalający światło. Gdy pociągnął, żarówka zakołysała się dziko, aż cienie zatańczyły po pokoju. Zamknął oczy, by uspokoić wnętrzności. W ustach czuł jakiś obrzydliwy smak. Włosy miał pozlepiane i zmierzwione, ubranie pogniecione. A co najgorsze, butelka była pusta. Rozejrzał się wokół bezradnie. Mały pokoik, metr osiemdziesiąt na trzy metry, na pierwszym piętrze pensjonatu POKOJE, na ulicy Bowery. Podobno otaczająca dzielnica też kiedyś nazywała się Bowery — tak powiedziała Anielska Buzia. Ale to było kiedyś. Teraz nazywała się inaczej.

Podszedł do okna i podniósł rolety. Pokój wypełniło żółtawe światło latarni. Po drugiej stronie ulicy stał olbrzym. Próbował dosięgnąć księżycą i płakał, bo nie mógł go dotknąć.

Nazywali go Maluszek. Tachion uznał, że to pewnie wyraz ludzkiego poczucia humoru. Gdyby Maluszek zdołał wstać, miałby cztery metry i dwadzieścia centymetrów wzrostu. Twarz miał niewinną i pozbawioną zmarszczek, zwieńczoną czupryną miękkich, ciemnych włosów. Jego nogi były smukłe i proporcjonalne i na tym właśnie polegała tragedia: proporcjonalne nogi nie były w stanie utrzymać ciężaru ponadczterometrowego olbrzyma. Maluszek siedział na drewnianym wózku inwalidzkim, wielkiej zmechanizowanej konstrukcji toczącej się ulicami Dżokerowa na czterech łyśkich oponach zdobytych z zełtomowanej naczepy. Gdy zobaczył Tachiona w oknie, krzyknął coś niezrozumiałego, całkiem jakby go rozpoznał. Mężczyzna cofnął się rozdygotany w głąb pokoju. Kolejna typowa noc w Dżokerowie. Musiał się napić.

Pokój cuchnął pleśnią i rzygowinami, było bardzo zimno. Motel POKOJE był ogrzewany gorzej niż hotele, w których sypiał dawniej. Mimowolnie przypomniał sobie Mayflower w Waszyngtonie, gdzie razem z Blythe... Nie, o tym lepiej nie myśleć. Która to właściwie godzina? Dostatecznie późna. Słońce już zaszło, a Dżokerowo budziło się do nocnego życia.

Podniósł z podłogi płaszcz i narzucił na siebie. Choć brudny, wciąż był to piękny strój: miał intensywnie różowy kolor, złote epolety z frędzlami i pętelki ze złotego szamerunku do zapinania guzików. „Płaszcz muzyka”, powiedział sprzedawca w lumpeksie. Tachion usiadł na skraju zarwanego materaca, by włożyć buty.

Łazienka była na końcu korytarza. Gdy sikał do muszli, znad strumienia moczu buchnęła para. Ręce trzęsły mu się tak bardzo, że nie potrafił nawet porządnie wycelować. Ochlapał twarz wodą w kolorze rdzy i wytarł ręce brudnym ręcznikiem.

Na zewnątrz przez chwilę stał pod skrzypiącym szyldem, spoglądając na Maluszka. Czuł się zawstydzony i rozgoryczony. I stanowczo zbyt trzeźwy. Nie mógł pomóc Maluszkowi, ale przynajmniej z trzeźwością umiał sobie poradzić. Odwrócił się plecami do płaczącego olbrzyma i ruszył wzdłuż Bowery.

W zaułkach siedzieli dżokerzy i menele, podając sobie papierowe torby i gapiąc się obojętnie

na przechodniów. Knajpy, lombardy i sklepy z maskami tętniły życiem. Słynne Dziesięciocentowe Muzeum Dzikich Kart (wciąż je tak nazywali, choć wstęp kosztował teraz dwadzieścia pięć centów) już się zamykało. Tachion odwiedził je raz dwa lata temu, gdy szczególnie mocno dręczyło go poczucie winy. Oprócz pół tuzina figur szczególnie zdeformowanych dzokerów, muzeum prezentowało dwadzieścia słoików „potwornych noworodków” zakonserwowanych w formalinie i sensacyjny filmik opowiadający o Dniu Dzikiej Karty, a także dioramy przedstawiające Śmiga, Czwórkę Asów, Orgię w Dżokerowie... i jego.

Obok przetoczył się autobus turystyczny, do szyb przyciskały się różowe twarze. Pod neonowym szyldem pizzerii stało czterech młodzieńców w skórzanych kurtkach i gumowych maskach. Spoglądali na Tachiona z nieukrywaną wrogością. Unikając ich wzroku, wślizgnął się do umysłu pierwszego z brzegu: *...co za ciota patrzcie farbuję se klaki pewnie mu się wydaje że gra w kapeli zaraz kurwa powalimy sobie w bęben nie zaraz ten będzie lepszy znajdziemy sobie naprawdę fajnego takiego żeby pękał jak oberwie*. Tachion pospiesznie zerwał kontakt i ruszył dalej. Stara śpiewka, ale nowy sport — pojechać do Dżokerowa, kupić maskę i pobić dzokera. Policja nie reagowała.

Klub „Chaos”, gdzie wystawiano słynną rewię dzokerów, jak zwykle przyciągał tłum. Gdy Tachion zbliżył się do wejścia, ulicą nadjechała szara limuzyna. Lokaj w czarnym smokingu nałożonym na białe futro otworzył drzwi ogonem i pomógł wysiąść grubemu mężczyźnie w wieczorowym stroju. Towarzyszyła mu biuściasta nastolatka w czarnej sukni bez ramiączek i perłowym naszyjniku. Jasne włosy upięła w wysoką wieżę.

Przecznicę dalej kobieta-wąż zaczęła przechodniów. Jej tęczowe łuski lśniły w świetle lamp.

— Nie bój się, Rudzielcu! — zawołała za nim. — W środku nadal jestem miękka! — Tachion tylko potrząsnął głową.

„Gabinet Luster” mieścił się w podłużnym budynku o wielkich panoramicznych oknach wychodzących na ulicę, jednak szyby zastąpiono w nich fenickimi lustrami. Randall stał przed wejściem, drżąc z zimna, ubrany we frak i karnawałową maskę. Wyglądał całkiem normalnie, póki nie zwróciło się uwagi, że nigdy nie wyjmuje prawej ręki z kieszeni.

— Cześć, Taki! — zawołał. — I jak ci się podoba Ruby?

— Nie kojarzę jej.

Randall skrzywił się.

— Jack Ruby! Facet, który zabił Oswalda.

— Jakiego Oswalda?

— Lee Oswalda, faceta, który zabił Kennedy'ego! Zastrzelił go przed kamerami, dziś po południu.

— Kennedy nie żyje? — spytał w osłupieniu Tachion. To prezydent Kennedy pozwolił mu wrócić do Stanów. Tachion podziwiał całą ich rodzinę, niemal przypominali mu Takizjan. Ale skrytobójstwo stanowiło przecież normalny element polityki.

— Bracia go pomszczą — stwierdził odruchowo, a potem przypomniał sobie, że na Ziemi panują inne zwyczaje, a zresztą wyglądało na to, że ten Ruby już wszystko załatwił. Jakież to dziwne, że właśnie dziś w nocy śnił o skrytobójcach.

— Wsadzili go do pudła — mówił dalej Randall. — Gdyby o mnie chodziło, to, kurwa,

dałbym gościowi medal. — Na chwilę przerwał. — Kennedy uściśnął mi kiedyś rękę — dodał. — Podczas kampanii, gdy kandydował przeciw Nixonowi, wygłosił mowę w „Chaosie”, a potem, wychodząc, uściśnął ręce wszystkim. — Bramkarz wyjął z kieszeni prawą dłoń. Była twarda i pokryta chityną, jakby owadzia, a pośrodku wystawało z niej skupisko opuchniętych, ślepych oczu. — Nawet nie drgnął — dodał Randall. — Tylko się uśmiechnął i przypomniał, że bym poszedł głosować.

Tachion znał Randalla od roku, ale nigdy wcześniej nie widział jego dłoni. Chciał postąpić tak jak Kennedy, chwycić ten powykręcany szpon, ująć go, uściśnąć. Próbował wyjąć rękę z kieszeni płaszcz, ale żółć podeszła mu do gardła. Ostatecznie tylko odwrócił wzrok i powiedział.

— Był dobrym człowiekiem.

Randall znów schował rękę.

— Wejdz, Taki — powiedział prawie przyjaźnie. — Buzia musiała wyjść w jakiejś sprawie, ale powiedziała Desowi, żeby zarezerwował dla ciebie stół.

Tachion skinął głową i pozwolił, żeby Randall otworzył przed nim drzwi. W środku zdjął płaszcz i buty i podał je szatniarce. Dżokerka była drobna i smukła, ubrana w pierzastą, sówią maskę, ukrywającą zniszczenia poczynione przez dziką kartę. Potem przeszedł przez wewnętrzne drzwi, czując, jak stopy w skarpetkach ślizgają się po lustrzanej podłodze. Gdy zerknął w dół, z podłogi spojrział na niego drugi Tachion, groteskowo otyły, z głową jak piłka plażowa.

Z lustrzanego sufitu zwiisał kryształowy żyrandol migoczący setkami drobnych światełek, które odbijały się w kafelkach na podłodze, lustrzanych ścianach alków, w posrebrzanych kielichach i kubkach, nawet tacach noszonych przez kelnerów. Oglądając się przez ramię w „Gabiniecie”, nigdy nie miał pewności, co spojrzy na niego z tyłu. Był to jedyny lokal w Dżokerowie, do którego ściągali zarówno dżokerzy i naturale. Ci ostatni chichotali, patrząc na swoje zniekształcone odbicia, i udawali, że są dżokerami. Ci pierwsi, jeśli mieli szczęście i spojrzeli we właściwe lustro, mogli przez chwilę zobaczyć się takimi, jakimi byli wcześniej.

— Stół czeka, doktorze — oznajmił Desmond, szef sali. Był potężnym, rumianym mężczyzną z długą trąbą, różową i pomarszczoną. Trzymał w niej kartę win. Uniósł ją i przyzwał Tachiona, zakrzywiając jeden z palców, zwisających z końca trąby. — Życzy pan sobie ten koniak co zwykle?

— Tak — odparł Tachion, żałując, że nie ma pieniędzy na napiwek.

Tej nocy, jak zawsze, pierwszą kolejkę wypił za Blythe, ale drugą za Johna Fitzgeralda Kennedy'ego.

Reszta była tylko dla niego.



Na końcu ulicy Hook Road, za opuszczoną rafinerią i magazynami, za kolejowymi bocznkami, gdzie stały opuszczone, czerwone wagony towarowe, za przejściem pod autostradą, za pustą działką pełną chwastów i śmieci, za wielkimi zbiornikami oleju sojowego, Tom wreszcie znalazł sobie kryjówkę. Gdy tam dotarł, było już prawie ciemno, a silnik w jego mercedesie łomotał złowieszczo. Joey na pewno będzie wiedział, co z tym zrobić.

Złomowisko rozpościerało się na brzegu zanieczyszczonych wód Zatoki Nowojorskiej. Za

trzymetrowym płotem z siatki zwieńczonym trzema zwojami drutu kolczastego biegało stado psów, wydając z siebie jazgotliwe ujadanie, które odstraszyłyby każdego, kto ich nie znał. Zachodzące słońce oświetlało dziwnym, złotawym blaskiem sterty potrzaskanych, poskręcanych i zardzewiałych wraków, całe stosy metalu, góry i doliny śmieci i złomu. Wreszcie dotarł do szerokiej, podwójnej bramy. Po jednej stronie umieszczono tablicę NIEUPOWAŻNIONYM WSTĘP WZBRONIONY, a po drugiej UWAGA, ZŁE PSY. Brama była zamknięta i owinięta łańcuchem.

Tom zatrzymał się i nacisnął klakson.

Nieopodal za płotem wznosił się czteropokojowy barak, który Joey nazywał domem. Na dachu z blachy falistej zamontowano olbrzymi szyld, oświetlony dodatkowo reflektorami. DIANGELIS: ZŁOM I CZĘŚCI SAMOCHODOWE. Po dwóch dekadach deszczu i słońca farba wyblakła i zaczęła się złuszczać, drewno popękało, a jeden z reflektorów się przepalił. Koło baraku stało kilka pojazdów, wiekowa wywrotka, laweta i duma Joeya: krwistoczerwony cadillac coupe z 1959 roku, z ostrą tylną płetwą, niczym u rekina, i potężnym, podrasowanym silnikiem wyglądającym spod wycięć w masce.

Tom znów zatrafił — tym razem był to ich umówiony sygnał. Rytmicznie wytrąbił: *Oto gnam na ratunek waaaam!*, motyw muzyczny z serialu „Supermysz”, który oglądali jako dzieci.

Na podwórku pojawił się kwadrat złotawego światła. Joey stanął w drzwiach z puszkami piwa w obu rękach.



Byli do siebie zupełnie niepodobni. Pochodzili z innych środowisk i żyli w odmiennych światach, ale zostali najlepszymi kumplami od czasu wystawy zwierząt w trzeciej klasie. Tamtego dnia Tom zdał sobie sprawę, że żółwie nie potrafią latać, a potem odkrył, kim jest i czego potrafi dokonać.

Stevie Bruder i Josh Jones dopadli go na boisku. Przez jakiś czas bawili się, rzucając do siebie jego żółwie, a Tommy biegał pomiędzy nimi, czerwony i zapłakany. Gdy już się znudzili, cisnęli zwierzętami o ścianę, gdzie nakreślono kredą bramkę. Pies Steviego pożarł jednego żółwia. Gdy Tommy próbował odciągnąć psa, Stevie sprzął go na miazgę, a potem zostawił go na ziemi, z rozbitą wargą i połamanymi okularami.

Skończyłoby się jeszcze gorzej, gdyby nie Joey Złomiarz, chudy chłopak z czarną, rozczochraną głową. Był o dwa lata starszy od kolegów, bo już drugi raz powtarzał klasę, ledwie umiał czytać i wszyscy mówili, że brzydko pachnie, bo jego ojciec Dom prowadzi wysypisko. Joey nie był tak potężny jak Stevie Bruder, ale wcale się tym nie przejmował ani wtedy, ani w ogóle. Chwycił Steviego z tyłu za koszulkę, obrócił do siebie i kopnął w jaja. Potem kopnął psa i pewnie kopnąłby też Josha Jonesa, gdyby tamten nie zwiął. Zanim zdążył umknąć, martwy żółw uniósł się w powietrze, a potem walnął go w gruby kark.

Joey widział, co się stało.

— Jak to zrobiłeś? — spytał zaskoczony. Aż do tej chwili Tommy nie zdawał sobie sprawy, że to dzięki niemu żółwie potrafią latać.

Jego tajemnica stała się ich wspólną tajemnicą, klejem spajającym ich osobliwą przyjaźń. Tommy pomagał Joeyowi w lekcjach i przepytywał go przed klasówkami, a Joey został jego ochroniarzem. Tommy czytał mu na głos komiksy, aż w końcu przyjaciel podszkolił się na tyle,

że już tego nie potrzebował. Jego ojciec Dom, łagodny, szpakowaty mężczyzna z wielkim piwnym brzuchem, był dumny z syna, bo sam nie umiał czytać, nawet po włosku. Ta niezwykła przyjaźń przetrwała szkołę podstawową i średnią, której Joey nie zdołał ukończyć. Przetrwała wczesną młodość, gdy odkryli istnienie dziewczyn, śmierć Doma DiAngelisa i wyprowadzkę Toma do Perth Amboy. Joey DiAngelis jako jedyny znał sekret Toma.



Joey patrzył, jak przyjaciel zdejmuje kapsel z butelki rheingolda za pomocą klucza noszonego na szyi. Pod białą gimnastyczną koszulką rysował się już piwny brzuch, całkiem jak u ojca.

— Kurwa, chłopie. Jesteś za bystry, żeby dłubać jakieś gówniane fuchy w naprawie telewizorów — stwierdził.

— Zawsze to jakaś praca — odparł Tommy. — Robiłem to zeszłego lata, teraz mogę robić to samo na pełny etat. Zresztą nieważne, gdzie będę pracował. Najważniejsze, jak wykorzystam swój, eee, talent.

— Talent? — powtórzył kpiąco Joey.

— Wiesz, o co mi chodzi, makaroniarzu — odciął się Tommy i odstawił pustą butelkę na skrzynkę po pomarańczach obok fotela. Większość mebli Joeya nie była zbyt elegancka: zdobywał je na śmietniku. — Dużo myślałem o tym, co powiedział Śmig na sam koniec. Próbowałem zrozumieć, o co mu chodziło. Chyba chciał powiedzieć, że zostało mu jeszcze dużo do zrobienia. A ja? Cholera, ja nic nie zrobiłem. Zapytałem sam siebie: „Co mogę zrobić dla swojego kraju?”. Chyba obaj znamy odpowiedź.

Joey zakołysał się na krześle, popijając rheingolda i potrząsając głową. Za jego plecami stała biblioteczka, którą Dom zbudował dla syna prawie dziesięć lat temu. Dolną półkę zajmowały męskie pisemka, resztę stanowiły komiksy. Ich komiksy. „Superman” i „Batman”, komiksy przygodowe i „Detektyw”, *Klasyka w obrazkach*, do której Joey sięgał, ilekroć trzeba było przeczytać jakąś lekturę, horrory i kryminały, komiksy lotnicze, a także ich największy skarb — prawie kompletny zestaw „Przygód Śmiga”.

Joey zobaczył jego wzrok.

— Nawet o tym nie myśl — ostrzegł. — Żaden z ciebie Śmig, Tuds.

— Nie — zgodził się Tom. — Ja jestem czymś więcej. Jestem...

— Kujonem — podsunął Joey.

— Asem — odparł poważnie Tom. — Jak Czwórka Asów.

— To chyba jakaś kolorowa kapela. Co oni tam grali, doo wop?

Tom aż się zaczerwienił.

— Ty tępaku, to nie żadni piosenkarze, tylko...

Joey przerwał mu gestem ręki.

— Wiem, kim byli, Tuds. Głupi gówniarze, jak i ty. Wszyscy poszli siedzieć. Oprócz tego kapusia, jak mu tam było? — Strzelił palcami. — Wiesz, ten gość od „Tarzana”.

— Jack Braun — odparł Tom. Kiedyś napisał pracę o Czwórce Asów. — Założę się, że oprócz nich są też inni. Ukrywają się, tak jak ja. Ale koniec z tym.

— A zatem co? Pójdiesz do „Bayonne Times” i zrobisz scenę? Ty głupi dupku. Równie dobrze możesz powiedzieć, że jesteś komuchem. Każą ci się przeprowadzić do Dżokerowa,

a potem wybiją twojemu tacie szyby w domu. Może nawet wezmą cię do woja, zasrańcu.

— Nie — zaprotestował Tom. — Przemyślałem to sobie. Członkowie Czwórki byli łatwymi celami. Ja nikomu nie zdradzę, kim jestem i gdzie mieszkam. — Puską wskazał na półki. — Wymyśle sobie tajną tożsamość. Jak w tych komiksach.

Joey roześmiał się głośno.

— Genialne! Też będziesz ganiał w kalesonach?

— Kurwa mać! — zniecierpliwiał się Tom. Zaczynało go to irytować. — Zamknij się! — Joey wciąż się śmiał. — Chodź, jeśli mi nie wierzysz, mądralo! — rzucił ostro i wstał z fotela. — Podnieś ten tłusty tyłek i chodź na podwórko, to pokażę ci, kto jest głupi. No chodź, skoro jesteś taki chojrak!

Joey DiAngelis wstał z miejsca.

— To muszę zobaczyć.

Tom zatrzymał się przed wejściem, niecierpliwie przestępując z nogi na nogę, patrząc, jak oddech wzbija się obłoczkiem w chłodnym, listopadowym powietrzu. Joey tymczasem podszedł do skrzynki przy ścianie domu i przestawił wyłącznik. Wysoko na słupach reflektory zapłonęły jaskrawym blaskiem. Psy otoczyły ich kręgiem, węsząc i nasłuchując, a potem pobiegły za nimi. Z kieszeni kurtki Joeya wystawała puszcza piwa.

Było to tylko złomowisko, pełne śmieci, starej blachy i wraków samochodów, ale tego wieczoru zdawało się Tomowi równie magiczne co przed dziesięciu laty. Na wzgórku wychodzącym na czarne wody zatoki stał wiekowy biały packard, górujący nad okolicą niczym widmowy fort. Tym właśnie był w czasach ich dzieciństwa: ich schronieniem, ich twierdzą, ich przyczółkiem, stacją kosmiczną i zamkiem. Lśnił w blasku księżyca, a wody zatoki liżące brzegi zdawały się pełne obietnic. Na podwórku zalegał mrok i cienie, zmieniając stosy metalu i śmieci w tajemnicze czarne wzgórza, przetykane labiryntem szarych zaułków. Tom poprowadził ich w ten labirynt, mijając wielką stertę złomu, gdzie bawili się w zdobywanie szczytu i toczyli pojedynki na złomowe miecze, a potem skarbiec, gdzie znaleźli tyle zepsutych zabawek i odłamków kolorowego szkła i pustych butelek, a raz nawet cały karton pełen komiksów.

Mijali rzędy poskręcanych, zardzewiałych samochodów ustawionych jedno na drugim: fordy, chevrolety, hudsony i de soto. Tu corvetta okryta strzępami składanego dachu, tam stadko zezłomowanych garbusów. Dystyngowany, stary karawan, równie martwy co jego pasażerowie. Tom oglądał je uważnie. W końcu przystanął.

— Tamten — powiedział, wskazując na resztki starego studebakera hawka. Silnik gdzieś zniknął, podobnie jak opony. Przednia szyba była pajęczyną odłamków i nawet w ciemnościach widać było ślady rdzy zżerającej błotniki. — Niewiele wart, prawda?

Joey otworzył piwo.

— Do dzieła. Jest twój.

Tom odetchnął głęboko i odwrócił się w stronę wraku. Zacisnął pięści, uważnie wpatrując się w cel. Samochód zakołysała się lekko. Przód uniósł się nieznacznie i zawisł o kilka centymetrów nad ziemią.

— Łaaaaa! — wykrzyknął drwiąco Joey, lekko szturchając Toma w ramię. Studebaker spadł z brzękiem na ziemię, aż odpadł z niego zderzak. — Cholera, ale mi zaimponowałeś!

— Bądź cicho i daj mi spokój! — fuknął przyjaciel. — Dam radę. Udowodnię ci to, tylko, kurwa, zamknij na chwilę dziób. Ćwiczyłem to wcześniej. Nie masz pojęcia, co potrafię.

— Nie pisnę już ani słowa — obiecał Joey, szczerząc zęby, i znów popił z puszki.

Tom odwrócił się z powrotem do wraku. Starał się zapomnieć o wszystkim wokół, o Joeyu, o psach, o wysypisku. Studebaker stał się dla niego całym światem. Żołądek ścisnął mu się w małą, twardą kulkę. Kazał mu się uspokoić, odetchnął kilka razy, rozluźnił pięści. *No, dalej, dalej, spokojnie, nie denerwuj się, robiłeś już trudniejsze rzeczy, to jest łatwe, bardzo łatwe.*

Samochód uniósł się powoli, syjąc deszczem rdzy. Tom obrócił go w powietrzu, coraz szybciej i szybciej. A potem z triumfalnym uśmiechem rzucił go poprzez wysypisko. Wrak uderzył w stos martwych chevroletów i cała sterta runęła lawiną metalu.

Joey dopił piwo.

— Nieźle. Parę lat temu ledwie potrafiłeś przenieść mnie przez płot.

— Robię się coraz silniejszy — odparł z dumą Tom.

Joey DiAngelis skinął głową i odrzucił pustą puszkę.

— I dobrze. To znaczy, że ze mną sobie na pewno poradzisz, co? — spytał niespodziewanie i pchnął przyjaciela oburącz.

Tom zatoczył się o krok, zmarszczył brwi.

— Joey, nie wygłupiaj się.

— To zmusz mnie — odparł tamten i znów pchnął, tym razem mocniej. Tom prawie się przewrócił.

— Przestań, do cholery! To nie jest zabawne.

— Nie? — Joey uśmiechnął się nieprzyjemnie. — Bo mnie to zajebiecie bawi. Ale, hej, ty przecież nic mi nie zrobisz, prawda? No, użyj tej swojej mocy! — Podszedł do Toma i spoliczkował go lekko. — Powstrzymaj mnie, asie! — Uderzył mocniej. — No już, Śmigu, rusz się! — Trzeci cios był jeszcze mocniejszy. — Do dzieła, Supermanie, na co czekasz? — Czwarty cios zakłuł ostrym bólem, przy piątym głowa aż odskoczyła Tomowi na bok. Joey już się nie uśmiechał. Jego oddech cuchnął piwem.

Tom próbował chwycić go za rękę, ale Joey był zbyt silny, za szybki, wywinął się z uchwytu i wymierzył kolejny cios.

— Chcesz się bić, asie? Ja ci pokażę, zrobię z ciebie miazgę. Kujon. Frajer. — Każde słowo punktował uderzeniami, które prawie urwały Tomowi głowę. Łzy napłynęły mu do oczu. — No, bij mnie, złamasie! — wrzasnął Joey. Zacisnął pięść i walnął Toma w żołądek, tak mocno, że chłopak zgiął się wpół, z trudem łapiąc powietrze.

Próbował się skupić, odepchnąć napastnika, ale czuł się, jakby znów trafił na szkolne boisko. Joey był wszędzie, spadał na niego grad ciosów, a on potrafił tylko podnieść dłonie i próbować je odpiierać, ale to i tak nic nie dawało. Joey był o wiele silniejszy, młócił pięściami, szturchał go, popychał i krzyczał, a Tom nie mógł się skupić. Myślał tylko o bólu i cofał się krok za krokiem, zataczał się w tył, a Joey szedł za nim, z zaciśniętymi dłońmi, aż w końcu trafił go hakiem w szczękę. Rozległ się trzask, od którego zabolowały zęby. Nagle Tom znalazł się na ziemi, z ustami pełnymi krwi.

Joey stanął nad nim, marszcząc brwi.

— O kurwa — powiedział przepraszająco. — Nie chciałem ci rozciąć wargi. — Pochylił się, chwycił Toma za rękę i szarpnięciem postawił na nogi.

Tom otarł usta wierzchem dłoni. Krew była też na koszulce.

— Zobacz, cały się uświniłem. — Spiorunował przyjaciela wzrokiem. — To nie było fair.

Jak mam się skupić, skoro mnie bijesz, do cholery?

— Mhm — odparł Joey. — A jak to sobie wyobrażałeś? Ty będziesz się skupiał i mrużył oczy, a bandyci w tym czasie zostawią cię w spokoju, tak? — Klepnął Toma w plecy. — Dupa jasiu. Wybiją ci zęby. I to pod warunkiem, że będziesz miał szczęście, inaczej cię zastrzelą. Żaden z ciebie Śmig, Tuds. — Zadrżał. — Wracajmy do środka. Strasznie tu, kurwa, zimno.



Tachion obudził się w ciemnościach. Pamiętał bardzo niewiele z wczorajszej popijawy, ale właśnie o to chodziło. Z trudem usiadł na pościeli. Leżał w satynowej pościeli, gładkiej i przyjemnej w dotyku, a gdzieś w głębi otaczającego go smrodu, zapachu zleżałych wymiocin, wciąż czuł woń kwiatowych perfum.

Odrzucił na bok okrycie i przesunął się na brzeg łóżka. Pod stopami poczuł dywan. Był nagi, a powietrze zdawało się nieprzyjemnie ciepłe. Wyciągnął rękę, namacał włącznik i aż jęknął, oślepiiony światłem lampy. Pokój utrzymany w barwach bieli i różu, był pełen wiktoriańskich mebli, miał też grube, dźwiękoszczelne ściany. Znad kominka uśmiechał się do niego olejny portret Johna F. Kennedy'ego, w kącie stał prawie metrowy posążek Matki Boskiej.

Anielska Buzia siedziała w różowym fotelu obok wygaszonego kominka. Zamrugła sennie oczami i ziewnęła, zasłaniając usta dłonią.

Tachiona aż zemdlilo ze wstydu.

— Znów zasnąłem w twoim łóżku? — spytał.

— Nic się nie stało — odparła.

Opierała stopy na małym podnóżku. Podeszwy miała spuchnięte i ciemne od siniaków, mimo że nosiła specjalne buty z miękkimi wkładkami. Poza tym wyglądała przepięknie. Rozpuściła długie czarne włosy, które teraz opadały aż do pasa, a jej skóra aż lśniła blaskiem życia. Oczy miała ciemne i wilgotne, ale najbardziej niesamowite było widoczne w nich ciepło, wyraz życzliwości, na którą tak bardzo nie zasługiwał. Mimo całego zła, które wyrządził tym ludziom, kobieta, którą zwano tu „Anielską Buzią”, wybaczyła mu wszystko i postanowiła go wspomóc.

Podniósł rękę, by dotknąć skroni. Najwyraźniej ktoś próbował odpiłować mu czubek głowy piłą tarczową.

— Moja głowa! — jęknął. — Za taką cenę moglibyście przynajmniej usunąć z napojów żywicę i toksyny. Na Takis...

— Wiem — przerwała Anielica. — Na Takis zmodyfikowaliście genetycznie winorośle, żeby trunki nie powodowały kaca. Już mi to mówiłeś.

Tachion zdobył się na zmęczony uśmiech. Wyglądała niewiarygodnie świeżo, ubrana jedynie w krótką satynową koszulkę, z nogami obnażonymi aż do uda. Jej strój miał barwę wina, głębokiej czerwieni, która pięknie wyglądała przy jej bladej skórze, ale kiedy uniosła głowę, zobaczył jej policzek w miejscu, gdzie podczas snu opierała się o fotel. Na twarzy wykwitał siniec, przybierający już kolor purpury.

— Buzio...

— Nic się nie stało — przerwała. Ułożyła włosy na policzkach, by zakryć ślad. — Twoje ubranie było całkiem brudne. Mał zaniósł je do prania, więc przez jakiś czas będziesz moim więźniem.

— Jak długo spałem?

— Cały dzień. Nie przejmuj się. Kiedyś miałam tu klienta, który tak się upił, że spał przez pięć miesięcy. — Usiadła przy toaletce, podniosła słuchawkę i zamówiła śniadanie: dla siebie tosty z herbatą, dla Tachiona jajka na boczku, mocną kawę z brandy i aspirynę.

— Nie! — zaprotestował. — Nie zjem tyle. Będzie mi niedobrze.

— Musisz coś zjeść. Nawet kosmici nie mogą żyć samym koniakiem.

— Proszę...

— Jeśli chcesz pić, musisz jeść — przerwała szorstko. — Taka była umowa, pamiętasz?

Umowa, tak. Oczywiście, że pamiętał. Buzia zapewniała mu pieniądze na czynsz, jedzenie i nielimitowany kredyt w barze — tyle alkoholu, ile tylko potrzebował, by zabić wspomnienia. W zamian za to musiał jeść i opowiadać jej historie. Uwielbiała słuchać jego opowieści. Przytaczał jej różne anegdotki, opisywał takizjańskie zwyczaje, robił wykłady z historii, opowiadał legendy i romanse, opisywał bale, intrygi i piękne widoki, bardzo odległe od podupadłego Dżokerowa.

Czasami po zamknięciu lokalu tańczył specjalnie dla niej, kreśląc skomplikowane pawany na lustrzanej podłodze, a Buzia klaskała i kibicowała. Pewnej nocy, gdy oboje wypili za dużo wina, namówiła go, by pokazał jej balet weselny, erotyczny taniec, który większość Takizjan tańczyła tylko raz w życiu podczas swej nocy poślubnej. Był to jedyny raz, gdy zatańczyła razem z nim. Powtarzała jego kroki, najpierw z wahaniem, potem coraz szybciej, kołysząc się i wirując na podłodze, aż w końcu jej bosa stopy posiniały i popękały, zostawiając na lustrach czerwone smugi. W balecie weselnym tańcząca para pod koniec dochodziła wspólnie, triumfalnie rzucając się sobie w objęcia. Ale tak robiono na Takis, tutaj, gdy nadszedł ten moment, Buzia złamała rytm i odsunęła się gwałtownie, a on znów przypomniał sobie, że Takis leży bardzo daleko stąd.

Dwa lata wcześniej Desmond znalazł go nagiego i nieprzytomnego w zaułku Dżokerowa. Gdy spał, ktoś ukradł mu ubrania i potem leżał, majacząc w gorączce. Des wezwał kogoś na pomoc i razem zanieśli go do „Gabinetu Luster”. Gdy odzyskał przytomność, leżał na rozkładanym łóżku na zapleczu, otoczony beczkami z piwem i stojakami z winem.

— Czy ty w ogóle wiesz, co piłeś? — spytała Anielska Buzia, gdy przyprowadzono go do jej biura. Nie wiedział, pamiętał tylko, że musiał się napić, tak bardzo, że czuł fizyczny ból, a ten czarnoskóry staruszek w zaułku był tak miły, że podzielił się swoją zdobyczą.

— Paliwo do kuchenek — wyjaśniła Anielica. Kazała Desowi przynieść butelkę najlepszej brandy. — Jeśli ktoś chce pić, to jego sprawa, ale przynajmniej mógłbyś zapijać się w dobrym stylu.

Tachion napił się brandy i poczuł, jak w jego piersi kielkują ciepłe pędy. Ręce już mu nie drżały. Pospiesznie opróżnił szklaneczkę, a potem chciał wylewnie podziękować właścicielce baru, ale ona cofnęła się, gdy tylko podszedł. Zapytał, co się stało.

— Pokażę ci — oznajmiła, wyciągając dłoń. — Dotknij. Tylko lekko.

Pocałunek, który złożył na jej ręce, był właściwie tylko musnięciem warg. Złożył go nie na dłoni, lecz na nadgarstku, by poczuć puls, tętniące w niej życie, ponieważ była taka piękna i dobra, a on tak bardzo jej pragnął.

Chwilę później z przerażeniem patrzył, jak jej skóra ciemnieje, robi się purpurowa, a potem czarna.

To też jedna z moich — pomyślał.

A jednak zostali przyjaciółmi. Nie kochankami, chyba że czasem, w jego snach. Jej naczynka pękały przy najlżejszym nacisku, a dla nadwrażliwych nerwów nawet najlżejszy dotyk stawał się bolesny. Delikatna pieśczoła pokrywała ją sińcami, seks pewnie mógłby ją zabić. Ale byli przyjaciółmi. Nigdy nie prosiła go o coś, czego nie mógłby ofiarować, a zatem nie mógł jej zawieść.

Śniadanie zaserwowała garbata kobieta imieniem Ruth z jasnoniebieskimi piórami zamiast włosów.

— Ktoś zostawił to dziś dla ciebie — zwróciła się do Anielskiej Buzi, gdy już zastawiła stół, po czym podała jej grubą, kwadratową paczkę, zawiniętą w brązowy papier. Kobieta przyjęła ją bez komentarza, podczas gdy Tachion pił kawę zmieszaną z brandy, a potem uniósł sztucce, z obrzydzeniem patrząc na smażone jajka.

— Nie rób takich min — skarciła go Anielica.

— Chyba jeszcze nie opowiadałem ci o tym, co się stało tamtego razu, gdy na Takis przybył statek Sojuszu i co moja prababka Amurath powiedziała posłowi Ly'bahrowowi?

— Nie. Ale mów dalej. Już podoba mi się ta twoja prababka.

— Chyba tylko tobie. Mnie zawsze przerażała — odparł Tachion i rozpoczął opowieść.



Tom obudził się przed świtem, gdy Joey jeszcze chrapał w sąsiednim pokoju. Nastawił ekspres przelewowy i wsunął kromkę pieczywa do tosterka. Gdy kawa ciurkała w ekspresie, złożył tapczan z powrotem. Posmarował grzanek masłem i dżemem truskawkowym, a potem rozejrzał się za czymś do czytania. Komiksy patrzyły kusząco.

Przypomniał sobie tamten dzień, gdy je uratowali. Większość należała do niego, łącznie z kompletem „Przygód Śmiga”, które dostał od ojca. Ubóstwiał te komiksy. A potem pewnego dnia w 1954 roku wrócił do domu ze szkoły i odkrył, że zniknęły, cała biblioteczka i dwa kartony. Jego matka powiedziała, że byli u nich jacyś ludzie z komitetu rodzicielskiego. Pokazali jej książkę doktora Werthama, której autor dowodził, że komiksy gloryfikują asów i dzokerów, a pod ich wpływem dzieci wyrastają na przestępców i homoseksualistów. Pani Tudbury pozwoliła im więc zabrać kolekcję syna. Chłopak płakał, krzyczał i robił sceny, ale nic nie wywalczył.

Komitet rodzicielski zabrał komiksy wszystkim dzieciakom w szkole. Zamierzali je spalić w sobotę na dziedzińcu szkoły. Podobne akcje przeprowadzano wtedy w całym kraju, mówiono nawet o zakazie publikowania komiksów, a przynajmniej kryminałów i horrorów, opowieści o potworach, bandytach i ludziach obdarzonych mocami.

Wertham i komitet rodzicielski nie mylili się co do jednego: tamtej piątkowej nocy, z powodu komiksów, Tommy Tudbury i Joey DiAngelis wkroczyli na drogę przestępstwa.

Tom miał dziewięć lat, a Joey jedenaście, ale prowadził ciężarówkę swojego ojca, odkąd skończył siedem. W środku nocy wyprowadził samochód z wysypiska, a Tom wyszedł mu na spotkanie. Gdy dotarli do szkoły, Joey otworzył okno, a Tom wspiął mu się na ramiona, zajrzał przez okno, namierzył karton ze swoją kolekcją, uniósł go i przelewitował aż na pakę samochodu. A potem, skoro już tam był, zwędził jeszcze cztery czy pięć innych kartonów. Komitet nic nie zauważył, bo i tak zostało im jeszcze mnóstwo zeszytów do spalenia. Jeśli Dom DiAngelis zastanawiał się, skąd u niego w domu wzięło się nagle tyle komiksów, to nic nie

powiedział. Zbudował tylko półki, żeby było je gdzie postawić, dumny jak paw, że ma syna, który umie czytać. Od tamtej pory była to ich wspólna kolekcja.

Tom odstawił kawę i grzanki na skrzynkę, podszedł do biblioteczki i zdjął parę zeszytów ze Śmigiem. Po raz kolejny przeczytał je przy śniadaniu: *Śmig na Wyspie Dinozaurów*, *Śmig i Czwarta Rzesza* i jego ulubiony tytuł, ostatni numer *Śmig i kosmici*. Ostatnia przygoda nazywała się *Trzydzieści minut nad Broadwayem*. Zanim dopił kawę, zdążył przeczytać ją dwa razy, zatrzymując się przy najlepszych scenach. Na ostatniej stronie umieszczono rysunek zapłakanego kosmity, Tachiona. Tom nie był pewien, czy to prawda. Zamknął okładkę i dokończył grzankę. Potem długo rozmyślał.

Śmig był bohaterem. A on? Nikim. Był słabeuszem, tchórzem. Jego moc nikomu w niczym nie pomogła. Była bezużyteczna, tak jak on.

Zrezygnowany, narzucił płaszcz i wyszedł na zewnątrz. W porannym świetle wysypisko było surowe i brzydkie, do tego wiał zimny wiatr. W odległości kilkuset kroków na wschód widać było wody zatoki, zielone i pomarszczone drobnymi falami. Tom wspiął się na wzgórek do starego packarda. Drzwi zaskrzypiały, gdy otworzył je szarpnięciem.

Siedzenia były popękane i pachniały stęchlizną, ale przynajmniej ściany chroniły przed wiatrem. Tom zgarbił się, oparł kolana o deskę rozdzielczą i gapił się na wschód słońca. Długo siedział bez ruchu, a wokół niego na wysypisku podrywały się z ziemi kołpaki i stare opony i z pluskiem wpadły we wzburzone wody zatoki. Widział stąd Statuę Wolności i zamglone kontury Manhattanu na północnym wschodzie.

Było już wpół do ósmej, kończyny mu zdrętwiały i stracił rachubę kołpaków, które cisnął do wody, gdy nagle usiadł wyprostowany, z dziwnym wyrazem twarzy. Lodówka, którą właśnie uniósł na wysokość trzydziestu siedmiu metrów, runęła na ziemię z trzaskiem. Przeczesał palcami włosy, znów podniósł lodówkę, przesunął o jakieś osiemnaście metrów i upuścił ją prosto na blaszany dach baraku. Potem zrobił to samo z oponą, poskręcany rowerem, sześcioma kołpakami i małym, czerwonym wózkiem.

Drzwi do domu otworzyły się z trzaskiem i na podwórko wypadł Joey, ubrany tylko w bokserki i koszulkę gimnastyczną. Wydawał się naprawdę wkurzony. Tom chwycił go za bosc stopy i podciął, a potem rzucił nim o ziemię, aż spadł na tyłek. Joey zaklął.

Tom chwycił go znów i porwał w powietrze, głową w dół.

— Gdzie ty, kurwa, jesteś, Tudbury? — wrzeszczał Joey. — Natychmiast przestań, głąbie! Puść mnie!

Tom wyobraził sobie dwie wielkie, niewidzialne ręce i zaczął przerzucać Joeya z jednej do drugiej.

— Jak stąd zejdziesz, to tak ci wpiardolę, że do końca życia będziesz jeść przez słomkę, chuju! — obiecał Joey.

Korbka do otwierania okien była zeszywniała z braku używania, ale w końcu udało się opuścić szybę packarda. Tom wyjrzał na zewnątrz.

— Cześć, dzieciaki, cześć, cześć, cześć! — zawołał, krztusząc się ze śmiechu.

Joey, zawieszony trzydzieści sześć centymetrów nad ziemią, zakołysał się i zacisnął pięść.

— Urwę ci tego magicznego fiuta, gnoju! — wrzasnął.

Tom ściągnął mu bokserki i zawiesił na słupie telefonicznym.

— Zabiję cię, Tudbury — obiecał solennie Joey.

Tom odetchnął głęboko i bardzo ostrożnie postawił Joeya na ziemi. Nadeszła chwila prawdy. Joey rzucił się w jego kierunku, miotając przekleństwa. Tom zamknął oczy, położył ręce na kierownicy i poderwał się w górę. Packard zadrżał. Pot wystąpił Tomowi na czoło. Odgrodził się od całego świata i bardzo powoli policzył do dziesięciu wspan.

Gdy w końcu otworzył oczy, spodziewał się, że zobaczy pięść Joeya zmierzającą w kierunku jego twarzy, ale z przodu nie było nic prócz mowy przycupniętej na masce packarda. Ptak przekrzywił głowę, zaglądając do środka przez pękniętą szybę. Samochód unosił się w powietrzu. Leciał.

Tom wystawił głowę przez okno. Joey stał sześć metrów niżej, z rękami na biodrach i zdegustowaną miną.

— A co teraz? — zawołał Tom z uśmiechem. — Przypomnisz mi, co mówiłeś wczoraj?

— Lepiej, żebyś został tam do wieczora, sukinsynu — mruknął Joey. Zacisnął pięść, a potem machnął ręką. Przydługie czarne kosmyki wpadły mu do oczu. — A zresztą, kurwa, czego to dowodzi? Gdybym miał spluwę, i tak byłoby po tobie.

— Gdybyś miał spluwę, nie wystawiałbym łba przez okno — odparł Tom. — Właściwie lepiej byłoby nie mieć w ogóle okien. — Przez chwilę to rozważał, ale trudno było mu myśleć w powietrzu. Packard był ciężki. — Uważaj, będę lądował. Już trochę, eee, ochłonałeś?

Joey wyszczerzył zęby.

— Sam się przekonasz, Tuds.

— Odsuń się trochę. Nie chcę cię przygnieść tym cholerstwem.

Joey odszedł na bok, nagi od pasa i pokryty gęsią skórką, a Tom posadził packarda na ziemi. Samochód opadł lekko jak liść w bezwietrzny jesienny dzień. Ledwie zdążył uchylić drzwi, Joey sięgnął do środka, chwycił go, szarpnął i przycisnął do bocznych drzwi. Drugą rękę zwinął w pięść.

— Powinienem cię... — zaczął, a potem potrząsnął głową, parsknął i lekko szturchnął Toma w ramię. — Oddaj mi gacie — mruknął tylko.

Gdy znaleźli się znów w środku, Tom podgrzał resztę kawy.

— Chcę cię o coś poprosić — oznajmił, przygotowując jajecznicę na szynce i jeszcze parę grzanek. Po korzystaniu z telekinezy zawsze robił się głodny. — Ty przygotujesz pojazd i pospawasz, co trzeba. Ja się zajmę elektryką.

— Elektryką? — zdziwił się Joey, grzejąc ręce o kubek. — Po cholere?

— Światła i kamery. Nie chcę tam żadnych okien, przez które ktoś mógłby do mnie strzelić. Wiem, skąd można wziąć tanie kamery, a u ciebie wala się mnóstwo starych telewizorów. Wystarczy naprawić. — Usiadł przy stole i z apetytem rzucił się na jajecznicę. — Potrzebne będą też głośniki. Jakiś system nagłaśniający. I generator. Znajdzie się miejsce na lodówkę?

— Ten packard to duży skurwiel — odparł Joey. — Jak wyjmemy fotele, pierdolniesz tam sobie nawet trzy lodówki.

— Nie packard — zaprotestował Tom. — Coś lżejszego. Możemy zasłonić okna starym poszyciem lub czymś takim.

Joey odgarnął włosy z twarzy.

— Pieprzyć poszycie. Mam tu blachę pancerną. Jeszcze z czasów wojny. W czterdziestym szóstym i siódmym zezłomowali kupę okrętów z bazy marynarki. Dom wystartował w przetargu i kupił dwadzieścia ton tego gówna. Cholerna strata pieniędzy — na chuj komu stal

z pancernika? Wciąż ją mam, leży tu na podwórzu i rdzewieje. Żeby się przebić przez to gówno, trzeba mieć czterdziestocentymetrowe działko. Będiesz w tym bezpieczny jak... kurwa, nie wiem jak co. Po prostu bezpieczny.

Ale Tom wiedział.

— Bezpieczny — dokończył głośno — jak żółw w skorupie.



Do Bożego Narodzenia zostało już tylko dziesięć dni. Tachion siedział w alkwie przy jednym z okien, sącząc kawę po irlandzku, by odegnać grudniowe zimno, i gapiąc się przez jednostronne lustro na Bowery. „Gabinet” miał się otworzyć dopiero za godzinę, ale tylne wejście zawsze pozostawało otwarte dla przyjaciół szefowej. Na scenie stała para dzokerów zwanych Kosmos i Chaos, którzy rzucali do siebie kulami do kręgli. Kosmos unosił się trzy stopy nad sceną, siedząc w kwiecie lotosu. Jego bezoka twarz wyglądała zupełnie spokojnie. Był zupełnie ślepy, a jednak ani razu nie upuścił kuli. Jego partner, sześcioreki Chaos, zataczał się wokół jak wariat, rycząc śmiechem i opowiadając kiepskie żarty. Przy użyciu dwóch rąk zonglował za plecami garścią płonących maczug, a pozostałymi czterema rzucał kule w stronę Kosmosa. Tachion obrzucił ich tylko krótkim spojrzeniem. Mieli talent, ale widok ich kalectwa był dla niego nie do zniesienia.

Mal usiadł na ławce naprzeciwko.

— Ile tego wypijeś? — spytał, wskazując na wzmocnioną kawę. Wici zwisające z jego dolnej wargi rozwijały się i kurczyły, pulsując jak robaki, a jego wielka, zdeformowana, sino czarna szczeka nadawała całej twarzy wyraz wojowniczej pogardy.

— To chyba nie twoja sprawa.

— Żaden z ciebie pożytek, co?

— Nigdy nie twierdziłem, że jest inaczej.

Mal burknął coś pod nosem.

— Tyle z ciebie pożytku co z worka łąjna. Nie rozumiem, do czego Buzi potrzebny jakiś frajer z kosmosu, który tylko ciągnie za darmo gorzałę...

— Niepotrzebny. Mówiłem jej to wiele razy.

— Ona jak się uprze, to koniec — zgodził się Mal. Zaciśnął rękę w pięść, wielką jak bochen chleba. Zanim nadszedł Dzień Dzikiej Karty, zajmował ósme miejsce w rankingu zawodowych bokserów wagi ciężkiej. Potem doszedł do trzeciego... a później zabroniono dzikim kartom uprawiać sport zawodowo. Jedną decyzją zniszczono jego marzenia. Podobno ustawa była wymierzona w asów, żeby zachować zasady zdrowej konkurencji, ale nie zrobiono w niej wyjątku dla dzokerów. Mal był już starszy, jego rzadkie włosy posiwiwały jak stal, ale nadal zdawał się dostatecznie silny, by złamać Floyda Pattersona na kolanie, i dość twardy, by wygrać pojedynek na spojrzenia z Sonnym Listonem.

— Spójrz na to — warknął zde gustowany, spoglądając przez okno. Maluszek siedział przed wejściem na swoim wózku inwalidzkim. — Co on tu robi? Mówiłem, żeby się tu nie kręcił. — Bramkarz wstał i ruszył w kierunku drzwi.

— Zostaw go w spokoju! — zawołał za nim Tachion. — On jest niegroźny.

— Niegroźny? — Mal odwrócił się przez ramię. — Te jego pierdolone wrzaski odstraszą wszystkich turystów. Kto wtedy zapłaci za twoją darmową gorzałę?

Ale potem otwały się drzwi i stanął w nich Desmond, z płaszczem przerzuconym przez rękę. Trąbę miał ostrzegawczo uniesioną.

— Zostaw go, Mal — powiedział zmęczonym głosem. — No już.

Pomrukując pod nosem, Mal odszedł. Desmond usiadł przy stoliku naprzeciwko Tachiona.

— Dzień dobry, doktorze.

Tachion skinął głową i dopił napój. Cała whisky spłynęła na dno i teraz przyjemnie rozgrzewała gardło. Nagle zauważył, że wpatruje się w twarz spoglądającą na niego z lustrzanego blatu: zmęczoną, zniszczoną i prostacką. Oczy zaczerwienione i podpuchnięte, włosy tłuste i pozlepiane w strąki, rysy obrzękłe jak u alkoholika. To przecież nie mógł być on. On był przystojny, dystyngowany, miał czyste, wyraźne rysy, a jego twarz...

Desmond wysunął trąbę, otoczył palcami nadgarstek Tachiona i szarpnął ku sobie.

— Nie słuchałeś ani jednego mojego słowa? — spytał, zniżając głos do wściekłego szeptu. Tachion dopiero teraz zdał sobie sprawę, że Desmond coś mówił. Wymruczał jakieś przeprosiny.

— Mniejsza z tym! — uciął szef sali, zwalniając uścisk. — Posłuchaj, doktorze, potrzebuję twojej pomocy. Może i jestem dzokerem, ale nie jestem głupi. Czytałem o tobie w gazetach. Wiem, że masz pewne... zdolności.

— Nie — przerwał Tachion. — Nie takie, o jakich myślisz.

— Twoje zdolności są dość dobrze udokumentowane — zauważył Des.

— Tak, ale ja... — zaczął niezręcznie Takizjanin, a potem rozłożył ręce. — To było kiedyś. Straciłem... To znaczy... Nie, teraz już nie mogę. — Spojrzał w dół na własne zniszczone rysy twarzy. Chciał spojrzeć Desowi w oczy, przekonać go, że mówi prawdę, ale nie mógł znieść widoku jego kalectwa.

— To znaczy: nie chcesz — podsumował bezlitośnie Des. — Sądziłem, że jeśli przyjdę do ciebie przed otwarciem, to zastanę cię trzeźwego. Widzę, że się myliłem. Zapomnij o tej rozmowie.

— Pomógłbym ci, gdybym tylko mógł... — zaczął Tachion.

— Nie mówiłem o sobie — uciął szorstko Des.

Gdy zniknął, Tachion podszedł do długiego srebrzysto chromowanego baru i wziął sobie butelkę koniaku. Po pierwszej szklaneczce poczuł się lepiej, po drugiej ręce przestały mu drżeć. Po trzeciej się rozpłakał. Mal podszedł i zmierzył go spojrzeniem pełnym obrzydzenia.

— Nigdy nie widziałem, żeby facet tyle płakał — mruknął, rzucając mu brudną chusteczkę. Potem poszedł otworzyć klub.



Unosił się już od czterech i pół godziny, gdy z odbiornika przy jego lewej stopie wydobył się trzeszczący komunikat nadany na paśmie policyjnym, coś o jakimś pożarze. Nie znajdował się bardzo wysoko, to prawda, zaledwie metr osiemdziesiąt nad ziemią, ale to wystarczyło. Metr osiemdziesiąt czy osiemnaście metrów — Tom odkrył, że nie robi mu to żadnej różnicy. W ogóle nie czuł się zmęczony. Czuł się fantastycznie.

Siedział przypięty pasami w kubełkowym fotelu wygrzebanym przez Joeya z triumpha TR-3, zamocowanego na niskim trzpieniu pośrodku volkswagena. Jedyne oświetlenie dawał rząd ekranów telewizyjnych, otaczających go ze wszystkich stron. Po zamontowaniu kamer i poruszających nimi silników, generatorów, przewodów wentylacyjnych, sprzętu

nagłaśniającego, tablic rozdzielczych, skrzynki z zapasowymi lampami i małej lodówki, zostało bardzo mało miejsca. Tom ledwie był w stanie się odwrócić, ale nie czuł się z tym źle. Zawsze był raczej klaustrofilem niż klaustrofobem i podobało mu się w środku. Joey pokrył karoserię garbusa dwoma zachodzącymi na siebie warstwami pancernej blachy. Ten pojazd był lepszy niż jakikolwiek pieprzony czołg. Joey dla pewności kilka razy strzelił do niego z lugera, którego Dom odebrał niemieckiemu oficerowi w czasie wojny. Celny strzał mógł uszkodzić jedną z kamer albo reflektor, ale nie było mowy, by zranił Toma siedzącego w pancerzu. Był bezpieczny, a nawet więcej — był niezniszczalny, a gdy czuł się tak pewny siebie, jego możliwościom nie było końca.

Gdy skończyli pracę, garbus był już znacznie cięższy od packarda, ale to nie miało znaczenia. Cztery i pół godziny bez dotykania ziemi, a Tom nawet się nie spociał.

Gdy usłyszał komunikat w radiu, poczuł się, jakby przebiegł go prąd elektryczny. *To już!* — pomyślał. Powinien zaczekać na Joeya, ale on pojechał do „Pompeii Pizza” kupić coś na kolację (pepperoni, cebula i podwójny ser) i nie było już czasu. Nadeszła jego szansa!

Tom poderwał skorupę wyżej: dwadzieścia cztery centymetry, trzydzieści, trzydzieści sześć. W kręgu reflektorów zamontowanych na spodzie sterty wraków i śmieci rzucały ostre cienie. Nerwowo zerkał to na jeden, to na drugi ekran, patrząc, jak grunt się oddala. Na jednym ekranie, którego kineskop zwędzili ze starej sylvanii, obraz zaczął wolno przesuwać się w pionie. Tom przez chwilę bawił się pokręteł, aż zdołał go zatrzymać. Dłonie miał spocone. Pięć metrów w górę, a potem ruszył naprzód, aż dotarł do brzegu. Noc była zbyt pochmurna, by dostrzec stąd Nowy Jork, ale wiedział, że miasto jest po drugiej stronie, musi tylko tam dotrzeć. Na małych, biało-czarnych monitorach wody zatoki wyglądały jeszcze ciemniej niż zwykle — nieskończony ocean pofalowanego atramentu. Musiał przelecieć go po omacku, póki nie zobaczy świateł miasta. A jeśli się tam zgubi, ponad zatoką, to dołączy do Śmiga i Kennedy'ego wcześniej, niż zamierzał. Nawet jeśli zdołałby otworzyć właz wystarczająco szybko, by nie pójść na dno ze skorupą, to i tak nie umiał pływać.

Ale przecież dam radę — pomyślał nagle. Dlaczego w ogóle się wahał? Odtąd już zawsze będzie dawał radę. Musiał w to uwierzyć.

Zacisnął wargi i w myślach popchnął pojazd, a jego kadłub gładko ześlizgnął się z urwiska. Słone fale przetaczały się w dole. Nigdy wcześniej nie odpychał się od wody, było to zupełnie inne uczucie. Na chwilę wpadł w panikę, a wtedy skorupa zakołysała się i opadła o metr, nim wziął się w garść. Uspokoił się z wysiłkiem, a następnie wybił się w górę i poleciał. *Wyżej* — pomyślał. *Teraz polecę naprawdę wysoko, jak Śmig, jak Czarny Orzeł, jak pieprzony as.* Skorupa poruszała się coraz szybciej, sunąc ponad zatoką spokojnym, płynnym ruchem, a Tom z każdą chwilą czuł się coraz silniejszy. Nigdy w życiu nie czuł się tak dobrze, tak pewnie, tak *właściwie*.

Kompas działał doskonale: po niecałych dziesięciu minutach zobaczył światła dzielnic Battery i Wall Street. Wzniósł się jeszcze wyżej i ruszył do centrum, trzymając się nabrzeża Hudson River. Pod nim w dole przesunęło się Mauzoleum Śmiga. Dziesiątki razy stał przy nim, wpatrując się w wielki, metalowy posąg znajdujący się przy wejściu. Zastanawiał się, co pomyślałby o nim posąg, gdyby mógł teraz spojrzeć w górę.

Miał plan Nowego Jorku, ale dzisiaj go nie potrzebował. Płomienie widać było z odległości półtora kilometra. Gdy przelatywał nad pożarem, nawet w pancerzu czuł liźnięcia gorąca. Wentylatory pracowały z szumem, a kamery poruszały się zgodnie z jego rozkazem. Na dole panował chaos, rozbrzmiewała kakofonia zgiełku, syreny i krzyki, tłum gapiów i biegnący

strażacy, policyjne barykady i karetki, wielkie wozy strażackie tryskające wodą w stronę płonącego piekła. Z początku nikt nie dostrzegł pojazdu unoszącego się piętnaście metrów nad chodnikiem — dopóki nie zniżył się na tyle, że jego światła padły na ściany budynków. Zobaczył, że ludzie zadzierają głowy, wskazują go palcami i z wrażenia aż dreszcze przeszły mu po plecach.

Ale miał tylko chwilę, by nacieszyć się tym uczuciem. Kątem oka zobaczył kobietę na ekranie. Stała w oknie na piątym piętrze. Kasłała zgięta w pół. Jej sukienka już zajęła się ogniem. Zanim zdążył zareagować, płomień liznęły uciekinierkę. Kobieta wrzasnęła i skoczyła.

Złapał ją w locie, bez zastanowienia, bez wahania, nie rozważając, czy w ogóle ma szansę tego dokonać. Po prostu zadziałał, złapał ją, przytrzymał i delikatnie położył na ziemi. Strażacy otoczyli ocalałą, zgasili jej sukienkę i zaprowadzili ją do karetki. A potem wszyscy spojrzeli na Toma, na dziwny, ciemny kształt unoszący się w mroku, lśniący kręgiem reflektorów. Policyjne pasmo trzeszczało, meldowali, że pojawił się latający spodek. Tom uśmiechnął się szeroko.

Jakiś policjant wspiął się na dach radiowozu z megafonem i zaczął do niego wołać. Tom wyłączył radio, próbując go usłyszeć poprzez huk płomieni. Funkcjonariusz kazał mu wyłączyć i przedstawić się.

Odpowiedź przyszła mu bardzo łatwo. Tom włączył mikrofon.

— Jestem Żółw — oznajmił.

Volkswagen nie miał kół, w powstałych otworach Joey zamontował największe głośniki, jakie zdołał znaleźć, podłączone do największego wzmacniacza na rynku. Po raz pierwszy świat usłyszał głos Żółwia.

— JESTEM ŻÓŁW! — Okrzyk poniósł się echem po ulicach i zaułkach, dudniący, zniekształcony grzmot. Tom miał jednak wrażenie, że czegoś tu brakuje. Podkreślił głośność i dodał trochę basu: — JESTEM ŻÓŁW, WIELKI I POTĘŻNY! — dorzucił.

Potem odleciał przecnicę na zachód, w stronę ciemnych, zanieczyszczonych wód Hudsonu i wyobraził sobie dwie wielkie, niewidzialne dłonie, każda o rozpiętości dwunastu metrów. Opuścił je do rzeki, złożył razem, wypełnił wodą i uniósł. Gdy oblał pożar kaskadą wody, w tłumie rozległy się ochryple wiwaty.



— Wesołych Świąt! — oznajmił pijackim głosem Tachion, gdy zegar wybił północ, a zebrani goście zaczęli wiwatować, krzyczeć i walić w stoliki. Na scenie Humphrey Bogart wygłosił jakiś kiepski żart trudnym do rozpoznania głosem. Światła w lokalu na chwilę przyciemniały, a gdy znów zapłonęły, na miejscu Bogarta stał pulchny, pyzaty mężczyzna z czerwonym nosem. — A to kto? — Tachion nachylił się do bliźniaczki z lewej strony.

— W.C. Fields — szepnęła i wsunęła mu język do ucha. Jej siostra po prawej robiła pod stołem coś jeszcze ciekawszego. Usługi dziewczyn były świątecznym prezentem od Anielskiej Buzi.

— Możesz sobie wyobrazić, że to ja — powiedziała, choć oczywiście w niczym jej nie przypominały. Miłe dziewczyny, biuściaste i wesołe, i absolutnie bezwstydne, chociaż niezbyt bystre. Przypominały mu takizjańskie zabawki erotyczne. Ta po prawej wyciągnęła dziką kartę, ale nosiła kocią maskę, nawet w łóżku, i nie miała żadnych innych zniekształceń, które mogłyby zaburzyć mu erekcję.

W.C. Fields, kimkolwiek był, wygłosił kilka cynicznych uwag na temat świąt i małych dzieci. Zebrani widzowie wygnali go buczeniem. Projekcjonista dysponował niewiarygodną liczbą twarzy, ale nie potrafił opowiadać dowcipów. Tachion właściwie nie miał mu tego za złe — i tak myślał o czym innym.

— Gazetę, doktorze? — Sprzedawca rzucił na stół egzemplarz „Herald Tribune”, trzymając go grubą, trójpalczystą dłonią. Skórę miał sinoczną i oleiście błyszczącą. — Wszystko świąteczne wiadomości — dodał, poprawiając plik gazet pod pachą. Z kącików uśmiechniętych ust sterczały dwa zakrzywione kły. Spod kapelusza z szerokim rondem wystawały kępki bujnych, rudych włosów. W okolicy nazywali go Morsem.

— Nie, dzięki, Jube — odparł Tachion z pijacką godnością. — Nie mam dzisiaj ochoty nurzać się w ludzkim nieszczęściu.

— Hej, patrzcie! — zawołała jedna z bliźniaczek. — Żółw!

Tachion rozejrzał się wokół, zastanawiając się, skąd ten olbrzymi, opancerzony pojazd mógłby się wziąć w barze, ale dziewczyna oczywiście miała na myśli gazetę.

— Lepiej kup jej tę gazetę, Taki! — zawołała bliźniaczka po lewej. — Inaczej będzie się dąsać.

Tachion westchnął.

— Wezmę jedną. Ale tylko pod warunkiem, że nie będziesz opowiadać żadnych dowcipów, Jube.

— Ostatnio usłyszałem nowy. Polak, Irlandczyk i dzoker lądują na bezludnej wyspie... ale po takim wstępie już słowa nie pisnę — odparł Mors, uśmiechając się szeroko.

Tachion poszukał pieniędzy, ale w kieszeniach nie znalazł nic prócz małej kobiecej dłoni. Jube mrugnął porozumiewawczo.

— Odbiorę sobie od Desa — zaproponował.

Tachion rozłożył gazetę na stole. W tej samej chwili wokół wybuchł dziki aplauz, bo na scenę weszli Kosmos i Chaos.

Ziarniste zdjęcie Żółwia zajmowało aż dwie szpalty. Tachion uznał, że wygląda jak latający korniszon — wydłużony owal pokryty drobnymi guzkami. Żółw schwytał kierowcę, który przejechał małego chłopca w Harlemie i próbował zbiec z miejsca wypadku. Poderwał jego samochód na sześć metrów w górę, gdzie pojazd unosił się przez kilka minut, rycząc silnikiem i wirując kołami, póki nie nadjechała policja. W ramce umieszczono komentarz rzeczownika Sił Powietrznych, który zaprzeczał, jakoby skorupa Żółwia była eksperymentalnym modelem latającego czołgu.

— Można by pomyśleć, że do tej pory znajdują sobie jakieś ważniejsze tematy — stwierdził Tachion. Był to już trzeci duży artykuł w tym tygodniu. Dział listów, felietony, wszędzie aż huczało od plotek o Żółwiu. Nawet telewizja dołączyła do tych spekulacji. Kim jest ten bohater? Jak on to robi?

Jeden z reporterów zadał sobie nawet dość fatygi, by odszukać Tachiona.

— Telekineza — odparł Takizjanin. — Nic nowego. W dzisiejszych czasach to nawet popularne.

TK stanowiła najczęstszą nadprzyrodzoną zdolność diagnozowaną wśród ofiar dzikiej karty w czterdziestym szóstym. Widział kilkunastu pacjentów, którzy samą myślą przesuwali spinacze i ołówki. Jedna kobieta potrafiła nawet podnieść własne ciało na jakieś dziesięć minut. Zdolność

Earla Sandersona także była rodzajem telekinezy. Nie powiedział im jednak, że użycie jej na taką skalę było absolutnie bezprecedensowe. Oczywiście, gdy artykuł w końcu poszedł, połowę z tego poprzekęciano.

— To dzoker — szepnęła bliźniaczka po prawej, ta w kociej masce. Opierała się o ramię Tachiona, czytając o wyczynach Żółwia.

— Dzoker? — powtórzył.

— Chowa się w skorupie, prawda? Po co miałyby to robić, gdyby nie był straszliwie brzydki? — Wyjęła dłoń z jego spodni. — Mogę tę gazetę?

Tachion przesunął stronicę po stole.

— Kochają go — stwierdził ostro. — Czwórkę Asów też kochali.

— Czwórka Asów? To ci kolorowi? — spytała kobieta, zerkając na nagłówki.

— Prowadzi album z wycinkami — wyjaśniła siostra. — Wszyscy dzokerzy uważają, że Żółw jest jednym z nich. Głupie, nie? Założę się, że to po prostu maszyna, jakiś wojskowy latający spodek.

— Nieprawda — odparła ta w masce. — Zobacz, tu jest napisane. — Postukała w ramkę długim, czerwonym paznokciem.

— Zresztą, nieważne — ucięła ta z lewej. Przysunęła się do Tachiona, skubiąc go po szyi i włożyła rękę pod stół. — Hej, co się stało? Cały zmiękłeś.

— Wybacz — odparł ponuro Takizjanin.

Kosmos i Chaos rzucali do siebie toporkami, maczetami i nożami. Lśniąca kaskada tworzyła wokół nich lustrzaną zasłonę. Tachion miał pod ręką butelkę dobrego koniaku i dwie piękne, chętne kobiety, a jednak, z jakiegoś powodu, wieczór nie wydawał się już taki przyjemny. Napełnił szklanę, prawie do wrębu i odetchnął alkoholowym oparem.

— Wesołych Świąt — mruknął, nie zwracając się do nikogo konkretnego.



Odzyskał przytomność, słysząc gniewny głos Mała. Oszołomiony, uniósł głowę z lustrzanego blatu i zamrugał, wpatrzony w swoje opuchnięte odbicie. Żonglerzy, bliźniaczki i klienci dawno zniknęli. Policzek miał lepki, bo zasnął w kałuży trunku. Bliźniaczki obejmowały go, pieściły, a jedna nawet weszła pod stół, choć to i tak nic nie dało. Potem podeszła Buzia i kazał im odejść.

— Idź spać, Taki — powiedziała. Mał zapytał, czy ma go zawlec do łóżka.

— Nie, dzisiaj nie — odparła szefowa. — Wiesz, co to za dzień. Niech się wyśpi tutaj.

Tachion nawet nie pamiętał, kiedy zasnął.

Teraz miał wrażenie, że głowa zaraz mu eksploduje, a krzyki Mała dodatkowo pogarszały sprawę.

— Gównu mnie obchodzi, co ci obiecali, chuju! Szefowa cię nie przyjmie! — wrzasnął bramkarz. Łagodny głos odpowiedział coś niezrozumiałego. — Dostaniesz swoją forszę, ale na tym, kurwa, koniec! — uciął Mał.

Tachion otworzył oczy. W lustrach zobaczył ich ciemne odbicia: dziwne, powykręcane kształty w słabym świetle świtu, całe setki, piękne, potworne, niezliczone, jego dzieci, jego spadkobiercy, potomstwo jego porażki, żywe morze dzokerów. Cichy głos dodał coś jeszcze.

— Pocałuj mnie w moją dzokerską dupę — burknął Mal. W lustrze miał ciało chude jak patyk i głowę jak dynia. Tachion aż się uśmiechnął. Mal popchnął kogoś i sięgnął w tył, szukając pistoletu.

Odbicia i odbicia odbić, cienie chude i spęczniałe, pyzate i wąskie, czarne i białe, poruszyły się naraz, wypełniając klub zgiełkiem. Mal krzyknął ochryple, wypaliła broń. Tachion instynktownie rzucił się na podłogę, uderzając czołem w brzeg stołu. Zamrugał z bólu, aż łzy napłynęły mu do oczu. Skulony spoglądał na odbicia, podczas gdy świat rozpadał się na ostrą kakofonię. Szkło pękało, sypiąc odłamkami, lustra pękały, w powietrzu latały srebrne noże, tak wiele, że nawet Kosmos i Chaos nie zdołaliby ich wszystkich złapać. Ciemne drzazgi wbijały się w odbicia, wygryzając kawałki poskręcanych cieni, krew bryzgała na lustra.

Wszystko skończyło się równie szybko, jak zaczęło. Cichy głos rzucił krótki rozkaz, a potem rozległ się tupot stóp i zgrzyt deptanego szkła. Chwilę później zabrzmiał stłumiony krzyk. Tachion leżał pod stołem, pijany i przerażony. Bolała go ręka, zobaczył, że odłamek lustra zaciął go w palec. Z jakiegoś powodu myślał tylko o tym idiotycznym ludzkim przesądzie, o rozbitych lustrach i siedmiu latach nieszczęść. Chwycił się za głowę i zakołysał miarowo, mając nadzieję, że już wkrótce ocknie się z tego koszmaru.

Gdy się obudził, jakiś policjant potrząsał go za ramię.



Od jednego z detektywów dowiedział się, że Mal nie żyje. Pokazali mu zdjęcie bramkarza leżącego w kałuży krwi i potłuczonego szkła. Ruth także zginęła, a wraz z nią jeden ze sprzątaczy, prostoduszny cyklop, który nigdy nikogo nie skrzywdził. Pokazali mu artykuł w gazecie. Nazwali to Mikołajową Masakrą. W czołówce napisali coś o trojgu dzokerach, którzy w świąteczny poranek znaleźli śmierć pod choinką.

Pani Fascetti zniknęła, dodał drugi detektyw. Czy coś panu o tym wiadomo? Myśli pan, że była zamieszana w tę sprawę? Powiedział, że nie zna takiej osoby, i dopiero wtedy wyjaśnili, że chodzi o Angelę Fascetti, znaną także jako Anielska Buzia. Ona zniknęła, a Mal zginął zastrzelony, a co gorsza, Tachion nie miał pojęcia, skąd teraz weźmie następną butelkę.

Przetrzymywali go przez cztery dni i przesłuchiwali niezmiernie, wciąż zadając te same pytania, aż w końcu Tachion zaczął wrzeszczeć, błagać, żądać spotkania z adwokatem, a przede wszystkim czegoś do picia. Zapewnili mu tylko adwokata. Prawnik powiedział, że nie mogą go przetrzymać tak długo bez żadnych zarzutów, więc oskarżyli go o włóczęgostwo, ukrywanie ważnych informacji i stawianie oporu władzy, po czym znów go przesłuchali.

Trzeciego dnia ręce zaczęły mu się trząść i przyszły halucynacje. Jeden z policjantów, ten sympatyczniejszy, obiecał, że przyniesie mu butelkę w zamian za współpracę, ale jego odpowiedzi jakoś nigdy nie zadowalały przesłuchujących i butelka wciąż się nie zjawiała. Mniej sympatyczny policjant groził, że będą go tu trzymać wiecznie, jeśli się nie przyzna. „Myślałem, że to nocny koszmar” — tłumaczył Tachion. „Byłem pijany. Właśnie się obudziłem. Nie, nie widziałem ich, tylko odbicia w lustrach, zniekształcone, zwielokrotnione. Nie wiem, ilu ich było. Nie wiem, o co poszło. Nie, nie miała żadnych wrogów, wszyscy ją kochali. Nie, nie zabiłaby Mala, to nie ma sensu, on ją uwielbiał. Jeden z nich miał taki cichy, łagodny głos. Nie, nie wiem, który to z nich. Nie wiem, co mówili. Nie wiem, czy byli dzokerami, trochę ich przypominali, ale lustra zniekształcają sylwetki, aczkolwiek tylko niektóre, nie wszystkie. Nie, nie potrafiłbym ich zidentyfikować. Nie zdołałem im się dobrze przyjrzeć. Musiałem się schować pod stołem, bo

widzicie, nadeszli skrytobójcy, tak jak ostrzegał mój ojciec, nie mogłem nic zrobić”.

Gdy w końcu przekonali się, że naprawdę powiedział wszystko, wycofali zarzuty i wypuścili go na wolność. W mroczne uliczki Dżokerowa i mrok zimowej nocy.



Szedł samotnie wzdłuż Bowery i drżał z zimna. Mors sprzedawał wieczorne gazety na rogu ulicy Hester.

— Sensacyjna historia! — wołał. — Żółw terroryzuje Dżokerowo!

Tachion przystanął i zagapił się tępo na nagłówki. POLICJA POSZUKUJE ŻÓŁWIA, głosił Post. ŻÓŁW OSKARŻONY O NAPAŚĆ, informował „World-Telegram”. A zatem zachwyty już opadły. Tachion zerknął na tekst. Przez ostatnie dwa dni Żółw przemierzał ulice Dżokerowa, unosząc ludzi w górę, grożąc, że ich upuści, jeśli nie spodobają mu się ich odpowiedzi. Gdy policja próbowała go zaarrestować, postawił dwa radiowozy na dachu *Cudaków* przy Chatham Square. ŻÓŁW DO PUSZKI, domagał się wstępniak w „World-Telegram”.

— Wszystko w porządku, doktorku? — spytał Mors.

— Nie — odparł Tachion, odkładając gazetę. I tak nie miał za nią czym zapłacić.

Policja zabarykadowała wejście do „Gabinetu”, na drzwiach zawieszono kłódkę. ZAMKNIĘTE DO ODWOŁANIA, głosiła tabliczka. Tachion musiał się napić, ale kieszenie płaszcza muzyka były puste. Pomyślał o Desie i Randallu, ale nie miał pojęcia, gdzie mieszkają ani nawet jak brzmią ich nazwiska.

Powlókł się z powrotem do POKOI i ciężko wspiął na schody. Gdy wszedł do ciemnego pokoju, zdążył tylko zauważyć, że jest lodowato zimny; okno było otwarte, a ostry zimowy wiatr wywiewał na zewnątrz zapach alkoholu, moczu i pleśni. Czyżby nie zamknął go przed wyjściem? Zaskoczony postąpił krok naprzód, a wtedy ktoś, kto wcześniej skrywał się za drzewami, skoczył na niego.

Wszystko rozegrało się tak szybko, że ledwie zdążył zareagować. Ramię zaciskające się na szyi było jak stalowa sztaba, tłumilo krzyk o pomoc. Jednocześnie napastnik wykręcił mu na plecy prawą rękę. Tachion nie mógł złapać tchu, dusił się i czuł, że lada chwila złamię mu rękę, następnie popchnięto go w stronę otwartego okna. Takizjanin mógł tylko miotać się bezskutecznie w uścisku kogoś znacznie silniejszego. Parapet uderzył go w brzuch, pozbawiając resztek tchu, a potem spadał w dół, na łeb na szyję, unieruchomiony w stalowym uścisku napastnika. Obaj mknęli w stronę chodnika.

Gwałtownie zatrzymali się jakieś półtora metra nad ziemią. Szarpnięcie było tak nagłe, że trzymający go mężczyzna aż stęknął z bólu.

Tachion zamknął oczy na sekundę przed spodziewanym zderzeniem. Potem otworzył je, gdy zaczęli się wznosić. Ponad żółtą aureolą latarni widać było krąg znacznie jaśniejszych światel, unoszących się w mroku, w którym nie widać było nawet zimowych gwiazd.

Uścisk zelżał na tyle, że Tachion zdołał jęknąć.

— To ty — wychrypiał, gdy minęli pancierz pojazdu i delikatnie wylądowali na jego szczycie.

Metal był lodowato zimny, chłód z łatwością przenikał przez spodnie. Gdy Żółw zaczął wznosić się w górę, napastnik w końcu puścił Tachiona. Takizjanin z drzeniem zaczerpnął chłodnego powietrza i przewrócił się na plecy, by spojrzeć na mężczyznę w skórzanej kurtce,

czarnych ogrodniczkach i gumowej żabiej masce.

— Kim ty...? — wydyszał.

— Jestem wrednym pomagierem Wielkiego i Potężnego Żółwia — odparł mężczyzna niespodziewanie wesołym głosem.

— DOKTOR TACHION, JAK MNIEMAM — zadudniły głośniki, wysoko ponad uliczkami Dżokerowa. — ZAWSZE CHCIAŁEM PANA POZNAĆ. CZYTAŁEM O PANU, GDY BYŁEM MAŁY.

— Ścisz to — zaskrzeczał z wysiłkiem Tachion.

— NIE MA SPRAWY. Tak lepiej? — Dźwięk przycichł wyraźnie. — Tu jest dosyć głośno, a przez ten pancerz trudno ocenić, jak mnie słyhać na zewnątrz. Przepraszam, jeśli pana wystraszyliśmy, ale nie mogliśmy zaryzykować, że pan odmówi. Potrzebujemy pana.

Tachion po prostu stał, oszołomiony i drżący.

— Czego chcecie? — spytał zmęczonym głosem.

— Pomocy — odparł Żółw. Wciąż unosili się coraz wyżej. Wokół otaczały ich światła Manhattanu, a w oddali wznosiły się Empire State Building i budynek Chryslera. Znajdowali się wyżej niż ich wierzchołki. Wiatr był zimny i porywisty. Tachion ze wszystkich sił czepiał się skorupy.

— Zostawcie mnie! — wykrzyknął. — Nie mogę wam pomóc! Nie mogę pomóc nikomu!

— O kurwa, on płacze — powiedział człowiek w żabiej masce.

— Nie rozumie pan — odparł Żółw. Skorupa zaczęła sunąć na zachód, bezgłośnie i miarowo. — Musi nam pan pomóc. Próbowałem sam, ale tak do niczego nie dojdę. Tylko pana moce mogą tu coś zdziałać.

Tachion, pogrążony w depresji, był zbyt zmarznięty i zmęczony, by na to odpowiedzieć.

— Muszę się napić — oznajmił.

— Pieprzyć to — powiedział żabiogłowy. — Dumbo miał rację, ten facet to tylko pieprzony pijak.

— Jeszcze nie rozumie — upierał się Żółw. — Ale gdy wszystko wyjaśnimy, na pewno wróci do siebie. Doktorze Tachionie, mówimy o pana przyjaciółce, Anielskiej Buzi.

Musiał się napić. Głód alkoholu był niemal bolesny.

— Była dla mnie taka dobra — powiedział, myśląc o jej atlasowej pościeli i o krwawych odciskach stóp na lustrzanej podłodze. — Ale nie mogę nic zrobić. Powiedziałem policji już wszystko.

— Zastrany tchórz — mruknął żabiogłowy.

— Gdy byłem mały, czytałem o panu w komiksach Śmiga — ciągnął Żółw. — „Trzydzieści minut nad Broadwayem”, pamięta pan? Pisali, że jest pan równie mądry jak Einstein. Może zdołałbym ocalić pana przyjaciółkę, ale nie poradzę sobie bez pańskich mocy.

— Już z nich nie korzystam. Nie mogę. Kiedyś kogoś skrzywdziłem... kogoś bliskiego. Opanowałem jej umysł, tylko na chwilę, to było konieczne, a przynajmniej tak mi się wydawało, ale to ją... zniszczyło. Nie mogę tego powtórzyć.

— Chlip, chlip — wycedził kpiąco żabiogłowy. — Rzućmy go, Żółwiu. Facet jest wart tyle co wiadro szczyń. — Wyjął coś z kieszeni kurtki. Tachion ze zdumieniem zobaczył, że to butelka piwa.

— Proszę — zaskamlał Takizjanin, gdy mężczyzna zdjął kapsel otwieraczem zawieszonym

na szyi. — Tylko łyka. Tylko jednego łyeczka. — Nienawidził smaku piwa, ale musiał się napić, czegokolwiek. Minęło już wiele dni, odkąd pił po raz ostatni. — Proszę.

— Spierdalaj — burknął żabiogłowy.

— Niech pan posłucha, doktorze: może go pan zmusić.

— Nie mogę — zaprotestował Tachion. Mężczyzna uniósł butelkę do gumowych ust. — Nie mogę — powtarzał to raz za razem. Żabiogłowy popijał spokojnie. — Nie. — Słyszał, jak płyn bulgocze. — Proszę, tylko odrobinę.

Mężczyzna opuścił butelkę, potrząsnął w zamyśleniu.

— Został tylko łyk.

— Proszę — Tachion wyciągnął drżące dłonie.

— Niee. — Żabiogłowy zaczął przechylać butelkę. — Oczywiście, gdybyś naprawdę tego chciał, mógłbyś mnie powstrzymać, prawda? Zmusić mnie, żebym dał ci to pieprzone szkło. No dalej, do dzieła!

Tachion patrzył, jak resztką piwa spływa na pancerz Żółwia i rozbryzguje się w powietrzu.

— Szlag — mruknął żabiogłowy. — Naprawdę z tobą kiepsko.

Wyciągnął z kieszeni drugą butelkę, otworzył i wyciągnął do Tachiona, który ujął ją oburącz. Piwo było zimne i kwaśne, ale miał wrażenie, że nigdy w życiu nie pił czegoś tak wyśmienitego. Osuszył butelkę jednym pociągnięciem.

— Jeszcze jakieś świetne pomysły? — Żabiogłowy zwrócił się do Żółwia.

Przed nimi rozciągała się czarna wstęga Hudsonu, a na zachód majaczyły światła New Jersey. Opadali. Pod nimi, tuż nad brzegiem, stała ogromna konstrukcja ze szkła, marmuru i stali. Tachion natychmiast ją rozpoznał, choć nigdy nie był w środku: Mauzoleum Śmiga.

— Gdzie lecimy? — spytał.

— Pogadać z jednym gościem o ratunku — odparł Żółw.



Mauzoleum zajmowało całą przecnicę. Wybudowano je w miejscu, gdzie spadły szczątki samolotu. Widok ogromnego gmaszyska wypełnił ekrany Toma, a on spoglądał na nie z wnętrza skorupy, skąpany w fosforyzującym świetle. Silniki szumiały, w miarę jak przesuwały się kamery. Ogromne, wyposażone w lotki skrzydła grobowca wyginały się ku górze, jakby cała budowla szykowała się do lotu. Poprzez wysokie, wąskie okna widać było fragmenty pełnowymiarowej repliki JB-1 zawieszanej u sufitu. Jej szkarłatne lotki oświetlały ukryte lampy.

Ponad drzwiami wypisano ostatnie słowa bohatera. Każda litera była pieczołowicie wryta w czarnym, włoskim marmurze i wypełniona stałą nierdzewną. Metal załśnił, gdy jaskrawe reflektory skorupy prześlizgnęły się po legendarnym budynku.

JESZCZE NIE MOGĘ UMRZEĆ.
NIE WIDZIAŁEM JOLSONA.

Tom opuścił skorupę, tak by unosiła się półtora metra ponad marmurowym placykiem na szczycie schodów. Tuż obok sześciometrowy posąg Śmiga spoglądał w stronę autostrady West Side i Hudsonu, unosząc zaciśnięte pięści. Metal, z którego go odlano, pochodził z wraków rozbitych samolotów. Tom znał jego twarz lepiej niż własnego ojca.

Człowiek, z którym byli umówieni, wychynął z cienia u podnóża posągu; krępy, ciemny kształt skulony pod grubym płaszczem, z rękami wciśniętymi w kieszenie. Tom oświetlił go reflektorem, skierował na niego kamerę, by lepiej go uchwycić. Dżoker był tęgim mężczyzną o zaokrąglonych ramionach i dobrze ubranym. Miał na sobie płaszcz z futrzanym kołnierzem i fedorę naciągniętą nisko na oczy. Zamiast nosa pośrodku twarzy sterczała mu słoniowa trąba zakończona palcami ubranymi w małą, skórzaną rękawiczkę.

Doktor Tachion ześlizgnął się z pancerza, stracił równowagę i wylądował na tyłku. Tom usłyszał śmiech Joeya. Potem jego przyjaciel też zeskoczył i pomógł Takizjaninowi wstać.

Dżoker spojrzał na kosmitę.

— A zatem przekonałeś go, by tu przyszedł. Jestem zaskoczony.

— Byliśmy zajębiście przekonujący — wycedził Joey.

— Des! — wykrztusił Tachion, zdziwiony. — Co ty tu robisz? Znasz tych ludzi?

Człowiek słon poruszył trąbą.

— Można powiedzieć, że tak, a dokładnie od przedwczoraj. Sami mnie znaleźli. Było późno, ale telefon od Wielkiego i Potężnego Żółwia potrafi zaciekawić każdego. Zaoferował swoją pomoc, a ja się zgodziłem. Nawet powiedziałem im, gdzie mieszkasz.

Tachion przecesał palcami zmierzwione włosy.

— Przykro mi z powodu Mała. Co się stało z Buzią? Masz jakieś wieści? Wiesz, ile dla mnie znaczyła.

— Mogę podać tę wartość co do centa.

Tachion otworzył usta. Wyglądał, jakby było mu naprawdę przykro. Tomowi zrobiło się mu go żal.

— Chciałem cię odnaleźć — powiedział po chwili Takizjanin — ale nie wiedziałem, gdzie szukać.

Joey wybuchnął śmiechem.

— Gość jest w książce telefonicznej, głąbie! Naprawdę niewielu facetów w tym mieście nazywa się Xavier Desmond. — Spojrzał na pancerz. — Jak ten złamas ma odnaleźć Buzię, skoro nie umiał nawet znaleźć swojego kumpla?

Desmond przytaknął.

— Słuszna uwaga. To się nie uda. Spójrzcie na niego! — Wskazał trąbą. — Do czego on się nadaje? Tylko tracimy cenny czas!

— Próbowaliśmy zrobić to po twojemu — odparł Tom. — Nic nam to nie dało. Nikt nie puścił farby. On może nam załatwić te informacje.

— Nic z tego nie rozumiem — przerwał Tachion.

Joey prychnął pogardliwie. Skądś wyciągnął trzecie piwo i z trzaskiem zdjął kapsel.

— Co tu się dzieje? — dopytywał się Takizjanin.

— Gdybyś choć przez chwilę zainteresował się czymś poza gorzałą i tanimi dziwkami, może byś wiedział — odparł lodowato Des.

— Powiedz mu to, co powiedziałeś nam — nalegał Tom. Był przekonany, że gdy Tachion pozna prawdę, zgodzi się im pomóc. Musiał się zgodzić.

Des westchnął ciężko.

— Buzia była uzależniona od heroiny. Pewnie czasem zauważyłeś, że wszystko ją bolało, doktorze? Tylko narkotyk pozwalała jej normalnie funkcjonować. Inaczej oszalałaby z bólu. I nie

był to zwykły nałóg. Używała czystej heroiny w ilościach, które zabiłyby normalnego człowieka. Widziałeś chyba, jak niewiele jej to pomagało? Metabolizm dzokera to ciekawa sprawa. Masz pojęcie, ile kosztuje heroina? Nieważne, już widzę, że nie masz. Buzia sporo zarabiała na prowadzeniu „Gabinetu”, ale nawet to nie wystarczało. Diler dawał jej na kredyt, aż zebrała się suma nie do spłacenia, a potem zażądał od niej... powiedzmy, że weksla. Albo gwiazdkowego prezentu. Nie miała wyboru. Albo to, albo koniec z dostawami. Była wieczną optymistką, więc założyła, że pieniądze jakoś się znajdą. Lecz nie znalazły się. Rankiem w Boże Narodzenie diler przyszedł odebrać dług. Mal nie chciał ich wpuścić. Nalegali.

Tachion mrużył oczy w świetle reflektorów. Jego obraz zaczął się przesuwac w górę.

— Dlaczego mi nie powiedziała?

— Prawdopodobnie nie chciała cię tym obciążać, doktorze. Mogłoby ci to przeszkodzić w picu i samoużalaniu.

— Powiadomiliście policję?

— Policję? Ach tak, dumę i chlubę Nowego Jorku. Tę policję, która wykazuje tak całkowity brak zainteresowania, gdy ktoś zabije dzokera, za to jest przykładnie gorliwa, ilekroć okradną turystę? Tę policję, która regularnie aresztuje, nęka i bije każdego dzokera, który odważy się osiedlić poza Dżokerowem? Może skonsultujemy się z tym funkcjonariuszem, który twierdził, że gwałt na dzokerce to nie przestępstwo, a przejaw złego gustu? — Des prychnął pogardliwie. — Doktorze, jak myślisz, skąd Buzia brała prochy? Myślisz, że zwykły uliczny diler ma dostęp do czystej heroiny w takich ilościach? To policja była jej dilerem. A konkretnie szef Wydziału Narkotyków w Dżokerowie. Och, nie sądzę, by cały wydział był w to zamieszany. Podejrzewam, że Wydział do spraw Zabójstw prowadzi uczciwe śledztwo. Jak sądzisz, co by zrobili, gdyby usłyszeli od nas, że to Bannister jest mordercą? Myślisz, że aresztowaliby jednego ze swoich? Opierając się wyłącznie na zeznaniach dzokera?

— Spłacimy ten dług! — wypalił Tachion. — Oddamy temu człowiekowi pieniądze albo „Gabinet”, albo co tam jeszcze chce.

— Weksel — Desmond westchnął ciężko — nie dotyczy „Gabinetu”.

— Damy mu wszystko, czego zażąda.

— Anielica obiecała mu jedyną rzecz, jakiej jeszcze pragnął — ciągnął tamten. — Siebie. Swoją urodę i swój ból. Po ulicach krążą już pogłoski, jeśli się wie, gdzie słuchać. W tym roku zaplanowano bardzo szczególną zabawę sylwestrową. Wstęp tylko za zaproszeniami. Drogo. Niepowtarzalne doświadczenie. Bannister weźmie ją pierwszy. Pragnął tego już od dawna. Ale każdy z gości będzie mógł zaczekać na swoją kolej. Słynna dzokerska gościnność.

Tachion bezgłośnie otwierał i zamykał usta.

— Policja?! — wykrztusił w końcu. Był tym równie zszokowany jak wcześniej Tom i Joey.

— A co, myślisz, że nas kochają, doktorze? Jesteśmy cudakami, potworami. Jesteśmy chorzy. Dżokerowo to piekło, ślepy zaułek, a do tutejszej policji ciągną największe męty z całego miasta. Nie wiem, czy ktoś przewidział, że dojdzie do tej masakry w „Gabinecie”, ale teraz koniec, mleko się rozlało. Buzia zbyt dużo wie. Nie mogą tego tak zostawić, więc postanowili jeszcze zabawić się z dzokerską cipką.

Tom Tudbury nachylił się do mikrofonu.

— Mogę ją ocalić — powiedział. — Ci gnoje jeszcze nie widzieli, co potrafi Wielki i Potężny Żółw. Ale nie mogę jej znaleźć.

— Buzia ma wielu przyjaciół — powiedział Des. — Ale żaden z nas nie umie czytać w myślach ani zmusić ludzi, by zrobili coś wbrew swojej woli.

— Nie mogę... — zaprotestował Tachion. Skulił się, jakby chciał się odsunąć i Tom przez chwilę myślał, że ucieknie. — Nie rozumiecie...

— Co za pieprzony mięczak — rzekł głośno Joey.

Tom Tudbury obserwował Tachiona przez dłuższą chwilę, aż w końcu stracił cierpliwość.

— Jeśli się nie uda, to trudno. A jeśli pan nie spróbuje, to też się nie uda, więc co za różnica? Śmig poniósł porażkę, ale przynajmniej próbował wygrać. Nie był pieprzonym kosmitą, nie był nawet asem. Był tylko facetem w samolocie, ale zrobił, co mógł.

— Chciałbym pomóc. Po prostu... nie mogę.

Des zatrąbił z obrzydzeniem. Joey wzruszył ramionami.

Ukryty w skorupie Tom siedział oszołomiony, nie wierząc własnym uszom. Tachion naprawdę nie zamierzał im pomóc. Joey ostrzegał go wcześniej, Desmond także, ale Tom nalegał. Przecież to Doktor Tachion, na pewno im pomoże. Może i ma teraz problemy osobiste, ale gdy już zobaczy, jak wysoka jest stawka i jak bardzo go potrzebują, na pewno da się przekonać. Musi. Ale on wciąż odmawiał. Ta kropla przelała czarę goryczy.

Tom podkreślił głośność do maksimum.

— TY SUKINSYNU! — zagrzmiął, a dźwięk echem odbił się od ścian. Tachion drgnął i cofnął się o krok. — TY KOSMICZNA MIERNOTO, TY PIEPRZONY, ZASRANY TCHÓRZU! — Tachion zatoczył się w tył po schodach, ale Żółw sunął za nim, dudniąc głośnikami. — A WIĘC TO WSZYSTKO KŁAMSTWO, TAK? WSZYSTKO, CO PISALI W KOMIKSACH, W GAZETACH, WSZYSTKO TO KŁAMSTWA. PRZEZ CAŁE ŻYCIE LUDZIE MNIE BILI, WYZYWALI OD FRAJERÓW I TCHÓRZY, ALE WIESZ CO, TO TY JESTEŚ TCHÓRZEM, TY DUPKU, TY ZASRANY MIĘCZAKU, NAWET NIE CHCESZ SPRÓBOWAĆ, NIKT CIĘ NIE OBCHODZI, ANI TWOJA PRZYJACIÓŁKA, ANI KENNEDY, ANI ŚMIG, MASZ TE SWOJE PIERDOLONE MOCE, A MIMO TO JESTEŚ NIKIM, NIE CHCESZ NIC ZROBIĆ, JESTEŚ GORSZY NIŻ OSWALD I JACK BRAUN, I ONI WSZYSCY!

Tachion szedł chwiejnie po schodach, przyciskając ręce do uszu, wykrzykując coś niezrozumiałego, ale Tom już go nie słuchał. Jego gniew zaczął żyć własnym życiem. Wymierzył cios niewidzialną łapą, a głowa kosmity odskoczyła na bok, zaczerwieniona od ciosu.

— DUPEK! — wrzeszczał Tom. — TO TY SIEDZISZ W SKORUPIE!

Na Tachiona spadł grad niewidzialnych ciosów. Mężczyzna zatoczył się i upadł. Spróbował wstać, lecz znów runął na ziemię. Stoczył się po schodach. Ponownie chciał się podnieść, ale Tom go powalił i zrzucił na ulicę.

— DUPEK! TAK, UCIEKAJ, GNOJU! WYNOŚ SIĘ STĄD ALBO WRZUCĘ CIĘ DO RZEKI! UCIEKAJ, OFERMO, ZANIM WIELKI I POTĘŻNY ŻÓŁW NAPRAWDĘ SIĘ WKURZY! UCIEKAJ, DO CHOLERY! TO TY SIEDZISZ W SKORUPIE! TO TY SIEDZISZ W SKORUPIE!

I Tachion uciekł, mknąc na oślep od jednej latarni do drugiej, aż w końcu rozpląnął się w mroku. Tom Tudbury patrzył, jak znika na ekranach. Czuł się pokonany, dręczyły go mdłości, a głowę rozsadał ból. Chciał już tylko napić się piwa, albo wziąć aspirynę, albo jedno i drugie.

Gdy usłyszał syreny, podniósł Joeya i Desmonda, postawił ich na skorupie, zgasił światła i uniósł się w górę, wysoko w noc, w ciemność, i chłód, i ciszę.



Tej nocy Tachion spał snem potępionych, rzucając się jak w gorączce, płacząc, szlochając, co jakiś czas budząc się z koszmaru, by za chwilę wpaść w kolejny. Śniło mu się, że był znów na Takis, a jego zniechęcony kuzyn Zabb pochwalił się, że ma nową sekszabawkę, ale gdy ją przyprowadził, okazało się, że to Blythe, a Zabb zgwałcił ją na oczach Tachiona, który patrzył na to, nie mogąc nic zrobić. Blythe miotła się, przygnieciona ciałem napastnika, a krew spływała jej z ust i uszu, i pochwy, a potem zaczęła się zmieniać w tysiące dzokerów, każdy gorszy od poprzedniego, a Zabb gwałcił ich wszystkich, nie zważając na ich krzyki. Ale potem, gdy gwałciciel w końcu wstał znad zwłok, umazany krwią, okazało się, że zamiast oblicza kuzyna Tachion ujrzał swoje własne: zniszczoną, nalaną, prostacką twarz, podpuchnięte, zaczerwienione oczy, tłuste włosy, rysy zniekształcone przez alkoholową opuchliznę, a może przez któreś z luster w „Gabiniecie”.

Obudził się koło południa, słysząc rozdzierający płacz Maluszka. Nie mógł tego znieść. Powlókł się do okna, otworzył je i wrzasnął na olbrzyma, żeby było cicho, i zostawił go w spokoju, ale tamten wył dalej. Tyle bólu, poczucia winy, tyle wstydu. Czemu nie mogli zostawić go w spokoju? Nie potrafił już tego znieść. *Zamknij się, zamknij się, błagam*, i w końcu Tachion wrzasnął, sięgnął myślą, zanurkował w umysł Maluszka i kazał mu się zamknąć.

Cisza była ogłuszająca.



Najbliższy automat telefoniczny był w sklepie ze słodyczami na sąsiedniej przecznicy. Jacyś wandalę porwali książkę telefoniczną na strzępy. Wykręcił numer do informacji i dostał adres Xaviera Desmonda — Christie Street, całkiem niedaleko. Mieszkanie znajdowało się na trzecim piętrze nad sklepem z maskami. W budynku nie było windy. Gdy dotarł na miejsce, z trudem łapał oddech.

Zapukał pięć razy, nim Des w końcu otworzył.

— To ty? — powiedział tylko.

— Żółw! — wykrztusił Tachion. W ustach miał całkiem sucho. — Udało mu się czegoś dowiedzieć?

— Nie — odparł Desmond. Trąba mu zadrgała. — Ciągle ta sama śpiewka. Teraz już się na nim poznali i wiedzą, że ich nie upuści. Przejrzeli jego blef. Nic już nie może zrobić, chyba żeby faktycznie kogoś zabił.

— Powiedz, kogo mam spytać?

— Ty?

Tachion nie mógł spojrzeć dzokerowi w oczy, więc tylko skinął głową.

— Tylko coś narzucę — odparł Desmond. Wynurzył się z mieszkania, opatulony w ciepły płaszcz. W rękę trzymał futrzaną czapkę i podniszczony, beżowy prochowiec. — Schowaj włosy pod czapkę — polecił Tachionowi — i zostaw tu ten idiotyczny płaszcz. Nie chcemy, żeby cię rozpoznali.

Przy wyjściu Des wszedł do sklepu z maskami i zakupił niezbędne akcesoria.

— Kurczątko? — spytał Tachion, gdy dzoker podał mu maskę. Miała jaskrawożółte pierze, pomarańczowy dziób i obwisły, czerwony grzebyk.

— Gdy tylko ją zobaczyłem, od razu pomyślałem o tobie — odparł Des. — Zakładaj.

Duży dźwig wjeżdżał właśnie na Chatham Square, by zdjąć radiowozy z dachu „Cudaków”. Klub był otwarty. Bramkarzem był bezwłosy ponaddwumetrowy dzoker z wystającymi kłami. Chwycił Desa za ramię, gdy próbowali przejść pomiędzy neonowymi udami sześciopiersiastej tancerki wijącej się nad wejściem.

— Dżokerom wstęp wzbroniony — oznajmił krótko. — Spadaj stąd, trębaczu.

Po prostu chwyć jego umysł i przejmij kontrolę — pomyślał Tachion. Kiedyś, zanim utracił Blythe, zrobiłby to instynktownie. Ale teraz się zawahał, a potem było już za późno.

Des sięgnął do tylnej kieszeni, wyjął portfel i wyciągnął z niego pięćdziesiątkę.

— Patrzyłeś, jak ściągają te radiowozy — powiedział. — Nie widziałeś, jak wchodziłem.

— Się rozumie! — odparł bramkarz. Banknot zniknął w szponiastej łapie. — Cholernie ciekawe te dźwigi.

— Czasami pieniądze mają najpotężniejszą moc — stwierdził Des, wchodząc do olbrzymiej, słabo oświetlonej sali. Nieliczni o tej porze bywalcy zajadali darmowy lunch i patrzyli na striptizerkę spacerującą po wybiegu ogrodzonym drutem kolczastym. Była porośnięta jedwabistym, szarym włosiem, nie licząc piersi, które ogolono do naga. Desmons przesunął wzrokiem po łóżach przy przeciwległej ścianie. Wziął Tachiona za ramię i zaprowadził do ciemnego kąta, gdzie siedział mężczyzna w marynarskiej kurtce, popijając z kufła.

— Od kiedy wpuszczają tu dzokerów? — burknął na ich widok. Twarz miał ponurą i dziobatą.

Tachion wszedł w jego umysł. *Kurwa co to ma być ten słoń jest z gabinetu a ten drugi nie wiem cholerni dzokerzy mają tupet.*

— Gdzie Bannister trzyma Anielską Buzię?

— Buzia to ta zdzira z „Gabinetu”, tak? Nie znam żadnego Bannistera. Spierdalaj, dzokerze, nie będę z tobą gadać.

W jego myślach Tachion zobaczył pękające lustra, srebrne noże, poczuł cios Mała, zobaczył, jak bramkarz sięga po broń, a potem, jak miota się trafiony pociskami. Usłyszał łagodny głos Bannistera każącego im zabić Ruth, zobaczył magazyn nad brzegiem rzeki, gdzie ją zawieźli, jaskrawe sińce na ramionach, za które ją trzymali, poczuł smak strachu tego człowieka, lęku przed dzokerami, przed Bannisterem, przed *nimi*. Wyciągnął rękę i złapał Desmonda za ramię.

Dzoker odwrócił się, by odejść.

— Hej, nie ruszać się! — Dziobaty mężczyzna machnął legitymacją i wyszedł z łoży. — Wydział do spraw Narkotyków — oznajmił. — A ty, przyjacielu, najwyraźniej zaćpałeś, skoro zadajesz takie pytania. — Des stał nieruchomo, pozwalając się obszukać. — Spójrzcie na to — wycodził tajniak, wyciągając mu z kieszeni torebkę białego proszku. — Ciekawe, co to? Jesteś aresztowany, cudaku.

— To nie moje — powiedział spokojnie Des.

— Jasne, jasne — odparł mężczyzna, a jego myśli biegły coraz szybciej. *Mały wypadek podczas aresztowania komu to przeszkadza? Dżokerzy będą wrzeszczeć ale kto ich posłucha tylko co mam zrobić z tym drugim?* — zerknął na Tachiona. *Rany jak ten kurak się trzęsie może on naprawdę ćpa to by było ekstra.*

Tachion zdał sobie sprawę, że nadszedł moment prawdy.

Nie był pewien, czy zdoła to zrobić ponownie. Wtedy z Maluszkciem zadziałał instynktownie, ale teraz zdążył się rozbudzić i był w pełni świadomy. Kiedyś było to takie łatwe, tak łatwe jak korzystanie z rąk. Ale teraz ręce mu się trzęsły i była na nich krew, na rękach i na umyśle... Pomyślał o Blythe, o tym, jak jej umysł rozpadł mu się w dłoniach jak lustro w „Gabiniecie” i przez chwilę nic się nie działo, aż w końcu strach chwycił go za gardło, a w ustach rozszedł się znajomy smak porażki.

Potem dziobaty mężczyzna uśmiechnął się głupkowato, usiadł w łoży, oparł głowę na stole i zasnął jak dziecko.

Des spojrzał na niego, zupełnie zbity z tropu.

— Twoja sprawka?

Tachion skinął głową.

— Ty drżysz. Wszystko w porządku, doktorze?

— Chyba tak — odparł Takizjanin. Policjant zachrapał głośno. — Wszystko w porządku, Des. Po raz pierwszy od lat. — Spojrzał dzokerowi w twarz, nie zwracając uwagi na jego kaleką powierzchowność, patrzył prosto na ukrytego pod nią człowieka. — Wiem, gdzie ją trzymają. — Ruszyli do wyjścia. W klatce na scenie tańczył teraz piersiasty, brodaty hermafrodyta. — Musimy działać szybko.

— W godzinę mogę zorganizować dwudziestu ludzi.

— Nie — zaprotestował Tachion. — To miejsce leży poza Dżokerowem.

Des zatrzymał się z ręką na kłamce.

— Rozumiem. A poza tą dzielnicą dzokerzy i ludzie w maskach bardzo przyciągają uwagę, prawda?

— Tak właśnie — zgodził się Tachion. Nie wspomniał o drugiej rzeczy, która go niepokoiła. Jeśli dzokerzy wystąpiliby przeciw policji, spotkałby ich krwawy odwet, nawet jeśli poszłoby o takie szumowiny jak Bannister i jego klika. Zamierzał wziąć na siebie to ryzyko, bo nie miał nic do stracenia, ale nie mógł narażać innych. — Możesz skontaktować się z Żółwiem?

— Mogę cię do niego zabrać. Tylko kiedy?

— Teraz — odparł Tachion.

Za godzinę czy dwie śpiący policjant pewnie się obudzi, a wtedy pójdzie prosto do Bannistera. I co mu powie? Że Des i facet w kurzej masce zadawali niewygodne pytania i już miał ich aresztować, ale nagle zrobił się strasznie senny? Odważy się do tego przyznać? A jeśli tak, to jak zareaguje Bannister? Przeniesie Buzię gdzie indziej? Zabije? Nie mogli ryzykować.

Gdy wyszli z ciemnego wnętrza, dźwig właśnie opuszczał na chodnik drugi radiowóz. Dął zimny wiatr, a Tachion odkrył, że pod kurzą maską twarz ma całkiem spoconą.



Tom Tudbury obudził się, słysząc stłumiony łoskot. Ktoś pukał w skorupę.

Odrzucił wystrzępiony koc i uderzył się w głowę, próbując wstać.

— Cholera jasna! — zaklął, macając po ciemku, aż w końcu natrafił na włącznik światła. Walenie nie ustawało, uderzenia niosły się głuchym echem, bummm, bummm, bummm. Tom poczuł ukłucie paniki. *Policja* — pomyślał — *w końcu mnie znaleźli. A teraz mnie wywleką, aresztują i postawią zarzuty.* Głowa go bolała, w skorupie było zimno i duszno. Włączył

ogrzewanie, wentylatory i kamery. Ekran yżyły.

Na zewnątrz był jasny, grudniowy dzień. W promieniach słońca wyraźnie widać było każdą brudną cegłę. Joey wrócił pociągiem do Bayonne, ale Tom został. Zaczynało im brakować czasu. Des znalazł mu bezpieczną kryjówkę, zamknięte podwórko w głębi Dżokerowa, ze wszystkich stron otoczone zrujnowanymi kamienicami; bruk był przesiąknięty zapachem ścieków, ale za to podwórka nie było widać od strony ulicy. Gdy wylądował, tuż przed świtem, w kilku ciemnych oknach zapłonęły na chwilę światła, a zza rolet ostrożnie zerknęły twarze: zmęczone, czujne, nie do końca ludzkie. Mignęły i zniknęły, gdy tylko uznały, że to, co znalazło się na podwórku, nie powinno ich obchodzić.

Ziewając, Tom usiadł na fotelu i zaczął ustawiać kamery, aż w końcu namierzył źródło hałasu. Des stał przy otwartych drzwiach do piwnicy, z rękami założonymi na piersiach, podczas gdy doktor Tachion walił w skorupę kijem od miotły.

Zaskoczony, włączył mikrofon.

— TO TY?

Tachion drgnął.

— Proszę...

Tom przekręcił gałkę.

— Wybacz. Zaskoczyłeś mnie. Nie sądziłem, że jeszcze cię zobaczę. Po wczorajszym... Nie zrobiłem ci krzywdy, prawda? Nie chciałem, zamierzałem tylko...

— Rozumiem — przerwał Tachion. — Ale nie ma teraz czasu na przeprosiny.

Des zaczął uciekać w górę. Niech szlag trafi tę synchronizację pionową.

— Wiemy, gdzie ją trzymają — oznajmił džoker, gdy jego obraz przeskoczył w górę. — To znaczy, o ile doktor Tachion rzeczywiście umie czytać w myślach.

— Gdzie? — spytał Tom. Des wciąż przeskakiwał.

— W magazynie nad Hudsonem — odparł Tachion. — Nieopodal pirsu. Nie mogę podać adresu, ale widziałem to miejsce w jego myślach. Na pewno je rozpoznam.

— Świetnie! — wykrzyknął Tom. Przestał kręcić gałką i po prostu walnął w ekran. Obraz znieruchomiał. — A zatem mamy ich. Lecimy! — Wyras twarzy Tachiona trochę go zaskoczył. — Idziesz z nami, prawda?

Tachion przełknął ślinę.

— Tak — odparł pospiesznie, po czym włożył maskę.

Tom poczuł ulgę. Przez chwilę obawiał się, że będzie musiał to zrobić sam.

— Wskakuj — powiedział tylko.

Z westchnieniem rezygnacji kosmita wspiął się na wierzchołek skorupy. Buty ślizgały mu się po pancerzu. Tom mocno chwycił podłokietniki i wybił się w górę. Skorupa poszybowała niczym bańka mydlana. Tom był pijany radością. Pomyślał, że do tego właśnie został stworzony. Tak musiał się czuć Śmig.

Joey zainstalował w skorupie monstrualny klakson. Tom nacisnął go z całej siły, gdy lecieli ponad dachami domów, spłoszył stado gołębi i kilku lumpów, wygrywając charakterystyczny rytm. *Oto gnam na ratunek waaaam!*

— Może powinniśmy działać bardziej subtelnie — zauważył dyplomatycznie Tachion.

Tom wybuchnął śmiechem.

— No, nie wierzę. Wiozę na pokładzie faceta z kosmosu ubranego jak Pinky Lee, i to on

mnie poucza, jak być subtelnym. — Znów się zaśmiał, wylatując w górę, ponad ulicę Dżokerowa.



Ostatni odcinek przebyli, klucząc przez labirynt zaułków na nabrzeżu. Ostatnia uliczka okazała się ślepa; kończyła się ceglany murem upstrzonym nazwami gangów i inicjałami kochanków. Żółw przeleciał ponad tą przeszkodą i znaleźli się w doku załadunkowym na tyłach magazynu. Na skraju siedział mężczyzna w skórzanej kurtce. Widząc nadlatujący pojazd, skoczył na nogi. Skok okazał się znacznie wyższy, niż przewidywał... o jakieś trzy metry. Otworzył usta, ale nim zdążył krzyknąć, Tachion już go chwycił. Strażnik zasnął w powietrzu. Żółw położył go na dachu pobliskiego domu.

W pobliżu były cztery wielkie hale załadunkowe, wszystkie zamknięte na kłódki i łańcuchy. Na drzwiach z blachy falistej widać było smugi rdzy. Napis na wąskich drzwiach z boku głosił NIEUPOWAŻNIONYM WSTĘP WZBRONIONY.

Tachion zeskoczył, lądując lekko na palcach. Nerwy wibrowały mu jak druty pod napięciem.

— Utoruję przejście — powiedział. — Daj mi minutę, a potem idź za mną.

— Masz minutę — odpowiedziały głośniki.

Tachion zdjął buty i uchylił drzwi, ostrożnie, tylko o włos, po czym wślizgnął się do środka, w purpurowych skarpetkach, przywołując na pomoc całą zwinność i grację, której kiedyś uczyli go na Takis. W środku stały bele pociętego papieru ciasno owinięte drutem, wysokie na sześć, dziewięć metrów. Drogę blokował wielki, żółty wózek widłowy. Tachion padł płasko i przeczołgał się dołem, po czym wyjrzał zza grubej opony.

Naliczył pięciu. Dwóch grało w karty, siedząc na rozkładanych krzesłach. Groteskowo otęły mężczyzna majstrował przy olbrzymiej niszczarce przy przeciwległej ścianie. Pozostali dwaj stali przy długim stole, gdzie ustawiono schludne rządki torebek wypełnionych białym proszkiem. Wysoki mężczyzna we flanelowej koszuli odważał coś na wadze aptekarskiej. Pracę nadzorował szczupły, łysiejący mężczyzna w drogim płaszczu przeciwdeszczowym. W ręku trzymał papierosa, głos miał łagodny i delikatny, ale Tachion nie słyszał, co mówi. Nigdzie nie było widać Anielskiej Buzi.

Zanurkował w rynsztoku wypełniającym umysł Bannistera i wtedy ją zobaczył. Pomiędzy niszczarką a belownicą. Nie widział jej spod wózka, bo zasłaniały ją maszyny, ale na pewno tam była. Leżała na brudnym materacu rzuconym na cementową podłogę. Kostki miała spuchnięte i zakrwawione w miejscu, gdzie obtarły ją kajdanki.



— ...pięćdziesiąt osiem hipopotamów, pięćdziesiąt dziewięć hipopotamów, sześćdziesiąt hipopotamów — liczył Tom.

Hale załadunkowe były dostatecznie duże. Nacisnął i kłódka rozpadła się na płyty rdzy i kawałki metalu. Łańcuchy upadły z brzękiem, a drzwi pojechały w górę, aż jęknęły zardzewiałe szyny. Tom włączył wszystkie reflektory i posłał skorupę naprzód. Wewnątrz drogę zagrodziły mu sterty papieru. Nie mógł ich ominąć. Popchnął je mocno, ale gdy zaczęły się walić, zrozumiał, że może przelecieć nad nimi. Wzbił się do sufitu.



— Co jest, kurwa? — wykrzyknął jeden z graczy, gdy rozległ się zgrzyt otwieranych drzwi.

W mgnieniu oka wszyscy rzucili się biegiem. Obaj gracze zerwali się z miejsc, jeden wyciągnął pistolet. Mężczyzna we flaneli spojrzał na nich znad wagi. Grubas odwrócił się od niszczarki i coś krzyknął, ale nie było go słyhać. Pod przeciwległą ścianą runęły bele papieru, wpadając na sąsiednie stopy, wyzwalając reakcję łańcuchową, która rozprzestrzeniła się po całym magazynie.

Bannister bez wahania rzucił się w stronę Anielskiej Buzi. Tachion chwycił jego umysł i zatrzymał go w pół kroku z na wpół dobytym rewolwerem.

Potem kilkanaście bali papieru runęło na tył wózka. Pojazd przesunął się w miejscu, miażdżąc dłoń Tachiona pod wielką, grubą oponą. Kosmita wrzasnął z bólu i puścił Bannistera.



W dole strzelało do niego dwóch ludzi. Pierwszy strzał tak go zaskoczył, że skorupa opadła o cztery stopy, zanim znów ją opanował. A potem odkrył, że naboje nieszkodliwie odbijają się od pancerza, rykoszetując po całym magazynie. Tom aż się uśmiechnął.

— JESTEM ŻÓŁW, WIELKI I POTĘŻNY — oznajmił, podkreślając głośność na pełny regulator i patrząc na walące się stopy papieru. — SŁUCHAJCIE, DUPKI, WPADLIŚCIE PO USZY W GÓWNO! PODDAJCIE SIĘ NATYCHMIAST!

Najbliższy z dupków nie zamierzał się poddać. Znów wypalił i jeden z ekranów Toma zgasł.

— O KURWA! — krzyknął Tom, zapominając wyłączyć mikrofon. Chwycił faceta za rękę i wyrwał mu broń. Sądząc po krzykach bólu, prawdopodobnie wyrwał mu kończynę ze stawu. Będzie musiał na to uważać. Drugi rzucił się biegiem, przeskakując przed zwalone bele. Tom złapał go w locie, podniósł pod sufit i powiesił na krokwi. Zerkał z ekranu na ekran, ale jeden nie działał, a w sąsiednim, niech to cholera, znów nawaliła synchronizacja pionowa, więc nie widział nic z tamtej strony. Nie miał czasu tego naprawiać. Na głównym ekranie zobaczył, jak jakiś facet we flaneli ładuje woreczki do walizki. Kątem oka dostrzegł też grubasa wspinającego się na wózek widłowy...



Z ręką uwięzioną pod kołem wózka Tachion miotał się z bólu, próbując nie krzyczeć. Bannister... Musiał go powstrzymać, zanim tamten dotrze do swojej ofiary. Zaciśnął zęby, próbując pokonać ból, zebrać go w jednym miejscu i odepchnąć jak piłkę, tak jak go uczono, ale to było trudne, a on odwykł od dyscypliny. Czuł, że ma zmiażdżone kości. Łzy napłynęły mu do oczu. Usłyszał ryk silnika i nagle wózek ruszył naprzód, przetoczył się po jego ręce, zmierzając w stronę jego głowy. Bieżnik masywnej opony był jak czarna ściana śmierci, pędził wprost na niego... i minął jego głowę o centymetr, wzbijając się w powietrze.



Wózek przeleciał przez cały magazyn i wbił się w ścianę z drobną pomocą Wielkiego i Potężnego Żółwia. Grubas zeskoczył z niego i wylądował na stercie książek bez okładek. Dopiero wtedy Tom zauważył Tachiona leżącego na podłodze w tym samym miejscu, gdzie

jeszcze przed chwilą znajdował się wózek. Ręka doktora zginała się pod dziwnym kątem, a kurza maska była brudna i zniszczona. Z trudem dźwignął się na nogi, krzyząc coś niezrozumiałego, a potem rzucił się biegiem. Dokąd mu było tak spieszo?

Tom zmarszczył brwi i walnął na odlew szwankujący ekran. Obraz nagle przestał się przesuwać, przez chwilę wszystko wokół widać było jasno i wyraźnie. Mężczyzna w przeciwdeszczowym płaszczu pochylony nad kobietą leżącą na materacu. Była naprawdę ładna i dziwnie się uśmiechała, smutno, ale jakby z akceptacją, gdy bandyta przyłożył jej rewolwer do głowy.



Tachion obiegł niszczarkę. Czuł, że kostki ma jak z gumy, cały świat stał się czerwoną plamą, połamane kości szczękały o siebie przy każdym kroku. W końcu ich zobaczył. Bannister lekko dotykał jej lufą rewolweru. Skóra na czole już pociemniała w miejscu, gdzie za chwilę miał wylądować pocisk. Przez łzy, w ostatnim porywie rozpaczy, Tachion rzucił się naprzód, odnalazł umysł Bannistera i chwycił. W tej samej chwili, gdy mężczyzna pociągnął za spust, Tachion odruchowo skrzywił się, czując ból ręki przy odrzucie. Usłyszał wybuch z dwóch miejsc naraz.

— Neeeeeeeeeee! — wrzasnął. Zamknął oczy i padł na kolana. Kazał Bannisterowi odrzucić broń, jakby to miało cokolwiek zmienić. Przybył za późno, znów za późno, znowu zawiódł. Anielska Buzia, Blythe, jego siostra, wszystkie kobiety, które kochał, odeszły. Zgiął się wpół i upadł na podłogę, a umysł wypełniły mu obrazy pękniętych lusterek i baletu weselnego tańczonego we krwi i bólu. To była jego ostatnia myśl, nim ogarnął go mrok.



Obudził się, czując ostry zapach szpitala i szorstki dotyk poduszki, sztywnej od krochmalu. Otworzył oczy.

— Des... — wykrztusił słabo. Próbował usiąść, ale coś go trzymało. Cały świat był rozmazany i niewyraźny.

— Jesteś na wyciągu, doktorze — wyjaśnił Des. — Złamałeś przedramię w dwóch miejscach, a z dłonią jest jeszcze gorzej.

— Tak mi przykro. — Tachion chciał się rozplakać, ale już brakowało mu łez. — Tak mi przykro... Próbowaliśmy, ja... Tak mi przykro....

— Taki... — powiedział łagodny, gardłowy głos.

A potem ją zobaczył, stała nad nim ubrana w szpitalny fartuch. Czarne włosy opadały na policzki uśmiechniętej twarzy; uczesała je tak, by zasłonić czoło, gdzie pod grzywką rozlewała się ohydna purpurowo-zielona plama. Skóra wokół oczu była zaczerwieniona. Przez chwilę myślał, że nie żyje, postradał rozum albo śni.

— Wszystko w porządku, Taki. Tu jestem. Nic mi nie jest.

Spojrzał na nią martwym wzrokiem.

— Przecież ty nie żyjesz. Spóźniłem się. Słyszałem strzał. Już go trzymałem, ale było za późno. Czułem odrzut broni.

— A poczułeś, jak drgnęła?

— Drgnęła?

— O kilka centymetrów, nie więcej. W tej samej chwili, gdy strzelił. Proch mnie poparzył, ale pocisk wbił się w materac, o stopę od mojej głowy.

— Żółw — wykrztusił Tachion.

Skinęła głową.

— Odrzucił rewolwer w tej samej chwili, gdy Bannister nacisnął spust. A ty kazałeś mu odrzucić broń, zanim ten sukinsyn zdołał wymierzyć następny strzał.

— Schwytałeś tych drani — dodał Des. — W całym tym zamieszaniu kilku zdołało uciec, ale Żółw dostarczył policji trzech, w tym Bannistera i walizkę zawierającą dwadzieścia funtów czystej heroiny. A do tego okazało się, że magazyn należał do mafii.

— Mafii?

— Zorganizowanej grupy przestępczej, doktorze.

— Jeden z ludzi schwytanych podczas akcji już zgodził się zeznawać — dodała Buzia. — Opowie o wszystkim: łapówkach, narkotykach i o morderstwach w „Gabiniecie”.

— Może nawet przyślą nam do Dżokerowa jakąś sensowną policję — rozmarzył się Des.

Tachion poczuł, że zalewa go uczucie potężniejsze od ulgi. Chciał im podziękować, chciał się rozplakać, ale nie mógł wydobyć z siebie ani łez, ani słów. Był słaby ze szczęścia.

— A zatem nie zawiodłem cię — wymamrotał tylko.

— Nie — odparła Anielica. — Des, mógłbyś zaczekać na zewnątrz?

Gdy zostali sami, usiadła na brzegu łóżka.

— Chciałam ci coś pokazać. Powinna była to zrobić już dawno. — Podesunęła Tachionowi złoty medalion. — Otwórz go.

Trudno było to zrobić jedną ręką, ale jakoś mu się udało. W środku znajdowało się zdjęcie starszej kobiety leżącej w łóżku. Kończyny miała chude jak szkielet i zasuszone niczym patyki obleczone nakrapianą skórą, a twarz groteskowo zdeformowaną.

— Co jej się stało? — spytał, choć bał się odpowiedzi. Kolejna dżokerka, kolejna ofiara jego porażki.

Anielska Buzia spojrzała na starą, kaleką kobietę, westchnęła i z trzaskiem zamknęła medalion.

— Gdy miała cztery lata, bawiła się przed domem we włoskiej dzielnicy i spotkał ją tragiczny wypadek. Podeptał ją koń, a jadący za nim wóz zmiażdżył jej kręgosłup. To było, hmm, w 1886 roku. Dziewczynka została całkowicie sparaliżowana, ale przeżyła... jeśli można to nazwać życiem. Kolejne sześćdziesiąt lat spędziła w łóżku, gdzie ją karmiono, myto i czytano jej do snu. Nie miała żadnego towarzystwa, nie licząc zakonnicy. Czasem chciała po prostu umrzeć. Często marzyła, że jest piękna, pożądana i kochana, że może tańczyć i czuć dotyk różnych rzeczy. Och, jak bardzo chciała coś poczuć. — Uśmiechnęła się. — Powinna ci już dawno podziękować, wiesz, Taki? Bardzo trudno mi pokazywać to zdjęcie. Ale jestem ci wdzięczna, a teraz mam u ciebie podwójny dług. Nigdy nie będziesz musiał płacić za drinka w „Gabiniecie”.

Zagapił się na nią.

— Nie chcę — wykrztusił. — Już nie. Koniec z pićm.

I wiedział, że mówi szczerze: jeśli ona była w stanie żyć ze swoim bólem, to jakim prawem on marnował swoje życie i zdolności?

— Buzio, posłuchaj — dodał impulsywnie. — Mogę ci wyprodukować coś lepszego niż

heroina. Kiedyś byłem... Jestem biochemikiem, na Takis mamy różne farmaceutyki, potrafię je zsyntetyzować. Preparaty przeciwbólowe, blokujące receptory bólowe. Jeśli pozwolisz mi przeprowadzić kilka testów, może zdołam dopasować coś do twojego metabolizmu. Oczywiście, będę potrzebował laboratorium. Wyposażenie będzie kosztowne, ale sam lek da się wyprodukować za drobniaki.

— Mam pieniądze — odparła kobieta. — Sprzedaję „Gabinet” Desowi. Ale to, o czym mówisz, jest nielegalne.

— Do diabła z głupim prawem! — uniósł się Tachion. — Jeśli ty nic nie powiesz, to ja też nie powiem.

Słowa zaczęły wylewać się z niego strumieniem: plany, marzenia, nadzieje, wszystkie te rzeczy, które utracił lub utopił w koniaku i paliwie do kuchenek, a Anielska Buzia patrzyła na niego z uśmiechem, zaskoczona. Gdy działanie leków ustało i ramię zaczęło mu ćmić bólem, Tachion przypomniał sobie stare techniki i odesłał ból w nicość. Miał wrażenie, że wraz z nimi zniknęła rozpacz i trochę poczucia winy. Teraz znów był sobą.



Nagłówek głosił: ŻÓŁW I TACHION LIKWIDUJĄ HEROINOWY GANG. Tom właśnie wklejał wycinek do albumu, gdy Joey wrócił, niosąc piwo.

— Zapomnieli dodać „Wielki i Potężny” — zauważył Joey, stawiając butelkę przy łokciu przyjaciela.

— Przynajmniej wymienili mnie na pierwszym miejscu — odparł Tom. Serwetką otarł klej z palców i odsunął album. Pod spodem leżało kilka schematycznych rysunków przedstawiających skorupy.

— A teraz zastanówmy się — dodał. — Gdzie, do ciężkiej cholery, zmieścimy gramofon?



Interludium 2

za: *Klinika w Dżokerowie:
planowane otwarcie w Dzień Dzikiej Karty*
„New York Times”, 1 września 1966 r.

Doktor Tachion, naukowiec z planety Takis, ogłosił wczoraj planowane otwarcie prywatnego szpitala badawczego specjalizującego się w leczeniu ofiar wirusa dzikiej karty. Doktor Tachion, który swego czasu pomagał w pracach nad uzyskaniem wirusa, zostanie szefem nowo otwartej placówki, która znajdzie się na Ulicy Południowej nad rzeką East River.

Placówka będzie działać pod nazwą „Klinika Pamięci Blythe van Renssaeler”. Blythe Stanhope van Renssaeler, członkini grupy Egzotyczni Demokraci w latach 1947-1950, znana jako „Lokata”, zmarła w 1953 roku w Sanatorium Wittier.

Klinika van Renssaeler otworzy drzwi dla pacjentów 15 września, w dwudziestą rocznicę wybuchu epidemii wirusa dzikiej karty. Szpital będzie oferował zarówno pomoc doraźną, jak i opiekę psychologiczną. „Zamierzamy służyć pomocą zarówno okolicznym mieszkańcom, jak i całemu miastu — powiedział doktor Tachion podczas popołudniowej konferencji na schodach do Mauzoleum Śmiga — ale priorytetową sprawą będzie roztaczanie opieki nad tymi, którym zbyt długo jej odmawiano. Mam tu na myśli dżokerów, których wyjątkowe i często rozpaczliwe potrzeby tak długo ignorowano w publicznych szpitalach. Dziką kartę zagrano dwadzieścia lat temu. To skandal i hańba, że do tej pory utrzymuje się tak niski stan wiedzy na temat tego wirusa”.

Doktor Tachion dodał, że chciałby uczynić Klinikę van Renssaeler głównym centrum badań nad dziką kartą i pionierem w dziedzinie opracowania antidotum na dziką kartę, zwanego „wirusem atutu”.

Klinika znajdzie się w historycznym budynku na brzegu rzeki, oryginalnie wybudowanym w 1874 roku. W latach 1888-1913 mieścił się tam hotel znany jako „Przystań marynarza”. Od 1913 do 1942 roku był to Przytułek Serca Jezusowego dla Upadłych Dziewcząt, a następnie urządzono tam tani pensjonat.

Doktor Tachion ogłosił, że zakup budynku i remont wnętrza zostanie sfinansowany za pomocą grantu od bostońskiej Fundacji Stanhope, której przewodniczącym jest George C. Stanhope, ojciec zmarłej pani van Renssaeler. „Gdyby Blythe dziś żyła, z całą pewnością byłaby szczęśliwa, mogąc pracować u boku doktora Tachiona”, powiedział Stanhope.

Prace w klinice z początku mają być finansowane z opłat prywatnych dotacji, ale doktor Tachion ujawnił, że niedawno powrócił z Waszyngtonu, gdzie prowadził na ten temat rozmowy z wiceprezydentem Hubertem H. Humphreym. Źródła bliskie otoczeniu prezydenta donoszą, że jego administracja rozważa częściowe sfinansowanie kliniki w Dżokerowie za pośrednictwem placówek Senackiej Komisji do spraw Asów i Zasobów Analogicznych (SKAZA).

Zgromadzony tłum, liczący około pięciuset osób, wśród których znalazło się wiele ofiar dzikiej karty, powitał oświadczenie doktora Tachiona entuzjastyczną owacją.



Długa, mroczna noc Fortunata

LEWIS SHINER

Przez cały czas myślał tylko o jednym: o tym, jaka była piękna, kiedy jeszcze żyła.

— Muszę zapytać, czy rozpoznaje pan zwłoki — powiedział przedstawiciel koronera.

— To ona — odparł Fortunato.

— Nazwisko?

— Erika Naylor. Erika, przez „k”.

— Adres?

— Park Avenue szesnaście.

Mężczyzna zagwizdał.

— Wysokie sfery. Jakaś rodzina?

— Nie wiem. Pochodziła z Minneapolis.

— Tak, one wszystkie są stamtąd. Może prowadzą tam jakąś akademię dla dziwek?

Fortunato spojrział sponad rozszarpanego gardła dziewczyny, żeby koroner zobaczył jego wzrok.

— Erika nie była dziwką.

— Jasne — odparł lekceważąco mężczyzna, ale cofnął się o krok i spojrział do segregatora.
— To wpiszę „modelka”.

Gejsza — pomyślał Fortunato. Erika była jego gejszą. Bystra, piękna, z poczuciem humoru, umiała gotować i robić masaże. Była świetnym, nielicencjonowanym psychologiem, a do tego okazała się twórcza i zmysłowa w łóżku.

W ciągu ostatniego roku trzy z jego dziewcząt znaleziono pocięte na kawałki.



Wyszedł na ulicę, wiedząc, że źle wygląda. Miał metr dziewięćdziesiąt wzrostu, był chudy jakby ćpał metaamfetaminę, a gdy się garbił, klatka piersiowa zdawała się znikać pod kręgosłupem. Lenora czekała na niego, otulona sztucznym czarnym futrem, chociaż w końcu wyszło słońce. Natychmiast wsadziła go do taksówki i podała kierowcy swój adres na Zachodniej dziewiętnaście.

Fortunato spoglądał przez okno na długowłose dziewczęta w haftowanych dzinsach, na psychodeliczne plakaty w witrynach sklepów i rysunki wykonane na chodnikach kolorową kredą. Była prawie Wielkanoc, dwa lata po Lecie Miłości, ale świat zdawał mu się zimny jak kafelki na podłodze w kostnicy.

Lenora ujęła jego dłoń i ścisnęła. Fortunato odchylił się na oparcie i zamknął oczy.

Była u nich nowa. Jedna z jego dziewcząt uratowała ją z rąk brooklyńskiego alfonsa zwanego Willie Młotek, a Fortunato zapłacił za jej „kontrakt” pięć tysięcy dolarów. Wszyscy wiedzieli, że gdyby Willie odmówił, Fortunato zapłaciłby te pięć tysięcy, żeby ktoś go sprzątnął — tyle wynosiła rynkowa wartość ludzkiego życia.

Willie pracował dla rodziny Gambione, a Fortunato już od dawna miał z nimi na pieńku. Był czarny — w każdym razie półczarny — i niezależny, i samo to zapewniało mu poczesne miejsce w paranoicznych fantazjach Don Carla, który bardziej od czarnoskórych nienawidził chyba tylko dżokerów.

Fortunato chętnie przypisałby mu te morderstwa, gdyby nie jedna rzecz: Don Carlo za bardzo pożałował biznesu Fortunata, by atakować same dziewczyny.

Lenora pochodziła z jakiejś zapadłej dziury w górach Wirginii, gdzie ludzie wciąż mówili Szekspirem. Willie zatrudnił ją przez miesiąc — zbyt krótko, by zaszkodzić jej urodzie. Miała ciemnorude włosy sięgające do pasa, neonowo zielone oczy i małe, prawie delikatne usta. Zawsze ubierała się na czarno i wierzyła, że jest czarownicą.

Gdy Fortunato przesłuchiwał ją w sprawie pracy, bardzo poruszył go jej entuzjazm, całkowite pogrążenie w swej cielesności, tak bardzo kontrastujące z jej chłodnym, wytwornym wizerunkiem. Przyjął ją na szkolenie i teraz uczyła się u niego od trzech tygodni, tylko od czasu do czasu zaliczając jakiś numerek. Przebycie drogi od zdolnej nowicjuszki do młodej gejszy miało zająć przynajmniej dwa lata.

Zaprowadziła go do mieszkania i zatrzymała się z kluczem w drzwiach.

— Eee... mam nadzieję, że nie będzie to zbyt dziwaczne.

Stał w korytarzu, podczas gdy ona chodziła po pokoju, zapalając świece. Okna zasłaniały ciężkie zasłony, nigdzie nie widział też żadnych urządzeń, nie licząc telefonu — ani telewizora, ani zegarów, nie było nawet tosterów. Pośrodku podłogi wymalowała wielki pentagram wpisany w okrąg, wprost na deskach podłogi. W głębi zmysłowych woni kadzidła i piżma przebijał zapach siarczanów, jak w laboratorium chemicznym.

Zamknął drzwi i poszedł za nią do sypialni. Atmosfera w mieszkaniu była tak zmysłowa, że aż gęsta. Z trudem brnął po ciężkim dywanie koloru wina, zmierzając w kierunku łóżka z baldachimem, zasłoniętego czerwonymi portierami. Znajdowało się tak wysoko, że należało do niego wchodzić po schodkach.

Lenora podniosła z szafki jointa, zapaliła i podała Fortunatowi.

— Zaraz wrócę — obiecała.

Mężczyzna zdjął ubranie i położył się z rękami za głową, pozwalając, by joint zwisał w kącie ust. Zaciągnął się dymem i rozluźnił palce u nóg. Sufit miał kolor głębokiego błękitu, fosforyzującą, zieloną farbą naniesiono na niego kilka schematycznych konstelacji. Podejrzewał, że to znaki zodiaku. Magia i astrologia były teraz bardzo modne — ludzie na imprezach bohemy bez przerwy pytali się nawzajem o znaki i rozmawiali o karmie. Jego zdaniem całe to nadejście Ery Wodnika stanowiło tylko pobożne życzenie. Nixon wciąż zasiadał w Białym Domu, amerykańskie dzieciaki strzelały do ludzi w Azji Południowej, a on codziennie słyszał, jak ktoś woła za nim „czarnuch”. Ale miał klientów, którzy poczuliby się tu jak w raj.

Chyba że ten psychopata z nożem wcześniej doprowadziłby go do bankructwa.

Lenora uklękła przy nim na łóżku, naga.

— Masz piękną skórę — powiedziała, przesuwając palcem po jego piersi, aż wystąpiła mu gęsia skórka. — Nigdy wcześniej nie widziałam takiego koloru. — Gdy nie odpowiedział, dodała: — Słyszałam, że twoja matka pochodzi z Japonii.

— A ojciec był alfonsem w Harleemie.

— Ciągłe nie daje ci to spokoju?

— Kochałem te dziewczyny. Was też. Jesteście dla mnie ważniejsi niż pieniądze, czy rodzina, czy... wszystko inne.

— I?

Nie podejrzewał, że ma jeszcze coś do powiedzenia, póki słowa nie zaczęły się z niego wylewać.

— Czuję się tak bardzo... tak cholernie bezradny. Jakiś pieprzony psychol zabija moje dziewczyny, a ja nie mogę nic na to poradzić.

— Może tak. A może nie. — Wplotła palce w jego włosy łonowe. — Seks to potęga, Fortunato. Nie zapominaj o tym.

Wzięła jego członka do ust, ssąc lekko, jakby to był cukierek. Zesztywniał natychmiast, a Fortunato poczuł, że pot zbiera mu się na czole. Zgasił jointa wilgotnymi palcami i upuścił go na podłogę. Stopy ślizgały się na aksamitnej pościeli, czuł zapach perfum. Pomyślał o Erice, która leżała teraz martwa, i nagle poczuł, że pragnie rznąć Lenorę długo i porządnie.

— Nie — zaprotestowała, odsuwając jego rękę. — Przygarnąłeś mnie z ulicy i nauczyłeś wszystkiego, co wiesz. A teraz moja kolej.

Popchnęła go na materac, a potem przesunęła po żebrach długimi paznokciami, pomalowanymi czarną emalią. Zaczęła się poruszać, dotykając go ustami, piersiami i włosami, aż w końcu ciało mężczyzny zrobiło się tak gorące, jakby też mogło lśnić w ciemnościach. A wtedy dosiadła go okrakiem.

Gdy znalazł się w niej, poczuł przypływ euforii jak narkoman. Rytmicznie unosił biodra, a ona wychodziła mu na spotkanie, wspierając się na rękach. Włosy opadały jej na ramiona jak wodospad.

— Jestem Śakti — wyszeptała. — Jestem boginią. Jestem mocą. — Mówiąc to, uśmiechnęła się triumfalnie i wcale nie wyglądała na wariatkę, a Fortunato zapragnął jej jeszcze bardziej. Jej głos rozpadł się na krótkie, zdyszane oddechy, gdy doszła, drząc na całym ciele, odrzucając głowę w tył i kołysząc się rytmicznie. Fortunato chciał ją odwrócić i dokończyć, ale ona była silniejsza, niż wyglądała. Wbiła mu palce w ramiona, aż w końcu się rozluźniła i znów zaczęła go pieścić, powoli, z rozmysłem.

Doszła jeszcze dwa razy, zanim wszystko spowiła czerwień, a on wiedział, że nie wytrzyma dłużej. Ale ona także to wyczuła i, zanim się zorientował, zeszła i sięgnęła mu między nogi, jednym palcem mocno uciskając podstawę członka. Było już za późno, by się cofnąć, i mężczyzna doszedł gwałtownie, podrywając pośladki z łóżka. Pchnęła go w pierś lewą ręką, a prawą wciąż trzymała członka, nie pozwalając na wytrysk, kierując spermę z powrotem do środka.

Zabiła mnie — pomyślał, czując, jak płynny ogień ogarnia jego krocze, rozlewając się aż do kręgosłupa i rozpalając go jak pochodnię.

— Kundalini — szepnęła. Jej twarz była poważna i skupiona. — Poczuj moc.

Iskra przebiegła mu po kręgosłupie i eksplodowała w mózgu.



W końcu znów otworzył oczy. Projektor w jego głowie kręcił się coraz wolniej i widział wszystko w pojedynczych ramkach. Lenora obejmowała go rękami, policzki miała mokre od łez.

— Unosiłem się — powiedział w końcu, gdy przypomniał sobie, że może użyć głosu. —

W górze, pod sufitem.

— Myślałam, że nie żyjesz!

— Widziałem nas oboje. Wszystko wyglądało, jakby składało się ze światła. Pokój był biały i ciągnął się w nieskończoność. Wszędzie były fale i zmarszczki. — Czuł się trochę tak, jakby wziął za dużo kokainy, a trochę jakby włożył palec do kontaktu. — Co właściwie zrobiłaś?

— Tantryczny seks. Chodzi o to, żeby... Sama nie wiem. Żeby odzyskać energię. Nigdy nie słyszałam, żeby ktoś zareagował tak gwałtownie. — Spojrzała mu w oczy. — Naprawdę wyszedłeś z ciała?

— Chyba tak. — Poczul zapach jej miętowego szamponu. Ujął jej twarz w obie dłonie i pocałował. Usta miała miękkie i wilgotne, musnęła językiem jego zęby. Wciąż był twardy jak diament i zaczął drżeć z żądz.

Wszedł na nią, a ona poprowadziła go ręką.

— Fortunato — szepnęła. Wciąż była tak blisko, że stykali się ustami. — Jeśli skończysz, stracisz to wszystko. Osłabiesz tak, że ledwie będziesz mógł się ruszyć.

— Gównu mnie to obchodzi, kochanie. Jeszcze nigdy w życiu nie pragnąłem nikogo tak bardzo. — Oparł się na rękach, tak by ją widzieć, i zaczął gorączkowo poruszać biodrami. Każdy nerw w jego ciele żył i czuł, jak przenika go moc, a potem wycofując się w głąb, zbierając się gdzieś w dole brzucha, gotowa wytrysnąć, wyssać go do sucha, pozostawić go słabego, bezradnego...

Odsunął się od Lenory, potoczył na brzeg łóżka i zgiął się wpół.

— Jezu Chryste! — wykrzyknął. — Co się ze mną, kurwa, dzieje?



Lenora chciała z nim zostać, ale kazał jej iść na zajęcia. Obiecał, że będzie na nią czekać.

Bez niej mieszkanie zdawało się puste. Przez chwilę zdjął go strach, gdy pomyślał o Lenorze idącej samotnie ulicą, podczas gdy zabójca Eriki wciąż grasował po mieście.

Nie — powiedział sobie w myślach. *Nie zaatakuję tak szybko.*

Znalazł jakiś barwny, krzykliwy szlafrok i włożył go, a potem przechadzał się po mieszkaniu w rytm niesłyszalnej melodii własnych nerwów. W końcu zatrzymał się przed biblioteczką w dużym pokoju.

„Kundalini”, powiedziała Lenora. Słyszał już wcześniej tę nazwę, więc gdy zobaczył książkę zatytułowaną *Obudzony wąż*, szybko połączył fakty. Wziął ją z półki i zaczął czytać.

Przeczytał o Wielkim Białym Bractwie z Ultima Thule położonej gdzieś w Tatarii. Zaginiona *Księga Dyzan, vama chara*, ścieżka lewej ręki. Kalijuga, ostatnia faza, wiek kłótni, trwający po dziś dzień. „Rób to, czego pragniesz, ponieważ jest to miłe bogini”. *Śakti*. Nasienie jako *rasa*, sok życia, źródło mocy, czyli *jod*. Akty sodomii wskrzeszające zmarłych. Zmiennokształtni, ciała astralne, zaszczepione obsesje prowadzące do samobójstwa. Paracelsus, Aleister Crowley, Mehmet Karagöz, L. Ron Hubbard.

Czytał w całkowitym skupieniu. Pochłaniał każde słowo, każdy diagram, kartkował w tę i z powrotem, by porównać ze sobą fragmenty, przestudiować ilustracje. Gdy skończył, zobaczył, że od wyjścia Lenory minęły dwadzieścia trzy minuty.

Poczul drżenie w piersi i rozpoznał w nim strach.



W środku nocy wyciągnął rękę, dotknął policzka Lenory i poczuł, że palce ma mokre.

— Nie śpisz? — spytał.

Dziewczyna obróciła się do niego i przytuliła mocno. Ciepło jej nagiej skóry działało kojąco i elektryzująco jednocześnie, jak smak drogiej whisky. Przeczesał jej włosy palcami i pocałował pachnącą skórę.

— Czemu płaczesz?

— Jakie to głupie — wykrztusiła.

— Co?

— Naprawdę w to wierzyłam. W magię. „Wielkie Dzieło”, jak nazywa ją Crowley. — Dziwnie to wymówiła: „magia” z długim „j”, a Crowley z długim „o”, jak w słowie „wrona”. — Uczyłam się jogi, a potem studiowałam kabałę i tarota, i system enochiański. Pościłam, odbyłam rytuał goeckie, czytałam pisma Abramelina. Ale nic się nie stało.

— A czego się spodziewałaś?

— Nie wiem. Wizji. *Samadhi*. Chciałam zobaczyć w życiu coś więcej oprócz zasnętego przystanku autobusowego w miasteczku w Wirginii, gdzie biją chłopaków za zapuszczanie włosów. Chciałam przeżyć to, co przeżyłeś dziś po południu. Dostałeś to zupełnie przypadkiem i nawet tego nie chcesz!

— Przeczytałem dziś parę twoich książek — powiedział po chwili. Ściśle rzecz biorąc, przeczytał ich kilkadziesiąt, prawie połowę biblioteczki. — Nie wiem, co się dzieje, ale podejrzewam, że to wcale nie magia. W każdym razie nie taka, o jakiej pisze ten cały Crowley. To prawda, ten seks musiał coś wyzwolić, ale myślę, że musiało być we mnie już wcześniej.

— Ten zarodnik, tak? Wirus dzikiej karty? — Znieruchomiła na samą wzmiankę.

— Nie wiem, jak jeszcze mógłbym to wytłumaczyć.

— Jest jeden lekarz, który się tym zajmuje, nie pamiętam nazwiska. Mógłby cię zbadać. Może nawet wyleczyć, jeśli zechcesz.

— Nie! — zaprotestował. — Nie rozumiesz. Gdy czytałem te książki, czułem te wszystkie moce, o których pisali. Wiesz, to tak jakbyś ćwiczyła skoki z trampoliny i przeczytała o jakimś bardzo skomplikowanym skoku, którego jeszcze nigdy nie próbowałaś, ale wiesz, że dałabyś radę, gdybyś tylko poćwiczyła. Mówisz, że tego nie chcę i faktycznie, na początku chyba tak było. Ale teraz zmieniłem zdanie. — W jednej z książek znajdowała się reprodukcja ilustracji: wśród gigantycznych organów i par splecionych w akrobatycznych pozycjach przedstawiono tantrycznego maga, z czołem spuchniętym od mocy zatrzymanej spermy, z palcami złożonymi w mudry mocy. Wpatrywał się w niego, aż zapiekły go oczy. — Teraz chcę.



— Zdecydowanie wyciągnął pan dziką kartę — stwierdził mały człowieczek. — A w dodatku asa.

Fortunato nie miał nic przeciwko białym ludziom, ale nie mógł znieść ich slangu.

— Mógłby pan to powiedzieć prostym językiem?

— Pański genom został przepisany przez takizjański wirus. Najwyraźniej był on uspijony w centralnym układzie nerwowym, prawdopodobnie w kręgosłupie. Odbity stosunek

prawdopodobnie zaowocował silnym pobudzeniem, co aktywowało wirusa.

— A co teraz?

— Moim zdaniem ma pan dwa wyjścia. — Mały człowieczek podskoczył i usadowił się na stole lekarskim, po czym założył rude włosy za uszy. Wyglądał, jakby raczej grał w zespole albo pracował w sklepie z płytami. W roli lekarza wcale nie wypadł przekonująco. — Mogę spróbować odwrócić efekt działania wirusa. Nie daję jednak żadnych gwarancji. Kuracja jest skuteczna w jakichś trzydziestu procentach przypadków. A czasem zdarza się, że pacjent kończy ją w gorszym stanie niż na początku.

— A ta druga możliwość?

— Może się pan nauczyć żyć z tą mocą. Nie jest pan jedyny. Mogę skontaktować pana z innymi ludźmi w podobnej sytuacji.

— Takimi jak ten „Wielki i Potężny Żółw”? Żebym latał po mieście i wyciągał ludzi z rozbitych samochodów? Nie sądzę.

— To, jak wykorzysta pan swoje zdolności, zależy tylko od pana.

— Co ma pan na myśli, mówiąc „zdolności”?

— Nie jestem pewien. Wygląda na to, że ciągle się kształtują. EEG wskazuje na bardzo silną telekinezę. Chromatograf kiriliański wykazał obecność potężnego ciała astralnego, którym prawdopodobnie może pan manipulować.

— Chce pan powiedzieć... że to magia?

— Nie, nie do końca. Ale jest pewna dziwna właściwość dzikiej karty. Czasem do jej uruchomienia konieczny jest konkretny mechanizm, pozwalający nad nią zapanować. Nie byłbym zaskoczony, gdyby w pana przypadku kluczem do działania okazał się ten rytuał tantryczny.

Fortunato wstał i wyjął setkę z kieszeni na piersi.

— To dla kliniki — powiedział.

Mały człowieczek przez dłuższy czas patrzył na banknot, aż w końcu wziął go i schował do kieszeni płaszcza jakby zdartego z Sierżanta Peppera.

— Proszę pamiętać, co powiedziałem. Może pan do mnie zadzwonić w każdej chwili.

Fortunato skinął głową i wyszedł, by popatrzeć na cudaków z Dżokerowa.



Miał sześć lat, gdy samolot Śmiga eksplodował nad Manhattanem i dorastał w wiecznym strachu przed wirusem, wciąż pamiętając doniesienia o dziesięciu tysiącach chorych, którzy zmarli tamtego pierwszego dnia. Jego ojciec był jednym z nich. Leżał w łóżku, a skóra na zmianę pękała i goiła się na nowo, cały cykl trwał może minutę. W końcu jedna z ran otwarła się na sercu, obryzgując krwią całe ich mieszkanie w Harlemie. Nawet gdy leżał w trumnie, czekając na swój dwuminutowy pogrzeb i złożenie do masowego grobu, rany wciąż otwierały się i goiły.

Wspomnienie trochę zbladło, ale z czasem przyćmiły je inne, nowe. Z wolna Fortunato uwierzył, że nic mu się nie stanie. Dla ludzi niedotkniętych chorobą życie potoczyło się jak zawsze.

Bardzo wcześnie zdał sobie sprawę, że musi się sam o siebie zatroszczyć. Wielokrotnie słyszał, jak jego matka narzeka na amerykańskie dziewczyny, i wtedy wpadł na pomysł

szkolenia prostytutek jak gejsze. W wieku czternastu lat przyprowadził do domu piękną Portorykankę, którą znał ze szkoły. Jego matka zgodziła się ją uczyć i taki był początek.

Spojrzał w górę i zdał sobie sprawę, że gdy tak chodził bez celu po Dżokerowie, zdążyła zapaść noc. Szarości i pastele ustąpiły przed blaskiem neonów, ubrania robocze zmieniły się w tureckie szlaczki i lamparcie cętki. Nieopodal jacyś demonstranci odcięli ulicę, parkując na niej ciężarówkę z platformą. Przynieśli perkusję, wzmacniacze i gitary oraz kilka ciężkich kabli zasilających, które zniknęły w otwartych drzwiach klubu „Chaos”.

Teraz scena była pusta, nie licząc kobiety o długich i kręconych rudych włosach, trzymającej gitarę akustyczną. Za jej plecami rozpięto transparent z napisem SNCC. Fortunato nie miał pojęcia, co oznacza ten skrót. Artystka zaintonowała kilka piosenek folkowych, zachęcając publiczność, by śpiewała razem z nią. Kilka razy powtórzyli refren, bez wsparcia gitary, a potem zaklaskali. Piosenkarka ukloniła się na pożegnanie i zeskoczyła z platformy.

Nie była tak ładna jak Lenora, miała za duży nos i gorszą cerę. Ubrana była w mundurek radykałów — dzinsy i roboczą koszulę — które w ogóle nie podkreślały sylwetki. Jednak otaczała ją aura skoncentrowanej energii, którą Fortunato wyczuł bez najmniejszego wysiłku.

Kobiety stanowiły jego największą słabość — w ich obecności był niczym jeleni zastygły w światłach nadjeżdżającego samochodu. Nawet teraz, w tak kiepskim nastroju, musiał się zatrzymać i spojrzeć na tę demonstrantkę, i zanim się zorientował, kobieta stała już koło niego, potrząsając puszką po kawie z kilkoma monetami w środku.

— Może mały datek? — zachęciła.

— Nie dzisiaj — odparł. — Nie interesuje mnie polityka.

— Jesteś czarnoskóry, Nixon jest prezydentem, i mówisz, że nie interesuje cię polityka? Kolego, chyba mam dla ciebie złe wiadomości.

— Chodzi wam o czarnych? — Fortunato rozejrzał się, ale w tłumie nie było ani jednej czarnej twarzy.

— Nie, chłopie, o dżokerów! Auć, co się stało? Drażliwy temat? — Gdy Fortunato nie odpowiedział, podjęła wątek. — Wiesz, jaka jest oczekiwana długość życia dżokera w Wietnamie? Poniżej dwóch miesięcy. Jeśli policzysz sobie, ile procent ludności stanowią dżokerzy, a potem policzysz, ilu dżokerów służy w Wietnamie, to wiesz, ile ich tam będzie? Sto razy więcej. Sto razy, chłopie!

— Aha, jasne. I co mam z tym zrobić?

— Wpłacić datek. Wynajmiemy prawników i skończymy z tym raz na zawsze. Wszystko przez FBI, chłopie, FBI i SKAZA. Powtórka z McCarthy'ego. Mają listę wszystkich dżokerów i specjalnie biorą ich do wojska. Jeśli są w stanie chodzić i utrzymać broń, to nie organizują im nawet porządnej komisji lekarskiej. Od razu wysyłają do Sajgonu. To nic innego jak ludobójstwo!

— Aha, no dobra. — Wyłowił z kieszeni dwudziestkę i wrzucił do puszeki.

— Wiesz, co by mnie ucieszyło najbardziej? — Dziewczyna chyba nawet nie zauważyła nominału. — Gdyby ci cholerni asowie ruszyli w końcu dupy i coś z tym zrobili. Dlaczego Cyklon albo inny z tych pajaców nie mógłby wyczyścić akt dżokerów? Co to dla niego za kłopot? Ale nie, wszyscy za bardzo się pchają, żeby trafić na czołówki gazet.

Ruszyła z powrotem i wtedy w końcu zajrzała do puszeki.

— Hej, dzięki, chłopie! Jesteś w porządku. Posłuchaj, tu masz ulotkę. Gdybyś chciał kiedyś

zrobić coś jeszcze, to daj nam znać.

— Jasne — odparł Fortunato. — Jak się nazywasz?

— Mówią na mnie C.C. — odparła. — C.C. Ryder.

— To stąd ten skrót? — Wskazał na transparent z napisem SNCC.

C.C. potrząsnęła głową.

— Zabawny z ciebie gość — odparła tylko i zniknęła w tłumie.

Fortunato złożył ulotkę i wsunął do kieszeni, a potem skręcił w bok z Bowery. Wszystkie te rozmowy o dzokerach jakoś go nie obeszły. Nieopodal stąd był klub zwany „Gabinet Luster”, który prowadził facet nazwiskiem Desmond, dzoker z trąbą zamiast nosa. Był jednym z klientów Fortunata i zawsze chciał gejszę o gładziej cerze, ciemniejszych włosach albo delikatniejszej buzi, niż właściciel mógł akurat dostarczyć. Fortunato nie mógł znieść myśli, że miałyby go teraz zobaczyć.

W bocznych uliczkach mało kto nosił teraz maski i zewsząd wpatrywały się w niego oczy, patrzące z odwróconych twarzy albo głów wielkich jak melony. „Twoi bracia i siostry”, powiedział sobie. Na każdego asa przypadało dziesięciu z nich, przemykających zaułkami, podczas gdy nieliczni szczęśliwcy nakładali peleryny, gadali żargonem i latali po mieście, walcząc ze sobą nawzajem. Asowie mieli swoje nagłówki i wywiady w telewizji, a kalecy i cudaki mieli Dżokerowo. Albo jeśli wierzyć C.C. — Dżokerowo i dżungle w Wietnamie.

Ale Fortunato najbardziej na świecie chciał teraz wrócić do mieszkania Lenory i znów się z nią kochać. I tym razem pozwoliłyby sobie skończyć, a jeśli to go osłabi, to nie szkodzi, i wszystko wróci do normy.

Tyle że wcześniej czy później morderca znów zaatakuje. Wietnam był po drugiej stronie kuli ziemskiej, ale zabójca był tutaj, może nawet w tym samym kwartale.

Zatrzymał się, spojrzął w górę i zobaczył, że podświadomie przyszedł do zaułka, gdzie podobno znaleźli Erikę.

Znów pomyślał o tym, co powiedziała C.C., o wykorzystaniu mocy dla dobra swoich ludzi.

Gdy Lenora wypchnęła go z ciała, zobaczył rzeczy, o jakich nawet mu się nie śniło, wzorce i spirale energii, których nawet nie umiał nazwać. Jeśli zdoła wyjść z siebie jeszcze raz, może zobaczy coś, co umknęło policjantom.

Z zaułka patrzył na niego lump w długim, poplamionym płaszczu. Fortunato dopiero po chwili zobaczył, że mężczyzna ma długie uszy basseta i wilgotny, czarny nos. Zignorował go, zamknął oczy i spróbował przypomnieć sobie tamto uczucie.

Równie dobrze mógłby próbować polecieć na księżyc siłą woli. Potrzebował Lenory, ale bał się ją tu przyprowadzić. Czy mógłby zrobić to w jej mieszkaniu, a potem przylecieć tutaj? Czy zdołałby wytrzymać tak długo? Co by się wówczas stało z jego fizycznym ciałem?

Zbyt wiele pytań. Zadzwoił do niej z automatu i powiedział, gdzie chciałby się spotkać.

— Masz broń? — spytał.

— Tak. Od czasu kiedy... no wiesz.

— Weź ją.

— Fortunato, co się stało? Masz kłopoty?

— Jeszcze nie.



Zanim wrócił do zaułka z Lenorą, zdążył już zebrać się tłum. Wszyscy byli ubrani w odrzuty z lumpeksów Armii Zbawienia: workowate spodnie, podarte flanelowe koszule, kurtki koloru zaschłego smaru. Jakaś niska kobieta przypominała woskową figurę topniejącą jak świeca. Po jej prawej stronie stał nastoletni chłopak, wpatrzony w rząd wibrujących kubłów na śmieci. Gdy wibracje osiągnęły odpowiednią częstotliwość, kubły uderzały o siebie, dźwięcząc jak szalone cymbały, a wtedy kobieta odwracała się i kopała je ze złością. Pozostali byli mniej zdeformowani: mężczyzna z przyssawkami na palcach, dziewczyna, której rysy znaczyły stwardniałe krawędzie skóry.

Lenora uczepiła się ramienia Fortunata.

— Co teraz? — szepnęła.

Pocałował ją. Próbowiła się odsunąć, gdy kaleka publiczność zachichotała, ale on nalegał, otwierając jej usta językiem, przesuwając dłońmi po plecach, aż w końcu zaczęła dyszeć, a on poczuł moc zbierającą się u podstawy kręgosłupa. Przesunął usta na ramię Lenory, czując, jak jej długie paznokcie wbijają mu się w szyję, a potem uniósł wzrok, by spojrzeć na pso-człowieka. Poczuł, jak moc napływa mu do oczu i gardła, i powiedział:

— Idź stąd.

Pso-człowiek odwrócił się i odszedł. Następnie zwrócił się kolejno do pozostałych i odczekał, aż znikną.

— Teraz! — ponaglił Lenorę i poprowadził jej dłoń, aż dotknęła spodni. — Zrób ze mną to, co wcześniej.

Wsunął jej ręce pod sweter i powoli przesunął po piersiach. Lenora ujęła go prawą dłonią, a lewą objęła w pasie. Czuł kojący nacisk jej S&W kaliber .32. Zamknął oczy, czując wzbierające ciepło, opierając całą wagę na ceglany murze. Już po kilku sekundach był gotów skończyć, astralne ciało podrygiwało jak balon ledwie utrzymywany na nitce.

A potem uwolnił się, jakby wyskakiwał z jadącego samochodu.



Wszystkie cegły i papierki po cukierkach aż lśniły wyrazistością. Skupił się na swoim zadaniu, a szum uliczny powoli cichł, aż stał się ledwie dosłyszalny.

Znaleźli Erikę przy drzwiach, głęboko w tym zaułku. Odcięte ręce i nogi zrzucono na stertę, jak chrust. Głowa wisiała na strzępku ciała. Fortunato widział plamy krwi tkwiące głęboko w cząsteczkach betonu, wciąż lśniące słabym blaskiem życia. Drewniane drzwi zachowały ślady jej perfum i jeden jasnopolielaty włos.

Barytonowy pomruk ulicy zmienił się w wibracje tak niskie, że Fortunato czuł, jak przenikają go poszczególne fale. Teraz zobaczył odcisk ciała Eriki w betonie, ślad jej stóp na asfalcie. A obok nich — ślady mordercy.

Prowadziły z ulicy do ciała Eriki i z powrotem, a na rogu pozostał ślad samochodu. Nie wiedział, co to za pojazd, ale dostrzegał ślady opon, szerokie i czarne, jakby kierowca jechał szybko, paląc gumę.

Zatrzymał się na sekundę i spojrzał na swoje fizyczne ciało zastygnięte w objęciach Lenory. Potem pozwolił, by ślady samochodu zaprowadziły go ulicą do Drugiej Alei, a potem do Delancey. Poczuł, że słabnie, wizja zaczyna się rozmywać, a hałas uliczny znów przybiera na sile. Znów się skoncentrował, przywołując na pomoc wszystkie siły swego fizycznego ciała.

Samochód skręcił na północ przy Bowery i przystanął przed zapuszczonym, szarym magazynem. Fortunato wszedł na chodnik, zobaczył odciski stóp zmierzające od samochodu do frontowych drzwi.

Poszedł za nimi na górę. Czuł się, jakby przywiązano go ogromną gumką, którą właśnie naciągnął do granic możliwości. Każdy kolejny stopień kosztował go więcej niż poprzedni. W końcu ślady zniknęły przy wejściu do loftu, a wtedy wiedział, że to koniec.

Zgiełk uliczny otoczył go ze wszystkich stron, a on pomknął z powrotem po własnych śladach, ściągany nieubłagane przez własne ciało. Wyczerpany, spełniony, jakby właśnie doszedł po stosunku, wpadł w mrok jak nurek do głębokiej wody. Lenora zatoczyła się pod ciężarem jego zwiotczającego ciała, gdy utracił przytomność.



— Nie — powiedziała i odwróciła się na drugi bok. — Nie mogę.

Pod oczami miała fioletowe sińce, a ciało zwiotczało z wysiłku. Fortunato zastanawiał się, jakim cudem zdołała go zawlec do taksówki i po schodach do mieszkania.

— Nie rozumiem.

— Budujesz ładunek mocy, a potem seks ją wypala. Rozumiesz? Moc, *śakti*. Tylko że w przypadku magii tantrycznej możesz absorbować moc z powrotem w siebie. Nie tylko własną, ale także całą energię, jaką oddaje ci partnerka.

— A zatem, gdy dochodzisz, oddajesz tę *śakti*.

— Tak.

— A ty oddałaś mi już wszystko.

— Właśnie tak, wielkoludzie. Jestem zjebana.

Fortunato sięgnął po telefon.

— Co robisz?

— Wiem, gdzie jest morderca — powiedział, wykręcając numer. — Jeśli nie dostarczysz mi dość mocy, by go schwytać, wezmę ją od kogoś innego. — Wiedział, że nie zabrzmiało to dobrze, ale był zbyt zmęczony, by się tym przejąć. I nie tylko zmęczony. Jego umysł aż wibrował poczuciem władzy, a on czuł, jak ta świadomość go zmienia, przejmuje kontrolę.

Po drugiej stronie Miranda odebrała. Zakrył dłonią słuchawkę i odwrócił się do Lenory.

— Pomożesz jej?

Zamknęła oczy i skrzywiła wargi w grymasie, który wyglądał prawie jak uśmiech.

— Dziwka chyba nie może być zazdrosna.

— Gejsza — poprawił Fortunato.

— W porządku — zgodziła się Lenora. — Pokażę jej, co robić.



Każde z nich wciągnęło po kresce koki, a potem wypalili trochę mocnej wietnamskiej trawki. Lenora twierdziła, że pomoże im to dostroić się do siebie. Miranda, wysoka i czarnowłosa, najsprawniejsza z jego dziewcząt, rozebrała się powoli do pończoch, paska i czarnej bielizny, tak cienkiej, że widział ciemne owale sutków.

Czterdzieści minut później Lenora straciła przytomność w nogach łóżka. Miranda, z głową

zwieszoną przez krawędź, z rozkrzyżowanymi ramionami, zamknęła oczy.

— To koniec — szepnęła. — Nie dojdę już ani razu. Nie dojdę już chyba nigdy w życiu.

Fortunato uklęknął na łóżku. Ciało miał pokryte warstewką potu i zdawało mu się, że widzi złoty blask jarzący się pod skórą. Zobaczył swoje odbicie w lustrze na toalecie Lenory i nie był zaniepokojony ani zaskoczony, gdy zobaczył, że czoło napęczniało mu od mocy.

Był gotów.



Taksówkarz zostawił go dwie przecznice od Delancey. Miał przy sobie rewolwer Lenory, zatknięty za pasek spodni i przykryty czarną marynarką. Ale gdyby mógł, zrobiłby to nawet własnymi rękami. Tak czy inaczej, nie zamierzał dać gliniarzom szansy, by puścić tego drania wolno.

Nie mógł skupić na niczym wzroku, a ręce trzymał w kieszeniach, bo nie do końca im ufał. Z jakiegoś powodu w ogóle się nie bał. Czuł się jak wtedy, gdy miał piętnaście lat i po raz pierwszy zaczął robić to z dziewczynami szkolonymi przez matkę. Przez kilka miesięcy nie chciał nawet spróbować, obawiając się jej reakcji, ale po pierwszym razie przestał się tym przejmować.

Teraz było identycznie. Poruszał się brawurowo, naładowany mroczną energią, gorącą i wilgotną mocą seksu, jakby na pograniczu rzeczywistości. „Zaraz stanę twarzą w twarz z mordercą”, powiedział sobie, ale były to tylko słowa. W głębi duszy wiedział, że obroni te kobiety, i tylko to się liczyło.

Wspiął się po schodach do loftu. Było po północy, ale słyszał, jak stereo za stalowymi drzwiami dudni w rytm przeboju Rolling Stonesów *Street-Fighting Man*. Załomotał w nie pięściami.

Przełknął ślinę i poczuł w gardle lód.

Po drugiej stronie stał chłopak, siedemnasto-osiemnastoletni, blady i chudy, ale umięśniony. Miał długie, jasne włosy i twarz, która mogłaby być ładna, gdyby nie wysyp pryszczycy wokół podbródka, nieudolnie zamaskowany makijażem. Miał na sobie żółtą koszulę w czarne kropki i sprane dżinsy dzwony.

— Chcesz coś? — spytał po dłuższej chwili.

— Pogadać — odparł Fortunato. W ustach miał sucho i nadal nie mógł skupić wzroku.

— O czym?

— O Erice Naylor.

Chłopak nie zareagował.

— Nie wiem, kto to.

— Myślę, że wiesz.

— Jesteś gliną? — Fortunato nie odpowiedział. — To spierdalaj.

Zaczął zamykać drzwi. Fortunato przypomniał sobie, co zrobił w zaułku, gdy skłonił dzokerów do odejścia.

— Nie — powiedział, patrząc w bezbarwne oczy chłopaka. — Wpuść mnie.

Chłopak zawahał się, jakby oszołomiony, ale nieprzekonany. Fortunato uderzył w drzwi barkiem, wpychając chłopaka do loftu i przewracając na podłogę.

Pokój był ciemny, a muzyka ogłuszająca. Mężczyzna namacał wyłącznik i wcisnął, a potem cofnął się odruchowo, gdy jego mózg zrozumiał, na co patrzy.

Wyglądało to jak perwersyjna parodia mieszkania Lenory — zmysłowa moda okultystyczna tutaj przeszła w makabryczną perwersję. Podobnie jak u niej na podłodze wyrysowano pentagram, ale ten był nierówny, wydrapany na deskach czymś ostrym, a potem zbryzgany krwią. Zamiast aksamitu, świec i egzotycznego drewna był tu szary, pasiasty materac, sterta brudnych ubrań i kilkanaście polaroidowych zdjęć przyczepionych zszywkami do ściany.

Fortunato domyślał się, co tam zobaczy, ale i tak podszedł do ściany. Z czternastu nagich, półwiotkowanych kobiet rozpoznał trzy. Ostatnia, w prawym dolnym rogu, to była Erika.

Nie mógł myśleć przy tej dudniącej muzyce. Rozejrzał się w poszukiwaniu gramofonu i zobaczył, jak blondyn chwiejnym krokiem zmierza do wyjścia.

— Stój! — wykrzyknął Fortunato, ale bez kontaktu wzrokowego moc nie zadziałała.

Wściekły i zdesperowany, ruszył naprzód. Chwycił chłopaka w pasie i rzucił na gołą ścianę z płyty gipsowej.

A wtedy przekonał się, że trzyma rozwścieczone zwierzę, walczące kolanami, paznokciami i zębami. Fortunato cofnął się odruchowo i zobaczył, jak pomiędzy nimi błyska ostrze wielkiego scyzoryka, przecinając marynarkę i skórę, i cofa się, zbroczone czerwienią.

Zginę — pomyślał Fortunato. Pistolet miał z tyłu za paskiem, zbyt daleko, by go wydobyć, nim ostrze znów powróci, tym razem tnąc głębiej, wsuwając się aż po rękojeść.

Spojrzał na nóż. Nim zorientował się, co właściwie robi. Zapatrzył się w skupieniu w ostrze, tak jak wtedy, gdy czytał książki w mieszkaniu Lenory, gdy wyrzucał lumpów z zaułka w Dżokerowie.

I czas zwolnił.

Widział na ostrzu nie tylko swoją krew, ale także innych, Eriki i pozostałych kobiet, zmytą, ale nadal zachowaną w pamięci metalu.

Odsunął się od jasnowłosego szaleńca, poruszając się powoli jak we śnie, ale mimo wszystko szybciej niż napastnik i jego nóż. Sięgnął za plecy, poczuł zimny dotyk rękojeści. Śpiew Rolling Stonesów zabrzmiał jak przeciągły lament, gdy wyszarpnął pistolet, wymierzył w chłopaka i zobaczył, jak blade oczy rozszerzają się z zaskoczenia.

Nie zabijaj go — pomyślał. *Najpierw dowiedz się dlaczego.* Przesunął lufę, wymierzył w prawy bark i wcisnął spust.

Zgiełk rozpoczął się wibracją w dłoni, przyspieszył jak rakieta, zmienił się w ryk, potem krótki huk grzmotu, a następnie czas znowu ruszył. Chłopak zakołysał się, trafiony pociskiem, ale w oczach nie było widać bólu. Przerzucił nóż z bezwładnej ręki do drugiej i znów skoczył naprzód.

Opętany — pomyślał Fortunato z przerażeniem i strzelił mu w serce.



Zatoczył się w tył, rozerwał koszulę i zobaczył, że rana na piersi jest płytka i przestała już krwawić. Nie potrzebował szwów.

Trzasnął drzwiami, przeszedł przez pokój i wyrwał z gniazdka wtyczkę gramofonu. A potem w ciężkiej ciszy odwrócił się do martwego chłopaka.

Moc zafalowała i przebiegła przez niego. Widział na rękach trupa krew zabitych kobiet, ślad

krwi, którą ochlapano prymitywny pentagram, ślady, gdzie stał chłopiec, gdzie zginęły ofiary, a potem, bardzo słabo, jakby ktoś je wymazał, ślady obecności kogoś jeszcze.

W pentagramie wciąż tkwiły linie mocy, jak fale gorąca bijące znad autostrady na pustyni. Fortunato zacisnął dłonie w pięści, poczuł, że pot spływa mu po piersi. Co tu się stało? Czyżby ten chłopak wywołał demona? A może jego szaleństwo było narzędziem w czymś znacznie większym, wielokrotnie gorszym niż kilka przypadkowych zabójstw?

Chłopak mógłby mu to wyjaśnić, ale już nie żył.

Fortunato podszedł do drzwi i położył rękę na klamce. Zamknął oczy i oparł czoło o chłodny metal. „Myśl”, nakazał sobie.

Wytarł odciski palców z pistoletu i rzucił broń obok trupa. Niech gliny wyciągną z tego własne wnioski. Polaroidy powinny im dać trochę do myślenia.

Znów się odwrócił, ale nie mógł wyjść z pomieszczenia.

Masz moc — pomyślał, wbrew sobie. *Czy potrafiłbyś stąd wyjść z tą świadomością, nie próbując jej użyć?*

Pot spływał mu po twarzy i plecach.

Moc tkwiła w *jodzie, rasie*, spermie. Niewiarygodna moc, więcej niż potrafił opanować. Wystarczająco duża, by przywrócić zmarłych do życia.

Nie — pomyślał. *Tego nie zrobię*. Nie tylko dlatego, że na samą myśl robiło mu się niedobrze, także dlatego, że taka decyzja zmieniałyby go nieodwracalnie. Byłaby to droga bez powrotu, granica, za którą przestałby być w pełni człowiekiem.

Ale ta moc zmieniła to już wcześniej. Widział rzeczy, których ludzie pozbawieni tej zdolności nigdy by nie zrozumieli. Zawsze mówiono mu, że moc niszczy ludzi, ale teraz wiedział, że to naiwne uproszczenie. Moc oświeca. Moc zmienia.

Odpiął zmarłemu pasek, rozpiął suwak džinsów. Chłopak posrał się i posikał w agonii. Fortunato aż wzdrygnął się, czując smród. Rzucił džinsy w kąt i odwrócił zmarłego na brzuch.

Nie dam rady — pomyślał. Ale w tej samej chwili poczuł, że członek mu sztywnieje i łzy spłynęły mu po twarzy, gdy ukląkł między nogami trupa.



Doszedł prawie natychmiast. Potwornie go to osłabiło, bardziej, niż przypuszczał. Odczołgał się na bok, podciągając spodnie, pełen obrzydzenia i wyczerpany.

Trup drgnął wyraźnie.

Fortunato dopełzył do ściany i dźwignął się na nogi. W głowie mu się kręciło, skronie pulsowały bólem. Zobaczył coś na podłodze. Musiało wypaść z kieszeni zmarłego. To był pieniążek, osiemnastowieczny pens, tak nowy, że lśnił czerwienią w ostrym świetle loftu. Schował go do kieszeni na wypadek, gdyby miał się przydać później.

— Spójrz na mnie — rozkazał trupowi.

Ręce zmarłego drapały podłogę, wyrywając z niej krwawe drzazgi. Powoli chłopak dźwignął się na czworaki, a potem wstał niezgrabnie. Odwrócił się i spojrzał na Fortunata pustym spojrzeniem.

Oczy trupa wyglądały strasznie. Jego wzrok mówił, że śmierć to nicość i nawet kilka sekund spędzonych w niej to za wiele.

— Mów do mnie — ponaglił mężczyzna. Teraz już nie motywował go gniew, lecz

wspomnienie gniewu. — Ty biały chujku, mów do mnie. Powiedz mi, co to znaczy! Powiedz dlaczego!

Zmarły chłopiec wciąż wpatrywał się w Fortunata. Przez chwilę coś mignęło w jego twarzy i wyszeptał:

— TIAMAT.

Tylko jedno słowo, wypowiedział je szeptem, ale zupełnie wyraźnie. Potem się uśmiechnął. Oburącz sięgnął do przetyku i wyrwał go sobie poprzez skórę na szyi, a potem na oczach Fortunata przedarł na pół.



Lenora spała, kiedy wrócił. Fortunato wrzucił ubrania do śmieci, a potem przez pół godziny stał pod prysznicem, aż w końcu skończyła się gorąca woda. Następnie usiadł przy świeczce w salonie i zaczął czytać.

Znalazł imię TIAMAT w książce poświęconej sumeryjskim elementom w magii Crowleya. Wąż, Lewiatan, KUTULU. Potworne zło.

Wiedział, że natknął się zaledwie na jedną mackę czegoś, co wymykało się jego pojmowaniu.

W końcu zasnął.



Obudził go odgłos zamykanej walizki.

— Nie rozumiesz? — próbowała wyjaśnić Lenora. — Jestem dla ciebie jak... jak kontakt w ścianie, do którego podłączasz się, żeby naładować akumulator. Jak mogę z tym żyć? Dostałeś coś, o czym zawsze marzyłam. Prawdziwą moc, by czynić prawdziwą magię. I trafiłeś na to przypadkiem, bez żadnych starań. Okazało się, że cała moja nauka i ćwiczenia, i praca są głównie warte, bo nie złapałam jakiegoś pierdolonego kosmicznego wirusa!

— Kocham cię! — wykrztusił Fortunato. — Nie odchodź.

Powiedziała mu, że może zatrzymać jej książki, a nawet mieszkanie, jeśli chce. Powiedziała, że napisze do niego, ale nie potrzebował magiji, by wiedzieć, że kłamała.

A potem odeszła.



Spał przez dwa dni. Trzeciego znalazła go Miranda i kochali się, aż nabrał dość siły, by opowiedzieć jej o wszystkim.

— Najważniejsze, że ten sukinsyn nie żyje — powiedziała. — Reszta mnie nie obchodzi.

Gdy wyszła wieczorem do klienta, Fortunato siedział przez godzinę w salonie, nie mogąc się poruszyć. Wiedział, że już niedługo będzie musiał wyruszyć na poszukiwanie tej istoty, której ślady znalazł w mieszkaniu zabitego chłopca. Sama myśl o tej istocie paraliżowała go wstrętem.

W końcu sięgnął po *Magiję* Crowleya i otworzył na rozdziale piątym.

„Prędzej czy później — pisał Crowley — następuje po nim depresja, Ciemna Noc Duszy, zmęczenie i zniechęcenie pracą”. Jednak już wkrótce miały nadejść „nowe, lepsze warunki, stan, który jest osiągalny tylko dzięki procesowi śmierci”.

Fortunato zamknął książkę. Crowley by go zrozumiał, ale on już nie żył. Czuł się jak ostatni człowiek na jałowej, skalistej planecie.

Ale przecież nim nie był. Był pierwszym przedstawicielem nowych istot, który mogły stać się czymś więcej niż ludźmi.

Tamta kobieta na demonstracji... C.C. Powiedziała, że należy dbać o swoich. Co by było, gdyby naprawdę zdołał ocalić setki dzokerów od śmierci w upalnej i wilgotnej dżungli? Ile by go to kosztowało? Niewiele. Tyle co nic.

Wygrzebał ulotkę z kieszeni marynarki. Powoli, z coraz większym przekonaniem, wykręcił numer.



Transformacje

VICTOR MILÁN

Listopadowy wiatr szarpał go za nogawki spodni, zimne podmuchy kasały chude nogi jak wici tryfidów, gdy wszedł do małego klubu nieopodal kampusu. Zadymione wnętrze pulsowało jak zaogniona rana, siejąc czerwienią, błękitem i zgiełkiem. Zatrzymał się w drzwiach, nie zdejmując grubego palta w pomarańczowo-zieloną kratę, które matka zapakowała mu do walizki trzy lata temu, gdy wyjeżdżał studiować na MIT. *Nie bądźże tchórzem, Mark* — skarcił się w duchu. *Robisz to dla dobra nauki.*

Zespół zaczął grać *Crown of Creation*, a Mark instynktownie wyszukał najciemniejszy kąt, ściskając w dłoni filiżankę herbaty. Przynajmniej nauczył się, jaki to obciach zamawiać colę albo kawę.

Poza tym kilka ostatnich tygodni badań nie przyniosło specjalnych rezultatów. W takim stroju — przykrótkich spodniach i pastelowej koszuli z poliestru, która zawsze wybrzuszała się po bokach jak żagiel na wietrze — mogliby go wziąć na tajniaka z Wydziału Narkotyków. Był to jeden z efektów ubocznych festiwalu Woodstock. Gordon Liddy założył DEA — Agencję do spraw Walki z Narkotykami — by trochę odwrócić uwagę od wojny w Wietnamie, ale Berkeley i San Francisco to były modne, uniwersyteckie miasta. Ich mieszkańcy na pierwszy rzut oka umieli rozpoznać studenta kierunków ścisłych.

W klubie „Szklana Cebula” nie było parkietu jako takiego, tancerze kołysali się w przyćmionym purpurowofioletowym blasku pomiędzy stolikami albo tłoczyli się pod małą sceną, pobrzękując koralikami, szeleszcząc frędzlami, a czasem błyskając indiańską biżuterią. Mark bardzo starał się nie zwracać na siebie uwagi, ale przechodząc, i tak wpadał na wszystkich po kolei, bąkając „przepraszam” i zostawiając za sobą kilwater zirytowanych spojrzeń. Jego odstające uszy płuły czerwienią i prawie dotarł już do swego celu — małego, chwiejnego stolika zrobionego ze szpuli na kable, z plastikowym, stadionowym krzeselkiem i niezapaloną świeczką w słoiku po maśle orzechowym na blacie, gdy wpadł wprost na osobę idącą z przeciwną.

Najpierw poleciały jego ciężkie okulary w rogowej oprawie — ześlizgnęły mu się z nosa i zniknęły gdzieś w ciemności. Potem chwycił oburącz osobę, na którą wpadł, i stracił równowagę. Filiżanka z trzaskiem spadła na podłogę.

— Ojejku, przepraszam, tak mi przykro... — Słowa sypały mu się z ust jak kulki gumy do żucia z zepsutego automatu.

Po chwili zdał sobie sprawę, że osoba, której tak desperacko się trzyma, ma miękkie dłonie i wydziela zapach piżma i paczuli, który oddzielił się od ogólnego miazmatu i dotarł do jego aparatu zmysłów. *Musiałeś wpaść akurat na piękną kobietę* — skarcił się w duchu. No cóż, w każdym razie na pięknie pachnącą.

Dziewczyna poklepała go po ramieniu, mruknęła, że też jej przykro, i oboje pochylili się, żeby odszukać filiżankę i okulary. Wokół nich krążyli tancerze, a oni zderzali się głowami i znów przepraszali, aż w końcu Mark gorączkowo namacał okulary — jakimś cudem pozostały

nieuszkodzone — włożył je na nos, zamrugał i odkrył, że w odległości dziesięciu centymetrów od siebie widzi twarz Kimberly Ann Cordayne.

Kimberly Ann Cordayne: dziewczyna jego marzeń. Jego miłość z dzieciństwa, rzecz jasna, nieodwzajemniona. Miłość od pierwszego wejrzenia, od tamtej chwili gdy pięcioletnia, ubrana w princeskę, przejechała na trzykołowym rowerku ich uliczką, na obrzeżach przedmieścia w południowej Kalifornii. Był tak zachwycony jej pocztówkową urodą, że aż upuścił kulkę lodów malinowych i nawet tego nie zauważył. Kimberly przejechała mu po palcach i pojechała dalej, wysoko unosząc głowę i nawet nie zauważając jego obecności. Od tamtego dnia wpadł po uszy.

Nadzieja i rozpacz przepłynęły przez niego jednocześnie. Wyprostował się, zbyt onieśmielony, by coś powiedzieć. Ale to ona odezwała się pierwsza.

— Mark! — wrzasnęła. — Mark Meadows! Cholera, stary, jak się cieszę, że cię widzę! — A potem go uściskała.

Mark stał osłupiały, mrugając jak idiota. Nigdy wcześniej nie uściskała go kobieta, która nie byłaby z nim spokrewniona. *A co jeśli dostanę wzrodu?* — pomyślał. Pospiesznie unióś ręce i delikatnie poklepał dziewczynę po plecach.

Odsunęła go od siebie na odległość ramienia.

— Niech ci się przyjrzę, chłopie. Nic się nie zmieniłeś.

Skrzywił się odruchowo. Teraz zaczną się docinki na temat jego chudości i niezdarności, przyszczy ozdabiających już dorosłą twarz, a także jego największej wady — całkowitej, kompletnej niezdolności do podążania za modą. Gdy Kimberly Ann w końcu dostrzegła jego obecność, zmieniła się w jedną z jego największych dręczycielek — a raczej wykorzystywała do tego szereg szkolnych sportowców, z którymi chodziła pod ramię, pomrukami zachęcając ich do dalszych wyskoków.

Ale teraz ciągnęła go za rękę w stronę stolika w kącie.

— Chodźmy. Pogadajmy o starych niedobrych czasach.

Przez trzy czwarte swojego życia czekał na taką okazję. Sam na sam z wcieleniem piękna i miłości, w modnym klubie, słuchając, jak zespół na scenie atakuje właśnie piosenkę Beatlesów *Blackbird*... i nagle odkrył, że nie ma pojęcia, co powiedzieć.

Jednak szybko okazało się, że Kimberly Ann mówiła za dwoje. Opowiadała o tym, jak zmieniło się jej życie, odkąd opuściła mury starej dobrej szkoły średniej Rexford Tugwell. O niesamowitych ludziach, których poznała w Whittier College, jak bardzo ją zmienili, jak otworzyli jej oczy. Jak rzuciła studia w połowie ostatniego roku i przyjechała tutaj, nad Zatokę, do mekki całego Ruchu. Jak od tego czasu próbowała odnaleźć siebie.

Może i on się nie zmienił, ale ona na pewno tak. Zniknął prosty, czarny kucyk, plisowane spódniczki, pastelowa szminka i polakierowane paznokcie: schludna doskonałość, jak przystało jedynej córce ambitnego członka zarządu Bank of America. Teraz włosy opadały jej na plecy, tworząc wielką, pierzastą chmurę jak u Yoko Ono. Ubrana była w bluzkę chłopkę haftowaną w pieczarki i planety i obfitą, ręcznie farbowaną spódnicę, której wzór przypominał Markowi fajerwerki w Disneylandzie. Stopy miała bose — wiedział, bo wcześniej na jedną z nich nadepnął. Była piękniejsza, niż to sobie kiedykolwiek wyobrażał.

A te jasne oczy koloru zimowego nieba, które kiedyś tak często obrzucały go mrozącym spojrzeniem, teraz spoglądały na niego tak ciepło i przyjaźnie, że ledwie mógł w nie spojrzeć.

Czuł się, jakby trafił do nieba, ale jakoś nie mógł w to uwierzyć. I jak to on — musiał zadać pytanie.

— Kimberly, posłuchaj...

Uciszyła go gestem.

— Chwileczkę, kolego. Porzuciłam to imię wraz z moim burżujskim wychowaniem. Teraz jestem Słonecznik.

Przytaknął, przyciągając brodę do jabłka Adama.

— W porządku. Niech będzie Słonecznik.

— Co cię tu sprowadza, chłopie?

— To taki eksperyment.

Spojrzała na niego czujnie ponad krawędzią szklanki zrobionej ze słoika po dżemie.

— Skończyłem studia na MIT — wyjaśnił. — Teraz chcę zrobić doktorat z biochemii na Uniwersytecie Kalifornijskim w Berkeley.

— I co to ma wspólnego z tym klubem?

— No cóż. W ramach swoich badań próbowałem wyjaśnić, w jaki sposób DNA koduje informacje genetyczne. Opublikowałem o tym kilka prac, takie rzeczy. — Wykładowcy z MIT porównywali go do Einsteina, ale sam nigdy by się do tego nie przyznał. — Ale tego lata trafiłem na coś znacznie ciekawszego. Chemia umysłu.

Jej wzrok był pusty jak bezchmurne niebo.

— Psychodeliki. Substancje psychoaktywne. Czytałem pisma Leary'ego, Alperta, zbiór Solomona. To wszystko... jak to się mówi? Zaczęło mnie kręcić. — Pochylił się nad stolikiem, odruchowo bawiąc się skuwką mazaka, który nosił w plastikowym etui w kieszeni na piersi. Był tak podekscytowany, że mówiąc, pryskał śliną na stolik. — To naprawdę ważne badanie. Sądzę, że może udzielić odpowiedzi na zasadnicze pytania: kim jesteśmy?, jak to się dzieje?, i dlaczego?

Dziewczyna patrzyła na niego z półuśmiechem, jednocześnie marszcząc brwi.

— Nadal nic nie rozumiem.

— Prowadzę badania terenowe, by zdobyć niezbędny materiał do badań kultury narkotyko... znaczy kontrkultury — poprawił się szybko. — Próbuję zbadać, jak używanie halucynogenów wpływa na postrzeganie rzeczywistości.

Zwilżył językiem usta.

— To naprawdę ekscytujące. Gdzieś tam jest cały wielki świat, o którym w życiu nie słyszałem. — Nerwowym gestem objął zadymione wnętrze „Cebuli”. — Ale z jakiegoś powodu nie mogę, no wiesz, nawiązać kontaktu. Kupiłem wszystkie płyty Grateful Dead, ale wciąż czuję się jak outsider. A ja... ja chyba naprawdę chciałbym być hipisem.

— Hipisem? — Dziewczyna prychnęła pobłaźliwie. — Mark, gdzieś ty się uchował? Jest rok 1969. Ruch hipisów nie żyje już od dwóch lat. — Potrząsnęła głową. — Brałeś chociaż któreś z tych narkotyków, które zamierzasz badać?

Zaczerwienił się.

— Nie, ja... chyba nie jestem gotów na ten krok.

— Mój biedaku. Jesteś taki sztywny. Chyba muszę panu pokazać, co tu się naprawdę dzieje, panie Jones.

Wprawdzie nie zrozumiał, do jakiej piosenki nawiązywała, ale twarz mu się rozjaśniła, nos

i policzki uniosły się w szerokim uśmiechu, ukazując końskie zęby.

— To znaczy, że mi pomożesz?

Chwycił ją za rękę i natychmiast puścił, jakby się bał, że zostawi ślady.

— Pokażesz mi wszystko?

Przytaknęła.

— Super! — Podniósł filizankę i poderwał do ust, aż zadźwięczała o zęby i dopiero wtedy przypomniał sobie, że jest pusta. — Zastanawiałem się, dlaczego... to znaczy... nigdy wcześniej, eee, nigdy tak długo ze mną nie rozmawiałaś.

Ujęła jego rękę w obie dłonie, a on miał wrażenie, że serce mu stanęło.

— Och, Mark — szepnęła niemal czule. — Zawsze musisz wszystko analizować. Odkąd otworzyły mi się oczy, zrozumiałam, że każdy jest na swój sposób piękny, oczywiście, oprócz tych krwiopijców, którzy uciskają ludzi. Widzę cię takiego, jakim jesteś. Wciąż jesteś sztywniakiem, ale wiem, że się nie sprzedałeś. Czytam twoją aurę. Wciąż jesteś tym samym Markiem.

Zawirowało mu w głowie, jakby jechał na karuzeli. Jego lewa, cyniczna półkula podsunęła oczywiste wyjaśnienie: dziewczyna pewnie tęskni za domem, a on jest częścią jej dzieciństwa, częścią tej przeszłości, od której się odcięła, może zbyt dokładnie. Odepchnął od siebie te myśli. To przecież Kimberly Ann, niewyciężona, niezdojta. Już za chwilę rozpozna w nim intruza.

Nie rozpoznała. Rozmawiali do późna w nocy, a raczej ona mówiła, a on słuchał, bez skutku próbując uwierzyć w swoje szczęście. Gdy zespół — nareszcie — zrobił sobie przerwę, ktoś podłączył do nagłośnienia najnowszy album Destiny. Gestalt płonął nieubłaganie — ciemność i kolorowe światła igrające w jej włosach i twarz najpiękniejszej kobiety, jaką znał, i przydymiony baryton Toma Mariona Douglasa śpiewającego o miłości i śmierci, o starszych bogach i przeznaczeniu, o którym lepiej nie mówić. Ta noc zmieniła go na zawsze, ale jeszcze o tym nie wiedział.

Był niemal zbyt przesycony wrażeniami, by poczuć zaskoczenie, gdy Kimberly nagle wstała, chwytając go za rękę.

— Co za nudy. Ci goście w ogóle nie kumają czaczy. Może wpadniesz do mnie na chatę, wypijemy trochę winka, zapalimy? Co ty na to? — Jej wzrok był wyzywający, był w nim cień dawnej wyniosłości, dawnego chłodu, gdy wciągała traperki z czerwonymi sznurówkami. — A może jesteś na to za sztywny?

Miał wrażenie, że na języku leży mu wielka kula waty.

— Eee, nie. Bardzo chętnie.

— Odjazd. A zatem jest dla ciebie nadzieja.

Jak w transie wyszedł za nią z klubu i wszedł do pobliskiego sklepu monopolowego ze zdjęciem więzienia San Quentin w witrynie. Łysiejący, blady sprzedawca podał im butelkę taniego wina ripple, obrzucając ich niepocholebny spojrzeniem rybich oczu. Mark był prawiczkiem. Miał swoje fantazje i swoje rozkładówki „Playboya” wetknięte między inne papiery, ułożone w stosy pod łóżkiem w swoim mieszkaniu na obrzeżach chińskiej dzielnicy. Ale nawet w marzeniach nie odważył się zostać partnerem olśniewającej Kimberly Ann. A teraz... sunął ulicami tak lekko, jakby nic nie ważył, ledwie zauważając cudaków i ludzi, którzy pozdrawiali przechodzącą Słonecznik.

Ledwie też dosłyszał głos swojej towarzyszk, gdy na szczycie rozklekotanych schodów

oznajmiła:

— ...poznasz mojego chłopca. Polubisz go, to naprawdę konkretny gość.

Jej słowa uderzyły go w mózg jak łożony młot. Zatoczył się. Kimberly ze śmiechem złapała go za ramię.

— Biedny Mark. Zawsze taki sztywny. Chodź, jesteśmy prawie na miejscu.

A zatem wylądował w jej ciasnym mieszkaniu z małą elektryczną kuchenką i ciekącym kranem w łazience. Pod jedną ścianą leżał wytarty materac przykryty kraciastym kocem. Ułożono go na drzwiach wspartych na dwóch betonowych blokach. Na nim, pod wielkim plakatem błogosławionego Che siedział Philip, chłop Słonecznik. Był ciemnooki i poważny, umięśnioną pierś opinała czarna koszulka z wizerunkiem czerwonej pięści i napisem *Huelga*. Oglądał migawki z demonstracji na małym, przenośnym telewizorze z drucianym wieszakiem zamiast anteny.

— I tak trzymać! — wrzasnął na ich widok. — Król Jaszczurów wie, co jest grane. Ci cholerni asowie, Żółw i cała reszta, tylko wspomagają system i w ogóle nie kumają, co to ma być za akcja: konfrontacja z faszystowską Ameryką. Kto ty, kurwa, jesteś?

Słonecznik wzięła go na bok i zirytowanym szeptem wyjaśniła, że jej towarzysz nie jest tajniakiem, tylko jej kumplem z dawnych czasów, i dodała, żeby przestał ją kompromitować. Philip niechętnie zgodził się uściśnąć gościowi rękę. Mark wyciągnął szyję, by spojrzeć na telewizor. Mężczyzna z brodą, który dawał teraz wywiad, wyglądał znajomo.

— Kto to?

Philip skrzywił kącik ust w uśmiechu,

— Tom Douglas, oczywiście. Wokalista Destiny. Król Jaszczurów. — Zmierzył Marka krytycznym wzrokiem od fryzury obciętej „w garnek” aż po tanie mokasyny. — Ale mogłeś o nim nie słyszeć.

Mark zamrugał i nie odpowiedział. Oczywiście że znał Destiny i Douglasa — w ramach badań właśnie kupił ich nowy album *Black Sunday* — zwykły brązowy krążek z wielką, czarną tarczą słoneczną. Ale czuł się zbyt zakłopotany, by o tym wspomnieć.

W oczach Słonecznik pojawił się rozmarzony wyraz.

— Powinieneś być zobaczyć go dziś na demonstracji. Wszedł naprzeciw psom jako Król Jaszczurów. Naprawdę odjazd.

Przełamawszy pierwsze lody, gospodarze wyjęli jakieś urządzenie złożone ze szklanej rurki i gumowych przewodów, napchali do miseczki pełno trawy i zapalili. Gdyby to sama Słonecznik zaproponowała mu sztacha, Mark pewnie by się zgodził. Ale teraz znów czuł się dziwnie i obco, jakby nie mógł się ułożyć we własnej skórze, i odmówił. Skulił się w kącie nieopodał stosu „Daily Workers”, a tymczasem gospodarze usiedli na łóżku i podawali sobie fajkę, a przysadzisty, poważny Philip głądził coś o konieczności podjęcia walki zbrojnej, aż w końcu Mark odniósł wrażenie, że zaraz odpadnie mu głowa — wypił całą butelkę obrzydliwie słodkiego wina, a normalnie nie pijał też alkoholu — a Kimberly zaczęła się przytulać do swojego chłopca i pieścić go w taki sposób, że Mark poczuł się wyraźnie zakłopotany, wymamrotał jakieś przeprosiny, wytoczył się z mieszkania i jakoś znalazł drogę do domu. Gdy przez okno wpadły pierwsze promienie świtu, wszedł do łazienki i zwymiotował butelkę ripple do popękanej muszli klozetowej i musiał splukiwać piętnaście razy, żeby znów była czysta.

Tak zaczęły się zaloty Marka do Słonecznik, dawniej znanej jako Kimberly Ann Cordayne.



— *Pragnę cię...* — Głos rozpływał się w powietrzu jak wiatr: bezczelny, sugestywny, głos niczym płynny bursztyń o mocy whisky, mimo ograniczonych możliwości małego, japońskiego tranzystora. Wojtek Grabowski zapiął kurtkę na szerokiej piersi i starał się nie słuchać.

Dźwignię uniósł się powoli niczym dinozaur-zombie i przysunął w jego stronę belkę konstrukcyjną. Mężczyzna zasygnalizował do operatora, wykonując powolne, pływackie ruchy.

— *Pragnę cię...* — naciskał głos. Grabowski poczuł przypływ irytacji.

— Powrót do przeszłości: rok 1966 i pierwszy hit grupy Destiny! — zawołał spiker profesjonalno-młodzieńczym głosem. *Amerykianie* — pomyślał pogardliwie Grabowski. *Wydaje im się, że 1966 to już historia starożytna.*

— Wyłącz to zaszrane boogie-woogie! — warknął ktoś z boku.

— Pierdol się! — odparł natychmiast właściciel radia. Miał dwadzieścia lat, dwa metry wzrostu i pół roku wcześniej wrócił z Wietnamu. Walczył w Khe Sanh. Kłótnia ucichła natychmiast.

Grabowski też wolałby, żeby chłopak wyłączył radio, ale nie chciał wyskakiwać przed orkiestrę. Większość współpracowników po prostu go tolerowała — pracował uczciwie, a w piątkowy wieczór potrafił przepić każdego. Ale zwykle trzymał się na uboczu.

Belka konstrukcyjna opadła, a pracownicy zbiegli się, by ją umocować. Zimny wiatr znad zatoki z łatwością przenikał przez cienki nylon kurtki i starzejącą się skórę. Grabowski znów pomyślał, jakie to dziwne, że wylądował akurat tutaj — on, średnie dziecko zamożnej warszawskiej rodziny. Mały Wojtek, chorowity, ale taki zdolny. Miał zostać doktorem, może nawet profesorem. Jego brat Klemens — o którym Wojtek myślał częściowo z zazdrością i w stu procentach z podziwem — wysoki, śmiały, z czarnym wąsem kawalerzysty, miał wstąpić do Szkoły Oficerskiej. Miał zostać bohaterem.

Potem nadeszli Niemcy. Klemens zginął zastrzelony w tył głowy przez Armię Czerwoną w katyńskim lesie. Jego siostra Kasia przepadła gdzieś w polowych burdelach Wehrmachtu. Matka zginęła podczas bombardowania Warszawy, gdy Rosjanie stali na brzegu Wisły i pozwolili nazistom odwalić brudną robotę. Ojciec, drobny urzędnik rządowy, przeżył ją o kilka miesięcy, po czym sam dostał kulę w łeb z rozkazu marionetkowego rządu lubelskiego.

Gdy jego marzenia o studiach legły w gruzach, młody Wojtek spędził sześć i pół roku, walcząc w partyzantce, a na koniec stał się uchodźcą w obcym kraju, gdzie została mu jedynie nadzieja na przeżycie.

— *Pragnę cię...* — Te powtórzenia zaczynały go irytować. Wychowano go na Mozarcie i Mendelssohnie. A do tego ten przekaz... to nie była piosenka o miłości, tylko o żądzy — zwykle zaproszenie do spółkowania.

Dla niego miłość oznaczała coś więcej — chłodny dotyk na czole, wilgoć osuszona podmuchem wiatru. Poślubił Annę, swoją ukochaną z partyzantki, w ruinach wiejskiego kościółka pozostałych po ataku niemieckich bombowców. Po ceremonii ksiądz podkasał wytartą sutannę i osobiście zagrał *Toccatę* i *Fugę* Bacha na fisharmonii, cudem ocalałej z wojennych zniszczeń, a jego chuda pomocnica przycupnęła niżej, obsługując miechy. Następnego dnia świeżo poślubieni małżonkowie leżeli już w zasadzce, czekając na nadjeżdżających Niemców, ale tej nocy... och, tej nocy...

Kolejna belka powędrowała w górę. Anna wyjechała pierwsza, przeschmuglowana przez

brytyjskich funkcjonariuszy; popłynęła do Ameryki, niosąc w brzuchu ich dziecko. Wojtek walczył tak długo, jak tylko zdołał, a potem podążył za nią.

Teraz mieszkał w kraju, który pokochał prawie tak, jak kocha się kobietę. Nie miał niczego więcej. W ciągu dwudziestu trzech lat nie znalazł ani śladu swojej żony i dziecka, które musiało tu przyjść na świat. Choć szukał ich wytrwale. Matko Święta, jakże ich szukał...

— *Praaaaagnę cię...*

Zamknął oczy. Jeśli jeszcze raz będzie musiał znieść ten banalny refren...

— *...zabrać w objęcia śmierci.*

Muzyka przeszła w upiorne zawrodoenie. Przez chwilę Grabowski stał zupełnie nieruchomo, jakby wiatr zmienił jego pot w warstewkę lodu. Piosenka, która zdawała się obrzydliwie przesłodzona, okazała się czymś gorszym. Ten człowiek, okrzyknięty rzecznikiem młodego pokolenia, w którego ustach gładkie czułości zmieniały się w *Totentanz* — rytualny taniec śmierci.

Belka uderzyła w pionowy wspornik i zadźwięczała jak pęknięty dzwon. Grabowski otrząsnął się i gestem kazał operatorowi ją zatrzymać. Jednocześnie wyteżył słuch, by dosłyszeć nazwisko piosenkarza. Tom Douglas.

Postanowił to zapamiętać.



Mark miał przynajmniej nadzieję, że są to zaloty. Dwa dni później Słonecznik złapała go, gdy wychodził ze spotkania ze sponsorem projektu, i wyciągnęła na spacer do parku. Odtąd często zabierała go na rundki po barach i późnych seansach dyskusyjnych, wiecach protestacyjnych w People's Park i na koncerty. Zawsze towarzyszył jej jako przyjaciel, protegowany, kolega z dzieciństwa, którego postanowiła ocalić od sztywniactwa. Niestety, nigdy nie dostąpił zaszczytnej roli Jej Chłopa.

Miał jednak powody do nadziei. Nigdy później nie zobaczył już umięśnionego Philipa. Ścisłe rzecz biorąc, nie widział żadnego z partnerów Słonecznik więcej niż raz. Wszyscy byli poważni, pełni pasji, inteligentni (i bardzo gotowi to udowodnić). Zaangażowani. I umięśnieni — przynajmniej pod tym względem gust Kimberly pozostał bez zmian. Mark trochę nad tym rozpaczał, ale w głębi jego chudej piersi tlił się ogień nadziei, że kiedyś przyda jej się ktoś bezpieczny i stabilny, a wtedy przybędzie do niego niczym mewa na ląd.

Jednak nigdy nie udało mu się przebyć przepaści zięjącej pomiędzy nim a światem, jakiego pragnął — światem, w którym żyła jego ukochana Słonecznik.

Przetrwał w ten sposób zimę, żywiąc się nadzieją i ciasteczkami owsiano-czekoladowymi, które przesyłała mu matka.

I muzyką. Pochodził z domu, gdzie śpiewano wraz z Mitchem Millerem, a Lawrence Welk zajmował honorowe miejsce, tuż obok Kennedy'ego. Dźwięk rock and rolla nie miał prawa zakłócić spokoju tego domu. Sam Mark nigdy się nim nie interesował, podobnie jak wszystkim innym, co nie dotyczyło jego laboratorium i kilku prywatnych fantazji. Przegapił inwazję Beatlesów, aresztowanie Micka Jaggera za likantropię podczas koncertu na Wyspie Wight, Lato Miłości i eksplozję acid rocka.

Teraz zwały się na niego wszystko naraz. Stonesi. Beatlesi. The Airplane. Grateful Dead. Spirit i Cream. I The Animals, a wreszcie Święta Trójca: Janis, Jimi i Thomas Marion Douglas.

Przede wszystkim Douglas. Jego ponura muzyka przypominała spacer wśród starożytnych ruin — mroczna, posępna, nawiedzona. Choć w swoich upodobaniach Mark wciąż pozostał wierny nieco łagodniejszym brzmieniom Mamas & Papas i innych zespołów, które przeszły już do historii, to jednak pociągała go aura Douglasa — czarny humor, perwersyjne gry słowne, choć odrzucała go pobrzmiewająca w tym nietzscheańska furia. Może po prostu chodziło o to, że Douglas uosabiał to wszystko, czego tak rozpaczliwie brakowało Markowi Meadowsowi. Był sławny, charyzmatyczny, odważny, na fali i niewiarygodnie atrakcyjny dla kobiet. I był asem.

Asowie i Ruch — pod wieloma względami przebili się do publicznej świadomości niczym eskadra ciężkich samolotów, które ojciec Marka poprowadził do walki w Wietnamie Północnym. Wśród gwiazd rock and rolla było więcej asów niż w jakiegokolwiek innej grupie. Ich moce rzadko grzeszyły subtelnością. Jedni potrafili wyświetlać oszałamiające iluminacje, inni tworzyli szokującą muzykę bez pomocy instrumentów. Jednak większość z nich toczyła gierki psychologiczne z publicznością, posługując się iluzją i bezpośrednią manipulacją emocjonalną. Tom Douglas — Król Jaszczurów — był w tym mistrzem.



Nadeszła wiosna i promotor zaczął domagać się wyników badań. Mark wpadł w rozpacz, nieustannie wyrzucając sobie brak dyscypliny czy też męskości, który nie pozwalał mu w pełni zakosztować kultury narkotykowej. Bez tego doświadczenia nie mógł kontynuować badań. Czuł się jak mucha zastygła w bursztynie, którą rodzice pokazali mu w dzieciństwie.

W kwietniu wycofał się z rzeczywistości do papierowego świata ograniczonego czterema ścianami pokoju. Miał wszystkie płyty Destiny, ale teraz nie mógł ich już słuchać — ani ich, ani Stonesów, ani męczennika Jimiego. Byli wyzwaniem, któremu nie potrafił sprostać.

Jałł czekoladowe ciasteczka, popijał colę i wychodził z pokoju tylko po to, by zaspokoić nostalgiczny nałóg z dzieciństwa — miłość do komiksów. Nie tylko stare klasyki, przygody Supermana i Batmana z epoki niewinności, zanim ludzkość wyciągnęła dziką kartę, ale też ich nowoczesnych spadkobierców; zeszyty opisujące sfabularyzowane dokonania prawdziwych asów, tak jak kiedyś opisywano kowbojów i rewolwerowców. Pochłaniał je z zapalem nałogowca. Chwilowo wypełniały pustkę, coraz bardziej pożerającą go od środka.

Oczywiście nie chodziło tu o nadludzkie moce — nie pragnął niczego tak egzotycznego. Nie było to pragnienie akceptacji, przyjęcia do tajemniczego świata kontrkultury ani nawet pożądanie dla smukłego, nieskrępowanego biustonoszem ciała Kimberly Ann Cordayne. Nie dlatego złany potem przewracał się z boku na bok w bezsenne noce. Mark Meadows najbardziej na świecie pragnął zyskać skuteczną osobowość. Chciał działać, osiągać cele, zostawić jakiś ślad, dobry czy zły, wszystko jedno.

Wieczorem, pod koniec kwietnia, ktoś zastukał do drzwi jego samotni. Leżał na materacu w pościeli, której nie zmieniono nigdy za ludzkiej pamięci, z nosem wetkniętym w strony zeszytu z przygodami Żółwia, numer 92. W pierwszej chwili zareagował strachem, następnie złością na intruza. Uznał, że świat go przerasta, i postanowił dać mu spokój. Dlaczego świat nie mógł odplacić mu się tym samym?

Znów rozległo się pukanie — mocne, grożące zerwaniem cienkiej warstwy drewna dzielącej go od pustki. Westchnął.

— Czego? — zawołał.

— Wpuścisz mnie czy mam wywalić ten kawałek tektury, który twój właściciel krwio pijca nazywa drzwiami?

Przez chwilę Mark po prostu leżał bez ruchu. Potem położył komiks na poplamionej podłodze obok łóżka i podszedł do drzwi w skarpetkach.

Stała tam z rękami opartymi na biodrach. Miała na sobie kolejną spódnicę koloru fajerwerków i spraną różową bluzkę. Dla ochrony przed kwietniowym chłodem włożyła dzinsową kurtkę Levi'sa, z czarnym orłem — logo Zjednoczonych Rolników — wyrysowanym na plecach i pacyfką naszytą na lewej piersi.

Wślizgnęła się do środka i zatrzasnęła za sobą drzwi.

— Tylko spójrz na ten barłóg! — wykrzyknęła, kreśląc szybki gest przecinający ściany na wysokości piersi. — Jak człowiek może tak żyć? Nie dość, że żywisz się przetworzonym cukrem — wskazała głową na talerz ciasteczek i szklankę coli, odgazowanej od tygodnia — to jeszcze wbijasz sobie do głowy te autorytarne pierdoły! — Ostрым gestem wskazała na porzuconego Żółwia leżącego smętnie na podłodze. — Sam pożerasz się żywcem, Mark! Odciąłeś się od swoich przyjaciół, od ludzi, którzy cię kochają. To się musi skończyć.

Mark stał jak urzeczony. Nigdy nie widział, by Słonecznik wyglądała piękniej niż w tej chwili, mimo że akurat go besztala i zachowywała się jak jego matka — a ściśle rzecz biorąc, jak jego ojciec. A potem jego chude ciało zawibrowało niczym kamerton, bo dopiero teraz zdał sobie sprawę, co powiedziała Słonecznik — wspomniała, że go kocha. Nie była to miłość, jakiej pragnął. Ale pod względem emocjonalnym nie mógł za bardzo wybrzydzać.

— Czas, żebyś wyszedł ze skorupy, Mark. Z tego pokoju-macicy. Zanim zamienisz się w zombie z *Nocy żywych trupów*.

— Mam pracę.

Słonecznik uniosła brew i trąciła butem Żółwia.

— Idziesz z nami.

— Dokąd? — zamrugał. — Z kim?

— Nie słyszałeś? — Potrząsnęła głową. — No jasne. Zamknąłeś się w tym pokoju jak jakiś mnich. Destiny zjechali do miasta. Zagrają dziś koncert w Fillmore. Tata przesłał mi pieniądze i mam dla nas bilety — dla ciebie, dla mnie i dla Petera. Wskakuj w ciuchy, musimy iść szybko, żeby potem nie czekać w kolejce całą wieczność. I, na litość boską, nie ubieraj się znów jak sztywniak.



Peter z wyglądu bardzo przypominał surfera, ale chyba uważał, że jest Karolem Marksem. Niebezpiecznie przypominał Markowi dawnego chłopaka Kimberly Ann, kapitana drużyny futbolowej, który rozbił mu nos za to, że zbyt nachalnie gapił się na jego dziewczynę. Stojąc na zewnątrz, ubrany w wytartą tweedową marynarkę i swoje jedyne dzinsy, wdychając wilgotne powietrze i dym papierosowy, Mark słuchał, jak Peter recytuje ten sam wykład na temat procesów historycznych, którym wcześniej uraczyli go pozostali partnerzy Słonecznik. Gdy Mark zareagował z niedostatecznym entuzjazmem — nigdy nie zrozumiał tych manifestów na tyle dobrze, by wyrobić sobie o nich zdanie — Peter wbił w niego lodowate, błękitne spojrzenie i warknął:

— Zniszczę cię.

Nieco później Mark odkrył, że był to dosłowny cytat z pism starszego pana z brodą. Teraz miał ochotę po prostu wtopić się w zniszczony chodnik przed wejściem. Słonecznik stała pomiędzy mężczyznami, promieniejąc uśmiechem, jakby właśnie wygrali jej nagrodę na strzelnicy.

Na szczęście już za chwilę Peter wdał się w sprzeczkę z policjantami, którzy wypisali im mandat za picie w miejscu publicznym. Mark poczuł paskudną nadzieję, że gliniarze zdziesią Petera pałą w łeb i zawloką na wytrzeźwiajątkę.

Ale właśnie dobiegał koniec najbardziej burzliwej trasy Destiny. Tom Douglas, którego spożycie alkoholu i substancji psychoaktywnych było równie legendarne co jego moc asa, upijał się przed każdym koncertem. Król Jaszczurów wyruszył na podbój. Zeszłotygodniowy koncert w New Haven spowodował zamieszki, które zupełnie zdemolowały kampus Yale i połowę miasta. Na swój niezdarny sposób policjanci próbowali tego wieczoru uniknąć konfrontacji. Wypisywanie mandatów nie było może najrozsądniejszym wyjściem, ale ani policjanci, ani właściciele Fillmore nie chcieli, żeby dzieciaki rozbrykały się bardziej, niż im Tom Douglas rozkaże. Oczekujących w kolejce trochę dyscyplinowano, ale bez przesady. Peter i jego blond łeb pozostali nietknięci.

Pierwszy koncert Destiny spełnił wszystkie oczekiwania Marka podniesione do dziesiątej potęgi. Douglas, jak to miał w zwyczaju, spóźnił się z wejściem dwie godziny. Był tak napruty, że ledwie stał, dlatego szybko rzucił się ze sceny w tłum zachwyconych fanów. Ale trzech pozostali członkowie Destiny byli jednymi z najlepszych wykonawców rocka. Ich biegłość pozwalała przykryć całe mnóstwo drobnych grzeszków. I w końcu, na rusztowaniu ich muzyki bełkot Douglasa i jego nieskoordynowane gesty zbudowały coś magicznego. Muzyka była jak fala kwasu, rozpuszczając przezroczyste więzienie Marka, aż w końcu dotarła do skóry i zabolą.

Przed kolejnym utworem światła zgasły, jakby ktoś zamknął wielkie drzwi. Gdzieś odezwał się werbel, powolny, ciężki rytm. Z ciemności zabrzmiało bolesne zawodzenie gitary. Samotna, błękitna wiązka światła oświetliła wokalistę pośrodku sceny. Jego skórzane spodnie lśniły jak prawdziwa łuska. Zaczął śpiewać — łagodny, niski jęk, z każdą chwilą silniejszy, bardziej nagły. Intro do ich największego dzieła *Serpent Time*. Głos artysty poszybował w górę jak nagły krzyk, a światło i dźwięk wybuchły wokół niego niczym fala rozbijająca się o skały i poszybowały w dal, na wędrówkę w największe głębiny nocy.

Douglas nareszcie ukazał się jako Król Jaszczurów. Biła od niego czarna aura jak z hutniczego pieca, co chwila omywając publiczność. Działanie tej mocy było zwodnicze, nieuchwytnie, niby jakiś nieznany narkotyk. Jednych wznosiła na szczyty ekstazy, innych wbijała w otchłań najgęstszej rozpacz. Niektórzy widzieli swe najskrytsze marzenia, inni spoglądali wprost w gardziel piekieł.

A pośrodku tego blasku stał Tom Douglas, większy niż zwykle. Zamiast jego szerokich, przystojnych rysów raz po raz migał ostry pysk i rozpostarty kaptur olbrzymiej kobry królewskiej, czarnej i groźnej, kołyszącej się w rytm melodii.

Gdy utwór osiągnął punkt kulminacyjny, przy akompaniamencie wycia organów i gitary, a potem wyciszył się powoli, Mark odkrył, że łyzy spływają mu po chudej twarzy. W jednej ręce ścisnął dłoń Słonecznik, a w drugiej — kogoś zupełnie obcego, podczas gdy Peter siedział na podłodze z twarzą ukrytą w dłoniach i mruzczał coś o dekadencji.



Następnego dnia Nixon wysłał wojska do Kambodży. W całym kraju uczelnie zapłonęły jak oblane napalmem.

Mark znalazł Słonecznik po drugiej stronie zatoki na wiecu w Parku Golden Gate.

— Nie mogę! — zawołał, by przekrzyczeć mówców. — Nie mogę tego przekroczyć... Sam z siebie nie umiem nawet wyjść z domu!

— Och, Mark! — wykrzyknęła ze łzami, potrząsając głową. — Jesteś taki samolubny. Taki... taki burżujski! — Odwróciła się na pięcie i zniknęła w tłumie skandujących demonstrantów.

Nie widział jej później przez trzy dni.

Szukał jej, lawirując poprzez wściekły tłum, gąszcz transparentów żądających ustąpienia Nixona i zakończenia wojny, poprzez obłoki dymu z marihuany, który przenikał całą okolicę niby zapach kapryfolium. Jego sztywniacki strój przyciągał wrogie spojrzenia. Z trudem uniknął kilkunastu potencjalnie nieprzyjemnych spotkań, coraz bardziej załamany swoją niezdolnością do wtopienia się w tę pulsującą ludzką masę.

Rewolucja wisiała w powietrzu. Czuł narastające napięcie jak ładunek statyczny, niemal wyczuwał zapach ozonu. I nie był jedyny.

W końcu znalazł Słonecznik na całonocnym czuwaniu, kilka minut przed nadejściem 3 maja. Siedziała po turecku na małej kępcie rachitycznej trawy, ocalałej po przejściu tysięcy nóg, i brzdąkała na gitarze, słuchając przemowy wykrzykiwanej przez megafon.

— Gdzie byłaś? — spytał Mark, przyklękając w błocie pozostałym po deszczu.

Tylko potrząsnęła głową. Mark z chlupotem przysiadł obok niej na trawie.

— Gdzie byłaś? Wszędzie cię szukałem.

W końcu spojrzała na niego smutno.

— Byłam z ludźmi, Mark. Tam gdzie moje miejsce.

Nagle pochyliła się naprzód, złapała go za ramiona, zadziwiająco mocno.

— To również twoje miejsce. Ale ty jesteś taki... taki samolubny. Tak jakbyś siedział w skorupie. Masz tyle do zaoferowania, właśnie teraz, gdy najbardziej potrzebujemy pomocy, by walczyć z uciskiem, zanim będzie za późno. Wyrwij się z tego! Uwolnij się!

Zaskoczony dostrzegł łzy lśniące w kącikach oczu.

— Próbowałam — powiedział szczerze. — Ale jakoś... jakoś nie mogę.

Znad morza ciągnęła bryza, chłodna i lekko wilgotna, czasem porywając słowa dolatujące z megafonu.

— Biedny Mark. Taki z ciebie sztywniak. Twoi rodzice, szkoła, wszyscy zapakowali cię w kaftan bezpieczeństwa. Musisz się uwolnić. — Zwilżyła wargi. — Chyba wiem, jak ci pomóc.

Nachylił się zaciekawiony.

— Jak?

— Musisz zburzyć mury, tak jak w tej piosence. Musisz otworzyć umysł.

Przez chwilę grzebała w kieszeni haftowanej dzinsowej kurtki, a potem podała mu coś w zaciśniętej pięści.

— Promyk słońca. — Rozwarła palce. W środku spoczywała niepozorna biała tabletka. — Kwas.

Mark wpatrywał się w nią jak urzeczony. Oto miał przed sobą obiekt swoich bezowocnych badań — misję i cel misji w jednym. Trudności w legalnym zdobyciu LSD i jego głęboka niechęć do czegokolwiek nielegalnego, a także równie głęboki strach, że pierwsza próba zakupu zakończy się dla niego w więzieniu San Quentin — sprawiły, że wiecznie odsuwał od siebie chwilę próby.

Już wcześniej proponowano mu kwas, gdy spędzał wieczory w awangardowym towarzystwie, ale zawsze odmawiał, tłumacząc sobie, że nigdy nie wiadomo, co znajduje się w narkotyku kupionym na ulicy, a w głębi duszy bał się tego, co kryło się za licznymi drzwiami, które mógł tym otworzyć. Ale teraz świat, którego tak pragnął, napierał na niego jak fala przyływu, a kobieta, którą kochał, proponowała mu pokusę i wyzwanie. Tabletkę leżała na jej dłoni, z wolna rozpuszczając się w deszczu.

Chwycił ją, szybko i ostrożnie, jakby bał się, że poparzy mu palce. Włożył ją do kieszeni wąskich, czarnych spodni, obecnie tak obryzganym błotem, że przypominały nieudolny eksperyment farbiarski.

— Muszę to przemyśleć, wiesz? Nie mogę tego zrobić zbyt pochopnie. — Nie wiedząc, co mógłby jeszcze powiedzieć, rozplótł długie nogi i chciał wstać.

Słonecznik znów chwyciła go za rękę.

— Nie. Zostań ze mną. Jeśli pójdziesz teraz do domu, to wrzucisz pigułkę do kibla. — Pociągnęła go w dół, do siebie, aż znaleźli się bliżej niż kiedykolwiek, a Mark w końcu zauważył, że nigdzie w pobliżu nie było widać żadnego z jej jasnowłosych ochroniarzy. — Zostań tutaj, pośród ludzi. Ze mną — dodała gardłowo. Oddech dziewczyny musnął jego ucho, delikatnie, jak dotyk rzęsy. — Widzisz, ile masz do zyskania? Jesteś wyjątkowy, Mark. Możesz zrobić tyle ważnych rzeczy. Zostań dziś ze mną.

Zaproszenie nie było może z gatunku tych, na które liczył, ale usiadł z powrotem w błocie. Noc mijała w chłodnym poczuciu wspólnoty, tulili się do siebie, okryci wątpliwym schronieniem dżinsowej kurtki, ramię przy ramieniu, podczas gdy mówcy grzmieli o nadchodzącej rewolucji i ostatecznej konfrontacji z Ameryką.

Przed świtem demonstracja zaczęła podlegać autolizii. Razem powlekli się do małej kafejki czynnej całą dobę i zjedli organiczne śniadanie — Mark w ogóle nie czuł smaku jedzenia — a Słonecznik gorączkowo opowiadała o przeznaczeniu, które jest tuż na wyciągnięcie ręki.

— Gdybyś tylko potrafił wyjść poza swoje ograniczenia. — Wyciągnęła rękę i ujęła go za długą, bladą dłoń swoją, małą i opaloną. — Gdy spotkałam cię wtedy w klubie, zeszłej jesieni, naprawdę się ucieszyłam, bo trochę tęskniłam za starymi czasami, jakkolwiek by były niedobre. Widziałam w tobie tylko znajomą twarz.

Spuścił wzrok, mrugając gwałtownie, zaskoczony tym szczerym wyznaniem. Słonecznik otwarcie przyznała, że nie zależało jej na nim, raczej na tym, co symbolizował.

— Ale to się zmieniło — dodała. Spojrzała na nią czujnie, jak sarna przyważona rankiem w ogrodzie, gotów uciekać, widząc najmniejszy ślad zagrożenia. — Teraz cenię cię za to, kim jesteś, i za to, kim możesz być. Pod tą idiotyczną fryzurą i rogowymi okularami, i burżujskimi ciuchami kryje się prawdziwy człowiek. Człowiek, który błaga o wolność.

Przykryła jego dłoń drugą, pogładziła lekko.

— Mam nadzieję, że go uwolnisz, Mark. Bardzo chciałabym go poznać. Ale nadszedł czas, byś podjął tę decyzję. Nie mogę już czekać dłużej. Musisz wybrać, Mark.

— Chcesz powiedzieć, że... — Głos mu zamarł. Jego zamroczony zmęczeniem umysł zrozumiał, że Słonecznik proponuje mu nie tylko przyjaźń — a jednocześnie grozi, że pozbawi go nawet tego, jeśli on sam nie zareaguje w porę.

Odprowadził ją do mieszkania. Na szczycie schodów chwyciła go nagle za szyję i pocałowała namiętnie. Potem zniknęła, zostawiając go w kompletnym oszołomieniu.



— W końcu dali im nauczkę, tym małym komuszkom. W samą porę, co nie?

Stojąc u podnóża wznoszonego wieżowca, Wojtek Grabowski popijał herbatę z termosu, słuchając, jak jego koledzy dyskutują o najświeższych wiadomościach, które właśnie napłynęły przez tranzystor. Gwardia Narodowa otworzyła ogień do uczestników wiecu na Uniwersytecie Kent w Ohio, kilka osób zginęło. Budowlańcy uważali, że już najwyższy czas.

Grabowski też tak uważał, ale ta wiadomość raczej go zasmuciła, niż ucieszyła.

Później, spacerując po rusztowaniu wysoko ponad miastem, rozmyślał nad tą tragedią. Amerykańscy żołnierze oddawali życie, by ocalić bratni naród od komunistycznej agresji — a tu w kraju ich współobywatele odsądzały ich od czci i wiary. Ho Chi Minh był przez nich wychwalany jako wyzwoliciel i bohater.

Grabowski wiedział, że to nieprawda. Na własnej skórze przekonał się, co komuniści rozumieją przez „wyzwolenie”. Gdy słyszał, jak wychwalają tych morderców, w głowie rozbrzmiewał mu przeraźliwy krzyk pomordowanych krewnych i przyjaciół.

Nie chodziło tu tylko o poglądy demonstrantów, ale także o ich samych. Uprzywilejowane, bogate dzieciaki, przeważnie z wyższej klasy średniej, kasały rękę, która dała im bezpieczeństwo i wygodę, co było niespotykane wcześniej w historii ludzkości. „Ameryka pożera swe młode!”, krzyczeli, ale on widział to inaczej. To ona miała zostać pożarta przez swe młode.

Uwierzili fałszywym prorokom, takim jak ten Douglas. Od czasu, gdy jego piosenka tak go zbulwersowała, trochę poczytał na temat tego artysty. Wiedział, że Douglas jest jednym ze skażonych, ludzi przeżartych kosmiczną trucizną uwolnioną tamtego strasznego dnia w 1946 roku, dzieckiem nowego, nikczemnego świtu, który Grabowski oglądał z pokładu statku zacumowanego przy Governors Island. Nic dziwnego, że dzieci występowały przeciwko rodzicom, jeśli słuchały podszeptów człowieka, którego sam Szatan nazaczył jako swego.

— Hej! — zawołał potężny eksmarine, właściciel radia. —

Ci cholerni hipisi wyszli na ulice przed ratuszem, wybijają szyby i palą amerykańskie flagi!

— Skurwysyny!

— Trzeba coś zrobić! To rewolucja!

Młody weteran pospiesznie narzucił kurtkę Levi'sa i poprawił kask na krótko ostrzyżonej głowie.

— To tylko parę przecnic stąd. Nie wiem jak wy, ale ja zamierzam coś z tym zrobić! — Pobiegnął w stronę windy.

Grabowski chciał krzyknąć: „Czekajcie! Trzeba to zostawić władzom! Jeśli brat wystąpi przeciwko bratu, zło zwycięży!”. Ale nie mógł wydobyć głosu.

Był równie wściekły jak pozostali i przerażony, bo kiedyś na własne oczy widział, jak wygląda ta „rewolucja”, o której wszyscy teraz tyle mówili. Rozgorączkowany z całej siły chwycił się stalowej belki.

A wtedy jego palce wniknęły w stal jak w tę miękką, lepłą masę, którą Amerykanie nazywali „lodami”.

Sam został naznaczony piętnem Bestii.



Mark spędził resztę dnia w otępieniu, łączącym nadzieję, pożądanie i strach. Przegapił wiadomości o zamieszkach w Kent. Podczas gdy reszta Ameryki reagowała przerażeniem lub aprobata, on siedział w swoim pokoju nad talerzem ciastek, pochylony nad swoimi pracami i książkami o LSD. Co chwila wyciągał tabletkę kwasu i obracał ją w palcach jak talizman. Gdy słońce powoli wspięło się na niebo, wiedziony impulsem podjął decyzję i włożył pigułkę do ust. Popił ją szybkim łykiem odgazowanej fanty, by przełknąć, zanim znów zawiodą go nerwy.

Z tego, co czytał na temat kwasu, wiedział, że zwykle zaczyna działać po godzinie-półtorej. Próbował zabić czas, przeglądając antologię Solomona, potem komiksy Marvela, potem Zapa, które zdobył w pogoni za wiedzą. Po godzinie, zbyt stremowany, by samemu czekać na działanie narkotyku, wyszedł, by odnaleźć Słonecznik, powiedzieć jej, że stał się mężczyzną, wykonał ostateczny krok. A także — że boi się zostać sam, gdy kwas w końcu zacznie działać.

Poszukiwanie Słonecznik zawsze przypominało śledzenie płatka kwiatu niesionego wiatrem, ale wiedział, że wcześniej czy później ciągnęło ją do UCB, które zastąpiło komunę w Haight jako miejscowe centrum kontrkultury. Pracowała też dorywczo w sklepie tytoniowym nieopodal People's Park. A zatem około dziewiątej trzydzięci 5 maja 1970 roku wkroczył do parku — i prosto w najbardziej spektakularny pojedynek asów epoki Wietnamu.



W krótkiej chwili olśnienia wszyscy — i władza, i ich wrogowie — zrozumieli, że nadszedł czas walki na ulicach. Jeśli rewolucja miała nadejść, to musiała nadejść teraz — na fali pierwszej, gorącej furii po masakrze w Kent. Radykalni przywódcy znad Zatoki zwołali olbrzymi wiec w People's Park, a naprzeciwko stanęła nie tylko miejscowa policja, ale i Gwardia Narodowa, osobisty kontyngent Ronalda Reagana.

Do za piętnaście dziesiąta policja wycofała się z parku, tworząc kordon wokół kampusu, by nie dopuścić do szerzenia zamieszek. Teraz była tam tylko młodzież i kilka dwuipółtonowych ciężarówek M35, z których wysypywali się gwardziści w strojach bojowych i maskach gazowych. Za nimi ze stukotem, piskiem i warkotem diesla nadjechał pojazd opancerzony M113, którego gaśnice wsysały błoto niczym usta. Mężczyzna w mundurze kapitana siedział sztywno na wieżyczce strzeleckiej wyposażonej w działko kaliber .50. Ubrany był w hełm przypominający skórzany kask futbolowy.

Studenci odskoczyli od zielonej linii jak rtęć od gołego palca. Wcześniej, podobnie jak ich bracia w Ohio, krzyczeli do władz, by zabrali tę wojnę do domu, i chyba im się udało. Regularnie wzywano gwardię narodową do rozpędzania demonstracji, ale brzydka, kanciasta sylwetka transportera opancerzonego zwiastowała coś nowego — cień groźby, która nie mogła umknąć nawet najbardziej naiwnym demonstrantom. Tłum odstąpił, rozległy się niespokojne szepty.

W miejscu opuszczonym przez rozproszone szeregi nagle zjawiła się samotna, smukła postać odziana w czarną skórę.

— Przyszliśmy tu, by nas wysłuchano — powiedział Thomas Marion Douglas, a jego głos poniósł się po okolicy. — I wysłuchacie nas, do cholery!

Za jego plecami tłum zaczął zwierać szyki. Oto gwiazdor — a do tego as — stanął z nimi ramie przy ramieniu. Za linią bagnatów gwardziści zaczęli rozglądać się nerwowo. W większości byli to młodzi chłopcy, którzy wstąpili do gwardii, żeby nie trafić do Wietnamu, i dobrze wiedzieli, kto stoi naprzeciwko. Wielu z nich miało płyty Destiny i plakaty z wyniosłą twarzą Douglasa na ścianie nad łóżkiem. Trudno było użyć bagnetu albo kolby karabinu przeciwko komuś znajomemu, nawet jeśli była to tylko twarz znana z okładki płyty albo zdjęcia w magazynie „Life”.

Kapitan był bardziej zdyscyplinowany. Wykrzyknął z kopuły jakiś rozkaz, zakaszłały armatki wyrzucające gaz łzawiący, po czym kilka małych komet zakreśliło łuki, spadając w pobliżu Douglasa i zebranych wokół niego demonstrantów. Wstęgi gęstego, białego dymu zasłoniły artystę.

Przemykając zaułkami, Mark zdołał ominąć kordon policyjny. Wychodząc z uliczki, zobaczył z boku, jak jego idol staje na czele protestu, otoczony wstęgami dymu, niczym średniowieczny męczennik na stosie. Zatrzymał się i z otwartymi ustami patrzył na rozgrywającą się konfrontację.

A potem zadziałał kwas.

Miał wrażenie, że rzeczywistość zaczyna się rozplýwać, ale ta scena była zbyt wyrazista jak na halucynację. Chłodny, poranny wiatr rozwiął zasłonę gazu, a wtedy jego oczom ukazał się mężczyzna stojący na rozstawionych nogach, z uniesionymi pięściami i falą kasztanowych włosów spływających na plecy, odsłaniając szeroką twarz, która migotała, zmieniając się w obraz olbrzymiej kobry z rozdętym kapturem oraz lśniącymi łuskami. Gwardziści cofnęli się z respektem. Oto przybył Król Jaszczurów.

Król ruszył naprzód, sunąc z węzowym wdziękiem. Mundurowi złamali szyki. Ktoś dźgnął go bagnetem, a może tylko nie dość szybko się odsunął? Błyskawiczny ruch nadgarstka, jakby wykonany od niechcienia, ale z nieludzką szybkością, i karabin odleciał na bok, koziołkując w powietrzu, a jego właściciel padł na trawę z okrzykiem przerażenia. Kapitan w swej stalowej skrzynce krzyczał ochryple, próbując zewrzeć rozpadające się szeregi.

Ale przybierając aspekt Króla Jaszczurów, Douglas rozpoczął też swoje gierki umysłowe. Wzrok żołnierzy zaczął błędzić wpatrzony w wizje niezwykłego piękna albo też straszliwych potworności. Czarna aura wciągała każdego we własny świat.

Tłum demonstrantów zaczął napierać: skandujący, krzyczący, coraz groźniejszy. Dowódca gwardii zrobił jedyne, co mógł — jego kciuk drgnął raz na spuście działka. Lufa rzygnęła ogłuszającym hałasem, od którego pękały szyby, a nad głowami demonstrantów poszybowały pociski smugowe.

Tłum demonstrantów, dopiero co triumfujący, rozpierzchnął się w panice. Odgłos strzałów uderzył Marka jak wielka poduszka i rzucił go w tył, w stronę niekończących się, krętych zaułków. Ale przed nim wciąż widniała ta sama scena, jak światło w tunelu, jasna, straszliwa i nagląca. Pociski nie trafiły nikogo, ale protestujący, wśród nich sam Mark, po raz pierwszy zetknęli się z rzeczywistością, o której mówił ich prorok Mao — ze świadomością tego, co jest źródłem władzy.

Tom Douglas stał tak blisko, że płonący proch opalił mu brwi. Nawet nie drgnął, choć wystrzał uderzył go z siłą większą od tysięcy głośników. Odpowiedział własnym rykiem, od

którego gwardziści zmykali jak przerażone szczenięta.

Jednym potężnym susem znalazł się na górnym pokładzie transportera. Pochylił się, chwycił lufę działka, pociągnął. Ciężki browning wyrwał się z mocowania jak młode drzewko wyrwane z korzeniami. Uniósł broń wysoko nad głowę, oburącz, a potem, jednym ruchem barków i bicepsów, zgiął ją prawie wpół. Wyraziwszy w ten sposób swoją pogardę dla władzy i jej wojennych machin, rzucił zniszczone działko w stronę gwardzistów, teraz w pełnym odwrocie i pochylił się, by wyciągnąć przerażonego dowódcę ze stanowiska, chwytając go za bluzę. Przez chwilę trzymał go na wyciągniętych rękach, nie zwracając uwagi na jego bezskuteczne szamotanie.

A potem padł, uderzony z tyłu z całej siły przez nieznanego asa.

Mark poderwał się z ziemi. Jego dusza z wrzaskiem zniknęła w wirującym mroku. Ciało na ślepo odwróciło się i pognało przed siebie.



Wojtek Grabowski zobaczył, jak posępna wężowa postać wskakuje na pokład transportera i wrywa broń z mocowania. Wiedział, że nie na darmo przeżył wojnę.

Wczoraj tylko gorliwa wiara ochroniła go przed samobójstwem. Zszedł z rusztowania — opuszczonego przez robotników, którzy pobiegli zaatakować demonstrantów — i wrócił do domu, gdzie spędził bezsenną noc na milczącej modlitwie.

O świcie rzeczywiście doznał oświecenia — zrozumiał, że jego przypadłość nie jest przekleństwem, lecz błogosławieństwem. Rewolucja zagroziła jego przybranej ojczyźnie. Zaatakowali ją ludzie opętani przez siły ciemności. Wstał, umył się, ubrał i ruszył do parku ze spokojem w sercu.

Teraz walczył z bestią, która zdawała się mieć wiele głów i wiedział już, że stanął twarzą w twarz ze zniechęconym przez niego Tomem Douglasem.

Wypełniła go furia, a organizm poddał się transformacji w asa. Mięśnie napęczniały, naciągając luźne robocze ubrania, aż prawie pękały. Na głowie miał stalowy hełm budowlanica, w ręku trzymał klucz hydrauliczny. Wszelkie wątpliwości, czy należy używać nadprzyrodzonych mocy przeciwko zwykłym ludziom, zniknęły. To był godny przeciwnik, as, zdrajca, sługa piekieł.

Pognał naprzód, przesadził pojazd jednym susem, gdy wężogłowy potwór wyciągnął dowódcę z za sterów. Studenci krzyknęli ostrzegawczo, ale Douglas tego nie usłyszał. Budowlaniec uniósł klucz i uderzył go w tył głowy, raz to brązowej i kędzierzawej, raz to gładkiej, czarnej i plugawej.

Tak silny cios byłby roztrzaskał czaszkę zwykłego człowieka albo zerwał mu ją z ramion. Ale migoczący obraz przeciwnika zmylił rękę Grabowskiego. Cios ześlizgnął się bokiem. Douglas upuścił miotającego się dowódcę i ześlizgnął się po pancerzu pojazdu, jakby pozbawiony kości, a klucz wbił się w pancerz, wgniatając go jak cynfolię.

Przez chwilę myślał, że zabił wroga, i opuściły go siły. By pozostać w tej postaci, potrzebował gniewu, ale teraz czuł tylko wstyd.

— Odejdźcie stąd! — wykrzyknął swoim chropawym angielskim. — Idźcie do domów. To koniec. Nie walczcie już więcej. Słuchajcie starszych i żyjcie w pokoju!

Ale oni stali tylko i patrzyli na niego baranim wzrokiem. Poranna rosa wessała gaz łzawiący

i zatrąła trawę. Kilka ostatnich białych wstęg wiło się po ziemi niczym konające węże. Grabowski poczuł, że łzy spływają mu po twarzy. Czemu nie chcieli go słuchać?

Ktoś z tyłu krzyknął:

— Pieprz się! Pieprz się, ty pieprzony faszysto!

Nie mógł uwierzyć, że rzucono mu w twarz akurat tę obelgę — jemu, człowiekowi, w którego ciele wciąż tkwiły pociski faszystów — i zrobił to jakiś rozpieszczony, bezczelny, niedouczony szczeniak. Gniew wypełnił go po brzegi, powodując kolejny przypływ nieludzkiej siły.

Miał szczęście, bo w tej samej chwili Tom Douglas otrząsnął się z szoku, zerwał się na nogi, chwycił Budowlanica za kostki i przewrócił szarpnięciem. Jego kask uderzył w pokład pojazdu niczym cymbał. Douglas, równie wściekły jak as, który powalił go wcześniej, przygwoździł przeciwnika do pojazdu i zaczął okładać ciosami wyprowadzanymi z nieprawdopodobną siłą.

Ale Grabowski też był wytrzymalszy od zwykłego człowieka. Uniósł swój klucz i wbił go pomiędzy nich, gwałtownie odpychając Douglasa. Mężczyzna poślizgnął się na mokrej trawie, odzyskał równowagę z wężową zręcznością i skoczył do ataku... by sekundę później zatrzymać się i wspiąć na palce jak baletnica, gdy brutalny, dwuręczny cios kluczem ze świstem przeleciał o centymetry od jego brzucha.

Douglas zanurkował tuż pod łukiem kreślonym przez śmiercionośne narzędzie. Chwycił przeciwnika, a potem zasypał ciosami, mierząc pod żebra. Grabowski cofnął się, położył rękę na mostku napastnika i popchnął. Douglas zatoczył się o krok i tylko jego nieludzki refleks ocalił go przed ciosem klucza wymierzonym w środek czaszki.

Stalowy dziób narzędzia przeciął mu skórę na czole. Trysnęła krew. Douglas cofnął się gorączkowo, próbując obetrzeć oczy, drugą tymczasem machał gorączkowo, by odeprzeć kolejne ataki.

Budowlaniec zamachnął się kluczem jak kijem bejsbolowym i trafił Douglasa pod prawe ramię. Uderzenie poniosło się po parku echem jak wybuch granatu. Douglas upadł. Budowlaniec stanął nad nim w szerokim rozkroku, powoli unosząc klucz, jak kat szykujący topór do śmiertelnego ciosu. Z kącika ust spływała mu krew. Był całkowicie ogarnięty szaleństwem, pozbawiony skrupułów, współczucia, czegokolwiek, prócz prymitywnej chęci, by rozwalić przeciwnikowi głowę, poczuć, jak pęka niczym ślimak przygnieciony kamieniem.

Ale w tej samej chwili, gdy lśniący, ociekający posoką klucz poszybował w dół, z tyłu nadleciał złoty łańcuch, owinął go i zatrzymał cios, nim sięgnął głowę ofiary.

Budowlaniec natychmiast rozluźnił chwyt, pozwalając, by klucz powędrował w stronę, skąd nadszedł niespodziewany opór. Potem szarpnął broń naprzód i w dół, okręcając się jednocześnie, by wykorzystać pęd całego ciała. Ale gdy tylko się poruszył, łańcuch zafalował, a klucz wyślizgnął się z melodyjnym jękiem. Nie napotykając spodziewanego oporu, Budowlaniec okręcił się o trzysta sześćdziesiąt stopni, zatoczył do przodu i wykonał jeszcze pół obrotu, aż w końcu spojrział na swego przeciwnika ponad błotnistą, stratowaną ziemią.

Stał tam młodzieniec, wysoki i smukły; złociste włosy opadały mu na ramiona, na długim złotym łańcuchu kołysał się wisior w kształcie pacyfki. Pomimo porannego chłodu miał na sobie tylko dzinsy. W oczach niskiego, ciemnowłosego Grabowskiego do złudzenia przypominał postać z nazistowskiego plakatu propagandowego.

— Kim jesteś?! — warknął Budowlaniec. Potem zdał sobie sprawę, że przemówił w swoim rodzimym języku, i powtórzył pytanie po angielsku.

Młodzieniec zmarszczył brwi, jakby się zastanawiał.

— Możesz mi mówić „Radykał” — odparł z szerokim uśmiechem. — Przybyłem, by bronić ludzi.

— Zdrajca! — Budowlaniec rzucił się na niego, biorąc szeroki zamach kluczem. Radykał odsunął się tanecznym krokiem. Niezależnie od tego, jak brutalnie atakował, jak zmyślne wykonywał zwody, przeciwnik z łatwością mu się wymykał. Sfrustrowany swoim niepowodzeniem w końcu znów odwrócił się do Douglasa, który wciąż pojękiwał na ziemi. A jednak Radykał znów go wyprzedził, kreśląc ósemki złotą pacyfką, odpierając najdziksze ciosy, sypiąc świetliste snopy iskier. Żołnierze i studenci patrzyli w osłupieniu, jednakowo zafascynowani.

Ale o ile napastnik nie mógł przebić się przez osłonę amuletu, o tyle Radykał nie chciał bądź nie mógł go zaatakować. Budowlaniec dostrzegł to w końcu i wycofał się, wymachując groźnie kluczem. Po chwili Radykał poszedł jego śladem, sunąc jak obłok mgły. Budowlaniec zataczał kręgi w kierunku przeciwnym do wskazówek zegara. Radykał dotrzymywał mu kroku. Polak powoli odciągnął swego długowłosego przeciwnika od powalonego Douglasa.

Jak błyskawica wykręcił w lewo i rzucił się na gapiów. Nie był wprawdzie tak szybki jak Radykał, ale i tak przewyższał zwykłego człowieka. Wdarł się pomiędzy protestujących i nim ktokolwiek zareagował, klucz uniósł się w górę, gotów miażdżyć i mordować. Radykał, zaskoczony, nie zdołał zareagować w porę.

Klucz zawisł w powietrzu, zastygł jak mucha w bursztynie. Radykał skoczył naprzód, gnany desperacją, zamachnął się swoim medalionem, mierząc w szyję, grubą jak pień, widoczną spod krawędzi hełmu. Medalion uderzył w cel, wydając szcęk jak siekiera wbita w drewno. Nie był to cios, jaki mógłby wymierzyć Król Jaszczurów, a już na pewno nieporównywalny do straszliwej broni Grabowskiego, ale wystarczający, by wytrącić Budowlańca z równowagi, przewrócić na trawę w błoto pomiędzy zmięte transparenty.

Radykał stanął nad nim, wolno kręcąc młynka medalionem. Chwilę później dołączył do niego Douglas, krzywiąc się i pocierając obolały bok.

— Chyba pękło mi parę żeber — wychrypiął znajomym barytonem, szorstkim jak polna droga. — Co tu się, kurna, dzieje?

Na ich oczach nieludzko potężna postać Budowlańca zmieniła się w krępego, łysiejącego mężczyznę w luźnym stroju. Leżał twarzą w błocie i szlochał, jakby pękło mu serce. Potrząsając potarganą grzywą, Douglas odwrócił się do swego wybawiciela.

— Jestem Tom Douglas. Dzięki, że uratowałeś mi tyłek.

— Cała przyjemność po mojej stronie, stary.

A potem Douglas wystąpił naprzód i objął blondyna. Z tłumu doleciały wiwaty. Gwardia Narodowa podała tyły, zostawiając za sobą opancerzony pojazd. Rewolucja wprawdzie nie nadeszła, ale przynajmniej ocalono parę osób.

Przed kamerami na żywo Tom Douglas ogłosił Radykała swoim towarzyszem broni i wezwał wszystkich do świętowania, zachęcając, by urządzili największą imprezę, jaką dotąd widziano nad Zatoką. Policja wciąż utrzymywała luźny kordon, gwardziści wycofali się, by lizać rany, a zewsząd nadbiegły tysiące młodych ludzi, by fetować swoich bohaterów. Opuszczony M113 zamienił się w zaimprovizowaną scenę. W całym parku wyrosły namioty niczym kolorowe grzyby. Muzyka, alkohol i dym z konopi płynęły jak woda przez cały dzień i całą noc.

A nad całym tym karnawałem górował Tom Douglas i jego tajemniczy wybawca, otoczeni pięknymi, chętnymi kobietami, z których najbardziej zainteresowana zdawała się smukła brunetka o oczach jak pęknięty lód, na którą wszyscy mówili Słonecznik. Zdawało się, że wyrosła Radykałowi u boku, jak spóźniony syjamski bliźniak. Przybysz nie podał innego imienia niż tylko pseudonim, pod którym wcześniej walczył, i zbywał wszystkie pytania — skąd się wziął?; jakim cudem znalazł się tu w odpowiedniej chwili? — szerokim uśmiechem i nieśmiało dodawał:

— Znalazłem się tam, gdzie byłem potrzebny, chłopie.

Następnego dnia o świcie niepostrzeżenie opuścił dogasającą imprezę i zniknął.

Nigdy więcej go nie widziano.

Wiosną 1971 roku oddalono zarzuty postawione Tomowi Douglasowi po konfrontacji w People's Park, opierając się na opinii doktora Tachiona, który na polecenie SKAZA zajął się badaniem tego incydentu. W tym samym roku zespół Destiny wydał płytę City of Night, która okazała się wielkim hitem. Niedługo potem Douglas zelektryzował cały świat muzyczny, ogłaszając, że wycofuje się z branży — nie tylko jako muzyk, ale także as.

Douglas poddał się eksperymentalnej terapii doktora Tachiona i, jak się okazało, należał do tych trzydziestu procent szczęściarzy, którzy kończą ją z powodzeniem. Król Jaszczurów odszedł na zawsze, pozostawiając tylko Thomasa Mariona Douglasa, normalisa.

Który pół roku później już nie żył. Jego spożycie alkoholu i narkotyków było tak wysokie, że tylko nadludzka wytrzymałość asa utrzymywała go przy życiu. Gdy stracił tę ochronę, stan jego zdrowia pogorszył się gwałtownie. Zmarł na zapalenie płuc w tanim hotelu w Paryżu na jesieni 1971 roku. Co do Budowlańca, został on zbadany przez doktora Tachiona dzień po słynnej konfrontacji, gdy zapisano go do szpitala z lekkim wstrząsem mózgu. Niesławny as Wojtek Grabowski upierał się, że nie został pokonany. „Liczy się tylko miłość”, głosiła popularna mądrość, i to miłość doprowadziła go do upadku — a przynajmniej sam tak twierdził. Ponieważ gdy rzucił się w tłum, nagle spojrzała na niego twarz Anny, jego żony, utraconej przed dwudziestu laty.

„Nie do końca Anny — mówił ze łzami — były drobne różnice w kolorze włosów, w kształcie nosa”. Poza tym Anna nie miałaby już dwudziestu lat.

Ale ich córka mogłaby wyglądać dokładnie tak. Grabowski był przekonany, że nareszcie zobaczył swoje utracone dziecko. Straszliwa świadomość, że w gniewie niemal zniszczył to, na czym mu najbardziej zależało, odebrała mu nadnaturalne siły, a zatem medalion Radykała uderzył istotę w połowie transformacji od pełnej mocy asa do normalnej ludzkiej postaci. Wzruszony jego postawą doktor Tachion obiecał pomóc Grabowskiemu w poszukiwaniu córki. Osobiście jednak nie wierzył w powodzenie — w chwili gdy Grabowski dostrzegł rzekomą córkę, Tom Douglas właśnie odzyskiwał siły, a jego aspekt Króla Jaszczurów nadal działał. Jego czarna aura potrafiła ukazać każdemu to, czego pragnął najbardziej. Tachion podejrzewał, że w przypadku Budowlańca tak się właśnie stało.

Nie był zaskoczony, gdy poszukiwania zakończyły się fiaskiem. Przytłoczony nadmiarem pracy nie mógł poświęcić Grabowskiemu zbyt wiele czasu, niezależnie od tego, jak bardzo poruszył go los tego nieszczęśliwego człowieka. Po trzech tygodniach

poświęconych na współpracę ze SKAZA powrócił na wschodnie wybrzeże. Kilka miesięcy później dowiedział się, że Grabowski zniknął, prawdopodobnie wyruszył na poszukiwanie zaginionej rodziny. Od tego czasu nikt już nie słyszał o nim ani o Budowlańcu. A co do Radykała...

Wczesnym rankiem 6 maja 1970 roku Mark Meadows wytoczył się z zaułka wychodzącego na People's Park, z głową pełną białego szumu, ubrany tylko w dżinsy. Nie pamiętał, co się z nim działo, i ledwie zdawał sobie sprawę, gdzie jest. Znalazł się pośród uczestników wczorajszej imprezy, z powiekami ciężkimi ze zmęczenia, ale wciąż paplających o tych niesamowitych wydarzeniach.

— Powinieneś być to zobaczyć, chłopie! — powtarzali. A gdy opisywali mu wydarzenia zeszłego poranka, w umyśle Marka pojawiły się dziwne fragmenty wspomnień, surrealistyczne i oderwane od siebie. Może rzeczywiście tam był?

Czy wspominał własne doświadczenia? A może to resztki transu kwasowego podsuwały mu obrazy dorównujące barwnym opisom naocznych świadków? Nie miał pojęcia. Wiedział tylko, że Radykał był wcieleniem jego najdzikszych marzeń — Marka Meadowsa jako Bohatera.

A gdy zobaczył stojącą w pobliżu Słonecznik, z włosami w nieładzie i rozmarzonym wzrokiem, a ona wyszeptała: „Och, Mark, spotkałam wczoraj najfantastyczniejszego faceta”, wiedział już, że wszelkie nadzieje na coś innego niż przyjaźń pomiędzy nimi właśnie wyparowały. Chyba że to właśnie on był Radykałem.

Wiedział, oczywiście, co powinien zrobić. Podczas swego ulicznego treningu u boku Słonecznik nauczył się więcej, niż przypuszczał. O zmroku siedział już po turecku na swoim posłaniu, pomiędzy ciasteczkami i komiksami, a w dłoniach trzymał LSD kupione za równowartość dwutygodniowych wydatków na życie. Gdy połykał pierwszą tabletkę, był tak podekscytowany, że prawie nie potrzebował narkotyku.

I na tym koniec. Nie zmienił się w Radykała. Nic się nie stało. Po prostu miał tripa.

Przez cały tydzień nie wychodził z mieszkania, żywiąc się czerstwymi ciastkami i biorąc coraz większe dawki kwasu, gdy tylko poprzednia porcja przestawała działać. Nic. Gdy w końcu wyszedł na miasto, by kupić więcej narkotyku, krawędzie jego sylwetki zaczęły się lekko rozmywać.

I to był początek misji.



Interludium 3

za: Szyk Dzikich Kart,
Nowy Jork, czerwiec 1971 r.

TOM WOLFE

Mmmmmmm, jakie to dobre. Te małe sajgonki z krabem i krewetką są pycha, bardzo smakowite. Chociaż troszkę tłuste. Ciekawe, jak asowie pozbywają się plam tłuszczu z rękawiczek? Może wolą nadziewane pieczarki albo te roladki z roqueforta obtaczane w orzechach, roznoszone na srebrnych tacach przez wysokich, uśmiechniętych kelnerów w liberiach... Takie oto rzeczy zaprzątają umysły uczestników podczas wieczoru Szyku Dzikich Kart. Ten czarnoskóry mężczyzna, tam przy oknie, potrząsający dłonią samego Hiram Worchestera, ten w czarnej jedwabnej koszuli i czarnym skórzanym płaszczu, z nieprawdopodobnie opuchniętym czołem, groźnie wyglądający facet o skórze barwy kakao i migdałowych oczach, który właśnie wyszedł z windy w towarzystwie trzech najpiękniejszych kobiet, jakie ktokolwiek widział w życiu — nawet tu, w tej sali pełnej pięknych ludzi — co robi ten osobnik, który niewątpliwie jest asem, bo jego aura jest aż namacalna: czy wybierze sajgonkę z krewetkami i włoży ją do ust, nie tracąc ani sylaby z grzecznej przemowy Hiram, czy raczej preferuje nadziewane pieczarki...?

Hiram wygląda wspaniale. Wysoki, onieśmielający mężczyzna, sto osiemdziesiąt pięć centymetrów wzrostu, w słabym oświetleniu mógłby uchodzić za Orsona Wellesa. Jego czarna, ostro przycięta bródka jest starannie wypielegnowana, a gdy gospodarz się uśmiecha, jego zęby błyszczą olśniewającą bielą. Często się uśmiecha. To miły, jowialny mężczyzna, który pozdrawia wszystkich tym samym gestem: szybkim uściskiem dłoni i klepieniem w ramię. Wita tak zarówno asów, jak i Lillian, Felicję i Lenny'ego, i burmistrza Hartmanna, i Jasona, i Johna, i D.D.

„Jak myślicie, ile waże?”, pyta żartobliwie i każe im zgadywać. Sto trzydzieści pięć kilo, sto sześćdziesiąt, sto osiemdziesiąt. Śmieje się z ich żartów — z jego piersi dobiega głęboki, basowy chichot, bo ten wielki mężczyzna waży zaledwie czternaście kilo. Ustawił nawet wagę — tutaj, pośrodku „Wieży Asów”, luksusowej restauracji na szczycie Empire State Building, pośród kryształów i sreber, zwykłą wagę, jakby wziętą prosto z siłowni, tylko po to, by dowieść swojej racji. Ilekroć ktoś żąda dowodów, wskakuje na wagę i schodzi z niej leciutko. Waga pokazuje czternaście kilo. Hiram lubi ten swój mały żarcik. Ale nikt już nie nazywa go Grubasem. Ten as opuścił talię i teraz stał się nową kartą, asem, który zna wszystkich wpływowych ludzi i odpowiednie wina, i doskonale wygląda w smokingu, i prowadzi najelegantszą restaurację w mieście.

Co za wieczór! Stoliki zastawione, srebra lśnią, drżące płomyki świec odbijają się w otaczających oknach, w bezdennej czerni usianej tysiącem gwiazd. I to właśnie tę chwilę Hiram kocha najbardziej. Wydaje się, że i wewnątrz, i na zewnątrz „Wieży” migoczą tysiące

gwiazd, że to największa wieża ze wszystkich, pełna niezwykłych ludzi, przechadzających się tu jak w niebiosach. Jason Robards, John i D.D. Ryan, Mike Nichols, Willie Joe Namath, John Lindsay, Richard Avedon, Woody Allen, Aaron Copland, Lillian Hellman, Stephen Sondheim, Josh Davidson, Leonard Bernstein, Otto Preminger, Julie Belafonte, Barbara Walters, Pennowie, Greenowie, O'Nealowie... a także, tak modni w tym sezonie — asowie.

Nieopodal tłoczy się wianuszek gości, tłum zachwyconych, podekscytowanych ludzi, trzymający w dłoniach wysokie, smukłe kieliszki szampana. Ich twarze rozjaśnia wyraz absolutnego podziwu. Obiektem tej adoracji jest niski mężczyzna ubrany w smoking z gniecionego aksamitu... pomarańczowego aksamitu i żółtą koszulę z żabotem; lśniące, rude włosy opadają mu na ramiona. Tisianne brant Ts'ara sek Halima sek Ragnar sek Omian znów ma swój dwór, tak jak niegdyś na Takis i niektórzy z tych niezwykłych ludzi nawet mówią mu „książę” albo „książę Tisianne”, choć zwykle wymawiają to niepoprawnie, ale wygląda na to, że mężczyzna już na zawsze pozostanie przede wszystkim doktorem Tachionem. To prawdziwy książę z innej planety i sama ta idea — że oto stoi przed nami wygnaniec, bohater, uwięziony przez wojsko i prześladowany przez HUAC, obcy, który żyje już dwukrotnie dłużej, niż wynosi przeciętne ludzkie życie, a na co dzień pracuje bez wytchnienia, lecząc mieszkańców Dżokerowa... Cóż, dreszcz podniecenia przebiega przez „Wieżę Asów” jak fala nieopanowanych hormonów, sam Tachion także zdaje się podekscytowany, spojrzenie jego liliowych oczu co chwila przesuwają się po smukłej orientalnej piękności przybyłej z innym asem, groźnie wyglądającym Fortunatem.

Jeszcze nigdy wcześniej nie spotkałem asa, brzmi najczęstszy refren. To dla mnie pierwszy raz.

Przez sale przechodzi drżenie, aż w końcu ostatnie piętro wieżowca aż pulsuje. Pierwszy raz, nigdy nie spotkałam nikogo podobnego, pierwszy raz, zawsze chciałam pana poznać, pierwszy raz, a gdzieś w wilgotnej glebie w Wisconsin Joseph McCarthy obraca się w trumnie, wydając piskliwy świst — oto spełniły się jego najczarniejsze koszmary. To nie są hollywoodzcy pozerzy, trzeciorzędni politycy, przekwitli literaci, żałośni dżokerzy błagający o pomoc, ale prawdziwi arystokraci — asowie, ci czarujący, elektryzujący asowie.

I tacy piękni. Aurora siedzi na barze, eksponując długie nogi, które zdobyły jej taką sławę na Broadwayu, mężczyźni tłoczą się wokół, śmiejąc się z każdego żartu. Te złocistorude włosy, kręcone i wyperfumowane spadające kaskadą na odkryte ramiona, te spęczniałe usta, to nadąsane, to znów uśmiechnięte. Wokół niej migocze zorza polarna, a mężczyźni klaszczą w zachwycie. Właśnie podpisała kontrakt na pierwszy występ filmowy u boku Roberta Redforda. Mike Nichols reżyseruje. To pierwszy as w branży filmowej od czasu... Nie, chyba nie będziemy wymieniać go z nazwiska, prawda? Po co psuć miłą atmosferę.

Zadziwiający ludzie. I te ich zdolności! Mały, wytworny człowieczek, ubrany w rośliny i żółędzie, z kieszenią pełną gleby, pożyczają od barmana szklaneczkę do brandy i w kilka sekund wyhodowuje w niej mały dąb — tutaj, pośrodku „Wieży Asów”. Ciemnowłosa kobieta o ostrych rysach zjawia się ubrana w dzinsy i roboczą koszulę, ale gdy Hiram nie chce jej wpuścić, ona tylko klaszcze w dłonie i nagle ubrana jest od stóp do głów w czarną metalową zbroję, lśniącą jak heban. Klask! I ma na sobie wieczorową suknię z zielonego aksamitu, bez ramion idealnie dopasowaną, aż ogląda się za nią nawet Fortunato. Gdy kończy się lód do wiaderka z szampanem, skądś występuje przysadzisty mężczyzna, twardy jak skała, bierze do ręki butelkę Dom Pérignon i uśmiecha się psotnie, gdy szkło pokrywa się szronem.

„Idealna temperatura” — mówi, podając butelkę Hiramowi. „Jeszcze chwila i zamroziłbym go na kość”. Hiram śmieje się i gratuluje udanej sztuczki, dodając, że niestety nie wie, z kim ma przyjemność. Czarnoskóry mężczyzna uśmiecha się tajemniczo.

„Croyd” — mówi tylko.

Tacy romantyczni, tacy tragiczni. Kto siedzi tam przy końcu baru, ten w szarej skórzanej kurtce? To Tom Douglas, prawda? Tak, to on, Król Jaszczurów we własnej osobie. Słyszałem, że właśnie oddalono zarzuty, ale cóż to za odwaga, jakie poświęcenie, a czy ktoś wie, co się stało z Radykałem, z tym młodzieńcem, który mu pomógł?

Ale Douglas wygląda strasznie. Wyniszczony, ponury. Tłum napiera na niego, aż nagle piosenkarz podrywa głowę i na ułamek sekundy pojawia się nad nim widmo wielkiej, czarnej kobry, mrok pochłania świetlistą mgiełkę Aurory, a w całej sali zapada cisza, aż w końcu gapie odchodzą, zostawiając Króla Jaszczurów w spokoju.

Tacy barwni i odważni. Cyklon wie, jak zrobić efektowne wejście, prawda? Ale to właśnie dlatego Hiram nalegał, by wybudować tu balkon wychodzący na zachód, nie tylko po to, by pić drinki pod gwiazdami i podziwiać zachody słońca nad Hudson River, ale także by zapewnić asom lądowisko. To jasne, że Cyklon zjawi się pierwszy. Po co jeździć windą, skoro można gnać na skrzydłach wiatru? I te jego stroje — sama biel i błękit, jego sylwetka zdaje się w tym kombinezonie taka smukła, a ta peleryna, tak niepozornie zwisa z nadgarstków i kostek, a potem wydyma się, gdy przyzywa swój wiatr. W środku ściąga hełm i przystaje, by przywitać się z Hiramem. To pionier w dziedzinie mody, pierwszy as, który zaprojektował sobie prawdziwy kostium, i to od 1965 roku nosił swoje kolory nawet przez te dwa straszne lata w Wietnamie, ale to, że ktoś nosi maskę, jeszcze nie znaczy, że chce się ukrywać, prawda? Te czasy minęły, Cyklon nazywa się Vernon Henry Carlisle, mieszka w San Francisco, cały świat to wie. Epoka strachu dobiegła końca, nadeszła epoka Szyku Dzikiej Karty, gdy każdy chce zostać asem. Cyklon przybył tu z daleka, ale przecież żadna impreza nie byłaby kompletna bez najśłynniejszego asa Zachodniego Wybrzeża.

Z drugiej strony — choć nie należy mówić tego głośno, w tę piękną noc, gdy wokół lśnią gwiazdy i asowie, a zewsząd rozciąga się widok na osiemdziesiąt kilometrów — impreza wciąż nie jest kompletna. Earl Sanderson nadal mieszka we Francji, choć należy dodać, że przesłał Hiramowi krótki, lecz szczery list, w którym poinformował, że z żalem musi odrzucić jego zaproszenie. To wielki człowiek i wyrządzono mu wielką krzywdę. A David Harstein, zaginiony Posłaniec? Hiram wykupił nawet ogłoszenie w „Timesie” o treści: DAVIDZIE, KIEDY WRESZCIE WRÓCISZ DO DOMU?, ale as nie odpowiedział. A Żółw? Gdzie jest Żółw, Wielki i Potężny? Słyszano wprawdzie plotki, że w ten wyjątkowy, magiczny wieczór, w tę błogosławioną noc Szyku Dzikiej Karty, Żółw wreszcie wyjdzie ze swej skorupy, uściśnie Hiramowi dłoń i przedstawi się całemu światu, ale nie ma go tu... Nie sądzicie chyba, ależ nie, nie podejrzewacie, że w tych starych pogłoskach tkwi ziarno prawdy... że Żółw jest dżokerem?

Cyklon opowiada Hiramowi o swoich podejrzeniach — wydaje się, że jego trzyletnia córeczka odziedziczyła po nim moc przywoływania wiatru. Hiram promienieje, ściska mu dłoń, gratuluje szczęśliwemu tacie i proponuje toast. Nawet jego potężny, wyszkolony głos nie jest w stanie przebić się przez otaczający gwar, a zatem zaciska rękę w pięść i modyfikuje fale grawitacyjne. Robi się jeszcze lżejszy niż te czternaście kilo, lekki jak piórko, aż w końcu wzbija się aż pod sufit. Asowie milkną, gdy Hiram zawisa obok wielkiego żyrandola w stylu art déco, unosi szklaneczkę z ponczem i znów wznosi toast. „Lenny” Bernstein i John Lindsay piją za

małą Mistral Helen Carlisle, askę w drugim pokoleniu. O'Nealowie i Ryanowie unoszą szklanki, oddając cześć Czarnemu Orłowi, Posłańcowi i pamięci Blythe Stanhope van Renssaeler. Lillian Hellman, Jason Robards i Broadway Joe piją za Żółwia i Tachiona, a potem wszyscy piją za Śmiga, ojca nas wszystkich.

Po toastach przychodzi czas na bieżące sprawy. *Ustawa o dzikich kartach* wciąż obowiązuje, a w dzisiejszych czasach to skandal i hańba, trzeba coś z tym zrobić. Doktor Tachion potrzebuje pomocy w prowadzeniu kliniki i w prowadzeniu sprawy sądowej, która ciągnie się już od — ile to już lat? Stara się odzyskać swój statek, bezprawnie skonfiskowany mu przez rząd w 1946 roku. Co za wstyd, odbierać mu statek, po tym jak przyleciał nam na pomoc. Wszyscy są tym oburzeni i oczywiście oferują pomoc, pieniądze, prawników, wpływy. Tachion, otoczony ze wszystkich stron pięknymi kobietami, zaczyna opowiadać o statku. „Ona żyje — mówi — i na pewno czuje się samotna”, i nagle zaczyna płakać, a gdy dodaje, że statek nazywa się „Malańka”, zza licznych szkieł kontaktowych zaczynają spływać łzy, grożąc rozmazaniem starannie nałożonego tuszu. I oczywiście coś trzeba zrobić w sprawie Brygady Dżokerów, to prawie ludobójstwo, i jeszcze...

Ale wtedy podają kolację. Goście suną w kierunku wyznaczonych miejsc. Plan rozsadzenia gości to arcydzieło Hirma, równie odmierzone i subtelnie przyprawione jak serwowane tu dania, tak by wszędzie przy stole osiągnąć odpowiednią mieszankę bogactwa i mądrości, dowcipu i piękna, brawury i sławy, i oczywiście przy każdym stoliku zasiada jakiś as, inaczej ktoś mógłby się poczuć oszukany w tym pamiętnym roku, i miesiącu, i godzinie Szyku Dzikich Kart...



Głęboko w dole

EDWARD BRYANT I LEANNE C. HARPER

Klucząc pomiędzy taksówkami jadącymi przez Zachodnią Aleję i wkraczając do Central Parku, Rosemary Muldoon wiedziała już, że zapowiada się trudny dzień. Z roztargnieniem manewrowała w popołudniowym tłumie spacerowiczów z psami i jednocześnie rozejrzała się za Trampulą.

Jako stażystka w placówce opieki społecznej otrzymywała najtrudniejsze przypadki, których nikt inny by się nie podjął. Trampula, tajemnicza bezdomna, którą wylosowała dzisiaj, była chyba najgorsza ze wszystkich. Miała przynajmniej sześćdziesiąt lat, a jej zapach sugerował, że nie kąpała się chyba przez pół życia. Rosemary nigdy nie umiała się do tego przyzwyczaić. Jej rodzina nie była zbyt sympatyczna, ale każdy z jej członków kąpał się codziennie. Jej ojciec bardzo na to nalegał. A nikt nie sprzeciwiał się jej ojcu.

Odruchowo ciągnęło ją do lumpów i wyrzutków, właśnie z powodu ich samotności. Niewielu z tych ludzi miało rodziny lub kontakt z kimkolwiek z przeszłości. Rosemary zawsze powtarzała sobie, że to nieistotne, liczył się tylko efekt. Mogła im pomóc.

Trampula stała pod dębem i gestykulowała — Rosemary miała wrażenie, że staruszka rozmawia z drzewem. Potrząsając głową, wyjęła teczkę Trampuli. Była bardzo cienka. Imię nieznanne, wiek nieznanne, miejsce pochodzenia nieznanne, historia nieznanne. Wiedzieli tylko, że kobieta mieszka na ulicy. Opiekujący się nią poprzednio pracownik domyślał się, że prawdopodobnie zwolniono ją z przepełnionego szpitala. Bezdomna była nie do końca zrównoważona, ale niegroźna. Nie chciała porozmawiać z nikim ani powiedzieć niczego o sobie, nie mieli więc pojęcia, jak jej pomóc. Rosemary odłożyła teczkę i pomaszerowała prosto w stronę staruszki ubranej w kilka warstw łachmanów.

— Dzień dobry. Nazywam się Rosemary. Chciałabym pani jakoś pomóc.

Bez rezultatu. Trampula odwróciła głowę i zapatrzyła się na dwoje dzieci rzucających krążkiem frisbee.

— Nie chciałaby pani zamieszkać w jakimś ciepłym miejscu? Dostawać gorące posiłki i mieć z kim porozmawiać?

Na jej słowa zareagował jedynie przechodzący kot, największy, jakiego widziała w życiu, nie licząc drapieżników w zoo. Zwierzę podeszło do Trampuli i teraz gapiło się na Rosemary.

— Mogłaby pani wziąć kąpiel. — Bezdomna miała brudne, pozlepiane włosy. — Ale muszę wiedzieć, jak się pani nazywa. — Wielki czarny kot spojrzał na staruszkę, potem na Rosemary i zmrugał ślepią.

— Może pójdzie pani ze mną, to porozmawiamy? — Kot zasyczał.

— Tylko na chwilę... — Gdy wyciągnęła rękę, kot rzucił się naprzód. Rosemary odskoczyła, potykając się o torebkę, którą wcześniej postawiła na ziemi. Leżąc na plecach, spojrzała prosto w oczy wściekłemu kocurowi.

— Dobry kiciuś. Nie ruszaj się... — wykrztusiła. Gdy wstawała, do czarnego kota dołączył mniejszy, szylkretowy.

— W porządku. To do zobaczenia. — Rosemary chwyciła torebkę, teczkę i wycofała się szybko.

Jej ojciec nigdy nie rozumiał, dlaczego postanowiła zajmować się bezdomnymi, których zwykle nazywał „tymi śmieciami”. Dziś wieczorem zaplanowano dla niej kolejny wieczorek w towarzystwie jej rodziców i narzeczonego. Aranżowane małżeństwo — w dzisiejszych czasach! Żałowała, że nie potrafi sprzeciwić się ojcu i po prostu odmówić. Jej rodzina była bardzo tradycyjna. Rosemary tam nie pasowała.

Miała własne mieszkanie, które do niedawna dzieliła z C.C. Ryder, hipiską i radykalną działaczką. Rosemary bardzo pilnowała, by C.C. i jej własny ojciec nigdy się nie spotkali. Konsekwencje mogły przejść jej najśmielsze wyobrażenia. Musiała pracowicie oddzielać od siebie te dwa życia.

Ten ciąg skojarzeń skończył się bólem — C.C. zniknęła. Przepadła gdzieś w mieście. Rosemary bała się o przyjaciółkę i bała się tego, co to mogło oznaczać dla miasta.

Uniosła głowę i powoli wstała z ławki, na której przysiadła, by się uspokoić. Czas odnieść teczkę do biura i iść na uniwersytet na zajęcia.



— Co za noc! — Lombardo Lucchese, przez kolegów zwany „Lummy Szczęściarz”, czuł się wspaniale, po prostu doskonale. Po dwóch latach odwalania drobnych zleceń i zadań ochroniarskich w końcu dostał się do najlepszej z Pięciu Rodzin. Ci ludzie potrafili rozpoznać talent, a on miał go mnóstwo. Idąc Osiemdziesiątą Pierwszą Ulicą w stronę parku w towarzystwie trzech kumpli, czuł się jak król życia.

Dziś wieczorem musiał iść na spotkanie ze swoją narzeczoną Marią. Co za głupiutka szara myszka! Ale była jedyną córką Don Carla Gambionego i w przyszłości mogła się okazać bardzo użyteczna. Później zamierzał iść świętować sukces z kolegami. Teraz potrzebował trochę forsy, żeby kupić myszowatej Marii jakieś ładne kwiatki i dowieść tym swego uczucia. Może goździki?

— Idę na dół — oznajmił. — Po forszę.

— Iść z tobą? — spytał Joey „Beznosy” Manzone.

— Eee, nie. Żartujesz? Za dwa tygodnie będę miał forsy jak lodu. Chcę zrobić jeszcze jeden numerek jak za dawnych czasów. Na razie, chłopaki!

Przeskakując przez lśniące od benzyny kałuże, Lummy pogwizdywał głośno, zmierzając w stronę podświetlonej półkuli osłaniającej schody na stację metra przy Osiemdziesiątej Pierwszej. Dziś wieczorem nic nie mogło mu zepsuć humoru.



Co za obrzydliwy wieczór — pomyślała Sarah Jarvis. Miała sześćdziesiąt osiem lat i nie spodziewała się, że kiedykolwiek zaproszą ją na pokaz produktów Amwaya. Co za nedorzeczny pomysł! Poszła z przyjaciółką. Zanim udało im się wymknąć, minęły całe wieki. Oczywiście, gdy wyszły, na zewnątrz padało i oczywiście nigdzie nie było żadnej wolnej taksówki. Jej przyjaciółka mieszkała niedaleko, ale Sarah musiała jechać aż do Washington Heights.

Nie znosiła metra. Ten zaduch i smród przyprawiały ją o mdłości. W ogóle nie lubiła głośnych miejsc, a metro należało do najgłośniejszych w mieście. Dziś jednak panowała tu niespodziewana cisza. Stojąc samotnie na peronie, drżała z zimna, okryta tylko tweedową

marynarką.

Zerkając ponad krawędzią peronu w stronę tunelu, odnosiła wrażenie, że zobaczyła światło pociągu jadącego na przedmieścia. Coś tam było, ale poruszało się bardzo powoli. Sarah odwróciła się, by popatrzeć na plakaty reklamowe. Przez chwilę zatrzymała się przy plakacie wyborczym zachęcającym do głosowania na tego miłego pana, Richarda Nixona. Tuż obok stał automat z gazetami. Nagłówki mówiły coś o włamywaczach zakradających się do hotelu i apartamentowca w Waszyngtonie. Watergate? *Dziwna nazwa* — pomyślała. „Daily News” pisało coś o tak zwanym „Strażniku z Metra”. Policja przypisywała mu pięć różnych morderstw dokonanych w ciągu ostatniego tygodnia. Ofiarami padli handlarze narkotyków i inni przestępcy. Wszyscy zginęli właśnie w metrze. Sarah zadrżała. W czasach jej młodości miasto wyglądało inaczej.

Na początku usłyszała kroki zmierzające po schodach obok opuszczonego stanowiska biletera. Potem gwizdanie, dziwna monotonna melodia. Wbrew sobie poczuła niepokój i ulgę jednocześnie. Nieco zawstydzona własną reakcją pomyślała, że na tej pustej stacji przyda się jakieś towarzystwo.

Gdy je zobaczyła, nie była już taka pewna. Nigdy nie lubiła czarnych skórzanych kurtek, zwłaszcza gdy nosili je młodzi, cwaniacko uśmiechnięci mężczyźni. Odwróciła się do przybysza plecami i wbiła wzrok w przeciwległą ścianę.

Lummy Szczęściarz uśmiechnął się jeszcze szerzej i dotknął językiem górnej wargi.

— Hej, paniusiu! Masz ognia?

— Nie.

Kącik ust Szczęściarza drgnął i podjechał do góry. Mężczyzna zaczął zmierzać w stronę ofiary.

— No, paniusiu, nie bądź taka.

Nie zauważył, że kobieta napina barki. Sarah przypominała sobie wszystko, co zapamiętała z kursu samoobrony, na który chodziła zeszłej zimy.

— Po prostu daj mi tę tore... Aaaa! — wrzasnął, gdy Sarah okręciła się i wbiła mu w śródstopie obcas beżowego czółenka. Lummy zatoczył się i wymierzył jej cios w twarz. Sarah uchyliła się, robiąc krok w tył i nadepnęła na coś śliskiego. Straciła równowagę, a Lummy ruszył w jej stronę z triumfalnym uśmieszkiem.

Z tunelu nadszedł gwałtowny podmuch, gdy na stację wjechał pociąg.

Żadne z nich nie zauważyło, że do metra jednocześnie weszło kilkanaście osób. Większość była na późnym seansie *Ojca chrzestnego* i teraz z ożywieniem kontynuowała dyskusję, czy Coppola nie wyolbrzymił czasem roli mafii w rozwoju współczesnej przestępczości.

Ktoś z tego tłumu nie oglądał filmu, był tylko pracownikiem sezonowym po długim i męczącym dniu. Teraz chciał jedynie wrócić do domu i zjeść obiad, niekoniecznie w tej kolejności. Gazety znów naciskały na nowe tematy. Nawet cały ten ruch walki o prawa dzokerów nie mógł ich zaspokoić na długo, więc odciągnięto go od jego stałego zajęcia przy konserwacji torów i kazano przez osiemnaście godzin szukać aligatorów w ściekach i tunelach metra, w przewodach wentylacyjnych i studzienkach. W duchu przeklął swoich pracodawców za nadszkakiwanie tym durniom goniącym za sensacją, a szczególnie ciężko przeklął reporterów, których dopiero co zgubił.

Staął z tyłu, by uniknąć ścisku w tłumie. Ludzie gorączkowo szukali żetonów albo

przepychali się przez bramki. Kinomani wciąż gadali.

Z rykiem i jękiem metalu pociąg metra wypadł z tunelu.

Ludzie wysypali się na peron. Klnąc po włosku, Lummy puścił ofiarę i rozejrzał się za drogą ucieczki.

Pierwsi przybysze, dwie pary, spoglądały ze zdziwieniem na rozgrywającą się przed nimi scenę. Jeden z mężczyzn ruszył na Lummy'ego, podczas gdy drugi chwycił swoją partnerkę i próbował się wycofać.

Drzwi wagonów otworzyły się z sykiem. O tej porze było tam niewielu pasażerów, nikt nie wysiadał.

— Ech, ta policja, nigdy ich nie ma, kiedy są potrzebni — powiedział nadchodzący mężczyzna. Lummy przez chwilę miał ochotę skoczyć na frajera i ogłuszyć go pięścią. Potem jednak zrobił unik i, kulejąc, wbiegł do ostatniego wagonu. Drzwi zamknęły się z trzaskiem i pociąg odjechał. W słabym oświetleniu na peronie zdawało się, że graffiti wymalowane na burcie na chwilę zmieniło wzór.

Ze środka wagonu Lummy zaśmiał się i pokazał obsceniczny gest Sarze, która otrzepywała teraz zabrudzone ubranie, szukając przy tym słuczeń. Drugi gest przeznaczył dla wybawców staruszki.

Nagle jego twarz wykrzywił strach, a potem zwierzęce przerażenie. Mężczyzna, który próbował go zatrzymać, zobaczył jeszcze, jak opryszek desperacko wali pięściami w okno, zanim cały skład zniknął w ciemności.

— Co za szemrany typek! — wzdrygnęła się towarzyszka mężczyzny. — Czy to był dzoker?

— Nie — odparł jej przyjaciel. — Zwykły dupek.

Wszyscy zamarli, słysząc krzyki dobiegające z tunelu prowadzącego na przedmieścia. W cichnym szumie pociągu rozbrzmiewały rozpaczliwe krzyki Lummy'ego. Pociąg zniknął, ale krzyki trwały prawie do Osiemdziesiątej Trzeciej Ulicy.

Pracownik sezonowy ruszył tunelem w stronę centrum, podczas gdy Sarah, która wyszła ze spotkania niemal bez szwanku, serdecznie podziękowała swojemu wybawcy. Po schodach z drugiej strony peronu zbiegł drugi pracownik metra.

— Hej! — zawołał. — Ściekowy Jack, to ty? Jack Robicheaux! Czy ty nigdy nie sypiasz?

Wyczerpany mężczyzna nie zwrócił na niego uwagi, tylko przeszedł przez metalowe drzwi z kodem dostępu. Idąc w głąb tunelu, zaczął zrzucać ubrania. Gdyby ktoś go obserwował, mógłby dostrzec, że mężczyzna opada na czworaki i czołga się po wilgotnej podłodze, że wyrasta mu wydłużony pysk, pełen ostrych, krzywych zębów i umięśniony ogon, który jednym ciosem mógłby zgnieść obserwatora na miazgę. Ale nikt nie zobaczył błysku zielonkawoszarych łusek, gdy pracownik sezonowy wtopił się w mrok i zniknął.

Na peronie stacji przy Osiemdziesiątej Pierwszej Ulicy wszyscy byli tak wsłuchani w echa ostatnich krzyków Lummy'ego, że nikt nie zwrócił uwagi na basowy ryk dobiegający z drugiej strony.



Po wyjściu z ostatnich zajęć Rosemary zmęczonym krokiem skierowała się w stronę stacji metra na Sto Szesnastej Ulicy. Jeszcze jedna rzecz z głowy. Teraz musiała tylko dotrzeć do mieszkania ojca, by spotkać się z narzeczonym. Nigdy nie robiła tego ze zbytnim entuzjazmem,

ale ostatnimi czasy w ogóle nie potrafiła wykrzesać z siebie entuzjazmu dla niczego. Odliczała kolejne dni, mając nadzieję, że coś w jej życiu się rozwiąże.

Poprawiła stos książek, który niosła w lewej ręce, prawą poszukała żetonu w torebce. Przechodząc przez bramkę, zatrzymała się z boku, by nie wchodzić w drogę innym studentom. Sądząc po transparentach, najwyraźniej wracali z jakiegoś wiecu antywojennego. Rosemary zauważyła, że kilkanaście osób, na oko całkiem normalnych, niesie tabliczki z nieoficjalnym sloganem Brygady Dżokerów: OSTATNI W DOMU, PIERWSI NA FRONCIE.

C.C. zawsze się tym interesowała, zaśpiewała nawet swoje piosenki na kilku mniej burzliwych demonstracjach. Któregoś dnia przyprowadziła nawet do domu innego aktywistę, człowieka imieniem Fortunato. Rosemary stwierdziła, że to miłe z jego strony, tak angażować się w ruch walki o prawa dżokerów, ale nie życzyła sobie widzieć w mieszkaniu alfonsów, nawet jeśli nazywali swoje dziewczyny „gejszami”. Pokłóciła się o to z C.C., była to jedna z ich naprawdę nielicznych sprzeczek. W końcu C.C. zgodziła się, że odtąd będzie konsultować z Rosemary obecność kolejnych gości.

Przyjaciółka próbowała namówić ją do większego zaangażowania, ale Rosemary uważała, że pomaganie konkretnym osobom jest równie dobre jak krzyczenie na ulicach o zbrodniach „władzy”. A może nawet lepsze. Rosemary pochodziła z konserwatywnej rodziny. Współlokatorka ani przez chwilę nie pozwoliła jej o tym zapomnieć.

Wzięła głęboki oddech i rzuciła się w tłum. Najwyraźniej wszystkie grupy skończyły zajęcia o tej samej porze.

Schodząc na peron, zaczęła manewrować w bok, tak by ostatecznie znaleźć się na przeciwległym krańcu peronu. Nie miała ochoty przebywać tak blisko ludzi. Za chwilę poczuła powiew stęchłego powietrza z tuneli i zadrżała.

Z ogłuszającym dudnieniem minął ją miejscowy pociąg. Wszystkie wagony były zdemolowane, ale ostatni udekorowano jeszcze dziwniej. Rosemary pomyślała o wytatuowanej kobiecie, którą widziała kiedyś na pokazie akrobatycznym cyrku Braci Ringling. Często zastanawiała się, co się dzieje w głowach dzieciaków, które malują po wagonach. Czasem nie podobało jej się to, co sugerowały te napisy. Nowy Jork nie zawsze był miłym miejscem.

Nie będę już o tym myśleć. Ale znów pomyślała. Obraz C.C., nieprzytomnej, na oddziale intensywnej opieki w szpitalu Saint Jude. Zobaczyła lśniąca urządzenia do podtrzymania życia. C.C. nie miała żadnej rodziny, którą można by zawiadomić, więc Rosemary była przy niej przez cały czas, nawet gdy pielęgniarki zmieniały opatrunki. Pamiętała rany i sińce, jadowicie niebieskie sińce pokrywające większość jej ciała. Lekarze nie potrafili nawet ocenić, ile razy ją zgwałcono. Rosemary chciała jej współczuć, ale nie potrafiła. Nie była nawet pewna, od czego zacząć. Mogła tylko czekać i modlić się o poprawę. A potem C.C. zniknęła ze szpitala.

Ostatni wagon był pusty. Rosemary ruszyła w stronę drzwi, a następnie przystanąła, by popatrzeć na graffiti. Zamarła bez ruchu, śledząc wzrokiem słowa wypisane na ciemnej burcie wagonu:

Pietruszka, szałwia, rozmaryn?

I czas...

Czas jest dobry dla innych.

— C.C.! Co jest? — Nie zwracając uwagi na pozostałych pasażerów, którzy właśnie

zauważyli pusty wagon, przepchnęła się do drzwi. Były zamknięte. Rosemary upuściła książki, próbując rozewrzeć je siłą. Złamała paznokiec. Nie mogąc otworzyć drzwi, waliła w nie pięściami, aż w końcu pociąg powoli wytoczył się ze stacji.

— Nie!

Łzy napłynęły jej do oczu, gdy zobaczyła swoje imię i kolejną zwrotkę piosenki C.C.:

*Nie powstrzymasz końca,
Ale zawsze pozostaje zemsta.*

Rosemary nie powiedziała już nic, patrzyła tylko w ślad za znikającym pociągiem. Spojrzała na swoje pięści. Drzwi wagonu, na pierwszy rzut oka stalowe, były miękkie i ciepłe. Czy ktoś podrzucił jej kwas do jedzenia? Czy to przypadek? Czy C.C. mieszkała w podziemiach? Czy ona w ogóle żyła?

Następny pociąg nadjechał dopiero po dłuższym czasie.



Polował w mroku.

Znów ogarnął go głód. Głód którego nigdy nie dało się do końca zaspokoić. A zatem polował.

Z trudem, jak przez mgłę przypominał sobie czas, gdy było inaczej. Był wtedy kimś. Kim? Nie wiedział. Kimś innym.

Rozglądał się, ale niewiele widział. W tym mroku i tej brudnej wodzie, pełnej śmieci, oczy były prawie bezużyteczne. Ważniejsze stawały się inne zmysły: smaku i węchu. Maleńkie cząsteczki zdradzały mu, co znajduje się w oddali — posiłki, które należało cierpliwie odszukać — a także całkiem blisko — satysfakcjonujące kąski unoszące się nieświadomie, tuż koło jego pyska.

Czuł wibracje: mocne, powolne ruchy. Gdy jego potężny ogon odgarniał wodę, docierało do niego mocne, lecz odległe dudnienie miasta, miriady ruchów pożywienia uwijającego się w ciemnościach.

Bрудna woda spłynęła z płaskiego, szerokiego pyska, odsłaniając uniesione nozdrza. Od czasu do czasu na wystające oczy opadały cienkie błony, a potem znów się unosiły.

Jego potężne cielsko czasem ledwie przeciskało się przez tunele, które przemierzał w poszukiwaniu pożywienia, ale robiło bardzo niewiele hałasu. Dziś wieczorem większość towarzyszących mu dźwięków stanowiły odgłosy wydawane przez pożerane ofiary.

Nozdrza poruszyły się, czując pierwsze oznaki uczyty, ale zaraz złowił kolejne sygnały uszami. Nie miał ochoty opuścić swego schronienia, skrywającego prawie całe jego cielsko, ale wiedział, że musi dotrzeć do pożywienia. Po jednej stronie ział wlot kolejnego tunelu. Mimo całej swej zwinności ledwie się tam zmieścił, aż w końcu dotarł do nowego ciekłu. Woda była tu płytsza, aż w końcu zakończyła się przed wejściem, o dwie długości od niego.

Nie szkodzi. Jego nogi też sprawdzały się doskonale i poruszał się na nich prawie tak samo cicho. Czuł zapach ofiar czekających na niego gdzieś w oddali. Bliżej. Blisko. Tuż obok. Słyszał ich odgłosy: piski, szuranie stóp, szelest futrzanych ciał pocierających o kamień.

Nie spodziewały się go tutaj: w tych tunelach, tak głęboko pod ziemią, żyło niewiele

drapieżników. Rzucił się na nie w mgnieniu oka, pierwszą zmiążdżył w szczękach. Jej przedśmiertny krzyk ostrzegł pozostałe. Ofiary rozbiegły się w panice. Nie próbowały walczyć. Po prostu uciekały.

Te, które przeżyły najdłużej, zdołały odbiec od potwora — tylko po to, by trafić na ceglany mur na końcu tunelu. Inne próbowały go ominąć — jedna nawet przeskoczyła ponad jego łuskowatym cielskiem — ale wielki, umięśniony ogon cisnął nią o ścianę. Inne wbiegały mu prosto do paszczy, gdzie czekały wielkie zębiska.

Rozdzierające krzyki spotężniały i ucichły. Krew płynęła strumieniem. Mięso, włosy i kości przyjemnie spoczywały w żołądku. Kilka ofiar wciąż żyło, próbowały odczołgać się od miejsca rzezi. Drapieżnik podążył za nimi, ale posiłek ciążył mu w brzuchu. Był zbyt najedzony, by je ścigać. Dotarł do brzegu wody i tam się zatrzymał. Teraz chciał spać.

Najpierw zamierzał przerwać ciszę. Miał do tego prawo. Znajdował się na swoim terenie. Cały ten teren należał do niego. Otworzył wielkie szczęki i wydał przenikliwy, dudniący ryk, który odbijał się echem przez wiele sekund w niekończącym się labiryncie przewodów i tuneli, przejść i kamiennych korytarzy.

Gdy echo zamarło, drapieżnik zapadł w sen. Ale tylko on jeden.



Rosemary przywitała się z Alfredem, który pełnił dzisiaj dyżur ochroniarski. Uśmiechnął się do niej, gdy wpisała się do księgi gości i potrząsnął głową, gdy zobaczył stos książek w ramionach dziewczyny.

— Pomóc panience?

— Nie, dziękuję, Alfredo. Dam sobie radę.

— Pamiętam, jak była panienka jeszcze *bambino*, często nosiłem za panienką książki. Mówiła wtedy, że gdy dorośnie, wyjdzie za mnie za mąż. Zmieniła panienka zdanie?

— Przykro mi. Taka już jestem niesłowna. — Rosemary uśmiechnęła się i zatrzepotała rękami. Trudno było żartować czy nawet zachowywać się grzecznie. Chciała, żeby ten wieczór się wreszcie skończył.

Była sama w windzie i wykorzystała okazję, by przez chwilę oprzeć czoło o chłodną ścianę. Rzeczywiście pamiętała, jak Alfredo nosił za nią książki. Było to podczas jednej z licznych wojen gangów. Co za rodzina.

Gdy otworzyły się przed nią drzwi, przy wejściu do apartamentu zobaczyła dwóch mężczyzn w czarnych garniturach. Na jej widok uspokoili się nieco, ale obaj wyglądali zaskakująco poważnie.

— Max? Co się stało? — Rosemary zwróciła się do wyższego.

Max potrząsnął głową i otworzył przed nią drzwi.

Rosemary podążyła naprzód, pomiędzy klaustrofobicznymi ścianami z brązowych, dębowych paneli, w stronę biblioteki. Stare olejne płótna nie poprawiały jej nastroju.

Przystanąła przy drzwiach i już miała zapukać, ale wtedy drzwi otworzyły się do wewnątrz, zanim zdążyła uderzyć. Jej ojciec stał w wejściu. Jego potężną sylwetkę oświetlał blask lampy stojącej na biurku.

Ujął ją za obie dłonie i uścisnął mocno.

— Mario, chodzi o Lombarda. Nie ma go już wśród nas.

— Co się stało? — spytała, nie odrywając wzroku od twarzy ojca. Oczy miał podkrążone, fałdy skóry na twarzy były jeszcze bardziej obwisłe niż zwykle.

Ojciec wskazał na pozostałych gości.

— Ci młodzi ludzie przynieśli tę straszną wiadomość.

Frankie, Joey i Mały Renaldo stali zbici w grupkę. Joey machinalnie gniótł w rękę kapelusza.

— Właśnie opowiedzieliśmy o wszystkim Don Carlowi. Lummy Szczę... eee Lombardo miał przyjść prosto tutaj, ale na chwilę wstąpił na stację.

— Chciał kupić gumę do żucia — dodał Frankie, jakby to była ważna informacja.

— Eee, tak. W każdym razie nie wyszedł. Czekaliśmy na niego, a potem usłyszeliśmy, że na stacji zdarzył się... jakiś wypadek. Zeszliśmy na dół i okazało się, że Lombardo nie żyje.

— Podobno rozerwało go na kilkadziesiąt...

— Frankie!

— Przepraszam, Don Carlo.

— To wszystko na dzisiaj, chłopcy. Zobaczymy się rano.

Mężczyźni skinęli głowami. Wychodząc, kolejno zwracali się w stronę Rosemary, dotykając ręką czoła.

— Przykro mi, Mario — powiedział jej ojciec.

— Nie rozumiem. Kto mógł to zrobić?

— Mario, wiesz, że Lombardo pracował w naszym rodzinnym interesie. Wszyscy o tym wiedzieli. Nie robiliśmy tajemnicy z tego, że wkrótce zostanie moim zięciem. Być może ktoś próbował w ten sposób uderzyć we mnie. — Głos Don Carla zabrzmiał smutno. — Ostatnio zdarzały się też inne wypadki. Niektórzy chcieliby nam odebrać to, na co pracowaliśmy przez całe życie. — Jego głos znowu stwardniał. — Nie pozwolimy im na to! Przysięgam ci, Mario!

— Mam bardzo dobrą lasagne — odezwała się z cienia matka Rosemary. — Twoje ulubione danie. Proszę, zjedz coś.

Zaprowadziła córkę do kuchni, obejmując ją za ramiona.

— Mamo, nie trzeba było czekać na mnie z kolacją.

— Nie czekałam. Wiedziałam, że się spóźnisz, więc trochę odłożyłam.

— Mamo, ja go nie kochałam! — wybuchnęła Rosemary.

— Ćśśś. Wiem. — Kobieta dotknęła ust córki. — Ale z czasem byś go polubiła. Widziałam, jak dobrze się dogadywaliście.

— Mamo, nawet nie wiesz... — zaczęła dziewczyna, ale przerwał jej grzmiący bas ojca.

— To na pewno ci *melanzani*, czarnuchy! Kto inny odważyłby się nas atakować? Pewnie przyłążą z Harlemu tunelami. Już od lat dybią na nasze tereny. Chcą mieć taką *susina* jak Dżokerowo. Nie, dżokerzy nie zrobiliby tego sami, ale czarni wykorzystują ich dla odwrócenia uwagi.

Rosemary nasłuchiwała. Najpierw była cisza, a potem ciche popiskiwanie telefonu. Matka wciąż ciągnęła ją za ramię.

— Trzeba ich powstrzymać, inaczej zagrożą nawet Rodzinom. Dzikusy.

Znów cisza.

— Nie, nie przesadzam.

— Mario... — powtórzyła nalegająco matka.

— A zatem jutro rano — zakończył Don Carlo. — Wcześniej. Dobrze.

— Widzisz? Twój ojciec wszystkim się zajmie.

Matka Rosemary zaprowadziła ją do kuchni pomalowanej na kolor złotego zboża, wypełnionej pięknymi, kolorowymi sprzętami. Na ścianach umieszczono włoskie sentencje oprawione w ramki. Rosemary chciała opowiedzieć matce o C.C. i wagonie metra, ale teraz zdawało się to niemożliwe. To wszystko wytwór jej wyobraźni. Chciała już tylko spać. Nie była głodna. Nie była w stanie zmierzyć się już z niczym innym.



Trampula poruszyła się we śnie, a jeden z dużych kotów odszedł na bok i przez chwilę węszył, dając znaki swojej towarzysze. Potem oba koty zostawiły śpiącą kobietę z oposem przytulonym do brzucha i zniknęły w mroku opuszczonego tunelu metra. Skrót przez opustoszałą Osiemdziesiątą Szóstą Ulicę zaprowadził je do jedzenia.

Oba koty były głodne, ale teraz szukały pokarmu dla swojej kobiety. Poprzez tunel odpływowy wyszły do parku, a potem, pod koronami klonów, na ulicę. Gdy ciężarówka „New York Timesa” zatrzymała się na światłach, czarny kocur spojrzał na szylkretową kotkę i wskazał pyskiem samochód. Wskoczyły, zanim zdążył ruszyć. Siedząc na pace dostawczaka, czarny kot pomyślał o stosach ryb i przesłał ten obraz szylkretowej kotce. Patrząc na przemykające obok bloki, oba wyczekiwały zapachu ryb. W końcu, gdy samochód zwolnił, kotka wyczuła ryby i niecierpliwym ruchem zeskoczyła na ulicę. Miaucząc ze złością, czarny kot poszedł w jej ślady. Oba zwierzęta zatrzymały się, gdy woń pożywienia przyćmił zapach dziwnych ludzi. W zaułku kłębił się tłum dzokerów, okrutnych parodii ludzkich postaci. Otuleni w łachmany grzebali w kubłach, szukając jedzenia.

W zaułku pojawiła się smuga światła. Koty poczuły zapach świeżej żywności, gdy elegancko ubrany mężczyzna, potężniejszy od każdego z trampów, wyniósł na śmietnik kilka pudeł.

— Przeście — powiedział do dzokerów, oniemiałych z zaskoczenia. W jego łagodnym głosie brzmiało coś na kształt bólu. — Przyniosłem wam jedzenie.

Otrząsnąwszy się ze zdumienia, dzokerzy rzucili się na kartony i zaczęli je rwać. Przepychali się, byle tylko dostać się do świeżego pokarmu.

— Przeście! — zawołał jakiś wysoki dzoker. — W końcu jesteśmy ludźmi!

Żebracy znieruchomieli, a potem cofnęli się, pozwalając grubemu mężczyźnie wydzielić każdemu porcję. Wysoki dzoker podszedł ostatni. Odbierając swoją rację, powiedział:

— Dziękujemy panu. Dziękujemy „Wieży Asów”.

W ciemnościach koty obserwowały jedzących dzokerów. Czarny kot odwrócił się do kotki, wysłał jej obraz rybich ości, po czym oba zwierzęta wróciły na ulicę. Na Szóstej Alei wysłał kotce obraz Trampuli. Poruszając się skokami, wędrowały w stronę przedmieścia, aż w końcu minęła je wolno jadąca ciężarówka z warzywami. Wiele przecznic dalej zbliżyli się do chińskiego targu, gdzie czarny kot wyczuł znajomy zapach. Gdy samochód zahamował, oba koty zeskoczyły na ziemię. Trzymały się cienia, idąc z dala od kręgów latarni, aż dotarły do straganu.

Do świtu pozostało jeszcze daleko, dostawcy wyładowywali właśnie świeże towary. Czarny kot wyczuł świeżo zarżnięte kurczaki i powędrował językiem aż do górnej wargi. Potem warknął krótko. Szylkretowa kotka wskoczyła na stos pomidorów, wysunęła pazury i zaczęła je rwać na strzępy.

Właściciel wrzasnął coś po chińsku i rzucił tablicą w szkodnika. Nie trafił. Dostawcy zatrzymali się, patrząc na szalone zwierzę.

— Gorzej niż w Dżokerowie — mruknął jeden.

— Kurewsko duży kociak — dodał drugi.

Gdy tylko uwaga ludzi skupiła się na kotce niszczącej pomidory, czarny kot skoczył na pakę samochodu i chwycił kurczaka. Kocur był naprawdę duży, ważył spokojnie dwadzieścia kilo i z łatwością mógł go unieść. Zeskoczył z tylnego zderzaka i zniknął w zaułku. W tej samej chwili kotka uchyliła się przed ciosem miotły i pomknęła za nim.

Czarny kot czekał na nią w zaułku, połowę przecznicy dalej. Gdy przybyła, oba koty zawyły triumfalnie. To były dobre łowy. Wspólnym wysiłkiem — kotka od czasu do czasu pomagała kocurowi wciągnąć kurczaka na krawężnik — zaniósł zdobycz przyjaciółce.

Pewien bezdomny, w rzadkich u niego momentach trzeźwości, ochrzcił ją Trampulą i przywisko przyłgnęło do niej na dobre. Jej rodzina, dzięki miejskie zwierzęta, nie określały jej imieniem, lecz obrazem. To wystarczało. Ona sama tylko z rzadka przypominała sobie swoje dawne imię.

Trampula otuliła się ciepłym, zielonym płaszczem, który znalazła w śmietniku nieopodal apartamentowca. Usiadła, uważając, by nie spłoszyć oposa ani siedzących na ramionach wiewiórek. Powitała powracające z łowów koty, dumnie niosące swoją zdobycz. Zwinnym ruchem, którym zadziwiłaby swych ulicznych znajomych, wyciągnęła rękę i poklepała pupilów po łebkach. W myślach utworzyła obraz wyjątkowo chudego kurczaka, do połowy objedzonego i wywlekanego przez koty ze śmietnika przy restauracji.

Czarny kot zadarł nos i prychnął lekko, po czym wymazał ten obraz z ich umysłów. Szylkretowa kotka wydała pogardliwy dźwięk, jakby warkot i miauknięcie jednocześnie. Patrząc Trampuli w oczy, pokazała jej polowanie, tak jak sama je widziała. Sama była wielkości lwicy, otaczały ją ludzkie nogi jak chodzące pnie drzew. Odważna kotka dostrzegła ofiarę, kurczaka wielkości domu. Rzuciła się na niego z obnażonymi zębami...

Scena zniknęła, gdy Trampula nagle zainteresowała się czymś innym. Kotka zaprotestowała, ale ciężka czarna łapa obróciła ją na grzbiet i przytrzymała. Zwierzę zamilkło i przekręciło głowę, by obserwować twarz kobiety. Czarny kocur zeszywniał w oczekiwaniu.

We wszystkich trzech umysłach pojawił się ten sam obraz: martwe szczury. Potem obraz zniknął, wymazany gniewem Trampuli. Wstała, zrzuciła wiewiórki i położyła oposa na boku. Bez wahania odwróciła się i skierowała do odchodzącego w bok korytarza, prowadzącego w dół. Czarny kocur pognał za nią, wyprzedził i poszedł na czele jak zwiadowca. Szylkretowa kotka szła obok kobiety.

Coś zjada moje szczury.

Tunele były ciemne, czasem oświetlone słabym blaskiem bioluminescencji. Trampula nie widziała w ciemnościach tak dobrze jak koty, ale mogła skorzystać z ich oczu.

Gdy znaleźli się pod parkiem, kocur wyczuł dziwny zapach. Zdołał go skojarzyć tylko ze zmiennokształtną istotą, po części węzem, po części jaszczurem.

Dziewięćdziesiąt metrów dalej trafili na zniszczone szczurze gniazdo. Żaden nie przeżył. Niektóre były na wpół zjedzone. Wszystkie okaleczono.

Trampula i jej towarzysze brnęli dalej poprzez mokry tunel. Kobieta ześlizgnęła się z parapetu i znalazła się po biodra w obrzydliwej wodzie. Obok przepływały niezidentyfikowane

szczątki, objając się o jej nogi. Nie poprawiło jej to nastroju.

Czarny kot zjeżył sierść i znów przesłał ten sam obraz, ale tym razem stwór był jeszcze większy. Sugerował, by natychmiast opuścić ten tunel. Szybko. I bardzo cicho.

Trampula zignorowała tę sugestię. Przesuwając się wzdłuż śliskiej ściany, odkryła kolejne puste gniazdo. Niektóre ze szczurów jeszcze żyły. Obraz ich mordercy przedstawiał cień przypominający niezwykle wielkiego i odrażającego węża. Kobieta zgasiła umysły śmiertelnie rannych zwierząt i ruszyła przed siebie.

Pięć metrów dalej znajdowała się studzienka odprowadzająca wodę ze znajdującego się w górze parku. Wejście znajdowało się jakiś metr ponad podłogą tunelu. Czarny kocur przycupnął tam, z uszami położonymi po sobie, mięśniami napiętymi do ataku, pomiaukując cicho. Bał się. Kotka pogardliwym krokiem ruszyła do wejścia, ale kocur odtrącił ją na bok. Spojrzał na Trampulę i wysłał jej wszystkie negatywne obrazy, jakie tylko przyszły mu do głowy.

Niesiona gniewem kobieta zasygnalizowała mu, że wejdzie pierwsza. Wzięła głęboki wdech, odetchnęła i wczołgała się do środka.

Pomieszczenie oświetlały tylko promienie słońca padającego przez kratkę, jakieś sześć metrów wyżej. Szary blask oświetlił nagie ciało mężczyzny. Trampula oceniła, że miał jakieś trzydzieści lat, był umięśniony, ale nie za bardzo. Ani grama tłuszczu. Kobieta zauważyła też, że nie jest tak wyniszczony jak większość bezdomnych. Przez chwilę sądziła, że nie żyje, że to kolejna ofiara tajemniczego zabójcy. Lecz gdy skupiła na nim umysł, zrozumiała, że śpi.

Koty wślizgnęły się za nią. Czarny kocur powarkował, zdezorientowany. Jego zmysły mówiły, że tutaj kończą się ślady jaszczurowęza — w miejscu, gdzie leżał człowiek. Trampula wyczuwała w nim coś dziwnego. Zwykle nie próbowała nic wyczytać z ludzi — za dużo zachodu. Ich umysły były zbyt skomplikowane. Planowali, knuli, oszukiwali. Powoli uklękła przy mężczyźnie i wyciągnęła rękę.

Śpiący obudził się, poczuł zapach brudnej ulicznicy próbującej go dotknąć i cofnął się.

— Czego chcesz? — zapytał.

Nie odpowiedziała.

Chyba zdał sobie sprawę, że jest nagi, i szybko wycofał się do tunelu. Usłyszał głęboki warkot i ledwie uniknął ciosu łapy największego kocura, jakiego widział w życiu. Przez chwilę miał wrażenie, że ześlizguje się do mrocznego tunelu we własnej głowie. Potem uciekł i zniknął.

Koty pomiaukiwały, zadając dziesiątki pytań, ale Trampula nie znała odpowiedzi. *Ale prawie — pomyślała. W jego umyśle prawie wyczułam... co? Nicość.*

Trampula i oba koty przeszukiwali tunele jeszcze przez godzinę, ale nie znaleźli ani śladu dziwnej woni. W okolicy nie było potwora.



Pracownicy sezonowi, bezdomni, lumpy i inni mieszkańcy ulic zaczęli dzień bardzo wcześnie, gdy w okolicy można było znaleźć najlepsze puszki i butelki. Rosemary także opuściła apartament wcześnie. Tej nocy prawie nie spała, a wiedząc, co się działo za zamkniętymi drzwiami biblioteki, chciała stamtąd jak najszybciej uciec. Gambioni wypowiedzieli wojnę.

Central Park, pełen drzew, krzewów i ławek był rajem dla niektórych lumpów. Rosemary próbowała odszukać kilka osób, którym już wcześniej obiecała pomóc. Gdy dotarła do drugiej

ławki pod kamiennym mostem, mężczyzna w znoszonym ubraniu szybko schował butelkę w krzakach i skoczył na nogi. Ubrany był w zieloną, drelichową kurtkę. Na rękawie widniało nieco ciemniejsze miejsce, gdzie wcześniej umieszczono naszywkę Brygady Dżokerów z napisem „mięso armatnie”. Rosemary ostrzegła go, że to zły pomysł nosić ją otwarcie tak daleko na przedmieściach.

— Cześć, Pełzak — powiedziała. Miał jakieś dwadzieścia parę lat — trudno było poznać po jego spalonej słońcem twarzy — i dorobił się tego przydomka z powodu swej pracy w wojsku, gdzie był zwiadowcą badającym tunele. Po powrocie dostał powołanie jeszcze dwa razy. A potem zobaczył już dość.

— Hej, Rosemary. Masz dla mnie nowe gogle? — Pełzak nosił tanie okulary ze stoiska na Czternastej Ulicy oklejone brudną białą taśmą klejącą. Rosemary wiedziała, że oczy mężczyzny skryte pod szklami były ciemne, nienaturalnie wielkie i bardzo wrażliwe.

— Złożyłam podanie o dodatkowe fundusze. Ale musi minąć trochę czasu. Wiesz, jaka jest u nas biurokracja. Zupełnie jak w wojsku.

— Jasne — odparł z westchnieniem lump, ale mimo to poszedł za nią.

Rosemary zawahała się, lecz potem zasugerowała:

— Mógłbyś pójść do Urzędu Weteranów. Tam by ci pomogli.

— Kurwa, w życiu! — zaprotestował Pełzak. — Tacy goście jak ja mogą tam wejść, ale nigdy wyjść.

Rosemary już miała odpowiedzieć: „Przecież to nonsens”, ale ugryzła się w język.

— Posłuchaj, wiesz coś na temat naszego metra? Znasz tunele, tego typu miejsca?

— Trochę. Czasem potrzebuję schronienia. Ale nie lubię tam wchodzić. Podobno dzieją się tam straszne rzeczy. Ludzie opowiadają o aligatorach i innych takich. Może to tylko bredzenia pijaczków w delirce, ale nie chcę tego sprawdzać na własnej skórze.

— Szukam kogoś — ciągnęła Rosemary.

Ale Pełzak nie słuchał.

— Tam na dole żyją tylko kompletni dziwacy — wymruczał coś pod nosem. — Nawet dziwniejsi niż po wschodniej stronie... no wiesz, w Mieście. Ona mieszka naprawdę głęboko. — Pełzak wskazał na staruszkę siedzącą na ziemi w cieniu klonu. Dzieliło ich od niej przynajmniej dziewięćdziesiąt metrów, ale Rosemary mogłaby przysiąc, że na głowie bezdomnej siedziały gołębice, a na ramieniu przycupnęła wiewiórka. Dziewczyna przekrzywiła głowę i spojrzała znów na niskiego mężczyznę.

— To tylko Trampula — stwierdziła. — Ona jest niegroźna...

Dopiero wtedy zdała sobie sprawę, że Pełzak odszedł, by poprosić o wsparcie jakiegoś eleganckiego biznesmena, który najwyraźniej postanowił zadbać o kondycję, chodząc piechotą do pracy. Pokręciła głową z dezaprobatą i rezygnacją.

Zanim zdążyła odwrócić się z powrotem do Trampuli, gołębice i wiewiórka zniknęły. Dziewczyna znów potrząsnęła głową, by odzyskać jasność myśli. *Naprawdę ponosi mnie wyobraźnia*, stwierdziła, podchodząc do bezdomnej.

— Dzień dobry.

Kobieta potrząsnęła zmierzwioną czupryną i odwróciła się, patrząc w inną stronę.

— Nazywam się Rosemary. Rozmawialiśmy już wcześniej. Obiecałam, że znajdę pani jakiś kąt do mieszkania. Pamięta pani? — Rosemary przykucnęła na ziemi, by spojrzeć bezdomnej

w oczy.

Podbiegł do nich czarny kot, którego widziała już wcześniej, i zaczął ocierać się o nogi staruszki. Gładziła go po głowie, mrucząc coś niezrozumiałego.

— Proszę coś powiedzieć. Chciałabym załatwić pani jedzenie i miłe miejsce do spania. — Rosemary wyciągnęła rękę. Pierścionek na trzecim palcu zalśnił w słońcu.

Kobieta podciągnęła nogi i objęła kolana, ściskając plastikową torbę pełną skarbów. Zaczęła się rytmicznie kołysać, zawodząc coś pod nosem. Czarny kot spojrział na Rosemary, a dziewczyna aż drgnęła.

— Może porozmawiamy później. Wróć niedługo. — Rosemary wstała sztywno. Twarz jej się ściągnęła i przez chwilę pragnęła po prostu rozplakać się z frustracji. Chciała komuś pomóc. Komukolwiek. Choć raz zrobić coś dobrego.

Zostawiła Trampulę i ruszyła w stronę wejścia do metra. Narada wojenna ojca przeraziła ją do głębi. Rosemary nie podobało się jego zajęcie, a teraz czuła się, jakby przez całe życie szukała drogi ucieczki, odkupienia i pokuty. Kara za grzechy ojców. Rosemary pragnęła spokoju, ale gdy tylko zdawało jej się, że go znalazła, znów odsuwał się poza zasięg. Nie zdołała pomóc C.C. ani żadnemu ze swych podopiecznych. Musiał istnieć jakiś sposób, by dotrzeć do Trampuli. Po prostu musiał.

Zeszła po schodach, zaczekała, wrzuciła żeton, zeszła po drugich schodach na peron, jakby w transie. Podmuch chłodnego powietrza zwiastował przyjazd miejscowego pociągu. Rosemary podniosła wzrok znad podłogi i sztywnym krokiem podążyła do najbliższego wagonu.

Już miała wejść do środka, gdy nagle cofnęła się wprost w napierający tłum, ściągając na siebie wściekłe spojrzenia i kilka przekleństw. Ten ostatni wagon... Na burcie widniały kolejne zwrotki piosenek C.C. Wymalowane czerwoną farbą przypominającą krew. C.C. cierpiała na coś w rodzaju choroby dwubiegunowej, a Rosemary zawsze potrafiła rozpoznać jej nastrój po tym, co pisała lub śpiewała. Sądząc po tym tekście, jeszcze nigdy nie widziała C.C. tak zrozpaczonej:

*Kość i krew,
Domu zew,
Mam tam dług,
Wróć tam,
By ktoś mógł
Zapukać do piekła bram,
Zapukać do piekła bram.*

Podchodząc do wagonu, Rosemary dostrzegła kolejne słowa, których jeszcze przed chwilą tam nie było:

*Rózo, Rózo,
Uciekaj co sił,
Nie pora na łzy,
Zapomnij mój głos,
Piękna Rózo.*

— Znajdę cię, C.C.! — zawołała. — Uratuję cię!

Znów szarpała za drzwi, by wejść do środka. Wszędzie wokół widniały fragmenty piosenek

C.C., niektóre znała, ale inne musiały być nowe. Wagon znów jej nie wpuścił. Ciężko dysząc, Rosemary patrzyła za wagonem znikającym w tunelu. Zatchnęła się z przerażenia, widząc, że wagon nagle pokryły krwawe łzy.

— Święta Mario, łaskiś pełna... — Nagle przypomniała sobie opowieści o świętych, które znała z dzieciństwa. Przez chwilę zastanawiała się, czy to koniec świata i czy te wojny i śmierć, i dzokerzy, i nienawiść naprawdę zwiastowali apokalipsę.



Było południe.

Amerykańskie B-52 bombardowały Hanoi i Hajfong. Quang Tri drżało w posadach, wstrząsane echem kroków nadciągającej armii północnego Wietnamu. W Waszyngtonie politycy odbierali gorączkowe telefony donoszące o niedawnym włamaniu. W niektórych gabinetach pytano wprost: czy Donald Segretti jest asem?

Ruch uliczny na Manhattanie był gorączkowy. Na stacji Grand Central Rosemary Muldoon rozejrzała się za cieniami, których śladem mogłaby podążać w głąb metra. Kilkanaście przecznic na północ Jack Robicheaux oddawał się swemu zwykłemu zajęciu, podążając naprzód na elektrycznym wózku i sprawdzając stan torów w poszczególnych tunelach. A gdzieś pod opuszczonym odcinkiem Osiemdziesiątej Szóstej Ulicy, tuż pod południowym krańcem jeziora w Central Parku spała Trampula, ogrzewana ciepłem kotłów i innych zwierząt.

Południe. Zaczynała się podziemna wojna na Manhattanie.

— Zacznę może cytatem z przemowy wygłoszonej niegdyś przez samego Don Carla Gambionego — stwierdził Frederico Macellaio, zwany „Rzeźnikiem”. Ponurym wzrokiem zmierzył zgromadzenie capo ich żołnierzy zebranych wokół niego w sali. W latach trzydziestych to olbrzymie pomieszczenie stanowiło podziemny warsztat dla wagonów śródmiejskich linii metra. Przed drugą wojną zostało zamknięte i zabezpieczone, gdy administracja transportu postanowiła przenieść wszystkie warsztaty naprawcze na drugą stronę rzeki. Rodzina Gambione już wkrótce zaanektowała to pomieszczenie jako skład broni i innej kontrabandy, magazyn frachtu i czasem miejsce pochówku.

Rzeźnik podniósł głos, a jego słowa odbiły się echem od ścian.

— O zwycięstwie zadecydują dwie rzeczy: dyscyplina i lojalność.

Mały Renaldo stał nieco z boku wraz z Frankiem i Joeyem.

— Nie mówiąc już o broni automatycznej i materiałach wybuchowych — uśmiechnął się krzywo.

Joey i Frankie spojrzeli po sobie. Frankie wzruszył ramionami.

— Bóg, chwała i amunicja — dodał Joey.

— Nudzę się — stwierdził Renaldo. — Chętnie bym coś zastrześlił.

Joey podniósł głos, żeby usłyszał go nawet Rzeźnik.

— Hej, to co robimy? Skopiemy parę tyłków? Kogo można stuknąć? Tylko czarnych? Czy dzokerów też?

— Nie wiem, kim są ich sprzymierzeńcy — odparł Rzeźnik. — Wiemy tylko, że na pewno nie działaliby w pojedynkę. Nawet wśród naszej rasy znajdują się zdrajcy, którzy wspomagają ich finansowo.

Maniacki uśmiech Renalda poszerzył się jeszcze bardziej.

— Strefa wolnego ognia — stwierdził. — Ooo, rany. — Naciągnął kapelusz polowy nisko na oczy.

— Kurwa — skrzywił się Joey. — Nawet cię tam nie było.

Renaldo pokazał mu uniesiony kciuk.

— Widziałem ten film z Johnem Wayne'em.

— Czyli można strzelać do wszystkiego? Sam szef tak mówi?

Uśmiech Rzeźnika był wąski i zimny.

— Jeśli ktoś będzie robił problemy, po prostu go sprzątnijcie.

Zebrani zaczęli się rozchodzić, zwiadowcy, drużyny, plutony. Nieśli karabiny M-16, dubeltówki z pompką, kilka karabinów maszynowych M-60, granaty i granatniki, rakiety, gaz łzawiący, pistolety, noże i dostatecznie dużo C-4, by wysadzić wszystko na drodze.

— Hej, Joey — zawołał Mały Renaldo. — Do kogo będziesz strzelał?

Joey wsunął magazynek do swojego AK-47. Broń nie pochodziła z arsenału Gambione. Była to jego osobista zdobycz. Dotknął polerowanej kolby.

— Może do aligatora?

— Hę?

— Nie czytasz brukowców? Wszyscy piszą, że w kanałach żyją wielkie aligatory.

Mały Renaldo spojrział na niego z powątpiewaniem i zadrzał.

— Dżokerzy to jedno. Ale nie chcę strzelać do żadnych wielkich gadów z zębami.

Teraz to Joey się uśmiechnął.

— Tak naprawdę ich tam nie ma? Wkręcasz mnie, co?

Joey pokazał uniesiony kciuk.



Jack stracił poczucie czasu. Wiedział, że minęło go sporo, odkąd zjechał wózkiem z głównego toru na boczną ostrogę. Wiedział, że dzieje się coś złego. Postanowił zbadać mniej uczęszczane trasy. Miał wrażenie, że ktoś przyciska mu kostkę lodu do kregosłupa tuż nad kością ogonową.

Usłyszał szum pociągów, ale omijały go szerokim łukiem. Tunele, które teraz przemierzał, wykorzystywano tylko z rzadka, tylko w razie dużego ruchu, pożaru albo innych problemów na głównych liniach. Z daleka dolatywał jeszcze inny odgłos, jakby wystrzałów.

Jack śpiewał. Wypełniał mrok dźwiękami zydeco, bluesowej, cajuńsko-murzyńskiej muzyki, którą pamiętał z dzieciństwa. Zaczął od *Chantilly Lace* Big Boppera, a potem przeszedł do *Ay-Tete-Fee* Cliftona Cheniera, poprzez kawałki Jimmy'ego Newmana Medleya i *Rainin' in My Heart* autorstwa Slima Harpo. Przetawiał dźwięgnię i skierował wózek na odnogę, której nie sprawdzał już od roku, gdy nagle świat wybuchł czerwonym i żółtym płomieniem. Zdążył jeszcze zaśpiewać jedną linijkę *L'Haricots sont pas salés*, gdy ciemność rozpadła się na kawałki, fala wybuchu uderzyła go w uszy, a wózek wyleciał w powietrze.

Zdążył tylko wykrzyknąć: „Co jes' u djabla...”, gdy uderzył w ścianę tunelu i osunął się na ziemię. Przez chwilę leżał, ogłuszony i oslepiiony błyskiem. Zamrugął i zdał sobie sprawę, że widzi wstęgi dymu i światła latarek.

Czyjś głos wykrzyknął:

— Jezus, Renaldo! Przecież nie walczymy z czołgiem!

Po czym drugi dodał:

— Głupio mi sprzątać tego gościa. Nie chciałbym zastrzelić kogoś, kto śpiewa prawie jak Chuck Berry.

— No cóż — zauważył trzeci — ale to prawie na pewno tajniak.

— Rzuć na niego okiem, Renaldo. Po tym wybuchu facet pewnie wygląda jak puszka mielonki, ale lepiej sprawdzić.

Światła zbliżały się, mrugając w rozwiewającym się dymie.

Sabija mni — pomyślał Jack, odruchowo wracając do dialektu znanego z dzieciństwa. Z początku powitał tę myśl zupełnie bez emocji. Potem poczuł gniew. Pozwolił, by to uczucie ogarnęło go całkowicie. Gniew przeszedł w furję. Adrenalina zelektryzowała jego udręczone nerwy. Poczul pierwsze dotknięcie czegoś, co dawniej uważał za napad wilkołactwa.

— Chyba coś widzę. Tam, Renaldo, po lewej!

Mężczyzna imieniem Renaldo zbliżył się o kilka kroków.

— Aha, widzę go. Tylko się upewnij. — Uniósł broń, próbując wycelować przy świetle latarki.

Ta kropla przelała czarę goryczy. *Ty cholerny morderco!* — pomyślał jeszcze Jack.

Ogarnął go ból, dobrze znajomy. Ból... przemiany.

Umysł mu wirował, składał się w coraz mniejszą kostkę, by przybrać pierwotną, gadzią postać. Ciało wydłużyło się kilkukrotnie, stężało, szczeka wysunęła się naprzód, w pysku wyeksponowała się obfitość zębów. Poczul siłę mięśni i zapewniający równowagę wielki ogon. Ta niewiarygodna siła... poczul ją całym sobą.

Następnie dostrzegł ofiarę i zagrożenie jednocześnie.

— O Boże! — wrzasnął Mały Renaldo. Nacisnął palcem na spust M-16. Pierwszy pocisk trafił gdzieś w ścianę. Nie miał szans na drugi strzał.

Stwór, który przed chwilą był Jackiem, skoczył naprzód, zaciskając szczęki na nadgarstku Renalda, rwąc i szarpiąc ciało. Latarka zakręciła się dziko, upadła, roztrzaskała się i zgasła.

Pozostali zaczęli strzelać na oślep.

Aligator usłyszał ich krzyki. Zapach strachu. Dobrze. Lubił, kiedy ofiary same sygnalizowały swoje położenie. Upuścił trupa Renalda i ruszył w stronę światła. Jego wściekły ryk wypełnił tunel.

— Na Boga, Joey, pomóż mi!

— Trzymaj się! Nie widzę cię!

Korytarz był wąski, wzniesiony ze starych, nietrwałych materiałów. Aligator znalazł się pomiędzy dwoma smakowitymi kąskami. Niezdecydowany wykręcił w ciasnym przejściu. Zobaczył błyski światła, poczul kilka ukłuc, głównie w ogon. Usłyszał krzyki ofiar.

— Joey, odgryzł mi nogę!

Kolejne błyski. Potem wybuch. W nozdrza uderzył go zapach gryzącego dymu. Ze stropu posypały się kamienne odłamki. Przegniłe belki trzasnęły, zwietrzały cement ustąpił pod ciężarem. Potem zawaliła się podłoga i ponad trzyipółmetrowe cielsko aligatora runęła w dół. Z góry posypał się kurz i gruz.

Z impetem wpadł na cienką, metalową pokrywę luku, która nigdy nie miała utrzymać takiego ciężaru. Aluminium przerwało się jak płótno, a stwór runął do otwartego szybu. Spadał jeszcze

przez sześć metrów w dół, nim wylądował w pajęczynie krzyżujących się drewnianych belek. Przez chwilę jego śladem spadały odłamki i śmieci. Następnie zapadła cisza, tak w górze, jak na dole. Aligator spoczywał w ciemności. Spróbował się poruszyć, ale bez skutku. Był całkowicie unieruchomiony w drewnianej kociej kołysce. Jakaś belka zaklinowała mu się poprzecznie nad pyskiem. Nie mógł nawet rozewrzeć szczęk.

Próbował zaryczeć. Ale dźwięk przypominał raczej stłumiony warkot. Zamrugał. Nie widział nic. Opuszczały go siły, stres w końcu zaczął zbierać żniwo.

Nie chciał tu umrzeć. Wolalby zakończyć życie w wodzie.

A co gorsza, nie chciał umrzeć głodny.

Był wycieńczony.



Trampula poczuła coś, czego zupełnie się nie spodziewała: współczucie dla Rosemary Muldoon. Wiedziała, że pracownica opieki próbuje jej pomóc, ale jak mogła jej wytłumaczyć, że nie potrzebuje pomocy? Zdziwiona tym uczuciem, przypadkiem odkryła jeszcze jedno. Czuła się całkiem szczęśliwa w towarzystwie swych troskliwych przyjaciół, choć wcale nie byli ludźmi.

Miała ciepły kątek do spania. Jej legowisko pod Central Parkiem znajdowało się w pobliżu przewodów centralnego ogrzewania. Trampula urządziła je przy użyciu najlepszego wyposażenia, jakie tylko śmietniki miały do zaoferowania. Połamane składane krzesło stanowiło jedyny mebel, ale na podłodze leżało wiele warstw koców i szmat. O jedną ze ścian oparła obraz przedstawiający lwy na sawannie, a w kącie stała drewniana rzeźba lamparta. Brakowało mu jednej nogi, ale i tak zajmował honorowe miejsce.

Drzemiąc w swoim ślepym tunelu pod Osiedzią Szóstą Ulicą, Trampula przypominała sobie nawet, jak się kiedyś nazywała — Suzanne Melot. Nagły, ostry ból przerwał jej rozmyślenia. Siła tego zewu powaliła nawet czarnego kota, który aż miauknął z bólu. Gdy fala nieco zelżała, kocur przesłał Trampuli obraz tego samego stwora, który zaatakował szczury. Trampula przytaknęła. Żadne z nich nie widziało go zbyt wyraźnie. Stwór przypominał wielką jaszczurkę, ale z jakiegoś powodu nie był do końca zwierzęciem. A teraz cierpiał.

Trampula wstała z westchnieniem.

— Musimy go znaleźć, jeśli chcemy tu zaznać choć trochę spokoju.

Kocurowi wcale się to nie spodobało, ale już za chwilę dotarła do nich kolejna fala bólu. Kocur prychnął i zniknął w tunelu po lewej stronie. Szybkretowa kotka poczuła jedynie echa bólu odbite od kocura i Trampuli. Kobieta powtórzyła ten krzyk w myślach, a kotka przywarła do ziemi, z płasko położonymi uszami. W myślach Trampuli pojawił się obraz kocura, a szybkretowa kotka popędziła tunelem za nim. Kobieta kazała jej poczekać, a potem obie ruszyły śladem kocura i rannego stwora.

Znaleźli go dopiero po dłuższym czasie. Stwór rzeczywiście najbardziej przypominał wielką jaszczurkę. Leżał przygnieciony połamanymi belkami w niedokończonym tunelu. Czarny kocur przycupnął o kilka kroków dalej, wpatrzony w to dziwne zjawisko.

Trampula zmierzyła wzrokiem uwiecznionego stwora i roześmiała się głośno.

— A zatem w ściekach naprawdę żyją aligatory! — Stwór poruszył ogonem, miotając na boki odłamki cegieł. — Ale jest w tobie coś więcej, prawda?

Nie była w stanie uwolnić aligatora własnymi siłami. Przyklęła i obejrzała belki, po czym

zawołała swoich przyjaciół. Pogładziła zwierzę po głowie, wysyłając uspokajające obrazy. Wyczuła, że stwór na zmianę odzyskuje i traci przytomność.

Zwierzęta zjawiały się stopniowo. Szczury przegryzały zbutwiałe drewno, dzikie psy użyły swojej siły, opasy i szopy nosiły mniejsze kamienie. Czarny kocur i szylkretowa kotka pomagały Trampuli kontrolować to stado.

Gdy oczyszczono mniejsze szczątki, a deski i belki przesunięto lub przegryziono, Trampula sama zaczęła wyciągać aligatora z pułapki. Ona ciągnęła, a stwór miotał się gorączkowo, aż w końcu wspólnymi siłami zdołali go uwolnić. Kobieta uklękała, trzymając na kolanach bardzo zmęczonego i poobijanego aligatora. Kocur i kotka kazały pozostałym zwierzętom odejść.

Potem patrzyły, jak Trampula gładzi stwora pod pyskiem, próbując go uspokoić. Jakby w odpowiedzi na jej dotyk ciało aligatora zaczęło się kurczyć. Łuskowate wypustki zmieniły się w gładką, bladą skórę. Krótkie kończyny przybrały postać rąk i nóg. Po kilku minutach Trampula trzymała na kolanach nagie, posiniaczone ciało mężczyzny, którego widziała już wcześniej. W pewnym momencie zdała sobie sprawę, że już nie kontroluje stwora ani nie może odczytać jego myśli. Nawet nie zauważyła, kiedy istota przekroczyła ostateczną granicę dzielącą człowieka od zwierzęcia.

Wstała, zsunęła mężczyznę z kolan i ruszyła do tunelu. Kotka pobiegła jej śladem. Czarny kocur został przy boku mężczyzny.

Dlaczego? — pomyślała Trampula.

Dlaczego? — odparł kocur. Kobieta zobaczyła scenę, która rozegrała się tu przed chwilą, oglądaną oczami kota.

Szylkretowa kotka wodziła oczami od jednego do drugiego. Nie zaproszono jej do tej rozmowy.

Aligator — wyjaśniła Trampula — *nie człowiek*.

W jej umyśle aligator zmienił się w człowieka.

— To ciekawe... — powiedział głośno, po raz pierwszy od początku tej operacji.

Kocur przesłał jej obraz czarnego kota leżącego na grzbiecie z łapami sterczącymi w górę.

Trampula usiadła obok mężczyzny. Po kilku minutach ranny zaczął się poruszać. Z trudem podniósł się i usiadł. W słabym świetle dnia padającym z góry rozpoznał w Trampuli staruszkę widzianą przedwczoraj.

— Co się stało? — wychrypiał. — Pamiętam, że wpadłem na bandę jakichś świrów z bronią. — Próbował skupić wzrok na staruszcze, która uparcie dzieliła się na dwie. — Chyba mam wstrząs mózgu.

Trampula wzruszyła ramionami i wskazała na załamane belki w stropie. Mrużąc oczy, dostrzegł setki śladów łap na podłodze i otaczających ścianach. Pośrodku podłogi widniał odcisk monstrualnego ogona.

— O Boże, tylko nie to! — Jack znów odwrócił się do Trampuli. — Co zobaczyłaś, kiedy tu weszłaś?

Odwróciła się od niego, wciąż milcząca. Dostrzegł, że wargi skrzywiły się w uśmiechu pod szopą zmierzwionych włosów. Wariatka?

— *Merde*. Co ja teraz zrobię? — Jack prawie upadł na podłogę, uderzony parą łap, które spadły mu na pierś. — Ostrożnie, kiciu. Odkąd wyjechałem z bagien, nie widziałem takiego wielkiego kota. — Zielone ślepia wpatrywały się w niego z dziwną intensywnością. — Co się

dzieje?

— Jest ciekaw, jak to robisz. — Głos staruszki nie pasował do jej wyglądu. Był młodzieńczy, z nutką wesołości. — Uważaj. Jesteś oszołomiony. To takie uczucie, jakby przestawała działać chlorpromazyna. W takim stroju daleko nie zajdziesz — dodała. Gdy w końcu usiadł prosto, rzuciła mu swój płaszcz.

— *Mon Dieu*. Dzięki. — Jack narzucił go na siebie i otulił się ciasno. Okrywał go od ramion do kolan, ale rękawy sięgały ledwo do łokci.

— Gdzie mieszkasz? — Spojrzenie Trampuli nie zdradzało niczego. Jack był jej za to wdzięczny.

— W centrum. Na Broadwayu, obok stacji Ratusz. Czy gdzieś tu jest metro? — Jack rzadko czuł się zagubiony i teraz odkrył, że bardzo nie lubi tego uczucia.

W odpowiedzi staruszka skierowała się do tunelu. Nie obejrzała się, by sprawdzić, czy mężczyzna za nią podąża.

— Wasza pani jest trochę dziwna. Bez urazy — powiedział Jack do czarnego kocura. Zwierzę uniosło wzrok, pociągnęło nosem i poruszyło ogonem. — Przyganiał kociół garnkowi, co? Chyba masz rację.

Bardzo starał się dotrzymać tempa przewodniczce, ale szybko został z tyłu. W końcu, poddając się naleganiom czarnego kota, Trampula zawróciła i wsparła Jacka ramieniem.

Dotarli do Pięćdziesiątej Siódmej Ulicy i wtedy rozpoznał tunele. Gdy tylko weszli na platformę, staruszka wyraźnie się zmieniła. Wciąż podtrzymywała Jacka, ale poruszała się tak, jakby to ona czepiała się jego ramienia. Zamiast iść, powłóczyła nogami, nie odrywając wzroku od podłogi. Pasażerowie na peronie rozstąpili się przed nimi.

Pociąg wjechał na peron. Ostatni wagon pokryty był kolorowym graffiti. Trampula pociągnęła Jacka w tamtą stronę. Zdążył jeszcze przeczytać kilka wyraźniejszych napisów na burcie.

Wyróżniasz się z tłumu?

Wyczuwasz ten żar?

Czy płoniesz jak ja?

Ten ogień nie spala,

I nie daje wytchnienia,

Trwamy tak bez końca,

Na zawsze w płomieniach.

Jack miał wrażenie, że niektóre z tych fraz zmieniają się w oczach, ale to mogło być tylko złudzenie spowodowane wstrząsem mózgu. Trampula wciągnęła go do środka. Drzwi zamknęły się ku oburzeniu pasażerów.

— Dokąd? — Jack pomyślał, że Trampula jest wyjątkowa oszczędna w słowach.

— Do Ratusza — mruknął i osunął się na siedzenie, opierając głowę na oparciu, i zamknął oczy, gdy pociąg ruszył w stronę centrum. Nie zauważył, że siedzenie zmieniło kształt, by spało mu się wygodniej. Nie zauważył nawet, że drzwi nie otworzyły się aż do Ratusza.

Kotom nie podobała się ta jazda. Szybkretowa kotka była przerażona. Z położonymi uszami i najeżonym ogonem tuliła się do Trampuli. Czarny kocur przestępował z łapy na łapę, jakby

ugniatał podłogę. Jej dotyk był tylko częściowo znajomy. Zastanawiał się, skąd brało się to ciepło i dziwny zapach.

Trampula próbowała skupić wzrok na wnętrzu wagonu. Nie było tu żadnych ostrych kątów. Niewyraźne kształty zdawały się subtelnie zmieniać formę na granicy pola widzenia. *Nie pamiętam nic podobnego od czasu tego tripu na kwasie* — pomyślała. Rozszerzyła świadomość poza oba koty i Jacka. Nawiązała krótki kontakt, choć nie potrafiła powiedzieć z kim. Poczuła, że tutaj otacza ich wszechogarniający spokój. I ciepło. I czyjaś opieka.

Ostrożnie odchyliła się na oparcie i pogłaskała kotkę.



— Tu wysiadam — oznajmił Jack.

Doszedł do siebie już na tyle, by poprowadzić całą grupkę poprzez stację Ratusz, a potem przez labirynt schowków, magazynów i nieużywanych tuneli. Swego czasu zamontował tu oświetlenie, które mógł włączać i wyłączać w razie potrzeby. Otworzył ostatnie drzwi, odsunął się i zaprosił Trampulę z kotami do środka. Uśmiechnął się z dumą, prezentując swój salon.

— O rany, chłopie! — Trampula aż się wzdrygnęła, patrząc na bogate umeblowanie. Wokół pyszniły się czerwone aksamity i sofy na szponiastych łapach.

— A zatem jesteś młodsza, niż wyglądasz. Ja też tak zareagowałem. Przypomniał mi się salonik kapitana Nemo...

— *20 000 mil podwodnej żeglugi?*

— Aha, tak. Też to widziałaś? Jeden z pierwszych filmów, jakie obejrzałem w naszym parafialnym kinie. — Ruszyli w dół po schodach pokrytych purpurowym dywanem, otoczonych złotymi kolumnkami i aksamitnymi sznurami. Oba koty biegły na czele. Szybkretowa kotka przeskakiwała wiktoriańskie fotele, jakby brała udział w biegu przez płotki. Elektrycznemu oświetleniu towarzyszyły migoczące płomyki gazowe, nadając całemu pomieszczeniu staroświecki wygląd. Czarny kocur dreptał po perskich dywanach aż na brzeg peronu, po czym spojrział na ludzi.

— Chce wiedzieć, co to za miejsce i co jest za tymi drzwiami — wyjaśniła Trampula i podtrzymała Jacka, gdy zaczęli schodzić. — Musisz się położyć i odpocząć.

— Już niedługo. To mój dom, a za tymi drzwiami jest sypialnia. Chodźmy tam... — Ruszyli naprzód. — To pierwszy odcinek metra w Nowym Jorku, wybudowany przez Alfreda Beacha tuż po wojnie secesyjnej. Obejmował tylko dwie przecznice. Szef Tweed uznał, że jej nie chce, więc ją zamknął, a potem wszyscy o niej zapomnieli. Znalazłem ją, gdy zacząłem pracować dla Urzędu Transportu. To jedna z zalet tej pracy. Nie wiem, jakim cudem tak dobrze się zachowała, ale wygodnie się tu mieszka. Trzeba było tylko trochę posprzątać. — Przeszli przez pokój, a Jack nacisnął klamkę w ozdobnych, odlanych z brązu drzwiach. Widoczny pośrodku okrąg rozsunał się, ukazując przejścia. — To było wejście do tunelu pneumatycznego.

— Nie spodziewałam się czegoś takiego. — Trampula ze zdziwieniem przekonała się, że wewnątrz zostało umeblowane bardzo skromnie. Stało tam łóżko zbite własnoręcznie z sosnowych desek, domowej roboty regał na książki i jakaś skrzynia ze sklejkami.

— Gdzie masz jodynę? — spytała, rozglądając się za apteczką.

— Nie używam. Możesz zebrać mi trochę tego? — Jack wskazał na pajęczyny.

— Chyba żartujesz.

— Najlepszy opatrunek na świecie. Babcia mnie nauczyła.

Gdy znów na niego spojrzała, zdążył już włożyć bokserki, a w rękę trzymał koszulkę. Podała mu garść pajęczyn i pomogła zabandażować najgorsze obrażenia.

— A właściwie skąd się tu wzięłaś? — spytał, kładąc się na plecach, lekko skrzywiony z bólu. Trampula ostrożnie przycupnęła na skraju łóżka.

— W ogóle nie przypominasz tych wszystkich pracowników opieki — stwierdziła, śledząc wzrokiem koty ganiające się nawzajem po pokoju. Gdy znów spojrzała na Jacka, w jej wzroku mignął cień uznania. — One też cię lubią. — Wypuścili mnie jakiś czas temu i wróciłam do miasta — zaczęła. — Nie miałam dokąd iść. Spotkałam czarnego, zaczęłam z nim rozmawiać, a on odpowiedział. Rozmawiam z różnymi zwierzętami, w każdym razie z tymi, które nie są ludźmi. Daję sobie radę. Nie potrzebuję ludzi. Same z nimi kłopoty. Z tobą też potrafię rozmawiać, gdy jesteś tym drugim, wiesz? Tutaj mówią na mnie Trampula. Kiedyś miałam inne imię, ale już nie pamiętam.

— Na mnie mówią Ściekowy Jack — mruknął z goryczą Jack. Jego głos zupełnie nie przypominał obojętnej relacji Trampuli. Kobieta wyczuła w tym wybuch emocji: krzyki i jaskrawe światła, strach i schronienie na bagnach.

— On tu jest... ten stwór. Czym ty jesteś? — Trampula była zdezorientowana. Nigdy wcześniej nie spotkała takiej hybrydy człowieka i zwierzęcia, z którą mogła się porozumieć tylko czasami.

— Jednym i drugim. Widziałas.

— Panujesz nad tym? Możesz się zmusić do zmiany?

— Widziałas kiedyś Lawrence'a Talbota jako człowieka-wilka? Zmieniam się, gdy tracę kontrolę albo pozwalam bestii przejąć panowanie. Nie zmieniam się przy pełni księżyca. Mogę się zmienić w każdej chwili. Tam, skąd pochodzę, krążą legendy o *loup-garou*. Wszyscy Cajuni w to wierzą. Też wierzyłem, gdy byłem mały. Bałem się, że kogoś skrzywdzę, więc wyjechałem jak najdalej. Nowy Jork to dla mnie prawie jak zagranica. Nikt mnie tu nie rozpozna. — Spojrzał na Trampulę. — Czemu tak udajesz? — spytał, jakby chciał zmienić temat. — Przecież nie masz więcej niż czterdzieści pięć lat.

— Dwadzieścia sześć. — Odwzajemniła spojrzenie, zastanawiając się, dlaczego to ważne. — Dzięki temu dają mi spokój.

Jack spojrział poprzez otwarte drzwi na kolejowy zegar wiszący na ścianie.

— Nie wiem jak ty, ale ja jestem głodny.



Wyruszyć na ratunek C.C. — z początku wydawało się to świetnym pomysłem, ale potem zmieniło się w koszmar. Rosemary poszła śladem bezdomnych do tuneli wentylacyjnych pod stacją Grand Central. Z początku próbowała pytać o C.C., ale im bardziej zagłębiała się w wilgotne tunele, tym szybciej miejscowi od niej uciekali. Czasem dostrzegała błysk światła z ulicznej kratki albo z dymiących ognisk bezdomnych. Zmęczenie i strach zaczęły zbierać żniwo. Co chwilę upadała na błoto pokrywające podłogę.

W pewnej chwili zaatakowała ją jakaś brudna, niezidentyfikowana istota. Rzuciła się na nią z pazurami, chichocząc dziko. Zdołała się obronić, ale torebka zniknęła. Była kompletnie zagubiona. Od czasu do czasu dolatywały ją jakieś dźwięki. Przypominały eksplozje i wystrzały.

Trafiłam do piekła.

Z przodu zabłyśły dwa punkciki i po chwili zobaczyła przyczajonego w mroku kota. Cofnęła się o kilka kroków i zawarczała, patrząc, jak Rosemary podchodzi do jego rannego towarzysza. Pierś zwierzęcia była zmiądzona, jedna z nóg niemal oderwana od ciała. Kot umierał. Jego strażnik nie miał zamiaru pozwolić, by zadano mu więcej bólu. Słyszając rozpaczliwe miauczenie, nie zwracając uwagi na świecące oczy, Rosemary uklękła obok rannego zwierzęcia. Nie mogła go ocalić, ale przytuliła je do siebie. Kot zdążył jeszcze zamruczeć, nim zakaszła i skonał.

Jego strażnik uniósł głowę i zawodząc, wykrzyknął jakąś kocią eulogię, po czym popędził i zniknął w mroku.

Rosemary ułożyła ciało na podłodze, umieściła głowę i łapy w wygodnej pozycji, a potem oparła się o ścianę i rozplakała. Miała wrażenie, że trwało to całe wieki, ale w końcu ruszyła w stronę wystrzałów, zdyszana od płaczu, z trudem łapiąc powietrze.



Po szybkim ataku na lodówkę — Trampula rozumiała, że firma Consolidated Edison mogła nie zauważyć drobnego odprowadzenia mocy, ale jakim cudem ten człowiek przyniósł tu lodówkę? — Jack wrócił do sypialni i poszedł spać. Trampula i koty zwiedzali tymczasem jego królestwo. Przede wszystkim sprawdzili, czy da się stąd wyjść.

Szybko odkryli swoje ograniczenia. Trampula usiadła na sofie wypchanej końskim włosiem. Czarny kot usiadł koło niej, a szylkretowa kotka kontynuowała zabawę w zwiedzanie pomieszczenia bez dotykania podłogi. Trampula pograżyła się w rozmyślaniach i po raz pierwszy od lat nie zaprosiła do nich czarnego kota. Styl życia Jacka zupełnie ją zaskoczył. Jej własne życie, ciągłe przeprowadzki z jednej sterty szmat do drugiej nagle wydały jej się czymś niewłaściwym i pełnym niewygód, na które wcześniej nie zwracała uwagi.

Przedyskutowali z Jackiem możliwość, że oboje są asami.

Co za parszywe szczęście. Wirus zrujnował im życie. Ona nigdy nie była już tym samym niewinnym dzieckiem, po tym jak kwas i wirus zalały jej umysł wrażeniami ze zwierzęcych umysłów. Myślała, że to ona miała trudne dzieciństwo. Dlatego uciekła z domu. Ale dorastać w przekonaniu, że jesteś wilkołakiem, istotą przeklętą przez Boga?

Dlaczego rozmawiała z nim tak otwarcie? W całym mieście nie było teraz nikogo, kto wiedziałby o niej tyle co Jack. To dlatego, że byli do siebie tak podobni. Wiedzieli, jak to jest różnić się od innych i w końcu porzucić starania, by upodobnić się do reszty.

Z zadrapania na ręce popłynęła krew, nim w końcu otrząsnęła się z zamyślenia. Spojrzała w oczy czarnemu kotu i nagle do jej umysłu zaczęły napływać straszliwe obrazy: gniazda szcurów zniszczone ogniem z broni maszynowej, krzyki ludzi, spłoszony opos uciekający z młodymi na grzbiecie (jedno z nich spada i umiera), umykające koty (zastrzelone, zamordowane), kotka broniąca młodych, nim granat zniszczył jej gniazdo, urywając matce nogę, jakaś kobieta, podobna do tej przeklętej pracownicy opieki, tuląca do siebie umierającego kota. Krew — coraz więcej krwi — jej jedynych przyjaciół.

— Kociaki! Nie pozwolę na to! — Trampula zerwała się i odkryła, że drży.

— Co się dzieje? — Jack, obudzony jej krzykiem, wytoczył się z pokoju, wciąż zaspany.

— Mordują je! Muszę ich powstrzymać! — Trampula zacisnęła pięści i w otoczeniu swoich kotów ruszyła do schodów.

— Zaczekaj na mnie! — Jack wrócił do pokoju, chwycił płaszcz Trampuli, latarki, parę trampek i ruszył za nimi.

Przystanął na chwilę, by zawiązać buty i dogonił ich przy pierwszym skrzyżowaniu.

— Nie tędy! — wykrzyknął, gdy cała trójka już miała wejść do prawego tunelu.

— Tędy przyszlismy! — zaprotestowała Trampula. W panice zapomniała już, jak bardzo wcześniej zaufała Jackowi.

— Tą drogą traficie do metra. Do parku można dotrzeć szybciej. Mam tu dreżynę. Pójdziecie ze mną? — Zaczekał, aż kobieta skinęła głową, i truchtem podążył w lewo.

Sceny rzezi w myślach Trampuli stawały się coraz wyraźniejsze, gdy dojechali do Central Parku i zostawili za sobą dreżynę. Na następnym skrzyżowaniu Jack uniósł głowę i powęszył.

— Kimkolwiek są, mają naprawdę duże zapasy prochu. Jaki jest plan?

— Musimy się dowiedzieć, co to za ludzie. — Trampula nie miała żadnego pomysłu.

— Założę się, że to *mes amis* z karabinami, ale nie mam pojęcia, kto dowodzi.

W umyśle Trampuli pojawił się obraz szylkretowej kotki idącej z Jackiem i czarnego kocura z nią.

— Odjazd. — Kobieta poklepała kocura po głowie. — Dobry pomysł.

— Co za pomysł.

— Czarny uważa, że powinniśmy się rozdzielić i zobaczyć, co się dzieje. Jeśli każde z nas zabierze ze sobą jednego kota, będziemy mieć, eee...

— Łączność. Tak. Przynajmniej będziesz widziała, co się dzieje — przytaknęła Jack. — Kiedyś uwielbiałem filmy wojenne, ale u siebie w domu mam kiepski zasięg. Chodźmy, sierzancie — zwrócił się do kotki, która natychmiast wysunęła się na prowadzenie. — *Bonne chance*.

Trampula przytaknęła i ruszyła w drugą stronę.



W ciemności ledwie rozjaśnianej wiązkami z czołówek na kaskach górniczych przez uzbrojonych ludzi Don Carlo Gambione rozglądał się po swoim zrujnowanym królestwie.

Głos jego adiutanta brzmiał niemal przeprasząco.

— Don Carlo, obawiam się, że nasi żołnierze podeszli do tego ze zbytnim entuzjazmem.

Don Carlo spojrzał na ciała oświetlone latarką Rzeźnika.

— Gorliwość w takich sprawach nie jest wadą — odparł.

— Znaleźliśmy ich kwaterę — dodał Rzeźnik. — Jakąś godzinę temu. W okolicach Osiemdziesiątej Szóstej Ulicy. Pod Central Parkiem, nieopodal jeziora. Wyglądała na zamieszkaną. Dlatego pana wezwałem.

— To bardzo dobrze — odparł przywódca. — Chcę tam być, gdy płomień źle uknutej rebelii naszych wrogów zostanie wreszcie ugaszony. Wiedziałem, że nie bez powodu zaatakowali akurat teraz. — Głos Don Carla przybrał na sile. — Chcę ich głów — ciągnął z mocą. — Wystawimy je na palach na rogu Amsterdamskiej i Sto Jedenastej. — Jego wielkie, szeroko otwarte oczy lśniły dziko w świetle latarki.

Rzeźnik ostrożnie dotknął ręki szefa.

— Lepiej już chodźmy, *padrone*. Powiedziałem ludziom, że mają poczekać, ale są tak

niecierpliwi...

Przez chwilę wzrok Don Carla wędrował gorączkowo po zwłokach zaścielających brudny beton. Szmaty przesączone krwią.

— Taka tragedia! Ten ból, ten ból... — Spojrzał prosto na trupa u swoich stóp. Był to biały mężczyzna o długich, chudych kończynach, leżących teraz bezwładnie jak patyki połamanej marionetki. Jego pomarszczona, spalona słońcem twarz nie była spokojna, jak to bywa u zmarłych; w jego ciemnych zbyt wielkich oczach widać było tylko cierpienie. Rozbite prowizoryczne gogle leżały w kałuży krwi obok głowy trupa. Don mimochodem trącił wypolerowanym butem ramię zmarłego okryte wyblakłą wojskową kurtką.

— To był prawdziwy dzoker z dżungli... — powiedział i urwał.

Odwrócił wzrok. Czerpał siłę ze swej niezachwianej, prawie świętej pewności własnych racji. Wiedział, co należy zrobić. Nachylił się w stronę Rzeźnika.

— To, co robimy... To smutne, bardzo smutne. Ale czasem musimy zaatakować, a nawet zniszczyć to, co kochamy, by móc to ocalić.



Mimo brawurowej fasady — dlaczego właściwie próbował zaimponować tej żulce? — Jack poruszał się wolno i z wahaniem. Długa jazda do parku bardzo go zmęczyła, teraz znów kulał i wszystko go bolało. Zastygał w miejscu za każdym razem, gdy słyszał jakiś odgłos. Szylkretowa kotka była bardzo cierpliwa. Wyprzedzała go o jakieś piętnaście metrów, a potem wracała, by potwierdzić, że wszystko w porządku. Jack bardzo żałował, że nie może z nią porozmawiać.

Dźwięki były coraz głośniejsze i zdecydowanie niepokojące. Słyszał nawet niezrozumiałe krzyki. Podskakiwał za każdym razem, gdy w pobliżu rozległ się strzał lub wybuch. Wyłączył latarkę, bojąc się, że ktoś ją dostrzeże. Kotka szła teraz o kilka kroków od niego. Jack wysmarował sobie twarz pyłem, by być mniej widocznym w świetle.

Tuż przed nim rozległo się szuranie podeszew na betonie. Cofnął się i wpadł na jednego z walczących, równie zaskoczonego jak on.

— Co jest, kurwa? Joey, Joey! Mam jednego!

Mężczyzna w kasku z czołówką zamachnął się kolbą, celując w głowę Jacka.

— Sły, gdzie on jest?

Kolba musnęła mu czaszkę. Rzucił się pędem, umykając poza krąg światła, i skręcił w odnogę wyglądającą na ślepy zaułek. Jack przycisnął się do ściany, żałując, że nie może się zmienić w coś niepozornego jak beton albo kurz. Gdy tylko o tym pomyślał, odkrył, że swędzi go skóra, co zwykle zwiastowało przemianę. Zatrzymał ją, oddychając powoli, próbując panować nad emocjami. Jeszcze tego tu brakowało. *Gdzie jest kotka?* — pomyślał. *Trampula mnie zabije, jeśli coś jej się stanie.*

— Musi gdzieś tu być. Stąd nie ma dokąd uciec. — Głos dobiegał z bardzo bliska, zaledwie o kilka centymetrów od kryjówki Jacka.

— Wrzuc tam granat i chodźmy dalej. Mamy odciąć ich bazę.

— Oj, Joey, nie bądź taki.

— Sły, nie wygłupiaj się. Ruszamy.

Rozległ się odgłos metalu dzwiczącego o kamień. Jack zobaczył tylko błysk iskier, zanim

adrenalina wyczyściła mu mózg do zera. *Merde* — brzmiała jego ostatnia przytomna myśl.

Ryk wybuchu odbił się echem od ścian, a ze stropu posypały się odłamki, ale w tym odcinku nie było nawet pęknięcia. Sufit wytrzymał.

— No i zobacz, Sly.

— W porządku, Joey. Dzięki. — Sly był prawie takim świrem jak Mały Renaldo. — Nic nie zostało. Tylko parę szmat i trampek.

— No to chodź już. Musimy przeczesać sporo terenu.

Żaden z nich nie zauważył kota siedzącego na kamieniu wystającym ze ściany pod sufitem. Szylkretowa kotka zeskoczyła i trąciła nosem zakrwawione ubranie. Przesłała obraz Trampuli i wyszła jej na spotkanie.



Trampula stała cicho, przyciśnięta do przeciwległej ściany ślepego odcinka przy Osiemdziesiątej Szóstej. Delikatnie głaskała kotkę i ze wszystkich sił udawała niegroźną staruszkę. Czarny kocur ostrzegł ją, że nadchodzą mafiozi, ale gdy próbowała się wycofać, odcięli jej drogę. Było ich zbyt wielu, by z nimi walczyć. Teraz w milczeniu patrzyła na swoje zniszczone schronienie.

— Najwyraźniej uciekli — powiedział przepraszająco Rzeźnik.

— Chcę ich głów — powtórzył Don Carlo. Rozejrzał się wokół, a jego wzrok spoczął na wielkim malowidle w taniej, drewnianej ramie: stado lwów tropiących zebra na sawannie. — Byli tutaj. Dzikusi.

— Don Carlo... sir... — zawołał ktoś. To był Joey.

— Co się stało?

— To Maria, Don Carlo. Znalazłem ją tu na dole. — Joey zaprowadził Rosemary do ojca. Zdawało się, że go nie poznaje ani nie rozumie, co się wokół dzieje. Jej twarz była pusta, niemal anielsko spokojna. Dziewczyna pozwalała się prowadzić jak bezwładna lalka, zagubiona gdzieś w tunelach.

Don Carlo spojrzał na nią, najpierw ze zdziwieniem, później z troską.

— Mario, co się stało? Joey?

— Nie wiem, Don Carlo. Kiedy ją znalazłem, już tak wyglądała.

Trampula zerknęła na nią spod zmierzwionych włosów.

— Rosemary, mówiłem, żebyś trzymała się od tego z daleka. Ci ludzie z opieki... są tacy wścibscy.

Trampula zaklęła pod nosem. Strażnik odwrócił się, słysząc mamrotanie, ale potem potrząsnął głową i wrócił do ciekawszych rzeczy.

— Zajmij się nią, Joey. Mam tu robotę do skończenia. Czy ta starucha coś wie? — zwrócił się do Rzeźnika.

— Zaraz się przekonamy. — Błysnęło ostrze noża i mężczyzna ruszył w stronę Trampuli. Potem zatrzymał się, nasłuchując uważnie.

Wszyscy w tunelu nasłuchiwali. Dudnienie, które z początku wzięli za odgłos pociągu jadącego w oddali, szybko zrobiło się o wiele za głośne. Z zachodniego tunelu dobiegły przerażone okrzyki, a nawet wrzask bólu, a potem z ciemności wypadł wagon metra, jadąc

drogą, którą nie miał prawa przejechać żaden pociąg, bez trzeciej szyny, po zniszczonych torach. Lśnił zielonkawym, upiornym światłem. Napis na tabliczce głosił: CC, POCIĄG MIEJSCOWY. Zatrzymał się pośrodku zbiegowiska. Jaskrawe napisy na burtach zmieniały się tak szybko, że nie dawały się odczytać.

— C.C.! — Rosemary wyrwała się Joeyowi i podbiegła do widmowego wagonu. Wyciągnęła rękę, jakby chciała objąć pojazd, ale gdy go dotknęła, cofnęła się odruchowo. Potem znów wyciągnęła rękę i ostrożnie przyłożyła ją do ścianki, która wcale nie przypominała metalu. — C.C.?

W miejscu, którego dotknęła, zawirowały kolory. A potem zniknęły. Wagon poczerniał, prawie znikając im z oczu. Następnie na burtach znów pojawiły się słowa: piosenki C.C., które słyszała tylko jej najlepsza przyjaciółka. Wszyscy gapili się na to niezwykle zjawisko, niezdolni do ruchu.

*Możesz im śpiewać o bólu,
Możesz śpiewać o smutkach,
Lecz nie wymażesz przeszłości,
I nie zapewnisz im jutra.*

Na ścianie wagonu pojawiły się obrazy jak z rzutnika. Pierwsza scena przedstawiała napaść, gwałt na stacji metra. Szpitalne łóżko, a przy nim postać, w której można był rozpoznać Rosemary. Później ktoś w szpitalnej koszuli schodził po drabince przeciwpożarowej.

— A więc tak uciekaś ze szpitala! Dlaczego, C.C.? — Rosemary spojrzała na wagon, zwracając się do niego jak do przyjaciółki.

Kolejna scena znów ukazywała stację metra, kolejny atak, ale tym razem osoba w koszuli była tylko świadkiem. Próbowwała pomóc ofierze i została zepchnięta na tory. Barwy bólu i wściekłości. Śmieci i wszystko inne, co leżało na peronie i nie było przymocowane — automaty, porzucone gazety, zdechłe szczury, wszystko — poleciało w stronę torów i zostało wessane, jakby pożarte przez czarną dziurę. Na stację z wizgiem wpadł sześciowagonowy skład. Nagle do pociągu dołączył kolejny wagon. Gwałciciel porzucił ofiarę i uciekł do ostatniego wagonu, a potem cały obraz zabarwił się czerwono, jakby widmowy wagon zbryzgała krew. Kolejne stacje, więcej czerwieni. Kolejny napastnik, skórzana kurtka, starsza kobieta.

— Lummy? — Rosemary cofnęła się, widząc swojego zmarłego narzeczonego, najwyraźniej sfilmowanego w trakcie rabunku.

— Lombardo! — Don Carlo wpadł w furję, patrząc, jak jego niedoszły zięć wkracza do zabójczego wagonu. — Joey, Mario, odsuńcie się od tego... czegoś! Ricardo, gdzie wyrzutnik rakiet? Teraz możesz go użyć. Frederico, zaprowadź tę staruchę do wagonu. Chcę ich wszystkich zniszczyć. Teraz!

Rosemary szarpała się z Joeyem, który wyciągał ją poza zasięg rażenia.

— Chryste Panie — powiedział mężczyzna do nikogo konkretnego. — Zupełnie jak w wiosce. Jezu!

Trampula przesunęła się w milczeniu, mocno trzymając szylkretową kotkę.

Ricardo ostrożnie ustawił wyrzutnię rakiet. Trampula wyprostowała plecy.

Dwadzieścia kilo rozwścieczonego kocura uderzyło Ricarda w plecy. Padł naprzód, potracając przewód, i rakietka wypaliła w sufit. Wybuchła fontanną czerwonych i złotych iskier.

Rosemary wyrwała się Joeyowi i pobiegła do wagonu.

Do tunelu trysnęła woda. Kamienne bloki zaczęły wypadać ze spojenia, a przez dziury lało się więcej wody.

— Ricardo, ty idioto! Wybiłeś dziurę w dnie jeziora! — wrzasnął Frederico, zwracając się do kogoś, kogo już nie było. Mafiozi w panice rozbiegli się po tunelach.

— Wsiadamy do wagonu! Chodź! — Rosemary chwyciła za rękę Trampulę.

— Trzymaj się, Mario! Już idę! — Don Carlo walczył z nadciągającą powodzią, by uratować swą jedyną córkę.

— Tato, jadę z C.C.

— Nie! Nie wsiadaj tam! To demon! — Don Carlo próbował brnąć naprzód i zdał sobie sprawę, że coś trzyma go za nogę. Wetknął ręce do lodowatej wody, próbując się uwolnić, i poczuł pod palcami rząd twardych łusek. W dole zobaczył rzędy żółtych zębów i nieubłagany wzrok gadzich oczu.

Rosemary dopilnowała, by wszyscy wsiedli na pokład, nawet czarny kocur. Wagon ruszył z powrotem wzdłuż zachodniego tunelu.

— Czekaj! Tam jest Jack. Nie zostawię go! — Trampula mocowała się z drzwiami. Rosemary chwyciła ją za ramiona.

— Kim jest Jack?

— To mój przyjaciel.

— Nie możemy zawrócić. Przykro mi.

Trampula usiadła na fotelu gdzieś z tyłu, jak zawsze w otoczeniu swoich kotów, i zapatrzyła się w wodę wypełniającą tunel, podczas gdy pociąg pospiesznie wjeżdżał na wyższy teren.



Wagon gorączkowo wspinał się po zboczu biegnącym pod Sześćdziesiątą Ósmą Ulicą, a za nim podążał jezior czarnej wody. Fale lizały kołnierze na kołach C.C.

Pociąg wtoczył się w końcu na wzniesienie, gdzie woda nie dotarła. C.C. zahamowała, zaczęła się staczać, po czym zablokowała koła.

Pasażerowie pociągu stłoczyli się na końcu, przy drzwiach do łącznika, próbując wypatrzyć coś w ciemnościach.

— Wypuść nas, C.C. — poprosiła Rosemary.

Wagon z sykiem otworzył drzwi. Czwórka pasażerów, dwie kobiety i dwa koty, zeskoczyła na ziemię i stanęła na tej niecodziennej plaży. Szylkretowa kotka powąchała wodę i szybko zawróciła. Zamiauczała, patrząc na Trampulę.

— Czekajcie — powiedziała bezdomna. Jej usta poruszyły się w grymasie, jakby nienawykłe do uśmiechu.

Rosemary mrużyła oczy, wpatrując się w ciemność. Gdy odjeżdżali, w ostatniej chwili zobaczyła swojego ojca, wciąż próbującego do niej dotrzeć, jego twarz, oczy. A potem już nic.

— Tam! — wykrzyknęła Trampula.

Wszyscy starali się coś wypatrzeć.

— Nic nie widzę — stwierdziła w końcu Rosemary.

— Tam.

Teraz wreszcie zobaczyła: maleńkie zmarszczki na wodzie, otaczające szeroki, klinowaty pysk. Następnie wystające, opancerzone oczy, mierzące spojrzeniem grupkę na brzegu.

Koty zaczęły miauczeć z radości, szylkretowa kotka skakała w tę i z powrotem, czarny kocur wymachiwał ogonem jak biczem.

— To właśnie Jack — powiedziała Trampula.



Po pewnym czasie, gdy kurz opadł — dosłownie i w przenośni — tunele wyschły, obandażowano rany, zakopano zwłoki, a udręczone miasto zrobiło, co tylko mogło, by posprzątać pobożowisko. Życie na Manhattanie wróciło do normy.

Dno jeziora w Central Parku uszczelniono i znów wypełniono wodą. Doniesienia o obecności potworów morskich (czy raczej — jeziorowych) wciąż napływały, ale pozostały niezweryfikowane.

Sześćdziesięcioośmioletnia Sarah Jarvis w końcu zrozumiała, co kryje się pod sympatycznym obliczem prezydenta. W listopadzie 1972 roku zagłosowała na George'a McGoverna.

Los Joeya Manzone uległ poprawie, a przynajmniej zmianie. Wyprowadził się do Connecticut i napisał książkę o wojnie w Wietnamie, która nie odniosła sukcesu, i książkę o przestępczości zorganizowanej, która sprzedała się doskonale.

Rosa-Maria Gambione oficjalnie zmieniła imię i nazwisko na Rosemary Muldoon. Dokończyła studia na wydziale resocjalizacji na uniwersytecie Columbia i obecnie pomaga doktorowi Tachionowi przy terapii C.C. Ryder. Zdała egzaminy na studia prawnicze i rozważa przejęcie rodzinnego interesu.

C.C. Ryder wciąż pozostaje jednym z najcięższych przypadków, ale podobno próby przywrócenia jej do ludzkiej postaci przyniosły już pewne postępy. Nadal tworzy brawurowe, błyskotliwe teksty. Jej piosenki zostały nagrane przez wielu artystów, w tym Patti Smith, Bruce'a Springsteena i innych.

Od czasu do czasu — zwłaszcza przy złej pogodzie — Trampula i jej dwa koty wprowadzają się na stację pneumatycznego metra wraz ze Ściekowym Jackiem. To wygodne rozwiązanie, choć wymagało wprowadzenia kilku zmian. Jack nie poluje już na szczury. Obecnie w wiktoriańskiej jadalni często można usłyszeć narzekania: „Co to ma być — znowu kurczak?”.



Interludium 4

za: *Lęk i odraza w Dżokerowie*,
magazyn „Rolling Stone”, 23 sierpnia 1974 r.

DR HUNTER S. THOMPSON

Nad Dżokerowem wstaje świt. Słyszę dudnienie śmieciarek pod oknem South Street Inn, niedaleko portu. To koniec podróży, dla śmieci i całej reszty, wielki odbyt Ameryki i dla mnie to też koniec, nadciągający po tygodniu włóczenia się po najgorszych, najbardziej toksycznych ulicach Nowego Jorku... Gdy patrzę w górę, na parapecie ukazuje się szponiasta łapa, a chwilę później twarz. Jestem na piątym piętrze, a ten naspidowany gnojek właśnie wspina mi się przez okno, jakby to był żaden wyczyn. Może zresztą ma rację, to przecież Dżokerowo, a życie płynie tutaj szybko i brutalnie. Przypomina spacer po obozie zagłady na złym tripie; nie rozumiesz połowy tego, co widzisz, ale i tak masz ochotę posikać się ze strachu.

To coś, co właśnie wchodzi mi przez okno, ma ponad dwa metry wzrostu, długie trójstawowe nogo-ręce, zwisające tak nisko, że zostawiają szramy w drewnianej klepce, cerę jak hrabia Drakula i pysk jak Duży Zły Wilk. Gdy się uśmiecha, widać spiczaste, zielonkawe zęby. Gnojek umie nawet pluć jadem — przydatna zdolność, gdy trzeba przejść Dżokerowo nocą.

— Masz trochę spida, koleś? — pyta, zlącząc z okna. Na nocnej szafce stoi butelka tequili, gość chwytą ją niewiarygodnie długą łapą i pociąga solidny łyk.

— Wyglądam na kogoś, kto ćpa takie gówno?

— W takim razie weźmiemy mojego — odpowiada Croyd i wyciąga z kieszeni garść czarnych krążków. Bierze cztery i popija resztką mojej *cuervo gold*...

Wyobraźcie sobie, co by się stało, gdyby Hubert Humphrey wyciągnął dżokera, wyobraźcie sobie starego Hube'a z trąbą sterczącą pośrodku twarzy jak sflaczała, różowa glista, w miejscu, gdzie powinien być nos, a zobaczycie Xaviera Desmonda. Włosy ma rzadkie albo nie ma ich wcale, oczy szare i podpuchnięte, a wory pod oczami równie workowate jak garnitur. Miejscowi dziennikarze nazywają go „burmistrzem Dżokerowa” i „głosem Dżokerowa” i to w zasadzie wszystko, co osiągnął w ciągu ostatnich dziesięciu lat; on i jego żałosna klika, Dżokerska Liga przeciw Zniesławieniu — kilka idiotycznych tytułów i wątpliwej jakości status ulubionej maskotki klubu Tammany. Czasem dostaje zaproszenia na różne szykowne imprezy, jeśli gospodarzom nie uda się zorganizować asa.

Stoi na platformie w trzyczęściowym garniturze i, na litość boską, trzyma trąbą kapelusza, i mówi coś o solidarności wśród dżokerów oraz o fałszowaniu głosów i glinach dżokerach dla Dżokerowa, tańczy i stepuje, jakby to rzeczywiście miało coś zmienić. Za nim pod opadającym transparentem DLZ stoi najżałośniejsza ekipa frajerów, jakich widzieliście w życiu. Gdyby byli czarni, mówiliby na nich Wujowie Tomowie. Dla dżokerów nie ma jeszcze dobrego określenia... ale w końcu coś wymyślą, założę się o maskę. Wyznawcy DLZ lubią te swoje maski, jak wszyscy dobrzy dżokerzy, i nie chodzi tu o maski narciarskie albo karnawałowe. Przejdźcie się kiedyś wzdłuż Bowery albo Chrystie Street albo postójcie przed kliniką Tachiona,

a zobaczycie maski prosto z najgorszego kwasowego koszmaru — upierzone ptasie maski, skórzane pyski szczurów i ludzkie czaszki, i mnisie kaptury, i cekinowe, „zindywidualizowane” maski dla modnisiów, które chodzą teraz po setki dolców. Maski to część kolorytu Dżokerowa i wszyscy turyści z Boise i Duluth, i Muskogee kupują plastikowe maski, i zawożą do domu jako pamiątki. Każdy napruty do nieprzytomności pismak, który postanowi napisać kolejny bezmózgi reportaż o biednych, nieszczęśliwych dżokerach, na początku zauważa te maski. Tak bardzo wpatruje się w te przebrania, że nie zauważa garniturów z lumpeksu, tak przetartych, że aż błyszczą, ani kwiecistych sukienek, wyblakłych od prania, nie widzi nawet, jak stare robią się te maski, a już na pewno nie widzi młodszych dżokerów w skórze i dżinsach Levi'sa, którzy w ogóle ich nie noszą. „Tak wyglądam i już — mówi do mnie dziewczyna z twarzą jak słoik pełen zgniecionych odbytów, stojąc przed zapyziałym dżokerowskim burdelem. — Gównu mnie obchodzi, co sobie pomyślą natole. Mam nosić maskę, żeby jakaś natolka z Queens przypadkiem nie porzygała się na mój widok? Mam ich w dupie”.

Z ludzi, którzy przyszedli posłuchać Xaviera Desmonda, najwyżej jedna trzecia nosi maski. Może jest ich nawet mniej. Gdy mówca przerywa, by zrobić miejsce na aplauz, zamaskowani przyklaskują, ale widać, że nawet im przychodzi to z trudem. Reszta po prostu słucha, czeka, a ich oczy są równie brzydkie jak ich kalectwo. To młoda, drapieżna banda, wielu z nich nosi barwy gangów i naszywki WŁADCY DEMONÓW, ZABÓJCZE CUDAKI albo WILKOŁAKI. Stoję z boku, zastanawiam się, czy Tach się pojawi, tak jak obiecywano, i nie mam pojęcia, od czego się zaczęło, ale nagle Desmond po prostu milknie, w połowie jakiejś nudnej deklaracji, że między dżokerami, asami i natolami właściwie wszystko jest całkiem spoko, a gdy znów patrzę w tamtą stronę, tłum go wygwizduje i rzuca w niego orzeszkami, solonymi orzeszkami w skorupkach, a one odbijają mu się od głowy i piersi i tej pieprzonej trąby, wrzucają mu je do kapelusza, a Desmond po prostu stoi tam osłupiały. To on jest głosem tych ludzi, tak ma być, czytał o tym w „Daily News” i „Krzyku Dżokerowa” i ten stary pierdziel nie ma, kurwa, najmniejszego pojęcia, co się tu dzieje...

Tuż po północy wychodzę z „Cudaków” odlać się do rynsztoka, zakładam, że to bezpieczniejsze, niż wchodzić do męskiego kibla, a szanse na to, że o tej porze zajędzie tu jakiś radiowóz, są właściwie żadne. Latarnia jest stłuczona i w tym świetle przez chwilę mam wrażenie, że stoi przede mną Wilt Chamberlain, ale potem podchodzi bliżej i widzę długie ręce i szpony, i pysk. Skóra jak kość słoniowa. Pytam, z czym ma, kurwa, problem, a on pyta, czy to ja napisałem tę książkę o Aniołach Piekieł i pół godziny później obaj siedzimy w całonocnej kafejce na Broome Street, a kelnerka wlewa w niego litry czarnej kawy. Ma długie, jasne włosy i różowy mundurek z tabliczką „Sally” i wygląda naprawdę ładnie, dopóki nie spojrzę się na twarz. Przyłapuję się na tym, że wbijam wzrok w talerz za każdym razem, gdy ona podejdzie bliżej, i robi mi się niedobrze, i smutno, i jestem wściekły na siebie. Słyszę, jak Pysk wspomina, że nigdy nie nauczył się algebry i właściwie nie wiem, co mi jest, ale na pewno da się to wyleczyć czterema palcami dobrego spida, a gdy tylko o tym wspomina, Pysk pokazuje zęby i dodaje, że ostatnimi czasy w okolicy można dostać naprawdę mocny towar, a on przypadkiem wie, gdzie dokładnie go szukać...

— Mówimy o ranach, rozumiesz, prawdziwych, głębokich, krwawiących, gnijących ranach, których nie da się wyleczyć plasterkiem, a Desmond tylko to ma nam do zaproponowania, całą furę pierdolonych plasterków — stwierdził karzeł, po tym jak uścisnął mi dłoń tajnym gestem Rewolucyjnego Bractwa Ćpunów, czy co to tam miało być. Jak na dżokera wykipił się tanim

kosztem — w końcu karty istniały też przed nadejściem dzikiej karty — ale i tak jest niezłe wkurzony.

— Już od dziesięciu lat trzyma ten kapelusz w trąbie i nic mu to nie dało, oprócz tego że srają mu do środka natole. Koniec z tym. Już nie prosimy, lecz żądamy. DSS będzie żądać równych praw i wetknie im te żądania w ich perłowe muszle uszu, jeśli trzeba będzie.

DSS to Dżokerzy na rzecz Sprawiedliwości Społecznej, ta nowa organizacja ma mniej więcej tyle wspólnego z DLZ co pirania ze złotą rybką pływającą w szklanej kuli w poczekalni u dentysty. DSS nie ma po swojej stronie Kapitana Clowna ani Jimmy'ego Roosevelta, ani Reva. Ralph Abernathy pomaga im w pracach zarządu — właściwie nie mają oficjalnego zarządu i nie sprzedają kart członkowskich zatroskanym obywatelom i współczującym asom. Hube poczułby się na ich wiecu bardzo niezręcznie, nawet jeśli miałyby na twarzy trąbę...

Nawet o czwartej rano Greenwich Village to nie Dżokerowo, a to część problemu, ale głównie chodzi o to, że Croyd jest nabuzowany i szaleje od spidu — o ile mogę stwierdzić, nie spał od tygodnia. Gdzieś w Village jest gość, którego chcieliśmy znaleźć, półczarny as alfons, podobno ma najlepsze panienki w mieście, ale nigdzie go nie ma, a Croyd upiera się, że ulice zmieniają się wokół niego, że są żywe i zdradzieckie i chcą go dorwać. Samochody zwalniają, widząc go, jak idzie chodnikiem na tych długich, trójstawowych nogach i natychmiast przyspieszają, gdy Croyd odwraca się do nich i warczy. Docieramy do delikatesów, gdzie Croyd zapomina o tym alfonsie i nagle dochodzi do wniosku, że chce mu się pić. Chwyta szponami stalowe kraty i wyrzywa je ze ściany, a potem ciska w okno, wybijając szybę... W połowie skrzynki meksykańskiego piwa słyszymy syreny. Croyd otwiera pysk i pluje w stronę drzwi. Jad zaczyna trawić szkło.

— Znów mnie ścigają — mówi głosem pełnym nienawiści, naspidowanej złości i paranoi. — Wszyscy chcą mnie dorwać. — A potem patrzy na mnie i już wiem, że wpadłem po uszy w gówno. — Ty ich tu przyprowadziłeś — mówi, a ja odpowiadam, że skąd, bardzo go lubię, mam przyjaciół dżokerów, przed sklepem zaczynają migać czerwone i niebieskie światła, a on zrywa się na nogi, chwyta mnie i wrzeszczy: „Nie jestem dżokerem, ty pojebie, jestem, kurwa, asem!”, i wyrzuca mnie przez okno, to drugie okno, z jeszcze nienaruszoną szybą, ale nie na długo. Podczas gdy ja leżę w rynsztoku i krwawię, on wychodzi frontowymi drzwiami, z sześciopakiem dos equis pod pachą, a gliny pakują w niego kilka nabojów, a on tylko się śmieje i zaczyna się wspinać... Szpony zostawiają w ceglach głębokie ślady. Stojąc na dachu, wyje do księżycy, a potem rozpina spodnie i szcza na nas wszystkich. I w końcu znika...



Sznurki

STEPHEN LEIGH

Śmierć Andrei Whitman była sprawką Lalkarza. Bez jego mocy gwałtowna, ponura żądza, którą upośledzony czternastoletni chłopiec odczuwał dla dziewczynki z sąsiedztwa, nigdy nie przeobraziłaby się w rozpaloną furję. Roger Pellman sam z siebie nigdy nie zwabiłby Andrei do lasku za Szkołą imienia Serca Jezusowego na przedmieściach w Cincinnati, gdzie zdarł z niej ubranie. Nie wbijałby w nią twardego członka, aż poczułby przypływ ulgi. Nie spojrzalby na zapłakane dziecko i strużkę ciemnoczerwonej krwi ściekającej spomiędzy ud i nie poczułby straszliwego obrzydzenia, które kazało mu chwycić leżący obok kamień. Nie użyłby tego kamienia, by roztrzaskać jasną głowę Andrei na miazgę, pełną krwawego mięsa i połamanych kości. Nie poszedłby potem do domu, nagi, zbryzgany krwią ofiary.

Roger Pellman nie zrobiłby żadnej z tych rzeczy, gdyby Lalkarz nie ukrył się w głębi jego niesprawnego umysłu, podsuwając mu odpowiednie emocje, wzmacniając nastoletnią gorączkę. Umysł Rogera był słaby i podatny na ugniatanie. To, co zrobił z nim Lalkarz, było nie mniej brutalne niż późniejszy gwałt na Andrei.

Sprawca tej zbrodni miał jedenaście lat i nienawidził Andrei straszliwą nienawiścią rozpieszczonego dzieciaka. Nie mógł jej wybaczyć, że tak go zdradziła i poniżyła. Lalkarz był fantazją zemsty stworzoną przez małego chłopca zarażonego wirusem dzikiej karty, nastolatka, który popełnił błąd, wyznając Andrei swoje uczucie. Może powiedział starszej koleżance, że któregoś dnia się pobiorą. Andrea wytrzeszczyła oczy i uciekła z chichotem. Następnego dnia usłyszał za sobą kpiące szepty i spłonął rumieńcem, domyślając się, że powiedziała o tym koleżankom. Powiedziała wszystkim.

Gdy Roger Pellman pozbawił dziewictwa Andreę, Lalkarz sam poczuł odległe echa tego żaru. Zadrzał, gdy Roger doszedł, gdy walnął kamieniem w zapłakaną twarz dziewczynki, gdy usłyszał trzask pękającej czaszki. Lalkarz gwałtownie chwycił powietrze i aż zatoczył się pod naporem rozkoszy.

Bezpieczny w swoim pokoju, pół kilometra dalej.

Jego gwałtowna reakcja na to pierwsze morderstwo przeraziła go i zafascynowała jednocześnie. Przez wiele miesięcy korzystał z tej mocy bardzo oszczędnie, obawiając się znów utracić kontrolę. Ale jak wszystkie zakazane rzeczy, ta zdolność ciągnęła go coraz bardziej. W ciągu kolejnych pięciu lat Lalkarz objawił się i zabił jeszcze siedem razy.

Uważał tę moc za istotę zupełnie odrębną od siebie samego. Działał w ukryciu niczym lalkarz w teatrze marionetek, poruszając sznurkami zwisającymi z niewidocznych palców, podczas gdy jego groteskowe lalki tańczyły w dole.

TEDDY, JIMMY WCIĄŻ WALCZĄ
HARTMANN, JACKSON, UDALL CZEKAJĄ NA
KOMPROMIS

„New York Daily News”, 14 lipca 1976 r.

HARTMANN ZAPOWIADA GŁOSOWANIE
TEMAT: PRAWA DŻOKERÓW

„New York Times”, 14 lipca 1976 r.

Senator Gregg Hartmann wyszedł z windy do foyer Wieży Asów. Jego orszak wynurzył mu się zza pleców: dwoje asystentów John Werthen i Amy Sorenson i czwórka reporterów, których nazwiska zapomniał już podczas jazdy windą. W kabinie było bardzo tłoczno. Dwóch mężczyzn w ciemnych okularach burczało z niezadowoleniem, gdy Gregg uparł się, że na pewno wszyscy się zmieszczą.

Hiram Worchester wyszedł im na spotkanie. Sam stanowił imponujący widok: potężny, krępy mężczyzna, poruszający się zwinnie i z niewiarygodną lekkością. Przeszedł przez hol i wyciągnął rękę; w bujnej brodzie czał się uśmiech. Przez wysokie okna wlewało się światło słońca, odbijając się od łysiny gospodarza.

— Miło pana znów widzieć, senatorze.

— I ciebie, Hiram. — Gregg uśmiechnął się krzywo, wskazując głową pozostałą grupę. — Znasz Johna i Amy. Reszta tej menażerii musi się sama przedstawić. Wygląda na to, że już awansowali na stały element wyposażenia. — Reporterzy zachichotali, ochroniarze pozwolili sobie na przelotne uśmieszki.

Hiram wyszczerzył się w odpowiedzi.

— To chyba cena za kandydaturę, senatorze. Ale wygląda pan doskonale. Idealnie skrojona marynarka. — Olbrzymi mężczyzna cofnął się o krok i zmierzył Gregga pochlebny spojrzeniem, po czym nachylił się i szepnął konspiracyjnie: — Powinien pan udzielić kilku wskazówek Tachionowi. Nie uwierzy pan, co nasz dobry doktor postanowił dziś założyć... — Kasztanowe oczy uciekły w górę w geście udawanego przerażenia. — Ale nie będę pana zanudzał swoim paplaniem. Przygotowałem stół.

— Rozumiem, że moi goście już czekają?

Kąciki ust Hirama wyraźnie opadły.

— Tak. Ta kobieta jest w porządku, nawet jeśli trochę za dużo pije. Ale gdyby ten karzeł nie przyszedł tu jako pański gość, kazałbym go wyprosić. Nawet nie chodzi o to, że zrobił scenę, po prostu jest wyjątkowo nieuprzejmy dla obsługi.

— Dopilnuję, by się zachowywał. — Senator potrząsnął głową, przeczesując popielatoblond włosy. Gregg Hartmann odznaczał się zupełnie niepozornym wyglądem. Nie był jednym z owych przystojnych i zadbanych polityków, nowej rasy wyhodowanej w latach siedemdziesiątych, nie należał też do „starej gwardii”, pucułowatej i zadowolonej z siebie. Hiram znał go jako człowieka przyjaznego, łatwego w kontakcie, który naprawdę troszczył się o swoich wyborców i ich problemy. Jako przewodniczący SKAZA okazał współczucie wszystkim dotkniętym działaniem wirusa. Pod jego egidą przeanalizowano wiele ustaw dotyczących osób zarażonych, a następnie wiele z nich znowelizowano, zlikwidowano lub zaczęto ignorować. Ustawa o kontroli egzotycznych mocy i ustawa o powołaniu wciąż obowiązywały, ale senator Hartmann zabronił komukolwiek ze swojej administracji powoływać się na to prawo. Hiram z podziwem obserwował, jak zręcznie rozstrzyga konflikty pomiędzy opinią publiczną a dżokerami. „Time” w jednym z artykułów ochrzcił go „obroncą Dżokerowa”. Artykuł zilustrowano zdjęciem Gregga ściskającego dłoń Randalla, bramkarza w klubie „Gabinet Luster” — jego dłoń miała postać owadziej kończyny, a ze środka wystawało skupisko brzydkich,

wilgotnych oczek. Zdaniem Hiram senator stanowił rzadki przypadek Porządnego Człowieka, prawdziwej anomalii wśród polityków.

Gregg westchnął, a Hiram dostrzegł przytłaczające zmęczenie wyzierające zza fasady pogodnej twarzy.

— Jak tam zjazd partii, senatorze? Jakie szanse ma platforma Praw Dżokerów?

— Robię, co tylko mogę — odparł Gregg, zerkając na dziennikarzy, którzy obserwowali tę rozmowę z niekłamanym zainteresowaniem. — Przekonamy się za kilka dni podczas głosowania.

Hiram dojrzał w jego oczach rezygnację, która powiedziała mu wszystko. Propozycja praw dla dżokerów miała przepaść, jak zawsze.

— Senatorze — powiedział poważnie. — Gdy już będzie po wszystkim, proszę tu znów zajrzeć. Przygotuję coś specjalnego, tylko dla pana, żeby wiedział pan, jak bardzo doceniamy pana pracę.

Gregg klepnął gospodarza lekko w plecy.

— Pod jednym warunkiem — odparł. — Załatwisz mi łóżę w kącie. Z dala od wszystkich. Tylko dla mnie.

Senator zaśmiał się pod nosem. Hiram odpowiedział uśmiechem.

— Załatwione. A dziś wieczór polecam wołowinę w czerwonym winie. Bardzo delikatna. Szparagi są świeżutkie, sam przyprawiałem sos. A na deser musi pan spróbować naszego musu z białej czekolady.

Za plecami gości rozsunęły się drzwi windy. Pracownicy Secret Service zerknęli na wychodzące z kabiny dwie kobiety. Gregg skinął im głową i znów uściśnął Hiramowi dłoń.

— Nie zabieram ci już czasu, musisz zająć się innymi gośćmi. Zadzwoń do mnie, gdy to szaleństwo się skończy.

— Przyda się panu kucharz w Białym Domu.

Gregg zaśmiał się z całego serca.

— O tym lepiej rozmawiaj z Carterem albo Kennedym. Ja jestem tylko czarnym koniem.

— A zatem wszyscy ignorują najlepszego zawodnika — odparł Hiram i odszedł.

„Wieża Asów” znajdowała się w wieży obserwacyjnej Empire State Building. Z wielkich okien rozciągał się widok na wyspę Manhattan. Słońce właśnie zachodziło za horyzontem ponad miejskim portem, złocista kopuła Empire State Building wypełniała salę odbłaskami. W złotozielonym świetle łatwo było dostrzec doktora Tachiona siedzącego na swoim zwykłym miejscu z kobietą, której Gregg nie rozpoznał. Hiram miał rację — senator z niedowierzaniem przyjrzał się wieczorowemu strojowi doktora — marynarka w kolorze nasyconego szkarłatu z kołnierzem z zielonej satyny. Na ramionach i rękawach wyszyto odważne wzory z purpurowych cekinów. Spodni, na szczęście, nie było widać, choć spod marynarki wystawał pas jaskrawopomarańczowej tkaniny.

Gregg zamachał ręką, a Tachion skinął głową.

— John, czy mógłbyś zaprowadzić naszych gości do stolika i przedstawić ich sobie? Zaraz przyjdę. Amy, pozwolisz ze mną? — Gregg zaczął kluczyć między stolikami.

Włosy Tachiona, sięgające aż do ramion, miały prawie ten sam odcień co jego marynarka. Przeczesał drobnymi palcami splecione kosmyki, po czym wstał, by przywitać się z senatorem.

— Senatorze Hartmann, czy mogę przedstawić panu Angelę Fascetti? Angelo, to jest senator

Hartmann i jego asystentka Amy Sorenson. To senatorowi Hartmannowi zawdzięczam większość funduszy wykorzystywanych przez moją klinikę.

Po krótkiej wymianie uprzejmości Amy przeprosiła wszystkich i odeszła od stolika. Gregg z zadowoleniem odkrył, że towarzyszka Tachiona zrozumiała aluzję i odeszła razem z nią. Odczekał, aż obie kobiety znalazły się o kilka stolików dalej, i nachylił się do rozmówcy.

— Pewnie chciałby pan wiedzieć, że potwierdziliśmy obecność wtyczki w pańskiej klinice, doktorze. Pańskie podejrzenia były słuszne.

Tachion zmarszczył brwi, jego czoło przecięły głębokie zmarszczki.

— KGB?

— Najprawdopodobniej — odparł Gregg. — Ale dopóki wiemy, kim jest, nie stwarza wielkiego zagrożenia.

— Mimo wszystko chciałbym się go pozbyć, senatorze — nalegał grzecznie Tachion. Zaplótł dłonie, a gdy spojrział na Gregga, w jego liliowych oczach widać było dawny ból. — Miałem już dość kłopotu z waszym rządem i ich polowaniami na czarownice. Nie chcę tu kolejnych takich awantur. Bez urazy, senatorze, jest pan dobrym człowiekiem, lubię z panem pracować i wiele panu zawdzięczam, ale wolałbym trzymać swoją klinikę z dala od polityki. Chcę tylko pomagać dzokerom, nic więcej.

Gregg skinął głową. Oparł się pokusie, by przypomnieć doktorowi, że właśnie polityka, której tak pragnął unikać, płaciła część rachunków kliniki. W jego głosie zabrzmiało współczucie.

— Ja także tego pragnę, doktorze. Ale jeśli po prostu zwolnimy tego człowieka, KGB podsunie nam kolejną wtyczkę już za kilka miesięcy. Pracuje u nas pewien nowy as, porozmawiam z nim o tym.

— Niech pan postępuje wedle uznania, senatorze. Nie interesują mnie pańskie metody, jeśli nie wpłynie to na pracę kliniki.

— Dopilnuję, by tak było. — Zobaczył, że Amy i Angela właśnie nadchodzą w ich kierunku.

— Przyszedł pan porozmawiać z Tomem Millerem? — spytał Tachion, unosząc brew. Lekko skłonił głowę w stronę stolika Gregga, gdzie John przedstawiał sobie gości.

— Z tym karłem? Tak. Ten dzoker...

— Znam go, senatorze. Jest odpowiedzialny za sporo zamieszek i ofiar śmiertelnych w Dżokerowie w ciągu ostatnich kilku miesięcy. To zgorzkniały i niebezpieczny człowiek, senatorze.

— Właśnie dlatego chcę go przekonać, by się opanował.

— Powodzenia — mruknął oschle Tachion.

DSS ZAPOWIADA ROZRUCHY,
JEŚLI PROPOZYCJA UPADNIE

„New York Times”, 14 lipca 1976 r.

Sondra Falin patrzyła na zbliżającego się senatora z mieszanymi uczuciami. Wiedziała, że to będzie trudne spotkanie i być może za dużo wypija. Alkohol palił ją w żołądku. Tom Miller — a raczej Gimli, jak wolał być nazywany w DSS — siedział koło niej, wierząc się nerwowo. Uspokajającym gestem dotknęła jego muskularnego ramienia.

— Zabierz te łapska! — warknął karzeł. — Nie jesteś moją babcią, Sondra!

Zabolało ją to bardziej, niżby się wydawało. Z odrazą spojrzała na swoje chude dłonie i suchą, poznaczoną plamami skórę okrywającą kruche kości, na opuchnięte artretyczne stawy. *Spojrzy na mnie i uśmiechnie się jak do obcej, a ja nie mogę mu nic powiedzieć.* Łzy napłynęły jej do oczu. Otarła je szorstkim gestem i osuszyła szklanekę glenlivet. Whisky zapiekła w przełyku aż do żołądka.

Senator promieniał uśmiechem. Jego uśmiech był czymś więcej niż tylko profesjonalnym narzędziem polityka — cała twarz Hartmanna była otwarta i życzliwa, wzbudzała zaufanie.

— Proszę wybaczyć, że nie podszedłem od razu — powiedział. — Bardzo się cieszę, że zgodzili się państwo ze mną spotkać. Rozumiem, że mam przyjemność z Tomem Millerem? — Gregg odwrócił się do brodatego mężczyzny i wyciągnął rękę.

— Nie, ja jestem Warren Beatty, a to jest Kopciuszek — odparł kwaśno Miller, z wyraźnym akcentem ze Środkowego Zachodu. — Sondra, pokaż pantofelek. — Karzeł wojowniczo wskazał głową Hartmanna, ostentacyjnie ignorując wyciągniętą dłoń.

Sondra wiedziała, że większość ludzi zignorowałaby tę zaczepkę. Cofnęliby rękę i udawali, że nic nie zaszło.

— Spotkałem wczoraj pana Beatty'ego na przyjęciu magazynu „Rolling Stone” — odparł senator. Uśmiechnął się, wiedząc, że patrzy na niego cały stolik. — Udało mi się nawet uścisnąć mu rękę.

Hartmann czekał. Miller burknął coś pod nosem. W końcu ujął rękę Hartmanna własną dłonią, wielką jak szynka. Sondra miała wrażenie, że gdy ich dłonie się zetknęły, uśmiech senatora zrobił się zimny, jakby kontakt sprawiał mu ból. Szybko puścił rękę Millera i natychmiast odzyskał rezon.

— Miło pana poznać. — W jego głosie nie było ani śladu sarkazmu, jedynie prawdziwe ciepło.

Sondra dobrze wiedziała, dlaczego pokochała tego człowieka. *To nie ty go kochasz — to Sukub. To ona zna Gregga. Dla niego jesteś tylko starą, pomarszczoną kobietą, która bawi się w politykę. Nigdy nie dowie się, że ty i Sukub jesteście jednym — tylko tak możesz go zatrzymać. Zawsze będzie widział jedynie iluzję, którą Sukub dla niego tworzy. Miller mówił, że to konieczne, a ty go posłuchasz, prawda?*

Nieważne, jak bardzo cię to zaboli.

Teraz sama musiała uścisnąć Greggowi rękę. Czuła, że palce zadrżały jej przy kontakcie — Gregg też to dostrzegł i uśmiechnął się lekko, jakby ze współczuciem. Ale w jego szaroniebieskich oczach dostrzegała tylko zaciekawienie, ani śladu rozpoznania. Znów wpadła w ponury nastrój. *Pewnie zastanawia się, na jaką przypadłość cierpi ta staruszka. Jest ciekaw, jakie paskudztwo tkwi w moim ciele, jak straszne rzeczy wyszłyby na jaw, gdyby poznał mnie lepiej.*

Gestem zamówiła kolejną szklaneczkę whisky.

Jej nastrój stopniowo się pogarszał. Rozmowa przebiegała według wytyczonego schematu: Hartmann poruszał jakiś temat, na co Miller reagował nieuzasadnionym sarkazmem i pogardą, co senator pospiesznie łagodził. Sondra przysłuchiwała się ich rozmowie w milczeniu. Pozostali najwyraźniej też odczuwali to napięcie, ponieważ na scenie poruszało się tylko dwóch głównych zawodników i jedynie od czasu do czasu ktoś podrzucał jakąś kwestię, jakby w umówionym

momencie. Kolacja, pomimo osobistych wysiłków Hirama, smakowała jak popiół. Sondra piła coraz więcej, obserwując Gregga. Gdy odstawili talerzyki z musem, rozmowa zrobiła się poważna, a Sondra była już bardzo pijana. Potrząsnęła głową, by odzyskać jasność myśli.

— ...musi mi pan obiecać, że nie będzie żadnych publicznych demonstracji — dokończył Hartmann.

— O kurwa — odparł Miller. Sondra przez chwilę pomyślała, że napluje na stolik. Ziemiste, zapadnięte policzki skryte pod rudą brodą wydeły się gwałtownie, a oczy zwęziły się w szparki. Potem walnął pięścią w stół, aż zadzwięczały naczynia. Ochroniarze wyprostowali się czujnie, reszta podskoczyła na krzesłach.

— Wszyscy jesteście tacy sami! — warknął. — Słyszymy to samo już od lat. Bądźcie grzeczni, połóżcie się na pleckach, to może rzucimy wam jakiś ochłap. Czas, żebyście dopuścili nas do stołu, Hartmann. Dżokerzy mają już dość ochłapów.

Głos senatora, w przeciwieństwie do gniewnego burczenia, zabrzmiał miękko i łagodnie.

— Panie Miller, pani Falin, muszą państwo wiedzieć, że całkowicie się z tym zgadzam. — Skinął głową Sondrze, która zdołała tylko zmarszczyć brwi w odpowiedzi, czując, że pogłębiają się jej zmarszczki wokół ust. — Właśnie dlatego zaproponowałem, by Partia Demokratów dodała postulat praw dla dżokerów do naszego programu wyborczego. To dlatego staram się zdobyć dla niej tyle głosów, ile tylko zdołam. — Gregg rozłożył ręce. W ustach kogoś innego ta przemowa mogłaby zabrzmieć pusto, fałszywie. Ale w głosie senatora słyhać było wiele męczących godzin spędzonych na wiecach i to nadało mu prawdziwości. — Dlatego proszę pana o utrzymanie w ryzach swojej organizacji. Demonstracje, zwłaszcza gwałtowne, mogą uprzedzić do was co bardziej umiarkowanych delegatów. Proszę jedynie o to, by dał mi pan szansę — by dał pan szansę sobie. Zrezygnujcie z tej demonstracji przed Mauzoleum Śmiga. Nie macie pozwolenia. Policja ma już dosyć tłumienia zamieszek w mieście. Jeśli rozpoczniecie ten marsz, uderzą na was od razu.

— A zatem niech ich pan zatrzyma — wybełkotała Sondra. Była tak pijana, że z trudem wymówiła te słowa. Znów potrząsnęła głową. — Nikt nie wątpi, że zależy panu na tej sprawie. Proszę ich powstrzymać.

Hartmann skrzywił się niechętnie.

— Nie mogę. Odradzałem burmistrzowi podobne kroki, ale jest nieugięty. Jeśli pomaszerujecie, skończy się to konfrontacją. Nie mogę wspierać łamania prawa.

— Leżeć, piesku! — wycedził Miller, a potem odrzucił w tył głowę i zawył głośno. Goście zaczęli odwracać się w ich stronę. Tachion spojrzał na nich z otwartą wrogością, a z kuchni wychynęła zmartwiona twarz Hirama. Jeden z ochroniarzy zaczął wstawać, ale Gregg zatrzymał go gestem.

— Panie Miller, proszę mnie wysłuchać. Próbuję panu wyjaśnić, jak wygląda rzeczywistość. Mamy ograniczone zasoby i jeśli będzie pan antagonizować tych, którzy je kontrolują, tylko zaszkodzi pan swojej sprawie.

— A ja mówię panu, że ta pierdolona „rzeczywistość” to ulice Dżokerowa. Proszę wsadzić nos w to gównno, senatorze. Niech pan spojrzy na te biedne istoty włóczące się ulicami — na tych, wobec których wirus nie był na tyle łaskawy, by zabić ich od razu; tych, którzy włoką się na kikutach, macają drogę przed sobą albo mają dwie głowy czy cztery ręce. Na tych, którzy ślinią się przy mówieniu, chowają się w mroku, bo słońce ich parzy, albo na tych, dla których najłżejszy dotyk powoduje ból nie do zniesienia. — Miller podniósł głos, który nagle stał się

głęboki i wibrujący. Sondra poczuła w nim moc. Widziała już Millera, jak stawał przed szydzącym tłumem w Dżokerowie, a potem, kwadrans później, wszyscy słuchali w milczeniu, przytakując jego słowom. Nawet Gregg nachylił się w jego stronę, oczarowany.

Słuchaj, ale bądź ostrożny. Jego głos jest jak spojrzenie węża, hipnotyzuje cię, a gdy będziesz bezbronny, on zaatakuje.

— I to właśnie jest „rzeczywistość” — wymruczał gardłowo Miller. — Pański „zjazd” to tylko fasada. A teraz powiem panu, senatorze — jego głos nagle przeszedł do krzyku — że DSS wyjdzie na ulice!

— Panie Miller... — zaczął Gregg.

— Gimli! — krzyknął Miller, a jego głos zrobił się wrzaskliwy i nieprzyjemny, jakby zużył jakąś wewnętrzną rezerwę. — Nazywam się Gimli, do cholery! — Potem zerwał się i stanął na krzesle. U kogoś innego ta poza wyglądałaby niedorzecznie, ale teraz nikt się nie zaśmiał. — Jestem, kurwa, karłem, nie jednym z waszych „panów”!

Sondra pociągnęła go za ramię, ale odtrącił jej rękę.

— Daj mi spokój! Niech zobaczą, jak ich nienawidzę.

— Nienawiść jest bezproduktywna — odparł Gregg. — Nikt z tu obecnych pana nie nienawidzi. Gdyby pan wiedział, ile godzin poświęciłem na pomoc dżokerom, ile wysiłku w to włożyłem, nie tylko ja, ale też John i Amy...

— Ale nie musi pan żyć jako jeden z nich! — wrzasnął Miller, obryzgując śliną marynarkę Gregga. Teraz patrzyła na nich cała sala, a ochroniarze zerwali się z miejsc. Powstrzymała ich tylko uniesiona dłoń senatora.

— Czemu nie chce pan zrozumieć, że jesteśmy pana sprzymierzeńcami, nie wrogami?

— Żaden mój sprzymierzeniec nie miałby takiej twarzy, senatorze. Jest pan zbyt normalny. Chce pan się pocuć jak dżoker? To pokażę panu, jak to jest wzbudzać litość.

Zanim ktokolwiek zdążył zareagować, Miller wybił się potężnym skokiem, wyciągając przed siebie dłonie, z palcami zwiniętymi w szpony, mierząc prosto w twarz senatora. Gregg cofnął się, zasłaniając się rękami. Sondra otworzyła usta, by wykrzyknąć jakiś bezskuteczny protest.

A potem karzeł runął na stół, jakby wielka łapa uderzyła go w powietrzu. Stół załamał się pod jego ciężarem, kieliszki i porcelana roztrzaskały na podłodze. Miller zaskamlał żałośnie jak ranione zwierzę. Hiram, ogarnięty furją, czerwony na twarzy, niemal przebiegł przez salę, gdy jeden z ochroniarzy bezskutecznie szarpał Millera za rękę, by podnieść go z podłogi.

— Cholera, ale ten gnojek ciężki — mruknął.

— Wynocha z mojej restauracji! — ryknął Hiram. Wepchnął się pomiędzy ochroniarzy i pochylił nad karłem. Podniósł mężczyznę, jakby nic nie ważył. Zdawało się, że Gimli wisi w powietrzu, poruszając bezgłośnie ustami, na twarzy miał kilka niewielkich zadrapań. — Nigdy więcej nie masz się tu pokazywać! — krzyknął, grożąc karłowi pulchnym palcem. Pomaszerował do wyjścia, ciągnąc za sobą karła niczym balonik na sznurku, ani na chwilę nie przerywając połajanek.

— Obrażasz moich gości, zachowujesz się skandalicznie, grozisz senatorowi, który stara się tylko pomóc... — Hiram umilkł, gdy drzwi zamknęły się za jego plecami. Hartmann otrząpął z garnituru odłamki porcelany i potrząsnął głową.

— Zostawcie go — powiedział do ochroniarzy. — Facet ma powody do złości. Na jego miejscu też byście mieli.

Westchnął, po czym odwrócił się do Sondry, która w oniemieniu patrzyła za odchodzącym Hiramem.

— Pani Falin, błagam, jeśli ma pani jakiś wpływ na DSS i pana Millera, proszę go powstrzymać. Naprawdę nie żartowałem. Obstawiając przy swoim, tylko zaszkodzi państwu sprawie. — Wydawał się raczej zasmucony niż zły. Spojrzał na pobojowisko i znów westchnął. — Biedny Hiram. A przecież mu obiecałem.

Sondra z trudem składała myśli, miała zawroty głowy. Skinęła głową i dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że wszyscy patrzą na nią wyczekująco. Potrząsnęła siwiejącą głową.

— Postaram się — wymamrotała, a potem szybko dodała: — Przepraszam, muszę iść. — Odwróciła się na pięcie i umknęła z sali, czując, jak protestują jej artretyczne kolana.

Czuła spojrzeń Gregga na swoich zgarbionych plecach.



PRAWA DŻOKERÓW: DZIŚ GŁOSOWANIE

„New York Times”, 15 lipca 1976 r.

DSS ZAPOWIADA MARSZ DO MAUZOLEUM

„New York Daily News”, 15 lipca 1976 r.

Obszar wyżu przez ostatnie dwa dni usadowił się nad Nowym Jorkiem niczym ogromne zwierzę, powodując niespotykane o tej porze upały. Powietrze było rozgrzane i gęste od spalin, wciąganie go do płuc przypominało przełykanie jacka danielsa, którego Sondra właśnie wlała sobie do gardła — miało kwaśny, parzący smak. Stała przy małym, elektrycznym wiatraku ustawionym na toalecie, patrząc na siebie w lustrze. Jej twarz pokrywała siateczka zmarszczek, siwe i przesiąknięte potem włosy kleiły się do czaszki pokrytej zwiędłą, nakrapianą skórą, piersi zwisały jak puste worki. Postrzępiona podomka była rozpięta, w lustrze odbijały się krople potu ściekające po żebrach. Sondra nienawidziła tego widoku. Odwróciła się z powrotem w stronę pokoju.

Na zewnątrz, w ciemności, Dżokerowo budziło się do życia. Z okna widać było ludzi, o których zawsze opowiadał Gimli. Płomyk, doskonale widoczny w mroku, oświetlony blaskiem własnej skóry, Róża, pokryta czerwonymi pęcherzami pękającymi niczym rozkwitające pąki, Błysk, znikający w ciemnościach, jakby oświetlany stroboskopem. Wszyscy szukali choć odrobiny pocieszenia. Ich widok napełniał Sondrę melancholią. Oparła się o ścianę, potrącając fotografię oprawioną w tanią ramkę. Zdjęcie przedstawiało młodą dziewczynę, może dwunastoletnią, ubraną w koronkową koszulkę na ramiączkach. Jedno ramiączko zsunęło się figlarnie, odsłaniając rosnące piersi. Zdjęcie było nadmiernie rozerotyzowane; w oczach dziecka widniał wyraz smutnej zadumy, a jej rysy łudzaco przypominały twarz stojącej obok staruszki. Sondra poprawiła ramkę i westchnęła. Prostokąt farby za zdjęciem był ciemniejszy niż na reszcie ściany, zdradzając, że musiało tu wisieć od dawna.

Sondra znów popiła jacka danielsa.

Dwadzieścia lat. Przez ten czas ciało Sondry postarzało się prawie trzy razy bardziej. Zdjęcie, które wisiało teraz na ścianie, zrobił jej ojczym w 1956 roku. Po raz pierwszy zgwałcił ją rok wcześniej, gdy jej ciało zaczęło wykazywać oznaki dojrzenia, choć urodziła się zaledwie przed pięciu laty.

Na schodach prowadzących do jej mieszkania rozległy się ostrożne kroki. Sondra zmarszczyła brwi. *Czas się kurwić. Niech cię diabli porwą, Miller. Kobieto, dlaczego dałaś się na to namówić? Dlaczego zakochałaś się w człowieku, którego masz szpiegować?* Nawet za zamkniętymi drzwiami czuła jego feromony, jego niecierpliwość wzmacnianą przez jej własne uczucia. Jej ciało zareagowało w odpowiedzi, a wtedy przestała je kontrolować. Zamknęła oczy.

Ciesz się chwilą. Przynajmniej przez jakiś czas będziesz młoda. Poczowała nadchodzącą zmianę, rozciągającą mięśnie i ścięgna, włączającą ją w nowy kształt. Plecy znów się wyprostowały, nawilżona skóra straciła szorstkość. Piersi uniosły się i napęczniały, w lędźwiach odezwał się ogień żądz. Potarła szyję i odkryła, że fałdy zniknęły. Pozwoliła podomce opaść na podłogę.

Już? Wyjątkowo szybko. Byli kochankami od sześciu miesięcy; wiedziała, co zobaczy, gdy otworzy oczy. Tak — jej ciało było smukłe i młode, z pasemkiem jasnych włosów na złączeniu nóg, piersi tak drobne jak na zdjęciu. To widmo, ta iluzja kochanki była młodzieńcza, ale daleka od dziecięcej niewinności. *Dziewica i dziwka jednocześnie.* Musnęła palcem sutek. Napęczniał, a ona aż westchnęła, podniecona. Pomiędzy nogami poczuła wilgoć.

Mężczyzna zapukał, słyszała jego oddech, przyspieszony po wejściu na drugie piętro, i odkryła, że ich oddechy synchronizują się ze sobą. Otworzyła drzwi, przesuując zasuwkę. Gdy upewniła się, że na korytarzu nie ma nikogo innego, otworzyła szerzej i pozwoliła mu zobaczyć się nago. Nosił maskę z niebieskiej satyny, widoczne spod niej usta rozciągnęły się w uśmiechu. Wiedziała, że to on — reakcja jej ciała była dostatecznym dowodem.

— Gregg — szepnęła dziecinnym głosem. — Myślałam, że dziś już nie zdążysz.

Wślizgnął się do pokoju i zamknął drzwi. Pocałował ją bez słowa, długo i namiętnie, jednocześnie gładząc jej boki. W końcu odsunął się i westchnął, a ona położyła głowę na jego piersi.

— Trudno było się wyrwać — szepnął Gregg. — Wymknąłem się tylnymi schodami z hotelu jak jakiś złodziej... w masce... — Zaśmiał się smutno. — Kobieto, myślałaś, że cię opuszczę?

Uśmiechnęła się w odpowiedzi i odsunęła się. Wzięła go za rękę i poprowadziła ją pomiędzy swoje nogi. Westchnęła z zadowoleniem, gdy wsunął palec do środka.

— Sukubie — szepnął mężczyzna. Ona tylko zachichotała jak dziecko.

— Chodź do łóżka — mruknęła.

Stojąc obok zmiętej pościeli rozluźniła mu krawat i rozpięła koszulę, delikatnie kęsając sutki. Potem uklękła, rozwiązała mu buty i zdjęła skarpetki, a następnie rozpięła pasek i ściągnęła spodnie. Mężczyzna uśmiechnął się, gdy pogładziła sztywniejącego członka. Zamknął oczy. Polizała go tylko raz, a on jęknął. Zaczął ściągać maskę, ale powstrzymała go gestem.

— Nie, zostaw — szepnęła, wiedząc, że właśnie to chciałby usłyszeć. — Bądź tajemniczy.

Znów przesunęła językiem wzdłuż członka, a potem wzięła go do ust, aż mężczyzna westchnął z rozkoszy. Popchnęła go na materac i ujęła członka rękami, doprowadzając partnera do gorączki, podążając śladem jego fantazji; jego żądza wzmacniała jej własną, aż w końcu zatraciła się w tym sprzężeniu. Mężczyzna warknął gardłowo i odsunął się. Przewrócił ją na plecy i szorstkim gestem rozrzucił jej nogi. Wbił się w nią gwałtownie. Jego oczy błyszcząły gorączkowo w wycięciach maski, palce wbijały się w jej pośladki, aż krzyknęła. Nie był delikatny, jego podniecenie kłębiło się niczym wir, jak szalejąca burza barw, żar palący ich oboje do kości. Czuła, jak wspina się na szczyt, i instynktownie podążyła za tym szkarłatnym śladem. Zacisnęła zęby, gdy paznokcie darły jej skórę, a on wbijał się w nią raz za razem...

W końcu jęknął.

Czuła, jak wytryskuje, i wciąż poruszała się gorączkowym rytmem, aż chwilę później sama doszła. Wirowanie uspokoiło się powoli, kolory zbladły. Sondra czepiała się tego wspomnienia, zbierała energię, by nadal utrzymać swą postać.

Mężczyzna patrzył na nią zza maski. Ogarnął wzrokiem jej ciało — ślady na piersiach, czerwone wgłębienia po paznokciach.

— Przepraszam — powiedział. — Sukubie, tak mi przykro.

Pociągnęła go za sobą na łóżko, uśmiechając się, bo wiedziała, że on tego oczekuje. Wybaczyła mu, bo wiedziała, że na to czeka. Pilnowała, by wciąż trochę go podniecać, bo tylko dzięki temu mogła pozostać Sukubem.

— Nic się nie stało — wymruczała uspokajająco. Pochyliła się, by pocałować go w ramię, szyję, ucho. — Nie chciałeś mnie skrzywdzić.

Spojrzała na jego twarz, sięgnęła za głowę i rozluźniła wiązanie maski. Usta mężczyzny wygięły się w dół, oczy były wilgotne i pełne skruchy.

Dotknij go, poczuj ten ogień. Poczujesz go.

Dziwka.

Sondra nienawidziła tej części, bo tak bardzo przypominała jej lata, gdy rodzice stręczyli ją bogatym mieszkańcom Nowego Jorku. Od 1956 do 1964 roku była znana jako Sukub, najsłynniejsza i najdroższa prostytutka w mieście. Nikt nie wiedział, że gdy zaczynała, miała tylko pięć lat, że do asa, którego wyciągnęła z talii, dołączony był dzoker. Obchodzi ich tylko to, że jako Sukub była w stanie zmienić się w ich najszybszą fantazję — mężczyznę lub kobietę, młodą lub starą, uległą lub dominującą. Każdy rodzaj sylwetki — jak posąg Pigmaliona z erotycznych snów. Nikogo nie obchodziło, że Sukub ostatecznie przybierał kształt Sondry, że jej ciało starzało się nienaturalnie szybko i że Sondra nienawidziła Sukuba.

Gdy uciekła z domu, dwanaście lat wcześniej, przysięgała sobie, że już nigdy do tego nie dopuści. Sukub miał jedynie ofiarować rozkosz tym, którzy nie mieli możliwości zyskać jej skądinąd.

Cholerny Miller. Niech szlag trafi tego karła. Dlaczego dałam się na to namówić? Dlaczego wysłał mnie akurat do tego człowieka? Dlaczego musiał się dowiedzieć, że tak mi zależy na Greggu? Przez ten cholerny wirus nie mogę się mu nawet ujawnić. I jeszcze ta katastrofa w „Wieży Asów”...

Sondra wiedziała, że uczucia Hartmanna są szczerze i nienawidziła tej świadomości. Z drugiej strony, zależało jej także na sprawie dzokerów — była głęboko zaangażowana w działalność DSS. Informacje o poczynaniach rządu, a zwłaszcza SKAZA były niezwykle ważne. Hartmann wywierał pewien wpływ na asów, którzy po wielu latach w ukryciu zaczęli brać stronę władz: Czarny Cień, Szejker, Osobliwość, Wyjec. Poprzez Hartmanna DSS zdołał przekierować część rządowych funduszy w stronę dzokerów. Sondrze udało się zdobyć informacje na temat najniższych stawek na kontrakty rządowe i przekazała te informacje firmom prowadzonym przez dzokerów. A co ważniejsze, tylko dzięki swoim wpływom na Hartmanna była w stanie zapanować nad Millerem, który już od dawna pragnął przekształcić DSS w radykalną bojówkę. Pociągając za sznurki senatora, Sukub był w stanie ukrócić zapędy karła. Przynajmniej wcześniej miała taką nadzieję — po fiasku rozmów w „Wieży Asów” nie była już taka pewna. Podczas dzisiejszego spotkania Gimli był ponury i zły.

— Jesteś zmęczony, kochanie — zwróciła się do Gregga, gładząc miejsce na czubku głowy, gdzie jego jasne włosy zaczynały rzednąć.

— Wysysasz ze mnie siły — odparł, ale uśmiechnął się lekko. Kobieta delikatnie musnęła jego wargi.

— Wydajesz się roztargniony. Wszystko przez ten zjazd? — Jej dłoń zjechała niżej, na brzuch, który z wiekiem zaczął robić się bardziej miękki. Pieściła wnętrze jego ud, używając mocy Sukuba, by go uspokoić, odprężyć. Gregg był zawsze spięty, a w jego umyśle wnosił się mur, którego nigdy nie burzył. Była to słaba blokada, która nie wytrzymałaby starcia z większością asów. Podejrzewała, że Gregg nawet nie wie o jego istnieniu i o tym, że on także został dotknięty działaniem wirusa.

Poczuła od niego kolejny przyływ żądz.

— Nie poszło za dobrze — przyznał, tuląc ją do siebie. — Głosowanie nie miało szans. Wszyscy umiarkowani byli przeciwko. Boją się wzrastającej popularności konserwatystów. Jeśli Reagan wygra z Fordem nominację, wszystko może się zdarzyć. Carter i Kennedy byli zdecydowanie przeciwko postulatowi. Żaden z nich nie chce popierać sprawy, co do której nie ma przekonania. A co do liderów, to ich brak wsparcia był aż nadto wyraźny. Nie było szans, Sukubie.

Te słowa zmroziły ją do szpiku. Musiała walczyć, by utrzymać postać Sukuba. Wiadomość pewnie już rozeszła się po Dżokerowie. Gimli zapewne już wie i zorganizuje jutro swój marsz protestacyjny.

— Nie możesz ponownie zgłosić postulatu?

— Nie teraz. — Gładził jej piersi, kreśląc kółeczka wokół aureoli sutka. — Sukubie, nawet nie wiesz, jak bardzo chciałem cię zobaczyć. To była długa, frustrująca noc. — Odwrócił się do niej, a ona wtuliła się w niego posłusznie, choć jej myśli wirowały gorączkowo.

W tym zamyśleniu prawie umknął jej koniec zdania:

— ...a jeśli DSS będzie obstawać przy swoim, zrobi się naprawdę źle.

Jej ręka zamarła.

— Tak? — ponagliła.

Ale było już za późno. Czowała jego wzrastające podniecenie. Złapał ją za rękę.

— Czujesz to? — Jego sztywniejący członek pulsował tuż przy jej udzie. Znów wciągnął ją wir, straciła koncentrację. Mężczyzna pocałował ją, aż zapiekły ją usta, dosiadła go, wprowadziła do środka. Sondra, uwięziona w środku, bezsilnie krzyczała na Sukuba. *Niech cię szlag, właśnie, zaczął mówić o DSS!*

Gdy było po wszystkim, Gregg był już zbyt zmęczony i prawie się nie odzywał. Ledwie zdołała go przekonać, by wyszedł, nim opuściły ją siły i znów zmieniła się w starą kobietę.

BURMISTRZ ZAPOWIADA ODWET,
SENATOR OSTRZEGA

„New York Times”, 16 lipca 1976 r.

ZJAZD: TRIUMF CZARNEGO KONIA?

„New York Daily News”, 16 lipca 1976 r.

— DOBRZE, KURWA! RUSZAĆ SIĘ TAM! JEŚLI NIE JESTEŚCIE W STANIE

CHODZIĆ, IDZ CIE DO WOZU GARGANTUI! TAK, WIEM, ŻE JEST GŁUPI, ALE POTRAFI CIĄGNAĆ WÓZ, NA LITOŚĆ BOSKĄ!

Gimli ustawiał w szyku tłum dzokerów wysiadających z paki zardzewiałego trucka. Wymachiwał krótkimi rękami, twarz miał zaczerwienioną od krzyku, pot ściekał mu po brodzie. Zebrali się w Parku Roosevelta. Słońce biło żarem z bezchmurnego nieba; temperatura już we wczesnych godzinach rannych osiągnęła trzydzieści stopni, a wyglądało na to, że może dojść do trzydziestu pięciu. Sondra ledwie była w stanie oddychać. Z każdym krokiem czuła swój podeszły wiek. Gdy w końcu dotarła do pikapa i Gimlego, pod pachami jej perkalowej sukni wykwitły ciemne plamy.

— Gimli? — wykrztusiła słabym głosem.

— NIE, DUPKU! TAM, KOŁO RÓŻY! Cześć, Sondra. Gotowa na marsz? Przyda mi się ktoś na tyłach. Przydzielilibym ci wóz Gargantui i tych kaleków — będziesz mogła jechać z dala od tłumu. Ktoś musi pilnować, żeby Gargantua nie zrobił nic głupiego. Pojedziemy wzdłuż Grand, aż na Broadway i do mauzoleum...

— Gimli! — przerwała gorączkowo Sondra.

— Co, do kurwy nędzy? — Miller oparł dłoń na biodrze. Miał na sobie tylko szorty w tureckie wzory. Obnażony do pasa, prezentował masywną pierś i krótkie, potężne kończyny, obficie porośnięte rudawym włosiem. Jego głos zabrzmiał jak basowy warkot.

— Mówią, że policja zbiera się przy wejściach do parku, wznosząc barykady. — Sondra spojrzała oskarżycielsko na Millera. — Mówiłam ci, że łatwo stąd nie wyjdziemy.

— Aha. Jebać to. Pójdziemy tak czy tak.

— Nie pozwolą nam. Pamiętasz, co powiedział Hartmann w „Wieży Asów”? Co powiedział wczoraj? — Staruszka skrzyżowała na piersi kościste ramiona. — Jeśli wydasz im wojnę, zniszczysz DSS...

— Co się stało, Sondra? Nie wystarczy, że ssiesz mu fiuta, musisz jeszcze łykać ten jego polityczny bełkot? — Miller zaśmiał się nieprzyjemnie i zeskoczył z pikapa na zeschniętą trawę. Wokół nich kłębił się tłum dwustu, może trzystu dzokerów. Miller zmarszczył brwi, widząc nieustępliwe spojrzenie Sondry i wbił w piach palce bosych stóp.

— No dobrze — powiedział w końcu. — Pójdę i rzucę na to okiem, skoro tak ci to, kurwa, przeszkadza.

Przy bramie z kutego żelaza kręciła się policja, ustawiając na drodze pochodu drewniane barykady. Kilkoro dzokerów podeszło do Sondry i Millera.

— Na pewno chcesz iść, Gimli? — spytał jeden z nich. Mężczyzna nie nosił ubrań. Jego ciało było twarde, pokryte chitynową skorupą. Poruszał się kołyszącym krokiem, kończyny miał zupełnie sztywne.

— Zaraz ci powiem, Fistaszku, dobra? — odparł karzeł. Zmrużył oczy, wpatrując się w dal. Ich sylwetki rzucały długie cienie wzdłuż ulicy. — Pałki, tarcze, gaz łzawiący, armatki wodne. Cały zestaw.

— Tego chcieliśmy, prawda? — zauważył Fistaszek.

— Stracimy sporo ludzi. Poranią ich, może nawet zabiją. Niektórzy nie przeżyją ciosów pałką. Niektórzy mogą źle zareagować na gaz — zauważyła Sondra.

— A niektórzy mogą się potknąć o własne nogi! — warknął Gimli. Kilku policjantów uniosło głowy, wytknęło go palcami. — Od kiedy to uznawałeś, że rewolucja jest zbyt

niebezpieczna?

— A od kiedy ty uznałeś, że można narazić własnych ludzi, byle dopiąć swego celu?

Gimli wbił w nią spojrzenie, jedną ręką osłaniając oczy przed słońcem.

— Nie mojego. Celu nas wszystkich. Sprawiedliwości. Sama tak mówiłaś.

Sondra zacisnęła usta, aż skóra pomarszczyła jej się na podbródku. Odgarnęła kosmyk siwych włosów.

— Nie w ten sposób.

— Ale innego nie ma. — Gimli zaczerpnął tchu i ryknął do czekających dzokerów: — W PORZĄDKU, LUDZIE! WIECIE, CO ROBIĆ. IDZIEMY NAPRZÓD, NIEWAŻNE, CO SIĘ STANIE. ZAMOCZCIE CHUSTKI. TRZYMAJCIE SZYKI, PÓKI NIE DOTRZEMY DO MAUZOLEUM. W RAZIE CZEGO POMÓŻCIE SĄSIADOWI! — W jego głosie znów zabrzmiała moc. Sondra widziała reakcje demonstrantów: nagłe ożywienie, okrzyki, wiwaty. Nawet jej oddech trochę przyspieszył. Gimli przekrzywił głowę, spoglądając na nią kpiąco.

— Idziesz z nami czy wolisz kogoś przelecieć?

— To błąd! — upierała się Sondra. Westchnęła, poprawiła kołnierz sukienki i spojrzała na pozostałych. Nikt jej nie wsparł, ani Fistaszek, ani Cwaniak, ani Zona, ani Calvin, ani Pilnik — żadna z osób, które czasem zgadzały się z nią na zebraniach. Wiedziała, że jeśli teraz się wycofa, zupełnie straci wpływ na Millera. Spojrzała w stronę parku, gdzie grupki dzokerów tworzyły nierówny szereg, ich twarze były zaniepokojone, ale stanowcze. Sondra wzruszyła ramionami.

— Idę — powiedziała krótko.

— Jakże mnie to cieszy — wycedził Gimli i prychnął pogardliwie.

BUNT DŻOKERÓW, TRZY OFIARY, KILKUDZIESIĘCIU RANNYCH

„New York Times”, 17 lipca 1976 r.

Nie było to ani łatwe, ani ładne. Dział planowania nowojorskiej policji podobno opracował szczegółowe scenariusze obejmujące większości wersji wydarzeń, gdyby dzokerzy jednak zdecydowali się wyruszyć. Dowodzący akcją szybko zorientowali się, że tego rodzaju plany nigdy nie wytrzymują zderzenia z rzeczywistością.

Dzokerzy wyszli z Parku Roosevelta na szeroki chodnik Grand Street. To jeszcze nie stanowiło problemu. Policja zablokowała ruch na obu ulicach przelotowych nieopodal parku, gdy tylko doszły ich wiadomości o zgromadzeniu. Barykady wzniesiono w poprzek ulicy, niecałe czterdzieści metrów od wejścia. Zakładano, że organizatorzy nie zdołają utrzymać szyku, albo widząc umundurowanych policjantów w wyposażeniu bojowym, zawrócą znów w stronę parku, gdzie rozpędzą ich konni funkcjonariusze. Policjanci trzymali pałki w pogotowiu, ale większość podejrzewała, że nie trzeba będzie ich używać — w końcu mierzyli się z dzokerami, nie asami. Naprzeciw nich stali ludzie chorzy, kalecy i zdeformowani — beużyteczne pozostałości wirusa.

Gdy ruszyli ulicą w stronę barykady, kilku z ludzi w pierwszym szeregu otwarcie potrząsnęło głowami. Na czele szedł Tom Miller, aktywista DSS. Pozostali pewnie wyglądaliby nawet zabawnie, gdyby nie byli tak żałośni. Śmietniki Dżokerowa otwarły się i wysypały na ulicę. Nie było wśród nich najbardziej znanych mieszkańców, jak Tachion czy Poczwarzka. W pochodzie maszerowali ci, którzy zwykle przemykali się w mroku, ukrywali twarze i nigdy nie opuszczali

brudnych zaułków swojej dzielnicy. Wyszli, odpowiadając na zew Millera, mając nadzieję, że swą brzydotą przekonają partię demokratyczną, by wsparła ich sprawę.

Ta parada wzbudziła zachwyty na każdym karnawale.

Policjanci wspominali później, że nikt z nich nie chciał, by skończyło się to erupcją przemocy. Zamierzali użyć jak najmniej siły, byle tylko utrzymać demonstrantów z dala od głównych ulic Manhattanu. Rozkazy były jasne: gdy przednie szeregi dotrą do barykad, mają aresztować Millera i zawrócić pozostałych. Nikt z nich nie podejrzewał, że okaże się to trudne.

Później zastanawiali się, jak mogli być tak strasznie głupi.

Gdy demonstracja zbliżyła się do bariery z drewnianych koziołków, za którą czekała policja, nagle zwolnili kroku. Przez kilka długich sekund nic się nie działo. Dżokerzy stopniowo zwolnili, aż w końcu zatrzymali się w ciszy pośrodku ulicy. Słońce odbijało się od chodnika, twarze maszerujących ociekały potem, mundury policjantów były mokre. Miller spiorunował ich wzrokiem, a potem gestem ponaglił resztę. Odsunął na bok pierwszy koziołek, pozostali ruszyli za nim.

Oddział prewencji uformował szereg, łącząc ze sobą plastikowe tarcze. Demonstranci potracali tarcze, policjanci ich odpychali, rząd demonstrantów zaczął się wyginać. Ludzie idący z tyłu popychali przednie szeregi w stronę policjantów. Nawet wtedy sytuację można było opanować — pocisk z gazem łzawiącym mógłby przekonać dżokerów do ucieczki w stronę parku. Dowódca akcji skinął głową i jeden z policjantów uklęknął, by odpalić kanister.

Ktoś w tłumie krzyknął. A potem nagle, jak kostki domina, funkcjonariusze w pierwszym szeregu zwalili się z nóg, jakby zdmuchnęło ich miniaturowe tornado.

— Jezu! — wrzasnął któryś z policjantów. — Co to, kurwa...

Pozostali nadstawili pałki, gdy dżokerzy przerwali pierwszy szereg, zaczęli z nich korzystać. Pomiędzy wieżowcami na Grand Street rozległ się tężejący zgiełk, dźwięk wyzwolonego chaosu. Policjanci machali pałkami coraz gorliwiej, gdy przerażeni dżokerzy zaczęli się bronić, bijąc pięściami albo tym, co mieli pod ręką. Dżoker obdarzony dziką telekinezą miotał nią wszędzie, bez żadnej kontroli. Dżokerzy i policja odlatywali na boki, tocząc się po ulicy lub wpadając na budynki. Pociski z gazem łzawiącym eksplodowały wokół, zasnuwając wszystko mgłą. Gargantua, olbrzymi dżoker z zabawnie małą głową, osadzoną na potężnym cielsku, jęknął, oslepiony piekącym gazem. Ciągnąc za sobą drewniany wóz wiozący mniej mobilnych dżokerów, gigant popędził przed siebie. Nie wiedział, dokąd uciekać, po prostu biegł, bo nie wiedział, co jeszcze mógłby zrobić. Jego pasażerowie czepiali się kurczowo desek. Gdy dotarł do szeregu policji, zwartego na nowo po ataku telekinezą, zaczął młócić pięściami, by osłonić się przed pałkami. Jedna z ofiar zginęła od ciosu tej olbrzymiej, niezgrabnej pięści.

Bezładna walka toczyła się przez ponad godzinę. Ranni leżeli na ulicy, wokół wyły syreny. Dopiero po południu udało się przywrócić względny spokój. Policja wprawdzie rozpędziła demonstrantów, ale z dużymi stratami po obu stronach.

Tej długiej, upalnej nocy policjanci patrolujący Dżokerowo odkryli, że ich radiowozy obrzucane są kamieniami i śmieciami, że śledzą ich dżokerzy, przemykając zaułkami. Wykrzywione złością twarze, zacisnięte pięści i bezładne przekleństwa. W parnej ciemności mieszkańcy getta wychylali się z okien, by rzucać puste butelki, doniczki i odpady. Walili w dachy radiowozów albo rysowali po szybach. Funkcjonariusze rozsądnie nie wychodzili z pojazdów, zamknęli też drzwi i okna. Mieszkańcy podpalili kilka opuszczonych budynków, a potem zaatakowali wezwaną do pożaru straż.

Rano słońce wzeszło w rozżarzonym powietrzu i welonie dymu.



W 1962 roku Lalkarz przybył do Nowego Jorku i odkrył nirwanę w zaułkach Dżokerowa. Było tu tyle nienawiści, złości i smutku, ile tylko mógł zapragnąć, umysły zdeformowane wirusem, emocje dojrzałe do działania, tylko czekające na impuls. Wąskie uliczki, ciemne zaułki, zrujnowane budynki pełne kalek, niezliczone bary i spelunki zaspokajające najbardziej zdeprawowane gusta. Dżokerowo miało niewyobrażalny potencjał, a on zaczął się nim karmić, najpierw powoli, później coraz częściej. Dzielnica była jego. Uważał się za jej szarą eminencję. Nie potrafił zmusić żadnej ze swych kukiełek, by zrobiła coś wbrew swej woli, nie miał aż takiej mocy. Potrzebował jakiegoś zarzewia, które mógłby rozdmuchać: skłonności do przemocy, nienawiści czy żądz. Wówczas mógł ująć to uczucie swą niewidzialną dłonią i wykarmić, aż w końcu namiętność zerwała wszystkie tamy. Wszystkie te uczucia były czerwone i jaskrawe. Lalkarz widział to nawet, gdy je pożerał, wciągał do własnego umysłu i czuł, jak rozpala się żar, niemal erotyczny w swojej intensywności, aż w końcu nadchodził dudniący, oślepiający błysk orgazmu, gdy jego kukielka gwałciła, zabijała lub okaleczała.

Ból dawał rozkosz. Władza dawała rozkosz.

W Dżokerowie zawsze można było znaleźć rozkosz.

HARTMANN PROSI O SPOKÓJ BURMISTRZ UKARZE DEMONSTRANTÓW

„New York Daily News”, 17 lipca 1976 r.

John Werthen wszedł do pokoju Hartmanna z sąsiedniego apartamentu.

— Nie spodoba ci się to, co powiem — zaczął bez wstępów.

Gregg leżał na łóżku, z marynarką przerzuconą przez wezgi i dłońmi splecionymi pod głową, patrząc, jak Walter Cronkite mówi o impasie na zjeździe partii.

— Co znowu, John?

— Amy dzwoniła z biura w Waszyngtonie. Tak jak sugerowałeś, przekazaliśmy problem sowieckiej wtyczki w klinice Czarnemu Cieniowi. Podobno kreta właśnie znaleziono w Dżokerowie. Wisiał na latarni z kartką przypiętą do piersi. Do skóry na piersi. Był rozebrany do naga. W liście opisano szczegóły rosyjskiego eksperymentu z dziką kartą: infekują „ochotników” wirusem, mając nadzieję na wyhodowanie własnych asów. Powstałych w ten sposób dżokerów po prostu zabijają. List wskazywał zabitego jako wtyczkę. To wszystko. Koroner uważa, że stracił przytomność, zanim dżokerzy z nim skończyli, ale kawałki ciała trzeba było zbierać z trzech sąsiednich przecznic.

— Chryste — mruknął Gregg. Odetchnął głęboko. Przez chwilę po prostu leżał w milczeniu, słuchając, jak Cronkite gładko nawija o ostatecznym głosowaniu na temat postulatu i wyrównanych szansach Cartera i Kennedy'ego w walce o nominację.

— Czy ktoś widział później Cienia?

John wzruszył ramionami. Poluzował krawat i rozpiął kołnierzyk koszuli od Brooks Brothers.

— Jeszcze nie. Mówi, że nie zabił tego człowieka, i na swój sposób ma rację.

— Daj spokój, John — zachnął się Gregg. — Doskonale wiedział, co się stanie, gdy przywiąże gościa do latarni z takim liścikiem. To kolejny z tych asów, którzy uważają, że nie muszą przestrzegać prawa. Wezwij go, muszę z nim pogadać. Jeśli nie potrafi działać zgodnie z naszymi metodami, to nie będzie dla nas pracować. Jest zbyt niebezpieczny. — Gregg westchnął i usiadł na krawędzi łóżka, pocierając kark. — Coś jeszcze? Co z DSS? Zdołałeś skontaktować się z Millerem?

John potrząsnął głową.

— Jeszcze nic. Chodzą plotki, że dzokerzy mają dziś pomaszerować. Ta sama trasa, tuż obok ratusza. Mam nadzieję, że nie jest aż tak głupi.

— Pomaszeruje — stwierdził Gregg. — Facet za wszelką cenę chce być w centrum uwagi. Myśli, że jest potężny. Pomaszeruje.

Senator wstał i pochylił się nad telewizorem. Cronkite zamilkł w połowie zdania. Gregg zapatrzył się w okno. Z pokoju w Marriott's Essex House rozciągał się widok na zieloną płachtę rozpostartą pomiędzy wieżowcami. Powietrze było ciężkie, nieruchome, sina mgła spalin skrywała przeciwległe krańce parku. Gregg czuł ten żar nawet przy włączonej klimatyzacji. Na zewnątrz panował pewnie jeszcze większy upał. W labiryncie Dżokerowa musiało być wręcz nieznośnie, a jego porywcy mieszkańcy jeszcze bardziej rozdrażnieni.

— Tak, przyjdzie — powtórzył Gregg, na tyle cicho, że John nie dosłyszał. — Chodźmy do Dżokerowa — dodał, odwracając się do asystenta.

— A zjazd?

— Nie dojdą do zgody jeszcze przez kilka dni. W tej chwili to bez znaczenia. Pozbierajmy moje ogony i chodźmy.

DŻOKERZY! DOSTALIŚCIE KIEPSKIE KARTY!

— z ulotki rozdawanej przez aktywistów DSS
na wiecu 18 lipca.

Gimli zebrał tłum w świetle ostrego południowego słońca. Po nocnych zamieszkach w dzielnicy burmistrz wyznaczył podwójne dyżury policyjne i odwołał wszystkie urlopy. Gubernator postawił Gwardię Narodową w stan gotowości. Patrole krążyły na obrzeżach Dżokerowa, a na kolejną noc zapowiedziano godzinę policyjną. Wieczorem poprzedniego dnia szybko rozeszła się pogłoska, że DSS zorganizuje kolejny marsz do Mauzoleum. Park Roosevelta od rana aż kipiał życiem. Po dwóch nieudanych próbach wyrzucenia dzokerów z parku, których jedynym efektem było kilka rozbitych głów i pięciu rannych funkcjonariuszy, policja trzymała się z daleka. Na demonstracji DSS zjawilo się znacznie więcej dzokerów, niż przewidywały władze. Na Grand Street znów stanęły barykady, a burmistrz przemawiał przez megafon, wzywając demonstrantów do rozejścia. Dżokerzy zza bramy odpowiadali wyzwiskami.

Stojąc na prowizorycznej trybunie, Sondra słuchała przemówienia Gimlego. Silny głos karła jak nigdy porywał rozgorączkowanych słuchaczy.

— OD LAT DEPTANO WAS, TŁAMSZONO, OPLUWANO I OCZERNIANO JAK ŻADEN INNY LUD W HISTORII! — zagrzemiał, a słuchacze przytaknęli okrzykami. Twarz Gimlego, lśniąca od potu, jaśniała wewnętrznym ogniem, pasemka brody były ciemne od wilgoci. — JESTEŚCIE MURZYNAMI TEGO ŚWIATA. JESTEŚCIE WSPÓŁCZESNYMI

NIEWOLNIKAMI, BŁAGAJĄCYMI O WYZWOLENIE SPOD TYRANII NIE GORSZEJ, NIŻ DOŚWIADCZYLI CZARNI. MURZYNI, ŻYDZI, KOMUNIŚCI — UOSABIACIE ICH WSZYSTKICH W OCZACH TEGO MIASTA I TEGO KRAJU! — Gimli oskarżycielsko wskazał wieżowce Nowego Jorku. — CHCĄ, ŻEBYŚCIE SIEDZIELI W SWOIM GETCIE, ŻEBYŚCIE ZDECHLI, ŻEBYŚCIE ZNALI SWOJE MIEJSCE, BO WTEDY MOGĄ SIĘ NAD WAMI LITOWAĆ I JEZDZIĆ ULICAMI DŻOKEROWA W SWOICH CADILLACACH I LIMUZYNACH, I PATRZĄC PRZEZ OKNA MÓWIĆ: „MÓJ BOŻE, JAK LUDZIE MOGĄ TAK ŻYĆ?” — Ostatnie słowo odbiło się rykiem w całym parku, wszyscy obecni wykrzyknęli je chórem. Sondra spojrzała na ten tłum, którym upstrzona była trawa w świetle słońca.

Wszyscy przyszedli, wylali się z ulic Dżokerowa. Był tam Gargantua — ktoś starannie obandażował jego olbrzymie ciało — i Róża, i Błysk, i Carmen, pięć tysięcy albo i więcej. Sondra czuła pulsujące w nich rozgorączkowanie, wzrastające w miarę przemowy Gimlego; jego własna gorycz rozchodziła się w powietrzu jak trucizna, infekując wszystkich.

Nie! — miała ochotę wykrzyknąć. *Nie słuchajcie go! Proszę! Tak, jego słowa są błyskotliwe i pełne energii, sprawia, że macie ochotę zacisnąć pięści i wyrzucić je w górę, maszerując u jego boku. Ale nie widzicie, że nie tędy droga? To nie jest rewolucja, to szaleństwo jednego człowieka.* Słowa dźwięczały jej w głowie, ale nie mogła ich wypowiedzieć. Gimli omotał ją swoim urokiem, tak jak pozostałych. Czuła, że jej spękane usta wykrzywiają się w uśmiechu. Pozostali organizatorzy krzyczeli. Gimli stał na przedzie trybuny, rozłożył ręce, słuchając, jak krzyki stają się coraz głośniejsze, aż w końcu tysiące gardeł zaczęło skandować:

— Mamy prawo! Mamy prawo!

Rytm dudnił ogłuszająco, uderzając w czekające szeregi policji, tłum gapiów i reporterów.

— Prawa dla nas! Prawa dla nas!

Sondra usłyszała, że krzyczy razem z pozostałymi.

Gimli zeskoczył z podwyższenia i zaczął prowadzić ich w stronę bram. Tłum ruszył przed siebie, nie próbując zachować żadnego porządku. Wylegli z Parku Roosevelta w boczne ulice. Wykrzykiwali szyderstwa w stronę czekającej policji. Sondra widziała migające światła radiowozów, monotony szum pojazdów z armatkami wodnymi. Dziwny nieokreślony szum, który słyszała poprzedniego dnia, znów nadciągał, zagłuszając nawet skandowanie. Kobieta zawahała się, nie wiedząc, co zrobić. Potem podbiegła do Gimlego, nie zważając na obolałe nogi.

— Gimli... — zaczęła, ale wiedziała, że to nie ma sensu. Gdy demonstranci wylegli z parku na ulicę, twarz mężczyzny wykrzywił triumfalny uśmiezek. Sondra spojrzała w stronę barykady, w kierunku czekającej policji.

Gregg też tam był.

Stał tuż przed barykadą, otoczony przez kilku funkcjonariuszy Secret Service. Rękawy miał podwinięte, krawat rozluźniony i wyglądał na zmęczonego. Przez chwilę Sondra miała wrażenie, że przywódca protestu minie go bez słowa, ale zatrzymał się o kilka kroków od niego; idący za nim wyhamowali chwiejnie.

— Niech pan stąd spierdala, senatorze. Zejźdź nam pan, kurwa, z drogi albo was zdepczemy. Pana i tych wszystkich pierdolonych ochroniarzy.

— Panie Miller, to nie jest właściwa droga.

— Nie ma innej drogi. Mam już dość tego gadania.

— Proszę, porozmawiajmy jeszcze chwilę. — Gregg wodził wzrokiem od Gimlego do Sondry i paru innych organizatorów z DSS. — Wiem, że jesteście rozgoryczeni po ostatnim fiasku postulatu. Wiem, że traktowanie dzokerów woła o pomstę do nieba. Ale, na litość boską, wszystko zmienia się na lepsze. Nie chcę wam doradzać, byście okazali cierpliwość, ale właśnie tego tu trzeba.

— Czas się skończył, senatorze — odparł Gimli i wyszczerzył się w uśmiechu. Koronki zębów miał ciemne i pokryte dziurami.

— Jeśli pójdziecie dalej, wywołacie zamieszki. Jeśli wrócić do parku, powstrzyma to policję od interwencji.

— I co nam to da, senatorze? Chcielibyśmy zorganizować wiec przed Mauzoleum Śmiga. To nasze prawo. Chcielibyśmy stanąć na tych schodach i opowiedzieć o trzydziestu latach bólu i cierpienia. Chcemy się pomodlić za naszych zmarłych i niech wszyscy, którzy nas zobaczą, wiedzą, jakie pierdolone szczęście mieli ci, którzy zmarli. Tylko o to prosimy. O prawa, które przysługują każdemu normalnemu człowiekowi.

— Możecie to zrobić w Parku Roosevelta. Każda ogólnokrajowa gazeta o tym napisze, każda stacja telewizyjna was pokaże. Mogę to zagwarantować.

— To pańska oferta, senatorze? Niezbyt imponująca.

Gregg skinął głową.

— Wiem i przepraszam za to. Mogę tylko obiecać, że jeśli zawróci pan swoich ludzi, zrobię, co w mojej mocy. — Rozłożył ręce. — Tylko tyle mogę wam zaofiarować. Proszę, powiedzcie, że to wystarczy.

Sondra obserwowała twarz Millera. Za ich plecami wciąż rozbrzmiewały krzyki i skandowanie. Czekala. Lada chwila karzeł wybuchnie śmiechem, obrazi senatora i odepchnie go na bok, zmierzając ku barykadzie. Mężczyzna przestępował z nogi na nogę, pocierając bujne włosy na piersi. Wpatrywał się w Gregga z niechęcią. W jego głęboko osadzonych oczach tlił się gniew.

A potem nagle cofnął się o krok. Spuścił wzrok, a napięcie jakby rozpląnęło się w powietrzu.

— No, dobra — oznajmił, a Sondra prawie się zaśmiała. Z tyłu rozległy się zdumione protesty, ale Gimli odwrócił się błyskawicznie, jak rozszuszczony niedźwiedź.

— Kurwa mać, słyszeliście, co mówiłem! Dajmy facetowi szansę. Jeszcze jeden dzień. Jeden, nie więcej. Jeden dzień nas nie zbawi.

Potem zaklął i zniknął w tłumie, zmierzając z powrotem do bramy. Pozostali z wolna poszli jego śladem. Znowu rozległo się skandowanie, tym razem bez przekonania i szybko umilkło.

Sondra długo wpatrywała się w Gregga, a on odpowiedział uśmiechem.

— Dziękuję — powiedział cichym, zmęczonym głosem. — Dziękuję, że daliście mi szansę.

Kobieta tylko skinęła głową. Nie mogła wydobyć głosu, bała się, że spróbuje go uściskać, pocałować. *Dla niego jesteś tylko staruchą* — upomniała się w duchu. *Dzokerką, jak każda inna.*

Jak to zrobiłeś? — miała ochotę spytać. *Czemu cię usłuchał, skoro nie słuchał nawet mnie?*

Nie mogła zadać tych pytań ustami tej starej kobiety, jej słabym głosem.

Westchnęła, a potem, kulejąc i z trudem poruszając spuchniętymi kolanami, ruszyła z powrotem.

HARTMANN USPOKAJA ZAMIESZKI

NEGOCJACJE Z DSS ZAKOŃCZONE ROZEJMEM

„New York Times”, 18 lipca 1976 r., wydanie specjalne

CHAOS W DŻOKEROWIE

„New York Daily News”, 19 lipca 1976 r.

Wiec DSS powrócił do parku. Przez resztę upalnego dnia Gimli, Sondra i pozostali wygłaszali przemowy. Po południu pojawił się nawet sam doktor Tachion, by przemówić do tłumu. Atmosfera wiecu przypominała festyn; dżokerzy siadali na trawie, rozmawiając lub śpiewając. Niektórzy rozłożyli piknikowe koce, dzieląc się lunchem z sąsiadami. Nalewano do kubków drinki. Wokół krążyły skręty. W pewnym sensie wiec zmienił się w spontaniczną manifestację dżokerstwa. Nawet najbardziej zdeformowani chodzili otwarcie po ulicy. Ikoniczne maski, anonimowe fasady, za którymi kryło się tak wielu mieszkańców getta, dziś zostały zrzucone.

Popołudnie miało przyjemnie, mieszkańcy mogli choć przez chwilę odpocząć od upału, zapomnieć o trudach swojego życia. Zawsze gdy opowiada się o swoich kłopotach, nawet jeśli wydają się przytłaczające, znajdzie się ktoś, kto ma gorzej, a wtedy życie nie wydaje się już takie złe.

Po nerwowym poranku, który zdawał się zapowiadać jedynie przemoc i zniszczenie, reszta dnia minęła w atmosferze łagodnego optymizmu, jakby sprawa dżokerów właśnie minęła kolejny zakręt, zostawiając mrok za sobą. Nawet światło słońca nie wydawało się już tak palące. Sondra odkryła, że jej nastrój także się poprawił. Uśmiechała się, żartowała z Gimlim, ścisnęła sąsiadów, śmiała się i śpiewała.

Wieczorem powróciła rzeczywistość.

Głębokie cienie wieżowców na Manhattanie wydłużyły się ponad parkiem, aż w końcu pochłonęły go całkowicie. Niebo przybrało kolor ultramaryny, ale luna miejskich latarni wciąż rozjaśniała ciemności, pogrążając okolicę w mętным półmroku. Miasto, rozgrzane w ciągu dnia, promieniowało żarem. Wciąż nie było wytchnienia od upału, a powietrze tkwiło w śmiertelnym bezruchu. Noc zdawała się jeszcze bardziej uciążliwa.

Szef policji obwiniał później burmistrza. Burmistrz obwiniał gubernatora, którego biuro twierdziło z kolei, że nikt nie wydał takich rozkazów. Nikt nie potrafił powiedzieć, skąd się wzięły. Później było to już bez znaczenia. W nocy z 18 na 19 lipca wybuchły rozruchy.

Szaleństwo nadeszło nagle, przy dźwiękach krzyków i dudnieniu megafonów.

Policja konna i oddziały prewencji uzbrojone w pałki zaczęły przeczesywać park z południa na północ, by zepchnąć dżokerów do Delancey, a w końcu z powrotem do Dżokerowa. Demonstranci, zdezorientowani niespodziewanym atakiem, posłuszni nawoływaniom Gimlego, stawili opór. W cieniu parku wywiązała się zaciekle bójka. Dla policji każdy nieumundurowany przechodzień stanowił uprawniony cel. Przedarli się przez park, bijąc na oślep, kogo popadnie. W nocy rozbrzmiały okrzyki bólu. Próby stawienia oporu szybko rozbito, pojedyncze grupki dżokerów zaczęły zawracać w stronę ulic, pobici lub oszołomieni gazem. Tych, którzy upadli, po prostu deptano. Sondra znalazła się w takiej grupie. Ciężko dysząc, próbując utrzymać równowagę, osłaniała się rękami, by nie oberwać w głowę. W końcu znalazła się w uliczce odchodzącej od Stanton. Stamtąd patrzyła, jak walka rozprzestrzeniła się z parku na ulice.

Wokół działo się mnóstwo rzeczy naraz.

Kamerzysta CBS filmował, jak kilkunastu policjantów na motocyklach spycha grupę dzokerów w stronę barierki otaczającej podziemny parking po drugiej stronie ulicy. Dzokerzy uciekali, niektórzy przeskakiwali przez barierkę. Był wśród nich Płomyk, oświetlając całą scenę fosforyzującym blaskiem własnej skóry — doskonały cel dla nadjeżdżającej policji. Zdesperowany przeskoczył przez barierkę, spadając dwa i pół metra w dół. Wtedy policjanci dostrzegli kamerzystę.

— Brać tę kamerę! — wrzasnął jeden z nich, a pozostali zawrócili z dudniącym rykiem. Światła omiotły fasady budynków. Kamerzysta zaczął uciekać, biegnąc tyłem, wciąż filmując. Ktoś zamachnął się pałą, a wtedy operator padł na ulicę, przetoczył się i jęknął, gdy kamera upadła na chodnik ze strzaskaną soczewką.

Jeden z dzokerów wytoczył się z zaułka, najwyraźniej oszołomiony. Przyciskał do skroni zakrwawioną chustkę, choć szrama sięgała aż do szyi, a krew przesiąkała kołnierz koszuli. Nietrudno było się domyślić, jak policja zdołała go schwytać — ręce i nogi miał złożone pod niewłaściwym kątem, jakby przyklejone do torsu przez pijanego rzeźbiarza. Mężczyzna kulał i zataczał się, kończyny wyginały się w tył i na boki. Minęło go trzech policjantów.

— Potrzebuję lekarza — powiedział dzoker.

Gdy nie zwrócili na niego uwagi, chwycił jednego z nich za rękaw.

— Hej! — zawołał. Policjant odpiął od paska gaz łzawiący i prysnął nim prosto w twarz rannego.

Sondra zatchnęła się z przerażenia i wycofała się w głąb uliczki. Gdy policjanci wciąż podążali w jej stronę, uciekła.

Przez całą noc w Dżokerowie szalały walki. Niekończąca się bitwa pomiędzy władzami a mieszkańcami. Był to festiwal zniszczenia, celebrowanie przemocy. Do rana nikt nie zasnął. Zamaskowani dzokerzy napadali na przejeżdżające radiowozy, odwracając niektóre z nich do góry nogami, podpalali samochody, oświetlając skrzyżowania. Wznosząca się na nabrzeżu klinika Tachiona wyglądała jak obłączony zamek, otoczony przez uzbrojonych strażników, a wśród nich — charakterystyczna sylwetka samego doktora, biegającego w tę i z powrotem, próbującego przywrócić coś w rodzaju porządku. Wraz z kilkoma zaufanymi towarzyszami co jakiś czas organizował wypad na ulice, by zabrać stamtąd rannych, zarówno dzokerów, jak i policjantów.

Dżokerowo zaczęło się rozpadać, konało w ogniu i krwi. Opary gazu łzawiącego snuły się po ulicach, gryzące i ostre. Przed północą wydano Gwardii Narodowej ostrą amunicję. Biuro SKAZA wezwało asów współpracujących z rządem do pomocy w opanowaniu sytuacji.

Wielki i Potężny Żółt unosił się nad uliczkami niczym wojenna machina z *Wojny Światów* George'a Pala, rozdzielając walczących. Podobnie jak wielu innych asów, Żółt nie trzymał niczyjej strony, jedynie wykorzystywał swe moce, by zaprowadzić spokój, nie krzywdząc dzokerów ani policji. Przed kliniką Tachiona (przed pierwszą w nocy wszystkie sale się zapęłniły, a lekarze zaczęli kłaść rannych na korytarzach) Żółt podniósł płonący wrak mustanga i cisnął go do East River niczym płonący meteor, ciągnący za sobą ogon iskier i dymu. Krążył ulicami, popychając przed sobą buntowników i gwardzistów, jakby prowadził niewidzialny pług.

Na Trzeciej Ulicy gwardziści rozpięli na jeepach drucianą siatkę i przymocowali z przodu duże ramy z drutu kolczastego. W ten sposób spychano dzokerów z głównej alei w boczne zaułki. Od płonących pocisków rzuconych z ukrycia zapaliły się baki z benzyną, a wtedy gwardziści rzucili się do ucieczki, gasząc na sobie dymiące mundury. Szczęknięły karabiny.

Nieopodal Chatham Square zgiełk zamieszek stęzał, wzrósł, aż pękały bębunki. Wyjec, jak zawsze ubrany na żółto, wędrował ulicami, otwierając usta i powtarzając wszystkie odgłosy, zwielokrotniając je i wzmacniając. Gdziekolwiek przeszedł, dzokerzy zatykali uszy rękami, uciekając od nieznośnego hałasu. Szyby pękały w oknach, gdy wszedł na wyższą częstotliwość, mury drżały, gdy szlochał basem.

— PRZESTAŃCIE! — grzmiał. — DO ŚRODKA! WSZYSCY!

Czarny Cień, który zaledwie przed kilkoma miesiącami ujawnił się jako as, szybko pokazał, czyją stronę trzyma w tym sporze. Przez jakiś czas obserwował w milczeniu starcia na Pitt Street, gdzie grupka znękanych dzokerów rzucała butelkami i śmieciami w armatkę wodną i oddział gwardzistów z bagnietami na karabinach. Cień w końcu wmieszał się do walki. Na ulicy zapadła ciemność, światło zgasło w odległości jakichś sześciu metrów wokół asa w charakterystycznym granatowym kostiumie i pomarańczowo-czerwonej masce. Nieprzenikniona noc trwała może dziesięć minut. Ze środka rozległy się krzyki, dzokerzy umknęli. Gdy mrok się wycofał, a światła latarń znów odbiły się od mokrego chodnika, można było dostrzec leżących na ulicy gwardzistów. Woda z armatki lała się strumieniem do rynsztoka.

Sondra obserwowała tę konfrontację z okna mieszkania. Erupcja przemocy przerażała ją śmiertelnie. Dla uspokojenia odkręciła butelkę jacka danielsa i wlała sobie długi łyk prosto do gardła. Z trudem chwyciła powietrze, otarła usta dłonią. Wszystkie mięśnie zaprotestowały. Artretyczne ręce i nogi porażały bólem przy każdym ruchu. Położyła się na łóżku, ale nie mogła zasnąć — z okna wciąż dolatywały odgłosy walk. Czuła też dym z ognisk, widziała blask drżących płomieni na ścianie. Bała się, że lada chwila będzie musiała opuścić budynek i zastanawiała się, co zabrać.

Ktoś lekko zapukał do drzwi. Z początku nie była pewna, czy rzeczywiście coś słyszy. Pukanie powtórzyło się, ciche, ale natarczywe. Z jękiem wstała na nogi.

Gdy tylko podeszła do drzwi, od razu zrozumiała, kto stoi po drugiej stronie. Jej ciało z miejsca zareagowało. Sukub wiedział.

— Nie — szepnęła bezgłośnie. — Nie, byle tylko nie teraz.

Znów zastukał.

— Sukubie? — spytał gorączkowo. Żądza ciągnęła ją coraz bardziej, a Sondra wciąż nie mogła zrozumieć, skąd ta wizyta. *Dlaczego teraz? Tutaj? Boże, nie mogę mu się tak pokazać!*

— Chwileczkę! — zawołała, po czym opuściła bariery więżące Sukuba. Jej ciało zaczęło się zmieniać, poczuła, jak skłębiona żądza mężczyzny rozpala jej własną. Zdjęła z siebie ubranie Sondry i rzuciła w kąt. Potem otworzyła drzwi.

Twarz Gregga zasłaniała groteskowa maska clowna. Spoglądała na Sondrę z obleśnym uśmiechem, gdy senator odsunął ją na bok i wszedł do mieszkania. Bez słowa rozpiął spodnie i wyjął zeszywniałego członka. Nie zwracał sobie głowy zdejmowaniem reszty ubrania. Nie było żadnej gry wstępnej. Popchnął kobietę na drewnianą podłogę i wszedł w nią, zdyszany, a Sukub wiła się pod nim z równym entuzjazmem, zezwalając na ten bezwzględny gwałt. Mężczyzna był brutalny — palce wbijały się w jej małe, sterczące piersi, paznokcie wydzierały w skórze krwawiące półksiężyce.

Ścisnął jej sutek pomiędzy palcami, aż krzyknęła z bólu. Dziś wieczorem pożądał od niej bólu, chciał, by płakała i krzyczała, a jednak pozostała chętną ofiarą. Gdy uniosła ręce, by się osłonić, uderzył ją w twarz, aż z nosa poleciała krew, a potem wykręcił jej nadgarstek.

Gdy wreszcie skończył, stanął nad nią, wciąż skryty za roześmianą twarzą clowna. Widziała

tylko jego oczy, lśniące w wyciętych otworach.

— Musiało tak być — powiedział tylko. W jego głosie nie było ani śladu przeprosin. Sukub skinęła głową, wiedziała o tym i zaakceptowała to. Sondra szlochała w środku.

Hartmann zapiął spodnie. Koszulę miał poplamioną krwią i innymi płynami.

— Rozumiesz, co mówię? — spytał. Głos jak zwykle miał łagodny, spokojny, jakby błagał słuchacza o zrozumienie. — Ty jedna akceptujesz mnie bezwarunkowo. Nie obchodzi cię, że jestem senatorem. Przy tobie nie muszę... — Przerwał i otrzepał garnitur. — Kochasz mnie. Czuję to. Troszczysz się o mnie, a ja wcale nie muszę o to zabiegać... Chciałbym... — Wzruszył ramionami. — Jesteś mi potrzebna.

Może to dlatego, że nie widziała jego twarzy. Może dlatego, że był brutalny, choć wcześniej bywał delikatny. W tej jednej chwili zmysł empatii Sukuba wdarł się w niego głębiej niż zwykle. Leżąc na podłodze, przez moment poczuła jego myśli, a wtedy zadrżała pomimo straszliwego upału. Senator myślał o zamieszkach, a w jego umyśle nie było przerażenia ani odrazy, jedynie promieniujące zadowolenie, satysfakcja z dobrze wykonanej pracy. Spojrzała na niego zaskoczona.

To on. Od początku nas wykorzystywał, a nie odwrotnie.

Gregg odwrócił się jeszcze w drzwiach i dodał:

— Sukubie, naprawdę cię kocham. Nie sądzę, byś to rozumiała, ale to prawda. Proszę, uwierz. Potrzebuję cię bardziej niż wszystkich innych.

Oczy wciąż błyszczały zza maski. Sondra rozumiała, że mężczyzna płacze.

Przy wszystkich tych dziwnych rzeczach, które dzisiaj widziała, wcale jej to nie zaskoczyło.



Lalkarz zrozumiał, że gwarantem jego bezpieczeństwa jest anonimowość, złudzenie niewinności. Żadna z jego lalek nie wiedziała nawet, że ich dotknął, nie była w stanie opowiedzieć innym, co się działo w ich umysłach. Po prostu któregoś dnia... łamali się pod presją. Lalkarz pozwalał im działać, kierując się własnymi uczuciami. Zawsze istniało mnóstwo motywów dla popełnianych przez nich zbrodni. Jeśli ktoś ich przyłapie — nie szkodzi.

W 1961 roku ukończył prawo na Harvardzie i dołączył do znanej nowojorskiej firmy prawniczej. Po pięciu latach, mając za sobą udaną karierę adwokata, przeszedł do polityki. W 1965 roku wybrano go radnym Nowego Jorku. W latach 1968-1972 był burmistrzem. W roku 1972 został senatorem.

W 1976 roku dostrzegł szansę, by kandydować na prezydenta. Kiedyś zakładał, że zrobi to dopiero w latach osiemdziesiątych, ale z okazji dwusetlecia państwa zjazd partii demokratycznej zaplanowano w Nowym Jorku. Lalkarz dostrzegł swoją szansę.

Położył fundamenty.

Wielokrotnie popijał z głębokiej czary gorzycy w duszy Toma Millera.

Nadszedł czas, by wypić do dna.

DŹOKEROWO PŁONIE, 15 OFIAR

„New York Times”, 19 lipca 1976 r.

Poranne słońce zasnuwał ciemny dym. Miasto smażyło się w nieubłaganym upale, jeszcze

gorszym niż poprzedniego dnia. Walki nie zakończyły się w nocy. Ulice Dżokerowa były zrujnowane, zasypane śmieciami i gruzem pozostałym po nocnych starciach. Buntownicy toczyli wojnę podjazdową z policją i Gwardią Narodową, przeszkadzając w patrolowaniu, wywracając samochody na skrzyżowaniach, paląc ognie, obrzucając władze wyzwiskami z okien. Dzielnice otaczał pierścień radiowozów, jeepów i wozów strażackich. Co kilka metrów na Drugiej Alei stali gwardziści w pełnym uzbrojeniu, reszta obstawiała Park Roosevelta, gdzie znów zbierali się dżokerzy. W tłumie rozbrzmiewał głos Gimlego, wygłaszający tyrady, przekonujący demonstrantów, że dziś pomaszerują bez względu na konsekwencje. W pobliżu wiecu zjawili się wszyscy kandydaci demokratów, by dać się sfotografować z surowymi, zatroskanymi minami, patrząc na spalony szkielet budynku albo rozmawiając z niezbyt zdeformowanym dżokerem. Kennedy, Carter, Udall, Jackson — pokazali się tu wszyscy po kolei, a potem wrócili do Garden, gdzie delegaci przeprowadzili dwie rundy głosowania, wciąż nie uzyskując wyników. Jedynie Hartmann przybył i został nieopodal Dżokerowa, rozmawiając z dziennikarzami i bez skutku próbując zaprosić Millera do negocjacji.

W południe, gdy temperatura doszła do czterdziestu stopni, a wiatr znad East River przyniósł zapach spalenizny, dżokerzy wkroczyli do miasta.

Gregg jeszcze nigdy nie kontrolował tyłu lalek naraz. Jednak kluczową postacią wciąż był Gimli — czuł jego rozwścieconą obecność jakies dwieście kroków w głębi tłumy wylewającego się na Grand. W tym zamieszaniu sam Miller nie wystarczyłby, żeby zawrócić wszystkich w odpowiedniej chwili. Senator dopilnował, by w ciągu ostatnich tygodni za każdym razem uściśnąć dłonie przywódców DSS. Zawsze wykorzystywał ten kontakt, by wkroczyć w ich umysły i otworzyć ścieżki pozwalające mu na zdalny dostęp. Tłum był jak każde stado zwierząt — wystarczy opanować przywódców, by reszta ruszyła ich śladem. Gregg kontrolował większość z nich: Gargantuę, Fistaszka, Cwaniaka, Pilnika i jeszcze dwudziestu innych. Killkoro mniej ważnych, w rodzaju Sondry Falin, po prostu zignorował. Staruszka przypominała czyjaś zasuszoną babcię i wątpił, by w pojedynkę zdołała zawrócić tłum. Większość kukiełek już teraz się bała — łatwo byłoby to wykorzystać, rozbudować ten lęk, aż w końcu wszyscy zawrócą i uciekną. Większość demonstrantów była rozsądnymi ludźmi i wcale nie pragnęła brutalnej konfrontacji. Zostali do tego popchnięci — była to oczywiście robota Hartmanna. Teraz zamierzał to odwrócić i tym samym wybić się na prowadzenie. Większość delegatów w tym momencie odwracała się od Kennedy'ego i Cartera. Teraz, po pierwszym głosowaniu, w ostatniej turze mogli rzucić głos, na kogo chcieli. Gregg uśmiechnął się, mimo że wszystkie kamery zwrócone były na niego — nocne zamieszki dostarczyły mu rozkoszy, o jakiej wcześniej nie marzył. Cała ta fala namiętności prawie go przytłoczyła; dziwny stop różnych porywów i pragnień.

Szereg gwardzistów zaczął się przesuwać, gotując się do starcia z nadchodzącymi dżokerami. Pochód rozciągał się na całą Chrystie. Demonstranci wykrzykiwali slogany, machali transparentami. Z głośników dolatywały rozkazy i przekleństwa. Gregg słyszał szyderstwa dżokerów, gdy gwardziści ufurmowali rząd bagnetów. Na skrzyżowaniu z Delancey unosiła się skorupa Żółwia — przynajmniej tam odparto demonstrantów bez walki. Na południu, nieopodal głównej bramy, gdzie stał Hartmann, nie było już tak łatwo.

Dżokerzy nadeszli, pchając się i tratując. Idący z tyłu popychali tych na przedzie, którzy w przeciwnym razie może zawróciliby do parku. Gwardziści musieli podjąć decyzję — użyć bagnetów albo stworzyć łańcuch rąk. Wybrali to drugie. Przez chwilę zdawało się, że osiągnięto

równowagę, potem szeregi gwardzistów zaczęły się z wolna wyginać. Z okrzykiem triumfu dzokerzy przerwali szereg i dotarli na ulicę. Reszta podążyła za nimi. Znów wywiązało się starcie w biegu, zdezorientowane, chaotyczne. Hartmann westchnął. Zamknął oczy, skupiając się na sygnałach dochodzących od kukiełek. Gdyby chciał, mógłby się w nich zatracić, zanurkować w tym morzu emocji i jeść do syta.

Ale nie mógł czekać tak długo. Musiał ruszać, póki wciąż istniał jakiś konflikt. Gestem ponaglił gwardzistów i ruszył w kierunku bramy, do miejsca, gdzie wyczuwał obecność Gimlego.



Sondra szła wraz z resztą kadry DSS. Przechodząc przez główną bramę, próbowała opowiedzieć Gimlemu o dziwnej aurze Hartmanna.

— Uważał, że to on nad tym panuje. Przysięgam!

— Aha, podobnie jak każdy inny polityk, staruszek. A poza tym myślałem, że facet ci się podoba.

— Tak, ale...

— Czemu właściwie tu przysłaś?

— Bo jestem dzokerką. Bo DSS to również moja organizacja, nawet jeśli nie zgadzam się z twoją decyzją.

— To zamknij się, do cholery. Mam teraz dużo na głowie.

Karzeł spiorunował ją wzrokiem i odszedł. Szli powolnym, pogrzebowym krokiem w stronę czekających gwardzistów. Sondra widziała ich zza pleców demonstrantów. Potem zniknęli, gdy pochód ścisnął się, by przejść przez bramę, kuśtykając, kulejąc, podskakując, radząc sobie, jak tylko mogli. Wielu z nich obnosiło obrażenia z poprzedniego dnia — głowy owinięte bandażem, ręce na temblakach; pokazywali je gwardzistom, jakby to były medale. Czoło pochodu zatrzymało się gwałtownie, gdy trafili na szereg gwardzistów. Ktoś z tyłu pchnął Sondrę, aż prawie upadła. Chwyciła się osoby idącej z przodu i poczuła pod palcami twardą, łuskowatą skórę. Krzyknęła z bólu, gdy tłum zaczął ją miażdżyć. Odpychała ludzi wåtłymi rękami, mięśnie pracowały z wysiłkiem w luźnych fałdach skóry. Myślała już, że upadnie, gdy nagle napięcie zniknęło. Zatoczyła się. Spojrzała w słońce i oślepiona zacisnęła powieki. Za chwilę zobaczyła wzniesione pięści, ciosy, którym towarzyszyły okrzyki. Zaczęła się wycofywać, by uniknąć walki. Ktoś ją popchnął, a gdy odpowiedziała pchnięciem, uderzono ją pałką w głowę.

Krzyknęła. Sukub krzyknął.

Świat rozplynął się w kolorowym wirze. Nie mogła myśleć. Przycisnęła ręce do krwawiącej rany, ale własne ręce wydały jej się dziwne. Mrugając powiekami, by pozbyć się krwi spływającej do oczu, spróbowała na nie spojrzeć. Ręce były młode, a gdy spoglądała na nie w oszołomieniu, poczuła też przyływ innych żądz.

Nie! Wracaj do środka, niech cię szlag! Nie tutaj, na ulicy! Ludzie patrz! Desperacko próbowała kontrolować Sukuba, ale dzwoniło jej w głowie i nie potrafiła zebrać myśli. Czuła się, jakby całe ciało miała rozdarte. Sukub dotykała sąsiednich umysłów i zmieniała postać, przybierając kształt ich erotycznych fantazji. Najpierw była kobietą, potem mężczyzną, była stara i znów młoda, chuda i gruba. Sukub zawodził w oszołomieniu. Sondra biegła, zmieniając kształt z każdym krokiem, odpychając dłonie, które wyciągały się do niej w przyływie

pożądania. Sukub odpowiadała w jedyny znany sobie sposób — chwyciła nici pożądania i zmieniała je w namiętność. Coraz większy krąg dzokerów i gwardzistów ruszył jej śladem, pchani rozpaloną żądzą. Sukub wyczuwała też je i instynktownie zmierzała w stronę Gregga. Nie wiedziała, co mogłaby jeszcze zrobić. On nad tym panował, dowiedziała się tego wczorajszej nocy. Mógł ją ocalić. Kochał ją — przecież sam tak powiedział.



Kamery śledziły marsz senatora Hartmanna w kierunku bramy, gdzie zaczęły się pierwsze starcia. Gdy jeden z ochroniarzy próbował go zatrzymać, mężczyzna odtrącił ich ręce, mrucząc:

— Och, na litość boską, ktoś musi chociaż spróbować.

— Niezłe — stwierdził jeden z dziennikarzy.

Hartmann szedł dalej. Ochroniarze spojrzeli po sobie i wzruszyli ramionami.

Gregg czuł obecność swoich kukiełek nieopodal bramy. Żółw powstrzymywał demonstrantów po przeciwnej stronie parku — Gregg rozumiał, że to jego najlepsza szansa. Jeśli teraz zdoła zawrócić Gimlego i pozostałych, to powstrzyma cały pochód. Jeśli zamieszki znów potrwać przez całą noc — nieistotne, najważniejsze, by on zdołał zademonstrować swą skuteczność w kryzysowej sytuacji. Następnego ranka wszystkie gazety opiszą tę konfrontację, a wszystkie stacje telewizyjne wymienią jego nazwisko. To wystarczy, by otrzymać nominację i wkroczyć z rozpędem we właściwą kampanię. Nieważne, kogo wybiorą republikanie: Forda czy Reagana.

Z ponurą miną ruszył w stronę centrum tych zawirowań.

— Miller! — zawołał, wiedząc, że karzeł go słyszy. — To ja, Hartmann!

Krzycząc, jednocześnie pociągnął umysł Millera i zgasił jego rozżarzoną wściekłość, zalewając ją spokojnym błękitem. Poczuł nagły spokój, odrazę na widok otaczającej tłuszczy. Znowu wykreślił umysł, dotykając ośrodka lęku i podgrzewając go do białości.

Wszystko wyrwało się spod kontroli — szepnął. *Przegrałeś i nie masz szans, jeśli nie posłuchasz senatora. Posłuchaj, woła cię. Wykaż rozsądek.*

— Miller! — zawołał znów Gregg. Poczuł, że karzeł się odwraca, i odepchnął stojących z przodu gwardzistów, by go zobaczyć.

Gimli stał po lewej. Ale jeszcze nim skończył go wołać, zobaczył, że zainteresowanie tłumu kieruje się ku czemuś nieopodal bramy. Zobaczył ją, jak biegnie, ścigana przez tłum dzokerów i gwardzistów.

Sukub.

Jej postać była rozchwiana, setki twarzy i ciał migotały w niej wszystkie naraz. W tej samej chwili zobaczyła Gregga. Wykrzyknęła jego imię i pobiegła z wyciągniętymi rękami.

— Sukubie! — krzyknął. Zaczął odpychać gwardzistów.

Ktoś chwycił ją z tyłu. Wymknęła się, ale zwołniała na tyle, że dopadli ją pozostali. Padła na ziemię z przeciągłym okrzykiem. Gregg stracił ją z oczu. Otaczały ją już dziesiątki ciał, przepychając się i bijąc, byle tylko znaleźć się bliżej niej. Usłyszał groteskowy trzask łamanych kości.

— Nie! — wykrzyknął i sam rzucił się biegiem, zapominając o Gimlim, o pochodzie. Wyczuwał już jej obecność, nic jej pożądania.

Leżeli na niej — wyjął, skłębiona masa, bijąc ją, rozdierając, próbując znaleźć ulgę. Byli

jak larwy wijące się na kawałku mięsa; twarze ściągnięte, ręce zwinięte w szpony, drgające ciała. Gdzieś spod skłębionej masy trysnęła krew. Sukub krzyknęła — rozdzierający, śmiertelny krzyk, który nagle ucichł.

Poczuł, jak umiera.

Otoczający ją ludzie zaczęli się cofać z przerażonymi minami. Gregg zobaczył na ziemi skuloną sylwetkę leżącą w kałuży krwi. Jedno ramię wyrwano ze stawu, nogi były zgięte pod dziwnym kątem. Gregg tego nie widział: w twarzy zmarłej zobaczył odbicie Andrei Whitman.

Wypełnił go szal, jego siła zmiotła wszystko na drodze. Nie widział już niczego — ani kamer, ani ochroniarzy, ani dziennikarzy. Widział tylko ją.

Była jego. Była jego, mimo iż nie zrobił z niej pacynki, a teraz mu ją zabrano. Zadrwili z niego, tak jak Andrea zadrwiła z niego wiele lat temu, jak wielu z tych, którzy także zginęli. Kochał ją tak bardzo, jak nie potrafił kochać nikogo innego. Gregg chwycił za ramię mężczyznę stojącego nad ciałem, z członkiem wciąż zwisającym z rozpiętego rozporka. Senator odwrócił go szarpnięciem.

— Ty dupku! — wrzasnął, uderzając mężczyznę w twarz. — Ty pierdolony dupku!

Wściekłość wylała się z niego niekontrolowaną falą, popłynęła do jego kukiełek. Pierwszy zareagował Gimli, równie charyzmatyczny co zawsze.

— Widzicie? Widzicie, jak nas mordują?

Dżokerzy podjęli ten okrzyk i zaatakowali. Gwardziści Hartmanna cofnęli się z obawą, widząc kolejne ataki, i odciągnęli senatora z miejsca zagrożenia. Mężczyzna opierał się, szarpał i przeklinał, ale tym razem byli nieubłagani. Wepchnęli go do samochodu i odwieźli do hotelu.

HARTMANN ROZJUSZONY ZABÓJSTWEM
ATAKUJE DEMONSTRANTÓW
CARTER WYTYPOWANY ZWYCIĘZCĄ

„New York Times”, 20 lipca 1976 r.

HARTMANN TRACI GŁOWĘ
„CZASEM TRZEBA SIĘ BRONIĆ”, MÓWI

„New York Daily News”, 20 lipca 1976 r.

Uratował z tej sytuacji, co tylko się dało. Powiedział dziennikarzom, że stracił nad sobą panowanie, widząc bezsensowną śmierć tej biednej kobiety. Wzruszył ramionami, uśmiechnął się smutno i spytał, czy oni na jego miejscu nie byliby poruszeni.

Gdy w końcu go puścili, wycofał się do pokoju. Tam w samotności obejrzał, jak zjazd wybiera Cartera na swojego kandydata. Powiedział sobie, że nic nie szkodzi. Następnym razem nadejdzie jego kolej. Lalkarz wciąż pozostawał w ukryciu. Nikt nie znał jego tajemnicy.

W jego umyśle Lalkarz uniosł rękę i rozłożył palce. Sznurki się napięły, kukiełki uniosły głowy. Lalkarz poczuł ich emocje, smakując namiętności.

Ale tej nocy uczta miała smak goryczy i rozczarowania.



Interludium 5

za: *Trzydzieści pięć lat dzikiej karty. Retrospektywa*,
magazyn „Asy!”, 15 września 1981 r.

Nie mogę umrzeć. Jeszcze nie widziałem *Jolsona*.

— Robert Tomlin

Są obrzydliwością w oczach Pana, noszą na twarzach znamię Bestii, a liczba ich sześć setek i sześćdziesiąt sześć.

— anonimowa broszura antydzokerska, 1946 r.

Nie nazywają tego dyskryminacją, nazywają to kwarantanną. Twierdzą, że nie jesteśmy jedną rasą, nie jesteśmy wspólnotą religijną, jesteśmy zarażeni, a zatem należy oddzielać nas od społeczeństwa, choć dobrze wiedzą, że nasza przypadłość nie jest zaraźliwa. My cierpimy na chorobę ciała, a oni — na zwyrodnienie duszy.

— Xavier Desmond

Niech sobie mówią, co chcą. Nadal mogę latać.

— Earl Sanderson Junior

Czy to moja wina, że wszyscy mnie lubią, a nikt nie lubi pana?

— David Harstein (do Richarda Nixona)

Lubię smak dzokerskiej krwi.

— graffiti na stacji metra w Nowym Jorku

Nieważne, jak wyglądają, wszyscy krwawią na czerwono... w każdym razie większość z nich.

— podpułkownik John Garrick, Brygada Dzokerów

Jeśli ja jestem asem, to nie chciałbym zobaczyć dwójki.

— Timothy Wiggins

Pytacie, czy jestem asem, czy dzokerem? Odpowiedź brzmi: tak.

— Żółw

*Jestem dzoker, obłąkany,
Moje imię? Zapomniane.
Skulony w zaułkach,
Wyczekując nocy.
Jestem wężem, co podgryza
korzenie tego świata.*

— Thomas Marion Douglas, *Serpent Time*

Bardzo się cieszę, że w końcu otrzymałem Maleńką z powrotem, jednak nie zamierzam opuścić Ziemi. Ta planeta jest teraz moim domem, a ludzie dotknięci działaniem dzikiej karty są moimi dziećmi.

— doktor Tachion, o zwrocie swego statku

To pomniejsze demony, dzieci Wielkiego Szatana — Ameryki.

— ajatollah Chomeini

Patrząc z perspektywy czasu, decyzja o wykorzystaniu asów do odbicia zakładników prawdopodobnie była błędem i biorę całkowitą odpowiedzialność za fiasko tej misji.

— prezydent Jimmy Carter

Myśl jak as, a wygrasz partię. Myśl jak dzoker, a staniesz się błaznem.

— *Myśl jak as!* (Ballantine, 1981)

Członkowie naszego stowarzyszenia wyrażają głębokie zaniepokojenie nadmiernym eksponowaniem asów i ich dokonań w mediach. Asowie stanowią bardzo szkodliwy wzorzec — co roku tysiące dzieci ginie lub ulega wypadkom, próbując naśladować ich nienaturalne zdolności.

— Naomi Weathers, Liga Amerykańskich Rodziców

Nawet ich dzieci chcą być takie jak my. Nadeszły lata osiemdziesiąte — nowa dekada, a my jesteśmy jej symbolem. Potrafimy latać i nie potrzebujemy do tego żadnego złomu jak ten natol Śmig. Natole jeszcze o tym nie wiedzą, ale powoli odchodzą do lamusa. Nadszedł czas asów.

— anonimowy list do redakcji „Krzyk Dżokerowa”,

1 stycznia 1981 r.



Zjawa nawiedza Manhattan

CARRIE VAUGHN

Jennifer nie miała pojęcia, dokąd zabiera ją Tricia, póki przyjaciółka nie wywlekła jej z metra na peron stacji przy Drugiej Alei — Lower East Side. Przez ostatnie cztery stacje niepokoiła się coraz bardziej. Minęły Midtown i Park Waszyngtona, i wszystkie miejsca, w których mogłyby mieć coś do roboty, a Tricia tylko powtarzała:

— Nie, nie, ciągle tam chodzimy. Chcę spróbować czegoś nowego. Zobaczysz, będzie fajnie!

— Trish, zwariowałaś? Co my tu robimy? — Jennifer czepiała się oburącz przyjaciółki, próbując zatrzymać jej nieustępliwy pęd w stronę wykafelkowanego korytarza i schodów prowadzących na Houston Street. Rozejrzała się, przysuwając bliżej Tricii. Jeszcze nigdy nie widziała tylu dzokerów naraz. Ponad połowa ludzi na peronie była zdeformowana. Widywała ich oczywiście wcześniej, w końcu nie da się mieszkać w Nowym Jorku i nie zobaczyć dzokerów, nawet jeśli mieszka się tak daleko od kampusu uniwersyteckiego. Przez większość czasu regularnie widywała tylko jednego czy dwóch, a ich deformacje były niewielkie — pióra zamiast włosów czy królicze uszy. Ale tutaj? Cała masa ciał, zniszczonych, transformowanych, zohydzonych. Jakiś mężczyzna minął ją szybko, zostawiając na betonie wstęgę śluzu. Próbowwała się nie gapić.

Tricia wciągnęła ją po schodach na ulicę, gdzie chaos jeszcze przybrał na sile.

— Chodź, Fads grają dziś koncert w „CBGB”. Mam wielką ochotę ich zobaczyć, a gdybym ci powiedziała wcześniej, to byś tu nie przyszła, mam rację? Nadęłabyś się tylko... O, tak jak teraz.

— Wcale się nie nadymam — odparła Jennifer, próbując opanować zde gustowaną minę. W życiu nie słyszała o zespole Fads.

— No, chodź. Poużywaj życia. Nic się nie stanie.

Jennifer powlokła się za nią posłusznie — wciąż idąc na tyle blisko, że stykały się ramionami.

— Moi rodzice wpadliby w szal, gdyby dowiedzieli się, że choćby na krok zbliżyłam się do Dżokerowa.

— To im nie mów. Przecież nie mówisz im wszystkiego, prawda?

— Nie.

To prawda. Jennifer miała jedną tajemnicę, którą ukrywała przed absolutnie wszystkimi, nawet Tricią. Nie mogła się teraz przyznać, że trzymała się z dala od tej części miasta właśnie dlatego, że tak bardzo obawiała się tej chwili. Przeczuwała, że któregoś dnia ktoś na nią spojrzy i po prostu będzie *wiedział*.

Zwłaszcza w Dżokerowie. Ich mutacje nie ograniczały się do fizycznych okaleczeń, niektórzy z nich mieli nadprzyrodzone moce. Któryś z nich na pewno potrafiłby odczytać jej myśli. Nie wiedziała, co się wtedy stanie — nigdy nie wybiegała myślą aż tak daleko. Lepiej po prostu się nie zastanawiać.

Gdyby nie nalegania przyjaciółki, Jennifer nigdy nie zwiedziłaby miasta. Musiała przyznać, że zwykle świetnie się przy tym bawiły.

Zmiękczone naleganiami Tricii i ufając, że przyjaciółka nie zrobi nic, czego mogłyby za bardzo żałować, ubrała się na wielkie wyjście: czarna minisukienka, odsłaniająca ramiona, sandały na wysokich obcasach i mocno utapirowana fryzura. Tricia włożyła króciutkie szorty w lamparcie cętki, luźną tunikę ze złotym paskiem i pantofle na jeszcze wyższym obcasie.

— To tutaj. O, tutaj! — zawołała, ciągnąc Jennifer za rękę.

Sądząc po reakcjach Tricii, spodziewała się czegoś bardziej błyszczącego, w rodzaju „Studia 54”, ale nawet gdyby była sama, pewnie przeszłaby obok wejścia, nie zwracając na nie uwagi. Nic nadzwyczajnego, tylko pokryta graffiti witryna z niewielkim daszkiem, obok magazynu spożywczego. Nie miała nawet markizy. Jednak przed wejściem stał już spory tłum, dzieląc kawałek chodnika z kilkoma bezdomnymi dzokerami opartymi o ściany.

Tricia prowadziła. Razem zaczęły przepychać się pomiędzy ludźmi, zmierzając do wejścia. W tłumie dostrzegła naturali i dzokerów, może było tu nawet kilku asów, ale kto mógł to wiedzieć na pewno? Jennifer nie zamierzała się do niczego przyznawać.

Bramkarz przy drzwiach pobierał piątaka za wejście. Jennifer sięgnęła do torebki w poszukiwaniu pieniędzy, gdy poczuła, że Tricia znów szarpie ją za ramię.

— Masz jeszcze piątkę? Nie mogę znaleźć portfela — poprosiła i spojrzała błagalnie.

Jennifer westchnęła i podała jej banknot. Tyle jeśli chodzi o taksówkę do domu. Ale była pewna, że uda im się coś wymyślić. Zawsze tak było.

W środku klub był jasno oświetlony, ściany pomalowane na czarno, oklejone nalepkami i porysowane sprayem. Pod jedną z nich ciągnął się bar, obok którego znajdowały się drzwi na zaplecze, a w kącie umieszczono scenę. Grał na niej jakiś zespół — na ścianie ponad głowami muzyków umieszczono plakat z napisem SONIC YOUTH. Byli bardzo młodzi, a na gitarze grała kobieta z wielką grzywą jasnych włosów. Wszyscy nosili maski i mogli być punkami albo dzokerami, albo jednym i drugim. Jennifer uznała, że jeśli nie podejdzie bliżej, prawdopodobnie się tego nie dowie.

Muzyka była głośna, właściwie nie nadawała się do tańczenia i rzeczywiście prawie nikt nie tańczył. Jednak tłum nieustannie się poruszał. Przy scenie tłoczyła się cała grupa, skacząc, wpadając na siebie, wyciągając ręce w stronę sceny. Gitarzystka śpiewała, wykrzykiwała słowa piosenki ledwie dosłyszalne w całym tym zgiełku, wśród ryku gitar i łomotu bębnów. Krople potu spływały jej z włosów i fruwały w powietrzu. Od wszystkich tych lamp biło potworne gorąco.

Tricia pisnęła i podskoczyła w miejscu.

— Czy to nie... — zaczęła, ale reszta zdania utonęła w zgiełku.

— Co?! — odkrzyknęła Jennifer.

— Hej! — zawołał jakiś chłopak, wysoki, chudy, ciemnowłosy, w koszulce z wyblakłym napisem THE RAMONES, i odwrócił się do nich. — Mogę kupić wam coś do picia?

Tricia przytaknęła entuzjastycznie i wzięła go pod ramię. Przyjaciółka przewróciła oczami.

Przed wejściem do klubu stało paru facetów z irokezami, Jennifer obawiała się więc, że zastanie tu tłum groźnych punków w wojskowych kurtkach, glanach i posprejowanych koszulkach. Spodziewała się łańcuchów i bójek pod sceną. Tutaj było inaczej. W tłumie dostrzegła kilku prawdziwych punków, ale wiele osób przypominało raczej skrzyżowanie

punków z normalnymi imprezowiczami, nosili podarte dżinsy i czarne koszulki. Stali z ponurymi minami, ale nie mieli dziwacznych fryzur, metalowych ozdób ani naszywek ze sloganami. Wiele dziewczyn ubrało się podobnie jak faceci, ale niektóre wystroiły się równie starannie jak Tricia i Jennifer. Kunsztowne fryzury, utapirowane i utrwalone lakierem, aż utworzyły bujną aureolę, kolorowe spódniczki i kolorowe rajstopy, wysokie obcasy i wielkie kolczyki, różowa szminka i jaskrawe cienie na powiekach. W kącie tuż pod sceną stała absolutnie przepiękna para. Oboje mieli nienaganne fryzury, obcięte i wystylizowane jak modele w kolorowym piśmie. Mężczyzna był ubrany w kosztowny biały garnitur, a kobieta nałożyła obcisłą, czarną koktajlową suknię i srebrną biżuterię. Paliła papierosa w fifce. Bardzo ostentacyjny strój, ale też intrygujący. Poza tym Jennifer zauważyła sporo zwyczajnych klubowiczów, na oko studentów, toczących wokół szklanym wzrokiem, szukając następnego źródła towaru. Wcześniej obawiała się, że będzie się wyróżniać, że pozostali natychmiast zobaczą, jak bardzo tu nie pasuje, i będą się z niej nabijać. Ale najwyraźniej ani się nie wyróżniała, ani nikt jej nie zaczepiał.

Mniej więcej jedną trzecią gości stanowili dżokerzy, ale z początku ledwie to zauważyła. Oni także się nie wyróżniali. Niektórzy nosili maski, ale równie dobrze mogli to być przebrani naturale. Nie potrafiła orzec. W sumie nie miało to znaczenia.

Przy końcu baru dostrzegła kolejną parę. Przypominali resztę gości bawiących się na parkiecie, oboje w dżinsach i koszulkach, niepozorni i bezpretensjonalni, tylko że o dziesięć lat starsi od większości uczestników. Jennifer aż chwyciła powietrze z wrażenia. Potrząsnęła Tricię za ramię.

— Czy to nie Mick Jagger i Jerry Hall?

Tricia właśnie popijała drinka i zaskoczona rozlała sobie na brodę coś o zapachu dżinu z tonikiem, ale posłusznie zerknęła we wskazaną stronę. Oczy rozszerzyły jej się gwałtownie.

— O Boże, tak! Rozmawia z Davidem Byrne'em!

Jennifer nie wiedziała, kto to.



Zanim na scenę weszli Fads, zagrał jeszcze kolejny support. Tricia była już kompletnie pijana i Jennifer musiała ją podtrzymywać, bo bez przerwy wpadała na ludzi. Najwyraźniej nikomu to nie przeszkadzało, więc próbowała się tym nie przejmować, ale w głębi duszy była trochę zła. Przecież nie przyszła tu jako opiekunka.

Nie — po namyśle musiała przyznać, że najpewniej tak było. Tricia prawdopodobnie zaprosiła ją tylko dlatego, że liczyła na jej odpowiedzialność, i miała nadzieję, że przyjaciółka doprowadzi je obie do domu, całe i zdrowe. Jennifer już od godziny popijała tę samą colę z rumem. Miała wrażenie, że Tricia brała jakieś pigułki. Wszyscy tu brali pigułki.

W klubie było duszno i gorąco jak w szklarni, powietrze było gęste od dymu i oparów alkoholu.

Zanim występujący zespół zwolnił scenę i wpuścił następny, zdawała się upływać cała wieczność. Gdy Tricia zorientowała się, że tym razem występują Fads, pisnęła i popędziła do przodu, przeciskając się przez tłum i śmiejąc się, gdy odpychali ją z powrotem. Jennifer krzyknęła, by zaczekała, ale nawet sama nie słyszała własnego głosu.

Zespół tworzyło trzech mężczyzn, z których dwaj byli dżokerami, ale z gatunku tych intrygujących. Wokalista miał jasne włosy emanujące własnym blaskiem — cienkie, białe

kosmyki sięgające do ramion, których końcówki jarzyły się światłem, jak latarki z włókna optycznego sprzedawane w sklepach z zabawkami. Gitarzysta miał za dużo palców u obu rąk, choć Jennifer nie zdołała policzyć, o ile za dużo, bo błyskawicznie przesuwiał je po strunach, wydobywając dziwną mieszankę dźwięków. Perkusista jako jedyny wyglądał normalnie — półnagi punk o tlenionych, uczesanych na sztorc włosach, z zawleczką granatu w lewym uchu.

Ich tak zwana „muzyka” składała się z maniackiego bębnienia i bardzo pretekstowej melodii. Wokalista wrzeszczał, Jennifer z trudem rozróżniała słowa. Było tam coś o nienawiści do rodziców, o podpalaniu i o tym, kiedy spadną bomby.

W końcu występ dobiegł końca. Rozległy się ogłuszające krzyki.

— Muszę iść na siku — oznajmiła Tricia, chwytając Jennifer za rękę i ciągnąc ją w głąb klubu. Prawie runęła przy tym na podłogę, ale przyjaciółka podtrzymała ją w ostatniej chwili.

— Czy tu w ogóle mają toalety? — spytała z powątpiewaniem Jennifer. Sądząc po tym, jak wyglądała sala, nie była pewna, czy chce do nich trafić. Tricia przewróciła oczami, jakby chciała powiedzieć: „Ale z ciebie sztywniara!”.

Klub przypominał jaskinię, ze wszystkich stron napierały czarne ściany, a graffiti tylko drażniło przemęczony wzrok. Po chwili znalazły schody, które rzeczywiście prowadziły na dół do łazienek. Jennifer poczuła ich zapach, jeszcze nim je zobaczyła. Stęchły zapach potu przepełniający resztę klubu ustąpił tu przed wonią ścieku. Skrzywiła się z odrazą.

Tricia, z trudem utrzymując równowagę, uwieszona na ramieniu przyjaciółki, wtoczyła się do damskiego. Zza drzwi buchnął stężony smród ścieku. Podłoga kleiła się do podszew. Jennifer bała się nawet zajrzeć do kabin.

Cały ten brud, osiagający poziom naprawdę solidnego skażenia, najwyraźniej nie przeszkadzał grupie kobiet tłoczyć się przed lustrem otoczonym graffiti. Lakierowały włosy i poprawiały makijaż.

Tricia najwyraźniej zapomniała, po co tu przyszła. Oparła się o ścianę oklejoną nalepkami i plakatami i uśmiechnęła się promiennie, jakby wpatrzona w jakąś niebiańską wizję.

— To było naprawdę super! Normalnie odjazd!

Obok niej stała kobieta w kabaretkach, kraciastej spódnicy i skórzanym gorsecie. W rękę trzymała kieszonkowe lusterko, na którym wysypano kilka rzędów białego proszku. Jej koleżanka, bardzo podobnie ubrana, pochyliła się i wciągnęła kreskę.

Potem zobaczyły, że Jennifer im się przygląda.

— Chcecie trochę? — zaproponowała ta w gorsecie. — Mamy tego dużo.

Jennifer szybko potrząsnęła głową i znów pomyślała, że wychodzi na straszną sztywniaczkę.

— Jasne, dzięki! — odparła natychmiast Tricia i pochyliła się nad lusterkiem.

— Tricia... — zaczęła Jennifer, ale kreska koki już zniknęła. Co jeszcze mogło się wydarzyć?

Przyjaciółka wyprostowała się zaczerwieniona i potarła nos.

— O Boże! — zachichotała. — Mam świetny pomysł.

— Jeszcze jeden? — mruknęła Jennifer. Oddychała przez usta, bo zapach stawał się coraz bardziej nieznośny. W jednej z kabin zbulgotała woda i ktoś wykrzyknął:

— Chyba go nie spłukałaś, co? No jak rany!

Tricia znów chwyciła Jennifer za rękę i skierowała się na górę.

— Pójdziemy do nich.

- Do kogo?
- Do zespołu! Fads! Tony! Chcę ich poznać!
- Co za Tony?
- Ich wokalista! Prawda, że jest w dechę?
- Trish, wiesz, która godzina? Powinnyśmy już wracać.
- Jeszcze nie. To potrwa tylko chwilkę.

Jakimś cudem zdołała sama wejść po schodach i przejść korytarzem aż do niestrzeżonych drzwi. Ściany oblepiono starymi plakatami i ulotkami reklamującymi koncerty, czasem sprzed wielu lat. Nawet Jennifer rozpoznała niektóre z tych zespołów. O rany, i The Police też tu grali? I Blondie? Naprawdę? Ale Tricia miała swoją misję. Puściła rękę przyjaciółki i popędziła naprzód. Jennifer musiała pobiec, by ją dogonić.

Na chwilę wyszły z tłumu, ale na końcu korytarza znów znalazły się w ścisiku. Zobaczyły drzwi prowadzące do innych pomieszczeń: garderoby, magazynu i zaplecza. Jennifer rozpoznała wokalistę Fads — rozdawał autografy na ulotkach i biletach. Tłoczyło się tam przynajmniej kilkanaście kobiet. Lśniące włosy otaczały jego twarz jasną aureolą. Pozostali członkowie zespołu stali w kącie, zabawiając fanki, które nie mogły się docisnąć do Tony'ego. Gdzie bramkarze?

— Hej!

Jennifer odwróciła się, słysząc zaczepkę. Za nią stał szeroko uśmiechnięty mężczyzna, trochę za stary na tę imprezę. Miał przynajmniej trzydziestkę, twarz ogorzałą, o szerokich rysach, gładko ogoloną, ciemne włosy przycięte krótko. Biały podkoszulek i dżinsy, choć były sprane, wyglądały na bardzo drogie.

Zamrugła, zdziwiona, niepewna, czy mężczyzna rzeczywiście mówił do niej.

— Chyba nieczęsto tu przychodzisz?

— Kto, ja? — spytała i poczuła się straszliwie głupio. — Nie, przyszedłam z przyjaciółką. — Wskazała za siebie. Tricia odciągała właśnie dekolt bluzki, odsłaniając połowę piersi, by wokalista mógł podpisać ją flamastrem.

Mężczyzna uśmiechnął się szerzej.

— Masz ochotę? — wyciągnął w jej stronę metalowy cylinder pełen białych pigułek.

O nie. Znowu to samo. Przywołała na twarz grzeczny uśmiech, ale odmówiła gestem.

— Nie, dziękuję.

— Uwielbiam ich koncerty. Te kapele mają najlepsze dragi.

— Aha.

— To mój straszliwy sekret. Tak naprawdę wcale nie przychodzę tu dla muzyki. Nie mów nikomu. — Pochylił się i mrugnął porozumiewawczo.

Czyżby ten facet z nią flirtował? Próbował ją podrywać? Nie była pewna, jak na to zareagować. Była zdegustowana, a jednocześnie bardzo jej to pochlebiało. Zaczerwieniła się aż po korzonki włosów i miała wrażenie, że zaraz para pójdzie jej uszami.

— Och, obiecuję, że słowa nie pisnę. A teraz powinnam już wracać do przyjaciół... — Ale gdy spojrzała w tamtą stronę, okazało się, że zespół zniknął. Tricia także.

— Tricia! — zawołała Jennifer, wybiegając tylnymi drzwiami na podwórko na tyłach budynku. Stał tam porzewiały, stary cadillac. Zespół właśnie wsiadał, by umknąć niepostrzeżenie.

Wokalista z aureolą włosów obejmował Tricię w pasie i prawie podniósł ją z ziemi, a ona wiła się, odpychając jego ręce. Coś mówiła, może nawet krzyczała, ale Jennifer jej nie słyszała, bo z klubu wciąż dobiegały krzyki i dudniła muzyka.

— Tricia! — Jennifer przyłożyła dłonie do ust.

Dziewczyna, mimo szamotania, znalazła się w samochodzie.

Jennifer znów krzyknęła.

— Tricia! — I zbiegła po schodach z kratownicy, prawie wywracając się na wysokich obcasach. Na dole wpadła w zwarty tłum, który nie przepuścił jej dalej. Jennifer była wysoka i widziała, co się dzieje, ale nie mogła przejść.

Na drodze stanął jej wysoki, potężny dzoker — znad dolnej wargi sterczały kły, zamiast włosów miał lśniące, czarne łuski. Próbowwała go ominąć, ale znów ją przechwycił.

— Hej, mała, dokąd ci tak spieszo?

— Moja przyjaciółka! — wydyszała Jennifer. — Zabrali moją przyjaciółkę! Widział pan? Nie chciała z nimi jechać, ale wciągnęli ją do środka.

Ochroniarz uśmiechnął się. Wystające kły upodabniały go do buldoga.

— Kochanie, ta laska w życiu się tak dobrze nie bawiła.

Jennifer wpatrywała się w niego z przerażeniem.

— Widział pan? — Wskazała na samochód, który właśnie odjeżdżał, uwożąc Tricię. — Broniła się! Jest pijana prawie do nieprzytomności i...

Dzoker tylko zaśmiał się w odpowiedzi.

— Co, jesteś zła, że to nie ciebie wybrali? Może w takim razie pójdziesz do mnie?

— Trzeba jej pomóc!

Bramkarz próbował ją chwycić, ale odepchnęła go i cofnęła się na schody. Znów się zaśmiał. Samochód zniknął za rogiem.

Ci dranie porwali Tricię. Na jej oczach. Na oczach wszystkich.

Jennifer przypomniała sobie, że koło łazienek był automat. Wbiegła z powrotem do klubu i w dół po schodach. Spodziewała się, że przy takim pechu telefon będzie zepsuty, ale jednak działał. Słuchawka była wymazana czymś lepkiem. Skrzywiła się i wytarła dłoń o ścianę. Skuliła się, by zapewnić sobie trochę prywatności, zatkała uszy i wykręciła numer telefonistki.

— Słucham, centrala.

— Halo! Proszę z policją! — W słuchawce coś kliknęło i zatrzeszczało. Jennifer przygryzła wargę, przekonana, że straciła połączenia, aż w końcu usłyszała czyjś głos.

— Słucham, dyżurny.

— Halo? Chodzi o moją przyjaciółkę! Została porwana!

— Słucham?

Jennifer ledwie go słyszała. Podniosła głos do krzyku.

— Moja przyjaciółka! Porwano ją!

— Czy może mi pani powiedzieć, co się stało?

— Poszliśmy do klubu. Kilku facetów, chyba z zespołu, wciągnęło ją do auta. Broniła się, nie wiedziała, co się wokół dzieje, a oni ją wykorzystali...

— Zaraz, chwileczkę. — W głosie dyżurnego zabrzmiało rozbawienie. — Dobrze rozumiem, że wyszły panie na imprezę, a koleżanka zostawiła panią i pojechała gdzieś z zespołem...

— Nie! Zaciągnęli ją siłą! Była prawie nieprzytomna, a oni ją zabrali!

— Gdzie pani jest?

Zawahała się. Już było źle, a zaraz miało się zrobić jeszcze gorzej.

— W takim klubie na Bowery...

Dyżurny odwiesił słuchawkę.

Jennifer warknęła z wściekłości i z trzaskiem odwiesiła słuchawkę. Dlaczego Tricia na nią nie zaczekała? A co, jeśli już nigdy się nie zobaczą? Tricia skończy w jakimś rowie, zgwałcona i zamordowana, i wszystko przez nią.

Znów zadzwoniła. Pomyślała, że tym razem spróbuje wykręcić główny numer, zamiast łączyć się przez centralę. Niestety, nie miała już żadnych drobnych, tylko parę banknotów na drinki. Westchnęła. Potem rozejrzała się, by sprawdzić, czy nikt nie patrzy.

Szybko oparła rękę o metalową obudowę automatu i wsunęła ją do środka. Dłoń nagle stała się niematerialna, przechodząc przez metal, jakby był z powietrza. Pomacała pojemnik na drobne, chwyciła kilka monet i wyciągnęła rękę. Monety wysunęły się razem z nią.

Na tym polegała jej zdolność: cokolwiek by się stało, zawsze mogła zadzwonić z automatu.

Po raz pierwszy doświadczyła tego przed pięciu laty, gdy miała czternaście lat. Nalała sobie szklankę soku, podniosła ją, a wtedy szklanka spadła. Wyglądało to tak, jakby wyslizgnęła się jej z ręki. Tyle że ona widziała dokładnie, co się stało — szklanka przeleciała jej przez rękę na wylot. Przez dłuższą chwilę stała nad kałużą soku pełną szklanych odłamków, patrząc na przezroczysty zarys własnej dłoni i na podłogę kuchni widoczną poprzez widmowe ciało. Potem weszła jej matka, spojrzała na pobojowisko i spytała, czy wszystko w porządku. Uznała, że to zwykły wypadek. Jennifer szybko schowała widmową dłoń za plecy. Gdy znów na nią spojrzała, była już namacalna. Zwyczajna.

Potem nastąpiło kilka miesięcy strachu i ostrożnych eksperymentów. Najpierw bała się, że zacznie znikać, że już wkrótce będzie całkiem niewidzialna. Zaczęła cierpieć na bezsenność, bo nie chciała zniknąć we śnie. Ale ostatecznie nauczyła się kontrolować tę moc. Potrafiła przenikać fizyczne przeszkody. Ćwiczyła sięganie do zamkniętych szuflad, szafek w szkole, do sejfu rodziców. To była naprawdę niesamowita zdolność. Nie powiedziała o niej nikomu.

Wsunęła kilka dziesiątek do szczeliny, zadzwoniła do informacji i poprosiła o główny numer najbliższego komisariatu. Połączyła się z jakimś sierżantem i znów opowiedziała całą historię, starając się, by jej głos brzmiał spokojnie i nagłaco zarazem, aby tym razem funkcjonariusz wziął ją na poważnie.

On też odłożył słuchawkę.

Ocierając łzy, Jennifer weszła na górę.

Na scenie grał kolejny zespół. Przepchnęła się przez zatłoczony korytarz i wpadła wprost na mur przeraźliwie głośnej muzyki. Nie zatrzymała się ani na chwilę, nawet gdy ludzie coś do niej wołali, parła naprzód, odpychając od siebie obmacujące dłonie. Może sprawiła to tylko jej wyobraźnia, może cały świat nagle wydał jej się mroczny i groźny, ale miała wrażenie, że tłum fanów jest teraz dzikszyszy. Pogowanie pod sceną było bardziej brutalne. Trzymała się na obrzeżach, nie spuszczając wzroku z otwartych drzwi. Czuła, że ze zdenerwowania pali ją w żołądku.

Jaki to sens mieć moc asa, jeśli nie można z nią zrobić nic pożytecznego? Żałowała, że nie umie czytać w myślach, mogłaby zajrzeć tym ludziom do głowy, dowiedzieć się, dokąd zabierają

Tricię. Albo latać — wtedy mogłaby polecieć prosto za samochodem.

W końcu wyszła z budynku na — względnie — świeże powietrze. Wciąż stał tam tłum ludzi, fani cały czas wchodzili i wychodzili albo przystawali, by porozmawiać przed wejściem. Nie wiedząc, co robić dalej, oparła się o ceglany mur i odetchnęła, ocierając pot z twarzy. Może gdyby osobiście poszła na komisariat...? Może poszukać kogoś, kto zna ten zespół? Na pewno mają menedżera albo kogoś, kto wie, dokąd jeżdżą po koncertach.

— Hej, tam. Co się dzieje?

To znów był ten facet z pigułami. Może przez cały czas tu stał, a może właśnie wyszedł. Może poszedł jej śladem.

Oparł się o ścianę, obok niej, ale na tyle daleko, że nie mógłby jej łatwo chwycić. Jennifer poczuła się trochę bezpieczniej.

— A co cię to obchodzi? — spytała gniewnie. Spojrzała na niego miażdżąco i odwróciła wzrok, nie chcąc, by pomyślał, że z nim flirtuje. Chociaż on sam też nie sprawiał wrażenia podrywacza. Mimo woli pociągnęła nosem i poczuła, że łzy spływają jej po policzkach.

— Tricia, moja przyjaciółka... porwali ją! Ten zespół, zabrali ją, wciągnęli ją do samochodu, wszystko widziałam!

— Jesteś pewna, że nie pojechała z nimi sama?

— Beze mnie? Nie zostawiłaby mnie tutaj. — Jennifer potrząsnęła głową. Chociaż prawdę mówiąc, kto wie, co mogło przyjść do głowy Tricii, gdy była bardzo pijana? Zamrugła, by powstrzymać łzy.

— Hej, posłuchaj. Wiem, gdzie urządzają afterparty. Mogę cię tam zabrać.

— Naprawdę? — spytała ostrożnie. Oczyma wyobraźni już widziała, jak nieznajomy wciąga ją do zdezelowanego auta...

— Aha. Tylko parę przecznic stąd. Znam gościa, który to prowadzi. Jak pokażesz mu kawałek nogi, wpuści cię bez problemu.

Jennifer zaczerwieniła się i znów odwróciła wzrok.

— Mówiłem już: ci goście mają najlepsze imprezy i najlepsze prochy. Przejdziemy się?

— Tricia na pewno tam będzie?

— Jeśli pojechała z zespołem, to na pewno.

Mężczyzna wyszedł na chodnik i podał jej ramię — dziwnie ujmujący, archaiczny gest. Jennifer ruszyła za nim, ale nie wzięła go pod ramię. Zdawał się tym bardziej rozbawiony niż urażony.

Przeszli piechotą do kolejnej przecznicy. Zgiełk „CBGB” stopniowo przycichł, a w końcu zastąpił go zgiełk innych barów, nieco odmienny. Muzyka i głosy gości nie przypominały już punkowego koncertu. Jennifer czasem spoglądała na dzokerów stojących w bramach lub wędrujących ulicami. Odwzajemniali spojrzenia, a wtedy szybko odwracała wzrok. Skuliła się, ściągając ramiona, nie chcąc przyciągać uwagi.

Znajomy z klubu nie przejmował się tym ani trochę. Szedł równym, spokojnym krokiem, jakby przechadzał się w słoneczny dzień po Central Parku.

— Jak się nazywasz? — spytał po dłuższej chwili.

— Jennifer — odparła i natychmiast zaczęła się zastanawiać, czy nie lepiej byłoby zmyślić coś naprędce. W końcu uznała, że nic się nie stanie, w końcu to dość popularne imię. A potem zdała sobie sprawę, że idzie nocą wzdłuż Bowery w towarzystwie całkiem obcego człowieka.

— Jennifer. Miło cię poznać. Ja jestem Croyd.

— Cześć — odparła, uśmiechając się nerwowo.

— Domyślam się, że nieczęsto tu przychodzisz.

— Nie. Studiuję na Uniwersytecie Columbia. — Skrzywiła się. Czemu mu to powiedziała?

— Tak? To super. Świetna szkoła. Jesteśmy na miejscu. Wystarczy wejść po schodach.

Z patio na dachu rzeczywiście dobiegały dźwięki muzyki. Jennifer poczuła nadzieję. Jeśli jest tu zespół, to jest i Tricia. Zaraz zwymyśla ją za to, że tak uciekła. Potem wrócą do domu i może wreszcie przestanie jej dzwonić w uszach.

Croyd grzecznie odsunął się na bok, by mogła przejść pierwsza, a ona rzuciła się po schodach biegiem. Budynek przypominał magazyn. Był to podupadły loft, z którym niewiele dało się zrobić. Podłogi były betonowe, bar urządzone na składanych stołach, a ścianom przydałoby się malowanie. Ale stał tu też sprzęt stereo, gramofon i wielkie głośniki, z których wylewała się podobnie dzika muzyka jak wcześniej w klubie. Nikt nie tańczył — nie było na to miejsca. Goście stali w grupkach, próbując rozmawiać — a raczej krzyczeć — ale Jennifer nie miała pojęcia, jakim cudem słyszą się nawzajem. Szklane, przesuwane drzwi wychodziły na patio, gdzie odbywała się dalsza część imprezy.

Jak zdoła w ogóle znaleźć Tricię w tym chaosie?

Facet, który najwyraźniej pełnił tu rolę barmana, był dzokerem. Przeciętnego wzrostu i budowy, ale porośnięty gęstym, niebieskim futrem; Jennifer nie widziała jego rysów, zamiast ust i oczu na twarzy widniały tylko cienie. Miała wrażenie, że mężczyzna na nią patrzy.

— Możesz dostać, co chcesz, ale włóż coś do słoika, okej? — Wskazał na duży słoje po ogórkach stojący w rogu blatu.

— Ja tylko... szukam przyjaciółki. Chyba pojechała z zespołem. Fads, zna pan ich? Są tutaj? Widział pan Tricię?

— Fads? — powtórzył mężczyzna, nachylając się do niej. Sierść wokół ust zafalowała.

— Tak! Moja przyjaciółka, niższa, brązowe włosy. Widział pan ją?

— Nie widziałem ich. Nie zagłędali tutaj.

Zagapiła się na niego, oszołomiona. I co teraz?

— Jest pan pewien? Grali dzisiaj w pobliskim klubie „CBGB”, tu na sąsiedniej przecznicy i...

— Kochana, znam tę kapelę. Wiem, gdzie grają, i mówię ci, że tu ich nie było. Nie widziałem też twojej koleżanki. Chcesz coś czy nie?

Jennifer nie odpowiedziała i pozwoliła, by tłum sam odepchnął ją od stolików. Rozglądając się wokół, zorientowała się, że zgubiła gdzieś Croyda i sama nie była pewna, czy ją to cieszy, czy martwi. W porządku. Tak czy inaczej, jej sytuacja się przynajmniej nie pogorszyła. Teraz musiała tylko znaleźć kogoś, kto znał zespół i wiedział, dokąd mogli pojechać. Sytuacja nie była całkiem beznadziejna. Z tym postanowieniem odwróciła się na pięcie i znów przepchnęła się do zaimprovizowanego baru. Jeśli barman znał zespół, to może wiedział, dokąd jeszcze mogli pojechać.

Prawie straciła równowagę, gdy wpadła na nią jakaś kobieta. Zachwiała się na obcasach, ale jakoś ustała na nogach, rozstawiając je szeroko. Zdołała nawet złapać nieznaną, ją też ratując przed upadkiem na podłogę.

Kobieta była ubrana w dzianinową sukienkę z łódkowym dekoltem. Miała najwyżej

dwadzieścia parę lat i piękne, delikatne rysy, ale jej twarz była ściągnięta ze zmęczenia i jakby strachu. Zlizwała z ust prawie całą szminkę.

Jennifer próbowała spojrzeć jej w oczy, ale tamta co chwila oglądała się przez ramię.

— Wszystko w porządku? — spytała w końcu.

Na dźwięk jej głosu kobieta odwróciła się nagle, zaciskając usta w zdecydowanym grymasie.

— Przechowasz to dla mnie? — spytała, wciskając jej do ręki klucz z plastikowym brelokiem.

Dziewczyna odruchowo zacisnęła go w dłoni. Kobieta odepchnęła ją i zanurkowała w tłum.

— Hej! — Jennifer spojrzała za nią, patrząc, jak czarna fryzura wynurza się i znika w morzu głów, aż w końcu zniknęła na dobre. Kolejna anonimowa imprezowiczka. Próbowała za nią biec, ale nie mogła się precyzyjnie.

Gdy rozległ się strzał, w pierwszej chwili myślała, że stłukła się jakaś butelka. Dopiero gdy wszyscy zaczęli krzyczeć, zrozumiała, że to coś znacznie gorszego. Goście zaczęli uciekać w panice i zanim zrozumiała, co się dzieje, stała już samotnie, rozglądając się jak idiotka.

Na szczycie schodów ukazała się grupa mężczyzn, którzy natychmiast rozstawili się w szyku. Było ich czterech, wszyscy masywni i silni, najwyraźniej członkowie jakiegoś gangu. Nosili maski — tanie halloweenowe przebrania, jakie można było dostać w każdym sklepie w Dżokerowie. Wszyscy mieli broń. Jeden z nich wypalił w sufit, po czym stanął z wzniesionym pistoletem. Był tak potężny — grube kończyny, ściągna jak kable i ani śladu szyi — że mógł być nawet dżokerem. Jeden z pozostałej trójki był nim z całą pewnością. Ramiona miał pokryte futrem, a zamiast rąk — szponiaste łapy. Dwaj pozostali równie dobrze mogli być naturalami jak dżokerami — maski ukrywały wszelkie potencjalne defekty. W sumie żadna różnica. Wszyscy byli silni, bezwzględni i wściekli.

Jennifer była przekonana, że tak to się nie skończy. Obiecała sobie, że później zabije Tricie za cały ten pomysł. Oczywiście, jeśli jeszcze nie zginęła.

— Wiemy, że tu jesteś! — powiedział ten z pistoletem. — Oddaj to, co zabrałaś, a nikomu nie stanie się krzywda!

Większość tłumu zdążyła już umknąć na patio. Kobieta, która wpadła na Jennifer, zniknęła. *Oddaj to, co zabrałaś...* Jennifer odruchowo spojrzała na otrzymany przedmiot. To był błąd.

Bandyta dostrzegł ją i zorientował się, że trzyma w ręku coś małego, pewnie do tego miała głupi wyraz twarzy. Uśmiechnął się z satysfakcją i ruszył w jej stronę.

Serce jej załomotało, skóra zwilgotniała od potu, cofnęła się o krok... i spadła.

Wciąż spadała.

Przez chwilę miała wrażenie, że zasłabnie albo zemdleje, umysł rozpadał jej się na kawałki. Przed oczyma migwały jakieś cienie, całe ciało zmieniło się w obłoczek helu, nieważki, skłębiony. Każda komórka jej ciała była zdezorientowana, wywrócona do góry nogami. Nie mogła oddychać.

Świat nagle powrócił i minęły ją ściany — rzeczywiście spadała, ale tylko przez chwilę, potem padła na podłogę. Wszystko się zmieniło. Bar na dachu zniknął, pomieszczenie było ciemne i puste. Zniknął też bandyta z pistoletem, co przyniosło jej pewną ulgę.

Ale nie — jednak żadna z tych rzeczy nie zniknęła tak po prostu. Spojrzała na goły sufit, na belki stropu i przewody wentylacyjne. Spadła przez podłogę. A do tego była naga.

Jej ręce, plecy i nogi pokryły się gęsią skórą. Przyciągnęła kolana do piersi, zwijając się

w kłębek. Całe jej ciało przeniknęło przez podłogę. Nawet przez ubranie. Siedziała nago na linoleum, w jakimś pomieszczeniu przypominającym zaplecze sklepu monopolowego. Co by było, gdyby spadła na jakieś skrzynki? Gdyby zmaterializowała się tam? Nie chciała sobie tego nawet wyobrażać.

Wpatrywała się w sufit, niepewna, co właściwie zaszło, chociaż w głębi duszy dobrze wiedziała. Stała się niematerialna, jak wtedy, gdy jej ręka przeniknęła przez szklanę z sokiem. Ale tym razem całe jej ciało przeniknęło przez podłogę.

Mogę przenikać przez ściany — pomyślała. Miała ochotę natychmiast wypróbować tę zdolność, tyle że była naga. Co wtedy za pożytek z przechodzenia przez ściany?

Ale nadal trzymała kluczyk w zaciśniętej pięści. Była na nim tak skupiona, że przeniosła go wraz z sobą.

Gdy trzasnęły drzwi od zaplecza, pospiesznie wpełzła za stertę skrzynek. Nasłuchiwała kroków ciężkich buciorów, nawet warczenia. Gangsterzy wyłamali drzwi, zaraz ją znajdą i zrobią z nią niewyobrażalne rzeczy. Miała nadzieję, że może znów uda jej się przeniknąć na dół, choć sama nie wiedziała, jak dokonała tego ostatnim razem.

— Hej, młoda! Jennifer? Jesteś tu? Nie mów, że spadłaś aż do ścieku.

To był Croyd.

— Jestem tu. Jestem trochę... To znaczy moje ubrania tam zostały.

— Wiem, dlatego je przyniosłem. Czemu nie powiedziałaś, że jesteś asem?

— Bo nie mówiłam o tym nikomu. A raczej... dotąd nikt o tym nie wiedział.

— Bardzo rozsądnie — stwierdził mężczyzna. Jego głos zabrzmiał rzeczowo, jakby Croyd kompletnie nie był tym zdziwiony. — Ale zdajesz sobie sprawę, jak użyteczna jest taka moc? Pamiętam, jak w pięćdziesiątym trzecim federalni zapakowali mnie do kicia, ale miałem szczęście i zdołałem prysnąć...

— O czym ty mówisz?

— Nieważne. Weź. — Podał jej sukienkę. Gdy podczołgała się, by ją wziąć, grzecznie odwrócił wzrok.

Jennifer ubierała się pospiesznie. Croyd przyniósł też jej stanik i majtki, a nawet buty. Biżuteria, niestety, została. Uznała, że musi popracować nad tym manewrem, żeby następnym razem nie stracić wszystkiego.

— Co się stało? — spytała, wciągając sukienkę przez głowę. — Co to byli za ludzie?

— Też miałem cię o to spytać. Czego chcieli? Coś ty zrobiła?

— Nic! Po prostu... wpadłam na kogoś, a wtedy ona dała mi to. — Pokazała mu klucz. Na breloku widniała cyfra: 51337.

— Masz talent do pojawienia się w niewłaściwych miejscach w niewłaściwym czasie, co?

— Chcę tylko odnaleźć Tricię i wracać do domu! — Jennifer podskoczyła na jednej nodze, próbując wsunąć pasek sandała na kostkę.

— Chodź — mruknął Croyd. — Lepiej się stąd wynośmy.

— Co? Dlaczego...

Podążyła za jego spojrzeniem przez otwarte drzwi aż na ulicę i dostała odpowiedź. Bandyci podążyli ich śladem. Potężne cielsko przywódcy zagradzało im drogę ucieczki, a wszyscy wyglądali, jakby lada chwila mieli ich zastrzelić.

Nie była pewna, czy znów zdoła przeniknąć przez podłogę. A jeśli tak, to gdzie trafi? Może

lepiej przebiec przez ścianę.

— Stać! — krzyknął Croyd. I nikt się nie ruszył. Przywódca otworzył usta i tak już został. Croyd odetchnął z ulgą.

Jennifer zmierzyła go z zaciekawionym spojrzeniem.

— Ty też jesteś asem — powiedziała po chwili.

Skrzywił się odruchowo.

— Tak... ale nie do końca. Jestem raczej dwójką.

— Czym?

— To potrwa najwyżej pięć minut. Musimy lecieć.

Prześlizgnął się obok zastygłych bandytów, a potem oboje pobiegli.

Kluczyli jak szaleni, skręcając na każdej przecznicy, żeby trudniej ich było śledzić. Jennifer nie była pewna, czy to pomoże. Już po chwili całkiem się zgubiła. Może gdyby teraz zadzwoniła po policję...

Oczywiście, nie mogła. Była sama w ciemnej uliczce z tym dziwnym, nieznanym mężczyzną. Jak mogła być taka głupia...

Croyd znów skręcił i podbiegł do jakiegoś niepozornego budynku z brązowej cegły. Oparł się o drzwi, na które Jennifer normalnie nie zwróciłaby uwagi. Przystanęli, by złapać oddech.

— Pokaż to. — Croyd wskazał na klucz, który wciąż trzymała w dłoni.

Niechętnie wyciągnęła rękę, by mógł się mu przyjrzeć.

— Wygląda jak klucz do skrytki pocztowej — stwierdził po chwili.

— I co z tego? — Jennifer wciąż nie mogła złapać tchu. Potarła stopę w miejscu, gdzie już tworzył się pęcherz.

— Chyba nie wyszło im przekazanie towaru. W skrytce są pewnie prochy, kradzione rzeczy albo coś takiego. Tamta kobieta miała komuś oddać klucz, a ci goście przyszli odebrać towar albo forszę. Wpakowaliśmy się w sam środek przeważu.

— Wcale mnie to nie pociesza.

— Znam kogoś, kto może nam powiedzieć, do czego to pasuje. — Sięgnął po klucz. Jennifer cofnęła rękę.

— A Tricia?

— Kto?

— Moja przyjaciółka, którą porwano!

— Na pewno nic jej nie jest.

— Muszę ją znaleźć!

— Wiesz co? Zawrzyjmy umowę. Najpierw ustalimy, do czego pasuje ten klucz, a potem poszukamy twojej koleżanki.

— Aha, jasne. Wcześniej bardzo mi w tym pomogłeś.

— Hej, co ja na to poradzę? — Mężczyzna rozłożył ręce, jakby oferując symboliczne przeprosiny. — Babka pracuje niedaleko. Zajrzyjmy do niej, a potem poszukamy Tricii. Znam parę miejsc, gdzie można by zajrzeć. Zgoda?

Jennifer wyduła wargi, ale nie miała lepszego pomysłu, więc w końcu wykrztusiła:

— Zgoda.

Croyd łyknął pigułkę ze swojej fiołki.

— Super. To w drogę.

Ruszyli dalej, ale okolica nie zrobiła się ani trochę przyjemniejsza. Jennifer już od kilku przecznic nie widziała żadnej taksówki. Objęła się rękami, zastanawiając się, w jaką kabałę się teraz wpakowała. W duchu pocieszała się, że w razie czego może ujść cało ze wszelkich opresji. Jeśli ktoś spróbuje ją związać, to przeniknie przez sznury. Potrafi przecież przechodzić przez ściany, do cholery.

Croyd próbował zabawiać ją rozmową, a ona ignorowała go wytrwale, aż w końcu oznajmił:

— Posłuchaj... Przecież widzisz, że próbuję ci pomóc. Mógłbym cię po prostu unieruchomić i zabrać ten klucz.

— Ale tego nie zrobisz, bo pewnie już obmyślasz, jak namówić mnie do napadu na bank albo czegoś takiego. — Gdy nie odpowiedział, prychnęła rozdrażniona. — Naprawdę o tym myślałeś, co? — Przyspieszyła kroku.

— No dobra, może myślałem — przyznał, też przyspieszając, by się z nią zrównać. Gdyby była w stanie iść na tych obcasach jeszcze szybciej, na pewno by to zrobiła. — Ale naprawdę powinnaś to przemyśleć. Taka moc nie trafia się każdemu!

— Nie rozumiesz? Ja jej wcale nie chcę! Wolałabym jej nie mieć!

— Daj spokój. Każdy dzieciak chce zostać asem. Zdjęcia w gazetach, kolacje na „Wieży Asów”...

— I po co mi to? Mam zostać cudakiem? Jestem zwykłą dziewczyną z Long Island i chcę mieć święty spokój!

— Mogłabyś działać pod pseudonimem „Zjawa”.

— Zjawa?

— No wiesz, to dobre miano dla asa, żeby gazety wiedziały, jak cię nazywać. Już to widzę: „Zjawa, słynna złodziejka klejnotów, znów atakuje”. — Rozłożył ręce, jakby formatował nagłówek w gazecie.

— Nie będę żadną Zjawą! — zaprotestowała. Na pewno wymyśliłaby coś lepszego. Coś bardziej tajemniczego, intrygującego... — A ty jaki masz pseudonim?

— Śpioch — mruknął z ociąganiem, jakby nie był z tego zadowolony.

— Trochę dziwne. Nie „Zamrażacz” czy coś w tym stylu?

Wzruszył ramionami.

— Tak to już jest.

Jennifer zatrzymała się na skrzyżowaniu, niepewna, dokąd teraz iść. Wszystkie latarnie w okolicy wyglądały na rozbite. Wszystkie witryny sklepów były wzmocnione stalowymi kratami. Nie poczuła się od tego ani trochę bezpieczniej. Miała nadzieję, że jeśli wpadnie w jakieś tarapaty — w kolejne tarapaty — to znów zdoła zniknąć.

Teraz znajdowali się już w samych trzewiach Dżokerowa, nie tylko na obrzeżach. Przechodnie gapili się na nich otwarcie. Pomimo ubrania Jennifer drżała pod ich spojrzeniem, jakby była naga.

— Tu chyba nie jest bezpiecznie? — spytała, obejmując się rękami.

— Szczerze? Jeśli tylko nie będziemy się zatrzymywać, powinno być spoko.

Przy kolejnym skrzyżowaniu wyrósł przed nimi szkielet spalonego budynku, poczerniała stalowa rama stercząca ze sterty gruzu. Ofiara zamieszek w Dżokerowie, nigdy nieodbudowana. Jennifer patrzyła na to z niedowierzaniem. Cały świat, którego istnienia nawet nie podejrzewała.

I pomyśleć, że sama o włos uniknęła tego losu... Nie miała pojęcia, jakim cudem złapała wirusa dzikiej karty. I jak to się stało, że wyciągnęła asa, nie dzokera? Nie chciała o tym myśleć.

Wrócili znów na Bowery, ale tym razem na południowy odcinek. Tutaj, mimo późnej pory, ulica była niemal zatłoczona. Całonocne bary i restauracje, grupki przechodniów stojące na rogach ulic, raz minęli nawet grupę kobiet — Jennifer dopiero po chwili domyśliła się, czym się zajmują i co tu robią. Z jednego zaułka dudniła muzyka z przenośnego sprzętu. Oczywiście ani śladu policji.

W oddali nagle wyrósł wysoki neon.

— To tutaj — stwierdził Croyd. — Moja kumpela jest tu barmanką.

Na kolejnej przecznicy Jennifer stanęła jak wryta.

Wielki neon zamontowany nad wejściem przedstawiał sześciopiersiastą kobietę w jaskrawych barwach czerwieni i złota. Światła migotały rytmicznie, aż zdawało się, że piersi falują, a wokół rozbłyskiwały schematyczne fajerwerki. Kolejny neon układający się w czerwony napis głosił: CUDAKI. Wiszące obok plakaty kusily klientów hasłami: DŻOKERKI! i OSTRE XXX! Wejście do lokalu prowadziło między nogami neonowej striptizerki.

— O Boże! — wykrztusiła Jennifer.

— Tak, wszyscy tak reagują — odparł Croyd, szczerząc zęby.

— Chyba nie mogę tam wejść.

— Jasne, że możesz. — Mężczyzna chwycił ją za łokieć i wybiegł na ulicę.

Musieli kluczyć, by nie wpaść pod samochód — nawet o tej godzinie ruch był tutaj spory. Croyd pewnym krokiem poszedł do wejścia i przeszedł pomiędzy nogami tancerki, rzucającymi upiorny różowy blask na chodnik. W tym świetle wszyscy wyglądali jak poparzeni słońcem.

Przed samymi drzwiami zastąpił im drogę wysoki dzoker z rogami jak u teksaskiego byka i kopytami zamiast stóp.

— Hej, Bruce, wpuść nas, co? — zagaił Croyd.

Bramkarz zmrużył oczy.

— A ty kto?

— Croyd.

— Udowodnij.

— Pamiętasz tę nockę w zeszłym roku? Dwie niebieskie bliźniaczki i flaszka tequili?

Bramkarz otworzył szerzej oczy, a potem uśmiechnął się z rozmarzeniem.

— Aha. Tym razem dobrze wyglądasz. — Odsunął się, wpuszczając gości do środka.

— Znasz go? — spytała Jennifer. — Czemu nie poznał cię od razu?

— Długa historia. Najpierw zajmijmy się tym kluczem.

Jennifer rozejrzała się wokół, ale oczy dopiero po chwili przyzwyczyły jej się do półmroku, który zalegał tu jak w jaskini, aż w końcu weszli do głównej sali, pełnej migających reflektorów i lśniących kul disco. Piosenki duetu Hall & Oates, puszczane o wiele za głośno, przyniosły jej niemal ulgę. Przynajmniej były bardziej znajome niż wcześniejsza muzyka. Do tego mogłaby nawet zatańczyć. I rzeczywiście: na obrotowej scenie pośrodku sali wirowała jakaś kobieta. Wyglądała prawie nierealnie — wysoka, smukła, z grzywą ceglanorudych włosów, które odrzucała w tył, aż spływały na plecy. Jennifer dopiero po chwili dostrzegła wąski, jaszczurzy ogon, kołyszący się na boki, zmysłowo owijający się wokół mosiężnego słupka, podczas gdy

kobieta pochyliła się naprzód, zdejmując skrawek materiału uchodzący tu za biustonosz.

Dziewczyna odwróciła się zakłopotana, próbując patrzeć na cokolwiek innego, i zobaczyła, że na widowni siedzi sporo naturali, wpatrzonych w tancerkę z obsesyjnym skupieniem. Croyd podszedł do baru, by porozmawiać z... Dopiero po chwili zrozumiała, że to kobieta. Nie miała głowy. A raczej — głowa wyrastała jej prosto z klatki piersiowej, tak że podbródek opierał się na piersiach, uniesionych za pomocą czarnego push-upa. Długie czarne włosy opadały na prostą linię barków. Wycierała bar szmatką i uśmiechała się do Croyda, który oparł się o kontuar i posłał jej flirciarski uśmieszek.

— Jak się masz, Sheila?

— W porządku, kochanie. Dawno cię tu nie widziałam.

— Wiesz, jak jest. Trochę mnie nie było.

— No cóż, skoro tym razem tak dobrze wyglądasz, to lepiej z tego korzystaj. — Kobieta wysunęła biodro i mrugnęła; można by to uznać za uwodzicielski gest, gdyby poza tym nie wyglądała tak... dziwacznie. Jennifer skrzyżowała ręce na piersiach, próbując nie okazywać zdenerwowania. Barmanka zmierzyła ją wzrokiem.

— Kim jest twoja przyjaciółka?

— Prawie się nie znamy, ale obiecałem jej pomóc — odparł. — Jennifer, możesz pokazać Sheili ten klucz? Przrzekam, że nic się nie stanie.

Dziewczyna niechętnie wyciągnęła rękę.

— Mogę? — spytała Sheila i gdy Jennifer przytaknęła, sięgnęła po kluczyk.

Zamknęła oczy — nie dało się spojrzeć jej w oczy, nie patrząc jednocześnie na piersi — i przycisnęła klucz do czoła. Piosenka Halla & Oatesa dobiegła końca i kobieta jaszczurka tanecznym krokiem zeszła ze sceny. Na jej miejsce weszła striptizerka o szponiastych, ptasich łapach. Z głośników popłynął utwór *Superfreak*.

Po dłuższej chwili Sheila otworzyła oczy.

— To klucz do skrytki na poczcie przy Doyers. Nie mogę wyczuć nic więcej. — Wzruszyła ramionami, aż uniosły się ponad głowę, i wyciągnęła rękę do Croyda. Jennifer przechwyciła klucz. Dżokerka błysnęła uśmiechem.

— Dzięki, skarbie — rzucił Croyd. — Jestem ci winien przysługę.

— Nie ma sprawy, słonko.

— Co to było? — spytała Jennifer, gdy odeszli od baru.

— Sheila jest psychometryczką. Potrafi wyczuwać różne rzeczy związane z przedmiotami — skąd się wzięły, do kogo należą, takie tam.

— Pożyteczna umiejętność.

— Podobnie jak przenikanie przez ściany... pod warunkiem, że się z tego korzysta.

Omijając wzrokiem scenę, Jennifer przypadkiem spojrzała na drzwi prowadzące do prywatnej salki gdzieś w głębi klubu. I mogłaby przysiąc, że mignęła tam nastroszona fryzura perkusisty Fads. Zostawiła Croyda i rzuciła się biegiem.

Za drzwiami znajdował się mały salonik z mniejszą prywatną sceną, wyłożony czarnym włochatym dywanem i zastawiony pluszowymi fotelami. Migoczące światła eksponowały błyszczące dekoracje na ścianach i białe bikini dziewcząt występujących na scenie specjalnie dla perkusisty. Jennifer trochę się uspokoiła, bo żadna z nich nie okazała się Tricią.

Gdy podeszła bliżej, mężczyzna wyciągnął rękę, by wetknąć jednej z tancerek banknot za

majtki. Dziewczyna miała kolorową, fosforyzującą skórę, zmieniającą barwy, od błękitu, aż po czerwień i oranż. Jennifer zobaczyła twarz patrzącego i upewniła się, że to rzeczywiście perkusista.

Odepchnęła go od sceny, by spojrzeć mu w oczy. Mężczyzna zaskoczony upuścił banknot.

— Gdzie Tricia? Co jej zrobiliście?

— Hej! — zawołała tancerka, krzyżując ręce z irytacją.

— Coś ty za jedna? — wybełkotał perkusista.

— Gdzie reszta zespołu? Gdzie jest Tricia?

— Eee...

Jennifer jeszcze nie skończyła.

— I co tu w ogóle robisz? Tam w klubie laski prawie się na tobie wieszały, a ty jeszcze przychodzisz tu, żeby za to płacić?

— Wtedy jest bardziej perwersyjnie — wyjaśnił Croyd. Stał trochę z boku, przypatrując się tej scenie, jakby to był występ. Perkusista skrzywił się. Ale przytaknął.

Jennifer miała ochotę krzyknąć.

— Gdzie jest Tricia?

— Posłuchaj, mała, nie mam pojęcia, o kim mówisz.

— A zespół? — dopytywał się Croyd. — Gdzie imprezuje reszta? Zabrali przyjaciółkę tej pani.

— A tak. Ta szalona? Kompletnie naćpana?

Tak, to na pewno Tricia. Jennifer westchnęła.

— Aha. Hm, chyba poszli do Tony'ego.

— Dokąd? — naciskała Jennifer.

— Przecież ci nie powiem, pewnie jesteś jakąś nawiedzoną fanką...

— Nie, to Tricia jest fanką. Ja chcę ją tylko znaleźć...

— Eee... Jennifer? — Croyd ostrzegawczo dotknął jej ramienia. Spojrzała za siebie.

W drzwiach zamajaczyła znajoma sylwetka potężnego gangstera. Morderczy błysk w jego oczach było widać nawet przez otworki w masce.

Wystarczy. Jennifer uniosła klucz tak, by bandyta go dostrzegł, a potem wrzuciła zdobycz pod koszulkę perkusisty.

— A teraz spadamy — powiedziała i popędziła do tylnego wyjścia.

Za jej plecami rozpętał się chaos — dźwięk przewracanych mebli, krzyki kobiet. Prawdopodobnie wyglądało to bardzo zabawnie, ale Jennifer nie odważyła się spojrzeć.

Przebiegli korytarzem, mijając garderoby, aż w końcu wybiegli tylnym wyjściem prowadzącym na kolejne, wilgotne podwórko.

— Czemu to zrobiłaś? — wydyszał Croyd.

— Bo teraz już nie potrzebujemy klucza, przecież wiemy, do czego pasuje — odparła dziewczyna. — Ale musimy tam dotrzeć pierwsi.

— Co? Aha. Jasne, chodźmy.

W milczeniu pobiegli truchtem. Jennifer w każdej chwili spodziewała się usłyszeć z tyłu krzyki i odgłos ciężkich kroków. Bez przerwy oglądała się przez ramię, ale najwyraźniej chwilowo zgubili swoich prześladowców.

— Przestań się tak oglądać! — fuknął Croyd. — Wyglądasz podejrzanie.

Łatwo mu powiedzieć. Próbowwała nie myśleć o ciągłym zagrożeniu, skupiając się na czymś innym.

— To powiedz mi: jak się obrabowuje bank?

Zerknął na nią z ukosa.

— Pytasz poważnie?

— Aha — odparła wyzywająco.

— Wcale. To znaczy teraz już się tego nie robi. Wszystkie te zabezpieczenia i systemy monitoringu... To zbyt ryzykowne. Lepiej namierzać prywatne sejfy. Pajęczarstwo. Albo napadać na samochody przewożące gotówkę. Najpierw badasz teren, szukasz słabych punktów. I nigdy nie kradniesz za dużo. Musisz być trochę wybredna, nie? Wybierasz smaczne kąski, zamiast brać wszystko, jak leci. A jak już ukradniesz, to nie trzymasz tego za długo, czekając na lepszą cenę. Wbrew pozorom to właśnie jest najbardziej ryzykowna część — handel kradzionym towarem albo pranie pieniędzy. Ale są ludzie, którzy potrafią w tym pomóc. Dobrze jest mieć znajomości.

Przytaknęła w zamyśleniu. To brzmiało rozsądnie.

— A poza tym dobrze jest mieć potężnego asa — dodał, mrugając szelmowsko. — Na przykład supersiłę albo moc przenikania przez ściany.

Z przodu w wąskiej uliczce rozległy się jakieś krzyki. Jennifer zwolniła. Ktokolwiek to był, najwyraźniej był wściekły i zbliżał się do nich. Gang jakoś ich namierzył, wyprzedził, a teraz odcięli im drogę ucieczki...

Croyd chwycił Jennifer za rękę, przycisnął do ściany i pocałował. Mocno, konkretnie, objął ją rękami i zasłonił sobą. Grupa nastolatków przebiegła obok, wykrzykując jakieś szyderstwa. To nie byli gangsterzy. Tylko jakieś dzieciaki.

Croyd nadal ją całował. W końcu odepchnęła go zdecydowanie.

— Co ty wyprawisz?

— Pomyślałem, że będziemy wyglądać mniej podejrzanie.

Jennifer prychnęła rozdrażniona, spoliczkowała go dla efektu i odmaszerowała. Croyd tylko się zaśmiał.

Okazało się, że poczta nie była daleko. Dzieliło ich od niej zaledwie kilka przecznic. Był to nowoczesny, betonowy budynek wzniesiony pomiędzy ceglanyimi kamienicami na obrzeżach chińskiej dzielnicy. Mały hol, skąd można było dostać się do skrytek, wciąż był otwarty, oświetlony słabym, żółtawym światłem lampy na przeciwległej ścianie. Najgorsze możliwe miejsce do konfrontacji z wściekłą bandą.

Znaleźli skrytkę z numerem, który widniał na breloku. Croyd odsunął się teatralnie.

— Pani pozwoli?

Jennifer stanęła przed mosiężnymi drzwiczkami, niepewna, czy naprawdę chce się dowiedzieć, co jest w środku. A zwłaszcza sięgać tam na ślepo. Może ukryto tam jadowite węże albo pułapki na myszy? Najprawdopodobniej tylko stertę folderów reklamowych.

Wzięła głęboki oddech i sięgnęła do środka. Jej dłoń musnęła coś kwadratowego, papierowego — najwyraźniej była to koperta, i to bardzo wypchana. Chwyciła ją i przeciągnęła przez drzwiczki.

Wraz z Croydem wpatrywali się w kopertę pełną gotówki. Same studolarówki.

— Jezu Chryste, to chyba ze trzydzieści kawałków — mruknął Croyd.

Jennifer nigdy w życiu nie widziała tylu pieniędzy, chyba że na ekranie kina. Z drugiej strony, Croyd potrafił nawet na oko ocenić zawartość koperty. Co tu się działo? Kim właściwie była ta kobieta, która zostawiła jej klucz? Co to za interes? Opłata za narkotyki, przemycone towary, okup, coś jeszcze? Banknoty paliły jej dłoń.

Jennifer zmarszczyła brwi, zamknęła kopertę, przycisnęła ją do siebie i wyszła. Croyd wybiegł za nią.

— Nieźle sobie radzisz jak na początkującą złodziejkę.

— Nie jestem złodziejką. Zaniosę to na policję.

— Co? Nie opowiadaj głupstw.

— Naprawdę. — Posterunek w Dżokerowie musiał być gdzieś niedaleko. Postanowiła, że jeśli ktoś spróbuje ją napaść, to po prostu przeniknie do najbliższego budynku.

— Oddasz to tym samym gliniarzom, którzy tak bardzo przejęli się losem twojej przyjaciółki?

— Uważam, że to słuszna decyzja.

— Kochanie, są rzeczy słuszne i słuszniejsze. Tutejsza policja nie jest słuszna. Jak tylko im to pokażesz, zaczną ci zadawać pytania — kim jesteś i skąd to wzięłaś — i nawet nie będą słuchać odpowiedzi. Wsadzą cię do celi. Okej, dla ciebie to żaden problem. Ale twoje nazwisko trafi do kartoteki, a wtedy możesz pożegnać się ze studiami. Z drugiej strony, jeśli zatrzymamy tę kasę, to dopilnujemy, by nie trafiła w ręce naprawdę złych ludzi, takich jak nasz Pan Beton. Weźmy tę forszę, kupmy parę butelek czegoś dobrego, wróćmy razem do mnie i zrobmy sobie własną, prywatną imprezę.

Prawie się zgodziła. Tricia na pewno by się zgodziła. Jakaś część jej umysłu podpowiadała, że byłaby to wspaniała przygoda, nawet jeśli właściwie nie знаła Croyda i nie była pewna, czy chce poznać.

Ostatecznie zwyciężyła rozsądna dziewczyna z Long Island. Przyspieszyła kroku i pomaszerowała naprzód, kwitując to tylko pogardliwym prychnięciem.

— Nie.

— Posłuchaj, Jennifer, naprawdę cię lubię. Nie chcę tego robić.

— Czego? — spytała i obejrzała się przez ramię. W tej samej chwili Croyd krzyknął:

— Stać!



A potem zniknął. Jennifer potrząsnęła głową, by wyrwać się z otępienia. Spojrzała tylko przez ramię, a wtedy on... Ten gnojek. Ten zdradziecki gnojek. Oczywiście już go nie było. Miał tylko pięć minut przewagi, ale to wystarczyło, by skrócić za róg i rozplątać się w nocy. Nie zamierzała za nim biec. Co właściwie mogłaby mu zrobić, gdyby go dogoniła?

Zostawił jej nawet kopertę, wetkniętą za dekolt sukienki. Najwyraźniej wepchnął ją tam, gdy już wyjął pieniądze, jakby wrzucał śmieć do kosza. Pewnie jeszcze ją obmacał. Jakby to było zabawne.

Ale nie — gdy wyciągała zmiętą kopertę, poczuła w środku banknoty. Croyd zabrał z tego najwyżej połowę. Jennifer zachichotała. Zdradziecki, honorowy gnojek. Co za dziwny człowiek.

— Hej! Ty tam!

Zza rogu wynurzyła się znajoma sylwetka Pana Betona i jego kumpli.

— Teraz zobaczysz! — wykrzyknął przywódca bandy.

Rzuciła się biegiem. Coraz lepiej radziła sobie z bieganiem na wysokich obcasach. Oczywiście nie mogła ich zatrzymać już długo. Nie miała szans prześcignąć tych gości. Wiedziała, że jeśli ją złapią, prawdopodobnie nie przeżyje. Nie zostawiło to dużego wyboru. Skręciła, biegnąc prosto na mur, powtarzając w myślach, trzymaj się, trzymaj, trzymaj...

Stanik, majtki, pieniądze. To było jej niezbędne. Stanik, majtki, pieniądze. Stanik, majtki, pieniądze. Dotarła do ściany i biegła dalej.

Nabuzowana adrenaliną, używała teraz mocy bez wysiłku. Całe jej ciało stało się widmowe, poczuła, jak mury przesuwają się obok niej niczym podmuch wiatru. Czuła nawet ruch pieniędzy, sunących jak cienie. A gdy zmaterializowała się po drugiej stronie, stała w sali pełnej ludzi. Zastygła nieruchomo na pluszowym, czerwonym dywanie i zorientowała się, że spogląda na nią kilkadziesiąt osób w wieczorowych strojach. Wyglądało to na afterparty w jakiejś wytwornej restauracji. Stojący nieopodal kelner zastygł, podnosząc z tacy porcję sernika. Kilka osób siedziało nieruchomo z widelcami uniesionymi do ust. Brzęknęła filiżanka — ktoś upuścił swoją kawę.

Zostawiła na ulicy sukienkę i buty, ale wciąż miała bieliznę. Mimo wszystko chyba nie spełniała wymagań dress code'u. Ale co najważniejsze, wciąż miała kopertę z pieniędzmi. Zacisnęła ją w dłoni, jakby trzymała kotwicę. Nie zwracając uwagi na rumieniec wypełzający na twarz, uśmiechnęła się szeroko i pomachała.

— Życzę przyjemnego wieczoru! — zawołała. Potem przebiegła przez ścianę do sąsiedniego pomieszczenia.

— Tak, to cały Manhattan — mruknął ktoś za jej plecami.

Odkryła, że jej moc pozwala nie tylko przenikać przez bariery, ale także podróżować wzdłuż nich. Nie musiała spadać przez chodnik, by dostać się na stację metra przy Grand Street. Mogła wtopić się w chodnik, ześlizgnąć po ścianie i wyjść tam, gdzie chciała. Jak się okazało, niewiele to pomogło, bo gdy zmaterializowała się na peronie, czekało tam dwóch zamaskowanych bandytów. Pewnie sforsowali bramkę metra. Gdy rzucili się w jej stronę, po prostu cofnęła się i znów zaczęła wędrować, ukryta w materii ścian.

Może gdyby tam została, wtopiona w mur, mogłaby odczekać, aż sobie pójda. Ale nie, musiała iść dalej. Gdy zbyt długo stała w bezruchu, miała wrażenie, że czuje się coraz bardziej rozproszona, jakby jej cząsteczki zaczynały dryfować w różnych kierunkach. Przyprawiało ją to o zawroty głowy, więc szła naprzód. Wydostała się z metra i wróciła na ulicę, ale zamiast iść chodnikiem, gdzie na pewno jej szukali, poruszała się niepostrzeżenie, jakby lotem ptaka, przecinając budynki i zaułki. Stopy miała pocięte i poobijane od przebiegania boso przez najgorsze zakamarki miasta. Drżała z nocnego chłodu.

Nie była pewna, jak daleko zawędrowała, skupiła się tylko na tym, by jak najbardziej oddalić się od prześladowców. Płuca paliły ją z wysiłku. Minęło może pół godziny, ale ciągnęło się jak pół nocy.

Wychodząc z walącej się rudery, zobaczyła brzeg East River i dopiero teraz zdołała ocenić, jak daleko zaszła. Może teraz już była bezpieczna.

Zawroty głowy znów wróciły, świat zakołysał się jej przed oczami, a żołądek aż skręcił z mdłości. Upadła na ścianę i zamiast przez nią przelecieć, po prostu się oparła i zsunęła w dół,

obcierając plecy. Była zbyt zmęczona, musiała odpocząć. Co się stanie, jeśli nadal będzie tak znikać? Czy w końcu zapomni, jaki jest jej fizyczny kształt, aż jej cząsteczki zaczną rozpadać się na wietrze? Uznała, że to całkiem prawdopodobne, i przeraziła się śmiertelnie. Tak realistyczne wyobrażenie mogło stanowić jakiś znak. Jej moc próbowała coś przekazać.

Pobiegła przed siebie, tym razem nie korzystając z pomocy ścian. Skręciła i podążyła wzdłuż rzeki na północ.

W pewnej chwili z gęstego mroku wynurzyły się ozdobne schody, po obu stronach strzeżone przez kamienne lwy. Za rogiem znajdowało się mniej okazałe wejście, za to szersze i jasno oświetlone. Ponad nimi jarzył się czerwony napis: AMBULATORIUM, a tablica nad głowami kamiennych lwów oświetlona lampą głosiła: KLINIKA PAMIĘCI BLYTHE VAN RENSSAELER.

Jennifer uznała, że jeśli nie będzie bezpieczna w szpitalu, to nie będzie bezpieczna nigdzie.

Podeszła do wejścia do ambulatorium, ale zawahała się, widząc przy nim niezwykle wysokiego, zielonoskórego dzokera. Był w mundurze — a gdzie ponaddwuipółmetrowy człowiek mógłby dostać mundur? Pewnie był to ich nocny strażnik.

Postanowiła ominąć wejście i zamiast tego wejść za róg i przeniknąć przez tylną ścianę. Znów poczuła zawroty głowy. Naprawdę miała ich już dosyć. Na szczęście światło było przyćmione, a korytarze puste. Znalazła jakąś otwartą szafkę, a w środku, tak jak się spodziewała, pielęgniarskie ubrania. Były tam nawet buty — właściwie pokrowce na obuwie, ale musiały wystarczyć. Zielona koszula i spodnie nie były wprawdzie uszyte wedle najnowszej mody, ale przynajmniej zakrywały, co trzeba. Dla pewności włożyła jeszcze biały kitel.

Podeszła do poczekalni ambulatoryjnej i usiadła na pierwszym krześle z brzegu.

W szpitalu nie było cicho. Ktoś krzyczał przez trzeszczący głośnik w korytarzu, pijany mężczyzna bełkotał coś do pielęgniarki na recepcji, a po drugiej stronie sali kobieta o skórze jak papier ścierny i włosach jak druty uspokajała płaczące niemowlę. Dziecko było owinięte kocykiem i nie dało się stwierdzić, czy też jest dzokerem. Co dziwniejsze, pomimo tego wszystkiego Jennifer poczuła, jak spływa na nią błogi spokój. Żadnej dudniącej muzyki, żadnych pogoni, żadnych zagrożeń. Odetchnęła głęboko, po czym rozsiadła się wygodniej i zasnęła na krześle.

Poderwała się nerwowo, gdy zawyła syrena i do wejścia podjechała karetka. Chwilę później obok przebiegło dwóch sanitariuszy, popychając przed sobą nosze. Pacjent ledwie się na nich mieścił, jego długie kończyny zwisały na boki. Wężlaste mięśnie pracowały gorączkowo, gdy szamotał się słabo, odpychając pomagających mu ludzi. Jennifer poznała go — to był największy z bandytów, którego nazywali Panem Betonem. Z przodu na koszuli rozlewała się czerwona plama, jakby od ciosu nożem. Nosze zniknęły za przepierzeniem, śladem pacjenta natychmiast pobiegli lekarz i pielęgniarka.

Jennifer skuliła się na krześle, próbując nie zwracać na siebie uwagi. Nie wiedziała, co będzie, jeśli ją tu znajdą, lecz nikt więcej nie przyszedł. Nie musiała przenikać przez kolejną ścianę. Ale już nie pozwoliła sobie na ulgę. Patrzyła na przepierzenie, czekając, kiedy przywódca gangu stamtąd wyjdzie i spróbuje ją dopaść.

— Moja droga, czy coś się stało?

Jennifer podskoczyła na krześle i cofnęła się odruchowo.

Mężczyzna był niski, drobny, o raczej zaskakującej powierzchowności. Miał metalicznie rude włosy związane w kucyk i delikatne rysy, a pod kitel założył kanarkowożółtą koszulę

w esy-floresy i obcisłe zielone spodnie. Zamrugła.

— Przepraszam. Nie chciałem cię wystraszyć — powiedział nieznajomy, wykonując uspokajający gest. Mówił z lekkim akcentem, egzotycznym i raczej ujmującym.

— Nie, wszystko w porządku... Po prostu jestem zmęczona.

— Najpierw myślałem, że jesteś pielęgniarką, ale chyba cię nie znam.

— Nie — odparła z lekkim uśmiechem.

— Wyglądasz, jakby stało się coś złego. Mogę w czymś pomóc?

Miał życzliwą twarz, łagodny uśmiech. Od razu go polubiła i z trudem oparła się pokusie, by rzucić mu się na szyję, wybuchnąć płaczem i opowiedzieć o wszystkim.

— N-nie... Nic mi nie jest. Po prostu muszę odpocząć.

Mężczyzna zmierzył ją wzrokiem. Miał absolutnie niesamowite, fiołkowe oczy. Przez chwilę wyglądał, jakby chciał powiedzieć coś jeszcze. Potem zacisnął usta i chwila minęła.

— W porządku. Ale gdybyś czegoś potrzebowała, możesz się zwrócić do mnie.

— Dziękuję.

Mężczyzna odszedł. Nawet w lekarskim kitlu poruszał się elegancko i z wdziękiem, choć najwyraźniej był równie zmęczony jak ona.

Pijany pacjent usiadł pod tą samą ścianą, jakieś dziesięć krzeseł dalej.

— Pewnie odczytał twoje myśli, wiesz? — powiedział niespodziewanie.

— Co? — wykrztusiła Jennifer.

— Ciągle tak robi. Czyta ludziom w myślach. To doktor Tachion.

No jasne. A zatem wiedział. Spojrzał na nią, poznał jej myśli, musiał więc wiedzieć, że była asem. Wiedział o niej wszystko. I nic nie powiedział. Nic się nie stało. Miała ochotę się roześmiać.

Gdy niebo za oknem zaczęło blednąć, uznała, że czas wychodzić. Wciąż nie znalazła Tricii.

Ale perkusista powiedział, że pojechała do Tony'ego. Może dałoby się znaleźć jego numer w książce telefonicznej. Może gdyby zadzwoniła i poprosiła Tricię do telefonu... Na pewno ktoś w „CBGB” wiedział, gdzie mieszka. Albo miał jego numer. Jeszcze nie osiągnęła celu.

Piechotą wróciła na Bowery. Latarnie zgasły, a ona nawet tego nie zauważyła. Ulicą zaczęły jeździć ciężarówki z gazetami. A zatem już ranek. Przez całą noc biegła po mieście. Co za przygoda. Nie mogła opanować uśmiechu.

Poranny ruch uliczny przybierał na sile, ludzie wychodzili na ulicę, sprzedawcy odsłaniali witryny. Przechodnie czasem na nią zerkali, gdy przechodziła obok — potargana, w pielęgniarskim stroju i białym kitlu — ale się nie gapili. Nie wyglądała normalnie, ale co właściwie było normalne w tej dzielnicy? Uznała, że nie ma sensu czuć się głupio.

W oddali wyrósł przed nią szyld baru, najwyraźniej popularnego wśród miejscowych. Poczowała, że burczy jej w brzuchu. Była wściekle głodna, więc szybko uznała, że duży talerz sadzonych jajek i racuchów będzie świetnym remedium. W końcu niosła w kieszeni kitla przynajmniej kilkanaście tysięcy dolarów. Mogła za to kupić dobre śniadanie. Mogła nawet zafundować posiłek wszystkim w barze.

Minęła witrynę, kierując się do frontowych drzwi. Potem cofnęła się o kilka kroków i znów spojrzała do wnętrza. Przy środkowym stoliku, tuż przy oknie siedziała Tricia, a obok niej dwóch facetów z zespołu, wokalista i gitarzysta, i jeszcze jedna fanka. Gitarzysta bębnił dwudziestoma palcami po stole, włosy wokalisty rozsiewały mdły blask w świetle poranka.

Wszyscy pili kawę i śmiali się, jakby nigdy nic. Na zastawionym stoliku dostrzegła puste talerze i dzbanek kawy. Mogli tu siedzieć nawet całą noc.

Jennifer zastukała lekko w szybę, choć w rzeczywistości miała ochotę przebić ją pięścią.

Tricia uniosła głowę i otworzyła usta. Zamrugła. Jennifer podeszła do frontowych drzwi, a potem pomaszerowała prosto do stolika. Tricia gapiła się na nią zaskoczona. Jennifer założyła ręce na piersiach. Pozostała trójka poruszyła się niespokojnie, widząc jej wściekłą minę.

W końcu Tricia odzyskała głos.

— O mój Boże, Jennifer, gdzieś ty była! Przegapiłaś odjazdową imprezę!

Tak jakby sama była sobie winna, że zostawiono ją bez ostrzeżenia w najbardziej szemranej dzielnicy w mieście. Jennifer miała ochotę powiedzieć tyle różnych rzeczy naraz.

Przez chwilę myślała nad odpowiedzią.

— Odnoszę wrażenie, że moja impreza mogła być jeszcze lepsza. — Uniosła skraj kitla, odsłaniając pielęgniarski strój. — Trish, czemu na mnie nie zaczekałaś? Czemu nie powiedziałaś, dokąd idziesz? Szukałam cię po całym mieście!

Tricia wierciła się nerwowo, a w końcu zamrugła i wzruszyła ramionami.

— Myślałam, że stoisz tuż za mną. Naprawdę.

Jennifer nie wiedziała, co na to odpowiedzieć. Naprawdę nadszedł czas, żeby wracać. Odwróciła się na pięcie i wyszła. Nie spodziewała się, że Tricia za nią pobiegnie, a przyjaciółka całkowicie spełniła te oczekiwania. Usłyszała tylko jej głos, gdy zawołała:

— Jennifer, zczekaj! O Boże, nie musisz się od razu obrażać!

Po wyjściu oparła się o ścianę, zbyt zmęczona, by się złościć, zbyt otępiała, by myśleć, kompletnie nie wiedząc, co teraz zrobić. Biegała przez całą noc i co jej z tego przyszło? Pęcherze na stopach. Nagły przypływ szacunku dla swojego asa. I koperta pełna banknotów.

Nie mogła zanieść ich na policję. Nie miała ochoty ich wydawać. Co jeszcze mogła z nimi zrobić? Chyba tylko wrzucić do rynsztoka, żeby znalazł je jakiś bezdomny i wydał na gorzałę.

A może...



Wróciła do kliniki w Dżokerowie. Pamiętała, że na ścianie tuż przy wejściu zamieszczono skrzynkę z wyciętą szczeliną i tabliczkę DATKI. „Liczy się każdy cent”, głosił mniejszy napis pod spodem.

Przeniknęła przez drzwi i podkrađła się do skrzynki wzdłuż ściany, mając nadzieję, że nikt jej nie zauważy. Wokół panowała cisza, pielęgniarka na recepcji siedziała z głową opartą na rękach. Chyba zbliżał się koniec jej zmiany.

Jennifer szybko wsunęła kopertę do skrzynki. Nie było to łatwe — szczelina była przeznaczona na banknoty i drobne monety, nie koperty z rocznym dochodem — ale w końcu się udało i datek wpadł do środka z głuchym stukotem.

Przez chwilę wpatrywała się w skrzynkę. Jeszcze mogła zmienić zdanie. Mogła wyciągnąć kopertę z powrotem. Nie, nie mogła. Croyd sam powiedział: „Są decyzje słuszne i słusniejsze”, a ona była przekonana, że to najszlachetniejsza decyzja, jaką podjęła od wczoraj.

Z drugiej strony, żeby wrócić do domu, potrzebowała trochę drobnych na metro. Wsunęła rękę do skrzynki i wyciągnęła jeden pognieciony banknot. Potem drugi, żeby zyskać jakąś rekompensatę za zgubione ubrania i biżuterię. To chyba uczciwe, prawda? Już sięgała po trzeci,

gdy uznała, że już i tak ma więcej niż dość.

Wyszła z ambulatorium niemal w podskokach. Wsunęła ręce w kieszenie kitla i ruszyła ulicą przed siebie, uśmiechnięta, z uniesioną głową.



Nadchodzi łowca

JOHN J. MILLER

Jeżeli pragniesz jasno ujrzeć prawdę, porzuć to wszystko, co jest za lub przeciw.

— Jianzhi Sengcan, *Strofy wiary w umysł*

I.

Brennan patrzył, jak z otoczenia znikają wszelkie kolory, w miarę jak autobus opuszczał chłód gór, wjeżdżając w lepki, miejski upał. Łąki i trawiaste równiny zniknęły, wyparte przez niekończące się asfaltowe parkingi. Budynki sięgały coraz wyżej, tłocząc się coraz bliżej ulic. Ołowiane latarnie wyparły rosnące wzdłuż drogi drzewa. Nawet niebo zrobiło się ponure i szare, grożące deszczem.

Wysiadł w Port Authority wraz z resztą pasażerów. Wszyscy natychmiast podążyli do swoich licznych celów, unikając spojrzeń innych, zgodnie z tradycją mieszkańców miast. Nikt nie zwracał na niego uwagi. Nie było na co patrzeć.

Był wysoki, ale nie przesadnie, raczej smukły niż krępy. Miał duże dłonie, opalone i pokryte bliznami, żyły i ścięgna wiły się pod skórą jak grube druty. Twarz miał smagłą, szczupłą i zupełnie niepozorną. Ubrany był w dżinsową kurtkę, postrzępioną i wyblakłą od słońca, ciemny bawełniany podkoszulek, nową parę dżinsów i ciemne sportowe buty. W ręku niósł małą, miękką torbę podróżną, w drugiej płaską skórzaną teczkę.

Czterdziesta Druga Ulica tuż przy dworcu Port Authority była pełna ludzi. Wtopił się w tłum przechodniów, pozwalając, by prąd zabrał go na Manhattan, w miejsce niewiele tylko lepsze od słynnego Dżokerowa. Odłączył się od grupy po kilku przecznicach i po kruszących się kamiennych schodkach wszedł do Ipswich Arms, szemranego hoteliku, wyjątkowo popularnego wśród miejscowych prostytutek. Najwyraźniej sporo osób zaspokajało w Dżokerowie swoje perwersje. Numerki były tutaj tańsze niż gdziekolwiek indziej, a jeśli krążące o nich plotki były prawdą, także o wiele bardziej perwersyjne.

Recepcjonista spojrział z powątpiewaniem na gościa, który zgłosił się sam, do tego z bagażem, ale wziął pieniądze i zaprowadził go do pokoju, który okazał się mniej więcej tak ciasny i brudny, jak można się było spodziewać. Brennan zamknął drzwi, postawił torbę na podłodze, a potem ostrożnie położył teczkę na zarwanym łóżku.

W pokoju panowała straszna duchota, ale Brennan przeżył już gorsze upały. W ciasnym pokoju pośród brudnych ścian czuł się trochę klaustrofobicznie, ale otwieranie okna nic by nie dało. Położył się na łóżku, wpatrując się w obłazący z farby sufit, prawie nie dostrzegając biegających po nim karaluchów. Przed oczyma wciąż widział słowa otrzymanego wczoraj listu:

Kapitanie, on tu jest. Widziałem go i obawiam się, że on także mnie zobaczył i rozpoznał.

Spotkajmy się w restauracji. Proszę zachowywać się ostrożnie, ale swobodnie.

Nie było podpisu, ale bez trudu rozpoznał eleganckie, precyzyjne pismo Minha. Nie podał adresu, ale Brennan go nie potrzebował. Przed trzema laty, gdy niepostrzeżenie wrócił do Stanów, Minh ukrywał go w swojej restauracji przez kilka dni. Nie miał też wątpliwości, o kim jego przyjaciel wspomina w tym tajemniczym liście. To mógł być tylko Kien.

Zamknął oczy i zobaczył twarz: męską, chudą i drapieżną. Próbował sprawić, by zniknęła, wymazać ją z umysłu, przywołując z głębi świadomości odgłos klaskania jedną ręką. Próbował, ale nie zdołał. Twarz uśmiechnęła się, jakby drwiąc z jego bezsilności. Potem wybuchnęła śmiechem.

Usiadł na łóżku, czekając na zmrok i na to, co miał ze sobą przynieść.

II.

Powietrze było nieruchome i zatykało nozdrza miazmatem siedmiu milionów ludzi stłoczonych na zbyt małej powierzchni. Po trzech latach spędzonych w górach zupełnie odwykł od miasta, ale wciąż potrafił wykorzystać jego topografię. Jeden człowiek pośród tysiący — widziano go, ale nie dostrzegano, słyszano, ale nie zapamiętywano. Niezauważony zmierzał do restauracji Minha na Elizabeth Street, niosąc w ręku skórzaną teczkę.

Był wczesny wieczór i na ulicy wciąż było sporo potencjalnych klientów, ale restauracja była zamknięta. Bardzo dziwne.

Westybul, jedyna część wnętrza widoczna z ulicy, była zupełnie ciemna. Tabliczka wisząca na szklanych drzwiach głosiła: „Zamknięte. Zapraszamy później” po angielsku i wietnamsku. Trzej mężczyźni, miejscy żule, stali na ulicy przed wejściem, rozmawiając i dowcipkując.

Brennan skręcił za róg, próbując opanować nagły niepokój. Przeprowadził serię ćwiczeń z oddechem, które zapamiętał z pierwszej lekcji u Ishidy, jaką otrzymał, gdy zdecydował się studiować Ścieżkę. Niepokój, strach, nerwowość, nienawiść — żadne z tych uczuć nie przynosiło mu pożytku. Potrzebował całkowitego spokoju, niczym tafla czystego, niezmaconego górskiego stawu.

A zatem Kien przeżył. Zawsze podejrzewał, że tak się stanie. Był sprytny, podstępny i gotów przetrwać za wszelką cenę — upadek Sajgonu był dla niego zaledwie drobną niedogodnością. Brennan wiedział, że upłynie trochę czasu, nim znów stanie na nogi, ale obecnie musiał już dysponować siatką agentów równie potężną i bezlitosną co jego dawna organizacja w Wietnamie. Biorąc pod uwagę, że dostarczenie listu musiało potrwać kilka dni, tamci mieli do dyspozycji dość czasu, by odnaleźć Minha.

Skręcił za róg i niezauważony przez innych przechodniów wślizgnął się w zaułek na tyłach restauracji. Było tam ciemno i cicho jak w grobie. Przycupnął obok sterty niezebranych śmieci, nasłuchując. Wzrok szybko przyzwyczał mu się do ciemności, ale nie widział nic, prócz buszujących kotów. Nie słyszał też nic, prócz szelestu ich łap, gdy szperały w śmieciach.

Położył teczkę na ziemi i otworzył zamki. Nie potrzebował światła, by złożyć to, co niósł w środku. Z trzaskiem złożył ramiona, górne i dolne, mocując je do majdanu pewnym, wyćwiczonym ruchem, nałożył cięciwę na dolną końcówkę, przeszedł nad nią, przytrzymał stopą, nagiął górne ramię na udzie i przełożył cięciwę przez górną końcówkę. Przesunął palcem

po napiętej cięciwie i uśmiechnął się, słysząc niski, wibrujący śpiew.

Trzymał w ręku łuk klasyczny, mierzący ponad metr, zrobiony z wielu warstw włókna szklanego nałożonego na cisowy rdzeń. Brennan wiedział, że to dobry łuk — był jego własnej roboty. Naciąg prawie trzydziestu kilo w pełni wystarczał, by powalić sarnę, niedźwiedzia albo człowieka.

W teczce była także trójpalczasta skórzana rękawica, którą nałożył na prawą dłoń i mały kołczan — Brennan przypiął go do paska rzepami. Wyjął jedną ze strzał. Miała szeroką, łowiecką końcówkę z czterema ostrymi zadziornami. Luźno nałożył ją na cięciwę i cicho, ciszej niż koty buszujące w śmietniku, podkradł się do drzwi restauracji.

Wciąż nasłuchiwał, ale wewnątrz panowała cisza. Napał na drzwi, odkrył, że są otwarte, i uchylił je o centymetr. Ze środka padła smuga światła. Zorientował się, że spogląda na kuchnię. Ona także była pusta i cicha.

Wślizgnął się do środka — milcząca plama cienia w jasnym pomieszczeniu, pełnym porcelany i nierdzewnej stali. Poruszając się szybko, nisko pochylony, podbiegł do podwójnych rozkładanych drzwi prowadzących do jadalni i ostrożnie spojrzął przez owalne okienko. Zobaczył dokładnie to, czego się obawiał.

Kelnerzy, kucharze i kilkoro klientów kuliło się w kącie sali pod czujnym spojrzeniem człowieka trzymającego broń automatyczną. Jego dwaj towarzysze przyciskali Minha do ściany, podczas gdy trzeci bił go skórzaną pałką. Twarz przesłuchiwanego była posiniaczona i zakrwawiona, a oczy tak podpuchnięte, że nie mógł ich otworzyć. Mężczyzna z pałką zadawał pytania.

Brennan przykucnął na podłodze, zaciskając zęby. Wściekłość kłębiła mu się w żyłach, aż rumieniec wypełził mu na twarz.

Kien rozpoznał Minha i kazał go ścigać, bo wiedział, że jako jeden z niewielu ludzi w Stanach byłby w stanie go rozpoznać. Zarówno on, jak i Brennan pamiętali też, jak kiedyś, jako generał Armii Republiki Wietnamu, wykorzystał swoją pozycję, by zdradzić zarówno swój kraj, jak i swych amerykańskich sojuszników. Brennan zdawał sobie sprawę, że niezależnie od tego, jaką działalnością zajął się w swojej nowej ojczyźnie, władze z pewnością go szanowały i być może trochę się go bały. Sam, jako że odszedł z wojska po skandalu związanym z upadkiem Sajgonu, został potępiony i wyjęty spod prawa. Nikt nie wiedział, że wrócił do kraju, i on sam wolał, żeby tak zostało.

Sięgnął do tylnej kieszeni, wyciągnął kaptur i naciągnął go na twarz, aż całkowicie zakrył jego rysy, od górnej wargi, po czubek głowy.

Odetchnął głęboko, by utopić swoje emocje w czystej pustce, zapomnieć o wściekłości, strachu, swoim przyjacielu, o chęci zemsty, nawet o sobie samym. Stał się niczym, by móc być wszystkim. Nie był ani zły, ani spokojny. Bezgłośnie wstał z podłogi, przeszedł przez drzwi, opadł na kolano za stołem i naciągnął pierwszą strzałę.

Ciche, pewne słowa Ishidy, roshiego, jego mistrza, rozbrzmiewały mu w głowie jak dźwięk olbrzymiego dzwonu.

Bądź jednocześnie celującym i celem, uderzanym i uderzającym. Bądź pełnym naczyniem czekającym na opróżnienie. Pozbądź się swego ciężaru, gdy nadejdzie właściwa chwila, nie myśląc i nie kierując, i w ten sposób poznaj Ścieżkę.

Patrzył przed siebie, nie widząc, zapominając, czy jego celami są ludzie, czy bele siana. Wypuścił pierwszą brzechwę, sięgnął do kołczana, wy dobył drugą, naciągnął, uniósł łuk

i naciągnął cięciwę, nim pierwsza strzała zakończyła lot.

Dosięgnęła celu, gdy poprawiał pozycję, by namierzyć trzeci cel. Dostrzegli atak w chwili, gdy nadleciała druga strzała, a czwarta opuściła cięciwę. Ale było już za późno.

Wybrał kolejność celów, jeszcze nim pogrążył się w pustce. Pierwszym miał być człowiek z uniesionym pistoletem, pilnujący zakładników. Strzała trafiła go w plecy, wysoko, z lewej strony. Przebiła serce, płuco i wynurzyła się z piersi na piętnaście centymetrów. Impet ciosu rzucił go naprzód, w ramiona zaskoczonego kelnera. Obaj wpatrywali się w aluminiowy pręt sterczący z piersi. Bandyta otworzył usta, by zakląć lub się pomodlić, ale chlusnęła z nich krew, zagłuszając wszelkie słowa. Runął bezwładnie, gdy nogi odmówiły mu posłuszeństwa, a kelner upuścił go na podłogę.

Mężczyźni trzymający Minha puścili więźnia. Osunął się na podłogę, gdy sięgnęli po broń do pasków. Dłoń jednego z nich została przyszpilona do brzucha, zanim zdołał dobyć pistoletu, drugi wpadł na ścianę. Upuścił pistolet i ścisnął w dłoni brzechwę przygwożdżony do ściany niczym owad na desce. Ostatni, ten, który przesłuchiwał Minha, obrócił się i został trafiony w bok. Strzała, skierowana nieco w górę, wślizgnęła się pomiędzy żebra, przebiła serce i wbiła się w prawy bark.

Minęło dziewięć sekund. Nagłą ciszę przerywało tylko szlochanie mężczyzny przygwożdżonego do ściany.

Brennan przemierzył salę w kilkunastu krokach. Zakładnicy wciąż byli zbyt oszołomieni, by się poruszyć. Dwóch bandytów leżało martwych. Brennan nie czerpał z tego przyjemności, tak samo jak nie sprawiało mu radości zabijanie saren na mięso. Po prostu było konieczne. Nie odczuwał też żalu.

Mężczyzna z raną brzucha leżał skulony na podłodze, zemdłony i w szoku. Drugi, przygwożdżony do ściany, wciąż był przytomny. Jego rysy wykrzywił grymas strachu, a gdy spojrział w oczy Brennana, szloch przeszedł w zawrodo.

Brennan spojrział na niego beznamiętnie. Wydobył strzałę z kołczana. Tamten zaczął bełkotać. Łucznik uniósł strzałę i zamachnął się błyskawicznie. Grot niczym brzytwa podciął bandycie gardło. Brennan odszedł o krok, by uniknąć strumienia krwi. Wsunął strzałę z powrotem do kołczana i ukląkł obok Minha.

Był w kiepskim stanie. Połamano mu wszystkie kończyny — stanie w takiej pozycji, do jakiej zmusili go bandyci, musiało sprawiać straszny ból — prawdopodobnie miał też poważne obrażenia wewnętrzne. Oddychał płytko, z wysiłkiem. Nie mógł otworzyć podpuchniętych oczu, a pewnie nawet wtedy nie mógłby skupić wzroku.

— *Ông là ai?* — szepnął, czując ostrożny dotyk Brennana. „Kim jesteś?”

— Brennan.

Minh uśmiechnął się upiornie. Krew zabulgotała mu w ustach i zalsniła na zębach.

— Wiedziałem, że pan przyjdzie, kapitanie.

— Proszę nic nie mówić. Musimy wezwać...

Minh potrząsnął głową. Było widać, że ten wysiłek dużo go kosztuje. Zakaszłał i skrzywił się z bólu.

— Nie. Umieram. Muszę powiedzieć wszystko. To Kien. On za tym stoi. Chcieli wiedzieć, czy komuś o nim mówiłem, ale nic ze mnie nie wyciągnęli. Nie znają pana.

— Poznają — obiecał Brennan.

Minh znów zakaszłał.

— Miałem nadzieję, że pomogę. Jak za dawnych czasów. Jak za dawnych czasów. — Przez chwilę wyglądał, jakby błądził gdzieś myślami. Brennan uniósł wzrok.

— Wezwijcie karetkę — rozkazał. — I policję. Powiedźcie im, że na ulicy od frontu stoi jeszcze trzech. No już.

Jeden z kelnerów zerwał się, by wykonać polecenie. Reszta tylko gapiła się w oszołomieniu.

— Pomóc — powtórzył Minh. — Pomóc. — Przez chwilę milczał, a potem zebrał się w sobie, jakby do ostatniego wysiłku, starając się mówić logicznie i wyraźnie. — Musi pan... Musisz słuchać uważnie. Blizna porwał Mai. Szedłem za nim. Chciałem się dowiedzieć, gdzie ją zabrał, i zobaczyłem go razem z Kieniem na siedzeniu limuzyny. Idź do Poczwarki. Kryształowy Pałac. Może ona wie, gdzie ją zabrał. Nie zdołałem... ustalić... — Ostatnie słowa zagłuszył kaszel.

— Dlaczego ją porwali? — spytał łagodnie Brennan.

— Jej ręce. Jej krwawe ręce.

Brennan otarł przyjacielowi krople potu z czoła.

— Spokojnie. Teraz odpoczywaj.

Ale Minh nie słuchał. Uniósł rękę, by chwycić Brennana za ramię.

— Znajdź... Mai. Pomóż... jej.

Potem znów się położył i westchnął. Krew spieniła mu się na ustach.

— *Tôi met* — wyszeptał. „Jestem zmęczony”.

Brennan zacisnął zęby, by zwalczyć ból, i odpowiedział cicho, po wietnamsku:

— To odpocznij.

Minh skinął głową i umarł.

Brennan położył go ostrożnie i usiadł na piętach, mrugając szybko. *Jeszcze jedna* — powiedział sobie w duchu. *Jeszcze jedna śmierć. Jeszcze jedna rzecz, za którą Kien musi w końcu odpowiedzieć.*

Wstał, rozejrzał się i dostrzegł jedynie strach na twarzach ocalonych ludzi. Nie było sensu czekać. Policja będzie tylko zadawać niewygodne pytania. Na przykład zapytają, jak się nazywa. Mnóstwo ludzi tylko czekało na wiadomość, że Daniel Brennan żyje i wrócił do Stanów. Kien był tylko jednym z nich.

Musiał opuścić to miejsce. Podążyć niepewnym tropem otrzymanym od Minha. Poczwarka. Kryształowy Pałac.

Ale potem zatrzymał się, po czym odwrócił do uwolnionych zakładników.

— Potrzebuję czegoś do pisania.

Jeden z kelnerów miał przy sobie mazak i podał mu go bez słowa. Brennan przystanął. Chciał zostawić wiadomość, po której Kien będzie się budził w nocy, zlany zimnym potem. Nie od razu zrozumiałby, o co chodzi — dopiero później po wielu wiadomościach, wielu zmarłych agentach.

Wypisał ją na ścianie obok mężczyzny przyszpilonego strzałą. *Idę po ciebie*. Przerwał, zanim zdążył się podpisać. Nie, to zły pomysł. Imię usunęłoby element niepewności, dało Kienowi, jego agentom i jego kontaktom wśród władz zbyt konkretny trop. Uśmiechnął się, czując przypływ inspiracji.

Kryptonim jego ostatniej misji w Wietnamie, podczas której Kien zdradził cały oddział,

wydając ich w ręce Wietnamskiej Armii Ludowej, brzmiał „Operacja Yeoman”. Ta nazwa powinna mu zabić ćwieka. Będzie podejrzewał, że kryje się za nią Brennan, ale nigdy nie zyska pewności. Będzie go to dręczyć, przypominać czyny, które od dawna uważał za pogrzebane. Poza tym nazwa zdawała się pasować, tkwiła w tym jakaś ponura ironia. Spodobała mu się.

Podpisał wiadomość „Yeoman”, a potem szybko narysował asa pik — wietnamski symbol śmierci i nieszczęścia — i zamalował symbol na czarno. Wietnamscy kelnerzy i pomocnicy szemrali między sobą, a kelner, który dał Brennanowi długopis, nie chciał wziąć go z powrotem. Potrzaśnął tylko głową szybkim, ptasim ruchem.

— Jak wolisz — zgodził się Brennan. — Słuchajcie, jak stąd dojść do Kryształowego Pałacu?

Jeden z pracowników zdołał wykrztusić kilka wskazówek. Brennan skinął głową i wyszedł tylnymi drzwiami, przez kuchnię, z powrotem do zaułka. Rozmontował łuk, włożył do teczki i zniknął, nim nadjechała policja. Wciąż nie zdejmując maski, podążył do celu, trzymając się wąskich uliczek i ciemnych kątów, mijając w mroku inne widmowe postacie. Niektóre go obserwowały, inne były pochłonięte własnymi sprawami. Nikt nie próbował go zatrzymać.

Kryształowy Pałac na Henry Street wchodził w skład dwupiętrowego szeregowca ciągnącego się przez całą przecnicę. Prawie połowa została zniszczona podczas Zamieszek w Dżokerowie w 1976 roku i nigdy jej nie odbudowano. Część gruzu uprzątnięto, część zgarnięto na wielkie stosy i zepchnięto pod chwiejące się ściany. Ze szpar i szczelin w ruinach śledziły go lśniące oczy — Brennan nie był pewien, czy ludzkie, czy zwierzęce. Nie miał ochoty sprawdzać. Dotarł w końcu do części budynku, która wciąż stała nienaruszona, wszedł po krótkich schodach pod daszek zasłaniający wejście, potem do małego holu, aż w końcu znalazł się w głównej sali Kryształowego Pałacu.

Była ciemna, zatłoczona i zadymiona. Od czasu do czasu trafiał się jakiś oczywisty dżoker, jak na przykład ten niski, jagodowoniebieski jegomość, prezentujący zakrzywione kły i sprzedający gazety przy wejściu albo dwugłowy śpiewak na scenie, całkiem niezłe wyciągający piosenkę Cole'a Portera. Niektórzy wyglądali całkiem normalnie, chyba że ktoś postanowił przyjrzeć im się z bliska. Brennan zauważył jakiegoś mężczyznę, całkiem przeciętnego, może nawet przystojnego, tyle że pozbawionego ust i nosa. Zamiast nich miał wydłużoną trąbkę, którą wsunął do szklanki niczym słomkę. Niektórzy mieli stroje dodatkowo wydobywające ich osobliwości, jakby buntowniczo podkreślając swoją odmienność. Niektórzy nosili maski, chociaż wielu z zamaskowanych stanowili natole — w slangu dżokerów określano tak normalnych ludzi.

— A ty kto? Akwizytor?

Brennan dopiero po chwili zrozumiał, że pytanie zostało skierowane do niego. Powiódł wzrokiem wzdłuż długiego, drewnianego baru, gdzie dostrzegł dżokera siedzącego na wysokim stołku, wymachującego nogami wysoko nad podłogą. Karzeł miał jakieś metr dwadzieścia i tyle samo w ramionach. Szyja mężczyzny była wysokości puszek tuńczyka i gruba jak męskie udo. Wyglądał solidnie i beznamiętnie, jak blok marmuru.

— Co tam masz? Próbkę towaru? — spytał, wskazując na teczkę potężną łapą, dwa razy większą od dłoni Brennana.

— Narzędzia pracy.

— Sasza.

Jeden z barmanów — wysoki, chudy mężczyzna z cienkim wąsikiem i tłustymi, kręconymi

włosami, opadającymi na czoło, odwrócił się do karła. Kątem oka Brennan zauważył wcześniej, jak z niebywałą zręcznością miesza i nalewa drinki. Dopiero teraz przekonał się, że mężczyzna nie ma oczu — oczodoły przykrywał jeden gładki płat skóry. Barman zwrócił się w stronę przybysza i skinął głową.

— Spokojnie, Elmo. On jest w porządku.

Karzeł skinął głową i po raz pierwszy od początku tej rozmowy przestał wbijać w nieznanomego wzrok. Brennan zmarszczył brwi i już otwierał usta, ale barman go uprzedził. Wskazał drugi koniec baru.

— Tam siedzi.

Brennan zacisnął wargi. Bezoki mężczyzna uśmiechnął się lekko i przyjął zamówienie na kolejnego drinka. Brennan spojrział we wskazanym kierunku i aż zatkało go z wrażenia.

Przy stoliku w kącie siedziała kobieta w towarzystwie szczupłego mężczyzny o jasnobrązowej skórze, ubranego w czerwone kimono haftowane w złote smoki i napisy, które Brennan uznał za magiczne formułki. Był bardzo przystojny, nie licząc wydętego czoła, które trochę szpeciło cały profil. Siedział na zwykłym krześle. Kobieta zajmowała mebel przypominający tron, wykonany z czarnego orzecha i wyłożony czerwonym aksamitem. Postawiła na stole kryształową szklaneczkę wielkości naparstka, z której popijała jakiś miodowy płyn, i z uśmiechem spojrzała prosto na Brennana.

Ubrana była w obcisłe spodnie podkreślające smukłą sylwetkę i drapowany szal zebrany na prawym ramieniu w taki sposób, że lewa pierś pozostawała całkiem naga. Jej skóra była właściwie niewidoczna, odsłaniając cieniste zarysy mięśni i pracujących wewnątrz organów. Brennan widział pulsującą siatkę żył i tętnic biegnących przez ciało. Widział, jak widmowe, na wpół przezroczyste mięśnie trzepoczą i przesuwają się przy każdym jej ruchu. Dostrzegał nawet słabe bicie serca skrytego pod żebrami i drżenie płuc pracujących równo i bez ustanku.

Uśmiechała się. Brennan wiedział, że gapi się na nią otwarcie, ale nie potrafił tego opanować. Wyglądała zbyt dziwnie, by nazwać ją piękną, ale była fascynująca. Odsłonięta pierś byłaby całkiem niewidoczna, gdyby nie delikatna siateczka naczyń krwionośnych i duży, ciemny sutek. Jej twarz... Co można by o niej powiedzieć? Miała niebieskie oczy, kości policzkowe, widoczne pod warstwą mięśni szczęki — wysokie i kształtne, nos był zaledwie dziurą ziejącą w czaszce. Wargi, podobnie jak sutek, były widoczne — pełne i kuszące, wygięte w sardonicznym uśmiechu. Nie miała włosów, które mogłyby ukryć białosc czaszki. Przepchnął się przez tłum w stronę jej stolika, podczas gdy kobieta obserwowała go z... Na ile potrafił odczytać jej mimikę, mógł to być wyraz pobłażliwego rozbawienia. Patrzył, jak porusza się jej gardło, gdy przełykała drinka.

— Proszę wybaczyć... — zaczął i urwał zmieszany.

Zaśmiała się. Jej śmiech brzmiał szczerze, bez śladu goryczy, wyrzutu czy złości.

— Wybaczam, zamaskowany przybyszu — odparła. — Wiem, że stanowię niezły widok. Nikt, kto widzi mnie po raz pierwszy, nie potrafi tego zignorować. Jak zapewne wiesz, jestem Poczwarzka, właścicielka i gospodyni Kryształowego Pałacu. To jest Fortunato.

Czarnoskóry spojrzał na Brennana. W jego rysach w kształcie oczu widać było wschodnią krew. Skinęli głowami w milczeniu. Brennan poczuł, że tego człowieka otacza aura mocy. Nagle zyskał pewność, że stoi naprzeciw asa.

— Jak się nazywasz? — spytała Poczwarzka.

Mówiła z wytwornym brytyjskim akcentem, co pewnie zaskoczyłoby Brennana, gdyby już dawno nie wyczerpał już pokładów zdziwienia na dzisiejszy wieczór. Głos kobiety stał się zamyślony, wyraz twarzy — oceniający, wyrachowany.

— Yeoman — odparł, zastanawiając się, jak wiele może powiedzieć.

— Ciekawe. Oczywiście nie jest to twoje prawdziwe imię.

Brennan spojrzał na nią w milczeniu.

— A chciałybyś je poznać? — spytał jej towarzysza. Uśmiechnął się leniwie, a gospodyni wzruszyła niezobowiązująco ramionami.

Fortunato spojrzał na przybysza. Jego oczy stały się głębsze, ciemniejsze. Brennan wyczuł w nich skłębiony wir rosnącej mocy — mocy, która nagle została skierowana wprost na niego. Zapłonął gniewem, zacisnął pięści, ale wiedział, że nie zdoła powstrzymać nadnaturalnej mocy asa przed spenetrowaniem swego umysłu. Mógł zrobić tylko jedno.

Zaczerpnął powietrza, wstrzymał oddech i pozwolił, by odpłynęły od niego wszystkie myśli. Znów był w Japonii i stał przed obliczem Ishidy, próbując odpowiedzieć na pytanie, które zadał mu roshi, gdy po raz pierwszy zgłosił się do klasztoru.

— Gdy uderzamy dłonią o dłoń, rozlega się dźwięk. Jaki jest dźwięk klaskania jedną ręką?

Brennan bez słowa wysunął przed siebie zaciśniętą pięść. Ishida skinął głową, a trening Brennana rozpoczął się na poważnie. Sięgnął teraz do tamtej wiedzy. Wszedł głęboko w *zazen*, stan medytacji, gdy opróżnił umysł z wszelkich myśli, uczuć, emocji. W końcu, jakby z wielkiej oddali, usłyszał głos Fortunata: „Niezwykłe”, i znów wrócił do siebie.

Fortunato mierzył go uważnym spojrzeniem, jakby z odrobiną szacunku. Poczwarzka patrzyła na nich obu.

— Interesujesz się zen?

— Jestem tylko skromnym uczniem — odparł Brennan. Jego głos zabrzmiał spokojnie, jakby dolatywał z odległego górskiego szczytu.

— Może lepiej porozmawiam z Yeomanem na osobności — zaproponowała Poczwarzka.

— Jeśli chcesz. — Fortunato wstał.

— Jeszcze jedno. — Brennan otrząsnął się jak pies wychodzący z wody i na dobre powrócił do rzeczywistości. Spojrzał na Fortunata. — Nie rób tego więcej.

Fortunato zacisnął usta i skinął głową.

— Jestem pewien, że jeszcze się spotkamy.

Wstał od stolika i odszedł, znikając w tłumie.

Brennan zajął jego miejsce. Poczwarzka taksowała go spojrzeniem.

— Dziwne, że dotąd o tobie nie słyszałam.

— Dopiero co przyjechałam.

Jej wzrok stał się świdrujący, hipnotyzujący. Brennan z wysiłkiem oderwał spojrzenie od oczu unoszących się w pustych oczodołach.

— W interesach? — spytała. Brennan przytaknął. Kobieta pociągnęła łyk napoju, odstawiła szklankę.

— Widzę, że nie jesteś w nastroju na pogawędki. Po co przyszedłeś?

— Ten barman — zaczął. — Jakim cudem tak dobrze sobie radzi bez oczu?

— To łatwe — uśmiechnęła się Poczwarzka. — Tej informacji udzielię ci za darmo. Sasza jest

telepatą... między innymi. Nie martw się, tajemnice, które skrywasz pod maską, są bezpieczne. On tylko prześlizguje się po powierzchni. Dzięki temu Pałac jest bezpieczniejszy. Pokazuje Elmowi, kto jest niebezpieczny albo szalony, kto ma złe zamiary. A Elmo się ich pozbywa.

Brennan przytaknął, czując się nieco bezpieczniej. Z ulgą przyjął wiadomość o ograniczonych zdolnościach barmana. Nie chciał, by ktokolwiek grzebał mu w umyśle.

— Co jeszcze?

— Muszę spytać o dwóch ludzi. O faceta, którego nazywają Blizną, i jego szefa Kiena.

Poczwarka spojrzała na niego spod zmarszczonych brwi. A przynajmniej mięśnie twarzy ściągnęły jej się gwałtownie. Podobnie jak reszta umięśnienia zdawały się wiotkie i niematerialne.

— Wiesz, że mają ze sobą coś wspólnego? O tym wie najwyżej trzech ludzi spoza ich własnego kręgu. To twoi koledzy? — Przez twarz Brennana przebiegł skurcz, a kobieta aż się wzdrygnęła. — Aha. Domyślam się, że nie.

Jej słowa przywiodły na myśl niechciane wspomnienia, wspomnienia zdrady i przemocy. Sasza skierował w ich stronę niewidzące spojrzenie. Elmo stanął na placach, wyciągając szyję. Dobre pół tuzina osób w całej sali zamilkło gwałtownie. Jakiś mężczyzna przycisnął ręce do skroni, a potem zemdłał. Skamlał jak bity pies, gdy towarzysze próbowali wyrwać go z transu. Poczwarka oderwała spojrzenie od Brennana, odprawiła Elma gestem i napięcie z wolna zelżało.

— Są niebezpieczni, obydwaj — powiedziała spokojnie. — Kien to Wietnamczyk, były wojskowy. Zjawił się tutaj jakieś osiem lat temu. Szybko wszedł w handel narkotykami i teraz kontroluje sporą część rynku. Trzyma rękę na większości nielegalnych przedsięwzięć, ale oczywiście dba o porządną fasadę legalności. Ma sieć pralni chemicznych i restauracji. Wspiera organizacje charytatywne i partie polityczne. Zapraszają go na imprezy towarzyskie. Blizna to jeden z jego adiutantów. Nie podlega bezpośrednio Kienowi. Nasz generał dystansuje się od bandytów.

— Co jeszcze możesz powiedzieć o Bliźnie?

— Miejscowy chłopaczek. Nie znam prawdziwego imienia. Mówią na niego Blizna, bo ma całą twarz pokrytą dziwnymi tatuażami. Jakieś maoryskie wzory plemienne.

Brennan spoglądał na nią z niedowierzaniem, bo wzruszyła ramionami. Patrzył, jak poruszają się mięśnie, kości obracają się w stawach. Sutek odsłoniętej piersi podskoczył na poduszce z niewidzialnego ciała.

— Podobno usłyszał o tym od antropologa z uniwersytetu nowojorskiego, który studiował gangi uliczne. Coś o miejskiej kulturze plemiennej. Tak czy inaczej, to wredny sukinsyn. Zbrojne ramię Kiena. Niepokonany w walce wręcz. — Spojrzała na niego uważnie. — Chcesz z nim walczyć.

To nie było pytanie.

— Dlaczego jest niepokonany?

— Ma moc natychmiastowej teleportacji. Potrafi zniknąć szybciej, niż porusza się człowiek, i pojawić się w dowolnym miejscu. Zwykle za plecami przeciwnika. Poza tym jest niesamowicie wredny. Mógłby być kimś, ale za bardzo lubi zabijać. Dobrze się czuje jako adiutant Kiena. Z drugiej strony, nie wychodzi na tym źle. — Przez chwilę bawiła się szklanką, po czym spojrzała prosto na Brennana. — Jesteś asem?

Nie odpowiedział. Przez chwilę patrzyli sobie oczy, aż w końcu Poczwarka westchnęła.

— Czyli nie. Jesteś zwykłym człowiekiem. Naturem. Czemu chcesz walczyć z Blizną?

— Bo jestem człowiekiem. Blizna porwał córkę mojego przyjaciela. Tylko ja mogę jej teraz pomóc.

— A policja? — spytała odruchowo Poczwarzka, po czym zaśmiała się z własnej sugestii. — Nie. Blizna, dzięki Kienowi, będzie chroniony przed policją. Przypuszczam, że nie masz konkretnych dowodów na jego udział w tym porwaniu? Nie? A co z innymi asami? Ciebie, może Fortunato...

— Nie ma czasu. Nie wiem, co przez ten czas zdąży jej zrobić. A poza tym... — na chwilę przerwał i znów cofnął się myślami o dziesięć lat — ...to sprawa osobista.

— Tak podejrzewałam.

Brennan znów wrócił do sali. Wbił spojrzenie w gospodynię.

— Gdzie znajdę Bliznę?

— Żyję z handlu informacjami i przekazałam ci ich już mnóstwo całkiem za darmo. Ten drobiazg będzie kosztować.

— Nie mam pieniędzy.

— Nie potrzebuję pieniędzy. Wyświadczysz mi przysługę, a ja tobie.

Brennan skrzywił się odruchowo.

— Nie lubię mieć długów.

— To szukaj tej informacji gdzie indziej.

Chęć działania paliła go jak ogień.

— Niech będzie.

Kobieta pociągnęła łyk z kryształowej szklaneczki, trzymanej w dłoni, która była równie przezroczysta.

— Ma dużą posiadłość na Castleton Avenue, na Staten Island. Jest oddalona od najbliższych zabudowań, ogrodzona i bardzo przestronna. Lubi polować. Na ludzi.

— Tak? — spytał Brennan. Wzrok miał zamyślony, jakby coś rozważał.

— Czego Blizna chce od tej dziewczyny? Jest jakaś wyjątkowa?

— Nie wiem. — Brennan potrząsnął głową. — Myślałem, że chcą uciszyć jej ojca, bo ostatnio widział Bliznę razem z Kieniem, ale kolejność wydarzeń się nie zgadza. Minh zobaczył ich, gdy śledził Bliznę, próbując dowiedzieć się czegoś o porwaniu. Powiedział, że chodzi o „jej krwawe ręce”. Coś ci to mówi?

Poczwarzka potrząsnęła głową.

— Możesz go poprosić, by wyrażał się mniej zagadkowo?

— Nie żyje.

Kobieta dotknęła jego dłoni i przez krótką chwilę coś przeniknęło ich oboje.

— Pewnie nie potrzeba ci moich ostrzeżeń, ale i tak powiem: bądź ostrożny. — Brennan skinął głową. Niewidzialna ręka Poczwarzki była ciepła i miękka. Patrzyła na pulsującą w niej krew. — A może — ciągnęła kobieta — chciałbyś spłacić część swego długu?

— Jak? — spytał Brennan, dostrzegając lekką zmianę w jej głosie i mimice.

— Jeśli przeżyjesz spotkanie z Blizną, przyjdź dziś wieczorem do Pałacu. Nieważne, która będzie godzina. Będę czekać.

Nie było wątpliwości, co mogła mieć na myśli. Oferowała mu coś, czego unikał od

dłuższego czasu, relację, jakiej nie pragnął od lat.

— A może wydają ci się zbyt odrażająca? — spytała rzeczowo, by przerwać przedłużającą się ciszę.

— Nie — odparł ostrzej, niż zamierzał. — Nie o to chodzi.

Głos zabrzmiał szorstko, nawet w jego własnych uszach. Tak długo unikał kontaktu z kimkolwiek, że sama myśl o jakiegokolwiek intymnej relacji była przerażająca.

— Twój sekret jest bezpieczny, Yeomanie — dodała.

Brennan odetchnął głęboko i skinął głową.

— To dobrze. — Poczwarzka znów się uśmiechała. — Będę czekać.

Odwrócił się bez słowa, a wtedy uśmiech kobiety zniknął.

— Oczywiście — powiedziała, tak cicho, że słyszała to tylko ona — pod warunkiem że dokonasz niemożliwego. Że pokonasz Bliznę.

III.

Brennan uznał, że może to zrobić na dwa sposoby. Mógł działać ukradkiem: wśliznąć się do posiadłości Blizny, nie wiedząc, jakie systemy zabezpieczeń tam zainstalowano, i przemykać się z pokoju do pokoju, nie wiedząc nawet, czy Mai jest więziona w środku. Mógł też wejść otwarcie, stawiając na swoje szczęście, opanowanie i zdolność improwizacji.

Po wyjściu z Pałacu zdjął maskę i złapał taksówkę. Kierowca z początku nie chciał zawieźć go na Staten Island, ale pomachał mu plikiem dwudziestek i taryfiarz z miejsca się rozpromienił. Droga była długa — najpierw taksówką, potem promem, a Brennan spędził ją na ponurych rozmyśleniach. Ishida by tego nie pochwalił, ale też Brennan nigdy nie należał do jego najlepszych uczniów.

Kazał wysadzić się nieopodal Castleton, jakąś przecznicę od adresu, który dostał w Pałacu, zapłacił za kurs i zostawił duży napiwek, tracąc tym samym większość oszczędności. Gdy taksówka odjechała, przemknął się, nie wychodząc z cienia, aż w końcu stanął przed bramą. Wszystko wyglądało dokładnie tak, jak to opisała Poczwarzka.

Sam budynek — potężna, kamienna konstrukcja — wznosił się o kilkaset metrów od ulicy. Na każdym piętrze paliło się światło w kilku oknach, ale na zewnątrz nie było żadnego oświetlenia. Cały teren otaczał kamienny mur, wzniesiony na wysokość jakichś dwóch metrów i zwieńczony pastuchem elektrycznym. W małej szklanej budce stojącej obok bramy z kutego żelaza dostrzegł jednego strażnika. Wyglądało na to, że nietrudno będzie sforsować zabezpieczenia, ale dom był zdecydowanie za duży, by przeszukiwać go po jednym pokoju.

A zatem śmiałość, tupet i szczęście. *Dużo szczęścia* — pomyślał Brennan, wychodząc z cienia.

Strażnik w budce wpatrywał się w mały odbiornik — talk-show prowadzony przez piękną kobietę ze skrzydłami. Brennan nie oglądał telewizji od czasu powrotu do Stanów, ale mimo wszystko rozpoznał Sokolicę — jedną z najbardziej popularnych asów, gospodynię programu „Grzęda Sokolicy”. Obok niej stał potężny, brodaty mężczyzna w kucharskiej czapce i przygotowywał jakąś potrawę. Toczyli przyjacielską pogawędkę, a dłonie mężczyzny przez cały czas poruszały się z zaskakującym wdziękiem. Brennan dopiero po chwili rozpoznał Hirma

Worceстера zwanego „Grubasem” — innego popularnego asa.

Strażnik z zachwytem wpatrywał się w Sokolicę ubraną w niewątpliwie atrakcyjny kostium z rozcięciem sięgającym prawie do pępka. Brennan musiał zastukać w szybę, by przyciągnąć jego uwagę, choć nawet wcześniej nie krył się z zamiarem wejścia do środka.

Strażnik otworzył drzwi.

— Skąd pan się tu wziął?

— Przyjechałem taksówką. — Brennan wykonał nieokreślony gest, wskazując za siebie. — Odesłałem ją.

— Aha, jasne — odparł szybko strażnik. — Słyszałem. Czego pan szuka?

Brennan już miał powiedzieć, że przysłał go Kien w sprawie dziewczyny, ale w ostatniej chwili ugryzł się w język. Poczwaraka ostrzegała go, że bardzo niewiele osób wie o ich wzajemnych powiązaniach. Ten strażnik na pewno nie należał do ich wewnętrznego kręgu.

— Szef mnie przysłał. Chodzi o dziewczynę — powiedział, starając się zdradzić jak najmniej, ale jednocześnie mówić pewnym tonem.

— Szef?

— Zadzwoń do Blizny. Będzie wiedział.

Strażnik odwrócił się i podniósł słuchawkę. Po krótkiej rozmowie odwiesił telefon i dotknął jakiegoś przycisku przed sobą. Brama otworzyła się bezgłośnie.

— Proszę wejść. — Machnął ręką, odwracając się znów do telewizora, gdzie Hiram i Sokolica z zachwyconymi minami zajadali czekoladowe naleśniki.

— Jeszcze jedno — powiedział Brennan.

Strażnik odwrócił się z westchnieniem, jednym okiem wciąż zerkając na telewizor.

Brennan wyrzucił przed siebie otwartą dłoń, kierując ją nieco w górę, mierząc w nos tamtego. Poczul, jak kość ugina się i pęka. Męczyzna drgnął konwulsyjnie, gdy odłamki kości wbiły mu się w mózg, a potem opadł bezwładnie. Brennan wyłączył odbiornik, akurat gdy Grubas i Sokolica kończyli swoje naleśniki, zaciągnął ciało do ogrodu i ukrył za żywopłotem. Niechętnie zostawił tam też teczkę z łukiem, ale by nie wchodzić do środka całkiem bez broni, wyjął zapasową cięciwę, owinał luźno wokół bioder i schował pod dżinsami.

Potem szybkim krokiem ruszył w stronę domu.

Bliźnie przydałby się ogródek. Ogród był strasznie zapuszczony. Trawy nie koszone chyba przez całe lato, żywopłoty rozrosły się jak wściekle. Niepielęgowane rozrastały się poza wyznaczone granice i tworzyły całkiem gęsty podszyt pod koronami rozłożystych drzew. Przypominało to bardziej las niż ogródek i Brennan przez chwilę zatęsknił za spokojem gór. Potem był już na progu i przypomniał sobie, po co tu przyszedł. Zadzwoił.

Męczyzna, który mu otworzył, miał bezczelną minę miejskiego cwaniaka, a pistolet wystający mu z kabury był chyba dostatecznie duży, by powalić słonia.

— Wejdz. Blizna ma teraz klientkę. Są z dziewczyną.

Brennan zmarszczył brwi, idąc za nim korytarzem willi. Co tu się właściwie działo? Prostytycja? Jakiś perwersyjny seks? Miał ochotę zadać swojemu przewodnikowi kilka pytań, ale wiedział, żeby lepiej milczeć. Niedługo sam się dowie.

Wnętrze domu było utrzymane nieco lepiej, ale tylko w porównaniu do ogrodu. Marmurowe posadzki były brudne, a w powietrzu unosił się stęchły zaduch, od którego Brennanowi robiło się niedobrze. Bał się nawet odetchnąć głębiej, by przypadkiem nie przypomnieć sobie, skąd zna ten

smród.

Minęli schody prowadzące na wyższe piętra, ale przewodnik trzymał się parteru, podążając w głąb budynku.

Mężczyzna skręcił w lewo i przeszedł przez wykrywacz metalu, który zapiszczał raz. Gdy Brennan poszedł jego śladem, urządzenie nie wydało żadnego dźwięku. Bandyta skinął głową i zaprowadził do jasno oświetlonej sali, gdzie czekały cztery osoby. Pierwszą z nich był jakiś ochroniarz, z punktu widzenia Brennana zupełnie identyczny jak ten, który otworzył mu drzwi. Drugą była kobieta o długich blond włosach. Nosiła maskę zakrywającą całą twarz.

Trzecią była Mai. Uniosła wzrok, gdy weszli do pokoju, i szybko opuściła głowę, by nie zdradzić się, że rozpoznała Brennana. Ostatni raz widział ją trzy lata temu. Wyrosła na piękną, młodą kobietę, drobną, smukłą, o delikatnych rysach, gęstych, lśniących włosach i bardzo ciemnych oczach. Wydawało się, że nikt jej nie skrzywdził, choć wyglądała na wyczerpaną. Oczy miała podkrążone, a z każdego ruchu przebijało zmęczenie.

Ostatnim z obecnych był Blizna. Wysoki i szczupły, ubrany w koszulkę i czarne spodnie chinos. Jego twarz przypominała senny koszmar, czarno-szkarłatny tatuaż zmieniał ją w potworny, wyszczerzony pysk demona. Oczy spoglądały z czarnych studni, zęby lśniły w szkarłatnej jaskini. Gdy się uśmiechnął, Brennan ze zdziwieniem odkrył, że nie ma zaostrzonych zębów.

— Jak cię wołają, chłopie? — spytał złodziejskim żargonem. — Nigdy cię nie widziałem.

— Łucznik — skłamał odruchowo Brennan. — Co tu się dzieje?

Blizna znów się uśmiechnął. Jego rysy ułożyły się w upiorny grymas, bez śladu wesołości.

— Przyszedłeś w samą porę, chłopie. Siostrzyczka pokaże nam, co umie, prawda?

Wszyscy spojrzeli na Mai, która zwiesiła głowę w wyrazie milczącej rezygnacji.

— Naprawdę to potrafi? — spytała zamaskowana kobieta. Jej głos był dziecinnie podekscytowany i syczący jednocześnie.

Blizna skinął głową i wskazał na Mai. Ochroniarze patrzyli na to bez zainteresowania. Blizna wodził wzrokiem od Brennana do Mai i zamaskowanej kobiety.

— Powiedz szefowi — powiedział, gdy Mai zbliżyła się do blondynki — że zamierzałem mu o niej powiedzieć. Najpierw chciałem się przekonać, do czego jest zdolna.

Brennan niecierpliwie skinął głową, z pozoru chłodny i wyniosły, ale w środku rozdarty i niepewny. Mai podeszła do klientki, nawet nie patrząc w jego stronę. Cokolwiek miało się stać, nie mogło być takie złe. Mai reagowała dość spokojnie. Postanowił zaczekać.

— Musi pani zdjąć maskę — powiedziała cicho Mai. Kobieta cofnęła się odruchowo i zerknęła na stojących za nią ochroniarzy, ale usłuchała. Brennan patrzył na nią obojętnie, Blizna — z lekkim, chytrym uśmieszkiem. Kobieta najwyraźniej wstydziła się swojej twarzy. Brennan widział już gorsze przypadki, ale ludzie Blizny wymieniali szeptem komentarze. Kobieta nie miała podbródka i bardzo niewielką zuchwę. Zamiast nosa miała jedynie dwie długie szczelinki osadzone ponad bezwargimi ustami. Czoło było wąskie, a cała twarz wypchnięta do przodu jak u gada; wrażenie dodatkowo potęgowały kolorowe łuski pokrywające cerę. Wyglądała jak jaszczurka z blond włosami.

— Kiedyś byłam piękna — powiedziała, spuszcżając wzrok.

Ochroniarze Blizny zachichotali, ale Mai ujęła jej stwardniałe policzki w dłonie i zapewniła cicho:

— I znów pani będzie.

We wzroku kobiety widać było całe lata bólu. Mai patrzyła na nią spokojnym, pogodnym spojrzeniem Madonny. Przez chwilę nic się nie działo. Brennan zerknął na Bliznę, który uważnie obserwował tę scenę, a potem znów na Mai. Z miejsca, gdzie spoczywały dłonie Mai, nagle popłynęły strużki krwi. Wyglądało to, jakby wypływały z twarzy kobiety, z rąk dziewczyny albo z nich obu. Drobne strumyczki spływały jej po palcach, na grzbiety dłoni i nadgarstki, a ona jęknęła, jakby z bólu. Jej twarz zaczęła się zmieniać. Podbródek cofnął się gwałtownie, szczęka zmaląła. Czoło stało się węższe, a skóra gruba i gruzłowata, nakrapiana oranżem, czernią i szkarłatem. Minęło kilka minut. Brennan obserwował tę scenę, zaciskając usta. Blizna obserwował jego. Uśmiechał się paskudnie, jego wytatuowana twarz zastygła w grymasie jak demoniczna maska.

Dwie kobiety-jaszczurki, jedna jasno-, druga ciemnowłosa. Kobieta spojrzała z przestraszonym spojrzeniem na Mai, a ona odwzajemniła spojrzenie, może chcąc dodać jej otuchy. Westchnęła przeciągle, jakby po uprawianiu miłości, i zaczęła się zmieniać. Jej skóra straciła szorstkość i krzykliwe barwy. Kości przesunęły się z powrotem. Wargi drżały jej lekko, może z powodu bólu metamorfozy, ale nie wydała żadnego dźwięku. Po dłuższej chwili jasnowłosa kobieta zaczęła zmieniać się wraz z nią. Skóra zjaśniała i odzyskała miękkość. Kości zafalowały miękko jak ciepły wosk. Łzy spływały po pięknych, wysokich policzkach — Brennan nie wiedział, czy z radości, czy z bólu. Transformacja trwała dobrych kilka minut. Gdy krew przestała płynąć, Mai odsunęła dłonie od twarzy pacjentki. Kobieta miała rację. Kiedyś naprawdę była piękna i znów tak wyglądała.

Szlochając bezgłośnie, ujęła ręce Mai i ucałowała wnętrze dłoni. Mai uśmiechnęła się i zakołysała, jakby tracąc równowagę. Brennan widział, że trzyma się na nogach wyłącznie siłą woli. Każda zmarszczka na twarzy, każdy ruch wyrażał straszliwe zmęczenie.

Kobieta sięgnęła do torebki pozostawionej na stoliku i wyciągnęła grubą kopertę. Blizna skinął na jednego z goryli. Mężczyzna włożył kopertę do kieszeni i odeskortaował klientkę do wyjścia.

— I co o tym myślisz, chłopie?

— Fantastyczne — odparł Brennan, nie odrywając wzroku od Mai. — Co to jest? Manipulacja genetyczna?

— Nie znam się na tym gównie — odparł Blizna. — Usłyszałem tylko, że laska uzdrawia dzokerów z okolicy, więc pomyślałem sobie: hej, czemu ma leczyć biedaków, skoro może leczyć bogatych? Poszedłem i ją przyprowadziłem.

Brennan w końcu odwrócił się od Mai i spojrzał Bliznie w oczy.

— Jest dużo warta. Powinieneś być powiedzieć o niej Kienowi. Teraz będę musiał ją stąd zabrać.

Blizna wydał usta w udawanym zaskoczeniu.

— Tak? Zdaje się, że sporo o tym wiesz, brachu. Ale jakim cudem nie wiesz, że powiedziałem o niej szefowi tamtego dnia, gdy ten żółtek widział nas razem w jego limuzynie? — Odwrócił się do Mai i dodał złośliwie: — Szef wysłał potem paru ludzi, żeby go uciszyć.

— Mojego ojca? — szepnęła Mai.

Blizna przytaknął, szczerząc zęby jak demon. Mai krzyknęła, zachwiała się i upadłaby na podłogę, gdyby ochroniarz nie chwycił jej za ramię. Brennan ruszył.

Przeskoczył przez pokój, wyrwał pistolet z kabury goryla, przycisnął mu lufę do piersi i pociągnął za spust. Rozległ się huk, a wybuch poderwał ofiarę z ziemi i rzucił w tył. Mężczyzna zostawił na ścianie czerwoną plamę i osunął się na podłogę. Oczywiście miał otwarte i nieruchome.

Brennan okręcił się na pięcie, ale Blizna zniknął. Kącikiem oka dostrzegł jakiś ruch, a potem poczuł ból, gdy gangster uderzył go kantem dłoni w nadgarstek, aż upuścił pistolet. Uchylił się przed ciosem Brennana, kopnął pistolet w kąt, a potem zniknął bezgłośnie.

Pojawił się pomiędzy Brennaniem a odrzuconą bronią, uśmiechając się szaleńczo.

— Chcesz ze mną walczyć spluwą? Wariat z ciebie, natolu — wycedził. — Jakie imię mam ci wyryć na nagrobku? — Sięgnął do kieszeni spodni i wyćwiczonym ruchem nadgarstka otworzył piętnastocentymetrową brzytwę.

Znów zniknął, a chwilę potem Brennan poczuł ukłucie bólu w boku. Usłyszał krzyk Mai, odskoczył na bok, przetoczył się i wstał. Krew ciekła mu po torsie, w miejscu gdzie Blizna zostawił długą, płytką ranę biegnącą po żebrach. Ledwie zdążył zerwać się na nogi, gdy bandzior znów się pojawił, rozcinając mu policzek, i znów zniknął. Poczwarzka miała rację — teleportował się szybko i precyzyjnie. I bardzo lubił swoją pracę.

— Potnę cię powoli — zapowiedział, znów się pojawiając. W jego oczach lśniła mordercza żądza. — Będę cię ciąć, aż zaczniesz błagać o śmierć. — Machnął dłonią, strzepując z ostrza krew Brennana. Pokój był jasno oświetlony i ciasny. Brennan czuł się uwięziony, schwytyany i wiedział, że nie ma najmniejszych szans. Blizna potnie go na wstążki, patrząc, jak bezskutecznie próbuje chwycić pistolet. Odetchnął głęboko, by uspokoić wirujące myśli, wprawiając się — zgodnie z naukami Ishidy — w stan pogodnego spokoju, i wiedział już, co należy zrobić. Blizna zdążył jeszcze chlasnąć go brzytwą po plecach, nim obrócił się, pobiegł naprzód i wyskoczył przez okno. Przeleciał przez szybę i opadł na nieoświetlony taras.

Blizna uśmiechnął się z prawdziwą radością i ruszył jego śladem. Zagwizdał fałszywie, patrząc, jak Brennan wybiega do ogrodu i kryje się w gęstej kępie drzew.

— Hej, natolu! — zawołał. — Gdzie jesteś, chłopie? Wiesz co? Zawrzyjmy umowę. Jak zapewnisz mi dobre polowanie, wykończę cię szybko. Jak sprawisz mi zawód, oberżnę ci jaja. Nawet ta żółta laska ci ich nie odda.

Roześmiał się z własnego dowcipu i ruszył za Brennaniem w mrok. Przystanął na chwilę, nasłuchując. Wokół rozbrzmiewał tylko szum drzew i czasem odgłos samochodu jadącego ulicą. Blizna marszczył brwi. Coś się nie zgadzało. Wszedł głębiej między drzewa.

A potem, nie wiadomo skąd, jak milczący duch pośród cieni, Brennan wychynął z kryjówki, z nawoskowaną cięciwą owiniętą wokół pięści. Zarzucił ją Bliźnie na szyję, szarpnął i przekręcił. Mięśnie i chrząstki zatrzęszczały, a gangster zniknął. Pojawił się o kilka kroków dalej, trzymając się za zmiażdżoną tchawicę. Próbował chwycić powietrze, ale nic nie docierało do ciężko pracujących płuc. Otworzył usta, by powiedzieć coś do Brennana, zakląć albo błagać, ale nie dobiegł z nich żaden dźwięk. Znów zniknął i ułamek sekundy później pojawił się w tym samym miejscu. Jego wytatuowaną twarz wykrzywił grymas bólu i strachu. Stracił koncentrację, nie kontrolował już swojej zdolności. Brennan patrzył, jak jego obraz migocze pośród drzew, teleportując się desperacko, szaleńczo, bezsensownie. W końcu pojawił się z zakrwawioną twarzą, upuścił brzytwę i padł na plecy. Brennan zbliżył się ostrożnie, ale mężczyzna już nie żył. Pochylił się nad Blizną, wyjął flamaster otrzymany od kelnera. Narysował mu na prawej dłoni asa pik, a dłoń położył na twarzy zmarłego, żeby Kien na pewno nie przegapił tego symbolu.

Wrócił do budynku, przemykając się między drzewami jak leśne zwierzę. Mai czekała na tarasie. Wyglądała na to, że wynik starcia wcale jej nie zdziwił. Znała Brennana, wiedziała, do czego jest zdolny.

— Kapitanie Brennan, czy ojciec naprawdę nie żyje?

Skinął głową, nie mogąc wydobyć głosu. Dziewczyna jakby skurczyła się w sobie, wyglądała na jeszcze węższą, bardziej zmęczoną, o ile było to w ogóle możliwe. Zamknęła oczy, a łzy spłynęły bezgłośnie spod powiek.

— Chodźmy do domu.

Poprowadził ją w kojący mrok nocy.

IV.

Odszedł, gdy opatrzyła mu rany, i obiecał, że będzie ją odwiedzał, gdy tylko zdoła. Współczucie dla osieroconej dziewczyny mieszało się z jego własną rozpaczą. Kolejny towarzysz, kolejny przyjaciel odszedł.

Kien musiał zginąć. I mógł to sprawić tylko on jeden, sam, uzbrojony jedynie w siłę swoich rąk i bystrość umysłu. Wiedział, że to potrwa długo. Potrzebował jakiejś bazy operacyjnej i sprzętu. Specjalnego łuku i strzał. Pieniądzy.

Wycofał się w cienie Dżokerowa, czekając, aż nadejdzie właściwy człowiek, uliczny handlarz zamieniający torebki białego proszku na zielone banknoty pogniecione w drżących spoconych rękach.

Odetchnął głęboko. Noc cuchnęła niezliczonymi zapachami siedmiu milionów ludzi, ich nadziejami, lękami i desperacją. Teraz był jednym z nich. Opuścił góry i powrócił do cywilizacji. Wiedział, że ten powrót przyniesie ze sobą rozczarowanie, i rozpacz, i utracone nadzieje. *I ukojenie* — dodał niespodziewanie jakiś głos w jego duszy, a wtedy pomyślał o dotyku niewidzialnego ciała i odsłoniętym sercu bijącym coraz szybciej w rytm rosnącego pożądania.

Nagły dźwięk, lekko szurający krok, wyrwał go z zamyślenia. Mężczyzna, który właśnie go minął, był ubrany zbyt porządnie jak na tę dzielnicę i szedł zamaszystym krokiem. Właśnie na niego czekał.

Brennan wtopił się w cienie i ruszył za nim. Łowca przybył do miasta.



Epilog: Trzecie pokolenie

LEWIS SHINER

Śmig spadł z nieba w swym smukłym samolocie, od wygiętych skrzydeł odchodziły dynamiczne kreski. Dwudziestomilimetrowe działka wypluwały drżące litery, tyranozaur zataczał się pod naporem pocisków.

— Arnie? Arnie, zgaś to światło!

— Tak, mamó! — odpowiedział chłopiec. Wsunął pięćdziesięcioczeronnicowe wydanie specjalne *Śmig na Wyspie Dinozaurów* z powrotem do plastikowej teczki. Zgasił lampkę i w znajomym mroku zaniósł komiks do szafki.

Miał komplet „Przygód Śmiga”. Trzymał je wszystkie w jednym z woskowanych kartonowych pudeł, w których wysyłali kurczaki do sklepów. Na wyższej półce leżały zeszyty pełne wycinków z gazet, artykuły o Wielkim i Potężnym Żółciu, Wyjcu i Skaczącym Jacku. A obok niech stały książki o dinozaurach — nie tylko książeczki dla dzieci, ale i podręczniki do paleontologii, botaniki i zoologii.

W innym pudle pod stosem komiksów leżało wydanie „Playboya” z Sokolicą na okładce. Ostatnio Arnie przyłapał się na tym, że oglądając te zdjęcia, dziwnie się czuje, jednocześnie podekscytowany i nerwowy, jakby robił coś niedozwolonego.

Jego rodzice wiedzieli o obsesjach syna (może nie licząc „Playboya”). Niepokoiła ich tylko sprawa dzikiej karty. Dziadek Arniego stał tamtego dnia na ulicy i na własne oczy widział, jak Śmig przeszedł do historii. Rok później matka Arniego przyszła na świat obdarzona niskopoziomową telekinezą. Miała akurat na tyle mocy, by przesunąć po stole parę monet. Arnie czasem myślał, że byłoby lepiej, gdyby urodziła się całkiem normalna. Lepsze to niż taka bezużyteczna moc.

Bez przerwy kazał dziadkowi opowiadać o tamtych wydarzeniach.

— Śmig chciał umrzeć — mówił staruszek. — Zobaczył przyszłość i wiedział, że nie ma tam dla niego miejsca.

— Ćśśś, tato — upominała go wtedy matka Arniego. — Nie mów tak przy dziecku.

— Wiem, co widziałem — upierał się dziadek i potrząsał głową. — Byłem przy tym.

Arnie wrócił do łóżka i położył się na brzuchu, czując przyjemny nacisk w okolicy krocza. Pomyślał o Wyspie Dinozaurów. Nie miał wątpliwości, że to wszystko prawda. Asowie istnieli. Kosmici też — przecież przynieśli na Ziemię dziką kartę.

Obrócił się na bok i przyciągnął kolana do piersi. Jak to by wyglądało? Gdy miał osiem lat, przejeżdżał wraz z rodzicami przez Utah i zatrzymał się w Vernal. Zwiedzili Prehistoryczny Szlak, a Arnie specjalnie wybiegł naprzód, by znaleźć się sam na sam z modelami dinozaurów. Pomyślał, że tak musiała wyglądać Wyspa Dinozaurów — porośnięte krzewami wzgórze, diplodoki, tak wielkie, że można by im przejść pod brzuchem, struthiomimus, niczym wielki, łuskowaty struś, pteranodon, przycupnięty, jakby dopiero co wylądował.

Zamknął oczy i zobaczył, jak się poruszają — nie tylko te wielkie, niezdarne bestie, które widywał w telewizji, ale też te mniejsze, jak drapieżny, żarłoczny deinonych, „straszny szpon”.

Albo wielki, pękaty ankylozaur, dziesięciometrowa rogata ropucha z ogonem zakończonym maczugą, którą jednym uderzeniem mogłaby wgnieść stalowy talerz.

A w głębi jego mózgu, odżywiony pożywną, hormonalną zupą, wirus dzikiej karty zawisł nad samotną komórką, wstrzyknął w nią swój obcy komunikat i skonał. I wszystko potoczyło się dalej, mknąc poprzez lata wzdłuż podwójnej helisy strachu i ekstazy, okaleczenia i cudownych zmian...



Dodatek

WIRUS DZIKIEJ KARTY: ANALIZA NAUKOWA

Wyjątki z literatury przedmiotowej

...przechodzące nasze najśmielsze wyobrażenia, na swój sposób gorsze niż to, co się działo w Belsen. Dziewięciu na dziesięciu chorych zarażonych tym nieznanym patogenem umiera w strasznych męczarniach. Żadna kuracja nie pomaga. Ci, którzy przeżyli, zwykle mają niewiele lepiej. Dziewięciu na dziesięciu przechodzi nieodwracalną zmianę w procesie, którego nie jestem w stanie zrozumieć, aż w końcu stają się czymś innym — czasem w ogóle niepodobnym do człowieka. Widziałem ludzi zmieniających się w rzeźby z galwanizowanej gumy, dzieci z dodatkowymi głowami... Mogę wymieniać długo. A co gorsza — oni wciąż żyją. Wciąż żyją, Mac.

Najdziwniejsi są jednak pacjenci należący do tych dziesięciu procent ocalałych — jeden na sto przypadków zachorowań. Z pozoru nie wykazują żadnych oznak zmian. A jednak zyskują pewne możliwości — nazywam je „mocami”. Potrafią dokonać rzeczy niemożliwych dla zwykłego człowieka. Widziałem człowieka, który wzbił się w powietrze jak V-2, zakreślił kółko i wylądował leciutko na nogach. Pacjenta, który wpadł w szal i rozerwał stalowy wózek, jakby był zrobiony z ligniny. Nie dalej jak przed dziesięcioma minutami jakaś kobieta przeszła przez ścianę mojego gabinetu urządzonego w tym magazynie, gdzie zamknąłem się w poszukiwaniu wytchnienia. Naga kobieta, w typie modelki z kalendarza, lśniąca różowym blaskiem, który zdawał się wydobywać z jej wnętrza, idąca z nieobecny uśmiechem na ustach.

Nie, nie odbija mi. Jeszcze nie popadłem w obłąd ani nie zacząłem ćpać morfiny. Jeszcze nie. Chociaż mam szczęście, jeśli codziennie uda mi się przespać choćby przez godzinę czy dwie, a nawet wtedy śnią mi się takie koszmary, że wyczołguję się z łóżka niemal z ulgą. To wszystko prawda. Może któregoś dnia przeczytasz o tym sam, jeśli wojsko nie zamiecie tego pod dywan. Myślę, że nie dadzą rady — przecież to Manhattan, na Boga, a liczba ofiar idzie w dziesiątki tysięcy.

Dzięki Bogu, nie jest zaraźliwie. O ile nam wiadomo, rozwija się tylko u osób bezpośrednio wystawionych na działanie kosmicznego pyłu — czy co to tam było — i to nie u wszystkich, bo mielibyśmy ich milion więcej. Przeprowadzenie kwarantanny jest niemożliwe, brak tu nawet podstawowych warunków sanitarnych. Mieliśmy już epidemię grypy, lada chwila spodziewamy się tyfusu...

Mówią, że stoją za tym jacyś obcy, przybysze z kosmosu. Biorąc pod uwagę, co tu widzieliśmy, nie wydaje się to takie dziwne. Słyszałem plotki z najwyższego szczebla, że podobno schwytili jednego z tych drani. Mam nadzieję, że to prawda. Niech wsadzą gnoja do pudła razem z nazistami w Norymberdze i powieszą go jak zwierzę...

— prywatny list kapitana Kevina McCarthy'ego, Korpus Medyczny Armii Stanów Zjednoczonych 21 września 1946 r.

Zeznania dotyczące tego wypadku potwierdzają, że pojemnik zawierający ksenowirus Takis-A eksplodował na wysokości dziesięciu kilometrów w tak zwanym „prądzie strumieniowym”. W stanie uśpionia wirus znajduje się w ochronnej otoczce białkowej. Cząsteczki te, w prasie codziennej tak często niepoprawnie zwane „zarodnikami”, okazały się odporne na ekstremalnie wysokie i niskie temperatury i zmiany ciśnienia, co pozwala im przetrwać w zasadzie w dowolnych warunkach naturalnych — zarówno na głębokości kilkuset metrów pod powierzchnią morza, aż po górne limity stratosfery. Cząsteczki wirusa zostały poniesione na wschód ponad Atlantykiem, spadając w dół wraz z deszczem albo opadając naturalnie. Mechanizm ich rozprzestrzeniania wciąż nie został do końca zbadany. Działanie wirusa stało się powodem tragedii statku „Queen Mary” (17 września 1946 r.), zanotowano także pandemię dzikiej karty w Wielkiej Brytanii i na kontynencie europejskim. (Uwaga: Plotki mówią także o analogicznej epidemii w ZSRS, ale premier Chruszczow, podobnie jak jego poprzednicy, zachowuje całkowite milczenie na ten temat).

Wiatr i prądy oceaniczne przyczyniły się do rozprzestrzeniania wirusa na znacznej powierzchni wschodniej części Stanów Zjednoczonych (rys. 1). Bardziej niepokojące wydają się kolejne przypadki infekcji — chociaż wirus nie wydaje się zaraźliwy — bardzo oddalone od siebie w czasie i przestrzeni. Zaledwie w 1946 roku odnotowano prawie sto indywidualnych przypadków wystąpienia choroby w Stanach Zjednoczonych i południowej Kanadzie (rys. 2).

Lokalizacja większości międzynarodowych pandemii sugeruje istnienie pewnego wzorca. Rio de Janeiro (1947), Mombasa (1948), Port Said (1948), Hong Kong (1949), Auckland (1950) to wszystko duże porty morskie. Teraz należy tylko wyjaśnić obecność wirusa w pojedynczych przypadkach, w miejscach tak oddalonych od morza jak peruwiańskie Andy albo wyżyny Nepalu.

Nasze badania wykazały, że czynnikiem decydującym jest wytrzymałość białkowej otoczki. Wirus może rozprzestrzeniać się w dowolny sposób — za pośrednictwem ludzi, zwierząt, maszyn lub zjawisk naturalnych i potrafi przetrwać działanie takich czynników jak ogień lub żrące chemikalia. Epidemie w Stanach Zjednoczonych, przy uwzględnieniu ich częstego występowania w portach morskich, zostały prześledzone (McCarthy, *Raport dla naczelnego lekarza wojskowego*, 1951) i powiązane z transportem towarów czekających na załadunek w dokach lub w magazynach znajdujących się w objętych epidemią dzielnicach Manhattanu. Inne przypisano przenoszeniu cząsteczek wirusa poprzez statki i pojazdy. Pojedyncze osobniki, również zwierzęta (które nie wykazują oznak choroby), także mogą je nieświadomie przenosić. Wspomniana powyżej epidemia w Nepalu została wywołana wirusem przeniesionym przez kaprala Królewskiego Batalionu Gurkhów, który wykorzystano do tłumienia zamieszek w dniach 10-13 sierpnia w Kalkucie, kiedy to społeczności hinduskie i muzułmańskie obwiniały się nawzajem o wybuch epidemii. W efekcie życie straciło ponad dwadzieścia pięć tysięcy osób, sam kapral nigdy nie wykazał objawów choroby.

...ile cząstek uśpionego wirusa wciąż znajduje się na zakurzonych dachach, w korytach rzek i ściekach, zakopanych w glebie, unoszących się w powietrzu na wodzie — niepodobna ocenić. Trudno także orzec, jak wielkie zagrożenie dla zdrowia społeczeństwa stanowi obecnie wirus. W tym kontekście najlepiej pamiętać o jego niezdolności do zainfekowania większości ludzkiej populacji...

— Goldberg i Hoyne, *Wirus dzikiej karty: mechanizm przetrwania i rozprzestrzeniania*, w:

Problemy współczesnej biochemii, red. Schinner, Paek, Ozawa.

Właściwości wirusa pozwalające mu zmieniać informację genetyczną właściciela przypominają działanie ziemskiego wirusa opryszczki. Jego działanie jest jednak znacznie szersze, dzięki czemu przepisuje DNA w całym ciele właściciela, zamiast jednego konkretnego obszaru — jak np. wargi czy genitalia — jak to się dzieje w przypadku opryszczki.

Obecnie wiemy, że oddziaływanie ksenowirusa Takis-A obejmuje większy odsetek populacji, niż to początkowo zakładano — może nawet połowę procenta. W wielu przypadkach wirus po prostu dodaje swój kod do sekwencji DNA, wówczas nie egzystuje oddzielnie, lecz jedynie w formie informacji — kolejna cecha wspólna z wirusami opryszczki. Może stać w formie pasywnej i niewykrywalnej do końca życia nosiciela, bywa jednak, że stres lub szok spowodują jego manifestację, zwykle dając drastyczne rezultaty. Ponieważ wirus dokonuje „przeprogramowania” kodu genetycznego nosiciela, wirus (w formie aktywnej lub pasywnej) jest dziedziczny, podobnie jak niebieski kolor oczu czy kręcone włosy.

Wirus dzikiej karty podlega zatem standardowym zasadom dziedziczenia dla genów recesywnych. Jedynie w przypadkach, gdy oboje rodzice są nosicielami kodu wirusa, istnieje możliwość spółdzenia potomstwa dotkniętego oddziaływaniem wirusa, a nawet wówczas szansa wynosi jeden do czterech. Dla porównania, szansa na spółdzenie nosiciela, u którego nie zmanifestuje się obecność wirusa, wynosi pięćdziesiąt procent, a szansa na potomstwo pozbawione obcego kodu — również dwadzieścia pięć procent.

— Marcus A. Meadows, *Genetyka*, styczeń 1974 r., s. 231-244

Pomimo „czerwonej paniki” szalejącej w latach czterdziestych i wczesnych latach pięćdziesiątych, a także „odkryć” komisji HUAC, można stwierdzić, że los asów za żelazną kurtyną wcale nie był lepszy niż po tej stronie Atlantyku — wręcz przeciwnie. Linia partii dotycząca osób zakażonych wirusem nakreślona przez Trofima Łysenkę, „cudowne dziecko” stalinowskiej nauki, głosiła, że tak zwany „wirus dzikiej karty” był w rzeczywistości przykrywką dla diabolicznej, kapitalistyczno-imperialistycznej serii eksperymentów na ludziach. W 1951 roku amerykańskich jeńców w Korei zmuszano do podpisywania zeznań, iż korzystali w walce z broni biologicznej, próbując w ten sposób wyjaśnić obecność śmiertelnego wirusa masakrującego społeczeństwo. Tymczasem wszyscy obywatele Związku Sowieckiego przejawiający nadludzkie zdolności po prostu znikali z domów. Niektórzy skończyli w obozach pracy przymusowej, inni w laboratoriach, a bardzo wielu — po prostu w płytkich grobach.

Po śmierci Stalina nadeszła niewielka odwilż. Chruszczow uznał obecność asów, którzy zaczęli cieszyć się podobnym statusem jak ich współbracia w Stanach Zjednoczonych, tzn. mogli wybrać zaszczytny obowiązek służby ojczyźnie — w wojsku lub wywiadzie wojskowym GRU (późniejsze KGB) — albo zniknąć w Archipelagu Gułag. W latach sześćdziesiątych prawo zostało złagodzone, choć nie do tego stopnia, co w Stanach Zjednoczonych, a asowie w służbie państwa, podobnie jak kosmonauci i sportowcy olimpijscy, zostali gwiazdami medialnymi.

Skąd to początkowe wyparcie rzeczywistości? Reżim Breżniewa/Kosygina przyznał później, w 1971 roku, że Łysenko sam był dżokerem, a choroba objawiła się u niego potwornym zniekształceniem ciała. Istnienie asów stanowiło osobistą zniewagę dla byłego rolnika. Dlatego Stalin wsparł tę antyasową kampanię — większość jego biografów uważa, że jego postępująca paranoja stanowi dostateczne wytłumaczenie. Jednakże kilka wysoko postawionych źródeł

informacji w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych powtarzało plotkę, jakoby Nikita Chruszczow czasami, późną nocą, po paru kieliszkach, w towarzystwie najbliższych przyjaciół, przechwalał się, że własnoręcznie zamordował byłego dyktatora w celi więzienia na Łubiance, „wbijając mu kołek w serce”...

— J. Neil, Wilson, *Z powrotem w ZSRS*, „Reason”, marzec 1977

Ksenowirus Takis-A, potocznie zwany dziką kartą, to eksperymentalny organizm opracowany przez klan Ilkazamów, najpotężniejszą rodzinę wśród psionicznych władców Takis. W jego DNA wpisano program odczytujący kod genetyczny organizmu nosiciela i modyfikujący go, by wzmocnić jego wrodzone zdolności i cechy. Tego rodzaju optymalizacja wpisuje się doskonale w takizjański zwyczaj kultuwacji *virtú* (zarówno osobistej, jak i rodzinnej). Takizjanie już obecnie posiadają pewne moce umysłowe — przy użyciu dzikiej karty Ilkazamowie zamierzali wykształcić u członków swej rodziny szereg talentów, co miało zapewnić rodzinie przewagę na wiele kolejnych lat.

Najtrudniejszym wyzwaniem stojącym przed badaczami Ilkazamów było opracowanie programu zdolnego identyfikować i wzmacniać *pożądane* cechy — nikt nie chciałby wzmacniać na przykład skłonności do krwotoków. Przejawy indywidualności biochemicznej są wśród Takizjan jeszcze wyraźniejsze niż u ludzi, którzy stanowią w końcu jeden z najbardziej zróżnicowanych gatunków na Ziemi. Opracowanie „inteligentnego” programu — zdolnego odróżniać i wzmacniać pożądane cechy — implementowanego za pomocą wirusowego DNA wymagało przeprowadzenia eksperymentów na niespotykaną wcześniej skalę. Biorąc pod uwagę specyficzną naturę takizjańskiego społeczeństwa, badacze mieli do dyspozycji dużą liczbę obiektów, nawet do najbardziej drastycznych badań. Jednakże nawet na Takis nie znalazło się dość przestępców i pokonanych wrogów politycznych — w ich kulturze właściwie nie dokonuje się rozróżnienia pomiędzy jednym a drugim — by zapewnić odpowiednią bazę do opracowania tak skomplikowanego narzędzia. Na szczęście, z punktu widzenia badaczy, istniała pewna pula istot o zadziwiająco zbliżonym genomie... na Ziemi.

Większość modyfikacji dzikiej karty jest nieprzydatna z punktu widzenia przetrwania biologicznego albo obejmuje modyfikacje podstawowych cech, dociągając je do ekstremum, jak na przykład rozszerzenie cyklu produkcji adrenaliny w sytuacjach stresowych do tego stopnia, że najłżejszy bodziec wprawia chorego w stan przesterowania, dostarczając gwałtownej dawki hormonu. W dziewięciu na dziesięć przypadków osób, które przeżyły początkowe stadium choroby, wzmocnieniu ulegają niepożądane cechy albo też pożądane cechy wzmocnione w niepożądany sposób. Dolegliwości „dzokerów” przybierają różne postacie: od zniekształceń nieestetycznych, poprzez bolesne, aż po kłopotliwe czy niewygodne. Ofiara wirusa może zmienić się w bezkształtną masę śluzu, jak słynny mieszkaniec Dżokerowa o pseudonimie Gil, albo przybrać postać częściowo zwierzęcą, jak właściciel baru zwany Ernie-Jaszczurka. Chory może wykształcić zdolność, która w innych warunkach uczyniłaby go asem, jak na przykład niekontrolowana zdolność lewitacji u pacjenta zwanego Balonem. Niektóre modyfikacje bywają bardzo drobne, jak na przykład przemiana ręki w pęk macek, jak to miało miejsce w przypadku Doriana Wilde'a, słynnego poety, członka bohemy Dżokerowa.

W niektórych przypadkach granice pomiędzy poszczególnymi przypadkami ulegają zatarciu, jak u wspomnianego już Erniego, którego nieludzka siła i ochrona zapewniana przez twarde łuski mogłyby uczynić go prawdziwym asem. Inny, bardziej drastyczny przypadek dotyczył tak

zwanej Płonącej Kobiety. Pod koniec lat siedemdziesiątych aktywacja wirusa u pewnej młodej dziewczyny spowodowała, że jej ciało zapłonęło ogniem, niemożliwym do ugaszenia, a jednocześnie regenerowało się w miarę spalania. Ofiara błagała przechodniów, by skrócili jej cierpienia, a w końcu zmarła w Klinice Blythe van Renssaeler, podobno w wyniku eutanazji (dochodzenie przeciwko doktorowi Tachionowi zostało umorzone). Trudno ocenić, czy moc tej kobiety uczyniła z niej dzokerkę czy też czarną damę.

Ponieważ wirus został zaprojektowany tak, by reagować na indywidualny kod genetyczny właściciela, nie spotkano jeszcze identycznych manifestacji dzikiej karty. Jej działanie wygląda w każdym przypadku inaczej...

...fakt, iż jedynie dziesięć procent zarażonych przeżywa jego działanie, to świadectwo niewiarygodnej biegłości takizjańskich inżynierów genetycznych. Mając na uwadze, iż był to pierwszy makroskalowy test, dokonany na innej populacji niż ta, dla której został zaprojektowany, należałoby uznać, że uwolnienie wirusa na Ziemi zakończyło się wielkim sukcesem, który z pewnością ucieszyłby jego twórców, gdyby tylko mieli okazję poznać rezultat eksperymentu.

Ziemiańskie jednak nie podzielają tej opinii.

— Sara Morgenstern, *Blues dla Dżokerowa: czterdzieści lat dzikich kart*, „Rolling Stone”, 16 września 1986 r.



**Wyjątki z protokołu konferencji
Amerykańskiego Towarzystwa
Metabiologicznego dotyczącej
zdolności metaludzkich**

**(Hotel Clarion, Albuquerque, Nowy Meksyk,
14-17 marca 1987 r.)**

Wystąpienie doktor Sharon Pao K'ang-sh'i z Uniwersytetu Harvarda, Wydział Metabiofizyki, 16 marca 1987 r.

Drogie koleżanki i koledzy, dziękuję za przybycie. Pozwolę sobie przejść od razu do rzeczy. Badania przeprowadzone przez nasz zespół na Harvardzie wskazują na to, że metaludzkie zdolności, potocznie zwane „supermocami”, wywołane działaniem takizjańskiego wirusa mają podłoże wyłącznie psychologiczne i, z bardzo nielicznymi wyjątkami, są osiągnane poprzez wykorzystanie elementu psioniki.

(sala przywołana do porządku przez przewodniczącego Ozawę)

Rozumiem, że moje oświadczenie może zostać uznane za nadużycie retoryczne, w rodzaju oświadczeń dokonywanych przez moich poprzedników, przez co tak młoda nauka, jaką jest metabiofizyka, została z miejsca potraktowana jako pseudonauka w rodzaju numerologii i astrologii. A jednak naukowa uczciwość i fakt wystąpienia wielu obserwacji empirycznych zmusza mnie do powtórzenia tego twierdzenia: metaludzkie moce to wyspecjalizowane formy mocy psionicznych.

Obecnie mamy znacznie większą wiedzę na temat tego, jak wirus dzikiej karty działa na organizm ofiary. W przypadku tak zwanych asów wirus zaczyna działanie od wzmocnienia wrodzonych mocy psionicznych, co znacznie usprawnia proces przepisywania kodu genetycznego. Wyjaśnia to wysoki odsetek zbieżności pomiędzy cechami osobowości i skłonnościami znanych asów i ich metaludzkimi zdolnościami — można tu wymienić na przykład znakomitego pilota zwanego Czarnym Orłem, który zdobył moc latania, podczas gdy Nocny Mściciel, Czarny Cień, zyskał zdolność pochłaniania światła. Wyjaśnia to także, dlaczego introwertyczny as zwany Wodnikiem posiada obecnie ciało pół człowieka, pół delfina, a nawet może przybierać postać *tursiops truncatus*. Mikroskalowa telekineza to jeden z mechanizmów, za pośrednictwem których wirus dzikiej karty pozwala choremu podświadomie wybierać, a przynajmniej z grubsza sterować kierunkiem transformacji.

Rozumiem, jak ważne są implikacje tego twierdzenia — sugeruje to, że niektórzy ludzie

niejako „dobrowolnie” wyciągnęli z talii dzokera lub czarną damę. Spekulacje idące w tym kierunku wykraczają jednak poza ramy naszych obecnych badań.

Jedną z największych zagadek epoki dzikich kart jest wyjaśnienie, jakim sposobem wirus obcych, niezależnie od stopnia zaawansowania cywilizacji, która go stworzyła, zdołał wyposażyć część osobników w zdolność naruszania podstawowych praw fizyki, jak na przykład zasada zachowania masy i energii, prawo kwadratu-sześciannu albo zasadę nieprzekraczania prędkości światła. W momencie uwolnienia wirusa nauka była jednoznacznie wroga wobec wszelkich hipotez zakładających istnienie mocy psionicznych — co jest zrozumiałe, biorąc pod uwagę ówczesny brak dowodów potwierdzających istnienie takich zjawisk. Obecnie już dawno zaakceptowaliśmy istnienie osób potrafiących wydzielać ogień i błyskawice, zmieniać się w zwierzęta, latać albo konstruować maszyny pozwalające dokonywać tych i jeszcze wielu innych rzeczy.

Oczywiście nawet w 1946 roku istniały ku temu podstawy w dziedzinie rozważań teoretycznych fizyki kwantowej. Wiele ówczesnych technologii, włącznie z bronią atomową i sprzętem do reakcji termojądrowej, opracowano na podstawie twierdzeń fizyki kwantowej, przy założeniu, że „wiemy, jak to działa, chociaż nie wiemy dlaczego”. Biorąc pod uwagę wszystkie wydarzenia związane z epidemią dzikiej karty, moce psioniczne zostały szybko racjonalizowane metodą fizyki kwantowej. „Działanie na odległość”, bez oczywistego odwołania się do oddziaływań silnych, słabych albo grawitacyjnych, stanowi na przykład istotny element założeń o wewnętrznych powiązaniach oddziałujących na siebie cząstek, wykorzystanych przez Einsteina, Podolsky'ego i Rosena w ich słynnej teorii „paradoksu”, ostatecznie potwierdzonej podczas „eksperymentu aspektowego” we Francji w 1982 roku...

...dość oczywisty przypadek mocy telekinetycznych stanowi zdolność zmiany kształtu. Osobnik poddany takiej modyfikacji — w zasadzie zawsze podświadomie — potrafi zmienić położenia własnych atomów, by otrzymać strukturę bardzo różniącą się od oryginału. Przykładem może być transformacja Dziewczyny-Słonicy w latający okaz *elephas maximus*, przy jednoczesnym naruszeniu zasady zachowania masy i energii. W przypadku Słonicy można to wyjaśnić działaniem podświadomej telekinezy na poziomie subatomowym. Pani O'Reilly potrafi najwyraźniej zgromadzić chmurę wirtualnych cząstek i podtrzymać ich istnienie dłużej, niż to zwykle możliwe (dyskusja na temat cząstek wirtualnych wykracza, oczywiście, poza zakres niniejszej prezentacji. Zainteresowanych odsyłam do artykułów dotyczących na przykład cząstek „przenoszących” oddziaływania silne, tym samym naruszających zasadę zachowania energii). Przywracając swój zwykły wygląd, pani O'Reilly rozprasza wirtualne cząstki tworzące „widmową” masę.

Jej zdolności latania, naruszające wszystkie znane zasady aerodynamiki, stały się impulsem do badań, których wyniki prezentujemy w niniejszej pracy. Mówiąc wprost, przypadek Słonicy, Sokolicy i innych asów zdolnych do lotu bądź lewitacji to wszystko wariacje na temat wykorzystania telekinezy. W tym sensie Wielki i Potężny Żółw to archetypiczny latający as, ponieważ świadomie wykorzystuje do latania swoją moc telekinezy. Jednak żadne kruczki fizyki nie pozwoliłyby uszom Słonicy ani nawet wspianiałym skrzydłom Sokolicy unieść ludzkiego ciała, nawet drobnego, nie mówiąc już o wielkim słoniu indyjskim. Wszyscy oni, podobnie jak Żółw, latają wyłącznie przy użyciu siły umysłu.

...wyrzut energii to kolejny trudny problem, który także można objaśnić wykorzystaniem telekinezy. Skaczący Jack wyrzuca z dłoni wstęgi ognia, a co więcej, potrafi bardzo zręcznie

manipulować wytwarzanym przez siebie płomieniem. Jednak tak naprawdę to nie jego ciało wytwarza ogień, nie jest to nawet ogień. Telekineza pozwala mu ingerować w ruchy Browna cząsteczek otaczającego go powietrza. Tworzy „gorący punkt” wzbudzonych cząstek, w odległości mniej więcej mikrona od własnej dłoni, po czym korzysta z telekinezy, by wytworzyć strumień gorącego gazu.

...lot z prędkością nadświatlną to przypadek szczególny. W większości sytuacji (należy tu pamiętać, że każda transformacja jest unikatowa) osobnik wykazujący zdolność przemieszczenia się z prędkością światła lub nawet nadświatlną emuluje pojedynczy foton lub tachion, samemu stając się „makrofotonem” lub „makrotachionem”, działając przy tym w sposób analogiczny jak urządzenia „makroatomowe”, wykorzystywane przez badaczy z uniwersytetu w Sussex pod kierownictwem Terry'ego Clarke'a, które potrafią emulować pojedyncze bozony. Statki kosmiczne wiozące na Ziemię wirus dzikiej karty, a także statek humanoidalnego kosmity znanego jako doktor Tachion, działały na tej samej zasadzie — co z kolei doprowadziło do powstania neologizmu, pod którym do dziś znany jest jedyny mieszkaniec naszej planety nienarodzony na Ziemi.

Zdolność do podróży nadświatlnych jak dotąd okazała się jedynie umiarkowanie użyteczna z uwagi na ograniczenia czasowe i problemy z nawigacją na dłuższych dystansach, jak dotąd nieprzezwyciężone przez naszą technologię. A przynajmniej tak wnioskujemy z faktu, iż żaden z asów nie zdołał wyprawić się jeszcze poza granice układu słonecznego (dalej niż na orbitę Neptuna) i wrócić...

...istotną cechą tak zwanych „gadżetów” — pasów antygravitacyjnych, portali międzywymiarowych i kombinezonów pancernych — jest fakt, że nie da się ich zreplikować. Po rozebraniu i przeanalizowaniu często okazuje się, że ich działanie nie ma sensu z punktu widzenia mechaniki lub elektryki. Nie potrafimy ich zrekonstruować. To wyjaśnia, czemu żaden przedsiębiorczy konstruktor gadżetów nie rozpoczął masowej sprzedaży, na przykład, osobistych pasów do lotów nadświatlnych albo widłowych wózków antygravitacyjnych. Jedynie twórca tych urządzeń jest w stanie je obsłużyć. W niektórych przypadkach urządzenia sporządzone są z absurdalnych części albo wręcz śmieci, jak choćby ogryzków jabłek, szpilek do włosów i torsów lalek Barbie. Inne mają postać wyłącznie diagramu obwodu, który, podobnie jak słynna maszyna Hieronimusa, działa tak, jak powinien działać rzeczywisty obwód.

Zjawisko to również można wyjaśnić specyficzną manifestacją zdolności psionicznych. Twórca urządzenia odciska swoje piętno na każdym dziele, w sensie zarówno metafizycznym, jak i praktycznym. Ta teoria tłumaczy także często spotykane zjawisko — kreatywność „gadżeciarzy” wydaje się ograniczona i czasem muszą rozebrać stare urządzenie, by nowe zadziałało. Sugeruje również, że wysiłki rządów na całym świecie dążące do skonstruowania Modulatora — androida o zadziwiających zdolnościach — są skazane na porażkę, o ile rząd nie wynajmie sobie własnego konstruktora z dziką kartą...

...jedną z cech charakteryzujących właściwie wszystkich asów jest wysokoenergetyczny metabolizm, znacznie silniejszy niż u zwykłych osobników. Niektórzy potrafią pobrać energię niezbędną do wykorzystywania swoich zdolności z wnętrza siebie (z braku lepszego określenia) lub z Kosmosu. Inni bądź to potrzebują zewnętrznych źródeł energii, bądź to korzystanie z takich źródeł istotnie usprawnia wykorzystanie ich mocy. Można tu przywołać przypadek czarnoskórego siłacza zwanego Młotem Harlemu, który musiał spożywać duże ilości soli metali ciężkich, by zachować szybki metabolizm, a także substancji osteotropowych, w rodzaju izotopu

stront-90 i bar-140, które zdawały się zastępować wapń w kościach, dając im lepszą wytrzymałość. Skaczący Jack pobierał energię ze źródeł ognia i ciepła. Inni pobierają niezbędną energię z „baterii” należących do podobnego gatunku co urządzenia w typie maszyny Hieronymusa. Niezależnie od źródła zasilania, nie spotkano jeszcze asa, który nie byłby szybko wyczerpany intensywnym używaniem swych zdolności. Niektórzy odzyskują siły z pomocą zwykłego odpoczynku, inni wymagają zewnętrznego źródła energii. Każdy przypadek jest indywidualny...

Kolejnym potwierdzeniem hipotezy „psionicznej” jest przypadek tak zwanego Śpiocha — człowieka zyskującego inny zestaw zdolności po każdym przebudzeniu. Żaden inny z modeli działania zdolności asowych nie jest w stanie wyjaśnić tego zjawiska...

Podsumowując, moi koledzy i ja przychylamy się do tezy, iż psionika może ostatecznie wyjaśnić działanie wszystkich znanych zdolności asowych — lepiej niż jakakolwiek inna teoria...



Nota wydawnicza

Prolog, Chwile w życiu żółwia i Interludia by George R.R. Martin. copyright © 1986

Trzydzieści minut nad Broadwayem! Howard Waldrop. copyright © 1986 by

Śpioch copyright © 1986 by the Amber Corporation.

Świadek copyright © 1986 by Walter Jon Williams.

Procedura łamania grass. copyright © 1986 by Melinda M. Snod

Kapitan Katoda i tajemniczy as Cassutt. copyright © 2010 by Michael

Powers copyright © 2010 by David D. Levine.

Długa, mroczna noc Fortunata and *Epilogue: Third Generation* copyright © 1986 by Lewis Shiner.

Transformacje and *The Science of the Wild Card Virus: Excerpts from the Literature* copyright © 1986 by Victor Milán.

Głęboko w dole copyright © 1986 by Edward Bryant and Leanne C. Harper.

Sznurki copyright © 1986 by Stephen Leigh.

Zjawa nawiedza Manhattan Vaughn. copyright © 2010 by Carrie

Nadchodzi łowca copyright © 1986 by John J. Miller.

Tytuł oryginału
Wild Cards I

Copyright © 1986 by George R.R. Martin
Expanded edition © 2010 by George R.R. Martin and the Wild Cards Trust
All rights reserved
Copyright © 2014 for the Polish translation by Zysk i S-ka
Wydawnictwo s.j., Poznań

Cover Art Copyright © Michael Komarck

Redaktor
Robert Cichowlas

Wydanie I

ISBN 978-83-7785-598-0

Zysk i S-ka Wydawnictwo
ul. Wielka 10, 61-774 Poznań
tel. [61 853 27 51](tel:618532751), [61 853 27 67](tel:618532767)
Dział handlowy, tel./faks [61 855 06 90](tel:618550690)
sklep@zysk.com.pl
www.zysk.com.pl

Plik opracował i przygotował Woblink


woblink.com